

# ERICA SPINDLER

AMERYKAŃSKA AUTORKA BESTSELLERÓW

The illustration depicts a dark interior scene. A window with heavy, dark curtains is partially open, allowing a bright, warm light to stream in from the left. In the foreground, a wooden chair is positioned, its back to the viewer. The overall atmosphere is mysterious and suspenseful, with high contrast between the dark shadows and the bright light from the window.

TYLKO PODGLĄDAŁY...

## NIEWINNA CIEKAWOŚĆ

# **Spindler Erica**

## **Niewinna ciekawość**

**( Z ukrycia)**

Tylko podglądały... tajemniczą parę w trakcie perwersyjnej erotycznej gry. Gry, co się skończyła śmiercią "pani X"- jak nazwały nieznaną kochankę trzy nastoletnie przyjaciółki: Andie, Julie i Raven. Niewinna ciekawość tych dziewczyn przerodziła się w niebezpieczną obsesję, która całkowicie odmieniła ich życie.

Piętnastcie lat później ponownie muszą się zmierzyć z ponurą przeszłością. Ktos obserwuje Andie. Ktos, kto nie pozwoli jej zapomnieć nierozwiązalnej zagadki morderstwa pani X. Andie szuka oparcia w przyjaciółkach, ale nagle okazuje się, że nawet ich nie może być pewna.

Tymczasem morderca po raz drugi wybiera ofiarę...

## **PROLOG**

### ***Thistledown, Missouri 1998***

Telefon zadzwonił minutę po trzeciej nad ranem. Rozmówca nie przedstawił się, poinformował tylko, że coś dziwnego dzieje się na parceli budowlanej Gatehouse. W jednym z domów zapalone były światła.

Niech będzie, że morderstwo to coś dziwnego.

Inspektor Nick Raphael wysiadł z jeepa cherokee, rozejrzał się wokół i dostrzegł auta koronera oraz swego partnera, Bobby'ego. Dzięki Bogu, ani śladu prasy. Drzwi domu, ogrodzonego żółtą taśmą, pilnował mundurowy policjant.

Nick dokładnie przyjrzał się frontowej ścianie i najbliższemu otoczeniu budynku. Nie zamierzał się spieszyć, nie chciał bowiem wyciągać pochopnych wniosków. Już dawno nauczył się, że w tej robocie trzeba mieć bystry umysł, precyzyjne oko i cierpliwość Hioba.

Potał dłońią nieogoloną brodę. Wybór miejsca zbrodni wydał mu się zarówno osobliwy, jak i doskonały. Budowa ledwo co ruszyła, parcela znajdowała się na pustkowiu, o jakieś dwadzieścia minut na Wchód od Thistledown. Osiedle niewątpliwie było przeznaczone

dla ludzi zamożnych, na przykład członków zarządów dobrze prosperujących firm z St. Louis. Niewątpliwą zaletą było to, że w pobliżu znajdowało się Thistledown, cieszące się renomą miasta bezpiecznego. Nick uśmiechnął się ponuro. W porządku. Drobnie wydarzenie z tej nocy nie zepsuje przecież tej dobrej opinii.

Znów się rozejrzył. Stały tu na razie trzy domy, jeden gotowy do zamieszkania, dwa na ukończeniu. Basen i kort tenisowy były w trakcie budowy, resztę gruntu podzielono na działki. Żadnych mieszkańców, ani żywego ducha.

No, to nie do końca prawda, przynajmniej tej nocy. Świadczył o tym anonimowy telefon. No i zwłoki.

Nick ruszył do oświetlonych drzwi i przywitał się z bladym z wrażenia aspirantem.

- Davis, tak? - spytał. Młodziak przytaknął.

- I co my tu mamy?

Davis odchrząknął, a jego twarz stała się ziemista.

- Kobieta, dwadzieścia osiem do trzydziestu dwóch lat. Bada ją teraz lekarz.

Nick ponownie zlustrował budynek. Oceniał go na pół miliona, a może nawet więcej. Pokiwał głową.

- Reszta jest w środku? Młodziak powtórnie przytaknął.

- Prosto, potem na lewo. Wszyscy są w salonie. Nick podziękował i wszedł do domu, dostrzegając

tablicę rozdzielczą alarmu, wszystkie te gwizdki i dzwonki. System wprawdzie zamontowano, ale nie włączono.

Prowadziły go głosy, szedł za nimi, aż stanął jak wryty, kiedy ją zobaczył.

Wisiała naga, z rękami związanymi czarnym jedwabnym szalikiem.

Identycznym sza-

likiem przewiązano jej oczy. Pod jej zwisającymi stopami leżał przewrócony wysoki taboret, a obok stał podobny, tylko niższy.

- O gówno! - mruknął Nick. Wróciła cholerna przeszłość i kopnęła go w tyłek. - Pieprzone gówno!

- Raphael, dobrze, że jesteś. Nick spojrzał na partnera.

- Nie mogłem wcześniej. Musiałem poczekać na opiekunkę Mary. - Spojrzał znów na ofiarę, przeżywając intensywny, dezorientujący powrót do przeszłości.

Skupienie się na tej zbrodni, tu i teraz, wymagało od niego wysiłku.

Przymrużył oczy, sondował wzrokiem martwą kobietę. Była, to znaczy musiała być niezłą laską, pomyślał. Blondynka, dobrze zbudowana, jej piersi zachowały jeszcze jędrność. Szalik zasłaniał znaczną część twarzy, ale Nick dałby głowę, że była równie atrakcyjna, jak jej ciało.

Koroner, który stojąc na krześle dokonywał oględzin, zwrócił się do Nicka:

- Cześć, detektywie.

- Cześć, doktoru.

Obaj tkwili wystarczająco długo w tym fachu, by wiele pamiętać.

- Powiedz coś - rzekł Nick.

- To nie samobójstwo - oświadczył cicho koroner. - Ani wypadek. Trudno powiesić się ze związanymi rękami. Ktoś jej w tym pomógł.

Nick zbliżył się.

- Poznajesz, czyja to robota?

- Może - odparł koroner, wracając do pracy. - A może tylko wierny naśladowca. Brak widocznych śladów walki. Czyli zabójstwo z całkowitym przyzwoleniem.

- Tak-wykrztusił Nick. - Do chwili, kiedy ten drań wykopał spod jej nóg stółek.

- Rany! - krzyknął jeden z mundurowych. - O czym wy mówicie? Widzieliście już coś podobnego?

- Mniej więcej. - Nick przysunął się do ciała. - Piętnaście lat temu, właśnie tu, w Thistledown. Umorzone z powodu braku sprawcy. Mówiąc to, Nick pomyślał o Andie i jej przyjaciółkach, o ich związku z tamtą zbrodnią. Pamiętał je sprzed lat, młode, naiwne i przerażone. A przy tym tak pełne życia. On także był wtedy taki sam.

Piętnaście lat mnóstwo zmieniło, w każdym razie on zmienił się nie do poznania.

- Możesz ją zidentyfikować, Nick?

Za pomocą pincety koroner zdjął jedwabną opaskę z głowy kobiety, wrzucił ją do torby z innymi dowodami i obrócił ciało, które zahubiło się w stronę Nicka. Przeszłość spojrzała mu prosto w twarz, tym razem pozbawionymi życia, błękitnymi oczami. Nick gwałtownie wciągnął ostre powietrze.

Nie ona. Jezu drogi, tylko nie ona!

Ale to była ona.

Znowu pomyślał o Andie i zdarzeniach sprzed piętnastu lat. Dawno już nie czuł takiego tępego bólu w całym ciele.

Lęk. Śmierdzący i lodowaty jak śmierć.

Obok niego stało dwóch facetów, którzy czekali na jego odpowiedź. Z wielkim wysiłkiem wycedził:

- Taa. Znam ją.

**Część pierwsza**

**PRZYJACIÓŁKI Lato 1983**

## **ROZDZIAŁ PIERWSZY**

### ***Thistle-down, Missouri 1983***

W samochodzie panował nieznośny upał. Szyby zaparowały od żaru pary nastolatków, która oddawała się pieszczotom na tylnym siedzeniu.

Camaro kołysał się harmonijnie w takt entuzjastycznych miłosnych ruchów. Wnętrze wypełniały cmoknięcia, jęki, westchnienia i erotyczne murmurando, które, nie mieszcząc się pod dachem wozu, przelewały się w czerwcową noc.

Julie Cooper była przekonana, że właśnie opuściła ziemię i trafiła prosto do nieba. Ryan Tolber, o rok starszy szkolny kolega, w którym podkochiwała się od dawna, pojawił się na jej drodze, kiedy szła do toalety w kręgielni. Nie potrafiła odmówić, gdy zaproponował, żeby wsiedli na chwilę do jego wozu.

Julie miała poważny problem z odmawianiem, tak przynajmniej sądziły jej przyjaciółki: Andie Bennett i Raven Johnson. Ona sama uważała, że krótkie „tak” pociąga za sobą o wiele przyjemniejsze konsekwencje niż kokieteryjne „być może” lub brutalne „nie”. No i w tym był cały kłopot.  
- Dziecinko, pozwól mi, bo chyba umrę.



- Chciałabym, Ryan, ale...

Zamknął jej buzię żarliwym pocałunkiem, pieścił językiem, pociskając ją mocniej do siedzenia. Przemknęło jej przez głowę, że Andie i Raven na pewno jej szukają. Andie się zamartwia, a Raven wścieka. Powinna była powiedzieć im, gdzie jest. Ale kiedy Ryan ujął w dłonie jej piersi i zaczął je gnieść i masować, przyjaciółki wyparowały z myśli Julie.

- Żadnych „ale”, dziecinko, za bardzo cię pragnę. Od takich słów kręciło jej się w głowie, a ciało

wygięło się do góry, uniesione emocjami.

- Ja też cię pragnę, Ryan.

Chłopak szybko wsunął dłonie pod jej bluzkę.

- Już rok temu mi się podobałaś, byłaś najlepszą laską wśród pierwszoroczników.

- Naprawdę? - Zajrzała w jego brązowe oczy, niemal wybuchając szczęściem. - Ty też mi się podobałeś. Czemu mnie wcześniej nie zaprosiłeś?

- Nie ruszam pierwszorocznych. Schowała twarz we wgłębieniu jego szyi.

- Ale teraz jestem już na drugim.

- No właśnie. I jako starsza dziewczynka powinnaś wiedzieć, czego potrzebuje mężczyzna. - Ściągnął jej bluzkę przez głowę i rozpiął biustonosz, mrużąc pod nosem schrypniętym głosem: - Masz świetne cycki. Najlepsze. - Nie przestając dotykać jej piersi, wziął do ust jeden z sutków. - Powiedz „tak”, maleńka.

Głowa Julie opadła do tyłu. Tak bardzo tego pragnęła, to było lepsze niż... no, najlepsze ze wszystkiego. Poza tym postąpiłaby niesprawiedliwie, gdyby mu odmówiła, przecież udowodniono naukowo, że chłopcy bardziej od dziewcząt potrzebują seksu. A kiedy już zaczynają i nie pozwala im się skończyć, bardzo ich boli. Słyszała nawet, że jeżeli taka sytuacja się powtarza,

męskość może zwiędnąć, a nawet odpaść. Za nic nie chciała być przyczyną takiej straty. Nie zniosłaby, gdyby dotknęła Ryana czy jakiegokolwiek innego faceta.

- Jesteś taka śliczna, taka seksowna. Kocham cię, naprawdę.

Odsunęła się, żeby zerknąć mu w oczy.

- Tak? - szepnęła. - Kochasz mnie?

- No pewnie, bardzo, dlatego muszę cię dotykać. No, wpuść mnie, Julie. -

Przesunął dłoń" w dół, do jej szortów, rozpiął je i wsadził rękę pod materiał. - Wpuść mnie.

Zacisnęła palce na jego ramionach, z jej ust wydobył się przeciągły, niski jęk. Uniosła biodra, żeby mógł sięgnąć dalej, głębiej, choć jakaś jej część równocześnie się przed tym cofała.

„Jesteś diabłem wcielonym, Julie Cooper, Jezabel i grzesznicą”.

To był głos jej ojca, słowa, którymi rzucał w nią setki razy. Zadygotała z nagłego chłodu i zacisnęła powieki.

Ryan ją kocha i wszystko jest w porządku.

Zwarła ciaśniej uda w niewymownej rozkoszy. Przecież takie nieziemskie uczucie nie może być złe, niezależnie od tego, co twierdzi jej ojciec.

- Julie! - Czyjś głos wydzierał się za zamglonym oknem samochodu. - Jesteś tam?

- Zabieraj stamtąd swój tyłek - wołał drugi głos - bo jeśli się spóźnisz do domu...

- Ojciec cię zabije!

Julie natychmiast otworzyła oczy. Andie i Raven znalazły ją.

Dobry Boże... powinna być już w domu.

Próbowała się uwolnić, lecz Ryan trzymał ją mocno w pasie wolną ręką, a drugiej wciąż nie wyjmował spomiędzy jej nóg.

- Spływajcie - krzyknął. - Jesteśmy zajęci.  
- Julie! - Andie nie dawała za wygraną. - Odbiło ci? Chcesz mieć szlaban na całe lato?

Takie prawdopodobieństwo zmroziło Julie. Nawet minuta spóźnienia - a jej godziną zero była dziewiąta wieczorem - groziła srogą karą. Stały jej przed oczami wakacje bez przyjaciółek, bez kina, imprez i pływania. Godziny klęczenia nad Pismem Świętym i modlitwy o przebaczenie. Jej ojciec wygłaszający kazanie do wiernych, wskazujący na nią palcem, wyławiający ją z tłumu i oskarżający.

Grzesznica.

Ogarnęło ją przerażenie. Ojciec był do tego zdolny, wiedziała, że się nie zawaha.

Gdyby wiedział, ku czemu ona teraz zmierza, zrobiłby coś jeszcze gorszego, czym zawsze jej groził. Wyrzuciłby ją z domu, wysłał daleko, rozłączył z przyjaciółkami. Posłałby ją tam, gdzie byłaby całkiem sama, a ona by tego nie zniosła po raz drugi, bo już to przeżyła, zanim zaprzyjaźniła się z Andie i Raven.

Wreszcie wykręciła się z objęć Ryana.

- Idę! - zawołała, poprawiając biustonosz i szorty. Znalazła też opaskę i ściągnęła w koński ogon swoje długie, falujące, jasne włosy. Zanurzyła dłoń w kieszeni spodenek, wyławiając okulary w ciemnych oprawkach, których nienawidziła i unikała jak mogła. Błagała ojca o szkła kontaktowe. Odmówił, przypominając jej, że próżność jest dziełem szatana. Posunął się nawet do tego, że z domu znikły wszystkie lustra, prócz jednego w łazience, którą dzielił z jej matką, a która była zawsze zamknięta na klucz.

Trzymając kurczowo okulary, spojrzała skruszona na Ryana.

- Przepraszam cię. Było cudownie.

Ujął jej twarz w dłonie z błagalnym wyrazem.

- No to zostań. Zostań ze mną, dziecinko.

Jej serce o mało nie oszalało. Kocha ją. On naprawdę ją kocha. Jak mogłaby go opuścić w takiej chwili?

Drzwi otworzyły się szeroko, a światło z parkingu zalało wnętrze samochodu. Andie wsadziła do środka głowę.

- Julie, wyłaź! Jest za dwadzieścia dziewiąta!

- Za dwadzieścia dziewiąta - powtórzyła dziewczyna i ciarki przeszły jej po plecach.

Ryan złapał ją za rękę.

- Zostań ze mną. Pieprz swojego świętego staruszka, dziecinko.

Wtedy w drzwiach pojawiła się wściekła Raven i groźnie zawarczała:

- Chyba nie chcesz, żeby się z nim pieprzyła, co? Spadaj, ciulu!

Andie chwyciła Julie za jedną rękę, Raven za drugą i wyciągnęły ją z samochodu. Andie z furią zatrzaskała drzwi i, wspomagana przez Raven, zaczęła holować przyjaciółkę skrótami w stronę Happy Hollow, której to dzielnicy wszystkie trzy mieszkały.

Kiedy tylko wystarczająco oddaliły się od parkingu, Julie włożyła na nos okulary i zakreśliła się, żeby z wściekłością zaatakować Raven.

- Jak mogłaś tak się do niego odezwać? Nazwałaś go ciulem! I... użyłaś takiego słowa! Tego słowa na „p”. Już nigdy nie będzie chciał się ze mną spotkać.

- Proszę cię. - W tonie Raven słychać było drwinę. - On jest ciulem. A to słowo na „p” to tylko słowo. Pieprzyć, pieprzyć, pieprzyć, pieprzyć.

Powiedziałam to cztery razy i jakoś nikomu nic się od tego nie stało.

- Musisz być zawsze taka opryskliwa? Niedobrze mi się robi.

- A ty musisz być zawsze taka łatwa? Wstyd mi za ciebie.

Julie odstała o krok, jakby została spoliczkowana.

- Wielkie dzięki. Uważałam cię za swoją najlepszą przyjaciółkę.

- A ja...

Andie wkroczyła do akcji.

- Przestańcie! Jeżeli natychmiast stąd nie znikniemy, Julie będzie miała przechlapane. Co się z wami dzieje? Jesteśmy przyjaciółkami, czy nie?

- Nie pójdę z nią dalej. - Julie założyła ręce na piersi. - Chyba że mnie przeprosi.

- A niby za co? Powiedziałam prawdę.

- Jaką prawdę? Ryan mnie kocha, sam to powiedział. Andie i Raven wymieniły spojrzenia.

- Co? - oburzyła się Julie. - Co się tak gapicie?

- Julie - odezwała się delikatnie Andie - prawie go nie znasz.

- W miłości to nie ma znaczenia. - Przenosiła wzrok z jednej przyjaciółki na drugą, świadoma, że jej słowa brzmią beznadziejnie. Do oczu napłynęły jej łzy. - Tak mi powiedział i jestem pewna, że nie kłamał.

- Jesteś pewna? - zamruczała Raven. - Bo mu stwardniał?

Julie poczuła się urażona.

- Jakże z was przyjaciółki? Powinnyście mnie wspierać. Powinnyście mnie rozumieć.

- Jesteśmy twoimi przyjaciółkami. - Andie ścisnęła jej ramię. - I świetnie cię rozumiemy. Ale przyjaciele są też po to, żeby się wzajemnie chronić. Faceci są gotowi powiedzieć wszystko, bylebyś dała im to, czego chcą. Przecież wiesz.

- Ale Ryan...

- Julie - wtrąciła się Raven tonem zniecierpliwionej

matki. - Spójrz na to trzeźwo. Zderzyłaś się z nim w kręgielni. Nigdy wcześniej nie prosił cię o randkę.

- Powiedział, że od dawna mu się podobam, tylko nie zbliżał się do mnie, bo byłam za młoda i...

- I czas na powrót do rzeczywistości - ucięła Raven, przewracając oczami.

- Chodzisz na jakieś specjalne zajęcia z głupoty?

- Bardzo jesteś miła. - Julie przycisnęła okulary wskazującym palcem. - Pewnie trudno wam uwierzyć, że taki przystojny chłopak... i taki nie byle kto, jak Ryan Tolber, może się we mnie zakochać, w takiej głupiutkiej Julie Cooper.

- Nie o to chodzi - rzuciła Andie, spoglądając na Raven. - Wiesz to doskonale. Jesteś super. Jesteś dla niego za dobra, nie tak, Rave?

- O niebo za dobra - szybko odparła Raven. - On ci nawet do pięt nie dorasta.

- Naprawdę? - Julie zamrugła, odpędzając łzy. - To czemu jesteś dla mnie zawsze taka przykra? Zachowujesz się, jakbyś uważała się za dużo mądrzejszą ode mnie. Jakbyś zjadła wszystkie rozumy. A ja tego nie znoszę.

- Wybacz, Julie, ale czasem zachowujesz się tak, jakby dla ciebie nie liczyło się nic prócz chłopaków! Skończy się na tym, że ludzie nazwą cię dziwką. Zresztą niektórzy już tak o tobie mówią, a ja się mogę tylko wściekać.

- Dziwka - wyszeptała Julie i ziemia zakołysała jej się pod nogami. -

Ludzie są... nazywają mnie... - Podniosła pytający wzrok na Andie, ledwo widząc przez łzy. Andie nie skrzywdzi jej naumyślnie, ale też nie okłamie, bo ona zawsze mówi prawdę. - Czy ludzie naprawdę... tak mnie nazywają?

Andie zawahała się, potem otoczyła ją ramieniem.

- Próbuje cię ochronić, Julie, bo cię kochamy.

- Niepotrzebnie to powiedziałam - włączyła się Raven. - Ale aż się we mnie gotuje, kiedy widzę, jak się dobrowolnie wystawiasz. Nie pozwól się tak krzywdzić. Ryan to podrywacz, jesteś za dobra dla takich facetów.
- Przepraszam - wyszeptła Julie, obejmując Raven.
- Przecież wiem, że chcecie mi tylko pomóc. Ale mylicie się co do niego, przekonacie się.
- Obyś miała rację - stwierdziła Raven, oddając uścisk.
- Kochane - mruknęła Andie, patrząc na zegarek
- dochodzi dziewiąta. Macie pomysł, jak dostarczyć Julie do domu na czas?

Julie spojrzała na przyjaciółki, uświadamiając sobie ciężar sytuacji.

- Ojciec mnie zabije - szepnęła. Uniosła dłoń do ust.
- On mnie... on...

Puściła się biegiem. Przyjaciółki ruszyły za nią, ale nie zatrzymała się ani nie obejrzała, tylko przebierała jak najszybciej nogami. Widziała już w wyobraźni ojca, stojącego z zegarkiem w ręku w kuchennych drzwiach. Słyszała jego wykład, litanie oskarżeń i krytyki, wyrazy jego wielkiego rozczarowania. Zegar na rynku w Thistledown zaczął wybijać dziewiątą, godzinę klęski. Już się nie uda, za późno.

Julia przystanąła, dysząc i zalewając się łzami.

- I po co ja to robię? - Padła na ziemię, kompletnie załamana. - Znowu to samo. Znowu nawaliłam. Co się ze mną dzieje?
- Nic. - Andie siadła obok niej i poklepała ją po ramieniu. - No, staruszko, nie poddawaj się tak łatwo. Jeszcze mamy szansę.
- Nieprawda. Posłuchaj tylko. - Zegar właśnie wybił pełną godzinę, ostatnie, dziewiąte uderzenie wybrzmiewało przez chwilę, zanim rozplynęło się w wieczornej

ciszy. - Już nie żyję. - Ukryła twarz w dłoniach. - Ojciec ma rację, jestem nic niewarta. Głupia, pusta, bezmyślna, przynoszę tylko wstyd...

- Nie wolno ci tak mówić! - Raven krzyknęła i zaczęła biec. - On nie ma racji, ani trochę!

Zakłopotana Julie podniosła się.

- Rave, co ty... Nie uda się nam!

Andie też wstała. Wymieniły spojrzenia i puściły się biegiem.

- Rave! - wołały zgodnie. - Zaczekaj, my...

W tym samym momencie Raven upadła, lądując na kolanach i hamując rękami na zwirowym poboczu drogi. Przyjaciółki podbiegły do niej, wykrzykując:

- Nic ci się nie stało?

- Krwawisz!

Raven nie zwracała na nie uwagi, spróbowała usiąść. Przyjrzała się kolanom i dłoniom, z których pozdzierała sobie skórę.

- Dość kiepsko - mruknęła, spojrzała na ziemię i wybrała kamień o ostrych brzegach.

Julie zdążyła tylko otworzyć usta. Raven z całej siły uderzyła się kamieniem w nogę. Tylko zacisnęła usta, gdy na jej łydce, od kolana w dół, pojawiła się krwawa linia.

- No - powiedziała Raven lekko drżącym głosem - tak będzie dobrze.

- O mój Boże! - Julie uniosła do ust trzęsącą się rękę, wpatrzona w powiększającą się na ziemi kałużę krwi. - Rave, co... Dlaczego to zrobiłaś?

Dziewczyna podniosła wzrok.

- Nie mam zamiaru pozwolić twojemu staremu na kolejną awanturę.

Oglądam to, odkąd skończyłam osiem lat, i mam już dosyć. Teraz nie będzie mógł ci nic zrobić. - Uśmiechnęła się, choć wargi jej drżały. -

Ojciec



nie może cię winić za mój wypadek, postąpiłaś przecież po chrześcijańsku, gdy zostałaś ze mną, by mnie ratować. Pomóż mi się podnieść.

Julie i Andie dźwignęły przyjaciółkę do góry.

- Rany, jak to boli - skrzywiła się Raven, opierając ciężar ciała na zranionej nodze.

- Chodźmy - rzekła Andie. - Trzeba przemyć ranę, wygląda na głęboką. - Pochyliła się, żeby się lepiej przyjrzeć, i zmarszczyła nos. - Obawiam się, że trzeba będzie szyć.

Szwy. Julie zakreśliło się w głowie. Ona zrobiła to dla niej.

- Tak myślisz? - Raven lekko się zachwiała, łapiąc Julie za rękę. - To teraz moja noga będzie przynajmniej pasowała do twarzy - mruknęła, nawiązując do długiej szramy, która biegła w poprzek jej prawego policzka, co było pamiątką po wypadku samochodowym. - Jak już ktoś rodzi się wariatem, to na zawsze.

- Nie jesteś żadną wariatką! - Julie zerknęła na Andie, a potem znów na Raven. - Masz włosy i oczy jak anioł, ty...

- I buźkę potwora - uśmiechnęła się smutno Raven.

- Dobrze wiem, że chłopcy nazywają mnie Narzeczoną Frankensteina.

- To smarkate głupki - szybko rzuciła Andie. - Nie zwracaj na nich uwagi.

- Nie masz pojęcia, o czym mówisz, na ciebie nikt się nie gapi. Nie wiesz, co to znaczy tak się wyróżniać.

- A co, chciałabyś być podobna do mnie? - spytała Andie, wyciągając ręce. - Spłowiła blondynka o brązowych oczach. Nic specjalnego. Nawet mi jeszcze piersi nie urosły, a mam już piętnaście lat.

- Julie za to wyrosły - rzekła Raven i zachichotała.

- Jej niczego nie brakuje.

Julie zarumieniła się.

- Ty też masz piersi, obie macie, moje wcale nie są takie duże.

- W porównaniu z czym? Z melonami? - Uśmiech Raven zgasł. -

Naprawdę nic nie rozumiecie? - Przesunęła się i syknęła z bólu. -

Nieważne, co myślą inni. Nieważne, że cały pieprzony świat uważa mnie za wariatkę. Obchodzi mnie tylko nasza przyjaźń i nawet gdybym była najpiękniejsza na świecie, bez was nic nie miałoby sensu. Jesteście moją rodziną, a rodzina zawsze się wspiera. Zawsze.

## **ROZDZIAŁ DRUGI**

Godzinę później Andie stała przed frontowymi drzwiami swojego domu, oszołomiona wydarzeniami wieczoru. Wciąż miała przed oczami Raven, katującą swoją nogę. Zrobiła to bez wahania, choć musiało ją nieźle boleć. Rana krwawiła tak mocno, że biały sportowy but zrobił się czerwony.

W każdym razie cel został osiągnięty. Wielebny Cooper zmierzył je groźnie wzrokiem i wypytał o okoliczności wypadku, usiłując złapać swoją córkę i jej przyjaciółki w pułapkę, która zmusiłaby je do wyznania jakiegoś śmiertelnego grzechu. W czasie tego śledztwa pani Cooper miała skruszony wyraz twarzy, za to Raven wciąż nadawała, jak to dzielna Julie uparła się jej pomóc, choć błagała ją, by pędziła do domu. Andie nie знаła lepszej kłamczuchy od Raven. Ani lepszej przyjaciółki. Ona z pewnością nie odważyłaby się na coś podobnego, nawet w czyjejs obronie.

Wielebnemu pozostało jedynie przestrzec je i nakazać większą uwagę. Pani Cooper założyła Raven opatrunek, a potem odwiozła ją i Andie do domów.

Raven już taka jest, myślała Andie. Nie bacząc na konsekwencje, zawsze gotowa jest ponieść każde ryzyko, jeżeli może to w czymś pomóc jej albo Julie.

Przypomniała sobie ich pierwsze spotkanie. Tamtego lata, gdy Andie skończyła osiem lat, Raven wprowadziła się do sąsiedniego domu. Grupa chuliganów na rowerach otoczyła Andie, a Raven natychmiast wkroczyła do akcji. Wskoczyła pomiędzy nich niczym jakaś atletka, chociaż trzeba przyznać, że obie wtedy oberwały. Od tamtej pory stały się nierozłączne.

Andie poczuła głód i poszła do kuchni, skąd wzięła jabłko.

- Mamo? - zawołała, zaskoczona ciszą panującą w domu. - Tato?

Wróciłam!

- Tu jestem, żabo - odezwał się ojciec z dołu nieswoim, schrypniętym głosem. - Przyjdź do nas, dobrze?

- Jasne, tatau. - Ruszyła spokojnym krokiem, wycierając jabłko do połysku w rękaw bluzki.

Ugryzła spory kęs. Albo ojciec jest przeziębiony, pomyślała, albo zły, bó bliźniacy znów wywinęli jakiś numer. Andie miała młodszych od siebie o cztery lata braci, będących źródłem nieustających kłopotów.

Cała rodzinka była na dole. Andie przystanąła w drzwiach, przenosząc spojrzenie z jednej twarzy na drugą. Mama była spuchnięta od płaczu, ojciec miał złowieszczo zaciśnięte usta, a bliźniacy, wbrew swoim obyczajom, siedzieli cicho ze spuszczonej głowami.

Niedobrze. Musiało się stać coś strasznego.

- Mamo? O co chodzi? Cisza. Andie spojrzała na ojca.

- Tato? Co się stało? Czy co babcia? Czy... Wtedy mama podniosła głowę, a Andie uderzyła dzika

furia, jaka malowała się na jej twarzy. Nigdy jeszcze nie widziała tego u matki. Mimowolnie cofnęła się.

- Mamo? Czy ja coś zrobiłam? Przepraszam, że się spóźniłam, ale Raven upadła i...

- Ojciec ma ci coś do powiedzenia. Andie odwróciła się do niego.
- Tatusiu? - szepnęła, używając słowa, którym nie nazywała go od lat. - O co chodzi?
- Usiądź, żabo.
- Nie. - Potrząsnęła głową. - Najpierw powiedz mi, że wszystko jest w porządku.
- No już, Dan - wtrąciła mama złamanym głosem.
- Powiedz jej, jak to doszedłeś do wniosku, że już nas nie kochasz.
- Marge!

Głos matki urósł tymczasem do histerycznego wrzasku.

- Powiedz jej, że nas opuszczasz!

Andie niemo patrzyła na rodziców. To niemożliwe, to nie może się zdarzyć w jej szczęśliwej rodzinie.

- Nie - wykrztusiła przerażona. - To nieprawda.
- Kochanie... - Ojciec wstał i wyciągnął do niej rękę. - Takie rzeczy się zdarzają. Dorośli przestają się kochać, ale nie ma to nic wspólnego z tobą ani twoimi braćmi.

Słyszała jego słowa, ale tak, jakby wychodziły z głębokiej jaskini, z bardzo daleka. Odbijały się echem w głowie Andie, mieszając się z burzą, jaka zapanowała w jej sercu.

Przestają się kochać? Nic wspólnego z nią?

Opuszczał ich. Zostawiał ją.

Jej oddech stał się krótki i płytki, rozbolał ją brzuch. Jak on mógł to powiedzieć? Ona umiera, a on twierdzi, że to nie ma z nią nic wspólnego?

- To nie ma nic wspólnego z wami, dzieciaki
- ciągnął. - Kocham was tak samo, jak zawsze.

Andie zerknęła na braci. Siedzieli ciasno jeden przy drugim. Pete płakał cicho, Daniel patrzył na ojca wściekłym, kamiennym wzrokiem. Bracia jak zwykle

podzielili się już rolami. Różnili się od siebie jak dzień i noc. Pete był wrażliwym, radosnym i lubianym przez wszystkich ekstrawertykiem, natomiast Daniel, poważny i zamknięty w sobie, potrafił przez długie miesiące dusić w sobie złość i urazę. Było jasne, że w przeciwieris-wie do Pete'a nie wybaczy łatwo ojcu. A ona? Co ona zrobi?

- Nie wyprowadzam się daleko - mówił Dan. - Zostaję w Thistledown, będziemy stale się widywać. Rozmawiałem już na ten temat z moim prawni...

- Prawnikiem? - rzuciła zszokowana matka. - Zdażyłeś już rozmawiać z prawnikiem?

- Tak, Marge - rzekł. - Już to zrobiłem.

Andie cofnęła się jeszcze o krok. Co się stało?

- zastanawiała się. Jak on może patrzeć na matkę z takim chłodem?

Przecież jeszcze rano razem się śmiali.

- Uważałem, że tak będzie najlepiej - kontynuował.

- Chciałem przedyskutować swoje prawa, zanim...

- Najlepiej? Prawa? - Matka uniosła głos. - Masz na myśli swoje prawo do odwiedzania dzieci w weekendy i zabierania ich na połowę wakacji? To uważasz za najlepsze? Lepsze niż codzienne powroty do domu?

- Dostyc, Marge! To nie są rozmowy, które prowadzi się przy dzieciach.

- Nie będziesz mnie uczył, jak mam się zachowywać! Jak śmiesz? -

Matka poderwała się na równe nogi.

- Jesteśmy podobno rodziną.

- Tylko że dla mnie nasze małżeństwo się skończyło. - Był już zniecierpliwiony. - Nie jestem w nim szczęśliwy. Zresztą już od dawna, o czym na pewno wiesz.

Andie objęła się w pasie, z jabłkiem zaciśniętym w jednej z dłoni.

Nieszczęśliwy? Jej rodzice prawie wcale się nie kłócili, prawie we wszystkim się zgadzali.

Jeszcze tego ranka ojciec, jak każdego dnia, pocałował mamę przed wyjściem do pracy, a matka, jak zawsze, zareagowała uśmiechem.

A teraz jest nieszczęśliwy? Teraz chce ich opuścić?

Dlaczego? Czy ona się do tego przyczyniła? A może jej bracia?

Dławiła się od łez. Nie chciała, żeby ojciec się wyprowadził. Kochała go ponad wszystko.

- Nie odchodź, tato - odezwała się błagalnym tonem. - Pozostańmy rodziną.

Ojciec spojrział na nią, potem na chłopców.

- Będziemy rodziną, dzieciaki, zawsze będziemy, niezależnie od tego, gdzie będę mieszkać.

Nie, to wszystko zmieni.

- Obiecuję, że będę więcej pomagać w domu. - Andie desperacko szukała sposobu, żeby go zatrzymać.

- Przestaniemy się kłócić z chłopcami. - Spojrzała na nich prosząco. - Prawda?

- Tak - odparli równocześnie, kręcąc głowami.

- Obiecujemy, że się poprawimy.

- Kochanie, to nie...

- I będę siedzieć w domu - mówiła dalej, by ojciec nie powiedział czegoś więcej. - A wy będziecie mogli częściej wychodzić. Nawet słówkiem się nie pożalę. Dajcie mi tylko szansę, a pokażę wam, że potrafię być dobra.

- Widzisz, Dan? - szepnęła matka, zatapiając się z powrotem w krzesło.

Już nie była bojowo nastawiona.

- Widzisz, co robisz naszym dzieciom?

Zignorował ją i zbliżył się do Andie.

- Och, żabo. - Objął ją i przytulił do piersi. - To nie twoja wina, ani chłopców. Jesteście wspaniali. - Odsunął się i zajrzał jej w oczy. - Tu chodzi tylko o mnie i mamę.

Andie walczyła ze łzami. Odwróciła głowę ku braciom, patrząc, jak się do siebie tulą. Zawsze tworzyli drużynę. Ona miała Raven i Julie.

Jak ojciec mógł zrobić coś takiego? Powinien ich kochać, choćby nie wiadomo co się działo.

Wyzwolila się z ramion ojca i podeszła do matki, samotnej i zrozpaczonej. Uklękła obok krzesła i objęła ją, a Marge najpierw zeszywniała, a po chwili miękko osunęła się w ramiona córki, czepiając się jej kurczowo.

- Andie, kochanie - mówił spokojnie ojciec - wiem, że jesteś teraz zdenerwowana, ale po jakimś czasie zrozumiesz.

- Nie, nigdy - pokręciła głowę, a z jej oczu poleciały gęste łzy. - Mówiłeś, że rodzina jest najważniejsza. Kłamałeś.

- Nie kłamałem. Po prostu nie wiedziałem pewnych rzeczy. W życiu zdarza się... - Spojrzał na żonę. - Marge, pomóż mi.

- To twoja decyzja, Dan - powiedziała zimno. - Nie każ mi się z niej tłumaczyć.

- Dobra. - Patrzył na córkę i synów. - No więc tak to teraz będzie. Przykro mi, dzieciaki, ale... Jak dorośnięcie, to...

- Zrozumiemy? - Andie popatrzyła mu w oczy i potrząsnęła głową. - Na mnie nie licz. Nigdy ci tego nie wybaczę. Nigdy.

Przez dłuższą chwilę patrzył na nią, a potem, bez słowa, odwrócił się i wyszedł.



## ROZDZIAŁ TRZECI

Andie leżała na łóżku. Z jej oczu nie płynęły już łzy, była kompletnie wyczerpana. Zaraz po wyjściu ojca usłyszała jego samochód, podbiegła do okna i widziała, jak odjechał. Długo jeszcze patrzyła w ciemną noc, jakby wypatrując tylnych świateł auta, które już dawno rozplynęły się w mroku.

Odjechał. Tak po prostu.

Przekreśliła się na bok. W domu zapanowała nienaturalna, martwa cisza. Bracia poszli spać, matka zamknęła się w swojej sypialni. O tej porze z pokoju rodziców zwykle dobiegały do niej odgłosy telewizyjnych programów albo prowadzone ściszym głosem rozmowy. Od czasu do czasu tę rutynę przerywał telefon lub miauczenie kota za oknem.

Jednak tej nocy było zupełnie inaczej. Jakby nastąpił koniec świata.

Andie została sama ze swoimi dręczącymi myślami.

Ojciec od nich odszedł.

Przestał ich kochać, a w każdym razie kochał ich zbyt mało, żeby pozostali razem.

Ta prawda raniła jak ostry nóż. Andie usiadła. Patrzyła na zamknięte drzwi, myśląc o bliźniakach, rozpamiętując rozpacz widoczną na ich twarzach.

Chłopcy załamali się, to było oczywiste. Zeskoczyła z łóżka, ruszyła do ich pokoju i zajrzała do środka.

- W porządku?

- Tak - odparł ze złością Daniel, podnosząc na nią wzrok. - Nie jesteśmy dziećmi.

- Wiem. Ale... pomyślałam, że może macie ochotę pogadać.

- Andie? - Pete odwrócił się do niej. - Nie rozumiem tego. Mama i tato, oni zawsze... Myślałem, że...

Głos zadrżał mu niebezpiecznie.

- Też tak myślałam. - Andie westchnęła. - No cóż, chyba nam się tylko zdawało.

Ściągnął buzię, żeby się nie rozplakać.

- Zobaczymy jeszcze kiedyś tatę?

- Nie wiem. - Odwróciła głowę. - Tak mówił.

- Ale on kłamie - stwierdził Daniel, siadając. - Jest wstrętnym kłamcą.

Wcale nie muszę się z nim spotykać, Pete tak samo.

Ale Pete był innego zdania, Andie była tego pewna. Ukrył swoje zapłakane oczy.

- Zamknij się! - krzyknęła na Daniela. - Nic nie wiesz.

- Wiem więcej od ciebie.

- Chciałbyś. Jesteś jeszcze dzieckiem. Podniósł wysoko brodę.

- Wiem o tacie coś, czego ty nie wiesz. To tajemnica.

- Akurat - powiedziała z ironią. - Oczywiście, że to tajemnica, bo nie masz nic do powiedzenia.

- Powiem ci, tylko zamknij drzwi. Nie chcę, żeby mama usłyszała.

Andie burknęła coś pod nosem, ale spełniła Jego prośbę. Potem splotła ręce na piersi.

- No więc, cóż to za wielka tajemnica?

- Tata ma przyjaciółkę.

Andie gapiała się na brata przez moment, zbyt wstrząśnięta, żeby to skomentować. Później zacisnęła pięści i przesunęła się na środek pokoju.

- Kłamiesz. Odwołaj to, Daniel. W tej chwili to odwołaj!

- Słyszałem, jak z nią rozmawiał przez telefon. Dzisiaj wieczorem.

Powiedział jej, że... powiedział jej, że ją kocha, i odwiesił słuchawkę.

- To nieprawda. - Andie prawie nie mogła mówić.

- Przyznaj się, wymyśliłeś to.

- Ja też go słyszałem - bąknął załamany Pete.

- Mówił... Powiedział, że od jutra...

- Że wreszcie będą razem - dokończył Daniel. Jego złość i opór

łagodniały. - Ale najpierw musi zająć się nami.

- Nie, to nieprawda! - Andie wypadła z sypialni braci, z całej siły tłumacząc sobie, że bliźniacy się pomylili. Przecież jej tato nie byłby do tego zdolny, nie należał do takich mężczyzn.

Trzasnęła drzwiami sypialni chłopców, żałując, że wydusiła z Daniela jego podejrzenia. Nie, jej ojciec by tego nie zrobił. Nie on.

I nagle, jakby przywołała Dana swymi myślami, usłyszała jego głos. Z nadzieją pomknęła ku sypialni rodziców. Ojciec zmienił zdanie, wrócił, wcale nie miał zamiaru ich opuszczać.

Biegła co sił: To jasne, że Pete i Daniel przesłyszeli się, coś pokręcili, jak to oni. Złapała za klamkę, gotowa wpaść bez pukania, lecz powstrzymały ją słowa matki:

- Zabierz wszystko, co chcesz, bo, przysięgam na Boga, więcej nie wpuszczę cię do tego domu bez nakazu sądowego.

- Dobrze, jeśli tak sobie życzysz.

Do uszu Andie dotarł trzask zamka walizki. Zakryła dłonią usta. Zrozumiała straszną, ostateczną tym razem prawdę: ojciec wcale nie zamierzał tu zostać, tylko pakował się.

- Naprawdę bardzo mi przykro, Marge. Nie myślałem, że tak się to skoroczy.

- Oszczędź mi swoich przeprosin - odparła matka głosem pełnym łez. - Oddałam ci dwadzieścia lat życia, a ty mówisz, że ci przykro?

- A ty czemu udajesz zdziwienie? To ciągnie się od miesięcy.

- Masz dzieci - rzekła matka. - A ty zamierzasz ot, tak sobie, po prostu wszystko skończyć? Przysięgałeś mi, Dan.

Andie przycisnęła ucho do drzwi, słyszała szelest wyjmowanych z szuflad ubrań.

- Złożyłeś przysięgę - powtórzyła matka. - Zapomniałeś?

- Wiem - odparł ciężko zmęczonym głosem. Andie nie pamiętała, by ojciec kiedykolwiek był tak wyczerpany, wycyty z energii. -

Przepraszam.

- Przepraszasz? - zezłościła się znów matka. - Jakby ci naprawdę było przykro, tobyś tego nie robił! Oczywiście masz kogoś, prawda?

- Marge, proszę.

- Kochasz ją bardziej ode mnie. Bardziej niż swoją rodzinę.

- Przestań, Marge. Na Boga, dzieci...

- Tak, dzieci. To twoje dzieci, ale one już cię nic obchodzą. Gdybyś przejmował się losem swojej córki i synów, nie zostawiałbyś ich.

- Wiesz, że są dla mnie bardzo ważne.

- Tak, wiem. Kto je zawozi na dodatkowe zajęcia, kto organizuje im wycieczki? Kto porzucił karierę zawodo-

wą, aby zająć się wychowaniem naszych dzieci? Wolałbyś, żeby było inaczej, ale to są nasze dzieci, Dan. Nie tylko moje.

Andie zacisnęła powieki. Nie mogła dłużej znieść słów matki, zdawało się jej, że zaraz zemdleje, ale nie potrafiła odejść.

- Zawsze musisz odgrywać męczennicę. Rzucasz mi w twarz tą twoją śmieszna karierą przez dwadzieścia lat. Byłaś tylko korektorką w gazecie.

- Miałam przed sobą duże perspektywy! - krzychała. - Nazywano mnie artystką korekty! Kochałam tę pracę i byłam w tym naprawdę dobra!

- No to masz okazję wrócić do zawodu - powiedział, zasuważąc szufladę biurka.

- Wiem, że masz kogoś.

- Na Boga...

- No to zaprzecz. Powiedz, że nie masz romansu, że za moimi plecami nie sypiasz od miesiący z jakąś kobietą.

Andie przycisnęła pięść do ust, dusząc płacz i modląc się, żeby ojciec zaprzeczył wszystkim oskarżeniom.

Nie zaprzeczył. Jego milczenie mówiło samo za siebie.

- Założę się - matka nie ustawała - że kimkolwiek jest ta kobieta, nie ma dzieci ani żadnych obciążeń. Żadnych ciekących nosów do wycierania, dziecięcych sporów do rozstrzygnięcia. Ma za to mnóstwo czasu, żeby zadbać o siebie i czuć się atrakcyjna.

- Już cię nie kocham. Nie podoba mi się już nasz związek! Rozumiesz? Leeza jest sprawą drugorzędną.

- Twoja sekretarka? - Matka podniosła głos. - Mój Boże, ona jest dwadzieścia lat od ciebie młodsza!

Leeza Martin, sekretarka ojca. Andie jeszcze mocniej zacisnęła powieki, widząc oczyma wyobraźni tę

młodą i ładną kobietę w krótkiej spódnicy i z uśmiechem na ustach. Leeza zawsze jej się podobała, Andie pragnęła być do niej podobna. Piękna Leeza ukradła jej ojca. Andie poczuła gorzki smak nienawiści. Leeza uśmiechała się do niej przyjaźnie i cały ten czas równocześnie... sypiała z jej ojcem. Łamała serce jej matki. Rozbijała rodzinę swojego szefa. Matka łkała, natomiast Dan był wyraźnie zniesmaczony. Jego głos stwardniał.

- Jak możesz mnie o to prosić, jeżeli wiesz, że tego nie chcę? Wyobrażasz sobie, że zostanę tylko dla dzieci? Nie na tym polega małżeństwo. To byłoby więzienie.

Andie odrzuciło od drzwi, jakby ogarnął je pożar. Nabrzmiwał w niej ból wprost nie do wytrzymania, z oczu strugą płynęły łzy. Chciała rzucić się na ojca, błagać go, płakać i żebrać, tak jak jej matka.

Nie miało to jednak żadnego sensu, bo był ktoś, kogo ojciec obdarzył większą miłością niż swoją rodzinę, ktoś, z kim wolał spędzić resztę życia.

Kłamał. Był kłamcą, zwyczajnym oszustem. Raven. Tak, przyjaciółka jej pomoże, ona będzie wiedziała, jak to naprawić.

Andie pognęła do swojego pokoju, zamknęła się na klucz i otworzyła okno. Rzuciła jeszcze ostatnie spojrzenie za siebie, wspięła się na parapet i wyskoczyła w ciemną noc.

Uderzyła ją wszechobecna woń roślin, usłyszała skrzek ropuchy i granie świerszczy, gdzieś w oddali zabrzmiał klakson.

Przebiegła przez podwórko i przeskoczyła żywopłot, który dzielił ich dom od posesji Johnsonów. Samochód wyjechał z bocznej ulicy, kapiąc ją w świetle reflektorów. Andie zamarła, bala się, że pani Blum, pielęgniar-

ka z trzeciej zmiany szpitala w Thistledown, zobaczy ją i zawoła Marge. Ale pani Blum ruszyła przed siebie. To samo zrobiła Andie.

Po kilku sekundach znalazła się pod oknem sypialni Raven. Rzuciła w nie kamykami, modląc się w duchu, żeby przyjaciółka wyjrzała. Ileż to razy Raven przychodziła pod jej okno, szukając pociechy! Teraz ona miała problem. Po raz pierwszy jej dom nie był ani bezpiecznym, ani szczęśliwym miejscem. Przestał być doskonały. I po raz pierwszy Andie zapragnęła znaleźć się gdzie indziej.

Zobaczywszy twarz przyjaciółki w oknie, Andie rozbeczała się.

Zaniepokojona Raven otworzyła okno.

- Andie? - powiedziała szeptem. - Co się stało?

- Moi rodzice... moi rodzice się rozchodzą.

- Żartujesz. - Raven potrząsnęła głową z niedowierzaniem. - Twój rodzice?

- Tak... - Andie nie mogła wydobyć z siebie głosu. - Mój tata... opuszcza nas.

Raven wychyliła się.

- Zaczekaj. — Lekki wiatr zwiewał na jej twarz jasne włosy, które odgarnęła gwałtownym ruchem. - Nie odchodź, zaraz zejdę do ciebie.

Po paru minutach Raven wyszła z domu i serdecznie objęła Andie.

- Jak to możliwe? Po prostu nie wierzę. Andie położyła policzek na jej ramieniu.

- No to lepiej uwierz. Zwołał dzisiaj specjalne zebranie, żeby nas obłudnie zapewnić, jak bardzo nas kocha. - Grzbietem dłoni wytarła nos. - Dopiero później poznałam całą prawdę. Od dawna zdradzał mamę.

Raven osłupiała.

- Twój ojciec?

- Ze swoją sekretarką.
  - Z tą durną cizią? Ona jest podobna... do lalki Barbie. Twoja mama wygląda o niebo lepiej.
- Andie osunęła się na ziemię i schowała twarz w dłoniach.
- Tak okropnie się czuję. Naprawdę nie wiem, co robić.
- Raven przysiadła obok, obejmując przyjaciółkę opiekuńczym gestem.
- Wszystko się ułoży.
  - Jak ty sobie dałaś radę, kiedy odeszła twoja mama? Ja chyba umrę.
- Raven milczała chwilę, zatopiona we własnych wspomnieniach, potem odchrząknęła i rzekła:
- Wiesz, co myślę? Rodzice są do niczego, zwłaszcza ojcowie.
  - A mnie się zawsze zdawało, że mam najlepszą rodzinę na świecie. Do głowy by mi nie przyszło, że tata może zrobić...
  - Coś złego - odpowiedziała Raven, a Andie przytaknęła ze smutkiem. - Był dla ciebie ideałem, bohaterem, kimś naprawdę ważnym, najważniejszym na całym świecie.
- Gdy mówiła, w jej głosie pojawił się dziwny ton, małosłowny, wręcz ohydny. Andie była zaszokowana, nie poznawała swojej przyjaciółki, nie mogła pojąć, do czego zmierza ani o co Jej chodzi.
- Rave?
- Ich oczy spotkały się.
- A tymczasem to żaden bohater, tylko jeszcze jeden drań.
- Andie odwróciła się. To zbyt straszne, by mogła tak myśleć o swoim ojcu.
- Chodźmy po Julie.



- Julie?

- Czemu nie? - Raven uśmiechnęła się. - Pieprzyć ich wszystkich.

Wynośmy się stąd.

- A twoja noga? Już cię nie boli?

Raven spojrzała na zabandażowane kolano i wzruszyła ramionami.

- Boli. No to co? Najwyżej pęknie mi parę szwów.

- Dużo ich masz? - z lękiem zapytała Andie.

- Dwadzieścia, to było jednak głębokie cięcie. Szkoda, że nie widziałas mojego ojca, całkiem zzieleniał i musiał wyjść z pokoju, jak mi je zakładali. - Potrząsnęła głową. - Mam chyba jakieś ponadludzkie siły. Mój własny ojciec kompletnie zzieleniał! Nie do wiary. - Podniosła się i energicznie wyciągnęła rękę. - Wstawaj.

Andie pokręciła głową.

- Nie chcę, żeby znów coś ci się stało.

- To dla twojego dobra, nie rozumiesz? W takiej sprawie nic innego się nie liczy.

Andie zgodziła się tym razem bez słowa. Wiedziała też z góry, dokąd się udadzą, kiedy wyciągną Julie. Pójdą do opuszczonej szopy na skraju pola Trenta. Odkryły ją dwa lata wcześniej podczas wakacji i z miejsca zawłaszczyły to miejsce na specjalne okazje. Pokochały niedużą, zapuszczoną szopę, w której unosił się słaby zapach oleju, bo należała wyłącznie do nich. Mogły tam spotykać się i bez żadnych zahamowań być sobą, z dala od szpiegujących oczu rodziców i namolnego rodzeństwa.

Julie mieszkała na Mockingbird Lane, trzy przecznice za Andie i Raven, w drugiej części osiedla Happy Hollow. Przyjaciółki bezpiecznie przemierzyły kilka ulic, choć tak naprawdę nie powinny się obawiać, że ktoś je nakryje. Ulice o tej porze były puste, a zamknięte

na cztery spusty domy spowijała nieprzenikniona ciemność.

Andie dziwnie zaniepokoiła ta cisza. Objęła spojrzeniem ulicę, przy której mieszkała Julie, rząd domów z nienaturalnie pustymi oknami. Od czasu gdy R.H. Rawlings, właściciel fabryki maszyn i jeden z większych pracodawców w mieście, przed pół rokiem zamknął swój zakład, prawie połowa domów w tej części osiedla gwałtownie opustoszała, oczekując na nowych nabywców lub wynajem.

Tylko trzy domy na Mockingbird Lane były zamieszkałe, a większość pozostałych należała wciąż do firmy budowlanej Sadler Construction. Andie słyszała kiedyś, jak ojciec mówił, że dobrze mieć takie głębokie kieszenie jak pan Sadler.

- Wiesz, mam stracha - szepnęła. - Mam wrażenie, że te wszystkie domy patrzą na nas.

- Nikt w nich nie mieszka, to kto miałby nam się przyglądać?

Andie zbliżyła się do przyjaciółki.

- Tylko tak się mówi, że nikogo tam nie ma. Przecież łatwo się do nich dostać.

- Po co? Żeby polować na biedne, naiwne nastolatki? Nie sądzę.

Andie nie zgodziła się z cynizmem przyjaciółki.

- Nigdy nie wiadomo. Spójrz na tamte domy przy końcu ulicy. Za nimi są już tylko pola starego Trenta. A ten na lewo graniczy z leśną działką. -

Andie zadrżała na samą myśl - Nie robi to na tobie wrażenia?

- Nie. - Raven pokręciła głową. - Odpowiada mi, że nikogo tu nie ma.

Przynajmniej żadne stare plotkary nie wściubiają w nasze sprawy swoich ciekawskich nosów, nie wrzeszczą, że przechodzimy przez ich podwórko, i nie grożą wezwaniem rodziców.

Podeszły od tyłu do piętrowego domu Julie o beżowych ścianach i ciemnobrązowych okiennicach. Na górze znajdował się pokój przyjaciółki, a sypialnia rodziców szczęśliwie usytuowana była od frontu. Robiły to nie po raz pierwszy, lecz zachowywały ostrożność. Ojciec Julie był najgorszy ze wszystkich rodziców, bo święcie wierzył w kary, stosowane jako codzienny rytuał oczyszczający. Bez przerwy też dawał córce do zrozumienia, że nieustannie go rozczarowuje.

A kiedy już naprawdę go zawiodła, kazał jej pokutować w sposób, który przerażał Andie. Zmuszał Julie, by godzinami klęczała i studiowała Pismo Święte, poniżał ją publicznie i stosował metody kontroli, do których nie posunąłby się żaden inny rodzic.

Nazywały go z Raven „Dobrym Wielebnym Cooperem”. Uważały, że cierpi on na obsesję grzechu. Na dodatek jego córka wyglądała jak dziewczyna z rozkładówki „Playboya”, a nie jak normalna piętnastolatka, co tylko pogarszało sprawę. Julie zasługuje na lepszego ojca niż ten szaleniec, myślała Andie. Gdyby tylko jej przyjaciółka potrafiła to zrozumieć...

Raven podniosła kilka kamyków i zaczęła nimi rzucać w okno Julie, która pokazała się po paru chwilach.

- Co tam robicie? - szepnęła, zerkając nerwowo przez ramię.

Raven wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

- Zejdź, to się dowiesz.

- No, nie wiem. - Julie znowu spojrzała za siebie. - Tato był dzisiaj okropnie podejrzliwy. Kiedy poszłyście, zadawał mi setki pytań. Potem musieliśmy zmówić modlitwę w intencji czystości i przebaczenia. -

Podniosła wyżej żaluzję i wychyliła się, mrużąc oczy, bo była bez okularów. - Jak twoja noga?

- Boli. Ale to nic wielkiego.

- Ma dwadzieścia szwów - oznajmiła Andie.  
- Dwadzieścia? - Julie wytrzeszczyła oczy. - O rety!  
- Już dobra, złaż. - Raven wsadziła ręce do tylnych kieszeni. - Wielebny i tak zleje ci tyłek, bo zawsze znajdzie jakiś powód.  
Julie szybko odgarnęła z twarzy miodowe włosy i uśmiechnęła się.  
- Jedną sekundkę.  
Mniej więcej po minucie Julie znowu pojawiła się w oknie. Dala im znak, że wszystko w porządku i po chwili wyszła z domu, zamykając za sobą drzwi.  
- Rodzice Andie rozchodzą się - oświadczyła Raven bez zbędnych wstępów.  
- O Boże! - Julie okręciła się, żeby spojrzeć na przyjaciółkę. - To niemożliwe, twoi rodzice?  
Z oczu Andie znów polały się łzy.  
- Powiadomił nas o tym dziś wieczorem. Tata., zdradza mamę ze swoją sekretarką.  
- Nie mów! Z tą małą blondynką? Andie przytakiwała milcząco.  
- Jejku, wierzyć się nie chce. Zawsze mi się zdawało że twoi rodzice są idealną parą, jak z telewizji. I tak strasznie zazdrościłam ci twojego taty. Andie rozryczała się na dobre.  
- Brawo, Julie, patrz, co narobiłaś.  
- Nie chciałam.  
- Ale ci się udało. Jezu! Andie próbowała uśmiechnąć się przez łzy.  
- To nie wina Julie, jestem po prostu przygnębiona.  
- Chodźmy stąd-rzekła Raven.-Zanim ojciec Julie albo jeden z jej braciszków skarżypytów wstanie się wysikać i nas zobaczy.  
Ruszyły p\_rzed siebie, trzymając się w cieniu, dopóki nie oddaliły się na bezpieczną odległość.

- Zaczekajcie - odezwała się Andie, kiedy zbliżyły się do końca ślepego zaułka. - Słyszycie?

- Co?

- Muzykę. Cii... tam. Dziewczyny nadstawiły uszu.

- Gdzie to gra? - spytała Julie.

Stały między czterema opustoszałymi domami. Andie wyteżyła słuch, żeby zlokalizować źródło cichej muzyki, która płynęła przez noc i nagle zgasła. Były to dziwne, niepokojące dźwięki, powolny rytm, jakby mozolnie posuwający się naprzód.

- Skąd tu muzyka?

Julie obejrzała się na stojące za nimi domy. W żadnym oknie nie było światła.

- Wszyscy śpią.

- My nie. - Raven zachichotała. - Opanujcie się. To musi być gdzieś dalej. W nocy dźwięki łatwiej się rozchodzą. - Skrzywiła się. - Już ja coś o tym wiem, kłótnie moich rodziców stały się wprost legendarne.

- Fakt - roześmiała się Andie, chociaż czuła, że oddech jej się rwie. - Mam bujną wyobraźnię.

- A jednak skóra mi cierpnie - rzekła Julie. ~ W takiej ciszy wszystko wydaje się...

Raven parsknęła śmiechem.

- Przestańcie! Ale z was tchórzliwe baby. Za mną! Lekko kulejąc, ruszyła do przodu, a przyjaciółki za

nią. Minęły podwórko ostatniego domu i zanurzyły się w małym zagajniku, który dzielił Happy Hollow od farmy Trenta. Na otwartej przestrzeni widoczność była lepsza. Ich szopa wystawała na płaskim, pustym terenie.

Zamiast jednak wejść do środka, gdy już do niej dotarły, wspięły się na metalowy dach, położyły się i patrzyły na czarne aksamitne niebo. Czas płynął, żadna się nie odezwała. Gdzieś w oddali zaszczekał pies.

- Jak pięknie - zamruczała wreszcie Julie.

- I jak spokojnie - dodała Raven.

Andie, głęboko oddychając, splotła ręce pod głową.

- Wydaje się, że nie ma nikogo oprócz nas w całym wszechświecie. Tylko my i gwiazdy.

- A gdyby tak było? - rozmarzyła się Raven. - Żadnych głupich rodziców. Wreszcie nikt nie mówiłby nam, co i jak mamy robić.

- Gdybyśmy były same - mówiła Andie - nie byłabym teraz taka smutna.

- A chłopcy?

Andie i Raven wymieniły spojrzenia i wybuchły niepohamowanym śmiechem.

- Zostawiamy ci ich, Julie.

- Bo ja wiem - mruknęła rozdrażniona. - Powinniśmy mieć chłopców.

Może wy potraficie bez nich się obejść... ale, wiecie, ja nie bardzo.

- Mnie tam bez różnicy - oznajmiła gwałtownie Raven. - Chłopcy wyrastają na mężczyzn i stają się tacy, jak twój ojciec albo jak mój. - Była zde gustowana. - Wielkie dzięki.

Andie spojrzała na nią.

- Przecież mogą być inni.

- Tak? - Raven zmarszczyła brwi. - No to zapytaj o to swoją mamę.

Przyjaciółki zamilkły na dłuższą chwilę, wreszcie Raven wyciągnęła rękę i lekko dotknęła ramienia Andie.

- Przepraszam.

- W porządku.

Raven wsparła się na łokciu.

- Myślałyście kiedyś o przyszłości? Gdzie wtedy będziemy? Co będziemy robić?

- Ja będę w college'u - oznajmiła Andie.

- Razem tam będziemy - dodała Julie.  
- Ale potem. Kim chcecie być? Wyobrażacie sobie swoje dorosłe życie?  
- To proste - powiedziała Julie. - Ja chcę być popularna, tak na serio.  
Wcale się tego nie wstydzę. Nie czułabym się winna, gdybym stała się piękną kobietą, mogła się dobrze bawić i wychodzić gdzieś co wieczór.  
Raven usiadła i podciągnęła kolana pod brodę.  
- A ja chciałabym mówić, jak ma być, i żeby wszyscy mnie słuchali.  
- Zostaniesz pierwszą kobietą prezydentem. Twoja podobizna znajdzie się na znaczkach pocztowych.  
- Moja twarz? Żeby straszyć dzieci?  
- Przestań. - Andie zrobiło się żal przyjaciółki. - Jesteś wspaniała. A chłopcy nazywają cię tak głupio, bo nie jesteś łatwa. Chcieliby wleźć ci do majtek, a ty im nie dajesz.  
Zapadła cisza. Raven odchrząknęła.  
- Naprawdę tak myślisz?  
- Inaczej bym tego nie mówiła.  
- To fajnie. - Rozpromieniła się i uniosła dumnie głowę. - Przyjmuję twoją prezydencką nominację, Julie.  
Julie przechyliła się w stronę Andie.  
- A ty? Czego pragniesz?  
Łzy nie pozwalały jej mówić, zniekształcały słowa.  
- Chcę mieć z powrotem rodzinę, pełną rodzinę... - Mówiła zduszonym głosem. - Kiedyś wyobrażałam sobie, że w przyszłości wyjdę za mąż za kogoś takiego, jak mój tata. Myślałam, że... - Przerwała i usiadła, obejmując ramionami podciągnięte kolana. - Słyszałam, że ludziom przytrafiają się różne złe rzeczy, ale nigdy nie przypuszczałam, by miało to dotyczyć mojej rodziny. Zdawało mi się, że... że jesteśmy chronieni, wyjątkowi. - Odwróciła się do przyjaciółek. - Jak tata mógł

nam to zrobić? Mnie? Mamie? Pete'owi i Danny'emu? - Głos jej się załamał. - Jak? Raven objęła ją.

- Będzie dobrze. Julie zrobiła to samo.

- Zobaczysz, że jakoś się ułoży.

- Nie. - Andie zabrakło nadziei. - Czuję, że już nic nie będzie dobrze. Coś się skończyło i nigdy nie wróci. Jakbym znalazła się w innym, złym świecie.

- Masz jeszcze nas. Pamiętaj, to się nie zmieniło.

- No właśnie. - Julie oparła głowę o skroń Andie.

— Kochamy cię.

Dziewczyna wyciągnęła rękę, łzy szczypały jej powieki.

- Najlepsze przyjaciółki.

Julie położyła dłoń na rękę Andie.

- Więcej niż rodzina.

- Zawsze razem - dorzuciła Raven, przykrywając ich dłonie, swoimi. -

Jesteśmy nierozłączną trójką.

- I zawsze będziemy najlepszymi przyjaciółkami

- powtórzyły zgodnym chórem.



## **ROZDZIAŁ CZWARTY**

Kolejne dwa tygodnie upłynęły Andie w zmiennym nastroju. Ataki złości przeplatały się z czarną rozpaczą, paniką i poczuciem zdrady.

Ojciec wyniósł się na dobre. Jego ubrania, książki, kije do golfa i tenisowe rakiety, wszystko to bezpowrotnie znikło. Matka schowała rodzinne fotografie, na których się znajdował, i opróżniła spiżarnię oraz lodówkę z produktów, które tylko on jadał.

Po kilku dniach nie było w domu śladu po ojcu, jakby nigdy tu nie mieszkał.

Pozostał za to w pamięci i sercu Andie. Nie zdawała sobie dotąd sprawy z tego, jak bardzo odciska się obecność człowieka w jakimś miejscu. Bez ojca dom wydawał się zupełnie pusty, cichy i smutny. Zmienił się nawet zapach.

Ten dom przestał być domem.

Andie widywała się z ojcem w czasie weekendów, wiedziała, że zależy mu na dobrych kontaktach z nią i jej braćmi, mimo to nic nie było już takie samo. Tęskniła za nim, za jego bliskością, mimo że tak bardzo ją zranił i rozzłościł. Brakowało jego głosu, którym wieczorami ogłaszał wszem i wobec swój powrót z pracy, jego wybuchów śmiechu, gdy mocował się z bliźniakami,

poczucia bezpieczeństwa, które zapewniała sama jego obecność. Dopóki był, nie miała pojęcia, że tyle jej dawał. Odejście Dana spowodowało ogromną wyrwę w jej życiu, pustkę tak bolesną, że chwilami nie pozwalała oddychać.

Danny i Pete czuli się podobnie. Stracili grunt pod nogami, nie byli już tacy jak dawniej. To ponad miarę rozrabiali i robili mnóstwo hałasu, to zapadali w ciszę i bezruch. Matkę ogarnęła głęboka apatia. Z rzadka wstawała z łóżka, przestała interesować się dziećmi, przyjaciółmi, jedzeniem, porzuciła wszystkie zajęcia, którym do niedawna oddawała się z taką energią.

W ten sposób Andie straciła nie tylko ojca, ale **1** matkę.

Robiła wszystko, co w jej mocy, żeby pomóc Marge. Nie wspominała o ojcu, nie zdradzała się z własną rozpaczą i strachem. Sprzątała, pomagała w kuchni i zajmowała się braćmi.

Raven i Julie także zabrały się dziarsko do roboty. Piekły ciastka, słały łóżka i odkurzały w domu Andie, biegały do sklepu, kiedy tylko przyjaciółce zabrakło chleba, mleka czy masła orzechowego. Były jej podporą, czymś stałym i niezmiennym. W ich towarzystwie dziewczyna potrafiła się śmiać, mogła dzielić z nimi radości i smutki. Teraz dopiero Andie zrozumiała, jakie spustoszenie w duszy i życiu Raven spowodowało odejście jej matki, po raz pierwszy też naprawdę pojęła, skąd wzięła się jej zawzięta lojalność w przyjaźni.

Raven i Julie stały się teraz jej prawdziwą rodziną.

- Andie? Andie, w porządku?

Spojrzała najpierw na jedną, potem na drugą przyjaciółkę. Siedziały na łóżku Raven, słuchając muzyki i zajadając chipsy, i patrzyły na nią z troską. Andie odwróciła wzrok, żeby ukryć niespodziewane łzy, zdu-

miona, że dwa tygodnie po odejściu ojca ciągle za nim beczy. Po chwili dzielnie uniosła głowę.

- Mama i ja... pojechałyśmy wczoraj z mamą do centrum kupić nową pościel. Nie chce spać... w starej.

- Rozumiem ją. - Julie zadygotała. - Też bym nie chciała, to zbyt ponure.

- Chodzi o to - ciągnęła Andie - że kiedy zatrzymałyśmy się na światłach koło McDonalda i ja... my... - Gardło na dobre jej się zacisnęło, musiała odczekać. Złożyła dłonie. - Zobaczyłyśmy go w samochodzie obok. Z nią.

Dziewczynki zapiszczały z niedowierzaniem.

- Coś ty?!

- Oni... ona... siedziała na nim. No wiecie, całowała go i... - Andie nie mogła wykrztusić nic więcej, tylko zakryła oczy dłońmi, żeby wymazać obraz ojca z Leezą. - Jak on może całować jakąś obcą kobietę? To nie w porządku.

- To obrzydliwe! - Julie usiadła oburzona. - Wciąż nie mieści mi się to w głowie.

- To nie jego wina - stwierdziła nagle Raven, zważając oczy. - To ta Barbie go wam ukradła.

- Nienawidzę jej - oznajmiła Andie. - Chciałabym, żeby umarła.

Raven popatrzyła na nie.

- To oszustka, złodziejska mała suka. Zasłużyła sobie na karę. Musimy wymyślić jakiś plan.

Julie wychyliła się.

- Ukarać ją? Ale jak? Andie zdenerwowała się.

- Rave, gdzie ty żyjesz? Mogę sobie fantazjować, że smażę tę dziwkę na gorącym oleju, ale fakt pozostaje faktem. Ojciec zostawił mamę, zostawił mnie i moich braci. Bez jego zgody i udziału nic by się nie stało.

Raven nie mogła się z tym zgodzić.

- Ukradła go, Andie, co się nie dzieje tak sobie. Zaczaiła się na niego i... hyc!

Andie przypomniało się, jak nieraz wstępowała do biura ojca, sama, z mamą lub z braćmi. Leeza, która zawsze nosiła krótkie sukienki i obcisłe bluzki, nieustannie kręciła się wokół szefa, jakby chciała zasłonić go przed jego rodziną. Jakby to ona była żoną, a Marge jakimś natrętnym babsztylem. Andie czuła się dziwnie zażenowana, gdy Leeza patrzyła na ojca spod swoich ciemnych rzęs albo lekko i pieśczośliwie dotykała jego ręki.

W Andie aż się zagotowało. Raven ma rację, pomyślała, Leeza zaplanowała sobie tę kradzież.

- Jak się do niej dobierzemy?

- Możemy zaatakować jej dom - zaproponowała Julie, sięgając po garść chipsów do torebki, która leżała między nimi na łóżku. - Albo obrzucić go jajkami.

- To za mało - oznajmiła Raven.

- Masz lepszy pomysł? Raven uśmiechnęła się chytrze.

- Możemy walnąć ją w głowę i pogrzebać.

Julie nieomal zadławiła się chipsem. Andie poklepała ją po plecach, wytrzeszczając równocześnie oczy na Raven.

- Bardzo śmieszne.

- Tak tylko sobie pomyślałam. - Raven oparła brodę na pięści. - Muszę to jeszcze przemyśleć.

- Czekaście! - Julie wygarnęła kolejną garść chipsów. - Czy ona nie ma takiego małego sportowego wozu?

Kiedyś Andie podziwiała ten samochód i życzyła ojcu, żeby stać go było na taki sam. Teraz pewnie może sobie nim jeździć do woli. Nienawiść rozpalala jej wnętrzności.

- To czerwony fiat. Ta suka podnosi dach tylko wtedy, kiedy pada.  
Szpanuje na ostrą superlalnę.  
- Wiesz, gdzie parkuje?  
- Przy biurze ojca. Z tyłu, w cieniu pod drzewami. Julie chichotała, zacierając ręce.  
- Wypuścimy jej powietrze z opon.  
- Nie tak szybko - przystopowała ją Raven. - To ma naprawdę dać jej w kość, a co najmniej śmiertelnie ją przestraszyć. W końcu chyba na to zasłużyła, a jak jej zrobimy kiche, to zmieni koło, a jak porysujemy lakier, to sobie zaraz odmaluje.  
- Zapomnijmy o tym - poprosiła Andie, bo żołądek rozbolał ją na dobre. - I tak nic nie zrobimy, a takie gadanie... - Nerwowo westchnęła. - Lepiej porozmawiajmy o czym innym, dobra?  
I tak też się stało. Dziewczęta zajęły się zbliżającą się imprezą, zastanawiały się, w co się ubiorą, pogadały o nowej płycie Michaela Jacksona, obsmarowały też różnych chłopaków, a zwłaszcza Ryana Tolbera. Przyjaciółki tłumaczyły Julie, dlaczego nie powinna do niego dzwonić.  
Nagle Julie wyprostowała się.  
- O mały włos zapomniałabym wam powiedzieć! Ta muzyka, no wiecie, znowu ją słyszałam.  
- Jaka muzyka? - spytała Andie, przewracając się na bok, żeby sprawdzić godzinę na budziku.  
- No ta, którą słyszałyśmy tamtej nocy.  
Andie stwierdziła, że czas do domu, musiała bowiem sprawdzić, czy bliźniacy położyli się spać. Zaczęła się zbierać.  
- Znowu ją słyszałam - upierała się Julie. - Wczoraj, kiedy szłam do Toto. Nie sądzicie, że to dziwne?  
- Ty sama jesteś dziwna - rzekła Raven, rzucając w nią poduszką. - Muzyka w pustym domu! Nie

zdziwiłabym się, gdybyś powiedziała, że uprowadzili cię kosmici! I że świetnie całują.

- To prawda! - Śmiejąc się serdecznie, Julie odrzuciła poduszkę. - Świetnie całują!

W następnej chwili poduszka trafiła w twarz zdezorientowanej Andie, która aż zapiszczała i przysiadła, lecz szybko odzyskała równowagę. Rozpoczęła się regularna bitwa. Dziewczyny ciskały poduszkami i śmiały się do rozpuku. Raven waliła bez uprzedzenia, a przy ostatnim rzucie jej poduszka rozdarła się i w górę poleciały pióra.

Pół godziny później, uśmiechając się pod nosem, Andie wędrowała do siebie przez podwórko Raven. Kiedy przekradała się przez kawałek wolnej przestrzeni pomiędzy oddzielającymi dwie posesje krzewami oleandrów, ulicą przejechał samochód, a przez jego otwarte okna płynęła muzyka. Andie przystanąła, wsłuchując się w gasnące szybko dźwięki. Pomyślała o Julie, która wspomniała o tajemniczej muzyce rozbrzmiewającej na jej cichej uliczce.

Sama nie wiedząc dlaczego, Andie przestraszyła się. Było w tym coś niedobrego, wręcz złowróbnego. Poczowała dreszcze, ale zaraz skarciła się za głupotę i ruszyła dalej. Zachowuję się jak skończona idiotka, pomyślała. Ostatecznie, cóż w tym dziwnego, że dwukrotnie zabrzmiała ta sama muzyka z niewiadomego źródła? To wcale nie jest niesamowite. A jeśli jest? Znów poczuła dreszcz niepokoju. Może jednak nie były to zwidy czy też wybryki wyobraźni, tylko ktoś rzeczywiście przebywał w jednym z opuszczonych domów?

## **ROZDZIAŁ PIĄTY**

- Myślałam o tym, co powiedziała Julie. No wiesz, o tej muzyce - rzekła cicho Raven dwa wieczory później, kiedy przyjaciółki siedziały na łóżku Andie z nowym numerem „Cosmopolitan” i sześcioma buteleczkami lakieru do paznokci w różnych odcieniach różu, od bladego do bardzo jaskrawego. - Coś mi się tu nie podoba.

Andie sięgnęła po „Różowy blask”, pomalowała paznokieć kciuka i zaczęła dmuchać, żeby go wysuszyć.

- Zgadzam się. Jeżeli coś pojawia się dwa razy, to musi w tym być coś więcej niż przypadek. - Odsunęła nieco dłoń, żeby sprawdzić efekt, i zmarszczyła brwi. - Ciekawe, dlaczego uważa się, że dziewczyny powinny malować paznokcie na różowo?

- Tak po prostu jest - stwierdziła Julie, przesuwając okulary na właściwe miejsce na nosie. - Różowy to kolor dziewczyn, a niebieski chłopców.

- Chyba tak. - Andie nie spodobał się wybrany odcień, więc postanowiła zmyć lakier.

- Słuchajcie. - Raven zniecierpliwiła się. - A jeśli ktoś nielegalnie przebywa w jednym z tych domów?

Andie spojrzała na nią.

- Co by tam robił?

- Nie wiem, oto jest pytanie.

Julie przeszła je piorunującym wzrokiem.

- Chyba chcecie, żebym umarła ze strachu. Zapomniałyście, że mieszkam na tej ulicy?

- No tak. - Raven usiadła prosto. - Powinniśmy to sprawdzić.

- Teraz? - Julie wyciągnęła dłonie. - Paznokcie mi jeszcze nie wyschły.

- I tak ojciec każe ci je zaraz zmyć. - Raven spojrzała na przyjaciółkę. - Zresztą, co innego mamy do roboty?

- Chyba nic. - Andie zwróciła się do Julie. - A ty co myślisz?

Julie wzruszyła ramionami.

- Dobra, i tak muszę być w domu za godzinę. Powiedziały mamie Andie, że przenoszą się do Julie.

Poszły na skróty przez kilka podwórek, omijając pewnego wyjątkowo podłego dobermana oraz odciągając Julie od kilku chłopaków, aż wreszcie znalazły się na Mockingbird Lane.

Dotarły do końca zaułka i wpatrzyły się w cztery puste domy.

- Ale zabawa - szepnęła Andie. - Co zrobimy, jak coś znajdziemy?

Julie zachichotała nerwowo.

- Chyba się posikam. Andie zerknęła na Raven.

- Jak myślisz, w którym domu grała muzyka?

Dziewczyna skupiła się, przymykając oczy. Wszystkie budynki były pogrążone w ciemności, z ich okien wiało nieziemską pustką, przed każdym z nich stała tablica z napisem: „Na sprzedaż”. Budynki były średniej wielkości, za to oferowały lokatorom nowoczesne wyposażenie, wszelkie możliwe udogodnienia oraz ciekawą kolorystykę. Posesje wokół nich także nie były



duże, lecz postarano się zostawić możliwie dużo starych drzew, co stwarzało pozory, że dzielnica jest bogatsza niż w rzeczywistości i bardziej zasiedziała.

- Tam - Raven wskazała na najbardziej odsunięty dom. - Za nim nic już nie ma. Zobaczcie - dodała

- latarnia tam się nie pali. Gdybym miała jakieś złe zamiary, na pewno wybrałabym tamten dom.

Przyjaciółki zgodziły się półgłosem i ruszyły za nią. Rzucając niespokojne spojrzenia, dostały się na tyły domu. Gdy Julie lekko stuknęła Andie palcem w plecy, dziewczyna podskoczyła.

- Rany! - szepnęła. Położyła dłoń na sercu i syknęła:

- Przestań, bo ja...

- Ciii... - Raven przywołała je do porządku. - Posłuchajcie.

Serce Andie waliło jak młotem. Po chwili nachyliła się ku Raven.

- Nic nie słyszę.

Julie zbliżyła się do nich.

- Ani ja.

Raven cicho się roześmiała.

- Chodźmy.

Podkraśli się pod pierwsze okno i zajrzały do środka. Pokój, przeznaczony najprawdopodobniej na sypialnię, był pusty. Przesunęły się do następnego okna, potem jeszcze do następnego, wszędzie z podobnym rezultatem. Pralnia, jadalnia, kuchnia-wszystko świeciło pustkami.

I nagle spotkała je nagroda. Krzesło. Pojedyncze drewniane krzesło z wysokim oparciem, takie, jakie stoją przy biurku czy przy stole w jadalni. Tyle że nie było tu ani stołu, ani biurka, nie było telewizora ani lampy, zupełnie niczego poza tym krzesłem.

Wyglądało dziwnie niezmiernie, jakby było centrum wszechświata. Andie przechyliła głowę. Nie, nie

centrum, teraz skojarzyło jej się to z pustą teatralną widownią. Zadrzała.

- Tak, to ten, założę się.

- Ja też. - Raven odwróciła się do Julie. - Jesteś pewna, że nikt go nie kupił?

- Na sto procent. Mama rozmawiała o nim z panią Green parę tygodni temu. Żaden z tych czterech domów nie znalazł kupca. Pani Green była naprawdę wściekła, bo jej mąż może dostać przeniesienie, i ona boi się, że nie sprzedadzą swojego domu. - Julie złapała oddech. - Poza tym same widzicie ten napis: „Na sprzedaż”.

- Co teraz? - wyszeptała Andie. - Jeden mebel nie świadczy o tym, że zaczął się tam morderca z siekierą.

- Spróbujmy otworzyć drzwi.

Andie wstrzymała oddech. Okazało się, że drzwi są zamknięte na klucz. Okien także nie dało się z otworzyć.

- Chodźmy stąd, Raven. - Andie rozejrzała się nerwowo. - To nie jest dobry pomysł.

- Sekundkę. - Raven wspięła się na palce i przesunęła dłonią nad drzwiami. - Bingo! - powiedziała, trzymając klucz.

- Gdzie się tego nauczyłaś? - Zdumiona Andie pokręciła głową. - Czy to nie jest przestępstwo?

- Przestępstwo? - Raven uniosła brwi. - Mamy klucz, więc się nie włamujemy.

- Pełno ludzi ogląda domy na sprzedaż - wtrąciła Julie. - Nic więcej nie robimy.

Gdy Raven włożyła klucz do zamka, Andie się odsunęła.

- A jeśli ktoś tu jednak mieszka? Jeżeli jest w domu? Raven spojrzała na nią znacząco.

- Akurat. Jak cię strach obleciał, zostań tu, a my z Julie wejdziemy do środka. Wchodzisz ze mną? - upewniła się, podnosząc wzrok na Julie.

Gdy przyjaciółka przytaknęła, Raven otworzyła drzwi.

Andie patrzyła na nie, jak znikają w drzwiach, a potem w głębi domu. Czekwała z walącym sercem, a czas ciągnął się przerażająco powoli. Co one tam robią? Co tam zobaczyły?

- Dziewczyny - szepnęła. - Co się dzieje?

Nie było odpowiedzi. Andie zbliżyła się do drzwi, wyęzając słuch. Kiedy w dalszym ciągu nic nie słyszała, zajrzała do środka. Wciąż nic. Raven nieraz nazywała ją „cykorem” i teraz musiała przyznać jej rację. Zrobiło jej się wstyd. Przemogła strach i weszła do środka.

Drzwi otwierały się na kuchnię, sąsiadującą z pokojem, w którym stało owo nieszczęsne krzesło. Za nim była jadalnia. Hol prowadził do pomieszczeń, które Andie uznała za sypialnie.

Dziwnie, pomyślała, bo ze strachu zrobiło jej się zimno. Dom niby był pusty, ale miał w sobie jakieś echo życia. Dostrzegła opakowanie po jedzeniu na wynos, filiżanki w zlewozmywaku, usłyszała szum wentylatora.

- Rave? - Zawołała półgłosem. - Julie?

.- Tu jesteśmy - odparła Raven. - Zobacz, co znalazłyśmy.

Andie ruszyła w głąb holu i odnalazła przyjaciółki w głównej sypialni. Był to duży pokój ze sklepionym sufitem i wyeksponowanymi drewnianymi belkami. Brakowało w nim łóżka, stały tam tylko pufy i stolik. Oraz całkiem przyzwoita wieża. Andie kucnęła przy niej i otworzyła przegródkę na kasety. Była pusta.

- Jest sprzęt. - Julie spojrzała na przyjaciółki. - To stąd się wzięła ta muzyka. Jednak ktoś bywa w tym domu.

- Ale w jakim celu? - Andie pokręciła głową. - Czegoś tu nie rozumiem. Nie podoba mi się to.

- Nie ma żartów. Lepiej się stąd zmywajmy. Wystartowały z powrotem do kuchni. Andie wsadziła po drodze głowę do łazienki. I w niej były ślady po tajemniczym lokatorze: zasłona prysznicowa, kubek na umywalce. Brakowało tylko ręczników i przyborów toaletowych.

Kiedy znalazły się w kuchni, Julie trzęsła się jak galareta.

- Zupełnie jakby tu mieszkał nie człowiek, ale jakiś... duch.

- Duch? - powtórzyła Raven, wskazując na papierową torebkę z McDonalda. - Otrząśnij się, w tym domu przemieszkuje ktoś z krwi i kości.

Ta perspektywa jeszcze bardziej przeraziła Andie. Dziewczyna skierowała kroki do cicho pomrukującej lodówki, otworzyła ją i zbadła jej wnętrze. W środku znalazła butelkę wina, sześć puszek piwa, reszkę sera i kiść winogron.

Raven zajrzała jej przez ramię i ucieszyła się.

- Piwko?

- O nie, nawet nie próbuj. Jeśli weźmiesz choć jedno, od razu się domyślą, że ktoś tu był.

- To co? - Raven wyciągnęła rękę. - Przecież nie będą wiedzieć, że to akurat my... - Zamilkła i ściągnęła brwi. - Co to za hałas? Całkiem jakby... Wszystkie trzy zastygły, uświadamiając sobie, co się dzieje. To był odgłos automatycznej bramy do garażu, która właśnie się otwierała.

- Cholera. - Andie spojrzała na przyjaciółki. Tym razem otworzyły się i zatrzasnęły drzwi samochodu. - Co robimy?

- Chowamy się - zdążyła powiedzieć, a właściwie zaskrzypieć ze strachu Raven. - I to już!

Andie rozglądała się jak oszalała. Złapała rękę Julie

i rzuciła się w stronę spiżarni. Wepchnęła tam przyjaciółkę i wcisnęła się za nią, nie mając już czasu, żeby szczelnie zamknąć drzwi, bo do kuchni wszedł jakiś mężczyzna. Andie przytrzymała gałkę u drzwi, żeby ich ruch nie zdradził, że ktoś się za nimi ukrył, natomiast zupełnie straciła kontrolę nad nieprzytomnym z przerażenia sercem. Przez wąską szparkę mogła obserwować ruchy intruza.

Nie zapalił światła, nie sposób zatem było zobaczyć jego twarzy. Był wysokim szatynem ubranym w luźne, wygodne ubranie - tyle zdołała odgadnąć. Podeszedł do lodówki i otworzył ją. Światło z jej wnętrza zalało ciemną kuchnię, lecz nieznajomy nadal był obrócony plecami. Po chwili dało się słyszeć kliknięcie i syk otwieranej puszek. Pił piwo. Dzięki Bogu, że nie ruszyły puszek, bo natychmiast wiedziałby, że jacyś intruzi są w domu.

Zamknął lodówkę i odwrócił się, wbijając wzrok w spiżarnię. Nawet nie drgnął i zdawało się, że patrzy prosto w oczy Andie. Ruszył w ich stronę. Dziewczyna zamarła. Powstrzymywała oddech, robiło jej się słabo, była przekonana, że następna chwila będzie ostatnią w jej życiu. Zaciskała powieki, krople potu spływały jej po plecach, wślizgując się pod gumkę od majtek. Za nią, na podłodze, poruszyła się Julie.

Nie ruszaj się, Julie, nie oddychaj.

Mężczyzna zatrzymał się o krok od spiżarni. Wyciągnął rękę. Pchnął drzwi, domykając je. Zamek zatrzasnął się.

Nie zobaczył ich.

Dopiero teraz znalazły się w prawdziwej pułapce.

Andie zatkała sobie usta dłonią, żeby nie krzyknąć, ze strachu i ulgi równocześnie. Co teraz? - myślała gorączkowo.

Jej oczy przyzwyczyły się już do ciemności, spojrzała więc na Julie. A gdzie jest Raven?

Oczy Julie były okrągłe ze strachu, rosła w niej histeria. Andie mogła to stwierdzić bez wahania, bo sama czuła się podobnie. Walczyła ze sobą, żeby nie wrzeszczeć co sił. Żeby nie otworzyć ust i nie wyrzucić z siebie pełnego lęku lamentu, i nie wybiec, mijając mężczyznę, który nie wiadomo dlaczego zamieszkał w tym opuszczonym domu. Kim był? Co go tu przygnało? Mógł być człowiekiem poszukującym samotności lub też zbiegiem z więzienia. Mógł być biznesmenem, który zamierzał kupić ten dom, lub też gwałcicielem albo mordercą. Mógł być wszystkim i nikim. Tajemniczy mężczyzna bez twarzy.

Andie nie zaczęła wrzeszczeć, tylko twardo opanowała swoje nerwy.

Podniosła palec do ust, w ten sposób dając Julie znak, by milczała.

Przyjaciółka pokiwała głową i przycisnęła twarz do podciągniętych pod brodę kolan.

Minuty wlokły się jak godziny. Jak wieczność. W spiżarni robiło się coraz ciaśniej i duszniej, jak w grobowcu, jak w hermetycznym pudełku.

Andie zalewał pot, rosło w niej pragnienie krzyku i ucieczki. Nie wiedziała, jak długo jeszcze będzie w stanie to wytrzymać. Policzyła do dziesięciu, potem do dwudziestu, wyrównując na siłę oddech. Powtarzała sobie, że wszystko będzie dobrze. Jeśli ten mężczyzna niczego nie usłyszał, nie ma powodu, żeby zajrzał do spiżarni. Wszystko będzie dobrze, jeżeli będą siedzieć cicho. Raven też nic się nie stanie.

Zamknęła oczy, wyobrażając sobie, jak mężczyzna popija piwo w ciemności. A potem nagle okręca się na pięcie, wyczuwając ich obecność i strach, tak jak drapieżnik wyczuwa swoją ofiarę w dzikiej głuszy.

Metaliczny smak strachu dusił ją jak knebel. Nadstawiała uszu,

zdawało jej się, że słyszy ruchy nieznanego, jego kroki, jego rytmiczny oddech. Mogło to być tylko złudzenie. Wstrzymała oddech i modliła się w duchu.

Proszę, Boże, proszę, niech on stąd odejdzie.

Powtarzała słowa modlitwy tak długo, aż uświadomiła sobie, że wbija paznokcie w skórę dłoni. Jeszcze chwila, a straci przytomność z braku powietrza. W tej samej chwili zdała sobie sprawę z ciszy, która panowała za drzwiami.

Drzwi spiżarni otworzyły się na oścież.

Krzyk Andie rozdarł ciszę.

To była Raven. Andie zaszlochała z nieopanowaną ulgą i wytoczyła się na zewnątrz, a w jej ślad poszła Julie. Padły sobie w ramiona, czepiając się rozpaczliwie jedna drugiej.

- Gdzie byłaś? - płakała Andie. - Tak się martwiłam, że on cię zobaczy.

- Byłam w jadalni. A co z wami?

- W porządku. W po...

- Chcę do domu. - Julie szczykała zębami. Raven chwyciła dłonie Julie i masowała je.

- Co on tu robi?

- Pojęcia nie mam. To było takie nienormalne. On... - Andie ugryzła się w język, lęk nie pozwalał jej oddychać. - Jesteś pewna, że sobie poszedł? Jesteś pewna...

- Poszedł. - Raven pokazała palcem na salon. - Wyszedł tą samą drogą, którą tu wszedł.

Andie spojrzała za palcem przyjaciółki.

- A jeśli wróci? Może tylko gdzieś się schował, zaczął się na nas?

- Po co? - Raven potrząsnęła głową. - Nie, słyszałam bramę do garażu.

Odjechał.

- Chcę stąd wyjść - rzekła znów Julie. Była bliska

rozpaczliwego, histerycznego płaczu. - Nie podoba mi się tu, mógł nam zrobić krzywdę. Andie przytuliła ją.

- W porządku, kochanie. Nie tknął nas. Już go tu nie ma. Wszystko w porządku.

- Ale mógł nam coś zrobić, gdyby nas znalazł, mógł... wszystko. Nikt nie wie, że tu jesteśmy!

- Kto to był? - Raven zadała to pytanie głównie sobie.

Andie odwróciła się do niej.

- Nie widziałam go dokładnie. A ty? Przyjaciółka obrzuciła ją przelotnym spojrzeniem

i potrząsnęła głową.

- Nie widziałaś jego twarzy? Byłam pewna, że widziałaś. Był tuż obok.

- Jest ciemno, a kiedy się zbliżył, domknęłam drzwi. - Andie przycisnęła dłoń do bolącego żołądka. - Zamknęłam też oczy, tak się bałam, że nas odkryje.

- Ja też - przyznała Raven. - Bałam się zaglądać przez drzwi. - Zaśmiała się głośnym, pełnym podniecenia śmiechem. - Ale przygoda. - Znów się roześmiała i podeszła do blatu kuchennego. - Zobaczcie, co zostawił.

Andie zbliżyła się do niej i zobaczyła coś, co wyglądało na dwa zwinięte kawałki materiału.

- Co to jest? - spytała Andie.

- Szaliki.

Raven chciała wziąć jeden z nich do ręki, ale Andie ją powstrzymała.

- Nie dotykaj.

- Dlaczego? Odłożę je z powrotem. - Zrzuciła rękę Andie i sięgnęła po szalik. Był długi, wąski i lekko połyskiwał. - Jaki miękki, zobacz.

Po chwili wahania Andie dotknęła mieniającej się,



delikatnej materii, która prześlizgiwała się między palcami.

- Mama ma podobny szal. To jedwab.

- Jedwab - powtórzyła Raven. - Po co je tu przyniósł? - Spotkała wzrok Andie. - Kto to jest, Andie? Co

on tu robi?

Andie wpatrywała się w oczy przyjaciółki.

- Nie wiem. I chyba nie powinnyśmy się tego dowiadywać.

Julie podeszła do nich biała jak ściana.

- Niedobrze mi, chcę wyjść.

Andie pokiwała głową i szturchnęła Raven, która znów skupiła się na szaliku. Przyglądała mu się z dziwną, nienaturalną fascynacją.

Wyglądała, jakby była w transie.

- Wychodzimy.

- One są dla jakiejś kobiety, jestem pewna. Ale co to za kobieta? Dlaczego je tutaj przyniósł? I czemu od razu dwa?

Julie stęknęła i skurczyła się, Andie otoczyła ją ramieniem.

- Chodź, Raven, jej jest niedobrze. Dziewczyna podniosła nieprzytomny wzrok.

- Co?

- Julie ma mdłości. Musimy stąd wyjść.

Raven przytaknęła, złożyła na powrót szalik i trzy przyjaciółki opuściły dom tak samo, jak do niego weszły. Andie spojrzała za siebie. Nigdy więcej jej noga tu nie postanie, obiecała sobie, nigdy więcej.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Przez kilka kolejnych dni Andie i jej przyjaciółki nie rozmawiały o niczym innym, jak tylko o tajemniczym mężczyźnie oraz o niebezpieczeństwie, o jakie się otarły. Były przekonane, że pan X, bo tak go nazwały, ma złe zamiary, choć nie potrafiły ich sprecyzować. Andie i Julie to wystarczyło, by stracić ochotę na dalsze spotkania z panem X oraz na wizyty w opuszczonym domu, natomiast Raven, wręcz przeciwnie, pragnęła poznać plan działania tajemniczego mężczyzny.

- Nie jesteście nawet ciekawe? - spytała. Siedziały w ogrodzie Andie, sącząc colę. Duchota

południowych godzin dawała się bardzo we znaki.

- Nie. - Andie przyłożyła do czoła pustą, zimną puszkę. - Chcę o tym zapomnieć.

- Ja też - poparła ją Julie. - Nigdy w życiu tak się nie bałam.

- Czy wy siebie w ogóle słyszycie? Niby chcecie zapomnieć, a o niczym innym nie gadacie. Poza tym - upierała się Raven - jak można o tym zapomnieć? Byłyśmy tam i wiemy, że facet robi coś złego...

- Ja tam nic nie wiem. - Andie padła na trawę, przeklinając skwar. - Ty też nie. I to my zrobiłyśmy źle, wchodząc do cudzego domu.

- On też tam nie mieszka. - Raven nachyliła się ku Andie. - Ten dom powinien być pusty. - Odwróciła się do Julie. - Przyznaj się, uważasz, że z tym gościem coś jest nie tak?

- No... nie wydaje się całkiem normalny. - Julie masowała skulone ramiona. - Rave ma rację, Andie. Ten facet był tam nielegalnie.

- Odbiło wam? - Andie spojrzała z niedowierzaniem. - A my niby co, zaprosił nas tam ktoś? Przestańcie się oszukiwać, myśmy się tam włamały.

- A może popatrzyłabyś na to z innej strony? - Raven podciągnęła kolana pod brodę. - To nasz teren, to ulica Julie. A jeśli pan X jest jakimś zboczeńcem? Mordercą albo... gwałcicielem nieletnich?

- Morderca? Gwałciciel? - Andie przewróciła oczami. - Facet wypił sobie piwo w domu, który uważaliśmy za pusty. Rave, chyba posuwasz się za daleko.

- Nie sądzę. Weź do ręki gazetę, codziennie piszą o zboczeńcach. Oni są wszędzie. - Raven zniżyła głos. - Julie ma małych braci. Ty też. Chyba nie chcesz mieć takiego sąsiada?

- Nie, ale...

- jezu, Andie! - Raven zirytowała się. - Przecież to ty się o wszystkich zamartwiasz. Zapomniałaś? To ty starasz się, żeby było dobrze.

- Owszem, martwię się. Ale wcale nie jestem pewna, czy ten facet chce zrobić coś złego. On może być zupełnie niegroźny. I pewnie ma prawo przebywać w tym domu.

- Andie, przecież sama w to nie wierzysz. - Raven spojrzała jej w twarz. - Popatrz mi w oczy i powiedz, że uważasz to wszystko za normalne: jak on tam wszedł i po ciemku pił to piwo. Powiedz mi z ręką na sercu, że nie ma w tym nic dziwnego.

- Nie zapominaj o czarnych szalikach - wtrąciła Julie. - To dopiero było dziwne.

Andie zamknęła oczy i przypomniała sobie, jak cicho, prawie bezszelestnie mężczyzna poruszał się po kuchni. Wspomniała jego spokój i swój paniczny strach. Wzdrygnęła się.

- Zgoda, był bardzo dziwny. Ale to jeszcze nie przestępstwo.

Raven odwróciła się do Julie.

- Powiedz jej, co odkryłaś.

Julie nachyliła się ku nim konspiracyjnie, zniżając głos do dramatycznego szeptu.

- Jeszcze raz zapytałam mamę o ten dom. Spytałam, czy został sprzedany albo wynajęty, ale mama zaprzeczyła. Powiedziała, że rozmawiała nawet o nim z panią Butcher, tą agentką od nieruchomości. - Nabrała głęboko powietrza. - Pani Butcher zapewniła, że wszystkie cztery domy należą do firmy budowlanej.

Andie znów zadrzała.

- To co mamy zrobić? Powiedzieć rodzicom? Raven ściągnęła usta.

- A co byś im powiedziała? Że włamałyśmy się do tego domu, bo wydawało nam się, że ktoś tam mieszka?

- Mój tata stłukłby mi tyłek na kwaśne jabłko, gdyby się dowiedział, że tylko spojrzałam w tamte okna. - Julie potrząsnęła głową. - Gdyby wiedział, co naprawdę...

Zawiesiła głos. Wiadomo było, że Dobry Wielebny Cooper potrafi wymyślić niezliczoną liczbę potwornych kar, w tym na przykład rozdzielanie przyjaciółek na zawsze.

- Mogłybyśmy wspomnieć o muzyce - zaproponowała Andie, gapiąc się na trawę i obracając w palcach puszkę po coli. - Powiedziałybyśmy, że widziałyśmy, jak ktoś wchodzi do środka...

- Andie! - Julie chwyciła ją za rękę. - Patrz, twój tata.

Dan Bennett skręcał właśnie na podjazd, jak niegdyś robił to każdego dnia.

- Wiedziałam - szepnęła Andie. - Wiedziałam, że tak będzie. On wraca do domu!

Raven i Julie wymieniły spojrzenia.

- Nie rób sobie za dużych nadziei.

- To po co by tu przyjechał? W środku dnia? Ojciec otworzył samochód, a Andie zerwała się i popędziła do niego.

- Cześć, tato!

Obrócił głowę, był blady z wściekłości. Andie zamarła, cała jej radość uleciała w jednej chwili.

- Tato? Co się stało?

- Gdzie twoja matka? - Zatrzasnął drzwi ze złością. - Jest w domu?

- Chyba tak. Ja...

- Zostań tu. To sprawa między dorosłymi. Odprowadziła go wzrokiem, potem zaczęła się za nim skradać. Ojciec wszedł bez pukania.

- Marge!-zawołał, potem jeszcze głośniej:-Marge! Matka pokazała się w kuchennych drzwiach, ucieszona jego widokiem.

- Dan? Co za niespo...

- Oszczędź sobie - warknął. — Co ty, do diabła, chcesz przez to osiągnąć? Jej mina zrzędała w jednej sekundzie.

- Osiągnąć? Nie wiem, o czym...

- Nie wstawiaj mi tu kitu. Do cholery, dobrze wiesz, o czym mówię.

Andie stała kilka kroków za ojcem. Była zdumiona, bo Dan właściwie nigdy nie przeklinał. Patrzyła na matkę, zmieszana. Jeżeli ojciec przyszedł prosić

o wybaczenie, to dlaczego zachowywał się tak agresywnie? Jeśli chce wrócić do domu, dlaczego się wścieka? Dan zacisnął pięści i zbliżył się do żony.

- Leeza mogła zginąć, Marge. Mogła się zabić. Czy to nic dla ciebie nie znaczy? Co z ciebie za człowiek?

Aha, chodzi o Leezę, stwierdziła Andie załamana. Przyszedł w jej sprawie, a nie dlatego, że kocha swoją rodzinę i tęskni za nią. Nie dlatego, że chce wrócić do domu. Odsunęła się, żalując, że nie posłuchała ojca i nie została daleko od drzwi.

- Wąż w samochodzie! - ciągnął. - Nie stać cię na nic bardziej oryginalnego? Na nic, co nie wskazywałoby tak jednoznacznie na ciebie?

- Wąż? - Matka drżącą ręką złapała się za szyję.

- Sugerujesz, że mam... że mam z tym coś wspólnego?

- Chcesz zaprzeczyć? - Jego głos wprost ociekał sarkazmem. - Może to nie ty włożyłaś do jej samochodu węża, doskonale zdając sobie sprawę, czym to grozi w czasie jazdy? Mając nadzieję, że stanie się najgorsze?

- Tato! - wybuchła Andie. - Mama by tego nie zrobiła. Jak śmiesz tak mówić?

Odwrócił się do niej, jeszcze bardziej blednąc z wściekłości.

- Kazałem ci zaczekać na zewnątrz!

Andie uniosła wysoko brodę, gotowa się odciąć, ale zanim zdołała coś powiedzieć, włączyła się matka:

- To dom Andie i, w przeciwieństwie do ciebie, ona ma prawo tu być. Spojrzał na córkę, i nagle uświadomił sobie, jak teraz wygląda w jej oczach.

- Leeza mogła umrzeć - powtórzył drżącym głosem.

- Jest w szpitalu, na Boga. Jest...

- No cóż - odezwała się zza ich pleców Raven

- trzeba się z tym liczyć, gdy pieprzy się cudzego męża.

Andie oniemiała, zakręciła się na pięcie i w drzwiach zobaczyła przyjaciółkę, z oczami jak szparki i z zaciśniętymi ustami. Julie stała tuż za nią, czerwona z zażenowania.

Dan Bennett odwrócił się, trzęsąc się z furii.

- Jak śmiesz, młoda damo? To nie twój interes. Nie należysz do tej rodziny.

- Rodziny? - powtórzyła Marge, posuwając się do przodu. - To ty nie należysz już do tej rodziny. Wyjdź stąd. - Podeszła do drzwi i rozwarła je na oścież. — I nigdy więcej nie przychodź tu bez zaproszenia.

Dan zaniemówił. Ze ściągniętą twarzą obrócił się i wyszedł z domu. Po chwili z piskiem opon opuścił posesję.

Po minucie Marge otrząsnęła się:

- Przykro mi, że musiałyście tego słuchać. Spojrzała z wahaniem na Raven, która natychmiast przyszła jej z pomocą.

- Przepraszam panią, ale taka jestem zła na pani męża.

Rysy Marge zmiękły.

- Dziękuję ci za troskę, kochanie, ale... Potrafię, a co więcej powinnam sama załatwiać swoje sprawy. Dobrze?

Raven potakująco skinęła głową, a Julie powiedział\* spontanicznie:

- Jest pani wspaniała.

- To prawda - dodała Raven. - To on powinien przeproszać. Bardzo panią kochamy.

Marge nieco się rozluźniła, zaś Andie pomyślała, że przyjaciółki po raz kolejny pomogły jej rodzinie.

- Dziękuję wam, dziewczynki - rzekła z nikłym uśmiechem Marge. - Jesteście bardzo dobre. Ja... ja...

- Odwróciła się do córki. - Idźcie już. Na pewno macie jakieś plany, nie musicie dotrzymywać towarzystwa starszej pani.

Andie poczuła ucisk w piersiach.

- Nie jesteś stara, mamó.

- Ale dużo starsza od was - rzekła Marge zdecydowanie. - Idźcie. Mam robotę, nie zatrzymujcie mnie.

- Delikatnie uścisnęła ramię Andie. - Nic mi nie będzie

- szepnęła. - Naprawdę. No, idźcie. Potem porozmawiamy.

Andie przytaknęła i wyprowadziła przyjaciółki z domu. W milczeniu znów zasiadły pod klonem. Wreszcie Julie wzięła Andie za rękę.

- Tak mi przykro.

- Tak - mruknęła Raven. - Mnie też.

- Dzięki. - Andie walczyła ze łzami. - Co ja bym bez was zrobiła?

Raven wyciągnęła się na trawie, przesyłając uśmiech błękitnemu niebu.

- Przynajmniej ta mała dziwka ma nauczkę. Andie spojrzała na nią.

- Co?

Ona to zrobiła. Niedawno siedziały w trójkę na łóżku i planowały zemstę na Leezie.

Ale to była jedynie... rozmowa. Tylko żartowały. Czyżby?

Słowa, niby rzucone na wiatr, obróciły się w kamień. Andie była wstrząśnięta, Julie z przerażeniem patrzyła na Raven.

A może jednak nie?

- Raven - wyszeptała Andie - ty chyba nie... Wiem, mówiłyśmy o zemście, ale to były tylko słowa... taki głupi żart, prawda?

Raven spojrzała jej prosto w oczy.



- Tak? Żartowałyśmy? Już przestałaś jej nienawidzić?

- Nienawidzę, ale... ale ona mogła umrzeć. Odpowiedzią była cisza.

Potem Raven potrząsnęła głową.

- Sama powiedziałaś, że życzysz jej śmierci. To czym się teraz martwisz? To co, gdyby zginęła? Moim zdaniem ta dziwka sobie na to zasłużyła.

Wstrząśnięta Andie milczała. Tak, czuła nienawiść do Leezy i życzyła jej śmierci... lecz to były tylko słowa. Przecież Raven musiała to rozumieć.

- Chryste, Andie, nie patrz tak na mnie. - Raven roześmiała się i usiadła. - Nie zrobiłam tego, mówię tylko, że nic mnie to nie obchodzi i ciebie też nie powinno to ruszać. Lepiej pomyśl, co ona zrobiła twojej rodzinie.

- To prawda - wtrąciła uspokojona Julie. - Raven nie zrobiłaby czegoś takiego. Ale i tak nie żał mi tej wiedzy.

Andie położyła rękę na piersi.

- Przez chwilę myślałam, że ty... - Zawiesiła głos. Zaniepokoił ją dziwny wyraz twarzy przyjaciółki, trudny do opisanego błysk w oku. - Ale... skąd się wziął wąż w jej samochodzie?

Raven wzruszyła ramionami.

- Mówiłaś, że nie zamyka dachu, to pewnie zleciał z jakiegoś drzewa i zwinął się pod siedzeniem na drzemkę.

- Pewnie tak - zachichotała Julie. - Coś podobnego przydarzyło się pani Beasley. Tylko że to był ptak. Wylądował prosto na jej głowie, a ona dostała histerii.

To była sprawka Raven, Andie nie miała co do tego wątpliwości. Zmusiła się do uśmiechu.

- Co ja bym bez was zrobiła?

- Zwariowałybyś.

Teraz śmiały się wszystkie trzy.

- Co teraz robimy? - spytała Andie.
- Zajmijmy się naszą małą tajemnicą - pełnym napięcia szeptem powiedziała Raven. - Będziemy obserwować dom. Musimy dowiedzieć się, co planuje ten facet. To nie powinno być trudne. Dom jest otoczony drzewami, a mój tata ma lornetkę...
- Mój też - rzuciła Julie.
- Świetnie. Jak się dowiemy, co on zamierza, złapiemy go na gorącym uczynku. Powiemy rodzicom, oni pójną na policję i zostaniemy bohaterkami.

Andie ściągnęła brwi.

- A jeżeli on nic nie planuje?
- Wtedy okaże się, że chorujemy na nadmiar wyobraźni.
- Umieram z ciekawości - rzuciła Julie.

Andie musiała przyznać, że czuje się podobnie. W końcu ten mężczyzna może mieć złe zamiary. Na przykład chce kogoś skrzywdzić. Nie wybaczyłaby sobie, gdyby coś się stało, a ona nie próbowałaby temu zapobiec.

- Kiedy zaczynamy? - spytała.
  - Dziś wieczór. Odetchnęła głęboko.
  - Niech będzie. Pod jednym warunkiem. Przyjaciółki spojrzały na nią.
  - Nie włączymy do środka. Choćby nie wiem co. Mówię serio, bo inaczej w to nie wchodzi, tylko od razu wszystko powiem mamie. Zgoda?
- Julie potwierdziła bez słowa i zerknęła na Raven, która po chwili milczenia rzuciła z lekką niechęcią:
- Niech i tak będzie. Zgoda.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Przyjaciółki ustaliły plan obserwacji podejrzanego domu. Popołudniami, z wyjątkiem niespodziewanych wydarzeń, miały czuwać razem, a pozostałą część dnia i nocy podzieliły na wachty, zależnie od ich sytuacji domowej.

Julie wzięła dyżur poranny, ponieważ mieszkała najbliżej oraz dlatego, że jej ojciec wierzył, iż najwięcej grzechów popełnia się późniejszą porą.

Julie dysponowała więc chwilą wolności do około dziesiątej rano.

Z kolei ojciec Raven dawał córce wprost niewiarygodną wolność.

Musiała tylko czekać na niego z obiadem i z uśmiechem, gdy wracał z pracy.

Podobną swobodą dysponowała Andie, bowiem Marge, miotająca się pomiędzy depresją a poszukiwaniem pracy, prawie nie dostrzegała nieobecności córki.

W weekendy bywało różnie, ponieważ w wolne dni na ulicy ruch był większy i przyjaciółki sądziły, że tajemniczy nieznajomy nie pojawi się w tak niebezpiecznym dla niego czasie.

Na potężnym dębie, rosnącym na sąsiedniej parceli, znalazły idealne miejsce do prowadzenia obserwacji. Kilka lat wcześniej jakieś dzieciaki zaczęły budować domek pomiędzy konarami drzewa, ale musiały go

opuścić, kiedy właściciel terenu odkrył ich kryjówkę. Została tam tylko drewniana platforma, ale to dziewczynom w zupełności wystarczyło. Gałęzie ukrywały je przed niepożądanym wzrokiem, natomiast one dokładnie widziały podjazd do budynku.

Lecz ich tajemniczy mężczyzna znikł.

Wtedy postanowiły zmienić metodę. Gdy dwukrotnie słyszały muzykę dobiegającą z opuszczonego domu, za każdym razem działało się to późną porą, i teraz wykorzystały tę wskazówkę. Umówiły się, że nocą wymkną się ze swoich domów i o wpół do jedenastej spotkają się na platformie.

- Gdzie jest Raven? - pytała Julie, patrząc na zegarek. Była już za dziesięć jedenasta.

Andie wzruszyła ramionami.

- Może jej się nie udało, czasami jej tato siedzi do świtu.

Zmartwiona Julie przygryzła dolną wargę.

- Ale chyba nie wie, co robimy? Zaraz poleciałby do naszych rodziców, dając głowę.

Andie wyciągała szyję.

- Nie, jej ojciec niczego by się nie domyślił. Raven jest za sprytna, żeby dać się złapać.

- Chyba masz rację. - Julie trzęsła się jak galareta. - Zaczynam się denerwować i tyle.

Andie przyłożyła do oczu lornetkę. Tajemniczy dom, jak zwykle kompletnie opustoszały, pogrążony był w ciemności i ciszy.

- Jest!

Andie skierowała lornetkę na ulicę. Tak, Raven biegła w ich stronę, przedzierając się przez krzaki.

- Martwiłyśmy się - poskarżyła się Julie nerwowym szeptem.

- Przepraszam - odparła Raven, zatrzymując się pod

drzewem, podnosząc głowę i łapiąc oddech. - Ale mam nowinę, nie uwierzycie. Mój tata ma narzeczoną! Dlatego się spóźniłam. Musiałam zjeść z nimi kolację, teraz poszli na tarkę. - Zaczerpnęła głęboko powietrza.

- Musiałam poczekać, aż się wyniosą.

- Narzeczoną? - Andie przesunęła się na prawo, żeby zrobić miejsce przyjaciółce. - Nie mogę uwierzyć!

- Serio. - Raven wspięła się na platformę. - Po prostu mnie powaliło.

- Zawsze mnie wzruszało - powiedziała Julie - że tak tęsknił za twoją mamą. Godzinami wysiadywał na ganku i patrzył przed siebie. Było to smutne, ale bardzo piękne.

- Bardzo piękne. - Raven zrobiła znaczącą minę.

- No dobra, w każdym razie byłam słodziutką dla tej pani, jakby tata był jakimś superbohaterem albo samą cudownością. A tak naprawdę chciałam ją ostrzec.

- Uniosła dłonie do ust, jakby mówiła przez megafon.

- Ostrożnie, głupek na przedzie!

Julie wybuchnęła śmiechem.

- Raven, przestań, kiedyś umrę przez ciebie. Twój tata nie jest taki zły.

- Nie - rzekła Raven, patrząc przyjaciółce prosto w oczy. - Jest dużo gorszy.

Zapadła cisza. Zmieszana Andie coś mruknęła, a Julie z konsternacji zapłonęły policzki. Obie dziewczyny nie znajdowały odpowiednich słów i jak na komendę odwróciły wzrok. Nie chodziło nawet o to, co Raven powiedziała o swoim ojcu, ale jak to powiedziała. Ton, którym zawsze o nim mówiła.

Jakby był jakimś potworem.

Andie czuła, że Raven nie zdradziła im czegoś istotnego i bardzo, ale to bardzo niedobrego. Potrząsnęła lekko głową, jakby chciała otrzepać się z niepożądanych

myśli. Co Raven ukrywała przed nimi? Jaką mroczną tajemnicę chowała w swej duszy? Dlaczego nie wyrzuciła tego z siebie? Przecież były sobie bliższe niż rodzone siostry.

- Patrzcie! - Julie szturchnęła ją boleśnie łokciem. - To on!

Z pobliskiego wzniesienia zjechał samochód i minął bramę numer dwanaście na Mockingbird Lane. Raven wzięła lornetkę. Andie wątpiła, żeby w takich ciemnościach można było coś wypatrzeć. Automatyczne drzwi do garażu podniosły się, auto znikło w jego wnętrzu, drzwi powoli się opuściły.

- Widziałyście jego twarz? - spytała Andie. Raven pokręciła przecząco głową, zaś Andie westchnęła zawiedziona. - Niech to...

- Dziewczyny - syknęła Julie. - Jedzie następny samochód!

Andie i Raven natychmiast się odwróciły. Tak, drugie auto wjechało w tę samą bramę numer dwanaście i znikło w garażu.

Raven opuściła nieco lornetkę.

- Dwa samochody? - powiedziały równocześnie dziewczyny, spoglądając na siebie.

- To kobieta - rzekła Raven. - Widziałam ją. Przeglądała się w lusterku, zanim otworzyła się brama.

Andie ciężko przysiadła.

- Jasna cholera.

- To romans - szepnęła Julie. - Para kochanków. - Westchnęła. - Jezu, ale cudownie.

Raven zmarszczyła brwi.

- To po co im te szaliki? Skąd ta muzyka w środku nocy? Dlaczego spotykają się w pustym domu?

Przyjaciółki spojrzały po sobie.

- Co teraz? - spytała Andie.

- Idziemy tam - odparła Raven. - Dowiemy się czegoś więcej.
- A niby jak mamy to zrobić?
- Będziemy zaglądać przez okno. - Raven uśmiechnęła się. - A co myślałaś?
- Ani mi się śni. - Andie zerknęła na Julie, która już zaczęła zsuwać się z drzewa. - Zwariowałyście! Nie ma mowy, żebym komuś zaglądała przez okno.

Pięć minut później Andie podążała za Raven i Julie na tyły domu. Dziewczyny kulily się, by nikt ich nie zobaczył, ostrożnie wyprostowały się dopiero przy samym oknie.

Pokój był pusty.

Ostrożnie przeszły do następnego okna, potem jeszcze do następnego, zawsze z tym samym rezultatem. Andie zaczęła już myśleć, że wszystko na nic, kiedy Raven jak szalona zamachała na nie spod kolejnego okna. Andie ruszyła w jej stronę, sama nie wierząc, że to robi. Jej serce tłukło się tak szybko, że bała się, iż zemdleje. Wspięła się na palce i zajrzała do środka. Pokój, oświetlał jedynie drżący płomień pojedynczej świeczki. Minęła chwila, zanim wzrok Andie przyzwyczał się do półmroku, i wówczas dostrzegła mężczyznę. Siedział na samotnym krześle, tyłem do okna.

Tak, to był on, mężczyzna, którego widziały tamtej nocy.

Potem dojrzała kobietę. Stała jakiś metr przed mężczyzną, nieruchoma jak posąg, z opuszczonymi wzdłuż ciała rękami. Ubrana była dość banalnie w spódnicę do kolan, krótki żakiet i zapiętą pod szyję białą bluzkę. Na nogach miała buty na niskich obcasach, włosy upięte w grzeczny kok. Wyglądała jak pracownica banku albo księgowa. Tylko jedno ją wyróżniało.

Miała zawiązane oczy.

Czarnym jedwabnym szalikiem.

Jednym z tych, które widziały tamtej nocy. Andie ogarnął nagły, wręcz irracjonalny lęk. Ten szalik miał w sobie złowrogą moc, symbolizował coś bardzo złego. Spojrzała na przyjaciółki. Musiały czuć to samo co ona.

Mijały chwile. Andie wstrzymała oddech, kobieta nawet nie drgnęła.

Potem rozległa się muzyka, ta sama, którą słyszały już dwukrotnie.

Kobieta zaczęła się kołysać w rytm melodii, chociaż brakowało jej płynności oraz pewności siebie, jakby się bała. Uniosła ręce do klap żakietu. Powoli opuściła go z ramion, żakiet upadł na podłogę.

Później wyciągnęła bluzkę ze spódnicy i sięgnęła do drobnych guziczków, które ciągnęły się od szyi do pasa. Zmagała się z nimi, Andie była pewna, że kobiecie trzęsą się ręce. Guzik za guzikiem wyskakiwał z dziurki, delikatny materiał rozdzielał się na dwoje.

Kobieta robiła striptiz.

Była do tego zmuszona.

Andie zaschło w ustach, chciała podskoczyć i krzyknąć, rzucić się na okno, by wyrwać kobietę z tego straszego transu albo wystraszyć jej kata. Nie zrobiła jednak nic. Wiedziała, że nie powinna na to patrzeć, nie powinna oglądać tej okropnej sceny poniżenia, odarcia z ludzkiej godności, ostatecznego upodlenia. Nie mogła jednak oderwać wzroku i jak sparaliżowana patrzyła na kobietę, która, łamiąc wszelki opór swej woli, wiedziona obcym rozkazem, obnażała swoje ciało.

Wreszcie została jedynie w biustonoszu, figach i pończalce. I

znieruchomiała, tylko w migotliwym blasku świecy na jej bladej skórze w gwałtownym tańcu kręciły się niesamowite cienie.



Mężczyzna wstał i wyszedł z pokoju, mijając ją bez jednego spojrzenia. Uciekaj, błagała w myśli Andie. Zabieraj ciuchy i uciekaj! Lecz kobieta trwała w bezruchu. Czekwała, nie drgnął jej żaden mięsień. Co z nią? Czemu się nie ubie...

Nagle zrozumiała.

Ta kobieta nie była niewolnicą. Przyjechała tu z własnej woli..

Andie zasłoniła usta i zerknęła na przyjaciółki. Na ich twarzach znać było różne emocje: szok, osłupienie, fascynację zmieszaną z niesmakiem.

Andie bała się odezwać, choć bardzo pragnęła, aby przyjaciółki odwróciły się do niej i żeby wszystkie czym prędzej opuściły to miejsce.

Ale one nie spojrzały na nią. Andie przeniosła wzrok ku oknu i prawie obnażonej kobiecie, która stała przed nią jak manekin. Doszczętnie straciła poczucie czasu i rzeczywistości. Zdawało się, że półnaga kobieta stoi tak już całe wieki.

Wreszcie do pokoju wrócił mężczyzna. I znowu minął kobietę jak powietrze. Jakby jej tam nie było lub też jakby była nic niewartym śmieciem.

Andie z całych sił wpatrywała się w twarz mężczyzny, zanim znów pokazał im plecy i usiadł, ale odebrała tylko niejasne wrażenia. Był ciemnowłosy, silny i przystojny. I otaczała go jakaś zła aura.

Gwałtowny i zły jak diabeł, przed którym nieustannie ostrzegał ojciec Julie. Groźny i zdolny do wszystkiego. Obdarzony ciemnymi mocami. Andie znienawidziła go z całej mocy. Uczucie to złapało ją za gardło i dusiło aż do utraty tchu.

Mężczyzna zapalił papierosa. Mały płomyk rozświetlił jego profil na ułamek sekundy, po czym pozostawił

jeszcze większą, niezbadaną ciemność. Dym snuł się jak wąż w świetle stojącej u stóp nieznanego świecy.

Kobieta poruszyła się. Zsunęła halkę przez biodra i wyswobodziła z niej stopy. Sięgnęła do zapięcia biustonosza na plecach, walczyła z nim przez moment i niemal boleśnie wolno go zdjęła. Zostały jej już tylko skąpe białe figi. Wreszcie ściągnęła je i opuściła ręce wzdłuż ciała, stojąc bez ruchu na wprost mężczyzny, jakby oczekiwała od niego dalszych poleceń.

Andie oblewała się potem. Nigdy jeszcze nie widziała nagiej kobiety, w każdym razie nie w takiej chwili. Zdarzało jej się przebierać w jednym pokoju z przyjaciółkami, wpadła też kiedyś bez pukania do łazienki, gdy była tam jej matka, ale było to jakieś... naturalne, a nawet niewinne.

Teraz była świadkiem zupełnie nowej sytuacji, nienormalnej i dalekiej od niewinności. Kobieta i mężczyzna. Muzyka. I ona z przyjaciółkami w roli szpiegów.

Było jej wstyd, lecz nadal zachłannie patrzyła przez okno. Kobieta była piękna, blada i smukła. Andie zazdrośnie oglądała cudowne linie jej ciała.

Z pałającymi policzkami badała wzrokiem nieznaną, zaszokowana zatrzymując się na owłosionym trójkącie u szczytu jej ud. Nagle zdała sobie sprawę z ciężkiego oddechu którejś z przyjaciółek, z łomotu własnego serca, z mocnego uścisku, w jaki Julie chwyciła jej ramię.

Kobieta z wahaniem, jakby przedzierając się przez rozpaczliwe zakazy własnej woli, zrobiła krok w stronę mężczyzny. Potem drugi. Szła po omacku, wszak jej oczy spowijała ciemność, jednak dobrze wiedziała, w jakim kierunku ma podążać za swym poniżeniem. A może...

najtajniejszym pragnieniem? Wreszcie uklękła przy swym okrutnym prześladowcy, a może najbardziej pożądanym kochanku, i schyliła głowę nad jego

kolanami. Powoli, jakby wciąż mocując się z sobą, otworzyła usta...

Przez jedną oślepiającą chwilę Andie zastanowiła się, do czego ona zmierza. Potem już wiedziała.

Nie, to niemożliwe! - mówiła sobie, rozpaczliwie walcząc z nierównym oddechem. Nie w Thistledown, nie w jej sąsiedztwie.

A jednak.

Pisnęła przerażona i skuliła się, pociągając za sobą przyjaciółki. Patrzyły na siebie w pełnym osłupienia milczeniu, potem odwróciły spojrzenia, ogromnie zażenowane i spłoszone. W pierwszej chwili Andie chciała coś powiedzieć, żeby przerwać przygniatającą ciszę, lecz nie zrobiła tego. Bo jakich słów miałyby użyć? Wołała więc milczeć.

Zaczęły uciekać, byle jak najdalej od okna. Szybko wdrapały się z powrotem na drzewo i ciężko dysząc, spoczęły na platformie.

Mijały minuty ciszy, słyhać było jedynie gwałtowne oddechy. Andie stuknęła lekko czubkiem tenisówki o deski, czując nagłą potrzebę rozmowy, lecz po raz pierwszy w życiu nie wiedziała, co powiedzieć swoim przyjaciółkom.

W pewnej chwili Julie zachichotała. Na wpół świadomie zatkała sobie buzię ręką, ale chichot nie ustawał. Raven i Andie spojrzały na nią.

Pokręciła głową.

- Nie mogłam się powstrzymać. To było takie... - Zalał ją rumieniec. -

Wiecie dziewczyny, ona go... ssała.

Andie schowała twarz w dłoniach.

- Nie wierzę, jak oni... To znaczy, coś takiego? Tutaj?

- Nie ma żartów. - Raven przyciągnęła kolana do

piersi. - Czegoś takiego jeszcze nie widziałam. Zupełnie jak zwierzęta. Andie skrzywiła się.

- Po co był im ten szalik na oczach?

- To jacyś zboczeńcy - stwierdziła Julie. - Widziałam taką książkę w bibliotece, w dziale psychologii. To się nazywa seksualna - szukała w pamięci - seksualna dewiacja. To musiało być właśnie to.

Seksualna dewiacja. Andie nie mogła się pozbyć obrazu nagiej kobiety, z zawiązanymi oczami stojącej w migotliwym półmroku.

- Czemu ona mu to robiła?

Julie i Raven odpląciły jej bezradnym spojrzeniem

- Nie wiem. - Raven uniosła ramiona. - Może to lubi?

- Coś ty! - ciągnęła Andie, żałując, że nie widziała twarzy mężczyzny, bo może wtedy coś zdołałaby zrozumieć. - To było takie okropne. Wydawało się... sama nie wiem... - Nie znajdowała właściwego określenia. - Poniżające - wyrzuciła wreszcie. - Jakby on był Bóg wie czym, a ona kompletnym zerem. Jakby była jego niewolnicą.

- Ordynarne - rzekła Julie, wykrzywiając twarz. - Ja bym dla nikogo tego nie zrobiła.

- Nie żartuj. - Raven spojrzała z namysłem. - W sumie nic nie wiemy. Łatwo nam to potępiać, bo to było dziwne...

- Myślicie, że... - Andie zawiesiła głos, wiedząc, że za daleko wybiega wyobraźnią, ale czując jednocześnie, że musi to powiedzieć. - Ta kobieta... wiem, że przyjechała sama, ale nie sądzicie, że... że może ktoś ją do tego zmusił?

Julie otworzyła szeroko oczy.

- Myślisz, że została porwana?

- Albo ktoś ją szantażuje.

Julie i Raven wlepiły w nią wzrok.

- Nie mam pojęcia - wymruczała po chwili Julie. Jej policzki pałały. - Taka niewolnica musi zrobić wszystko, co jej każą. Nic innego się nie liczy, tylko rozkaz, a jej ciało służy do różnych... no, dewiacji

seksualnych. - Nerwowo potarła uda. - Ale za co ją to spotkało? Co takiego musiało się stać, że sama tu przyjechała i robiła takie rzeczy?

- Coś bardzo złego - odparła Raven. - Coś, co dotyczy życia i śmierci. Andie zerknęła na swoje dłonie, boleśnie zaciśnięte w pięści. I wtedy przyszedł jej do głowy pewien pomysł.

- Dziewczyny, wiecie, dlaczego były dwa szale? Pytanie spadło jak przygniatający ciężar. Przyjaciółki spojrzały po sobie.

- Przecież przyniósł dwa szaliki - podpowiadała Andie. - Pamiętacie? Znow zapadła dręcząca cisza. Zdawało się, że dziewczyny wręcz przestały oddychać. Jakieś stworzenie przemknęło po gałęzi. Julie podskoczyła, Raven cicho zaklęła.

- Facet jest zбочony. Nie możemy na to pozwolić. Musimy dokładnie się dowiedzieć, o co tu chodzi. Zgadza się?

Julie zawahała się, potem przytaknęła.

- Niech będzie, takie rzeczy nie powinny się tu dziać.

Andie bardzo pragnęła wymazać tę kobietę z pamięci, wyrzucić to wszystko, co dzisiaj ujrziała. Chciałaby zawrócić czas i nigdy nie podchodzić do tego okna. Było to jednak niemożliwe, o czym dobrze wiedziała.

Wypuściła powietrze, które mimowolnie zatrzymywała w płucach, i skłoniła głowę.

- Zgadzam się.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Raven siedziała w ciemnej kuchni, czekając na powrót ojca. Dochodziła pierwsza w nocy, a ona wciąż czuwała, ponieważ taka była jej powinność. Właśnie tego ojciec od niej oczekiwał, tego spodziewał się po swojej córce, którą spłodził i dla której był całym światem. Absolutna lojalność, bezapelacyjne oddanie. Tylko to się liczyło.

Nienawidziła go.

Dziewczyna podniosła dłoń do czoła i zaczęła je masować, by pozbyć się bólu. Często nękały ją migreny czasami tak silne, że przestawała widzieć na oczy, ale jakoś zdołała się do nich przyzwyczaić. Stanowiły część jej życia, część jej samej, podobnie jak szrama na prawym policzku.

Zamknęła oczy i zaczęła głęboko oddychać, myśląc o wydarzeniach, których wraz z Julie i Andie była świadkiem. Nie potrafiła tego wytłumaczyć, ale czuła, że stało się coś niesłychanie ważnego.

Była ożywiona, ale nie miało to nic wspólnego z erotycznym pobudzeniem. Była jak zaczarowana, lecz nie przez ową kobietę, ale przez mężczyznę. Złożyła głowę na wysokim oparciu krzesła. Kim on jest? - dumiała. Co dało mu taką władzę nad piękną nieznajomą?

Dlaczego on był wszystkim, a ona nikim? Dlaczego ona była pozbawiona woli, gdy zaś on - samą wolą? Dlaczego w ich... związku liczyły się jedynie jego pragnienia, a ona mogła robić tylko jedno: zaspokajać je? Skąd brała się jego nadprzyrodzona wręcz potęga?

I dlaczego nie może przestać o nim myśleć?

Nie udawało jej się to od pierwszej nocy, kiedy znalazły się w trójkę w tamtym domu. Nie przyznała się Andie, że jednak zebrała wtedy siły, wychyliła się ze swojej kryjówki i zobaczyła jego twarz. Miał rysy jastrzębia, wyostrome i wyraziste. Był starszy, może nie tak jak jej ojciec, ale na pewno starszy od chłopaków, których znała, musiał mieć dwadzieścia kilka lat.

Zmarszczyła brwi i pomasowała skroń. Dręczyło ją poczucie winy. Łgarstwo samo wypłynęło z jej ust. Nie miała zamiaru okłamywać przyjaciółek, nie wiedziała, czemu to zrobiła, nigdy zresztą niczego przed nimi nie ukrywała.

Aż do tej pory.

Powtarzała sobie, że to dla ich dobra, że pragnie je ochraniać, tak jak rodzice chronią swoje dzieci.

Ale przed czym niby je strzegła? - zastanowiła się. Przed kim?

Nieznajomy mężczyzna znów zawładnął jej myślami. Była pewna, że zna wiele sekretów, które dają mu władzę nad innymi ludźmi, nad życiem i śmiercią. Tego wieczoru przekonała się o tym.

Chciała poznać jego tajemnice.

Z zewnątrz dobiegł ją odgłos samochodu. Wrócił ojciec. Odwróciła się w stronę kuchennych drzwi i przyozdobiła twarz w pełen oczekiwania, powitalny uśmiech.

Drzwi otworzyły się, ojciec wszedł do środka. - Cześć, tato. Jak udała się randka?

- Raven, kochanie! - Wprost promieniał. - Czekalaś na mnie tak długo.
- Oczywiście, tato. - Uśmiechnęła się i wstała.
- Usiądź, przygotuję ci filiżankę herbatki na sen.
- Dziękuję, kochanie. Bardzo chętnie.

Zajął miejsce, a ona postawiła czajnik i wyciągnęła filiżanki.

- Jak było? - spytała, odwrócona do niego plecami.
- Ona ci się podoba?
- Było miło, to sympatyczna kobieta. Polubiłaś ją? Raven nie zmieniła pozycji, bała się, że ojciec wyczyta z jej oczu, o czym naprawdę myśli: że córka uważa go za sukinsyna i życzy mu śmierci.

- Tak, tato - odparła. - Rzeczywiście robi miłe wrażenie.

Ojciec nic nie odpowiedział. Czowała na sobie jego wzrok, taksujący każdy jej ruch, wiedziała, że analizuje każde jej słowo i wsłuchuje się w modulację głosu. Grali już tę tragifarsę tak długo, że stało się to ich drugą naturą, mimo to wciąż żyła w strachu, iż przyjdzie dzień, kiedy ojciec ją przejrzy. Wówczas mogłaby skończyć jak jej matka, próbując ucieczki w środku nocy.

Ojciec zakaszłał.

- Wiem, co myślisz, Raven - powiedział miękko.
- Nie uda ci się ukryć przede mną swoich myśli.

Jej palce zastygły na torebkach z herbatą. Zmusiła się do krótkiego, nienaturalnego śmiechu.

- Nie wiem, o czym mówisz.
- Dobrze wiesz. Spójrz na mnie, proszę. Przybierając możliwie najbardziej niewinną minę, spełniła jego prośbę, powoli obracając ku niemu twarz.

- Wiem, co cię martwi - powiedział. - Martwisz się, że poważnie się zaangażuję i wszystko się zmieni.

- Nie. - Potrząsnęła głową. - Naprawdę nie, tato.



Ściągnął brwi.

- Wiesz, że lubię, kiedy mówisz do mnie: tatusiu.

- Przepraszam. - Złożyła przed sobą dłonie. - Dziękuję, że mi przypomniałeś.

Podniósł się i podszedł do niej. Chwytał jej dłonie, a ją przebiegły ciarki. Wiedziała, ile ryzykuje, bo gdyby odkrył jej nielojalność, gdyby tylko zaczął ją o to podejrzewać, wtedy by się nią zajął... już on by się nią zajął, tak jak jej matką.

Ze strachu przełknęła głośno ślinę. Nie, to nigdy nie nastąpi, ona do tego nie dopuści. Jest od niego sprytniejsza.

Ścisnął jej palce. Patrzył jej w oczy, żądając tego samego.

- Obawiasz się, że będzie tak, jak z twoją matką? O to chodzi, prawda?

- Być może - skłamała. - Może trochę się tym martwię.

Obdarzył ją czułym uśmiechem. Zrobiło jej się niedobrze.

- Możesz się tego nie lękać, kochanie, obiecuję ci. Marion w niczym nie przypomina twojej matki, jest lojalna i uczciwa. - Jego oczy wypełniły się łzami.

- Kochałem twoją matkę najbardziej na świecie, Raven. Odchodząc, zламаła mi serce. Zresztą sama o tym wiesz.

- Tak, tatusiu - wyszeptała. Wiedziała, jak bardzo kochał swoją żonę. Ale miłość, jak widać, przybiera rozmaite formy. - Wiem.

Ścisnął mocniej jej dłonie. Raven pragnęła wyrwać się z uścisku.

- Rodzina jest najważniejsza - rzekł gwałtownie.

- Lojalność liczy się ponad wszystko. - Objął spojrzeniem jej twarz. - Nikt nas nie rozdzieli, nie pozwolę na to. Rozumiesz?

- Oczywiście. - Zmusiła się do pełnego adoracji uśmiechu. - Rodzina jest najważniejsza.

Uśmiechnął się i dotknął jej włosów, zwisających swobodnie po obu stronach twarzy, założył je za uszy.

- Czemu nosisz rozpuszczone włosy? Wiesz, że lubię, kiedy je związujesz.

- Przepraszam, tatusiu. Zapomniałam. Jutro wezmę te nowe spinki, które mi kupiłeś.

- To rozumiem. - Nachylił się i wycisnął na jej czole pocałunek. - A teraz biegnij do łóżka, jest późno.

W tym samym momencie zagwizdał czajnik. Raven skoczyła jak oparzona.

- Ja to zrobię - rzuciła. - Nie wstawaj... Złapał ją za rękę.

- Jesteś dziś nerwowa jak kotka.

- Tylko zmęczona.

- Idź do łóżka, sam zrobię herbatę. Zobaczymy się rano.

- Dobrze. - Wspięła się na palce i ucałowała go w policzek. - Dobranoc, tatusiu.

Odchodziła z niewidocznym dla ojca uśmiechem. Przyjdzie kiedyś taki ranek, kiedy się nie spotkają. Przyjdzie taki czas, kiedy nie będzie już mógł widywać jej co rano.

## **ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY**

Julie otworzyła oczy i poderwała się z niemym krzykiem. Potoczyła wzrokiem po ciemnej sypialni, spodziewając się w każdym cieniu zobaczyć bestię, która przybyła, żeby pozbawić ją resztek duszy.

Minęła chwila, nim zaczęła rozpoznawać kształty mebli, dojrzała drzewo za oknem i stos rozrzuconych w kącie ubrań. Oddech Julie uspokoił się, a za nim także jej serce.

To tylko senny koszmar. Nie trzeba się bać, to nie jest prawdziwe zagrożenie.

Ajednak bała się. Zacisnęła wargi, by się nie rozplakać. Koszmar był tak realny, zupełnie jak żywy. Przerazający.

Jej reakcja była jeszcze gorsza.

Julie była pobudzona, seksualnie pobudzona, nawet we śnie.

Przewróciła się na bok, kuląc się w kłębek nieszczęścia i odrazy do samej siebie. Sen powtarzał scenę, której była świadkiem z Andie i Raven. Ona zajęła w nim miejsce kobiety z opaską na oczach, była tą, która stała przed mężczyzną naga i bezbronna, tą, która przed nim klęczała i brała jego penisa do ust.

Powinna bardzo się wstydzić, czuć przerażenie i obrzydzenie. Powinna desperacko uciekać.

Lecz znajdowała w tym przyjemność. Co się z nią stało?

Pamięć wprawiła jej ciało w zniewalające pulsowanie. Straciła nad nim kontrolę, uniezależniło się od niej. Wcisnęła twarz w poduszkę i zaczęła szlochać. Zakołysała się, ścisnęła uda i otarła je o siebie. Odkryła to przed laty i robiła tak w kościele, przy stole, podczas czytania Biblii. Również i teraz jej rozum wykrzykiwał słowa sprzeciwu, lecz ona tylko gwałtowniej się kołysała i mocniej ścisnęła, i z każdą sekundą przyjemność rosła, aż Julie ogarnął ogień. Tylko o tym już marzyła, poddać się temu żarowi, zaspokoić palącą potrzebę, zupełnie się zapomnieć, zapaść w elektryzującą, szaloną nicość. Chwilo, przyjdź!

Chwilo, która powodujesz, że Julie Cooper, jej życie, jej ciało, przestawały istnieć.

Dotarła tam. Zatkła usta zaciśniętą pięścią, blokując nabrzmiąły skowyt, znak rozkoszy i bólu. Rozkoszy, która trwa tylko chwilę, i bolesnej prawdy, że ta chwila przeminęła.

Trzeba wracać do rzeczywistości.

Kiedy pulsowanie powoli ustawało, Julie pomyślała o Andie i Raven. Co byłoby, gdyby poznały całą prawdę o niej? Gdyby wiedziały, w jaki sposób się dotyka? Czy nadal chciałyby się z nią przyjaźnić? Na pewno nie. Była o tym przekonana.

Tak bardzo bała się tego wieczoru, że Andie i Raven spostrzegą jej podniecenie, że odkryją jej myśli i pragnienia. Myślała, że umrze ze wstydu.

Jej sen nie kończył się tak, jak obserwowana przez nie scena. Z jej oczu opadała opaska, a ona unosiła wzrok i widziała przed sobą ohydny, czerwony twarz kochanka.

Miała w ustach diabła, a jego nasienie dusiło ją. Wbijała w niego paznokcie, chciała się uwolnić, ale on

tylko odchylił do tyłu wielką rogatą głowę i śmiał się. Nie było ucieczki, byli połączeni na zawsze.

Masz w sobie diabła, dziewczyno, zawsze taka byłaś.

Julie przyciągnęła kolana do piersi, w głowie dźwięczał jej głos ojca, zabarwiony diabelskim chichotem. Zacisnęła powieki, pragnęła wydostać się z własnego ciała, wreszcie stać się kimś innym, czystym, niewinnym i dobrym.

Nie czuła się tak od wielu lat, od pewnego koszmarnego wielkanocnego poranka. Od pewnego czasu tamte chwile z uporem do niej wracały. Julie miała wówczas siedem lat. Stała przed lustrem w swojej sypialni, przyglądając się sobie z zadowoleniem. Czuła się jak księżniczka, i to piękna księżniczka. Miała na sobie nową świąteczną sukienkę, kapelusik i białe skórzane pantofelki, wypolerowane tak, że mogła się w nich przeglądać.

Zakręciła się radośnie, jej jasne loki tańczyły w powietrzu. Z dołu dochodził głos bawiących się braci, ich śmiech i szamotanina. W łazience mama nuciła „Ama-zing Grace”. Najmłodsze dziecko spało, a ojciec po raz ostatni odczytywał kazanie. Miało to być jego pierwsze dłuższe kazanie w nowej parafii w Thistledown, a sobota wielkanocna była najważniejszym dniem w religijnym kalendarzu. Wierni oczekiwali prawdziwie podniosłych słów. Julie słyszała, jak ojciec zwierzał się matce ze swych obaw, czy wszystko pójdzie dobrze. Tego dnia nie mógł się pomylić.

Julie pogłaskała lekki jak bibułka materiał sukienki, z upodobaniem wsłuchując się w jego szelest. W poprzedniej parafii ojca, w Mobile, coś się nie udało. Julie nie miała pojęcia, o co chodzi, wiedziała tylko, że któreś nocy przyszli do ojca jacyś mężczyźni, a po ich wyjściu mama bardzo płakała.

Wkrótce potem przenieśli się do Thistledown, do parafii baptystów. Zachwycona Julie znów się zakręciła. Najchętniej stroiłaby się tak każdego dnia. Obiecała sobie wtedy, że będzie tak robić, kiedy dorośnie. Przechylając główkę, uśmiechnęła się do swojego lustrzanego odbicia. Poprawiała włosy i wydymała usta, jak aktorka, która reklamuje szampon, i zastanawiała się, czy spodoba się koleżankom. Pomyślała z nadzieją, że może uda jej się podczas pikniku znaleźć przyjaciółkę.

- Co ty robisz?

Gniewny głos ojca zmroził dziewczynkę. Opuściła ręce i powoli obróciła ku niemu twarz.

- Nic, tatusiu - szepnęła. Zbliżył się do niej wzburzony.

- Jeszcze raz cię pytam, córeczko, co robiłaś?

Łzy i strach zaciskały jej gardło. Nienawidziła takiego ojca, wzbudzał w niej strach. Nie wiedziała, jakiej odpowiedzi oczekuje, ani tego, czym go rozzłościła.

- Ja... tylko się szykuję... do kościoła, tatusiu.

- Linda! - wrzasnął, a od koloratki w górę zaczęła go zalewać purpura.

Julie mimowolnie odsunęła się.

- Tatusiu, nie robiłam nic...

- Próżność jest dziełem szatana - stwierdził. - Kusi nas, nagabuje, przypochebia się nam, aż zaczynamy kochać siebie bardziej niż Pana Boga.

Julie potrząsnęła głową.

- Nie, tatusiu, ja nie...

Przemierzył pokój tak szybko, że nie zdążyła odpowiedzieć. Zerwał jej kapelusik, wrywając przy okazji kilka włosów. Zapłakała z bólu.

- Nie okłamuj mnie! Widzę diabła w twoich oczach. Widzę twoje samouwielbienie!

- Nie, tatusiu, proszę...

Rzucił się na jej sukienkę i zerwał ją z niej przez głowę. Słyszała odgłos rozdzierającego się delikatnego materiału, który bolał jak uderzenie.

Szlochając, zakrywała się, bo została tylko w bieliźnie i rajstopach.

- Nie, proszę... nie chciałam być zła - błagała. - Daj mi jeszcze szansę, proszę, ja...

Odwrócił ją do lustra, przyciskając jej ręce do boków, żeby czuła swoje półnagie ciało.

- Przypatrz się sobie, grzesznico. - Potrząsnął nią mocno. - I co tu jest do podziwiania? Bez Boga jesteś tylko nieczystym ciałem!

Julie usłyszała zdenerwowany głos matki i śmiech braci. Ojciec puścił ją, upadła na podłogę. Matka stała w drzwiach, przestraszona, za nią jej bracia, którzy robili głupie miny.

Krzyk rozpaczony rósł w niej, podchodził do gardła. Julie zapanowała nad nim, powstrzymała łzy. Nie będzie się nad sobą uzalać, postanowiła.

Zdaniem ojca był to kolejny wyraz próżności, inna forma miłości własnej, przewyższającej umiłowanie Boga.

Ojciec nakazał matce, żeby znalazła Julie skromniejsze ubranie, coś, co nie będzie kusiło do zejścia ze ścieżki prawdy.

Naznaczona grzechem próżności, Julie poszła do kościoła w zwykłym brązowym swetrze i rozdeptanych butach. Zamiast zachęcających uśmiechów miejscowych dzieci, powitały ją zdumione spojrzenia, które prześlizgiwały się po niej, nikt bowiem nie mógł pojąć, czemuż w ten najświętszy dzień roku córka wielebnego ubrała się w taki sposób.

No i szybko się dowiedzieli, bo wielebny ojciec zaraz wszystkim to wyjaśnił w swym porywającym kazaniu, a jego ognisty wzrok co i rusz powracał do córki.

- Jesteście grzesznikami! - Głos pastora niósł się przez kościół, aż ludzie wokół Julie poczuli się nieswojo. - Pan oddał za was życie! Za wasze grzechy. Umarł, żebyście mogli żyć. - Zrobił pauzę, po czym uniósł pięść i uderzył nią w pulpit dramatycznym gestem. - Grzesznicy! - krzyczał, przenosząc spojrzenie na Julie i przybijając ją wzrokiem do ławki. Wskazał na nią palcem, prosto na nią. - Grzesznica - powtórzył nieco ciszej. I znów wrzasnął: - Grzesznica!

Julie robiło się na zmianę gorąco i zimno. Łzy ciekły jej ciurkiem, jak najgłębiej zanurzyła się w ławce. Słyszała biegnące przez kościół szepty i poczuła, jak odsuwają się od niej ludzie, jakby mogli się czymś zarazić. Nie znali jej dotąd, lecz teraz już wiedzieli, kim jest. Ona także dowiedziała się czegoś o sobie.

Nieczyste ciało i haniebna, zgniła dusza, naznaczona przez grzech. To było dawno, ale wracało, a terażniejszość tylko to potwierdzała. Gdyby była ze mną Andie lub Raven, myślała Julie, mogłabym porozmawiać o czymś, pożartować, i zapomniałabym, kim byłam i kim jestem. Bo przyjaciółki nie miały jej nic do zarzucenia.

Przez krótką chwilę uwierzyła, że mają rację.

Ale i ta chwila minęła. Julie przytuliła się do poduszki z bolesną tęsknotą za przyjaciółkami, choć wiedziała, że nikt jej nie pomoże, nawet Bóg. Wiedziała o tym, bo długo się modliła, a szatan mimo to wciąż na nią czyhał.

Obawiała się, że pewnego dnia Księżę Ciemności weźmie ją w posiadanie i wtedy będzie już na zawsze stracona.



## **ROZDZIAŁ DZIESIĄTY**

Andie siedziała przy stole, jeszcze raz układając sobie w głowie to, co zamierzała wyznać matce, a nad czym przemyśliwała przez całą noc.

Czuła, że musi jej powiedzieć, czego była świadkiem.

Splotła ręce na kolanach, żeby wyglądać na spokojną, choć nie potrafiła zapanować nad walącym sercem. Całą noc przewracała się z boku na bok, za nic nie mogąc się pozbyć obrazu kobiety z zawiązanymi oczami ani mężczyzny, który siedział niczym król, niepodzielny i absolutny władca stojącej przed nim kobiety. Zawłaszczył jej duszę, bezwzględnie rządził jej ciałem...

Daniel i Pete przebiegli przez kuchenne drzwi, goniąc się z wodnymi pistoletami w dłoniach i skręcając się ze śmiechu. Andie podskoczyła.

- Hej! - krzyknęła za nimi. - Spokój tam, bo obudzicie mamę.

- Już nie śpię. - Marge weszła do kuchni. Szurała nogami, ręką trzymała się za czoło. Skierowała się w stronę dzbanka z kawą, wyjęła kubek z wiszącej szafki i napełniła go zimną breją z poprzedniego dnia. Włożyła kubek do mikrofalówki.

Kiedy mieszkał z nimi ojciec, zawsze rano była

świeża kawa. Jej zapach wypełniał nozdrza na powitanie dnia i dawał poczucie bezpieczeństwa.

Po chwili matka wyjęła z kuchenki mikrofalowej dymiący, gorzko pachnący kubek i podeszła do stołu. Usiadła z westchnieniem.

Andie zerknęła na nią kątem oka. Nie była wcale pewna, czy postępuje właściwie, w końcu dała słowo przyjaciółkom. Zgodziła się, że powinny dowiedzieć się czegoś więcej, zanim którakolwiek z nich przekaże dalej informację o tajemniczej parze. Pełna wahań, żuła czubek kciuka. Nie, poprzedniej nocy nie myślały logicznie, stwierdziła. Teraz była już pewna, że w tamtym domu naprawdę działo się coś złego.

Ponownie rzuciła w stronę matki ukradkowe spojrzenie. Wydawało się, że Marge nie zauważa obecności córki, tylko patrzyła przed siebie z takim smutkiem, że Andie zabolalo serce.

- Mamusiu? - odezwała się łagodnie, a kiedy nie zareagowała, spróbowała raz jeszcze, tylko głośniejsze.

Matka wzdrygnęła się.

- Wybacz, kochanie. O co chodzi?

- Dobrze się czujesz?

Marge Bennett uśmiechnęła się. Andie wiedziała, że nie było to spontaniczne i szczere.

- Dobrze. Jestem tylko troszkę... zmęczona. Źle sypiam i... - Zawiesiła głos. - Ciężko mi, wiesz? Myślałam, że będziemy z ojcem... że będziemy zawsze razem. Uważałam, że jesteśmy... szczęśliwi. Ja byłam szczęśliwa.

- Zamilkła na moment, spojrzała w okno, za którym wstawał pogodny dzień. - Ciągle go kocham.

Andie spojrzała z wielkim bólem na matkę. W dziewczynie wprost kłębiła się wściekłość na ojca. I głęboka, czarna jak noc uraza.

Jak on mógł im to zrobić? Swoim dzieciom, które go

ubóstwiały? I swojej żonie, która tak go kochała? I nadal kocha?

Marge odwróciła się do córki. Położyła rękę na jej dłoni.

- Przepraszam cię, nie powinnam była tak mówić.

- Nie przepraszaj, mamo, to jego wina. To on...

- Nie - ucięła matka. - Nie powinnam była mówić ci takich rzeczy. Ani teraz, ani tego wieczoru, kiedy on... powiadomił nas, że opuszcza dom. Źle to rozegrałam. Wszystko inne zresztą też. - Westchnęła. - Tak mnie zranił, że chciałam mu odpłacić tym samym i posłużyłam się wami, dziećmi, jego miłością do was.

- Mamusiu, proszę.

- Nie, kochanie, postąpiłam źle i bardzo niedojrzale. Ojciec bardzo cię kocha, tak samo jak twoich braci.

- To czemu nas zostawił?

Matka milczała przez moment, potem uniosła ramiona w bezradnym geście.

- Nikt nie jest doskonały.

- Nigdy mu nie wybaczę.

- Owszem, wybaczysz. - Dotknęła policzka córki. - Wybaczysz.

Kiedy Andie otworzyła usta, żeby zaprotestować, matka pokręciła głową.

- Wiem, że dla ciebie, dla was, to bardzo trudne doświadczenie. -

Pochyliła się i oparła na chwilę czoło o głowę Andie. - Dziękuję ci, bardzo mi pomogłaś przez ostatnie tygodnie. Jesteś bardzo dobrą córką. - Ścisnęła dłoń dziewczyny. - Ale chyba chcesz mi coś powiedzieć, prawda?

Andie skurczyła się. Jak mogła teraz oświadczyć matce, że ona, ta dobra córka, włamuje się do cudzych domów i podgląda parę, która uprawia zboczony seks? Wyobrazila sobie twarz matki, jej wielkie zdumienie

i przerażenie. To była ostatnia rzecz, jakiej Marge w tej chwili potrzebowała. Jeszcze jedno zmartwienie, jeszcze jedno ogromne rozczarowanie.

Nie, za nic nie mogła tego powiedzieć. Nie zrobi tego.

Zmusiła się do uśmiechu.

- Chodzi tylko o to, że Sarah Connors urządza prywatkę i nie wiem, w co się ubrać. Poradzisz mi? To nic pilnego.

- Na pewno? Możemy od razu zajrzeć do twojej szafy i skomponować jakiś...

- Naprawdę nie trzeba. - Andie wstała, nachyliła się i ucałowała matkę w policzek. - Sama dam sobie radę.

## **ROZDZIAŁ JEDENASTY**

Pan i pani X, jak Andie i jej przyjaciółki nazwały tajemniczą parę, więcej się nie pokazali. Po tygodniu dziewczęta doszły do wniosku, że spotykają się wyłącznie w nocy, więc zrezygnowały z dziennych obserwacji i powróciły do normalnych letnich zajęć.

Znów zaczęły chodzić do centrum handlowego, do kina i na prywatki, i Andie niemal uwierzyła, że to normalne lato, a między nią i jej najlepszymi przyjaciółkami wszystko jest jak dawniej.

Faktycznie jednak od tamtej nocy, kiedy podglądały przez okno, nic nie było już takie samo. Dotyczyło to również ich przyjaźni.

Andie zerknęła to na Raven, to na Julie. Siedziały na drzewie, zatopione w myślach. Raven nie obchodziło teraz nic oprócz ich misji, była nią pochłonięta w przerażającym stopniu. Julie natomiast stała się jeszcze bardziej trzpiotowata i roztrzepana. Zdarzały jej się dni, kiedy ani na chwilę nie przestawała się śmiać, a z drugiej strony często nie potrafiła spojrzeć przyjaciółkom w oczy.

Będąc w tak przeciwstawnych nastrojach, Raven i Julie co i rusz skakały sobie do gardła.

Andie nerwy odmawiały posłuszeństwa na myśl

o pani i panu X. Myślała o nich cały czas, a każdy dzień budził w niej lęk przed nocą. Bała się potwornie, wymykając się z domu i obejmując nocną wartę na drzewie. Nie chciała więcej oglądać tamtej pary, pragnęła, żeby ci ludzie na zawsze znikli zarówno z jej życia, jak i z życia jej przyjaciółek.

Jeżeli tak się nie stanie, wydarzy się coś złego.

Andie zadrżała, pomimo ciepłej nocy ogarnął ją chłód. Podniosła wzrok na przyjaciółki. Zadumana Julie patrzyła przed siebie, natomiast Raven, skupiona niczym kot czyhający na ofiarę, lornetką lustrowała sąsiedni dom.

- Dobrze się czujecie? Raven opuściła lornetkę.

- Dobrze, czemu pytasz?

- Nie odzywacie się.

Julie zaśmiała się, Raven syknęła ze złością, i znów zapadła cisza.

- Może chodźmy stąd - zaproponowała wreszcie Andie.

- O co ci chodzi? Dopiero co przyszliśmy - rzekła Raven.

- Siedzimy już dość długo - powiedziała Andie. - Oni nie przyjdą.

- Skąd wiesz?

- Mam takie przeczucie.

- A ja sądzę, że przyjdą.

- Dobrze - odparła Andie z irytacją. - No to poczekajmy jeszcze chwilę.

- Andie - szepnęła Julie - spotkałam dzisiaj na basenie fantastycznego chłopaka. - Zaśmiała się nerwowo. - Miałam na sobie ten koszmaryny kostium od babci, który każe mi nosić tato, więc nawet nie zdjęłam szlafroka, tylko tak siedzieliśmy i gadali, a moi bracia pływali.

Andie spojrzała na Raven, potem na Julie.

- Jak się nazywa ten chłopak?

- Bryce. Mówię ci, jest super.

- Ale chyba nic z nim nie robiłaś? - spytała Raven, nie odwracając spojrzenia od domu.

Julie zjeżyła się.

- Przy braciach, przy tych wszystkich ludziach? Nie, nie puściłam się.

- Z tobą to nigdy nie wiadomo. Dotknięta do żywego, Julie warknęła:

- Co masz na myśli?

Raven spojrzała na nią znad lornetki.

- Czasami wydaje mi się, że obchodzą cię wyłącznie faceci i pieprzenie.

- Zostaw ją, Rave. - Andie wpadła w złość. - To i tak nic w porównaniu z tym, czym ty się zajmujesz.

- O co ci chodzi?

- A o to - odparła, wskazując na dom. - Od pierwszej nocy myślisz wyłącznie o tym. Jesteś tym opętana.

- Nieprawda! Chcę się tylko dowiedzieć, co się tu dzieje. Chyba obleciał cię strach.

- Wcale nie. - Andie nie mieściło się w głowie, że tak się kłóca. - Mam tylko przeczucie, że kryje się za tym coś bardzo dla nas złego.

Julie szeroko otworzyła oczy.

- Co takiego?

- Tchórzliwe baby, tchórzliwe baby! - zadrwiła Raven.

- Przestań! - krzyknęła Andie, gramoląc się na nogi i patrząc z góry na przyjaciółkę. - Wkurzasz mnie!

- Nie kłóćcie się - zakwiliła Julie.

Nie zwracając na nią uwagi, Raven podniosła się i stanęła twarzą w twarz z Andie.

- A mnie robi się niedobrze od twojego skamlania.

- Skamlania!

- A tak. Stwierdziłyśmy, że pan X to zboczeniec i że będziemy go śledzić. Umówiłyśmy się.

- No i źle zrobiłyśmy. To głupi pomysł.

- Mdw za siebie. - Raven zacisnęła pięści. - Wydaje ci się, że jak twoi rodzice się rozchodzą, to wszyscy mają ci ustępować. Nie jesteś jedyną osobą, która ma schrzanione życie rodzinne, wiesz? Witaj w klubie! Andie drgnęła i odsunęła się.

- Jak możesz tak do mnie mówić? Wiesz, jak bardzo... - Zawiesiła głos, rozplakała się.

Chciała wyrwać Raven lornetkę i uciec do domu, ale w tym samym momencie poderwała się Julie. Andie wpadła na nią i Julie straciła równowagę.

Andie patrzyła teraz, jak Julie rozkłada ramiona, żeby nie upaść, jakby oglądała film w zwolnionym tempie. Z krzykiem wyciągnęła ręce, ale spóźniła się. Julie przechyliła się i spadła na ziemię. Wylądowała na boku z przeraźliwym hukiem. Leżała z otwartymi oczami, kompletnie bez ruchu.

- Julie! - krzyknęła Andie. - Nic ci się nie stało? Nie było odpowiedzi. Andie i Raven pospieszyły na dół po drabinie. Uklękły obok przyjaciółki.

- Nic ci nie jest? - pytała znów Andie drżącym głosem. - Proszę... powiedz, że nic ci nie jest.

- Chyba... nic mi nie jest - odezwała się wreszcie Julie. - Ale boję się ruszyć.

- To się nie ruszaj - powiedziała Andie. - Złap oddech. - Spojrzała na Raven i zobaczyła w jej oczach odbicie własnego strachu.

- Muszę wstać - wyszeptała Julie. - Bo gdyby mi się coś stało, ojciec dowiedziałby się, co robimy. A wtedy by mnie zabił. - Rozszłochała się rozpaczliwie.



- Niczego się nie dowie. - Raven uścisnęła jej rękę.
  - Nie pozwolę na to, obiecuję.
  - Zobaczmy, czy niczego sobie nie złamałaś - rzekła Andie.
- Ostrożnie sprawdziły ręce i nogi Julie, poruszyły delikatnie jej głowę, palcami u stóp i rąk, potem pomogły jej usiąść. Wiedziały już, że nic poważnego jej się nie stało. Doznała tylko wstrząsu.
- Bardzo... bardzo cię przepraszam, Julie. Nie chciałam - powiedziała Andie.
  - To był wypadek. - Julie wciągnęła powietrze.
  - Dostyc kłótni. Jesteśmy najlepszymi przyjaciółkami i nie możemy tak siebie traktować.
  - Julie ma rację, Rave - poparła ją Andie. - Widzisz, co się z nami dzieje? Zmieniłyśmy się. Odkąd to się zaczęło, ciągle się kłócimy. Albo ze sobą nie rozmawiamy. Ta sprawa nas rozdziela.
- Raven patrzyła na nią przez dłuższą chwilę, po czym odwróciła wzrok.
- Chciałam tylko wiedzieć, kto to jest.
  - Wiem - rzekła miękko Andie, dotykając jej ramienia. - Ale ranimy się przez to. Nie chcę was stracić.
  - Rave - prosiła Julie - bądźmy takie jak dawniej. Raven spojrzała na przyjaciółki, a potem skinęła głową.
  - Dobrze. Zaczynamy od nowa, jakby nic się nie stało.

## **ROZDZIAŁ DWUNASTY**

Ale Raven nie miała najmniejszego zamiaru wyrzucać z pamięci pana i pani X. Andie mogła sobie mówić, co chciała, lecz Raven była przekonana, że jej przyjaciółka absolutnie nie miała racji. Niestety, niczego nie potrafiła zrozumieć, podobnie zresztą jak Julie. Żadna z nich nie dostrzegała, jak wielkie ma znaczenie to, co im się przytrafiło.

Dziwnym zrzędzeniem losu otrzymały wielką szansę, której nie powinny zmarnować. Bo oto otwarto przed nimi drzwi.

Drzwi do tajemnicy. Wskazano im drogę wiodącą ku jej rozwiązaniu.

Ona to widziała, zrozumiała.

Bo była silna, jak zresztą zawsze. Andie należała do słabeuszy, którzy wszystkim dobrze życzą, lecz nie potrafią walczyć o swoje. Natomiast Julie... cóż, miała bzika na punkcie chłopaków... czy to jeszcze bzik, czy już kurestwo?... no i łatwo ulegała różnym wpływom.

Lecz w tym wypadku Julie pójdzie za nią.

Raven postanowiła, że będą z Julie kontynuować nocne warty przed numerem dwunastym na Mockingbird Lane. Będą dalej obserwować i Raven dowie się, o co tu naprawdę chodzi. Dzięki temu pewnego dnia ochroni ich trójkę, uratuje swoją jedyną rodzinę.

Raven nie wiedziała, kiedy ani przed czym będą musiały się bronić, czuła jednak, że znajdzie taką potrzebę.

Oznaczało to, że trzeba będzie okłamać Andie. Nie miała na to najmniejszej ochoty, ale zrobi to dla jej dobra. Cel uświęca środki, pomyślała. Ktoś musi podejmować trudne decyzje, a z ich trójki tylko ona to potrafiła.

Zadzwoiła do Julie i tak jak przewidziała, przyjaciółka niemal bez wahania podpisała się pod jej pomysłem. Umówiły się na nocne spotkanie.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Julie wymknęła się z domu, gdy tylko jej rodzina pogrążyła się we śnie. Uzgodniły z Raven, że będą czekać na państwa X dwie godziny. Nie było to długo, ale kiedy już znalazły się na posterunku, minuty płynęły rozpaczliwie powoli. Julie nie mogła usiedzieć, kręciła <sup>si?</sup>» w jej głowie panował chaos. Myślała o Andie, o pani X, o swoich koszmarach i swoim ojcu. No i o szatanie. Była rozdarta między ożywieniem i poczuciem winy, wstydem i podnieceniem. Nieudolnie starała się ukryć swoje emocje przed Raven. A przecież, jeżeli będzie się to ciągnąć, przyjaciółki na pewno i tak wszystkiego się o niej dowiedzą.

- Nie pokażą się - szepnęła zakłopotana, zerkając przez ramię, jakby ktoś je podsłuchiwał. - Chodźmy stąd.

Raven zniżyła lornetkę.

- Jeszcze nie minęły dwie godziny - powiedziała oschle.

- Wiem, ale...

- Ciii. Patrz, samochód!

To prawda, ulicą nadjechało auto i skręciło w zjazd do numeru dwanaście. Automatyczne drzwi garażu otworzyły się i po chwili zamknęły.

Julie z emocji zaschło w ustach.

- Czy to on?

- Ona - poprawiła ją Raven, patrząc przez lornetkę.

- Ona? A gdzie pan X?

- Pewnie się spóźni. Poczekajmy jeszcze chwilkę, na pewno zaraz się zjawi.

Czekały. Pięć minut. Dziesięć. Raven potrząsnęła głową.

- Coś mi tu nie gra. Powinien już tu być.

- Może przyjechał razem z nią, schowany na tylnym siedzeniu?

Wymieniły spojrzenia i zeszły na dół. Przeszły zadrzewionym parkingiem na tyły domu.

Wtedy ją zobaczyły. Pani X była sama. Stała naga z zawiązanymi oczami, bez ruchu, na środku wielkiego pokoju. Czekala.

Skonfundowana Julie gapiła się na nią z niedowierzaniem. Szturchnęła przyjaciółkę.

- Co ona robi?

Raven uniosła tylko ramiona w odpowiedzi, wskazując, że nie ma bladego pojęcia. Julie ściągnęła brwi.

- To jest takie nienormalne, że zastanawiam się... Raven spojrzała na nią, kładąc palec na ustach. Julie

zatrzymała dla siebie koniec zdania. Mijały minuty, które dla niej zdały się wiecznością.

Noc była lepka i wilgotna, dziewczyny kuliły się w niewygodnej pozycji.

Koło ucha Julie bzycał komar, rozdrażniona próbowała go przepędzić.

Co ja tu robię? - pomyślała. Była znudzona, gotowała się od upału, atakowały ją komary. A mogłaby wygodnie się zwinąć we własnym łóżku. Jakie to strasznie głupie! Otworzyła usta, żeby podzielić się z Raven tą myślą, gdy przyjaciółka chwyciła ją kurczowo za rękę.

- On tam jest - szepnęła.

Z duszą na ramieniu Julie zajrzała przez okno. Pan X miał na sobie maskę narciarską. W dłoni trzymał sznur. Podszedł z tyłu do pani X i uniósł sznur na wysokość jej szyi, z jego pomocą brutalnie przyciągnął do siebie kobietę.

Julie zasłoniła usta. Mężczyzna pieścił tymczasem kobietę sznurem, ocierając go o jej ciało, a Julie patrzyła, jak powróż przesuwają się w dół jej ramion, prześlizguje się po piersiach i spada niżej. Wreszcie pan X wsadził go między nogi pani X, która wygięła się i otworzyła usta, choć z tej odległości nie dało się słyszeć żadnego dźwięku.

Oddech Julie był krótki i przyspieszony. Policzki paliły ją, sutki stwardniały. Zamknęła oczy.

Kiedy je znów otworzyła, pan X związywał ręce kobiety, która nie stawiała żadnego oporu. Julie nie potrafiła tego pojąć, w głowie czuła zamęt.

Czyżby ta kobieta była jego własnością? - myślała. I dlatego może z nią robić, co mu się żywnie podoba? A może ona kocha go tak ślepią miłością?

Tę ewentualność Julie dobrze rozumiała. Wiedziała, że sama mogłaby ulec takiemu uczuciu, wymagającemu podobnych... ofiar? A może dla tej kobiety to jedyna droga do szczęścia?

Była taka sama jak pani X.

Szczególnie w snach.

W najskrytszych marzeniach.

Pan X zmusił kobietę, żeby uklękła, a potem jednoznacznie gestem rozpiął spodnie i wyciągnął swoje nabrzmięte przyrodzenie. Zanurzył dłonie w jej włosach i zmusił ją, żeby wzięła penisa do ust.

Julie jęknęła cicho. Była wilgotna. Palił ją wstyd, poczucie winy i pożądanie.

Kucnęła, nie była w stanie dłużej podglądać tajemniczej pary. Schowała twarz w dłoniach.

Jest zła. To wszystko jest złe. Za każdym zamknięciem oczu wyobrażała sobie, że pani X ma jej twarz.

Andie miała rację, nie powinny były tu przychodzić. Usmaży się w piekle, dokładnie tak, jak mówi jej ojciec.

- Musimy iść - szepnęła. - Raven, proszę. - Chwyciła przyjaciółkę za rękę.

- Raven, proszę, proszę cię.

Przyjaciółka spojrzała na nią. W oczach miała coś dziwnego, jakąś osobliwą gorączkę. Patrzyła na Julie, jakby jej nie poznawała, potem przytaknęła w milczeniu i nie odezwała się ani słowem aż do domu Julie.

Tam dotknęła jej policzka.

- Wszystko będzie dobrze - wyszeptała. - Już ja się o to postaram.

Julie przytrzymała jej spojrzenie, pokiwała głową i wśliznęła się do domu. Pomyślała z rozpaczą, że od tej pory nic już nie będzie dobrze.

## **ROZDZIAŁ CZTERNASTY**

Kolejny tydzień wydał się Julie wyjątkowo mętny. W ciągu dnia udawała dobrą córkę i normalną piętnastolatkę, zaś nocami tkwiła pod oknem domu numer dwanaście na Mockingbird Lane i podglądała coś, co ją na przemian szokowało i podniecało.

Żyła w nieustannym strachu, że jej ojciec dowie się o wszystkim, i sama próbowała poradzić sobie z tym, co widziała. Czasem pan X zachowywał się jak czuły, układny kochanek, o jakim marzyła, lecz następnego dnia stawał się okrutny. Torturował kobietę swoją obojętnością, kazał jej człgać się i błagać. Brał ją wtedy w każdej wybranej przez siebie pozycji, nie zważając na ból, który mógł jej sprawiać.

Julie stwierdziła, że mężczyzna jest diabłem. Który ją kusił.

Leżała na swoim łóżku, gapiąc się w sufit, zbyt przelękniona, by zamknąć oczy. Bała się, że jeśli to zrobi, znowu zamieni się w panią X.

A tego rozpaczliwie nie chciała. Nie chciała, by... to... sprawiało jej rozkosz.

Lecz tak właśnie było. Patrzyła zafascynowana, jednocześnie się tym brzydząc. Ze wstrętem oglądała parę zboczeńców, i chciała być taka sama. Oburzała się na



panią X, że godzi się na takie traktowanie, i jednocześnie pragnęła być na jej miejscu. Gdy przestawała się kontrolować, świetnie rozumiała tę kobietę, wręcz stawała się nią.

To właśnie przerażało ją najbardziej.

Bała się. Działo się z nią coś koszmarnego. Nie była już tą samą osobą, jej życie tak straszliwie się odmieniło.

Poznała coś i obawiała się o swoją przyszłość.

Bała się, że jest taka sama jak pani X. Wiedziała to.

Pragnęła odwrócić bieg zdarzeń, zapomnieć o wszystkim. Drżała też o panią X. Tej nocy pan X brutalnie ją zgwałcił, sadystycznie wyżył się na niej, a potem zostawił związaną.

Poszedł do garażu, wsiadł do samochodu i odjechał.

Julie i Raven czekały jeszcze pół godziny. Nie wrócił. Julie zaproponowała, żeby weszły do środka i uwolniły panią X, ale Raven tylko z niej zakpiła.

- To część ich gry - powiedziała - a ty się za bardzo przejmujesz.

Julie zapaliła lampkę na nocnym stoliku. Stała na nim fotografia przedstawiające trzy objęte i roześmiane przyjaciółki, bawiące się na kempingu.

Teraz Julie nie potrafiła spojrzeć Andie w oczy, a z Raven prawie nie rozmawiała. Jakby rozdzieliła je jakaś szklana ściana: widywały się, ale nie miały ze sobą kontaktu. Nie śmiały się już razem, nie szeptały, nie dzieliły najskrytszymi sekretami.

Teraz każda chowała swoje tajemnice dla siebie.

To je rozdzielało. Julie ogromnie pragnęła to zmienić, wiedziała jednak, że nie jest to możliwe.

## **ROZDZIAŁ PIĘTNASTY**

Andie starała się nie myśleć o tajemniczej parze. Nadaremnie. Rzuciła się w wir letnich zajęć i towarzyskich spotkań, ale obraz kobiety klęczącej przed mężczyzną wciąż ją nawiedzał.

Gdyby przynajmniej rozumiała, co nimi powoduje, gdyby mogła wyobrazić sobie, dlaczego ta kobieta pozwala tak się traktować.

Wówczas mogłaby o tym zapomnieć i żyć dalej.

Jeśli jednak nie odkryje tej tajemnicy, może oszaleć.

Przypomniało jej się, jak Julie wspomniała, że czytała o takich rzeczach w książce o seksualnych zbrodniach. Postanowiła wybrać się więc do biblioteki publicznej w Thistledown i znaleźć rozwiązanie swoich problemów.

Znalazła jednak bardzo niewiele informacji. Zdenerwowała się, bo nie chciała prosić bibliotekarki o pomoc, a sama sobie nie radziła.

Thistledown było małą dziurą, bibliotekarka знаła Andie, a co istotniejsze, znała też jej rodziców.

Nie spodziewając się więc, że matka bardzo się za nią stęskni, Andie odbyła dwugodzinną autobusową przejażdżkę do Uniwersytetu stanu Missouri. W tamtejszej, pękającej w szwach bibliotece, znalazła więcej wiado-

mości, niż była w stanie przeczytać do odjazdu ostatniego autobusu powrotnego. Bibliotekarka nawet nie mrugnęła, słysząc prośbę Andie, i skierowała ją do działu psychologii. Wyjaśniła, jak posługiwać się mikrofisz-kami i jak odnaleźć właściwy periodyk.

Andie dowiedziała się, że seksualna dewiacja jest zachowaniem odbiegającym od społecznie akceptowanej normy. Niektórzy ludzie lubią, kiedy ktoś dominuje nad nimi w akcie seksualnym, inni znajdują przyjemność w karaniu partnera lub byciu karanym. Ból, poniżenie i bezbronność, jak przeczytała, są dla tych osób podniecające. Niektórzy tylko dzięki nim odczuwają seksualną satysfakcję.

Brak było zgodnej opinii co do powodów podobnych odczuć i zachowań. Różne teorie odwoływały się do traumatycznych przeżyć w dzieciństwie, wpływów środowiskowych i genetyki. Powszechnie zgadzano się w jednym: dewiacje seksualne występują w każdej kulturze, a ich świadectwa znaleźć można w najstarszych dostępnych źródłach.

Lektura niezbyt zbliżyła Andie do zrozumienia ponurych faktów, dała jej tylko odrobinę więcej pewności. Dziewczyna spojrzała na zegarek, został jej czas na przeczytanie najwyżej jednego artykułu. Czuła już w głowie mętlik od nadmiaru lektury, ale nie rezygnowała. Chciała dowiedzieć się jak najwięcej.

Zaczęła przekartkować tekst i natychmiast jedno ze zdań uderzyło ją w oczy. Zatrzymała się na nim, a jej świat zachwiało się.

„Są osoby, dla których śmierć jest najwyższym seksualnym spełnieniem”. Opanował ją taki lęk, że z trudem dawała sobie z nim radę. Gdy wreszcie zdołała się nieco uspokoić, dokładnie przeczytała artykuł do końca.

Podobne przypadki,

pisano, są rzadkie, choć wiele z nich zostało udokumentowanych. Pewien mężczyzna zabił cztery partnerki w ciągu trzech lat, zanim go złapano. W czasie badań psychologicznych przed procesem uparcie twierdził, że jego partnerki zgodziły się być ofiarami, że wspólnie z nim planowały swoje ostatnie chwile, oraz że znajdowały w tym najwyższą rozkosz, podobnie jak on. Artykuł zilustrowano kilkoma czarno-białymi fotografiami.

Andie oglądała je, a żołądek podchodził jej do gardła. Miała rację, bojąc się o panią X. Ta kobieta była w wielkim niebezpieczeństwie.

Na kserokopiarce powieliła artykuł wraz ze zdjęciami. Pokaże go Raven i Julie, postanowiła, żeby i do nich dotarło, co grozi pani X.

Muszą bezwarunkowo powiedzieć o wszystkim rodzicom, po prostu muszą.

## **ROZDZIAŁ SZESNASTY**

Andie, gdy tylko dotarła do domu, natychmiast zadzwoniła do swoich przyjaciółek i umówiła się z nimi w szopie. Powiedziała, że to sprawa nie cierpiąca zwłoki i muszą natychmiast bez świadków poważnie porozmawiać.

W ciągu dwudziestu minut trzy dziewczyny siedziały po turecku na podłodze szopy. Julie była zdenerwowana, Raven zaciekawiona. Andie zdała sobie sprawę, że w ciągu minionych dwóch dni nie zamieniła z nimi prawie ani słowa.

Nie czekając na pytania, Andie opowiedziała o wycieczce do biblioteki uniwersyteckiej, szczegółowo opisując swoje odkrycia, kończąc zaś najbardziej niweczającą spokój informacją.

- Patrzcie. - Wyciągnęła kartkę z kieszeni i wręczyła przyjaciółkom drżącą ręką. - Wcale nie przesadziliśmy, naprawdę jest się czego bać. Ten facet zwiastuje złą nowinę.

Julie patrzyła na kartkę wytrzeszczonym wzrokiem.

- Myślisz, że... że on ją zabije?

- Myślę, że to bardzo prawdopodobne.

- O Boże! - Julie objęła ramionami podciągnięte pod brodę kolana i spojrzała błagalnie na Raven. Ta

obdarzyła ją ostrzegawczym spojrzeniem. Julie tylko stęknęła i przycisnęła policzek do kolana.

Andie obserwowała to ze ściągniętymi brwiami.

- O co chodzi?

- O nic - odparła gładko Raven. Oddała jej artykuł.

— To niczego nie dowodzi.

- Mylisz się. To dowodzi, że on może ją skrzywdzić, więc nam nie wolno siedzieć z założonymi rękami. Musimy powiedzieć naszym...

- Rodzicom? - podpowiedziała Raven. - Nie sądzę.

- A gdy Andie otworzyła usta, żeby zaprotestować, Raven powiedziała szybko: - Tej kobiecie to się podoba. Jeżeli ona się nie boi, dlaczego mamy się dla niej wystawiać?

- Ale tu jest napisane...

- Że czasami osoba dominująca nie potrafi się zatrzymać i zabija partnera. Wiem. - Raven przeglądała znów zadrukowane strony. - Nie ma tu słowa o tym, jak często się to zdarza, Andie. Może raz na milion.

- A jeżeli to właśnie jest ten raz?

Julie podniosła głowę z wyrazem przerażenia na twarzy.

- Raven... musimy. Zignorowała ją.

- To jest Thistledown, Andie. Nie żaden Nowy Jork, nawet nie St. Louis. Tu się takie rzeczy nie zdarzają. Poza tym wyobrażasz sobie, jak zareagowałby ojciec Julie, gdyby się dowiedział? Wyobrażasz sobie, co zrobiłby mój ojciec?

Gdy Julie zaczęła kwilić jak dziecko, Andie zerknęła na nią z troską.

- Dobrze, powiem mamie, że sama to widziałam.

- Myślisz, że ci uwierzy? Prawie się nie rozstajemy przez całe lato.

Andie zacisnęła wargi. Do tej pory prawie zawsze we wszystkim się zgadzały. Czuła się teraz jak na procesie, w którym ona jest osądzana, a przyjaciółki wydają wyrok. Nie mogła pojąć, dlaczego mają tak odmienne od niej zdanie. Nerwowo szukała jakiegoś rozwiązania, które zadowoliloby je wszystkie.

- A może pójdziemy od razu na policję? Każemy im obiecać, że nie powiedzą nic rodzicom.

- To się nie uda - utraciła ją Raven. - Jesteśmy nieletnie. Pierwszą rzeczą, jaką zrobi policja, będzie rozmowa z naszymi rodzicami. Tak to działa. I wtedy koniec z nami, mamy przechlapane. Rozdzielą nas, wyślą do jakichś szkół z internatem. I za co? Z powodu twojej rozdymanej wyobraźni? Za nic.

- Nic nie mów, Andie, proszę cię! - Julie na dobre się rozbeczała. Wcisnęła twarz między kolana i kołysała się, a jej szloch brzmiał rozdzierająco.

Obrzucając Andie wściekłym spojrzeniem, Raven podeszła do Julie i objęła ją.

- Zapomnij o tym, Andie. Niepotrzebnie się rzucasz. Rozumiem, że jest ci teraz ciężko, bo twoi starzy rozwodzą się i w ogóle, ale nie wolno ci przez to schrzanić nam życia... i naszej przyjaźni.

Andie zalała się łzami.

- Ale co będzie... jeżeli coś jej się stanie?

- Może lepiej martwiłabyś się o nas, a nie o tę cholerną panią X? Chyba nam się to bardziej należy.

Julie uniosła głowę, twarz miała całą w plamy.

- Rave, a może Andie ma rację?

- Zamknij się - syknęła Raven.

- Musimy jej powiedzieć. Musimy. Andie zmartwiała.

- Co powiedzieć?

- Przepraszam, Raven - szepnęła Julie. - Ale ona

może umrzeć. - Podniosła głos. - Co zrobimy, jeśli ona nie żyje?

- Żyje, ale proszę bardzo, mdw, skoro musisz. No już, powiedz jej! -

Raven wstała i podeszła do wyjścia sporej prostokątnej dziury w ścianie. Skrzyżowała ramiona na piersi i patrzyła na przyjaciółki.

Julie zerknęła na Andie i uciekła od niej spojrzeniem.

- Raven i ja nadal ich obserwowaliśmy.

- Co? - Andie przenosiła wzrok z jednej przyjaciółki na drugą, nie wierząc własnym uszom, pewna jednak że usłyszała prawdę. - Znów tam poszłyście... po tym, jak uzgodniłyśmy, że tego nie zrobimy?

- Raven mi to wytłumaczyła - mówiła Julie, wycierając nos grzbietem dłoni. - Musiałyśmy dowiedzieć się co oni zamierzają, a nie chciałyśmy cię denerwować

- Aha.

Jej najlepsze przyjaciółki okłamały ją. Spojrzała na Raven, która patrzyła na nią wyzywająco. To było najbardziej bolesne.

- Ile razy, Julie?

- Kilka - odparła, zwieszając głowę. - Wybacz Andie. Nie chciałam.

Zacęła zaciekle mrugać, by powstrzymać łzy.

- Dlaczego teraz mi o tym mówisz? Nie lepiej dalej kłamać?

Jej rozżalenie ubodło Julie do żywego.

- Bo... boję się, że on ją zabił.

Julie ze szczegółami opisała, co widziały przez okno powiedziała Andie o sznurze, o czułości pana X, która nagle zamieniała się w brutalne okrucieństwo. Na koniec opisała opuszczoną kobietę, którą pan X zostawił z zawiązanymi oczami i skrępowanymi rękami. Działo się to dwie noce wcześniej.

- To było straszne, od tamtego czasu nie zmrużyłam



oka. Cały czas myślałam, że pani X... że on ją zabił. A teraz jeszcze ten artykuł...

Urwała, a jej słowa nieznośnym ciężarem położyły się między przyjaciółkami. Andie pobladła.

- Wróciłyście tam? No wiecie, żeby się przekonać.

- Nie - Julie zarumieniła się. - Nie mogłam, sama bym tam nie poszła.

- Rave? - Andie odwróciła się ku niej. - A ty? Raven pokręciła głową.

- Do cholery, weźcie się w garść! Ten facet nic jej nie zrobił. To tylko ich gra, chora seksualna gra.

- Ale jeżeli... - Julie z trudem wydobywała z siebie słowa. - Jeśli jej ciało... nigdy nie widziałam trupa.

Raven przewróciła oczami.

- Jezu, całkiem wam odbiło.

- Skąd wiesz?! - krzyknęła rozwścieczona Andie, stając z nią twarzą w twarz. - Kto powiedział, że zawsze masz rację? Dlaczego mamy zawsze robić to, co ty chcesz? - Pełna bólu, zniżyła głos. - Myślałam, że jesteśmy najlepszymi przyjaciółkami, że to coś znaczy.

- Jesteśmy rodziną i to jest bardzo ważne. Ja... - Raven nie mogła wydusić nic więcej, tylko zalała się łzami.

- Najlepsze przyjaciółki nie okłamują się.

- Przepraszam - wymruczała Raven, pochylając głowę, a słońce odbiło się w złotej spince, która podtrzymywała jej włosy. - Nie wiem, co mi przyszło do głowy, nie wiem... jak mogłam to zrobić. Masz rację, oni stali się moją obsesją. Wybaczcie mi?

- Oczywiście, Raven, bardzo cię kocham. Tylko nigdy więcej mi tego nie rób, to bardzo boli.

Raven, a za nią Julie, obiecały poprawę. Przyjaciółki objęły się, a kiedy znowu stanęły każda osobno, wymieniły porozumiewawcze spojrzenia, wiedząc, że nadszedł czas na podjęcie decyzji. Pierwsza zabrała głos Andie.

- Musimy sprawdzić ten dom i przekonać się, czy pani X nic się nie stało.  
Kropka.

- Kiedy?

- Trzeba by tam iść za dnia. No i żeby nie wpaść na tego faceta. - Andie sprawdziła godzinę. - Może od razu?

- Niemożliwe. - Julia spojrzała na swój zegarek. - Ojciec będzie w domu za kilka minut, czeka mnie godzina modlitwy i czytanie Biblii, a potem obiad i zmywanie.

- Rave?

- Znasz mojego staruszka, obiad to świętość. Nie dam rady przed siódmą trzydzieści.

- Ja też - dodała Julie. Andie pokiwała głową.

- A więc siódma trzydzieści. W domku na drzewie.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Andie sprawdziła czas, a jej popłoch rósł z każdym poruszeniem sekundowej wskazówki. Próbując jakoś nad tym zapanować, wyzwała się w myślach od panikar i histeryczek. O siódmej trzydzieści jest jeszcze widno, pomyślała, i tajemnicza para o tej porze raczej się nie pojawi. Wejdą do domu, upewnią się, że nie ma tam żadnych trupów, i szybko uciekną. Zajmie im to najwyżej dziesięć minut.

To będzie koniec, będą to miały za sobą. To nic takiego, powtarzała sobie Andie, poradzi sobie.

Czemu więc tak trzęsły jej się ręce? Dlaczego kręciło jej się w głowie, jakby zrobiła sześć rund wokół szkolnego boiska?

Powód był prosty, a nazywał się: strach. Bała się, że je złapią, że tajemnicza para będzie w domu, że znów zobaczy ich w trakcie... tego. Bała się, że Julie ma rację i znajdą trupa pani X. Tego by chyba nie zniosła. Sumienie nie pozwoliłoby jej żyć.

Zerknęła na zegar nad kuchennym zlewem.

Nadszedł czas. Trzeba iść.

Wytarła dłonie w dżinsowe spodnie i wzięła głęboki oddech. Wyszła z kuchni i zbliżyła się do drzwi pokoju, w którym jej matka z chłopcami śledziła jakiś

sportowy program w telewizji. Dawniej oglądał go z nimi ojciec. <sup>s</sup>

- Mamusiu?

Marge obejrzała się przez ramię.

- Już pozmywałam, polecę na chwilę spotkać się z Julie i Raven.

Matka przesłała jej półuśmiech.

- W porządku, kochanie, baw się dobrze Ładna zabawa, myślała Andie, idąc przez podwórko Raven czekała już na miejscu, Julie dołączyła do nich po kilku minutach. Andie objęła przewodzenie.

- Sprawdzamy sytuację i znikamy, dobra?

Przyjaciółki zgodziły się z nią. Ruszyły do domu

numer dwanaście. Raven wyjęła klucz z ukrycia i otworzyła drzwi.

Zanim weszły do środka, Andie złapała ją za ramię

- Sprawdzamy i znikamy - powtórzyła. - Żadnego wałęsania się.

- Żadnego wałęsania się - rzekła Raven i przekroczyła próg.

Przyjaciółki zakradły się za nią. Pierwsze, co zwróciło uwagę Andie, to nieświeży i lekko kwaśny zapach Zmarszczyła nos.

- Co to jest?

- O mój Boże.. - Julie przyłożyła dłoń do żołądka.

- Założę się, że to ona... To na pewno ona!

Raven potrząsnęła głową, a potem obrzuciła spojrzeniem pokój i sąsiadującą z nim kuchnię.

- Nie ma tu żadnego ciała. Ani ciała, ani Śladów krwi

- Roześmiała się, widząc przerażone twarze przyjaciółek- Same zaczęłyście te makabryczne poszukiwania

Szły od pokoju do pokoju, sprawdzały korytarze i schowki. Dom wyglądał dokładnie tak jak wtedy, kiedy były tu pierwszym razem.

Wreszcie dotarły do głównej sypialni, ze sklepionym sufitem i wyeksponowanymi belkami. Z jednej belki zwisał sznur. Jego koniec był zawiązany w pętlę.

Na podłodze stały dwa stołki. Jeden, wysoki, tuż pod pętlą, drugi, niższy, podobny do kuchennych stołków, które służą przy sprzątaniu wysokich kredensów, był obok.

Długą chwilę dziewczęta tylko patrzyły w milczeniu.

- Do diabła, co to ma być? - spytała wreszcie Andie.

- To znaczy, po co to wszystko?

Wymieniły spojrzenia.

- Nie podoba mi się to - stwierdziła Andie, czując gęsią skórę na ramionach. - Chcę stąd wyjść.

- Ja też.

- Rave...

Przyjaciółka zapatrzyła się na belkę i sznur. Coś w wyrazie jej twarzy przyprawiało Andie o dreszcze. Uprzytomniła sobie, że Raven nie odezwała się słowem od chwili, kiedy tu weszły.

- Rave? - powtórzyła, dotykając ręki przyjaciółki.

- Chodźmy stąd.

Dziewczyna drgnęła, jakby rozbudzona z głębokiego snu.

- Co?

- To okropne, Julie i ja znikamy stąd.

Raven nie dyskutowała. Ruszyły z powrotem tą samą drogą. Kiedy zbliżały się do drzwi, usłyszały odgłos zamykającej się bramy garażu.

Andie była bliska omdlenia i oszalałym wzrokiem rozejrzała się po pograżonym w półmroku domu. Tylko nie to, pomyślała, prawie poddając się narastającej histerii. Nie da się po raz drugi złapać w pułapkę. Chwyciła Julie za rękę i rzuciła się ku drzwiom. Pchnęła je i wyskoczyła, a za nią Julie.

Z wnętrza domu dobiegł je dźwięk kolejno otwieranych drzwi oraz męski głos, a po nim kobiecy. Andie zamknęła drzwi wejściowe i pobiegła co sił w kierunku zadrzewionej parceli, gdzie zamierzała się schronić.

Kiedy tam dotarła, schowała się za drzewo, ciężko dysząc. Wtedy zdała sobie sprawę, że nie ma z nimi Raven. Rzuciła wzrokiem dokoła.

- Gdzie Raven? - spytała spanikowana.

Julie podniosła na nią oczy pełne grozy. Obie w tym samym momencie uświadomiły sobie to samo.

Raven nie udało się uciec. Została w domu z panem i panią X.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Raven przysunęła się do szczeliny między drzwiami a framugą. Kiedy usłyszała hałas dochodzący z garażu, odwróciła się i pognęła do sypialni, gdzie schowała się w szafie.

Z kryjówki mogła dostrzec tylko fragment pokoju, za to całkiem wyraźnie widziała sznur i stołki. Oddychała głęboko i cicho, drżąc w oczekiwaniu.

Pan i pani X obejmowali się, szepcząc coś, czego Raven nie mogła zrozumieć. Pani X wydawała się poruszona, a może nawet wystraszona.

Czy to jego właśnie się boi? - zastanowiła się Raven. Czy sznura? A może jeszcze czegoś albo kogoś innego?

- Rozbierz się - powiedział cicho mężczyzna. Pani X potrząsnęła głową, przytulając się do niego.

- Nie chcę. - Jej głos załamał się. - Nie każ mi tego robić.

- Zdejmuj ubranie - powtórzył, tym razem ostro, odpychając ją. - Nie chcę cię karać, ale będę musiał.

Z bolesnym jękiem zrobiła, co jej kazał, zrzucając powoli kolejne sztuki odzieży. Wreszcie pozbyła się ostatniej i stała przed nim naga, z pochyloną głową.

- Obrączka - rzekł cicho. - Zdejmij ją.

Raven przycisnęła się do szpary, nad jej górną wargą

pojawiły się kropelki potu. Widziała, jak kobieta z trudem ściąga z palca symbol małżeństwa. Zrozumiała, że pani X jest mężatką, i że jej mężem jest inny mężczyzna.

- Należysz do mnie - powiedział pan X. - Prawda? Kobieta uniosła twarz, płakała.

- Tak - szepnęła.

Brutalnie objął jej pierś, jakby w ten sposób potwierdzał swoje prawo własności.

- Jesteś moja.

- Tak - zawtórowała mu.

- I mogę z tobą zrobić, co zechcę. Przytaknęła.

Ujął dłonią jej drugą pierś.

- Powiedz to.

- Tak, możesz ze mną robić, co zechcesz.

- Nawet zabić cię.

Te słowa ciężarem legły między nimi i straszliwym echem odbiły się w głowie Raven. Wargi miała suche jak bibułka, zaciskała palce.

Ni stąd, ni zowąd w jej głowie zabrzmiał oskarżycielki głos jej ojca:

„Oszustka, niewierna dziwka. Nie wypuszczę cię, prędzej cię zabiję!”.

Raven potrząsnęła głową, z nadzieją że w ten sposób pozbędzie się nienawistnego głosu. Tarła powieki, aż zaczęły ją palić. Kiedy opuściła ręce, pamięć powiodła ją przed inne drzwi, wiodące do jej sypialni. Miała wówczas dwanaście lat i, podobnie jak teraz, przez szparę wpatrywała się w przerażający świat dorosłych ludzi.

Słyszała ojca i matkę.

Ich ostatnią kłótnię.

Kłócili się, z przerwami, przez całą noc, aż dotarli do miejsca, z którego nie było już powrotu. Nie pierwszy raz skakali sobie do oczu i Raven doskonale wiedziała,



do czego to prowadzi. Wstała z łóżka i na palcach podeszła do drzwi.

- Pytam cię jeszcze raz - krzyczał ojciec - gdzie dzisiaj byłaś?!

Raven wyszeptała słowa ojca. Znała je na pamięć.

- Dzwoniłem i nikt nie odbierał.

- Na Boga, poszłam do sklepu, potem do pralni i do...

Słowa matki uciął ryk Rona Johnsona.

- Kłamliwa dziwka! Jak to możliwe, że byłaś w sklepie, a w domu nie ma choćby kromki chleba?

Trzasnęły drzwiczki kredensu, coś upadło na podłogę.

- A gdzie są ubrania, które przyniosłaś z pralni? Jak to wyjaśnisz?

- Zapomniałam o chlebie! A do pralni zaniiosłam swoją granatową sukienkę. W niedzielę, po mszy, wylałam na nią kawę. Nie pamiętasz?

Ojciec powiedział coś niezrozumiałego, matka łkała.

- Mam dość twoich wiecznych oskarżeń! Dość spowiadania się z każdego kroku!

- Myślisz, że mi się to podoba? - pytał ojciec. - Że z przyjemnością wracam do takiego domu? Do twoich kłamstw?

- Tak! Myślę, że to lubisz, ale ja dłużej tego nie zniosę. Słyszysz? - Głos matki zabrzmiał w wysokiej histerycznej tonacji. - Dłużej tego nie wytrzymam!

Ple ple ple. Raven była zniesmaczona. Ciągle ta sama historia na Park Lane pod numerem 123. Obróciła się, żeby wrócić do łóżka, gdy zatrzymały ją kolejne słowa matki.

- Odchodzę.

W ciszy, jaka po tym nastąpiła, to jedno słowo odbijało się niczym zwielokrotnione echo. Dziewczynka

wstrzymała oddech, czekając na odpowiedź ojca, bardziej przestraszona tonem matki niż jej słowami. Nie było w nich już bowiem rozpaczy, hysterii ani lęku, które zastąpiła zimna determinacja, jakby matka po raz pierwszy mówiła z przekonaniem. Pierwszy raz od pewnej nocy przed sześciu laty, kiedy to próbowała opuścić męża, co skończyło się wypadkiem samochodowym, którego ślad w postaci szramy na policzku nosiła Raven.

- Tylko spróbuj! - wrzasnął ojciec. - Nie pozwolę ci na to.

- Odchodzę, Ron. Nie chcę tak żyć. Nie będę więcej wysłuchiwać twoich idiotycznych zarzutów. Jesteś chory z zazdrości, a ja...

Przerwał jej przejmującym śmiechem.

- Sama jesteś sobie winna! Wciąż mnie zdradzasz i okłamujesz.

- Przestań! Zwariowałeś, potrzebujesz pomocy. Ja też musiałam być chora, bo zgodziłam się żyć z tobą w taki sposób. Ale dosyć tego, już wyzdrowiałam. To koniec.

- Ja ci powiem, kiedy będzie koniec. Rozumiesz? Ja tu decyduję.

- Zabierz ręce. Nie pozwolę się terroryzować. Raven podczołgała się do balustrady i zobaczyła, że

jej matka wyrywa się z rąk ojca i biegnie ku schodom. Raven odważyła się zerknąć na ojca i schowała się w swoim pokoju, zamykając za sobą drzwi. Była skołowana jak dziecko, któremu oznajmiono, że Święty Mikołaj nie istnieje.

Matka minęła sypialnię dziewczynki, za nią przemknął ojciec. Raven policzyła do dziesięciu, otworzyła drzwi i wyjrzała do holu. Sypialnia rodziców była otwarta, matka wrzucała ubrania do walizki.

- Już wiem, skąd ta nagła decyzja - powiedział

ojciec. - Skąd w tobie tyle siły. Wyprowadzasz się do tego faceta? Do twojego kochanka? - Tak rozciągnął to słowo, że zabrzmiało gorzej niż najgorsze przekleństwo. - Gdzie się z nim pieprzysz, Sandy? Tutaj? W naszym łóżku? Co myślisz, kiedy w ciebie wchodzi? Może o mnie? Czy o naszej córce? A może tylko jęczysz jak suka?

- Przestań! - Głos matki drżał. Raven zrozumiała, jak wiele kosztowało ją przeciwstawienie się ojcu.

- Nigdy cię nie zdradziłam. Po co miałabym szukać drugiego mężczyzny, wystarczy, że życie z jednym jest dla mnie piekłem.

- Naprawdę masz nadzieję, że pozwolę ci odejść?

- spytał ojciec spokojniej. - Chyba mnie nie znasz.

- Nie możesz mnie zatrzymać.

- Nie? - Obszedł ją dokoła z pogardliwym wyrazem twarzy. - Należysz do mnie, jesteś moja.

W odpowiedzi trzasnął zamek walizki, matka ściągnęła ją z łóżka i ruszyła do holu. Raven przykneęła drzwi, zostawiając tylko wążutką szparkę. Czekala, czy matka weźmie ją ze sobą. Nie poszłaby. Była wystarczająco duża, żeby o sobie decydować, a nie zamierzała rozstawać się z Andie i Julie. To one były jej prawdziwą rodziną.

- A co z Raven? - zawołał ojciec, jakby czytał w jej myślach. - Ją też chcesz zostawić? - Pstryknął palcami.

- Tak po prostu?

Sandy Johnson przystanąła.

- Nie, nie tak po prostu. Chciałabym ją ze sobą zabrać, ale nie mogę. Nie poszłaby.

- Wygodna wymówka, Sandy, dużo łatwiej opuścić dziecko, wmawiając sobie, że ono tego chce. Kłamstwo przychodzi ci naprawdę niezwykle łatwo.

- Obudź się! Nasza córka już dawno przestała się

nami przejmować. Nie zauważyłeś, jak na nas patrzy? Nienawidzi nas i tylko się ucieszy, kiedy odejdę. Nie będzie musiała bez przerwy wysłuchiwać... tego wszystkiego.

Złapał ją za rękę.

- Beze mnie jesteś niczym. Kto będzie płacił twoje rachunki? Kto powie ci, co masz robić, gdzie pójść i w co się ubrać?

Wyrwała się z jego uścisku.

- Skoro jesteś tak przekonany, że mam kochanka, to może on się o mnie zatroszczy. Może on...

Ron uderzył ją w twarz, ostry cios spadł na jej usta. Zachwiała się do tyłu, uderzając w balustradę. Chwyciła się poręczy, wyprostowała i uniosła dłoń do krwawiących warg. Spotkali się wzrokiem.

- Uderzyłeś mnie ostatni raz w życiu. Odchodzę. Już dawno powinnam była to zrobić, może wtedy córka zachowałaby dla mnie choć odrobinę szacunku.

- Zabiję cię, jeśli to zrobisz.

Matka pobladła. Potem roześmiała się.

- Ponizales mnie i zastraszales przez osiemnaście lat. Przez ciebie bałam się nawet wyjść do sklepu lub zadzwonić do koleżanki. Mam dość takiego życia.

Podniosła walizkę i zbiegła po schodach, drzwi wyjściowe otworzyły się i zamknęły z trzaskiem. Raven nie mogła patrzeć na ojca. Słyszała jego ciężki oddech, czuła jego wściekłość i rozpacz, świadomość, że wszystko stracił. Płynęło to ku niej wzburzoną falą. Potem ojciec pognał śladem matki, jego kroki zagrzmiały na schodach.

Coś pękło w głowie Raven, jakby wystrzał rewolweru albo odpalający samochód. Dygocząc, wróciła z podróży w przeszłość, znów była obok pani i pana X.

Kobieta stała z oczami przewiazanymi czarnym jed-

wabnym szalikiem. Drugi, identyczny szalik krępował jej ręce. Wysoki stółek przewrócił się i leżał teraz na boku na drewnianej podłodze. Pan X pochylił się i postawił go, przeciągając po nim dłonią pieszczotliwym gestem.

Raven wiedziała już na pewno: pani X była kompletnie bezbronna. Mężczyzna miał absolutną władzę, a ona bezwarunkowo go słuchała. Łączyła ich nierozwalna więź pana i niewolnicy, kata i ofiary, siły i bezwład.

Jakie to uczucie? - myślała Raven, czując tętniącą krew w sercu. Jakie to uczucie być niczym król albo bóg? Jak to jest: mieć nad kimś nieograniczoną władzę, móc zrobić z nim wszystko, zmusić, by służył nam ku naszej satysfakcji, ku naszej rozkoszy? By spełniał nasze najskrytsze, najtajniejsze marzenia? Oblizwała wargi, rozprostowała palce. Znalazła się u wrót tajemnicy. Czy kiedyś zdoła zgłębić ją do końca? Pan X odwrócił się, a jego przeszywające spojrzenie spoczęło na szafie, na wąskiej szparce. Na Raven.

Wie, że ona tam jest. Wie, że ona patrzy.

Wręcz odniosła wrażenie, że spotkali się wzrokiem. Jego oczy były piękne, błękitne. Raven poczuła, że coś ważnego łączy ją z tym mężczyzną, że mają coś wspólnego, czego inni ludzie nigdy nie rozumieją. Jakby byli dwiema połówkami tej samej całości.

Mężczyzna uśmiechnął się i odwrócił, przerywając ulotną więź. Podeszedł do swojej ofiary i poprowadził ją ku wiszącemu sznurowi. Pani X była przerażona, mimo to wspięła się na stółek, jak jej kazał, i pozwoliła założyć sobie pętlę na szyję.

Mężczyzna cały czas dodawał jej otuchy, mrużąc słowa miłości i szacunku. Przypominało to Raven religijny rytuał, bo pan X wykonywał swój obowiązek z powagą księdza, który udziela sakramentu swoim wiernym.

Najwierniejsza z wiernych wyznawczyń pana X zaskomlała ze strachu, gdy pętla zacisnęła się na jej szyi. Owieczka wiedziona na ofiarny ołtarz. Jeden fałszywy ruch i zginie. Jeden akt zdrady, o którą tak łatwo, i zawiśnie, oddając swemu panu jedyne, co miała cennego, czyli życie. Akt zdrady. Żona opuszczająca męża. Raven cofnęła się w głąb szafy, przyciskając pięści do oczu. Nie. Nie chce o tym pamiętać. Ale było już za późno. Znowu znalazła się w przeszłości, w swojej sypialni, a kroki ojca dudniły na schodach. Znowu otworzyły się tylne drzwi wyjściowe i znowu się zatrzasnęły. Serce gnało do przodu. Raven zebrała się na odwagę i wychyliła się przez okno swojego pokoju, potem pobiegła do okna w holu, które wychodziło na podwórko i garaż. Początkowo nic nie widziała, bo światło z kuchni oświetlało jedynie nowe patio, które jej ojciec wykończył tego dnia, skrawek podjazdu i znajdujący się za nim garaż. I nagle dziewczynka zobaczyła matkę, która próbowała otworzyć drzwi samochodu. Ojciec był już przy niej, szarpnął ją za ramiona i zaczął ciągnąć. Jego twarz buchała wściekłością. Raven nie rozumiała, dlaczego matka nie wzywa pomocy. Musiała przyzwyczać się do milczenia przez lata, pomyślała, kiedy ukrywała przed wszystkimi prawdę o swoim małżeństwie. Ojciec cofał się w stronę worków z mieszanką cementową, potykając się i przewracając na ziemię szpadel. Matka oswobodziła się. Pobiegła do samochodu, otworzyła drzwi jednym szarpnięciem i wskoczyła do środka. Ale zanim zdążyła się zamknąć, ojciec był obok. Wyciągnął ją z auta i powlókł ku domowi. Kopała go, dziko się wykręcała, aż udało jej się uwolnić.

Ojciec złapał szpadel i kazał jej zatrzymać się. Nie posłuchała go. Raven przykleiła twarz do szyby. Ojciec uniósł szpadel i zamachnął się, uderzając swoją żonę w ramię i bok szyi. Raven osłupiała. Przez krótki moment Sandy Johnson zastygła w bezruchu z wyrazem kompletnego oszołomienia. Jej mąż uderzył po raz drugi, trafiając w głowę. Raven słyszała głuchy stukot metalu o kość. Z otwartej rany lała się krew. Raven zrobiło się niedobrze.

Łapiąc się za brzuch, dziewczynka osunęła się na podłogę. O Boże... O Boże... Miała wrażenie, że zaraz zwymiotuje. Powiedział, że ją zabije... Powiedział... Go robić? Co robić? Wciągnęła głęboko powietrze. Trzeba zadzwonić na policję. Przyślą karetkę, może jeszcze nie jest za późno! Podniosła się i zerknęła ponad parapetem. Matka nie poruszała się. Ojciec tkwił bez ruchu. Stał nad leżącą, skrzyconą postacią ze szpadlem w ręce. Nagle odwrócił się, przeszedł na środek nowego patio i zaczął kopać. Co on robi? Raven ściągnęła brwi, przyglądając się ojcu. W chwilę potem domyśliła się. Ojciec kopał dół, żeby pochować jej matkę.

Raven upadła na podłogę. Podciągnęła kolana i kołysała się, a w jej głowie tętniło od myśli i emocji. Nie mogła się skoncentrować, nie mogła pojąć zachowania ojca.

Ileż to razy groził matce! Zdarzało się to tak często, że Raven nawet nie próbowała liczyć. Każda z kłótni rodziców niosła ze sobą podobne ostrzeżenia. Tego wieczoru ojciec również zaczął od przestrogi.

Raven zasłoniła sobie uszy, myśląc, że zdoła uciszyć wewnętrzne głosy. Matka nie posłuchała, próbowała uciec. Zdradziła rodzinę. Była nielojalna. Dowiodła, że wszystkie oskarżenia męża są prawdziwe.

A zatem ojciec zajął się nią, tak jak obiecał. Z ust Raven wydobył się zduszony chichot, który w domowej ciszy rozbrzmiał upiornym echem. Dziewczynka położyła dłoń na ustach, wyobrażając sobie, że ojciec podnosi wzrok ku jej oknu.

I nagle poczuła wielki strach. Gdyby policja odkryła prawdę, ojciec poszedłby do więzienia, a ją gdzieś by wysłano, z dala od Andie i Julie. Andie. Julie.

Pan X i pani X.

Raven wróciła do terażniejszości. Wciśnięta w kąt sypialnianej szafy, miała kłopoty z oddychaniem i zalewała się łzami. Otarła je, dusił ją zapach farby i kurz

W pokoju było śmiertelnie cicho. Raven ostrożnie wyjrzała. Nie było śladu po panu ani pani X. Kiedy wyszli? Ile czasu minęło?

Rozcierała ręce, zziębnięta, a jednocześnie rozpalona i spocona. Ta noc okazała się odkryciem. Raven zaczynała rozumieć", na czym polega moc, co to znaczy mieć władzę nad drugim człowiekiem.

W jej rękach spoczywał los ojca. Nikomu dotąd nie powiedziała, co zrobił, nawet policji, kiedy wypytywali ją w związku ze zniknięciem matki. Zatrzymała tajemnicę dla siebie, czekając na właściwy moment, kiedy będzie mogła podzielić się nią ze światem.

Ten sekret stanowił jej siłę, taką samą, jaką nad życiem i śmiercią miał pan X.

Przetarła oczy. W skroniach jej pulsowało, żałowała, że nie ma z nią Andie i Julie, jej rodziny. Jej rodzina rozpada się.

Raven przytknęła palce do skroni. Musi coś zrobić, me mogłaby żyć bez przyjaciółek. Tylko że wszystko się zmieniło. Nie była już tą samą osobą. Ogarnęła umysłem rzeczy, o których niegdyś nie miała pojęcia, a które



doskonale pojmował jej ojciec. Za to go zresztą nienawidziła. Tak, to wszystko jest ze sobą połączone. Miłość i nienawiść, rozkosz i niewypowiedziany ból idą ze sobą ręką w rękę.

Andie i Julie pójdą za nią i dzięki niej dorosną. W każdej rodzinie jest przywódca, a w jej rodzinie to ona posiada mądrość i odwagę. Potrafi obserwować i wysnuwać obiektywne wnioski, bez żalu i litości, które zakłócają rozsądek. Gdyby Julie i Andie były takie same, myślała, wiedziałyby wówczas, jak wspaniale i łatwo się z tym żyje. Ale one były inne, brakowało im jej siły. Ona potrafi zaryzykować dla tych, których kocha.

Ona wie, co znaczą miłość i lojalność. Zaopiekuje się swoją prawdziwą rodziną, niezależnie od kosztów.

Zacznie natychmiast. Przekona przyjaciółki, że Andie myliła się, gdy twierdziła, iż pani X jest w niebezpieczeństwie, natomiast miała rację, że powinny zapomnieć o tej historii, bo je rozdziela.

Przekona je, pozostanie czujna i będzie się uczyć, aż przyjdzie dzień, kiedy trzeba będzie działać, podjąć decyzję.

Ból głowy ustąpił. Raven wyczołgała się z ciasnej kryjówki. Przeciągnęła się z uśmiechem. Zajmie się wszystkim, niezależnie od kosztów.

Ruszyła biegiem do miejsca, w którym spodziewała się zastać swoją rodzinę.

## **ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY**

Raven nie przekonała Andie, że pani X nic nie grozi. Wprawdzie Andie tłumaczyła sobie, że przecież Raven była tam i wszystkiemu dobrze się przyjrzała, a mimo to nie potrafiła uwierzyć przyjaciółce. Nie bacząc na straszliwe reperkusje, jakie mogły spotkać całą ich trójkę ze strony rodziców, wiedziała, że nie wolno jej tego tak zostawić.

Czarne jest czarne, a białe jest białe. W to właśnie wierzyła Andie. Jedynym drogowskazem powinno być sumienie, a teraz ono podpowiadało jej, że pani X grozi wielkie niebezpieczeństwo, należy więc jej pomóc.

Dlatego znalazła się na policji w Thlstedown. Rozprostowała ramiona, uniosła brodę **1** przeszła przez podwójne szklane drzwi. Wszystko sobie wcześniej ułożyła, co ma powiedzieć i jak to wytłumaczyć, możliwie nie odbiegając od prawdy, lecz zarazem nie włączając w sprawę Raven i Julie. Zamierzała wziąć na siebie pełną odpowiedzialność.

Na pewno się uda, musi się udać.

Podeszła do pierwszego biurka. Umundurowany policjant podniósł wzrok, daleki od przyjaznego powitania.

- O co chodzi?

Andie przełknęła ślinę, spięta i mimo wszystko pełna wątpliwości.

- Chciałabym rozmawiać z inspektorem. Muszę... muszę zgłosić przestępstwo.

- Nasi inspektorzy są bardzo zajęci. Nie chodzi ci czasem o to, że rzucił cię chłopak?

Policzki jej poczerwieniały. Szybko się wyprostowała, mając nadzieję, że doda jej to lat.

- Oczywiście, że nie.

- Charakter przestępstwa? - wyszczeakał, a ona zmieszała się. Nie wiedziała, co powiedzieć. - Charakter przestępstwa - powtórzył, niecierpliwie zerkając na zegarek.

- Morderstwo - rzuciła. - Chcę zgłosić morderstwo. Policjant zmrużył oczy, pokiwał głową i wyciągnął palec w jej kierunku. Nie uwierzył jej, to było jasne, ale oskarżenie było na tyle poważne, że nie mógł tego zignorować.

- Usiądź, zaraz kogoś poproszę.

Andie przysiadła i po kilku minutach do pomieszczenia wszedł mężczyzna w zmiętoszonym garniturze. Przedstawił się jako inspektor Peters i kazał jej iść za sobą. Zaprowadził ją do pokoju służbowego, gdzie stało zavalone papierami i kartotekami biurko, na którego brzegu siedział drugi mężczyzna.

Ten drugi uśmiechnął się.

- Inspektor Nolan - powiedział. - Mózg tego zespołu.

Peters rzucił mu groźne spojrzenie.

- Mój partner, z zawodu komik. Siadaj, proszę. - Wskazał jej krzesło.

Andie przyjęła je z wdzięcznością, bo czuła, że uginają jej się kolana.

Peters wyciągnął mały kołonołatnik z wewnętrznej kieszeni marynarki, otworzył go i spojrzał na dziewczynę. - Imię i nazwisko?

- Imię i nazwisko? - powtórzyła z przestachem. Uświadomiła sobie, że wstąpiła na drogę, z której nie ma odwrotu. - Muszę to powiedzieć?

- Tak, musisz.

- Andie Bennett.

- Adres?

Odpowiedziała mu, zanotował pilnie jej słowa.

- Lat?

Chciała skłamać, ale pomyślała, że i tak dowiedzą się prawdy.

- Piętnaście.

- Mieszkasz w Thistledown?

Przytaknęła, wargi miała kompletnie wyschnięte.

- Mieszkam z mamą i... tylko z mamą. I z moimi młodszymi braćmi.

Inspektor podniósł wzrok. Jego oczy prawie zupełnie tonyły w tłustych fałdach skóry.

- A gdzie twój ojciec?

- On i mama... rozeszli się.

- Rozumiem. - Zanotował. - Ale ojciec został w Thistledown.

Znow przytaknęła, bardzo speszona. Żałowała, że nie posłuchała przyjaciółek, lecz teraz było już za późno. Wyznała przecież, że przyszła tu w sprawie morderstwa, nie mogła więc rzucić: „Przepraszam, ale ja tylko żartowałam”, i sobie pójść. Nie pozwoliliby jej tak po prostu odejść.

Peters schował notes i usiadł.

- Dobrze, Andie, porozmawiajmy. Sierżant przekazał mi, że chcesz donieść o popełnionej zbrodni. To bardzo poważne stwierdzenie. Czy widziałaś ciało denata?

Zarumieniła się.

- Niezupełnie.

Inspektorzy wymienili spojrzenia.

- Nie?

- Tu nie chodzi dokładnie o morderstwo. Jeszcze nie.

Peters zmrużył oczy. Andie dziwiła się, jak on widzi cokolwiek przez takie szparki.

- Dlaczego więc powiedziałaś sierżantowi, że chodzi o morderstwo?

Andie złożyła dłonie, głównie po to, żeby powstrzymać je przed drżeniem.

- Musiałam z panem porozmawiać... z kimkolwiek - rzekła. - Chodzi o to, że... boję się, że dojdzie do morderstwa. - Splotła palce. - I chcę je powstrzymać.

- Rozumiem. - Peters odchrząknął, ponownie wymieniając spojrzenia z partnerem. - To może opowiedz nam wszystko od początku, a potem zastanowimy się, co z tym zrobić.

Kiedy Andie otworzyła buzię, do pokoju wszedł kolejny mężczyzna, młodszy od swoich kolegów, z ciemnymi kręconymi włosami. Miał na sobie błękitne dżinsy, koszulę w kolorze khaki i krawat, który mógł wybrać tylko ślepiec. Mijając ich, skłonił głowę.

- No, Andie, możesz mówić. To detektyw Raphael, nasz praktykant Harcerzyk. - Peters zgniół kartkę papieru i rzucił w stronę młodego mężczyzny: - Jak tam, Raphael, zrobiłeś dzisiaj jakiś dobry uczynek? Andie zerknęła przez ramię w samą porę, żeby zobaczyć, jak praktykant uśmiecha się, chwytając papierową kulkę jedną ręką i pokazując gest pod tytułem: „Takiego wała”.

- Uważaj, Raphael, mamy tu nieletnią.

Andie odwróciła się do Petersa. Jej niepokój rósł z każdą chwilą, mimo to pewnie spojrzała mu w oczy.

- Znam to, detektywie Peters. Sama czasami tak robię.

Drugi z policjantów parsknął śmiechem, natomiast Peters lekko się zirytował. Przyszło jej na myśl, że może chcą ją spłoszyć. Oglądała w telewizji filmy o policjantach, którzy lubili przesłuchiwać parami: dobry i zły glina.

Zakasłała zadowolona, że nie okazała, jak bardzo ją zdenerwowali.

- Mam wam opowiedzieć?

- Po to tu jesteśmy.

Zaczęła więc od muzyki i własnej ciekawości, potem powiedziała im o mężczyźnie, o czarnych szalikach, a także o kobiecie, sznurze i drastycznym seksie.

Mówiła tak klarownie i spokojnie, jak tylko potrafiła, zmuszając się, żeby nie spuszczać wzroku i nie jąkać się z zażenowania. Peters patrzył na nią z niedowierzaniem, cienkie, blade wargi Nolana wykrzywiły się głupio, a stojący za jej plecami młody śledczy zamilkł i skamieniał.

Kiedy skończyła, w pokoju panowała taka cisza, że dałoby się słyszeć upadającą szpilkę. Po chwili Peters odchrząknął.

- Niezła historia, młoda panno.

- Niezła historia - zawtórował mu Nolan.

- Coś mi się zdaje - ciągnął Peters - że wsadzasz nos w nie swoje sprawy.

- Co? - zdumiała się. - Ale nie widzi pan...

- Widzę pannicę, która znajdzie się w nie lada kłopotach, gdy jej rodzice dowiedzą się, czym się zajmuje. - Peters wstał. - Raphael, masz teraz coś do roboty?

- Niewiele.

- Chciałbym, żebyś dostarczył pannę Bennett do rąk jej matki, jeśli mogę prosić.

- Chwileczkę! - Andie zerwała się na równe nogi. - Proszę spojrzeć, co znalazłam w bibliotece! - Wyciąg-

nęła zwinięty artykuł i wręczyła go Petersowi. - Niech pan zobaczy, podkreśliłam to, co najważniejsze.

Detektyw Peters przeczytał, po czym oddał jej kartkę.

- No i co?

- Jak to co? - Policzki paliły ją. - Przecież tu jest napisane, że... że takie rzeczy prowadzą do morderstwa.

- Rzadko, dziecinko, bardzo rzadko. Uwierz mi. Poczula się poniżona i wściekła.

- Nic pan nie zrobi?

- Nie, coś zrobię. Puszczę cię do domu, chociaż powinienem wezwać twoich rodziców albo skontaktować się z kuratorem dla nieletnich. Tym razem cię puszczę. Drugi raz nie będę już taki miły.

- Ale - Andie walczyła ze łzami - pani X jest w niebezpieczeństwie, jestem tego pewna.

- Słuchaj, dziecko, jeżeli dwie dorosłe osoby uprawiają seks za obopólną zgodą, to niezależnie od tego, co robią, nie popełniają przestępstwa.

Nawet jeżeli jest to nienaturalne. Natomiast włamywanie się do cudzego domu jest przestępstwem, podobnie jak podglądanie innych ludzi.

Zrozumiano? - Pochylił się ku niej. - Chcę powiedzieć, że w tym wypadku jesteś jedyną osobą, która złamała prawo, ale ponieważ jesteś miłym i jak sądzę dobrym dzieckiem, radzę ci iść czym prędzej do mamy i nie wściubiać nosa w cudze sprawy.

Andie aż zatrzęsała się ze złości i zakłopotania.

- W porządku. Ale jeśli ktoś znajdzie ciało pani X, powiem wszystkim, że odmówił pan pomocy.

- Nie martw się o to, kochanie, gdy tylko to się zdarzy, będziesz pierwszą osobą, do której zadzwonimy, żebyś mogła zdać nam szczegółową relację z tego, co widziałaś. - Zły policjant wyszczerzył się w uśmiechu. -

Pchnięcie po pchnięciu.

Zrozumiała ukryte znaczenie jego słów i aż się w niej zagotowało.

Durnie! Pustogłowi idioci! Niedobrze jej się robi na ich widok.

- Panno Bennett? - Harcerzyk dotknął jej łokcia. - Gotowa?

Odsunęła rękę i majestatycznym krokiem opuściła pokój. Za drzwiami dobiegł ją śmiech detektywów. Żartowali o sznurach i pchnięciach.

Harcerzyk wyprowadził Andie na parking, otworzył drzwi samochodu i zaprosił ją do środka. Rzuciła mu w twarz:

- Myślałam, że każe mi pan usiąść z tyłu, w tej klatce, skoro jestem taka niebezpieczna, bo wtykam nos w cudze sprawy.

Uśmiechnął się.

- A powinienem? Uniosła brodę.

- A jak pan myśli?

- Nie wyglądasz zbyt łagodnie, ale zaryzykuję. Wskakuj.

Wsiadła do samochodu, choć najchętniej starłaby facetowi z twarzy ten protekcyjny uśmiezek. Jego współczucie zda jej się na tyle, co żarty tamtych dwóch głupków, pomyślała. Tylko że to wcale nie są żarty, bo pani X naprawdę potrzebowała ich pomocy.

Pieprzyć ich, pomyślała, odwracając się do okna. Nic dziwnego, że ludzie nazywają policjantów świniami.

Harcerzyk usiadł za kierownicą.

- Gdzie mieszkasz?

- W Happy Hollow - mruknęła, obrzucając go wściekłym spojrzeniem.

- Słuchaj - powiedział ugodowo - rozumiem, że Peters i Nolan wkurzyli cię, ale to naprawdę świetni gliniarze. - Wyjechał z parkingu na Main. -

Jednak zbyt



długo już są w tym interesie, by pamiętać, że dzieciakom też można czasem zaufać.

Dzieciakom? Jej zdaniem to oni właśnie zachowywali się jak gówniarze. Jak niedojrzałe dupki.

- Nie zawsze popieram ich metody - odezwał się, jakby czytał w jej myślach - i wiem, że mogą na serio wkurzyć, ale mają rację, Andie. W tym wypadku tylko ty złamałaś prawo.

- Szczęściara ze mnie. - Założyła ręce na piersi i osunęła się głębiej na siedzeniu, użalając się nad sobą.

- No i zachowali się przyzwoicie, bo cię puścili. Ja na ich miejscu wezwałbym rodziców i kogoś od młodocianych.

- Dlatego nazywają cię Harcerzykiem? - spytała, nie pokazując po sobie, że czuje się upokorzona jego uwagami. - Bo zawsze robisz to, co należy?

- Staram się.

- A na jaką sprawność zarabiasz dzisiaj? Rozbawiony, zerknął na nią kątem oka.

- Pozwalasz sobie, jak na dzieciaka, który był o włos od poważnych kłopotów.

- To nie ja mam kłopot - fuknęła ze złością. - Tylko nikt nie chce mnie słuchać. Ale co tam, jestem tylko głupim dzieciakiem.

Zamilkł na chwilę, czuła na sobie jego spojrzenie.

- Nie przejmujesz się ani trochę, co rodzice powiedzą na to, że policja przywozi cię do domu? Chyba wiele się zmieniło przez ostatnie lata, bo mój ojciec stłukłby mi tyłek. Przez tydzień nie mógłbym usiąść.

Wyobraziła sobie, jak Marge zareaguje na widok córki, która nie sprawia podobno żadnych kłopotów, jej „kochanej dziewczynki”, eskortowanej przez policjanta.

- Co tak nagle zamilkłaś?

Andie spojrzała na niego. Był jej jedyną nadzieją.

Gdyby tylko mogła cofnąć czas, gdyby nie zachowała się wobec niego tak obcesowo.

Odchrząknęła, starając się z całych sił przybrać pełną skruchy pozę.

- Bardzo mi przykro, zachowałam się jak idiotka.

- Miło mi to słyszeć, ale i tak nie wypuszczę cię wcześniej.

- Proszę! - Tak bardzo nie lubiła prosić. - Mama i tak przeżywa poważny kryzys. Ona... Mój tata... - Nabrała głęboko powietrza. - To ją bardzo zdenerwuje, jeśli... przyjadę wozem patrolowym.

- Przykro mi, ale takie mam...

- Rozkazy? - dokończyła z goryczą. - Rozumiem, tak to już jest z harcerzami, jak rozkaz to rozkaz. I ani grama pomysłu, nie mówiąc już o sercu.

Zerknął na nią, z trudem zachowując powagę.

- Jesteś niepełnoletnia. Mam obowiązek dostarczyć cię bezpiecznie do domu. Wyrządziłbym tobie i twoim rodzicom złą przysługę, gdybym...

- Nie, przeciwnie. Proszę. - Ku przerażeniu Andie, do oczu napłynęły jej łzy. - Pójdę prosto do domu, obiecuję. Bardzo proszę - powtórzyła, gdy skręcił w jej ulicę. - Mama tego nie zniesie. Chyba jednak ukrywasz gdzieś odrobinę serca?

Westchnął.

- Wybijesz sobie z głowy te bzdury na temat pana i pani X? Będziesz się trzymać z daleka od tamtego domu?

Otworzyła usta, by powiedzieć mu, że to nie żadne bzdury ani fantazje nastolatki, lecz tylko pokiwała głową.

- Obiecuję. Teraz rozumiem, że głupio narozrabiałam. Proszę.

Raphael mruczał coś pod nosem, zjechał na pobocze i zatrzymał wóz.

- Pamiętaj, że będę miał do czynienia z Petersem i Nolanem, jeśli dowiedzą się, że nie dowiozłem cię pod same drzwi.

- Nie dowiedzą się! - Złożyła dłonie jak do modlitwy. - Nigdy więcej mnie pan nie zobaczy ani nie usłyszy pan o mnie. Obiecuję.

Wahał się jeszcze, wreszcie powiedział:

- Dobra. Ale...

- Dzięki! - Złapała za klamkę, pragnąc wyskoczyć z -wozu, zanim Harcerzyk zmieni zdanie albo wypatrzy ją któryś z sąsiadów.

- Zaczekaj. - Chwycił ją za rękę. - Na wszelki wypadek weź to. - Wyłowił z kieszonki koszuli wizytówkę i podał jej. - Masz tu numery moich telefonów: służbowy i domowy. Gdyby coś się działo, gdybyś wpadła w jakieś tarapaty, zadzwoń.

Andie przez chwilę gapiała się na wizytówkę, wreszcie ją wzięła.

- Dobrze - mruknęła, podniosła wzrok. - Ale raczej nie będzie mi potrzebna, bo myślę, że już nigdy więcej się nie zobaczymy.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY**

Nick odprowadził wzrokiem Andie. Przeklął pod nosem i zjechał z krawężnika, niepewny, czy podjął właściwą decyzję. Był przekonany, że spotka się jeszcze z tą smarkulą, która najwyraźniej pakowała się w poważne tarapaty.

Świat aż cuchnie od brudów, których nawet cyniczny, lecz choćby odrobinę myślący i czujący człowiek nie jest w stanie zaakceptować czy doszukać się w nich jakiegokolwiek sensu. Niestety panna Andie Bennett zetknęła się z czymś, co musiało posiać w jej głowie ogromny zamęt. Żle, że tak się stało, bo piętnaście lat to zbyt mało, by tracić młodzieńczą niewinność.

Nick ruszył w kierunku posterunku. Analizował opowieść Andie i uznał, że niektóre fragmenty w oczywisty sposób do niej nie pasowały.

Po pierwsze dlaczego Andie, która, jak wyraźnie to było widać, doskonale odróżniała dobro od zła i miała silne poczucie odpowiedzialności, samotnie zakradała się nocą do cudzego domu? Po drugie jest wręcz niemożliwe, by po tym, jak omal nie została na tym przyłapana, znów zrobiła to samo.

To jest opowieść o kimś innym. Musiałaby być albo kompletnym dzieciakiem, a przecież nie była, lub też

osobą zupełnie zdeprawowaną, zboczonym podglądaczem, na co też absolutnie nie wyglądała. Zresztą taki ktoś nie biegnie na policję, by ratować nieznaną kobietę.

Musiało być inaczej. Banda dzieciaków przypadkiem wysledziła dziwną parę kochanków i zaczęła ją śledzić. Gówniarze wzajemnie się wspierali, prowokowali i popychali do działania, a zarazem pomniejszali swoją winę, bo tak działa prawo stada.

Andie Bennett nie działała sama, zdecydował Nick, osamotniona była tylko w lęku i poczuciu odpowiedzialności.

Zaparkował i wysiadł z wozu. Po drodze do pokoju wciąż medytował nad opowieścią dziewczyny.

- Raphael! - zawołał Peters. - Dostarczyłeś naszą małą podglądaczkę do domu?

- Taa. - I po chwili dodał: - Nie mogę przestać myśleć o tym, co nam powiedziała.

- Ja też - rzekł Nolan. - Ta mała podnieciła mnie. A ciebie, Peters?

- Owszem. Ciekawe, kim są te wesolutkie jebaki?

- Pewnie lubią, jak się na nich patrzy. - Nolan zmarszczył brwi. - Też możemy zasadzić się pod tym oknem. Harcerzyk, przyłączysz się? Weźmiemy tę małą na kierownika wycieczki.

Nick zignorował ich szczeniackie żarty.

- Nie wszystko w jej historii trzyma się kupy. Moim zdaniem Andie podglądała te zabawy w większym towarzystwie.

- Pieprzona sprawa. - Peters puścił papierowy samolocik, który uderzył Nolana w środek czoła. - Jej przyjaciółeczki mają więcej rozumu i trzymają język za zębami.

- O to chodzi. Dziewczyna ma piętnaście lat. Wizyta u nas musiała ją sporo kosztować. Wiedziała, czym to grozi, i z pewnością zrobiła to na własny rachunek. Na

domiar złego, musiała opowiedzieć swoją historię, patrząc na takich dwóch dupków jak wy. Trzeba mieć naprawdę dużo odwagi.

- No i? - Zirytowany Peters oparł się o krzesło. - Jaki z tego wniosek?

- Dziewczyna musi być przerażona. Może jednak coś w tym jest. Może powinniśmy tam zajrzeć i sprawdzić, czy dom jest wynajęty, a jeśli tak, to kto opłaca czynsz. Może należałoby złożyć wizytę tajemniczej parze?

- I co im powiemy? - zaśmiał się Nolan. - Policja, jesteście aresztowani, bo pieprzycie się w nieregulaminowy sposób! Odłóż bat, wyciągnąć fiuta z gęby, zasłonić cycki i marsz do aresztu! - Zarechotał. - Otrząśnij się, Harcerzyku.

Dwaj policjanci ze śmiechu prawie pospadali z krzesel. Nick zaczerwienił się, ale obstawał przy swoim.

- Czy moglibyście choć na chwilę przestać myśleć o jednym? Co będzie, jeżeli tamtej kobiecie naprawdę coś się stanie?

- Nic jej nie będzie. - Peters wstał i włożył marynarkę. Nolan też się podniósł. - Twój entuzjizm jest godny pochwały, Raphael, ale zawodzi cię instynkt. Dziewczyna popatrzyła sobie i dostała niezłą lekcję. Mówiąc poważnie, niepotrzebnie naraziła się na traumatyczne przeżycie.

Naprawdę mi jej szkoda. Ale życie jest smrodliwe. Daj sobie spokój.

Nick poderwał się i zablokował przejście między biurkami.

- Skąd masz pewność, że tamta kobieta nie zginie?

- Bo pracuję w tym interesie dwadzieścia pieprzonych lat. Przeżyj najpierw tyle, co ja, zanim zaczniesz kwestionować moje opinie.

Zrozumiałeś, Harcerzyku? Sprawa zamknięta.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY**

Jenny czekała na niego. Nick wszedł do małego modnego baru, żeby choć spojrzeć na swoją żonę. Siedziała przy oknie, patrząc na zapadający zmierzch, a ostatnie promienie słońca układały się na jej idealnej twarzy. Mógł na nią patrzeć bez końca, nigdy nie przestając się dziwić, że zgodziła się z nim żyć.

Objął ją wzrokiem, wprost wchłaniał ciemne lśniące włosy, miękko podkręcające się u nasady szyi, jej spokój i postawę. Była elegancka. Takim można by określić jej kostium, kolczyki, buty, nawet ten cholerny bar.

Jeśli chodzi o niego, jego robotnicze pochodzenie rzucało się w oczy. Dorastał w najgorszej części St. Louis i więcej wiedział o życiu na ulicy niż o etykietce panującej w modnych lokalach.

Czemu u diabła wybrała właśnie jego?

Odsunął od siebie tę myśl i ruszył w stronę kobiety, wciąż wpatrzony w okno. Pytanie, dlaczego za niego wyszła, zbytnio mu nie dokuczało. Zakochała się w nim z jakichś tajemniczych, niejasnych powodów.

Uśmiechnął się.

- Cześć, kochanie.

Odwróciła się i także uśmiechnęła. Nachylił się

i pocałował ją delikatnie w usta, po czym usiadł naprzeciw.

- Spóźniłeś się.

- Przepraszam.

- Nie szkodzi. Obserwowałam ludzi. Znowu się uśmiechnął.

- Widziałem. Co pijesz?

- Chardonnay. - Podsunęła mu kieliszek. - Chcesz spróbować?

- Dzięki, zostanę przy piwie. Zmarszczyła nos.

- Twoja strata. - Zbliżyła kieliszek do ust. - Jak ci minął dzień?

- Ciekawie.

Podszedł kelner i przyjął zamówienie od Nicka.

- Była u nas dzisiaj młoda dziewczyna, jeszcze dziecko, z dość niezwykłą historią.

- Dziecko? Co masz na myśli?

- Nastolatka, najwyżej piętnastoletnia.

Kelner przyniósł piwo, Nick wypił spory łyk i dalej mówił:

- Spodziewa się, że niedługo zostanie popełnione morderstwo.

- Morderstwo? - Jenny pochyliła się do przodu, oczy jej zaślniły. - Tutaj, w Thistledown?

- Tak, do tego związane z seksem.

- Nic dziwnego, że to dla ciebie ciekawe. Niegrzeczny chłopiec. -

Zaśmiała się i piła wino.

- Mówisz jak Peters i Nolan. - Zmarszczył brwi.

- Nic z tym nie zrobili. Nie mają zamiaru sprawdzić, czy jest w tym choć krztyna prawdy. Tylko żartowali.

- Zdegustowany popijał piwo. - Jezu.

- Czemu cię to tak bardzo zajmuje? - zapytała niezadowolona Jenny.



- Nie wiem. - Potrząsnął głową. - Pewnie dlatego, że nie zgadzam się z opinią Petersa. Trzeba mieć dużo odwagi, żeby przyjść na policję z taką sprawą. Wydaje mi się, że w tym musi coś być. Peters uznał, że zwariowałem. Ustawiał mnie.

- Nie pierwszy raz, Nick. Bądź ostrożny. Uśmiechnął się.

- Ostrożny? Lekko się najeżyła.

- To chyba jasne. Jesteś młodym, energicznym idealistą.

- Nie zapomnij dodać: uroczym. Wybuchnęła śmiechem.

- Tak, owszem. Peters jest wypalony i zużyty, i za każdym razem, gdy na ciebie patrzy, nie widzi siebie takiego, jakim był, tylko z niesmakiem kontempluje, kim się stał. A to nie jest dla niego miłe.

Nick pokiwał głową, bacznie przyglądając się Jenny, bo rozbawiło go jej rozumowanie.

- Skąd ci to przyszło do głowy? Wzruszyła ramionami i pociągnęła łyk wina.

- Dla mnie to oczywiste, miałam dużo czasu na myślenie. - Zerknęła w stronę okna, cień przebiegł po jej twarzy. - Za dużo.

- Jen?

Odwróciła się do niego i cień znikł. Nick chwycił ją za rękę.

- Dzięki, że się o mnie martwisz, ale Peters po prostu nie wie, jak się do mnie odnosić. - Przejechał kciukiem po jej dłoni. Zadrżała, po roku małżeństwa wciąż reagowała w ten sposób na każdy jego dotyk. -

Problem w tym, że nie po to zostałem gliną, by siedzieć w miejscu i nic nie robić. A chwilami wydaje mi się, że to właśnie kierowało Petersem i Nolanem.

- Bardzo mi się nie podoba, że musisz słuchać tych dwóch kretynów. Jesteś za dobry do tej pracy, Nick, za mądry.

Objął ciaśniej jej dłonie. Jej wiara w niego była wspaniała, ale chciał też, żeby go zrozumiała.

- Taa, są wypaleni i leniwi. Diabelnie mnie to wkurza. Ale z drugiej strony świetnie znają tę robotę i wiele mogę się od nich nauczyć. Już się sporo dowiedziałem.

Jenny spojrzała na ich złączone dłonie, potem podniosła na niego błyszczące oczy.

- Mógłbyś kontynuować naukę, Nick. Pójść na studia, dzienne albo wieczorowe. Będę pracować i zarabiać przez ten czas. To nie potrwa długo, a potem zostaniesz...

- Prawnikiem - dokończył. Jej propozycja była dla niego bolesna, z powodu jej rodziców, którzy nie chcieli, by ich córka wychodziła za faceta bez przyszłości. Niewiele brakowało, a udałoby im się ich rozdzielić. - Chcę być gliną, Jen. Zawsze chciałem, od dziecka.

- Ale dlaczego? - upierała się przy swoim. - Prawnik także dba o porządek społeczny. Mógłbyś zostać prokuratorem, wtedy dopiero miałbyś zasługi.

- Nie takie, jakie mam, pracując w mieście. Świat ulicy jest czarno-biały, są dobrzy i źli faceci. W sądzie prawo ma wiele odcieni szarości. Taka gra mnie nie interesuje. - Pochylił się ku niej i dodał żartem: - O co chodzi, wstydzisz się, że masz męża gliniarza?

- Jasne, że nie. Tylko ciągle nie ma cię w domu, a kiedy wracasz, jesteś na wezwanie. Nigdy nie wiem, kiedy to nastąpi, w środku nocy, w czasie obiadu, czy kiedy się kochamy.

- Taka praca, ale to się zmieni. Pamiętaj, że jestem nowicjuszem, wszystko na mnie spada. - Uśmiechnął

się, próbując wyrwać ją ze złego nastroju. - Twój ojciec był lekarzem. Chyba w żadnym innym zawodzie nie ma więcej nocnych wezwań.

- W policji - rzuciła z goryczą w głosie, jakiej nigdy nie słyszał. - Kiedy go wzywali, matka nie musiała się przynajmniej martwić, że pacjent zaatakuje go nożem albo zastrzeli.

- Lepsze to niż lekarski błąd w sztuce.

- To nie jest śmieszne. Mówię ci, jak się czuję. - Do oczu Jenny napłynęły łzy, jej wargi drżały. - Boję się. Za każdym razem, gdy wychodzisz z domu, boję się, że nie wrócisz.

- Kochanie, przepraszam. - Pochylił głowę, całując jej dłonie. -

Mieszkamy w małym mieście, co innego być gliną tutaj, a co innego w St. Louis lub Chicago. Pewnie, że moja praca jest bardziej niebezpieczna niż praca pediatry, ale - uśmiechnął się - uważam na siebie. Czas pracy też mi się zmieni. Mam cholerne szczęście, że jestem już śledczym, ale właśnie teraz muszę sobie coś udowodnić i bardziej się starać, a to oznacza więcej pracy. Rozumiesz?

Zawahała się, po czym pokiwała głową.

- Ale to nie pomaga mi, kiedy leżę sama w łóżku albo czekam godzinę w restauracji. - Jej głos nabrzmiewał łzami. - Powiedziałeś kiedyś, że rodzina jest dla ciebie najważniejsza. Dom, żona i dzieci. Tak mówiłeś. Tak, rzeczywiście tak mówił, i był szczery. Pragnął mieć dzieci, dużą, kochającą się rodzinę. Dom z białym drewnianym ogrodzeniem i wielkie zacienione podwórko, gdzie będą się bawić jego dzieci, gdzie będą czuły się bezpieczne i kochane.

Pragnął dla nich tego, czego sam nie doświadczył. Za podwórko służyły mu ulice, bo matka zaharowywała się na dwóch etatach, żeby utrzymać rodzinę po śmierci męża.

- Jesteś dla mnie najważniejsza, Jen. Ty i nasze małżeństwo. Rodzina, którą stworzyliśmy.

- Nie czuję tego. - Odszukała jego spojrzenie. - Tęsknię za tobą. Czuję się samotna.

- Wszystko będzie inaczej. Obiecuję, kochanie. Zmienili temat, rozmawiali o jednym z braci Nicka, który mieszkał w Thistledown i zbierał fundusze na otwarcie włoskiej restauracji, oraz o wycieczce, którą odbyli jej rodzice.

Kiedy kelner przyniósł zamówione dania, odezwał się pager Nicka. Jenny natychmiast zmarkotniała.

- Dowództwo cię wzywa, prawda? Sprawdził i przytaknął.

- Oddzwonię, może to jakiś drobiazg.

Jednak okazało się, że sprawa była poważna: zaginęło dziecko. Rodzice zgłosili się na posterunek w ciężkiej hysterii. Nick wrócił do stolika pełen żalu, bo powinien natychmiast ruszać do centrum.

- Wybacz, Jen, muszę lecieć.

Odwróciła wzrok z wyrazem ogromnego zagubienia i samotności, który sprawił mu przykrość.

- Wiem.

- Jen, chciałbym...

- Idź już - szepnęła z drżącym uśmiechem. - Taką masz pracę. Poproszę kelnera, żeby zapakował twoją porcję i odgrzeje ci później w domu.

- Dziękuję, dziecinko. - Nachylił się, żeby ją pocałować. - Wrócę najszybciej, jak będę mógł.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI**

Andle stwierdziła, że skoro policja nie chce pomóc pani X, ona musi się tym zająć sama. Czując, że do tragedii może dojść w każdej chwili, postanowiła nocami obserwować podejrzany dom, by mieć pewność, że pani X opuszcza go cała i zdrowa, tak jak weszła.

Czasami Andie musiała czekać tylko pół godziny, kiedy indziej kilka godzin. Niezależnie od tego, dziewczyna przeżywała istne katusze. Każde przybycie tajemniczej pary opłacała uciskiem w żołądku i rwącym bólem głowy, i dopiero wyjazd pani X przynosił natychmiastową ulgę.

Aż któregoś dnia pan X odjechał sam.

Pani X została.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Telefon wyrwał Nicka z głębokiego snu. Po krótkiej chwili rozpoznał wysoki, przerażony głos, należący do Andie Bennett. Minęła jeszcze chwila, zanim pojął, o co jej chodzi.

Wtedy do reszty oprzytomniał i zerwał się z łóżka.

- Gdzie jesteś, Andie?

- Obok drogerii Olsena - szepnęła. - W budce telefonicznej.

- Nie ruszaj się stamtąd. - Spuścił nogi na podłogę. - Zaraz tam będę, za pięć minut. - Odłożył słuchawkę i spojrzął na Jenny. Przebudziła się. - Muszę iść.

- To ta dziewczynka, prawda? O której mi opowiadałeś?

- Tak. - Wciągnął spodnie i zaczął nerwowo szukać w szafie swetra.

Jenny ziewnęła.

- Nie zadzwonisz do Petersa? Obejrzał się na nią.

- A po co?

- Jest środek nocy, a on jest głównym detektywem, poza tym oficjalnie przyjął od niej zeznanie.

- I oficjalnie je odrzucił. - Nick wciągał przez głowę

bawełnianą koszulkę i wciskał ją za pasek dżinsów. - Nie pozwolę mu na to po raz drugi.

Jenny usiadła, odgarnęła opadające na oczy włosy.

- Peters kazał ci o tym zapomnieć, Nick. Nie obowiązuje was jakiś policyjny protokół?

- Policyjny protokół? - Uśmiechnął się. - Za bardzo się przejmujesz, kochanie. Dziewczyna zadzwoniła, bo jest w kłopotach. - Nick zapiął pas z kaburą, złapał w pośpiechu marynarkę i podszedł do łóżka. Pochylił się i złożył na ustach Jenny szybkiego całusa. - Śpij. Wróć za jakieś dwie godziny.

Znalazł Andie skuloną w wejściu do sklepu Olsena, który był już zamknięty. Wjechał na krawężnik, wychylił się i otworzył drzwi.

- Wskakuj.

Zerknąwszy w lewo, potem w prawo, Andie przebiegła szerokość chodnika i wgramoliła się do samochodu.

- Którędy? - spytał Nick.

Ruszył zgodnie z jej wskazówką, zerkając na nią spod oka. Była bardzo blada, oczy miała szeroko otwarte, pełne strachu. Przygryzała dolną wargę, a dłonie to składała, to rozkładała na kolanach.

- Wydawało mi się, że miałaś zostawić tego pana X i panią X w spokoju.

Chyba nie mylę się, że mi to obiecałaś?

- Nie mogłam. Po prostu... nie mogłam.

- No to mów, co się tam dzisiaj stało.

Kiwnęła głową, a potem zaczęła mówić drżącym głosem:

- Obserwowałam ten dom z pustej parceli, która z nim sąsiaduje.

Chciałam mieć pewność... że kiedy ona przyjedzie...

- Pani X?

- Tak. Żeby mieć pewność, że ona potem spokojnie opuści dom. A dziś stamtąd nie wyszła.
  - Nie przyszło ci do głowy, że mogła zdecydować się zostać tam na noc? Jest już dosyć późno.
  - Nie - przyznała dziewczyna. - Nigdy tego nie robiła.
  - Dlatego do mnie zadzwoniłaś. Potrząsnęła głową.
  - Najpierw jeszcze czekałam, jakieś dziesięć minut. A potem zesłam na dół i poszłam...
  - Do tego domu? Pokiwała głową potakująco.
  - Sprawdziłam okna. To znaczy zajrzałam przez nie do środka.
  - Jezu, Andie. Podejrzewasz faceta o morderstwo i ładujesz się prosto na ewentualne miejsce zbrodni? Porządnie bym cię złał, gdybym był twoim ojcem.
- Pobladła.
- Jesteś za młody, żeby być moim ojcem, i nic nie rozumiesz. Mówiłam ci przecież, że pan X wyjechał.
  - Mogłaś się pomylić, a poza tym nie wiesz, kto jeszcze może być w tym domu. Pojęcia nie masz, co to za ludzie.
  - Nic mi się nie stało.
- Szczękała zębami, co dowodziło, jak naprawdę się czuje.
- Mów dalej.
  - Było ciemno, nic nie widziałam.
  - Słyszałaś coś? Tę muzykę? Czyjeś kroki? Jakieś głosy? Cokolwiek?
- Znowu potrząsnęła głową. Spojrzał na nią.
- Jesteś pewna?
  - Tak.
  - Próbowалаś otworzyć drzwi?



- Bałam się.

- Dobra dziewczynka. Skierowała go na Mockingbird Lane.

- Mam zjechać na dół? - spytał, kiedy samochód wspiął się na wzniesienie.

- Tak - odparła z narastającą emocją. - Dom obok pustej parceli. Pokiwał głową, skręcił w dół i wyłączył silnik.

- Zaczekaj tu. Za nic nie wolno ci opuszczać samochodu. - Zmierzył ją wzrokiem. - Zrozumiano?

- W porządku. - Objęła się ciasno w pasie. - Nie wychylę nosa. Otworzył drzwi i jeszcze raz obrócił się ku niej.

- Zapewne nic się nie stało. Ale niezależnie od tego, co tam zastanę, dla ciebie to koniec tej sprawy. Jak skończymy, jedziemy prosto do twoich rodziców. Zrozumiano?

- Tak, oczywiście - wyszeptała ze spuszczoną głową. - Rozumiem. Nick wysiadł z samochodu i zbliżył się do frontowych drzwi. Nikt nie odpowiadał na dzwonek ani na pukanie. Obejrzał się przez ramię, żeby upewnić się, czy dziewczyna siedzi w wozie, i udał się na tyły domu. Budynek i otaczający go teren dokładnie odpowiadały opisowi Andie. Nick przyjrzał się okolicy. Za domem rozciągały się pola uprawne. Z jednego boku leżała nie zagospodarowana parcela, dość spora i zadrzewiona, z drugiego stał kolejny pusty dom. Idealne miejsce na perwersyjne schadzki. Podszedł do tylnego wejścia, wyjmując rewolwer. Zapukał, lecz w środku nikt na to nie zareagował. Wtedy nacisnął klamkę. Drzwi ustąpiły. Ogarnęły go złe przeczucia, poczuł strach. Trzymając

przed sobą obiema rękami wyciągniętą broń, pchnął drzwi nogą.  
- Policja! - zawołał.

Odpowiedziała mu nienaturalna, przygniatająca cisza. Nick wszedł do środka, przemierzając jedno pomieszczenie za drugim, uważając na cienie i nie tracąc czujności.

Pomyślał, że pora zadzwonić po posiłki, przecież powinien działać zgodnie z regulaminem. Zamiast tego brnął dalej, prowadzony przez swoją broń i pierwotny instynkt tropiciela.

Znalazł panią X w głównej sypialni. Wisiała. Oczy miała przewiązane czarnym jedwabnym szalikiem, drugim ktoś skrupował jej ręce. Wysoki stółek kuchenny leżał przewrócony pod kołyszącymi się stopami. Sądząc po śladach, został wykopany spod nóg kobiety. Niższy stółek stał jakies trzydzieści centymetrów dalej, nieporuszony.

Nick poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła. Zatkanął sobie usta i zmusił się, by podejść bliżej do kobiety, sprawdzić, czy żyje, choć nie miał wątpliwości, że jest inaczej.

Była martwa.

Zakreśliło mu się w głowie, zgięty w pół oddychał głęboko. Jego pierwszy nieboszczyk. Jego pierwsza prawdziwa śmierć. To nie był trup w kostnicy, to nie była stara pani Trotter, która umarła we śnie z delikatnym uśmiechem zastygłym na twarzy.

Teraz znalazł się w samym centrum makabry. To było wstrętne, okrutne i... złe.

Wziął się w garść i odwrócił się w stronę ofiary. Była młoda, ładna, nie gotowa na śmierć. Była...

Patrzył na nią, na tę panią X, i nagle zaczęło mu coś świtać w głowie. O gówno! Pieprzone gówno! Pomimo

zasłoniętych oczu rozpoznał tę kobietę, poznał seksowny pieprzyk w prawym kąciku ust, blond włosy o niezapomnianym odcieniu. Pamiętał ją z niezliczonych zdjęć drukowanych z gazetach i pokazywanych w telewizji. Zetknął się z nią niejedną raz, odkąd przed dwoma laty zaczął pracować w policji.

Za jego plecami zaskrzypiała podłoga. Zakreślił się do tyłu z wycelowaną bronią.

- Nie ruszaj się!

Dzieciak. To był tylko dzieciak, ta dziewczyna, stała na progu ze wzrokiem wbitym w panią X.

- Cholera, Andie! Miałaś nie wychodzić z samochodu! Mógłbym cię zastrzelić.

Spojrzała na niego.

- Zrobił to - odezwała się prawie bez emocji. - Zrobił to, tak jak... O mój Boże... - Jej głos uniósł się, zaczęła cała dygotać. - Zabił ją. On ją zabił! Nick objął dziewczynę, by zasłonić przed nią straszny widok, i ruszył do drzwi. Odpychała go histerycznie, powtarzając maniackalnie te same słowa.

Przycisnął jej twarz do swojej piersi, nie mogąc zapomnieć o wiszącej za nimi pani X, o zapachu śmierci, który zaczął już przenikać powietrze. Nie zapomniał także, że Andie Bennett znalazła się w większych tarapatach, niż mogła przypuszczać.

Pani X była nikim innym jak Leą Robertson, młodą i urodziwą żoną komisarza policji.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY**

Pani X nie żyła.

Pan X zabił ją, tak jak przewidziała.

Andie wcisnęła twarz w koszulę Raphaela. Tuż za jego bezpiecznymi szerokimi ramionami wisiała ona. Martwa. Zamordowana.

Andie tuliła się do Nicka, czerpała z niego ciepło, bo przejął ją taki chłód, że szczykała zębami. Mocno, rozpaczliwie zacisnęła oczy, wsłuchiwała się w bicie serca policjanta, poddawała się jego uspokajającemu głosowi. Nie mogła jednak pozbyć się obrazu martwego ciała pani X.

- Nie patrz tam, Andie.

- Czy ona jest... jest pan pewny, że ona...

- Tak, Andie - odparł cicho. - Tak. Rozszłochała się, zatraciła się w płaczu, cała się

trzęsła, zupełnie przestała nad sobą panować. Nick położył dłoń na jej głowie.

- Płacz, Andie, wypłacz się.

Płakała więc, porażona tym, co się stało, nad ową biedną nieznajomą kobietą, której pan X najpierw zabrał duszę, a potem życie. Płakała nad tym, że mimo swych desperackich starań nie zdołała jej ustrzec przed

straszonym przeznaczeniem. Płakała wreszcie nad sobą, bezradną i zagubioną w świecie, w którym zło pokazało swoją moc. Już nie myślała, tylko wylewała z siebie dogłębny żal i beznadziejną rozpacz. Płakała tak długo, aż mogła jedynie popiskiwać, zachrypnięta i zupełnie pozbawiona sił.

- Już lepiej? - spytał Nick.

Pokręciła przecząco głową, nie mogła wydobyć z siebie głosu, pewna, że już nigdy nie będzie się czuła dobrze.

- Przynieść ci szklanek wody? Chcesz usiąść?

- Czuję tylko... gdybym tylko...

- Próbowalaś - powiedział łagodnie. - Zgłosiłaś się do nas, pilnowałaś jej. Tacy ludzie... - Przerwał, jakby szukał właściwych słów. - Tacy ludzie jak ona żyją na krawędzi. Liczą się ze śmiercią, prowokują ją, a czasami umierają. To nie twoja wina.

Wzruszyła ramionami.

- To czemu tak paskudnie się czuję?

- Przestań. Wyjdźmy stąd. - Położył dłonie na jej ramionach i odwrócił ją w stronę drzwi, starannie zasłaniając ciało.

Pozwoliła się wyprowadzić z sypialni, a kiedy dotarli do pokoju dziennego, doprowadził ją do samotnego krzesła. Jego krzesła.

Andie zatrzymała się, patrząc nań w przerażeniu, zalana złymi wspomnieniami.

- Nie, nie chcę... On tutaj... on tu siedział.

- Pan X?

- Tak.

Nick wskazał na okno.

- Tędy podglądałaś?

- Tak. Muszę usiąść. Usiądę na podłodze. Kucnął tuż przed nią, żeby nie mogła uciec od niego wzrokiem.

- Musimy pogadać. Musisz mi wszystko powiedzieć, Andie, całą prawdę.  
- Już powiedziałam - szepnęła, nerwowo zwilżając wargi. - Wszystko powiedziałam.

- Ta kobieta nie żyje, Andie, została zamordowana. Musimy znaleźć mordercę.

- Pan X ją zabił! - Przeraziła się, że Nick jej nie wierzy, przez co pan X wyjdzie z tego obronną ręką, wolny jak ptak. A ona nie będzie mogła nic na to poradzić, tak jak nie udało jej się uratować pani X.

- Znasz jego nazwisko? Wiesz, gdzie mieszka? Gdzie pracuje? Możesz podać mi jego rysopis?

Pokręciła przecząco głową.

- Potrzebujemy więcej informacji, Andie. Może twoje koleżanki zobaczyły coś, co umknęło twojej uwagi?

- Moje... koleżanki? - Głos jej ochrypl. - Mówiłam już, że nikogo ze mną nie było.

- Pamiętam, co mówiłaś, ale wiem, że nie byłaś sama.

- Byłam! - krzyknęła. - Słowo, że byłam! Chwycił ją za rękę.

- Nie włamałaś się sama do tego domu ani nie wracałaś tu sama, by zaglądać przez okno, bo byłaś zbyt wystraszona. Nie zrobiłaś tego w pojedynkę.

Zmieszana Andie przygryzła dolną wargę. Czy Nick dowie się prawdy, jeśli ona nic mu nie powie? - zastanawiała się. Czy ściągnie to na nią jeszcze większe kłopoty?

Trudno powiedzieć. Obiecała Raven i Julie, że nie piśnie słówkiem.

Obiecała, że w nic je nie wpakuje.

- Chyba chcesz, żebyśmy schwytali zabójcę, prawda? - Gdy przytaknęła, ciągnął dalej: - Śledztwo w sprawie morderstwa przypomina układanie łamigłówek.

Trzeba odnaleźć szczegóły, a potem pozbierać je do kupy, przyjrzeć im się z każdej strony, stwierdzić, czy do siebie pasują. Tak czy owak, do niczego nie dojdiesz, dopóki nie zbierzesz wszystkich kawałków.

Wszystkich, Andie.

W gardle czuła ucisk. Nie wolno jej zawieść zaufania przyjaciółek.

Znaczy to jednak... Nick ścisnął jej palce.

- Musisz postąpić właściwie, Andie. Już to zrobiłaś, zgłaszając się do nas i pilnując pani X. Dokończ to, co zaczęłaś. Wiem, że chcesz oszczędzić koleżankom problemów, ale nie możesz ich dłużej chronić. Zrób to, co należy - powtórzył. - Pomóż nam złapać mordercę.

Pojedyncza łza spłynęła spod powieki Andie i potoczyła się w dół policzka. Dziewczyna zwiesiła głowę.

- Nie byłaś sama, prawda?

- Nie.

- Powiedz mi całą prawdę.

Tak też zrobiła. Opowiedziała o rozstaniu swoich rodziców i o tym, jak wymknęła się z domu, szukając pocieszenia u przyjaciółek. Jak usłyszały dziwną muzykę i co nastąpiło potem, nawet o kłótni z przyjaciółkami i o tym, że tajemnicza para zachwiała ich przyjaźnią.

- Dziękuję, Andie. - Nick obdarzył ją krótkim, serdecznym uśmiechem. - Postąpiłaś właściwie, spisałaś się naprawdę dzielnie, dzieciaku.

Kiedyś, gdy Andie chciała zostać bohaterem, wyobrażała sobie, jak by to było. Teraz czuła się jak wąż, który zdradził najlepszych przyjaciół.

- Obiecałam im, że nic nie powiem, obiecałam. - Szukała u niego zrozumienia, zapewnienia, że nie stało się nic złego. - Będą miały przeze mnie mnóstwo kłopotów, będą w gorszej sytuacji niż ja, dużo gorszej.

- Na pewno cię rozumieją. - Uścisnął jej dłoń i wstał. - Muszę to zgłosić. Dobrze? Potem zawiadomimy twoich rodziców. Czeka cię kilka trudnych godzin.

Schowała twarz w dłoniach. Właśnie zmieniło się jej życie, a przez nią także życie jej przyjaciółek. Spontanicznie spojrzała na policjanta.

Współczuł jej, rozumiał, w jak trudnej znalazła się sytuacji. To dobrze, pomyślała. Zatonęła w jego ciepłych piwnych oczach. Nie wiedziała, czego w nich szukała. Po prostu bardzo chciała choć przez chwilę patrzeć w nie.

I to, co ujrzała, wprawiło ją w przerażenie. On też to wiedział.

Od tej pory wszystko się zmieni.



## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY**

Morderstwo Lei Robertson wstrząsnęło Thistledown. W tym sennym miasteczku takie rzeczy po prostu się nie zdarzały. Było to dobre, bezpieczne miejsce, gdzie spokojnie mogło kwitnąć życie rodzinne. Happy Hollow zamieszkiwała wyższa średnia klasa. Andie Bennett, Raven Johnson i Julie Cooper były panienkami z dobrych domów i nikt się nie spodziewał, by mogły zaplątać się w coś takiego.

Ale cóż, zaplątały się. Miejscowa społeczność była oburzona, ludźmi zawładnął strach. Domagali się aresztowań, żądali od policji, by ujawniła, kto jest głównym podejrzanym, na którym mogliby wyładować swoje lęki i swoją wściekłość.

Mieszkańcy Thistledown w stanie Missouri pragnęli czuć się pewnie i bezpiecznie. Nie chcieli oglądać się przez ramię i nieustannie śledzić, co porabiają ich nastoletnie córki. Drżeli ze strachu, że ich ulicami spaceruje zboczeniec i morderca, poszukujący kolejnej ofiary.

Kłopot w tym, że od zabójstwa minął tydzień, a Nick i jego koledzy niczego nie znaleźli. Nie mieli podejrzanego, oczywiście poza tajemniczym panem X, który rozplątał się jak zaczarowany.

Kapitan James Randall, gliniarz z dużego miasta, który przeniósł się do prowincjonalnego Thistledown, gdzie spodziewał się znaleźć lepsze warunki do życia dla swojej rodziny, był bardzo niezadowolony. Jego zazwyczaj przyjazna twarz mieniła się wściekłością i frustracją.

Chodziło o sprawy osobiste, bo ofiara była żoną komisarza policji. Nick miał świadomość, że gówno spływa z góry na dół. Prawdę mówiąc, dziwił się jedynie temu, że trwało to cały tydzień, zanim spadło na jego głowę. Spodziewał się tego od chwili, gdy ustalił nazwisko ofiary.

- Za kogo ty się, u diabła, uważasz, Raphael? - wrzeszczał kapitan. - Za jakiegoś pieprzonego Samotnego Jeźdźca?

Nick, mając po obu stronach ochronę w postaci Petersa i Nolana, nawet nie drgnął.

- Nie, kapitanie.

- Nie, kapitanie - powtórzył drwiąco Randall. - To o czym myślałeś tamtej nocy? Przyjąłeś zgłoszenie od nieletniej dziewczyny, że prawdopodobnie popełniono zbrodnię, i nikomu tego nie zameldowałeś. Pojechałeś na miejsce zbrodni bez ochrony. Narażasz swoje życie, życie tej dziewczyny i całe śledztwo.

- Tak, kapitanie. Źle zrobiłem.

Lecz sądząc po rozpalonych furją policzkach Randall-a, do końca tyrady było jeszcze daleko.

- Źle? Słodki Jezu, Raphael. A radio? Nie przyszło ci do głowy, że departament może chcieć przygotować relację dla prasy? Że dla Dicka Robertsona i całego departamentu to może być bardzo niezręczna sytuacja? Że wolelibyśmy puścić w miasto naszą wersję, aby nie wywoływać paniki? Nie zdawałeś sobie sprawy, jaka to delikatna sprawa? Że pismaki rzucą się na to jak muchy na psie gówno? Pieprzony „National Enquirer” już się za to zabrał! - Kapitan oparł dłonie o biurko i lekko się

uniósł, jakby głowa miała mu eksplodować. - Jak ci się udało zostać detektywem? Poinformuj mnie, bo nie znajduję żadnego wytłumaczenia! Włączył się Peters.

- Nick zna procedurę, kapitanie. Ale to kowboj, zawsze celuje do najwyższego celu, żeby cała chwała spadła na niego. Powinien był do mnie zadzwonić, byłbym...

Randall przeniósł rozjuszony wzrok na Petersa.

- Co byś zrobił, Peters? Gdybyś wcześniej poważnie potraktował oświadczenie dziewczyny, żona Dicka Robertsona najprawdopodobniej żyłaby do dzisiaj, a tego miasta nie ogarnęłaby panika.

Zarumieniona twarz detektywa jeszcze poczerwieniała.

- Tego nie wiemy, kapitanie. Nawet jak byśmy tam pojechali, pewnie i tak nic by to nie dało.

- Może. Ale nie pojechałeś. A nie jesteś nowicjuszem, Peters. Teraz wygląda na to, że powyrywają nam nogi z tyłków. Dick Robertson chce podejrzanego, tak samo mieszkańcy tego miasta. A co macie?

Peters zaczął:

- Znikła obrączka Lei Robertson. Postawiliśmy na nogi lombardy i komisje w promieniu około trzystu kilometrów.

- Nie wypłynie - stwierdził Nick. - Dam głowę, że facet zabrał ją sobie na pamiątkę, jako osobiste trofeum. To nie był wypadek, to nie był pechowy koniec imprezy. - Wstał i wskazał na raport, który leżał na biurku

Randalla. - Mogę?

Kapitan przytaknął, Nick otworzył teczkę i wyciągnął zdjęcia z miejsca zbrodni, szukając zbliżenia szyi ofiary.

- Proszę spojrzeć na ślady sznura. Widzi pan, jak

bardzo się różnią od głównego siniaka? - Pokazał ciemny ślad w kształcie odwróconej litery V na szyi pani Robertson. - Wskazują na jakąś szamotaninę, jakby kobieta gwałtownie wykręcała głowę do tyłu i do przodu. Białe w skórę włókna sznura mogą potwierdzać tę teorię.

- No i? - Kapitan nie krył zniecierpliwienia.

- Ona wiedziała, że szykuje się coś złego. Pewnie ten facet najpierw jej groził. Chciał, żeby miała pełną świadomość tego, co ją spotka, oraz że od tego nie ma już odwrotu.

- Potem wykopał taboret spod jej stóp - dorzucił Nolan. - Sądząc po śladach, kopnął go całkiem mocno.

- Nie ma tu mowy o żadnym wypadku - dodał Peters. Kapitan dosłownie zawył.

- I to właśnie waszym zdaniem powinienem oświadczyć prasie?

- Nie. - Nick odchrząknął. - Mam raporty dotyczące podobnych zbrodni popełnionych w ciągu kilku ostatnich lat. Sprawdzamy wszystkich przestępców seksualnych na naszym terenie, a także wszystkich nowo przybyłych, którzy pojawili się tu w czasie ostatnich ośmiu miesięcy. Nikt nie chce, żeby mordercą okazał się znajomy lub sąsiad.

- Ale wszyscy się boją, że tak właśnie jest. - Randall zamknął teczkę. - Co z tymi dziewczynami?

- Przepytyjemy je, ich zeznania zgadzają się. Nasz podejrzany jest wysokim, atletycznie zbudowanym mężczyzną, z ciemnymi falującymi włosami. Żadna nie widziała jego twarzy, tak przynajmniej twierdzą.

- Nie wierzy im pan? Nick rozłożył ręce.

- To dziwne, zresztą ta cała sprawa jest dziwna. Poza tym nie wiem, po co miałyby kłamać.

- Rozmawialiśmy z Jacksonem Sadlerem, z Sadler Construction, o tym domu - powiedział Peters. - Lea Robertson wynajęła go dwa i pół miesiąca temu, na pół roku. Rozmawialiśmy też z synem Sadlera, który u niego pracuje.

- Davidem Sadlerem - odpowiedział Nolan.

- Tak - potwierdził Peters. - Mówił dokładnie to samo.

- Nie pytali o nic?

- Nie. Zna pan sytuację w tym mieście. Sadler był wdzięczny, że ktoś to wynajął. Lea Robertson złożyła depozyt i płaciła z góry, pierwszego każdego miesiąca.

- Nie domyślił się z papierów, że to ona, i nie zastanawiał, po co jej to? Nick pokręcił głową.

- Transakcję przeprowadziła pracownica biura, wypisała umowę najmu. Nie rozpoznała żony komisarza. Czyta tylko pisemko dla gospodyń domowych.

- Co za burdel! - Kapitan jęknął i przeciągnął dłonią po starannie przystrzyżonej fryzurze. - Rodzice nie wiedzą, czego te dziewczyny tam szukały?

- Nie. To dobre dzieciaki. Rodzice im ufali. Nolan uśmiechnął się głupio.

- Nie powtórzą już tego błędu, co? Nick spojrzał na niego z niesmakiem. Kapitan przeklął i wstał.

- No i co z tych waszych żalosnych plonów mam przekazać prasie?

- Może prawdę - zasugerował Nick. Randall rzucił się ku niemu.

- Uważaj, Raphael, bo cofnę cię do drogówki. Zresztą już powinienem był to zrobić.

Nick wytrzymał spojrzenie kapitana.

- To co pana wstrzymuje?

- Jesteś mi teraz potrzebny, jak i wszyscy pozostali. - Po kolei spojrzął na podwładnych. - Zapewnię burmistrza i obywateli Thistledown, że sytuacja jest pod kontrolą. A wy macie jak najprędzej złapać tego zbrojczycę. Nie obchodzi mnie, czy będziecie pracować dwadzieścia cztery godziny na dobę i czy przewrócicie to miasto do góry nogami. Chcę rozwiązać tę sprawę. Dotarło?

Kapitan zatrzymał wzrok na Nicku.

- Dotarło? - powtórzył.

Nick pokiwał głową i podniósł się z krzesła.

- Znajdę go, kapitanie. Przyszpilę drania, choćby była to ostatnia rzecz w moim życiu.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY**

Raven z zadumaną miną siedziała na łóżku. Musiała wszystko dobrze rozważyć, przeanalizować możliwe rozwiązania, zastanowić się nad konsekwencjami każdej z ewentualnych decyzji.

Ojciec zamknął ją. Od dnia zamordowania pani X pozwolił jej tylko na rozmowę z policją i na wyjścia do łazienki. Posiłki przynoszono jej do pokoju.

Uważał, że sprytnie to wymyślił, był przekonany o swojej wszechmocy. Lecz bardzo się mylił. Myślał, że zrobi z niej swojego więźnia. Zabronił spotkań z Andie i Julie, jakby naprawdę mógł je rozdzielić. Przysiągł śledzić jej każdy krok, tak jak niegdyś szpiegował jej matkę. Żeby to udowodnić, obrzucał Raven tymi samymi co matkę epitetami. Nazywał ją niewdzięczną dziwką i kłamczuchą. I uderzył ją tak samo jak matkę, mocno, prosto w usta.

Raven nie była jednak taka jak matka. Nie bała się ojca. To on powinien drżeć przed nią. Miała władzę nad jego życiem, był jednak zbyt głupi i arogancki, żeby to zauważyć.

Policja też była głupia i arogancka. Męczyli ją o to, co widziała, jakby mogła przyznać, że zna tę twarz i w ten sposób wydać swojego nauczyciela i mentora.

Raven podciągnęła kolana pod brodę i kołysała się, myśląc o panu X i grze, którą prowadził. Wiedziała już, na czym polega władza, i nie pozwoli dalej dręczyć się i karać takim mężczyznom, jak jej ojciec. Nie będzie niczym więźniem, nikt nie będzie jej mdwił, co ma robić i jak ma żyć.

Sama będzie sobą rządziła.

Nadszedł już czas, nie miała nic do stracenia. Jej rodzina rozpadła się. Raven zeskoczyła z łóżka i podeszła do toaletki. Spojrzała na swoje odbicie w lustrze, bacznie oglądając purpurową szramę na policzku i opuchnięte, zakrwawione wargi, czyli konkretne dowody, które potwierdzą jej oskarżenia.

Raven miała w Chicago ciotkę Katherine, siostrę matki, która szczerze nienawidziła jej ojca. To ona upierała się przy śledztwie, kiedy Sandy Johnson znikła w niewyjaśnionych okolicznościach, ona nalegała, żeby przesłuchano Rona Johnsona. I chociaż policja nie znalazła przeciw niemu żadnych dowodów, nadal obarczała go odpowiedzialnością za zniknięcie siostry.

Ciotka Katherine była bezdzietna i mieszkała sama w dużym domu na Lakeshore Drive. Raven podtrzymywała pieczołowicie stosunki z ciotką, wiedząc, że pewnego dnia może jej potrzebować. I tak właśnie się stało. Pomyślała o Andie i Julie, i do oczu napłynęły jej łzy. Bała się o Julie, była bowiem pewna, że po tej całej aferze Wielebny ujawnił wszystkie swe najgorsze cechy. Martwiła się o Andie, choć wiedziała, że ją spotkała najłżejsza kara, a za miesiąc jej matka zapomni o tym, iż ukochana córeczka na jakiś czas zeszła na złą drogę.

Za trzy lata skończą liceum i, jak planowały, pójdą razem do college'u. Wtedy znów staną się rodziną. Trzy lata szybko miną, pomyślała, podchodząc do okna. Wyrzała. Ojciec obciął gałęzie z drzewa rosnącego pod



jej oknem, będzie więc musiała skoczyć z pierwszego piętra prosto na ziemię, co grozi złamaniem nogi albo czymś jeszcze gorszym.

Ten młody śledczy wydał jej się sympatyczny. Pójdzie właśnie do niego, wypłacie mu się i opowie, jak ojciec zabił jej matkę i pochował ją na podwórku. Powie mu, jak się bała, że ojciec zrobi z nią to samo. Dlatego do tej pory milczała.

Lecz teraz, po morderstwie pani X, które tak bardzo nią wstrząsnęło, uświadomiła sobie, że nie powinna już dłużej milczeć. Boi się ojca, który jest zdolnym do wszystkiego potworem. Szlochając, drżącym głosem, przedstawi to wszystko, a oni na pewno jej uwierzą i uzalą się nad nią. Zaś jej ojciec zapłaci wreszcie za swoje zbrodnie.

Trzy lata, pomyślała znowu, podnosząc szybę i wspinając się na parapet, to wcale nie tak długo. Zwłaszcza że spędzą razem resztę życia.

Skoczyła.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY**

W ciągu dwudziestu czterech godzin od płacznego zeznania Raven, Ron Johnson, szanowany człowiek interesu i oddany ojciec, został aresztowany za zabójstwo żony. Wydano nakaz rewizji i przekopano patio na posesji Johnsonów. Policja znalazła tam wystarczające dowody, żeby wsadzić oskarżonego za kratki.

Thistledown, które powoli zaczęło wracać do równowagi po skandalu, jaki wywołała śmierć Lei Robertson oraz informacje o jej podwójnym życiu, znów zatrzęsło się od nowin i plotek. Kręcono głowami, mielono językami, wyrażano oburzenie. Lato roku 1983 dostarczyło tej statecznej społeczności naprawdę końską dawkę emocji.

Ze wszystkich mieszkańców najbardziej przejęta była Andie. Nie mogła uwierzyć, że ojciec jej najlepszej przyjaciółki okazał się mordercą. Czuła się też oszukana przez Raven, która trzymała to w sekrecie, a przecież miały dzielić się wszystkim bez wyjątku.

To był dla Andie ostateczny cios, a zarazem ostatni fragment układanki, który całkowicie zmienił jej życie i plany na przyszłość.

Julie wyjechała, bowiem Wielebny natychmiast wysłał ją z Thistledown, nie pozwalając jej pożegnać się z przyjaciółkami, do miejsca, gdzie nie czyhały żadne pokusy.

Teraz Andie traciła także Raven.

Marge bardzo współczuła córce, która ze łzami w oczach zegnała się z przyjaciółką przed jej wyjazdem do Chicago, miliony kilometrów od Thistledown. Tak przynajmniej wydawało się Andie. Dziewczyny padły sobie w ramiona, wyrzucając emocje, myśli i lęki, które dusiły w sobie przez ostatnie dwa tygodnie.

- Dlaczego nigdy nie powiedziałaś o swoim ojcu?

- Za bardzo się bałam.

- Julie wyjechała.

- Wiem. Wielebny gdzieś ją wysłał. Powiedziałaś...?

- Nie. Martwię się o nią, boję się, że...

- Policja nie znalazła dotąd pana X. - Raven jeszcze bardziej zniżyła głos.

- Słyszałam, że nie wpadli na żaden ślad.

- Strasznie się boję. Nie może mu to ujść na sucho, po prostu nie może.

- Będę za tobą tęsknić, chyba umrę.

- Nie wyjeżdżaj. - Andie rozplakała się na nowo. - To moja wina. Tak mi przykro.

W końcu Marge delikatnie rozdzieliła przyjaciółki. Andie była pewna, że pęknie jej serce. Próbowwała pomóc pani X, a skończyło się na tym, że ucierpieli ci, których najbardziej kochała. Jej matka, ojciec, bracia, Raven i Julie. Przede wszystkim Raven i Julie.

Nigdy więcej nie wsadzi nosa w cudze sprawy. Nigdy.

- W porządku, Andie. - Złączyły dłonie. - Zawsze będziemy razem, już ja się o to postaram. Jesteśmy rodziną, pamiętasz?

- Pisz do mnie codziennie, dobrze?

- Dobrze.

Ciotka pociągnęła Raven do wyjścia, jej oczy także były pełne łez.

W chwilę potem Raven odjechała.

**Część druga**

**NIEWINNA CIEKAWOŚĆ**

**Dzisiaj**

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

### *Thistledown, Missouri 1998*

Doktor Andie Bennett uważnie słuchała swojej pacjentki. Martha Pierpont leczyła się u niej od roku. Początkowo skarżyła się na bezsenność i nerwy, i dopiero po paru miesiącach zdradziła prawdziwą przyczynę swojego cierpienia. Było nią okrucieństwo jej męża. Sytuacja była tym trudniejsza, że był nim Edward Pierpont, popularny i szanowany burmistrz Thistledown. Uwolnienie się od strachu i poniżenia nie następuje w ciągu jednego dnia, zwłaszcza gdy te uczucia kumulowały się przez dwadzieścia dwa lata. Dla niektórych ta chwila nie przychodzi nigdy.

Andie uśmiechała się do ładnej, delikatnej kobiety, chcąc dodać jej otuchy.

- A co z pani córką, Martho? Gdzie była przez cały ten czas?

- Patti? - Załamała ręce. - Wie pani, jakie są nastolatki. Siedziała w swoim pokoju, niczego nie słyszała.

- Jest pani pewna? Przecież mąż głośno krzyczał,

a potem stłukł lustro. Tak mi to pani przedstawiła. Jak mogła tego nie słyszeć?

Martha nerwowo szarpała chusteczkę.

- Zakłada sobie na uszy słuchawki. Prawie ich nie zdejmuję.

- Martho - powiedziała miękko Andie. - Już to przerabialiśmy. Patti wszystko słyszy i doskonale wie, co się między wami dzieje. Zawsze wiedziała.

- Wiem, że rozmawialiśmy o tym, ale myli się pani. Ta głośna muzyka... te słuchawki... Ona ich nigdy nie zdejmuję.

- A jak pani myśli, dlaczego? Może chce coś zagłuszyć?

Zmieszana Martha spuściła wzrok. Jej granatowa lniana spódnica była zasypana okruchami ligninowej chusteczki.

- Proszę zobaczyć! - Zaczęła zbierać okruchy, ręce jej drżały. - Czasami jestem taka bezmyślna.

Andie, gdy tylko Martha pojawiła się u niej przed rokiem, natychmiast rozpoznała jej metodę. Była nią ucieczka. Martha odmawiała dyskusji o swojej jedynaczce, a przymuszona, nie była szczerą.

- Nie wiem, dlaczego ubieram się na granatowo, wszystko na tym widać. Gorsza jest tylko czerń. W zeszłym tygodniu kupiłam sobie czarną jedwabną sukienkę, i teraz zastanawiam się...

Czarny jedwab.

Słyszając tę zbitkę słów, Andie zawsze przypominała sobie to straszne lato roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego. Wprawdzie przez piętnaście lat wiele się wydarzyło, ale tamtych dni nigdy nie zapomniała. Ani morderstwa pani X, które nie doczekało się rozwiązania, ani kary, jaka z jej winy spotkała przyjaciółki, ani też wstrząsu, jakiego doznała na wiadomość o zbrodni ojca Raven.

Dokładnie pamiętała, jak to jest, gdy traci się najbliższych oraz gdy staje się tematem obrzydliwych plotek.

Lecz wszystko już dawno ucichło, a ona i Raven spotkały się, tak jak sobie obiecały, na Uniwersytecie stanu Missouri i pozostały najlepszymi przyjaciółkami. Lecz nawet za milion dolarów nie wróciłyby do tamtego roku, do najgorszego, pełnego zamętu momentu jej życia.

Uśmiechnęła się pod nosem. Bo z drugiej strony właśnie tamto lato spowodowało, że została psychiatrą. Wstrząsające wydarzenia kazały jej szukać odpowiedzi na wiele istotnych pytań, musiała bowiem znaleźć jakiś sens w losie pani X i matki Raven, a także w losie jej rodziny.

Musiała zrozumieć, co popycha ludzi ku pewnym działaniom.

Po wyjeździe przyjaciółek Andie zaszyła się w bibliotece, pochłaniając książkę za książką. Im więcej się uczyła, tym bardziej rosła w niej fascynacja ludzką psychiką, tajemnicami umysłu i zachowaniami. Im więcej czytała, tym bardziej była pewna, że będzie pomagać tym, którzy zagubili się w życiu albo zostali głęboko zranieni. Lub też nie mogą znieść zabójczej samotności.

Dręczyła ją myśl, czy Lea Robertson żyłaby jeszcze, gdyby ktoś potrafił jej wtedy pomóc. Andie wróciła do Marthy.

- Słucham?

- Edward otrzymał kolejny list z pogrózkami. Tym razem naprawdę się przeraził.

Andie ściągnęła brwi.

- To już trzeci, prawda? Martha przytaknęła.

- Dwa poprzednie podarł na kawałki, ale ten... - Uniosła ramiona. - Nigdy nie był tak zdenerwowany.

- Co tam było napisane?

- Że go złapią. Że pożaluje. W sumie to samo, co wcześniej.

- Pokazał ten list policji?

- Tak. Ale ten, kto je pisze, jest wyjątkowo ostrożny. Nie zostawia żadnych śladów. Na kopercie jest miejscowa pieczętka, lecz policja nie ma żadnego tropu.

- A charakter pisma? Nie mogą na tej podstawie...

- Ten ktoś wycina litery z gazety i nakleja je, tak jak w filmach. - Martha odwróciła wzrok. - Policja uważa, że to głupi żart, ale jeżeli się myli... - Spojrzała na Andie.

- Może kryje się za tym prawdziwe niebezpieczeństwo? A jeśli włamią się do domu i zrobią coś Patti?

To rzeczywiście okropna perspektywa, pomyślała Andie, choć wydawało jej się, że Martha i Patti powinny bardziej obawiać się Eda Pierponta niż autora anonimów. Przyszło jej nawet na myśl, że to sam Ed wysłał do siebie te listy, żeby w ten przewrotny sposób zwrócić na siebie uwagę. Zbliżały się przecież wybory.

- Porozmawiajmy jeszcze o wczorajszej nocy - powiedziała Andie.

- Musimy?

- Oczywiście, że nie. - Andie skrzyżowała nogi.

— O czym chce pani rozmawiać?

Martha potrząsnęła głową i spojrzała w bok.

- To było gorsze niż kiedykolwiek. Spodziewałam się tego, widząc, jak na mnie patrzy. - Martha uniosła drżącą dłoń do sznura pereł na szyi. -

Czułam na sobie jego wzrok przez całe przyjęcie, jakby oceniał mój każdy krok, każde moje słowo. W pewnej chwili musiałam wyjść do łazienki, bo nie mogłam już oddychać, tak szybko biło mi serce.

Andie robiła notatki.

- Dlaczego?

- Wiedziałam, co będzie, kiedy wyjdą goście, bo zachowałam się fatalnie i bardzo go rozzłościłam.

- Naprawdę? Z tego, co pani mówi, jest pani idealną gospodynią.



- Wiem, co go... wzburza. Ale... zapomniałam. - Spojrzała na Andie, błagając wzrokiem o zrozumienie.
- Wystarczy, że się do kogoś uśmiechnę, odezwę. Nienaumyślnie, to dzieje się jakoś tak samo.
- Ale co na przykład pani zrobiła? Zawstydzona Martha podniosła wzrok na Andie.
- Pamiętam, że uśmiechałam się do George'a Wim-berly. Powiedział, że pięknie wyglądam, to wszystko. To chyba nie jest wyraz nielojalności, taki uśmiech w podziękowaniu za komplement?
- Oczywiście, że nie. To całkiem normalne zachowanie, tego wymaga zwyczajowa grzeczność.
- Ed tak nie myśli. - Martha przygryzła dolną wargę.
- Kiedy wszyscy wyszli, zaczął się wściekać.
- Nazwał panią bezwartościową idiotką?
- Tak. I innymi, jeszcze gorszymi słowami.
- Dziwką?
- Tak. - Spuściła głowę. - I uderzył mnie w twarz. Andie zacisnęła palce na piórze, zachowując pozorny spokój.
- A potem?
- Potem... potem... - Kobieta walczyła ze sobą, mówiła z wielkim trudem.
- Potem siłą położył mnie na łóżku i... rozsunał mi nogi.
- Zgwałcił panią.
- Nie. Przecież jest moim mężem, więc to nie był gwałt.
- Powiedzmy, że zmusił panią do stosunku. Kobieta pokiwała głową.
- Czyli zgwałcił panią. Nie ma znaczenia, że to pani mąż. Martha kręciła głową, nie widziała przez łzy.
- Jak się pani potem czuła?
- Kobieta miała pustkę w oczach. Andie spróbowała

inaczej, żeby pacjentka nie mogła wykręcić się od odpowiedzi.

- Jak się pani czuje, kiedy mąż nazywa panią bezwartościową idiotką? Martha patrzyła w dal. Andie czekała, pozwalając ciszy wypełnić dzielącą je przestrzeń. Za każdym razem zadawała Marcie to pytanie, a ona nie przyznawała się do swoich uczuć. Usprawiedliwiała zachowanie męża. Mimo to Andie na każdej sesji miała nadzieję, że pewnego dnia Martha Pierpont zmierzy się z prawdą.

- Martho, słyszała pani moje pytanie? Co pani czuje, kiedy on tak panią poniża?

Kobieta znieruchomiała, twarz zalał jej rumieniec.

- Martho - nalegała Andie, czując, że zbliża się do przełomu. - Proszę mi powiedzieć, jak się pani czuje, kiedy on wyzywa panią od idiotek? Kiedy panią policzkuje i zmusza do stosunku?

- Chciałabym go zabić! - wybuchła Marta, zrywając się na nogi i trzęsąc się z wściekłości. - Chciałabym go zabić, zabić, zabić!

Jej wściekłość przeszła w oszołomienie. Kobieta zasłoniła dłonią usta, jakby mogła w ten sposób unieważnić swoje słowa.

- W porządku. - Andie wyciągnęła do niej rękę. - To pani uczucia, ma pani do nich pełne prawo.

- Nie, to nie jest w porządku. - Martha opadła na kanapę. - Przepraszam - szepnęła, choć Andie wiedziała, że nie dotyczy to właściwie nikogo. - To mój mąż, on... - Załamała się, szlochając z twarzą w dłoniach. - Jak on może tak mnie traktować? Jak? Jestem jego żoną. Matką jego dziecka. Andie przytuliła ją. To był dla Marthy wielki, cudowny przełom, chociaż nie zdawała sobie jeszcze z tego sprawy. Im dłużej tłumimy w sobie jakieś uczucia, tym

trudniej i boleśniej wyrzucić je z siebie. Również Marthę musiało to boleć.

Jednak nie tak mocno i nieodwołalnie, jak jej dotychczasowe życie. Ból, do którego się nie przyznajemy, przynosi zawsze więcej szkody niż ten, który przeżywamy świadomie.

Przed końcem wizyty Andie ponownie spytała kobietę o samopoczucie. Po raz pierwszy w ciągu tych wszystkich miesięcy ich wspólnej pracy uśmiech Marthy był spontaniczny i nieskrępowany.

- Czuję się dobrze - odparła ochryplym od płaczu głosem. - Naprawdę dobrze.

Andie była w siódmym niebie. Kiedy pacjentka wyszła, chwyciła za słuchawkę i wykręciła numer Raven, żeby podzielić się z nią swoją radością.

- Rave Reviews. Czym mogę służyć?

- Raven, to ja. Nie przeszkadzam?

- Odprowadzę tylko klienta. Zaczekasz?

- To kto jest ważniejszy? - drażniła się z nią Andie. - Klient czy najlepsza przyjaciółka?

- Dziękuję - rzuciła Raven rozbawiona. - Zaraz wracam.

Andie słyszała, jak Raven odprowadza kogoś do drzwi. Uśmiechnęła się pod nosem. Przyjaciółka wróciła do Thistledown, nie zważając na złe wspomnienia i nie przejmując się tym, że fatalna przeszłość jej rodziny może utrudnić jej rozwinięcie skrzydeł w biznesie, jako że prowadziła firmę, która zajmowała się urządzaniem wnętrz.

Tymczasem interes kwitł. Renoma Raven przyciągała ludzi, a jej talent sprawiał, że do niej wracali. Firma należała do najlepszych w całym stanie.

Raven wróciła do telefonu.

- Nie uwierzysz, to była Sonia Baker. Chce, żebym przebudowała jej dom.

- Znowu?

- Szybko się nudzi. Co chcesz? Jest tak bogata, że stać ją na to. - Andie usłyszała dźwięk otwieranej puszki. Raven była uzależniona od dietetycznej coli. - Co tam u ciebie, pani doktor?

Andie uśmiechnęła się.

- Moja pacjentka przeżyła przełom. Długo zmagala się z sobą, więc gdy się wreszcie otworzyła, byłam bardzo przejęta.

- Traktujesz to zbyt osobiście. Andie roześmiała się.

- Taką mam pracę.

- Mówię ci. Boję się, co byś zrobiła, gdyby któremuś z nich coś się stało. Chyba byś zwariowała.

Andie znów się zaśmiała.

- Opiekowałaś się mną, odkąd skończyłam dziewięć lat.

- Raczej osiem. - Raven też była rozbawiona. - Ten przełom to przytrafił się komuś znajomemu?

- Nie mogę ci powiedzieć, przecież wiesz.

- Jasne, ale i tak próbuję coś z ciebie wyciągnąć. Chciałabym wiedzieć, z jakim czubkiem spędza dzień moja przyjaciółka.

Andie pokręciła głową.

- Sama jesteś czubkiem. Zawsze byłaś.

- Czy to opinia prywatna, czy zawodowa, szanowna pani doktor?

- Obie naraz. Idziemy na ten obiad?

- Jasne, nie mogę się doczekać.

- Świetnie. Muszę kończyć, za dwie minuty mam następnego pacjenta. To wpół do szóstej.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY**

Raven pierwsza zjawiała się w restauracji. Usiadła przy stoliku, który zawsze zajmowały z Andie, zamówiła lampkę wina i pomyślała o Julie. Od wielu dni bezskutecznie próbowała się z nią skontaktować. Tego dnia usłyszała nagraną informację, że numer został zlikwidowany.

Julie znowu wpadła w kłopoty.

Raven westchnęła, wiedząc z doświadczenia, że tak właśnie musiało się stać. Wszystko przez tego drania, którego poślubiła Julie. Miał awersję do pracy i kiedy ostatnio rozmawiała, Raven domyśliła się, że przyjaciółka jest na skraju rozpacz. Który to już raz z kolei? Zawsze w ostatecznym rozrachunku łądowała bez męża i bez pieniędzy, z poszarpanym życiem. Głupiutka, słaba Julie. Czyżby naprawdę nie wiedziała, że należy do Thistledown? Najwidoczniej nie. Któregoś dnia to zrozumie. Może teraz? Raven instynktownie wyczuła, że ktoś się jej przygląda. Dyskretnie się rozejrzała. Wpatrywał się w nią facet, którego widziała już na siłowni. Odwróciła się i przesłała mu uśmiech. Kandydat na kochasia lekko osłupiał, potem też się uśmiechnął, wstał i powoli ruszył ku niej.

Raven, wysoka, naturalna platynowa blondynka, z delikatną blizną przecinającą policzek, zwracała uwagę mężczyzn. Szkolne przezwisko „Naręczona Frankensteina” dawno poszło w zapomnienie. Wyglądała świetnie, wiedziała o tym i wykorzystywała to bez skrępowań, nie zapominając przy tym, co jest dla niej najważniejsze.

- Cześć - powiedział, przystając przy jej stoliku. - Czy my się przypadkiem nie znamy?

Fantastycznie. Jaki oryginalny!

- Owszem, z siłowni.

- Faktycznie. Nie poznałem cię w ubraniu. Uniosła brwi, a on roześmiał się, bardzo zadowolony z siebie.

- To znaczy, w pełnym ubraniu - dodał z ognistym spojrzeniem.

Miał nie więcej niż jakieś dwadzieścia dwa lata, był dość przystojny, silny i samczy, ale niezbyt bystry i trochę szczeniakowaty, oceniła Raven. Nadawał się więc tylko na kochasia, ostry seks, a potem baj, baj! i tyle. Dojrzała przeciskając się między stolikami Andie, uśmiechnęła się i wręczyła chłopakowi swoją wizytówkę.

- Przyszła moja przyjaciółka, musisz już iść. Możesz do mnie zadzwonić. O mało nie zemdleł. Chwycił kartonik, mruknął coś pod nosem i odszedł. Chwilę później Andie zajęła miejsce przy stoliku.

- Kto to był?

- Ładny chłoptaś.

- Za młody dla ciebie.

- Tak sądzisz? - Raven spojrzała jej w oczy i roześmiała się. - Wiem. Ale nie mogłam sobie odmówić. Widziałas jego tyłek? Prawdziwe „Stalowe Bułeczki”.

Andie potrząsnęła głową.

- Nie zauważyłam.

- Twoja strata. - Raven podniosła kieliszek. - Nic, tylko pacjenci i pacjenci?

- Uhm. - Kelnerka przyjęła zamówienie od Andie i oddaliła się. - Miałam pilny telefon, dlatego się spóźniłam.

- Nic się nie stało. - Raven wodziła palcem wokół brzegu kieliszka. - Może rozmawiałaś ostatnio z Julie?

- Jakiś tydzień temu, a co?

- Próbowałam się z nią skontaktować. Dzisiaj okazało się, że numer został wyłączony.

Andie uniosła brwi.

- Myślisz, że to znaczy...

- Owszem. Koniec małżeństwa numer trzy. Kelnerka przyniosła kieliszek cabernet, Andie machinalnie podziękowała.

- Miałam nadzieję, że tym razem dobrze trafiła.

- Na Boga, Andie! - Raven skrzywiła się. - Przecież jesteś lekarzem, kompetentnym i wziętym psychiatrą, a łudziłaś się, że trzeci mąż w ciągu pięciu lat okaże się tym wyśnionym i jedynym? Ta mała podejmuje chaotyczne, nieprzemyślane decyzje, które za każdym razem muszą prowadzić do katastrofy.

- Wiem, wiem — zdenerwowała się Andie. — Po prostu wydaje mi się, że lepszy jest jeden stały facet, choćby i nie całkiem wyśniony, niż cały ich tabun.

- Julie ma problem - stwierdziła Raven. - To nie ulega żadnej wątpliwości.

- Chciałabym, żebyśmy mogły jej pomóc, ale ona nie chce poddać się terapii. A bardzo jej potrzebuje.

- Brak mi jej. - Raven odwróciła się do okna. - Powinna wrócić do domu.

- Thistledown nie jest już jej domem.

- Owszem, jest. — Raven spojrzała w oczy przyjaciółki. - Bardziej niż Kalifornia, tylko ona o tym nie wie. Szuka nie wiadomo czego, miota się, a przecież to, za czym tak się uganiam, jest tutaj. Bo my tu jesteśmy.

- Cześć, Raven.

Gdy odwróciła się do mężczyzny, który podszedł do ich stolika, przeklęła w duchu. Stał przed nią kłopot, a raczej Wielki Kłopot.

- Jason, miło cię widzieć.

- Gówno prawda. - Zerknął na Andie, potem znów na Raven. Nachylił się.

- Chcę ci tylko powiedzieć, że jesteś pozbawioną serca luksusową dziwką.

Uniosła lekko brwi.

- Doprawdy? Co się dzieje, twoje rozdęte ego nie potrafi przyjąć odrobiny prawdy?

Na policzkach mężczyzny wystąpiły czerwone plamy.

- Pieprz się.

- Wybacz, ale pan Malutki takie właśnie ma maniery. - Raven stuknęła swoim kieliszkiem o kieliszek Andie. - Nie jest w stanie spełnić oczekiwań normalnych kobiet.

Plamy pokryły już całą twarz Jasona, nerwowo drgały mu usta i policzki. Raven oczekiwała ostrego kontrataku, ale mężczyzna obrócił się na pięcie i wyniośle odmaszerował. Raven odprowadziła go wzrokiem.

- Co za dureń!

Andie także patrzyła za nim, potem spojrzała pytająco na przyjaciółkę.

- Czy to ten nowy cwaniaczek z St. Louis? Raven przytaknęła.

- Straszny, co?

- Tak jakby. - Andie zerknęła znów przez ramię.



- Jest w mieście od dwóch tygodni i już zdążyłaś złamać mu serce?
- Pan Malutki nie potrafi znieść ani słowa konstruktywnej krytyki, dlatego zostałam dziwką. Niektórzy faceci są żałośnie nadwrażliwi. - Otworzyła menu. - Na co masz ochotę?
- Raven! - Andie odsunęła kartę. - Powiedziałaś mu, że ma małego penis a i nie umie się nim posługiwać?
- Coś w tym rodzaju. - Przewróciła oczami na widok przerażonej miny Andie. - Teraz mi powiesz, że to nieładnie, tak?
- Nieładnie. - Andie ściągnęła brwi. - Nie możesz się odgrywać na każdym facecie, w każdym widzieć swojego ojca i karać za...
- Nie próbuj ze mną psychoanalizy, dobra?
- Nie widzisz, że stało się to prawidłowością? Że ranisz wszystkich facetów, którzy się do ciebie... zbliżą?
- Słuchaj. - Raven zmrużyła oczy. - Spałam z nim raz i nie było to najlepsze doświadczenie. Poinformowałam go o tym. Myślisz, że na moim miejscu zachowałby się inaczej?
- Owszem, jeśli ma trochę przyzwoitości.
- Czyli ja jestem nieprzyzwoita?
- Tego nie powiedziałam.
- Chyba tak.
- Nie kłóćmy się.
- Nie, przeciwnie. Skoro mówimy o facetach, porozmawiajmy o tobie, pani doktor.
- O czym? - Andie chwyciła menu. - Nie mam żadnych problemów. Raven wytrąciła kartę z rąk przyjaciółki.
- Wręcz przeciwnie. Nie masz faceta. Żadnego.
- Czasem umawiam się z kimś, a poza tym teraz nie chodzi o mnie.

- Pewnie, psychiatrzy nigdy nie mówią o sobie. Rozdrażniona Andie odłożyła menu.

- Nie potrzebuję mężczyzny, nie chcę. Kocham swoją pracę. Mam przyjaciół, ciebie i Julie i... - Zniecierpliwiła się. - Dobra, trochę się boję angażować. Boję się, że ktoś mnie zrani. I co z tego?

- A ja jestem trochę surowa dla moich facetów. I co z tego?

- Punkt dla ciebie. - Andie sięgnęła do koszyka z pieczywem i odłamała kawałek bagietki. - Tylko mnie złości, że ci faceci, choć znają twoją reputację, i tak biegną za tobą jak szczeniaki. Mały przyczynek do studiów nad męską psychologią.

Raven uśmiechnęła się i wzięła z koszyka resztę bagietki.

- Uważają się za macho, każdy z nich jest pewny, że złamie serce niezdobytej Raven.

- Złamie? - zdziwiła się Andie. - Jeśli chodzi o ciebie, to ciekawe określenie.

- Znowu bawisz się w psychoanalitka. - Raven nadgryzła chrupiącą bułkę. - Masz na widoku jakąś romantyczną przygodę?

- Nie jestem zainteresowana.

- Mogę coś zaaranżować. Andie skrzywiła się.

- Z jednym z tych twoich niebezpiecznych typów? Dziękuję, nie.

- Łatwo ulegasz wpływom i jesteś zbyt łagodna.

- Za dobrze mnie znasz. - Andie potrząsnęła głową, tłumiąc uśmiech. - Co ja bym bez ciebie zrobiła?

- Utonęłabyś w dołku psychoanalitycznych bzdur. Tylko ja mówię ci prawdę.

- I nawzajem, przyjaciółko.

Roześmiały się. Raven rozluźniła się wewnętrznie.

Była w pełni usatysfakcjonowana. Prawdę mówiąc, ona też nie potrzebowała nikogo prócz Andie. Faceci dostarczali jej tylko rozrywki, wypełniali wolne chwile, lecz poza tym się nie liczyli.

Zaczęły rozmawiać o firmie Raven i rodzinie Andie. Jeden z jej braci, Pete, znów został ojcem, a drugi, Daniel, awansował na szefa marketingu w dużej stacji radiowej.

Kiedy skończyły jeść, wymieniły spojrzenia.

- Ojciec znowu się do mnie odezwał.

- Przysłał ci list?

- Uhm. - Raven z niesmakiem zmarszczyła nos.

- Błaga mnie o spotkanie. Pisze, jak mnie kocha i tęskni. Że jestem dla niego wszystkim. Prosi mnie o zdjęcie, o cokolwiek.

- Och, Rave, wiem, jakie to dla ciebie trudne. Co zamierzasz?

- Jak zwykle, czyli nic. Po co to zmieniać? Andie zamilkła na chwilę i ściągnęła wargi. Raven

wiedziała, co to oznacza. Nie myliła się.

- Ryzykując, że zostanę oskarżona o poddawanie psychoanalizie mojej N.P...

- N.P.?

- Najlepszej przyjaciółki. - Andie uśmiechnęła się.

- Wiem, jak bardzo nienawidzisz ojca, ale może dobrze ci zrobi, gdy się z nim spotkasz. Zamkniesz pewien etap.

Raven podniosła dłoń.

- Po pierwsze nie wyobrażasz sobie, jak bardzo go nienawidzę. Po drugie zdażyłam już coś zamknąć, uwierz mi. Stało się to dzięki panu X, gdy miałam piętnaście lat.

- Posłuchaj, Raven, może nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale ojciec wciąż pozostaje twoim autorytetem.

Miałaś piętnaście lat, gdy trafił do więzienia, dwanaście, kiedy zabił twoją matkę. Byłaś dzieckiem, a on jawił ci się niczym ktoś

nadprzyrodzony i wszechmocny. Miał w rękach całe twoje życie. Teraz to

się zmieniło. Jeżeli spotkasz się z nim...

Raven chwyciła dłoń Andie.

- Nie mam takiej potrzeby i nie zrobię tego. Już dawno pozbyłam się poczucia, że on ma nade mną jakąkolwiek władzę. Rozumiesz?

Andie zawahała się, po czym skinęła głową.

- Rozumiem. Ale martwię się o ciebie.

- Wiem, dzięki. Chodźmy stąd, robi się późno. Wyszły z restauracji w pogodny wieczór.

- Pachnie wiosną - zauważyła Andie, przecinając parking. - Moje azalie już kwitną.

- Zanim się obejrzymy, zacznie się letni upał. - Raven podniosła wzrok na bezgwiezdne niebo. - O tej porze roku zawsze myślę o Julie.

Andie uśmiechnęła się.

- Ja też. Gdyby się do ciebie odezwała...

- Dam ci znać.

- Dobrze. - Andie wsiadła do samochodu. - Zadzwoń do ciebie jutro.

Raven zaczekała, aż wóz przyjaciółki zniknie za zakrętem, i wsiadła do swojego bmw. Odetchnęła głęboko i ruszyła do domu.

Pomyślała o ciotce Katherine. Prócz tęsknoty za Andie i Julie oraz zniechęcenia do którejś terapii, do której zmusiła ją ciotka, życie z nią było przyjemne jak letnia bryza. Katherine była zamożną wdową i rozpuszczała Raven do niemożliwości. Posłała ją do col-lege'u, opłacała studia, nie ograniczała siostrzenicy w rozmowach międzymiastowych z przyjaciółką, dobrze ją ubierała.

Raven nie wiedziała wcześniej, jak to jest, kiedy się ma tyle pieniędzy, lecz szybko uznała, że to bardzo miłe uczucie.

Gdy ciotka przed sześcioma laty zmarła, Raven została zamożną młodą kobietą. Kupiła i odnowiła dom w najstarszej i najbardziej ekskluzywnej dzielnicy Thistledown oraz otworzyła firmę wewnętrzną, nie martwiąc się o to, że w początkowym okresie nie będzie ona przynosiła zysków. Jednak i tak prawie od razu wpływy okazały się większe od kosztów. Jej życie układało się dobrze, niemal doskonale.

Tymczasem ojciec Raven gnął w więzieniu, nie mając nadziei na zwolnienie warunkowe.

Gdy wjechała na podjazd domu, światła samochodu przecięły frontową galerię. Ktoś siedział skulony na schodkach. Raven wywróżyła sobie tego gościa.

Julie wróciła do domu.

Wysiadła z samochodu i ruszyła przez trawnik.

Kiedy dotarła na ganek, zobaczyła, że każde jej słowo sprawdziło się.

Julie była wycieńczona fizycznie i psychicznie. Wyglądała, jakby przeszła przez piekło. Uśmiechnęła się z gorczyzą.

- Cześć, Rave, znajdziesz miejsce dla dawno utraconej przyjaciółki? -

Julie patrzyła przez łzy, które usiłowała zatrzymać pod powiekami. -

Moje małżeństwo... - Rozszłochała się. - Rick mnie wyrzucił. Nie wiedziałam, dokąd się udać.

Raven wzięła ją w ramiona i przytuliła. Julie jej potrzebowała.

- Dobrze zrobiłaś, kochanie. Jesteś w domu.

## **ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY**

Raven i Julie przegadały pół nocy. Julie pozwoliła traktować się jak dziecko, tulić i rozpieszczać. Raven nakarmiła ją i napoiła, a kiedy przeniosły się do saloniku, otuliła wełnianym kocem.

Julie opowiedziała o niezliczonych przyjęciach, alkoholu i narkotykach, o napadach wściekłości Ricka i swojej rozpacz, wreszcie o tym, jak zaczęła szukać pocieszenia u innych mężczyzn i jak paskudnie się z tym czuła.

Małżeństwo numer trzy skończyło się. Teraz zrozumiała, że było wielką pomyłką, kolejnym z jej wielu błędów. Zawsze i we wszystkim ponosiła klęskę, była beznadziejnym zerem.

- Nawet... nawet próbowałam skontaktować się z mamą. Jest w Missisipi, zdobyłam jej numer i zadzwoniłam.

Raven zmrużyła oczy.

- A co u Wielebnego? Wywalono go z kolejnej parafii za nadgorliwość i fanatyczną miłość do Boga?

- Nie wiem. - Julie spojrzała na swoje dłonie. - Mama podniosła słuchawkę, ale on ją jej wyrwał. Powiedział, że dla nich umarłam, i rozłączył się. - Podniosła znów wzrok na Raven. - Wtedy zapragnęłam

naprawdę umrzeć. Jestem kompletną nieudacznicą, więc po co dłużej żyć? Prawie to zrobiłam - szepnęła, drąc na kawałeczki chusteczkę, niezdolna spojrzeć Raven w oczy ze strachu. - Połknęłam garść pigułek.

-Julie zobaczyła pobladłą twarz przyjaciółki i szybko się odwróciła. - Jednak spanikowałam. Wsadziłam palec do gardła...

- Dzięki Bogu! - Raven uniosła ręce w dziękczynnym geście. - Dlaczego nie zadzwoniłaś? Julie, kochanie, przyleciałabym pierwszym samolotem do Los Angeles. Nie wiesz, że dla ciebie jestem gotowa na wszystko?

Tak, wiedziała. Czym sobie na to zasłużyła?

- Bałam się, że mnie znienawidzisz. Nie chciałam cię stracić.

- Woliałaś umrzeć? Nie pomyślałaś, że ja... - Raven ugryzła się w język. - Cholera, muszę zapalić. Chcesz?

Gdy Julie przytaknęła, Raven ruszyła na poszukiwanie papierosów. Od lat paliła okazjnie, gdy się zdenerwowała lub po prostu miała ochotę.

Nigdy nie się uzależniła, bo Raven panowała nad wszystkim.

Andie i Raven były silne i inteligentne. Ich życie składało się z właściwych wyborów i sukcesów, pomyślała Julie. Natomiast ona była beznadziejna i słaba.

- Znalazłam. - Raven wróciła do pokoju z paczką Virginia slim. Rzuciła spojrzenie na Julie i spoważniała. - Co się stało?

- Nic, tylko... - Julie bezgłośnie załkała. - Dlaczego mi pomagasz, Rave? Jestem kompletnym zerem, nie potrafiłam nawet się zabić.

- Nie mów tak, nawet tak nie myśl! - Uklękła obok Julie i objęła ją. -

Chwała Bogu, że ci się nie udało. Gdybym cię straciła, chyba sama bym umarła. Nie próbuj tego nigdy więcej, słyszysz? Bo przysięgam, że cię zatłukę cię na śmierć, głuptasie.

Julie zaśmiała się, poczuła się lepiej.

- Ciekawe, jak byś to zrobiła, skoro już bym nie żyła? Teraz roześmiała się Raven.

- Znalazłabym cię po tamtej stronie i bym ci dołożyła, możesz być pewna.

- Co z tymi papierosami? Zapaliły.

- Teraz jesteś tutaj, wszystko będzie dobrze. Julie spojrzała w oczy przyjaciółki.

- Naprawdę? Jestem taka zmęczona, Raven. Czuję w środku... pustkę.

- Wszystko się ułoży. Zostaniesz ze mną tak długo, jak będziesz chciała, aż staniesz na nogi. Możesz zostać tu na zawsze, jeśli chcesz. Kocham cię, dzieciaku. Andie też cię kocha. Będziemy przy tobie, pamiętaj o tym. Julie zamknęła oczy i odetchnęła z ogromną ulgą.

- Miałam nadzieję, modliłam się, żebyś to powiedziała. - Podniosła powieki i uśmiechnęła się do przyjaciółki. - Obiecałam sobie, że jeśli ty i Andie wybaczą mi, jeśli przyjmiecie mnie z powrotem, tym razem zostanę. Na dobre.

- Na dobre? - z wyraźnym powątpiewaniem powtórzyła Raven. - Już tak mówiłaś i...

- Naprawdę, Rave. - Julie zdecydowanie wyprostowała się. - Uporządkuję swoje życie, koniec z facetami i balangami. Chcę wrócić do domu i znów poczuć się dobrze, jak wtedy, gdy byliśmy razem.

- Tak się cieszę - wymruczała Raven, kładąc głowę na kolanach Julie. - Znowu jesteśmy rodziną. Na zawsze razem.



## **ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY**

Inspektor Nick Raphael i jego partner wymienili znaczące spojrzenia. Nie mieli wątpliwości, że siedzący w pokoju przesłuchań wszawy męt jest winny. Co z tego, że nie mają wiarygodnego świadka? Co z tego, że śmieć z gorliwością ministranta zapewnia o swojej niewinności?

Poprzedniego wieczoru o ósmej pięćdziesiąt siedem śmieć włamał się do Gas 'N Sip, pobił do nieprzytomności kasjerkę i opróżnił kasę. Zyskał mniej niż dwieście dolarów, za to niemłoda już kobieta leżała w śpiączce. Nick za długo był w tym interesie, żeby mieć wątpliwości. Można to nazwać szóstym zmysłem gliniarza albo instynktem, lub po prostu rutyną. Partner, sądząc po wyrazie jego twarzy, też się nie wahał. Detektyw Bobby J. O'Shea pracował w policji dłużej niż Nick.

Przygwożdżą tego śmiecia. Na ich nieszczęście w sklepie nie było zainstalowanej kamery. W przyszłym tygodniu to zrobi, oznajmił właściciel, kupił już wszystko, co trzeba. Fatalnie się złożyło. Gdyby mieli kasetę wideo, Nick nie musiałby teraz wyciągać zeznań z tego typka.

Spojrzał na podejrzanego. Jeśli chodzi o iloraz inteligencji, ten gość nie reprezentował sobą zbyt wiele, nawet zanim narkotyki wyczyściły mu umysł.

- Chcesz spróbować od nowa? - warknął Nick. Był już dobrze wkurzony, czekało na niego mnóstwo innej roboty. - Jakoś nie kupuję twojego alibi. Mówisz, że wczoraj wieczorem oglądałeś w domu telewizję. Sam?

- Tak. To prawda. Przysięgam.

Nick skrzywił się. Choćby najbardziej winny drań z reguły częstował go takim zaklęciem. Gdyby za każdym razem, gdy to słyszał, dawali mu choćby centa, już dawno mógłby rzucić tę robotę.

- Przysięgasz? Na grób swojej ukochanej matki?

- Taa. - Chłopak sięgnął po papierosa. - To prawda.

- Mamy świadka. - Nick położył dłonie na stole i nachylił się. - Ten świadek twierdzi, że widział cię, jak stamtąd wychodzisz. A raczej wybiegasz.

- To co? - Chłopak zaciągnął się. - To jeszcze nie przestępstwo.

Nick zignorował go.

- Potrzebujesz forsy. Widzisz Gas 'N Sip. Widzisz, że nie ma tam nikogo prócz tej starszej kobiety. Ze swojego gównianego wozu łapiesz żelazną obręcz, wchodzisz od sklepu i tłuczesz kobietę, aż traci przytomność.

Potem opróżniasz kasę. - Nachylił się jeszcze bardziej. - Tak było?

- Nie macie świadków - rzekł niewyraźnie chłopak. - Ja tego nie zrobiłem.

- Kobieta leży na intensywnej terapii - powiedział Bobby. - W śpiączce. Umiera.

- Nie mam z tym nic wspólnego. Tak, pewnie. ,

- A jak myślisz, ile taki śmieć jak ty wytrzyma w pudle? Nie ma co zgadywać, jasna sprawa.

- Tak - dodał Bobby. - Marzyłeś pewnie, żeby mieć chłopaka, co? Wyleś kiedyś jak zarzynana świnia?

- Przyznając się do winy, pokażesz sądowi, że masz wyrzuty sumienia. Bobby skłonił głowę, przytakując.

- Jest różnica między więzieniem stanowym a zakładem wychowawczym.

- To nie twoja wina, tak? Cierpiełeś, nie miałeś ani grosza. Dobry adwokat może cię z tego nawet wybronić.

Nick odsunął się od stołu i kiwnął na Bobby'ego. Jego rudowłosy partner był niedźwiedziej postury, co dla wielu mięczaków było wystarczającym argumentem, by wyznać swoje winy.

- Muszę wyjść na powietrze - powiedział Nick z uśmiechem. - Daję ci wolną rękę, byle się przyznał.

Bobby przeciągnął się, natomiast chłopak wcisnął się w krzesło. Wielki gliniarz błysnął szerokim, leniwym uśmiechem.

- Dobrze się składa, bo strasznie się dziś wynudziłem. Przyda mi się mała rozgrzewka.

Nick jeszcze rzucił z progu:

- Tylko nie zostaw żadnych śladów.

- Nigdy tego nie robię. Znam swoją robotę. Wprawdzie Bobby O'Shea wielce przypominał King

Konga, lecz tak naprawdę był człowiekiem łagodnym i nigdy bez oczywistego powodu nie wykorzystywał swojej siły. Nick zaśmiał się pod nosem. Bobby nie musiał tego robić, wystarczył sam jego wygląd. Nick i Bobby pracowali w tandemie od czterech lat i stanowili zgrany zespół. Nick podczas przesłuchań stawiał na spryt i inteligencję. Szybko rozgryzał charakter podejrzanego, a potem starał się przechytrzyć delikwenta. Rozumiał ludzką naturę, potrafił grać na ambicji, obsesjach, kompleksach, lękach i pysze. Był w tym prawdziwym artystą. Umiał też zastraszyć podejrzanego, wzbudzić w nim lęk przed mordobiciem, co zresztą należało do procedury, lecz nigdy nie stosował siłowych rozwiązań.

- Hej, Raphael! - zawołał jeden z policjantów. - Jak leci?
- Te same nudy, co zawsze.
- Przykręć mu śrubę. Ta kobieta w śpiączce jest sąsiadką mojej matki.

- Masz to jak w banku. - Nick pokiwał głową i wyszedł na zewnątrz. Tak to było w Thistledown, każda ofiara była czyimś krewnym albo sąsiadem, dlatego przestępstwa traciły swą anonimowość, przez co stawały się bardziej dotkliwe.

I dobrze, bo dzięki temu ludzie chętnie pomagali policji, co powodowało, że nieźle się tu żyło.

Faktem jest, że miasteczko zmieniło się w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Z powodu stosunkowo niewielkiej odległości od St. Louis rozrosło się, stając się sypialnią dla zamożnych rodzin, które poszukiwały bezpiecznego i wygodnego miejsca.

Niestety, nowi mieszkańcy przywlekli z sobą także trochę wielkomijskiego brudu i Thistledown przestało być spokojnym miasteczkiem. Nick nie tylko czyścił z tego brudu ulice, starał się też zatrzymać jego kolejne fale przed granicami miasta. Znalazł na to sposób: w małym Thistledown dla kryminalistów nie było życia.

Czasami działał na granicy prawa i był o krok od naruszenia piątej i szóstej poprawki do Konstytucji. Starał się jednak nie przekraczać tej linii, bo wierzył w ten kraj, w prawa człowieka, w wolność. Lecz wiedział również, że system faworyzuje przestępców, w związku z czym zbrodnia często wymyka się spod kontroli. Dlatego świadomie działał na granicach systemu. Robił to w interesie ofiar i praworządnych obywateli.

Nick wystawił twarz do słońca i zaczął głęboko oddychać. Był piękny majowy dzień, słoneczny i ciepły, z lekkim wiatrem, który przynosił zapach kwiatów z niedalekiej łąki. Najchętniej bawiłby się teraz w parku ze swoją sześciolletnią córeczką Marą.

Uśmiechnął się. Przed siedmiu laty Jenny zgodziła się wreszcie urodzić dziecko. Była już w ciąży, zresztą nie zaplanowanej, za którą Nick ogromnie był wdzięczny losowi.

Niesamowite, jak wszystko się zmienia. Początkowo oboje z Jenny bardzo pragnęli dziecka, ale postanowili poczekać, aż będą mieli własny dom i dość pieniędzy, by Jenny mogła zrezygnować z pracy i zostać pełnoetatową mamą. Kiedy już do tego doszli, Jenny zmieniła zdanie, i wtedy zaczęły się kłótnie. Jenny nie znosiła jego pracy. Za każdym razem, gdy mówili o powiększeniu rodziny, powtarzała, że nigdy nie ma go w domu i nie wierzy, by dzieci zmieniły tę sytuację.

Dzięki Bogu, wtrącił się los. Nick kochał swoją córeczkę miłością, jakiej się nie spodziewał. Pracował dla niej. Kiedy przekonywał się, że śmiecie takie jak ten, który siedział teraz w pokoju przesłuchań, mają przewagę, myślał o Marze. Kiedy zastanawiał się, co u diabła robi w tym bezustannie nawalającym systemie, myślał o Marze. Jeden przestępca mniej na ulicy sprawiał, że jego córka była bezpieczniejsza.

Dla Mary nie rozwiedli się, choć ich romans zamienił się w wojnę.

Romans? Już nie myślał o swoim małżeństwie w takich kategoriach.

Dawniej nie mogli się bez siebie obejść. Biegł do domu pod koniec dnia, żeby jak najszybciej zobaczyć Jenny, a kiedy jej dotykał, czuł się jak w siódmym niebie.

Zabawne, wystarczało im wtedy, że są razem. Nie musieli robić nic specjalnego, nawet rozmawiać.

Teraz przebywanie razem stało się problemem. Kłócili się o każdy drobiazg. Jenny nawet nie próbowała go zrozumieć. Gdy on mówił: białe, ona odpowiadała: czarne. Kwestionowała każdą jego myśl, każde marzenie i wszystko, w co wierzył.

Nie dostrzegała, że to, czym się zajmował, było czymś więcej niż pracą. Przecież walczył z zabójcami, gwałcicielami i dealerami narkotyków.

Niestety, im więcej wyjaśniał, tym bardziej się od siebie oddalali.

Co się z nami stało? - zastanawiał się.

Wszystko zaczęło się od zabójstwa pani X. To morderstwo stało się jego obsesją, za wszelką cenę chciał złapać zabójcę Lei Robertson. Zaczął przedkładać pracę nad życie rodzinne, i tak już zostało.

Pomyślał o córce i znowu uśmiech zawitał na jego usta. Ze względu na Marę chciał walczyć o swoje małżeństwo. Przecież ludzie jakoś się dogadują. Dotąd był leniwy, nie chciało mu się rozwiązywać małżeńskich kłopotów, ignorował je, zamiast próbować uzdrowić swój związek.

Koniec z tym, zdecydował Nick. Wieczorem porozmawia z Jenny, zaczną wspólnie nad tym pracować. Mają za sobą trudny okres, ale to się zdarza w każdym małżeństwie.

Podniesiony na duchu, spojrzął na zegarek. Bobby miał dla siebie tego chłystka przez prawie dwadzieścia minut. Uznał, że pora wesprzeć partnera, czyli nieco podgrzać atmosferę.

Pogwizdując, ruszył z powrotem do budynku.

## **ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI**

Od ostatniej wizyty Marthy Pierpont minął już tydzień. Andie często myślała z obawą o swojej pacjentce. Martwiła się, jak sobie radzi, i czy jej złość znalazła wreszcie jakieś ujście, czy też nadal pozostaje stłumiona. Niecierpliwie czekała na kolejną sesję z Martha. Chciała przekonać się, jak kobieta daje sobie radę z prawdziwymi odczuciami, które tak niedawno zostały ujawnione.

- Jak minął tydzień? - spytała, kiedy obie z Martha zajęły swoje miejsca.

- Dobrze - odparła, poprawiając się na krześle. - Czemu pani pyta?

Andie uśmiechnęła się.

- Po to tu jestem. Myślę też, że coś ważnego zaszło podczas naszej ostatniej sesji i mogło to wpłynąć na pani nastrój.

- Ważnego? - Martha udawała, że nie wie, o co chodzi. - Nie rozumiem.

Aha, znów ta szczelna zbroja.

- Mówię o tym wybuchu złości. Była pani bardzo zdenerwowana.

- Przykro mi, ale nadal nie rozumiem.

Andie zmarszczyła brwi. Martha patrzyła na nią

pustym wzrokiem. Próbuje zaprzeczyć? Stosuje unik? Czy też naprawdę nic nie pamięta? Andie miała nie lada zagadkę do rozgryzienia.

- Wyznała pani, że pragnęła pani zabić swojego męża, gdy panią obrażał. Martha patrzyła na nią w milczeniu przez całe dziesięć sekund. Potem potrząsnęła głową.

- Ależ skąd.

- Naprawdę, Martho. Powtórzyła to pani trzy razy, a raczej wykrzyczała. Później się pani rozplakała.

- Myli się pani. Nigdy tego nie powiedziałam. Edward jest moim mężem. A zabijanie jest bardzo złą rzeczą.

- Wyrażanie złości - zaczęła spokojnie Andie - swojego bólu i rozczarowania nie jest niczym złym. Nie mówimy o czynach, które bywają naganne, lecz o emocjach. Nie ma w tym nic złego, Martho, że czuje się złość.

- Oczywiście, że nie ma. - Kobieta spojrzała w bok, potem wróciła wzrokiem do Andie. - Edward ma broń.

- Broń? - Andie była zdumiona i przerażona. - Och, Martho, czy to dobry pomysł?

- Bał się... - Złożyła dłonie na kolanach. - Dostał kolejny list z pogrózkami... że go zabiją, podetną mu gardło, kiedy będzie spał. Andie instynktownie uniosła rękę do szyi.

- A więc ma broń.

- Tak. Trzyma ją w nocnej szafce, przy łóżku. Naładowaną. Andie poczuła dreszcze.

- Nie podoba mi się to. Statystyki pokazują, że więcej ludzi ginie od własnej broni niż tych, którzy im zagrażają.

- Tak twierdzi policja. - Martha zerknęła na swoje dłonie, potem znów na Andie. - Próbowałam mu to



wyperswadować. Błagałam, żeby zatrudnił ochroniarza, ale on... on mdwi, że to by źle wyglądało. Że uważano by go za tchórza.

Bo jest tchórzem, pomyślała Andie.

- Boję się o Patti. Co będzie, jeśli on... - Martha zawiesiła głos, wstała i podeszła do okna.

- Jeśli co, Martho?

- Nic. Po prostu niebezpiecznie jest trzymać w domu naładowaną broń. Patti jest nastolatką, a młodym ludziom zdarzają się różne wypadki.

Martha zaczęła przechadzać się po pokoju, mimowiednie dotykając różnych przedmiotów. Andie zrozumiała, że nastrój pacjentki, dotąd apatyczny, uległ radykalnej zmianie. Martha była bardzo podniecona, choć starała się to w sobie stłumić.

- Martho - spytała. - Czy jest coś jeszcze, co chciałaby mi pani powiedzieć?

Kobieta przystanąła.

- Przyjdzie pani w piątek?

Mówiła o imprezie charytatywnej Schroniska dla Kobiet imienia Edwarda Pierponta.

- Oczywiście. Zabieram ze sobą przyjaciółki, Raven Johnson i Julie Cooper.

- Czy to nie zabawne? Jest w tym jakaś ironia.

- Czemu? - spytała Andie, oczywiście domyślając się odpowiedzi.

- Że Edward sponsoruje taki projekt. Że przeforsował go w radzie miejskiej. Dom dla skrzywdzonych kobiet? - Uśmiech błąkał się na jej wargach. - Ciekawe, co by zrobił, gdybym zgłosiła się tam jako pierwsza?

- Może pani - rzekła delikatnie Andie.

- Zabiłby mnie.

Sposób, w jaki to powiedziała, kompletnie zmroził Andie. Jakby mówiła o czymś oczywistym i bezdys-

kusyjnym. Od razu pomyślała o matce Raven, ale zaraz wyrzuciła z siebie to wspomnienie.

- On chce, żeby pani tak myślała. Chce, żeby pani się go bała, czuła się bezbronna. Bo wie, że tylko tak zatrzyma panią przy sobie.
- Nie zna pani Edwarda tak jak ja. On nie żartuje, pani doktor. - Zadrzała.
- Kiedyś, dawno temu, próbowałam odejść, i on... omal tego nie zrobił.
- Trzeba było szukać pomocy.
- On jest burmistrzem.
- Nawet prezydent podlega prawu. Kobieta nerwowo potrząsnęła głową.
- Nie chcę o tym rozmawiać. Jednak Andie nie poddawała się.
- A co z Patti? Nie boi się pani, że któregoś dnia wściekłość męża obróci się przeciwko niej? Statystyki pokazują...
- Nie! - gwałtownie przerwała jej Martha i zacisnęła pięści. - Patti jest jego córką, nie zrobiłby tego.

Andie mogłaby przypomnieć, że Martha jest jego żoną, co nie przeszkadzało mu ją katować, ale ugryzła się w język. Przyjdzie czas, że Martha sama sobie to uświadomi.

Andie miała tylko nadzieję, że nastąpi to, zanim stanie się coś strasznego i nieodwracalnego.

## **ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI**

Nadszedł piątkowy wieczór. Andie musiała przyznać, że uległa dziewczęcej gorączce. Nie pamiętała już, kiedy ostatnio uczestniczyła w oficjalnej imprezie, zwłaszcza w towarzystwie przyjaciółek. Był to chyba szkolny bal pierwszorzoczników.

Zaśmiała się. Boże, jaka jest już stara!

Sprawdziła, która godzina, i stwierdziła, że należy się pospieszyć. Raven uparła się, żeby wynająć limuzynę, która powinna zająć lada chwila.

Andie wśliznęła się w krótką czarno-białą sukienkę z połyskującego materiału i wsunęła stopy w eleganckie pantofle. Kiedy zadzwonił dzwonek u drzwi, przypinała klipsy.

Na progu stały Julie i Raven. Julie w sukience z falbankami w kolorze głębokiej czerwieni, Raven w oszałamiającej czerni.

- Cześć - przywitała je radośnie. - Wyglądacie fantastycznie.
- Ty też - odpowiedziały zgodnie, po czym wybuchnęły śmiechem.
- Czuję się znowu jak smarkula, która wybiera się na Święto Wiosny - powiedziała Julie
- Teraz do kompletu potrzeba nam trzech pryszczatych chłopaków - rzekła Andie.

- Pamiętajcie, mój ojciec puścił mnie tylko dlatego, że poszedł ze mną nasz bardzo cnotliwy i religijny kuzyn. - Julie była w świetnym nastroju.

- I nie wolno ci było tańczyć.

Śmiały się już wszystkie. Andie zamknęła drzwi i pospieszyły do limuzyny. Raven miała tam butelkę szampana w lodzie. Korek wystrzelił, w kieliszkach pojawił się perlisty płyn.

Stuknęły się i wypily. Był to wytrawny kalifornijski szampan. Bąbelki łaskotały Andie w nosie i uderzyły do głowy.

- Gdy miałyśmy po piętnaście lat, nawet nie mogłyśmy o czymś takim marzyć.

- Na tańcach był doprawiany poncz. - Raven zmarszczyła nos. -

Pamiętacie, jak to smakowało?

Jedno wspomnienie wywoływało kolejne. W mgnieniu oka dojechały do centrum, szofer otwierał już drzwi. Bakerowie, jedna z najstarszych i najbogatszych rodzin w Thistledown, udostępnili swój ogromny, stary rodzinny dom z przełomu wieków dla gości charytatywnej imprezy.

Każdy, kto liczył się w okolicy, wykupił bilet. W tak niedużym mieście odbywało się niewiele podobnych imprez, kogo więc tylko było na to stać, przybył na miejsce.

Andie przeciskała się przez tłum z kieliszkiem szampana, zamieniając po drodze kilka słów z prezesem izby handlowej, swoim internistą i dyrektorem liceum. Zauważyła Marthę, rozpromienioną i tryskającą energią, która witała przybyłych słowem, gestem i żartem. Prawdziwa żona polityka, pomyślała, warta więcej niż złoto.

Andie obserwowała ją. Zawsze uważała Marthę za atrakcyjną kobietę, ale nie zdawała sobie sprawy, że jest piękna. Ubierała się dość konserwatywnie, w ciemne kolory, bo tak lubił Edward. Tego wieczoru było

inaczej: miała na sobie rzucającą się w oczy, dość śmiałą, czerwoną suknię, która odsłaniała ramiona.

Piękna, zacna kobieta, inteligentna i czarująca. Dlaczego pozwoliła, by psychopatyczny mąż zamknął ją w klatce? Dlaczego od tylu lat tkwiła w tym horrorze? Jako psycholog Andie знаła na to odpowiedź, jako człowiek - nie.

Na podium, ustawionym we frontowym salonie, Janice Petrie, prezes rady miejskiej, zastukała w mikrofon, odchrząknęła i przywitała zebranych. Przechodząc obok, Andie dostrzegła Julie, skandalicznie flirtującą z właścicielem dużego sklepu. W chwilę potem zobaczyła Raven, która wkroczyła do akcji i delikatnie, acz stanowczo, odciągnęła przyjaciółkę na stronę.

Niektóre rzeczy w ogóle się nie zmieniają, stwierdziła ze smutkiem Andie.

Głos zabrał Edward Pierpont.

- Idea stworzenia takiego schroniska zrodziła się w samą porę. Po raz pierwszy pomyślałem o tym, czytając o tragedii Tammy Reed, mieszkanki Thistledown, matki trojga dzieci, katowanej, a następnie zamordowanej przez męża. Nie miała dokąd uciec. Nie miała do kogo zwrócić się o pomoc. Taka historia nie może powtórzyć się w naszym mieście.

Brawa i wyrazy poparcia przemknęły po sali. Edward poczekał, aż ucichną, i kontynuował:

- Schronisko dla kobiet imienia Edwarda Pierponta będzie bezpiecznym miejscem dla takich kobiet jak Tammy Reed, żyjących w toksycznych związkach, kobiet, które żyją w strachu o siebie i swoje dzieci i nie mają gdzie się podziać.

Takich jak twoja żona, pomyślała Andie, przyglądając się mówcy. Co za hipokryzja! - pomyślała ze

wstrętem. Przeniosła wzrok na stojącą za nim Marthę, która wyglądała jak symbol kochającej i wzajemnie kochanej, oddanej i posłusznej małżonki.

Widząc ich razem - sposób, w jaki ją traktował, jak na nią patrzył, jak ją obejmował w pasie - nikt nie odgadłby, jak naprawdę się między nimi układa. Sprawiali wrażenie idealnej, czulej pary. Te gesty, te spojrzenia. Zaiste, trudno o bardziej wzorowego i czulego męża.

Czasami pozory mylą.

Raven podeszła do Andie.

- Rozumiem, że na niego nie głosowałaś - mruknęła jej do ucha.

- Skąd wiesz?

- Bo wyglądasz, jakbyś miała zaraz zwymiotować.

- To widać?

Raven nachyliła się ku niej.

- Julie przesadza z alkoholem. Znasz ją, jak zacznie, nie potrafi skończyć.

Nie masz już dosyć tej mowy?

- Zgadłaś. - Andie zniżyła głos. - Bo inaczej naprawdę zwymiotuję.

Zabrały Julie i wyszły do czekającej na nie limuzyny.

- Co teraz? - spytała Andie, gdy wsiadły do samochodu. - Godzina jeszcze całkiem młoda.

- Mam pomysł - oświadczyła Raven z diabelskim uśmiechem. - Nie boicie się ryzyka?

Andie i Julie wymieniły spojrzenia.

- To może być niebezpieczne.

- Nielegalne.

- Albo niemoralne.

Raven wybuchnęła śmiechem.

- Pamiętacie tę szopę na polu Trentów? Tę noc, kiedy weszliśmy na dach i patrzyliśmy w gwiazdy?

- Od lat o tym nie myślałam - szepnęła Julie.

- Ani ja - przyznała Andie. - Boże, jak ja kocham to miejsce - dodała z nostalgią.
  - Jedźmy tam. Andie pokręciła głową.
  - Jest pewien kłopot, Rave. Na polu Trentdw powstało Happy Hollow numer trzy.
  - Co za problem? - Raven dała wskazówki szoferowi. W ciągu dziesięciu minut były na miejscu.
  - Proszę się tu zatrzymać - rzuciła Raven, a kiedy szofer wykonał polecenie, otworzyła dach, podniosła się i wystawiła na zewnątrz głowę. - To jest to.
- Andie i Julie wstały i wyjrzały po kolei.
- Chyba masz rację - zauważyła Andie. - Tu gdzieś była Mockingbird Lane.
  - Wejdźmy na dach.
  - Chyba żartujesz? Raven spojrzała na szofera.
  - Jak wejdziemy, proszę zamknąć dach, dobrze? I żadnego zagląдания pod spódnicę, jak będziemy wchodzić na górę.
- Szofer roześmiał się i obiecał, że będzie grzeczny. Raven zrzuciła pantofle i wyszła na dach.
- Podajcie szampana.
  - To szaleństwo. - Andie wręczyła jej butelkę, potem kieliszki.
- Julie śmiała się jak szalona.
- Nie wierzę, że robimy coś takiego. Zaśmiewając się, ruszyły za Raven na dach limuzyny,
- a kiedy otwór w dachu został zamknięty, rozłożyły się i gapiły się w niebo.
- Jak za dawnych dobrych lat - mruknęła Andie. Julie oparła się na łokciu.
  - Tamtej nocy przed laty po raz pierwszy usłyszaliśmy tę muzykę.

- Tamtej nocy rozstali się moi rodzice.
  - Tamtej nocy założono mi szwy na nodze. Pamiętacie, czego wtedy sobie życzyłyśmy? W pewien sposób nasze pragnienia spełniły się.
  - Nasza przyjaźń przetrwała - zauważyła Andie.
  - Nigdy w to nie wątpiłam - dodała Raven. Andie wzięła głęboki oddech, wypełniając płuca łagodnym, nocnym powietrzem.
  - Przypomina mi się, jak... jak potwornie się załamalam z powodu rodziców. Zdawało mi się, że to koniec świata.
  - A on kręci się dalej.
  - Tak. - Spojrzała na Julie. - Mówiłam ci, że moja mama spotyka się ze świetnym facetem? Jest przystojny, zamożny i kompletnie oszalał na jej punkcie. Strasznie ją rozpieszcza.
  - Należy jej się. - Julie uśmiechnęła się. - Andie, twój ojciec wciąż jest z Leezą?
- Raven skrzywiła się.
- Nie zmieniałam zdania na jej temat, to dziwka, która rozbija przyzwoite domy.
- Julie i Andie wybuchnęły śmiechem, natomiast Raven pogardliwie prychnęła.
- Mówię wam, tak jest.
  - Niech ci będzie. - Andie odwróciła się na prawo. -Przyznaj się, to ty wpakowałaś węża do jej samochodu? Jakoś nigdy nie mogłam uwierzyć, że to przypadek.
- Raven wytrzeszczyła oczy z wyrazem anielskiej niewinności.
- Ja?
  - Tak, ty. Nie udawaj, umieram z ciekawości. Raven zawahała się, po czym oświadczyła:
  - No tak, to ja. Wypatrzyłam tego zielonego potwora w naszym ogrodzie, wsadziłam do puszki po kawie, poszłam do biura twojego ojca i wypuściłam go na



wolność w jej wozie. - Spotkała się wzrokiem z Andie.

- Zrobiłam to dla ciebie. Dla twojej mamy.

Śmiech zgasł w jednej chwili. Andie miała wrażenie, że ktoś lodowatymi palcami dotyka jej pleców. Raven zeszywniała, przybrała obronną postawę.

- Myślałam, że Leeza przestraszy się, zacznie krzyczeć, piszczeć, posika się ze strachu. Nie wiedziałam, że tak to się skończy. Zresztą, nie stało się nic złego.

- Piszcząca, moczająca się Leeza! - zaśmiała się Julie.

- To dopiero obrazek.

- Starala się być miła dla mnie i dla chłopców

- rzekła zadumana Andie. - Czasem wydaje mi się, że ona naprawdę chce należeć do naszej rodziny. Żebyśmy dzielili się z nią naszymi przeżyciami, kochali ją. Ale ja nie potrafię. Nie oskarżam jej o złą wolę, ale...

- To źle. Czas na szczerość, pani doktor - cicho, ze znaczącym akcentem, przerwała jej Raven.

- No dobra. - Andie wyciągnęła rękę. - Może o taką odrobinę złej woli. - Pokazała palcami. - Ale czasem jest mi jej żal, bo chyba już zrozumiała, że popełniła błąd. No cóż, jej życie rozbiegło się z marzeniami.

- Zamilkła na moment. - Nie mają własnych dzieci, choć Leeza bardzo ich pragnie. To naprawdę smutna sprawa, kiedyś nie wytrzymała i zdradziła się przede mną. Ojciec jej powiedział, że już ma rodzinę i nie chce nowego dziecka.

- Zimny drań. - Julie usiadła. - Biedna Leeza. Raven parsknęła i napełniła kieliszki szampanem.

- Cholera, biedna Leeza. Tylko płakać nad jej losem. Do diabła, przecież sama dokonała wyboru.

- Niby tak. - Julie westchnęła. - Ale ja jej współczuję, bo sama zrobiłam dużo błędów i wiem, co to znaczy. - Skrzywiła twarz w ponurym uśmiechu. - Chester, Frank i Rick, na początek. Moi trzej eksmężowie.

- Jej uśmiech zgasł. - Poważnie, gdybyśmy znalazły się tu miesiąc temu, kiedy jeszcze byłam z Rickiem, patrząc na was, czułabym się potwornie przegrana. A teraz odzyskałam nadzieję. - Zerknęła najpierw na jedną, potem na drugą przyjaciółkę, jej oczy błyszczały od łez. - Tak się cieszę, że wróciłam. Teraz wiem, że dam sobie radę.

- Och, Julie! - Andie przytuliła ją. - Kocham cię. I bardzo się cieszę, że jesteś znowu z nami.

- Toast! - Raven uniosła kieliszek. - Za nas!

- Za nas! - powtórzyły chórem Andie i Julie, stukając się z Raven. - I za przyszłość!

## **ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY**

Minął tydzień, zanim Nick przystąpił do układania spraw z Jenny. Pracował nad bardzo absorbującą i skomplikowaną sprawą serii kradzieży i musiał poświęcić temu o wiele więcej czasu, niż zamierzał. Kiedy wracał do domu późno wieczorem, zajmował się Marą, a gdy wreszcie zapakował ją do łóżka, był zbyt zmęczony, żeby zdobyć się na szczerą rozmowę z żoną.

Nadszedł jednak dzień, który przyniósł istotny przełom w śledztwie. Aresztowano sprawców i Nick postanowił urwać się wcześniej do domu, by wreszcie rozpocząć proces godzenia się z Jenny. Po drodze kupił dla niej kwiaty. Nic nadzwyczajnego, kolorowy wiosenny bukiet dla przełamania lodów. Przy okazji poprosił o bukietek stokrotek dla Mary. Stamtąd udał się do chińskiej knajpki i zamówił ich ulubione dania, nawet obrzydliwego kurczaka na słodko, którego wprost uwielbiała córka. Parkując przed domem, ze zdumieniem zobaczył samochód Jenny na ulicy, a nie, jak się spodziewał, w garażu. Nacisnął klakson w specjalny sposób, co dla Mary było sygnałem, że tatuś wrócił do domu. Wówczas dziewczynka, jeżeli nie była zaabsorbowana telewizyjną

kreskówką lub zabawą z koleżankami, pędem wybiegała z domu i wpadała Nickowi w ramiona.

Ten dzień należał właśnie do takich wyjątków, więc Nick wziął kwiaty i jedzenie, i ruszył do środka.

- Jestem! - zawołał, kładąc pudełka z chińszczyzną i klucze na stoliku przy wejściu. Leżała tam poczta, przejrzał ją i zmarszczył nagle brwi, zdumiony kompletną ciszą. Żadnej muzyki ani głosów z telewizora. Żadnych pisków, chichotów czy stukania garnkami w kuchni.

Rozejrzał się. Do diabła, gdzie jest pies?

Z części holu prowadzącej do sypialni wyłoniła się Jenny, z torebką i torbą podróżną przewieszoną przez ramię.

- Mam nadzieję, że to nie dla mnie - powiedziała. Nick zrozumiał, że Jenny ma na myśli bukiety, które tulił w ramionach.

- Dla ciebie i dla Mary. - Położył je na stoliku obok pudełek i, pełen najgorszych przeczuć, odwrócił się do żony. - Co robisz, Jen?

- Odchodzę.

Patrzył na nią, nie wierząc własnym uszom. Oznajmiła to tak beznamiętnie, tak wprost, jakby mówiła, że wynosi śmieci.

- Nie możesz tego zrobić.

- Ale właśnie to robię. - Spojrzała pogardliwie. - Tylko się dziwię, że tak długo z tym czekałam.

- A co z Marą?

- Co z Marą?

- Pomyśl, jaką robisz jej krzywdę. Jen, Chryste, choć raz nie myśl wyłącznie o sobie!

- Ja myślę o sobie? - Czerwone plamy pokryły jej policzki. - To ty... -

Urwała. - Ależ właśnie o niej myślę i jestem pewna, że życie z rodzicami, którzy się

nienawidzą, po prostu jej nie służy. Chcę, żeby była szczęśliwa.

- Tak uważasz? Że się nienawidzimy? Jej rysy nieco zmiękły.

- Może nie, ale nienawidzimy naszego wspólnego życia.

Nick pokręcił głową. Wargi wyschły mu na pieprz, czuł się jak sparaliżowany.

- Gdzie ona jest? Gdzie jest Mara? Chcę się widzieć z moją córką.

- Zobaczysz się z nią. Mara i pies są już u mojej matki. - Jenny poprawiła pasek torby. - Nie uważałam za właściwe narażać ją na tę scenę, której się spodziewałam. Nie chciałam, żeby musiała wybierać.

- Bałaś się, że to mnie wybierze? Jenny zarumieniła się.

- Mara ma dopiero sześć lat, ona nie ma wyboru, Nick.

Na moment zamknął oczy, żeby się opanować. Nie było sensu teraz walczyć z Jenny. Musi znaleźć sposób, żeby zmieniła zdanie.

- Każde małżeństwo ma problemy - zaczął łagodnie. - Trzeba tylko nad nimi popracować.

Roześmiała się.

- W twoich ustach to brzmi tak prosto. Ale my nie mamy wspólnych problemów, Nick. My nie mamy już nic wspólnego. Nie łączy nas nic prócz seksu. Zresztą i to już minęło. Mamy tylko przeszłość, natomiast żadnej teraźniejszości ani przyszłości.

- Przyznaję, że za dużo czasu spędzałem poza domem. Uciekałem od naszych kłopotów, zamiast starać się je zrozumieć. - Zniżył głos. - Zamiast starać się zrozumieć ciebie. Przepraszam.

Zakasłała.

- Ja też.

Zbliżył się do niej o krok.

- Ułoży się, Jenny, damy sobie z tym radę. Możemy to jeszcze naprawić, polatać.

- Tak, polatać - powtórzyła z bolesną ironią. - Jak starą oponę.

- Nie. Jak coś, co jest tego warte.

- Masz jakiś pomysł? Dla ciebie istnieje tylko praca i Mara, ja jestem zbędna. - Kiedy otworzył usta, żeby zaprotestować, powstrzymała go gestem. - Nie jestem zazdrosna o uwagę, jaką poświęcasz naszej córce, wręcz przeciwnie, cieszę się z tego. Jesteś wspaniałym ojcem. Ale resztę czasu zabiera ci praca. Jest dla ciebie bardzo ważna, dla niej gotów jesteś na wszystko. Dla mnie zabrakło już miejsca.

- Postaram się - odrzekł szybko. - Zmienię się. Jej oczy zaszkliły się łzami.

- Nie chodzi o to, byś się postarał, byś sobie przyrzekł, że się zmienisz i jak harcerz dotrzymał przysięgi. Nie w tym rzecz, Nick.

- Jen...

- Ale w tym, że mnie nie kochasz. No, może trochę, ale nie tak bardzo, jak swój gliniarski fach. I jak naszą córkę.

- To nieprawda, Jenny.

- Nie? A kiedy ostatnio pomyślałeś o mnie w ciągu dnia? Kiedy ostatnio, w środku ważnego przesłuchania, miałeś ochotę kochać się ze mną albo wybiec, żeby do mnie zadzwonić?

- Jesteś niesprawiedliwa.

Nagle rozwścieczona, zmrużyła oczy.

- Jestem uczciwa. Chcę czegoś więcej, Nick. Bo ja zasługuję na więcej.

- Więcej! - powtórzył ze złością. Jak ona mogła tak

bezceremonialnie rozbijać ich rodzinę? - Większego domu, lepszego samochodu? Takiego, jak twój ojciec dał twojej matce? Uniosła brodę.

- Tak, to też byłoby miłe. Wyrósłam wśród najlepszych rzeczy, niczego mi nie brakowało. Ale wiesz co? Załatwiłoby sprawę, gdybym była najważniejsza. Tylko, że już się zmęczyłam czekaniem.

- Załatwiłoby sprawę? To chyba koniec.

- Chyba tak.

- Nie pozwolę ci zabrać mojej córki.

- Już ją zabrałam. - Ruszyła do drzwi, mijając go.

- Cholera, Jen... - Chwycił ją za rękę. - Nie możesz tego zrobić. Wniosem do sądu o opiekę nad dzieckiem.

- Proszę bardzo. - Wyrwała mu się. - I spodziewasz się, że którykolwiek sędziego przyzna ci ją? Przy twoich godzinach pracy? Twoim stylu życia? Nie sądzę.

- Kocham Marę, nie chcę bez niej żyć.

- Będziesz mógł ją odwiedzać, nie wyjeżdża na koniec świata. Odwiedzać? Ukradzione godziny z córką, od czasu do czasu. O mało się nie zadławił tą myślą.

- Czy rodzina nic dla ciebie nie znaczy? Otworzyła drzwi, odwróciła się i spojrzała chłodno, potem wrogo, wreszcie zajadle.

- Ty uznajesz tylko jeden sposób na życie, tylko jeden rodzaj miłości. Zawsze tak było: albo po twojemu, albo wcale.

- O czym my w ogóle mówimy? Małżeństwo ma żyć razem, rodzina powinna się trzymać razem, wspierać się. To ważne, to...

- Posłuchaj, co mówisz. Nie uznajesz żadnych innych uczuć ani pomysłów prócz swoich. Kiedy nauczysz

się kompromisu? Kiedy dostrzeżesz, że świat nie jest czarno-biały, że ma wiele odcieni szarości?

- Nie zaczynaj z tym.

- Żegnaj, Nick. - Wciągnęła torbę wyżej na ramię i wyszła.

Odprawiał ją tępym wzrokiem. Nic nie czuł, nie myślał... i nagle doznał olśnienia. Jenny ma kogoś.

Dogonił ją, gdy otwierała drzwi samochodu. Wyciągnął rękę i zatrzasnął je.

- Kto to jest, Jenny? Dobrze cię znam. Nie poważyłabyś się na to, gdybyś nikogo nie miała.

Jej twarz zalał rumieniec. Nick pojął, że miał rację.

- Ty dziwko. Oszukiwałaś mnie! - Zaciskał palce z wściekłości. Nie zdradził jej przez wszystkie ich wspólne lata, choć nie brakowało mu okazji. - To są te twoje odcienie szarości, tak? - spytał głosem rozdzieranym z gniewu. - Rżnięcie się z innym facetem?

- Nie bądź taki świętoszkowaty.

Roześmiał się i sam usłyszał, że było w tym tylko rozgoryczenie.

- Lepsze to, niż robić z siebie szmatę. Nie sądzisz? - Odchodzi.

Brutalnie złapał ją za rękę.

- Kto to jest? Możesz mi chyba powiedzieć, bo i tak się dowiem.

Zawahała się.

- Dobrze. To mój terapeuta.

Jej terapeuta. Natychmiast zobaczył tego mężczyznę, spotkał go kilka razy. Jeździł eleganckim zagranicznym wozem i nosił europejskie garnitury, z których każdy musiał kosztować tyle, co cała garderoba Nicka.

Typ faceta, za którego powinna była wyjść Jenny. Takiego męża pragnęli dla niej jej rodzice.



Nick odsunął od siebie tę myśl, skupiając się na godzinach nadliczbowych, które brał, żeby opłacić jej kosztowne sesje z tym gościem. Beznadziejne godziny spędzone w restauracjach, barach i na meczach licealistów, godziny, które wolałby spędzić w domu z córką. A zatem tracił ten czas, żeby jego żona mogła spotykać się z innym mężczyzną.

Żeby mogła zakochać się w innym mężczyźnie.

- Mam ochotę stłuc cię na kwaśne jabłko. Uśmiechnęła się lekceważąco.

- Ale tego nie zrobisz, bo przecież nie należysz do takich mężczyzn.

Ponownie otworzyła drzwi samochodu, wrzuciła bagaż i wsiadła.

Zapaliła silnik i spojrzała na Nicka.

- Wcale nie żałujesz, że odchodzę. Jeśli jeszcze tego nie wiesz, wkrótce się dowiesz. Jutro rano składam papiery rozwodowe.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Nick z trudem otworzył oczy. Przenikliwy dźwięk telefonu rozsadzał mu głowę. Rozejrzył się półprzytomnie, i nagle wszystko sobie przypomniał. Był w pokoju Mary. Po odjeździe Jenny schlał się jak wszawy, śmierdzący pijaczyna. Zachował się jak gówniarz, ale co ma zrobić facet, któremu żona oświadcza, że pieprzy się ze swoim psychoterapeutą, oraz odchodzi z dzieckiem i psem? Tak, jest w pełni usprawiedliwiony. Nick przeklął, stęknął i usiadł. W ustach czuł potworny niesmak. Przetarł twarz dłonią i zerknął na zegar-zabawkę Mary. Była trzynasta dwanaście. Popłynął więc w całkiem długi alkoholowy rejs.

Przerzucił nogi przez łóżko i wstał, w głowie mu huczało. Ponownie zadzwieczał ten cholerny telefon.

- Idę, idę - mruknął. - Chwila.

Przeszedł do sypialni, którą dzielił z Jenny, i chwycił za słuchawkę.

- Słucham, Raphael - wydusił cienkim głosem.

- Wstawaj, słoneczko - odezwał się kontralt. - Mamy trupa.

Nick natychmiast wytrzeźwiał.

- Gdzie?

- Concord Place, pod jedyką.

- Elegancko tam.
  - Można tak powiedzieć. Nick, ofiarą jest burmistrz Pierpont.
- Ktoś grzmotnął burmistrza?
- Jasny gwint! Już jadę.

Piętnaście minut później Nick stanął pod domem Pierpontów. Policjanci zabezpieczyli już miejsce zbrodni. Nick zauważył pickupa Bobby'ego, ale nie było wozu koronera. Zdażył zebrać się już całkiem spory tłumek. Zdumiewające, pomyślał Nick, gramoląc się z jeepa, że tłum ciekawskich zawsze towarzyszy zbrodni, niezależnie od czasu i miejsca. Jakby w powietrzu unosiła się jakaś osobliwa aura. Ludzie budzą się i pozornie bez powodu podchodzą do okien, by zobaczyć, że stało się coś strasznego. Wtedy wychodzą, by dowiedzieć się więcej. Przyjrzeć się z bliska, jak turyści podczas wycieczki.

Bardzo utrudniało to pracę policji. Tym razem i bez tych komplikacji zapowiadał się niezły cyrk.

No tak, jest już i prasa. Dziennikarze wysypywali się ze służbowych samochodów jak mały z płonącego zoo. Nick pochylił się i przeszedł pod żółtą taśmą, ignorując reporterów wykrzykujących pytania, i ruszył wzdłuż ceglanego muru alejką wysadzaną kwiatami. Wszedł do budynku frontowymi drzwiami. W porównaniu z chaosem na zewnątrz, panowała tu śmiertelna cisza. Sześciu policjantów szukało śladów, robiło zdjęcia i cicho wymieniało uwagi.

Martha Pierpont - Nick rozpoznał ją, bo widział ją kiedyś u boku męża w telewizji - leżała z podkurczonymi nogami na kanapie, otulona pledem. Nastoletnia dziewczyna, zapewne córka, siedziała nieopodal. Była trupio blada, bezmyślnie patrzyła przed siebie.

Nick stwierdził, że dziewczyna jest w szoku, i poszedł dalej, rozglądając się za Bobbym.

Znalazł go, wraz z burmistrzem Pierpontem, w małżeńskiej sypialni.

Bobby podniósł wzrok znad notesu i zmarszczył brwi.

- Człowieku, co ci się stało? Wyglądasz jak odgrzewane gówno.

- Dzięki. - Nick zajrzał w notatki partnera. - Jenny odeszła. Zabrała Marę i psa.

- Cholera. Przykro mi.

- Dzięki. - Nick starał się skoncentrować na robocie. - Co mamy?

- Jednego martwego burmistrza. Pięć kul w nim, jedna w ścianie obok okna.

Nick zbliżył się do denata i głęboko wciągnął powietrze. Ed Pierpont leżał w kałuży krwi i własnych wnętrzności. Odstrzelono mu połowę głowy, wypatroszono brzuch.

- Makabra, co? - Bobby położył ręce na biodrach i pokręcił głową. - Nie głosowałem na niego, a ty?

- Też nie, nie ufałem mu. Są jacyś podejrzeni?

- Mamy zeznanie, jego żona przyznaje się do winy. Mówi, że ją zaatakował, groził, że ją zabije. Wzięła jego broń i zrobiła pif-paf!

- Ale nie miała takiego zamiaru, co? Zrobiła to w obronie własnej, nie widziała innego wyjścia?

Sarkazm Nicka nie uszedł uwagi Bobby'ego.

- Masz rację, kolego. Obrona własna.

- Kim jest ta dziewczyna?

- Ich córka, jedynaczka. To ona zadzwoniła na policję. Ledwo można było pojąć, o co jej chodzi, była w histerii. Kiedy zjawiliśmy się, żona ciągle trzymała rewolwer, musieliśmy jej go wyrwać.

Bobby przysiadł obok tego, co pozostało z szanownego

Eda Pierponta. Nick wskazał miejsce, gdzie znajdowały się za życia męskie klejnoty burmistrza.

- Morderstwo z namiętności. Odstrzeliła mężowi jaja.

Nicka zemdliło.

- Nie celowała w nie specjalnie, chciała go tylko powstrzymać.

- Tak, kolejny udany strzał.

- Do diabła, gdzie jest lekarz?

- Tutaj - odezwał się głos tuż za nimi. - Nie jestem już tak młody, jak kiedyś. - Spojrzał ze zdziwieniem na Nicka. - Wyglądasz fatalnie.

- Żona go zostawiła - wstawił się za kolegą Bobby.

- Przykra nowina. - Doktor odchrząknął. - Ja przez tę robotę straciłem dwie.

- U niego jest inaczej - rzekł Bobby z powagą. - To straszny dupek, sam nie chciałbym z nim żyć.

Nick zirytował się.

- Niech cię o to głowa nie boli, nie mam zamiaru cię o to prosić. Jeśli skończyliście rozbierać na części moje mizerne życie, przypominam, że mamy tu trupa.

- Ano mamy. - Doktor przykląkł obok ciała. - Może któryś z was, kowboje, mógłby mnie oświecić, co tu się stało?

Bobby skinął głową, a Nick poszedł do salonu, żeby porozmawiać z Martha Pierpont. Tak jak mówił Bobby, Martha przyznała się do zabicia męża w obronie własnej. Groził jej śmiercią, tym razem była pewna, że nie żartuje. W panice pobiegła do sypialni, wyciągnęła z szuflady nocnego stolika broń, wycelowała i nacisnęła na spust. Robiła to nawet wtedy, gdy już zabrakło naboju. Strzały zbudziły jej córkę, która wezwała policję. Patti wpuściła funkcjonariuszy do domu i zaprowadziła do ciała ojca.

Z dalszych odpowiedzi Marthy Pierpont Nick dowiedział się, że od ponad roku kobieta jest pod opieką psychoterapeutki. Chciała się z nią zobaczyć. Chodziło o doktor Andie Bennett.

Andie Bennett. Nazwisko z dalekiej przeszłości. Osoba, o której nie myślał od lat.

Nick był zaciekawiony i, ku swojemu zaskoczeniu, zadowolony. Nie miał pojęcia, że Andie nadal mieszkała w Thistledown i że została terapeutką. Przez pewien czas po zabójstwie Lei Robertson utrzymywał kontakt z nią i jej przyjaciółkami. Wiedział, że je rozdzielono. Współczuł im, zwłaszcza Andie, bo była miła i miała pecha.

Pewnego razu, jakieś pół roku po tamtym zabójstwie, zajrzał do jej domu. Matka powiedziała, że Andie radzi sobie nieźle, uczy się i stara się nie wracać do tego, co minęło. Zawołała Andie, lecz ani matka, ani córka nie wydawały się szczęśliwe z powodu jego wizyty.

Teraz los zdecydował, że ich ścieżki znów się przecięły. Oczywiście jeśli doktor Andie Bennett okaże się tamtą dziewczyną.

Miłą dziewczyną, pomyślał Nick, przypominając sobie jej uczciwość i poczucie odpowiedzialności oraz jej sympatyczną twarz. Fatalnie, że wybrała taki mętny zawód. Nick generalnie nie lubił psychoterapeutów, i to od dawna, zanim jego żona zaczęła sypiać z jednym z nich. Często zdarzało się, że jakiś drogi, przemyślany psychiatra wyciągał bandziora na wolność albo powodował radykalne zmniejszenie wyroku. Nicka doprowadzało to do pasji.

Pewnie doktor Bennett spróbuje tej samej sztuczki. Nick zmrużył oczy. Krew go zaleje, jeśli jej się to uda.

A zatem następny dzień zacznie od krótkiej wizyty u doktor Andie Bennett.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Tego ranka Andie spotykały same katastrofy. Zasnęła, bo pofolgowała sobie poprzedniego wieczoru, a kiedy wreszcie dotarła do kuchni i włączyła ekspres do kawy, zapomniała podstawić dzbanek. W pośpiechu podarła dwie pary nowych rajstop, a kot sąsiadów podrzucił jej na próg martwego ptaka, malowniczo kładąc go na stosie porannej prasy. Na dodatek ktoś stał na tymże progu i dzwonił do drzwi.

- Idę, już idę! - zawołała, zakładając koleczyk i zapinając pasek, z czym ostatecznie sobie poradziła, gdy podeszła do drzwi.

Kiedy otworzyła je na oścież, słowa powitania zamarły jej na ustach. Przed nią stało dwóch mężczyzn, obaj w ciemnych okularach, sportowych płaszczach i dżinsach. Jeden z nich był ogromny i rudy, drugi, także nie ułomek, miał ciemne włosy i kwadratową, mocną szczękę. Żaden się nie uśmiechał.

- Doktor Andie Bennett? - spytał ciemnowłosey.

- Tak. - Andie przechyliła nieco głowę. Czyżby znała tego mężczyznę? Było coś znajomego w jego postawie, kształcie głowy i głosie.

Mężczyzna błysnął jej przed nosem policyjną plaketką.

- Policja. Inspektorzy Raphael i O'Shea. Możemy zająć pani chwilę?  
Inspektor Raphael. Nick Raphael. Spoważniała, a on, wprawdzie chłodno, ale się uśmiechnął.

- Cześć, dzieciaku.

- Inspektor... To niespodzianka. - Potrząsnęła głową. - Szmata czasu.

- Tak. Możemy wejść?

- Oczywiście. - Pierwsza ruszyła do środka. - Niestety mam niewiele czasu, jestem już spóźniona.

- To nie potrwa długo.

Poprowadziła ich do salonu. O'Shea, facet z natury ciekawski, otwarcie rozglądał się dokoła, natomiast Nick, zachowując absolutną obojętność, jakby nie interesowało go, jak mieszka jego była podopieczna, patrzył wzrokiem zawodowca przed siebie.

Andie podeszła do sofy, zapraszając, żeby usiedli. Ponieważ Nick odmówił, więc i ona nadal stała, natomiast O'Shea klapnął na sofie i zaczął bezmyślnie kartkować kolorowy magazyn.

Wtedy zdała sobie sprawę, co to znaczy: podzielili się, jeden gra dobrego, drugi złego policjanta. O'Shea mógł sprawiać wrażenie tępego prostaka, ale Andie założyłaby się, że to tylko pozory.

Po co przyszli? Spojrzała na Nicka.

- Czy mam jakiś problem, o którym nie wiem?

- Zależy od punktu widzenia. Ostatniej nocy jedna z pani pacjentek wplątała się w morderstwo. Musimy zadać pani kilka pytań, to wszystko.

Andie osłupiała. Po chwili zaczęła ślizgać się wzrokiem po obu policjantach, czekając, aż któryś powie: „Żartujemy”. Ale dobrze wiedziała, że tego nie usłyszy.



- Jedna z moich pacjentek? - zapytała wreszcie. - Nie myli się pan?
  - Martha Pierpont.
  - O moj Boże! - Andie zasłoniła usta. - A więc jednak ją zabił... - wyszeptała. - On ją zabił, tak?
  - Kto, pani doktor?
  - Jej mąż, oczywiście. Zabił Marthę. Nick i jego partner wymienili spojrzenia.
  - Nie - rzekł Nick. - To ona go zastrzeliła. Andie cofnęła się, szukając krzesła, i bezradnie na nie opadła. Martha Pierpont zabiła swojego męża? Podniosła wzrok.
  - Czy to jakiś głupi żart?
  - Nie, ta kobieta jest w areszcie.
  - To musi być jakaś pomyłka. Martha Pierpont nie zdobyłaby się nawet na to, żeby zwrócić uwagę nieuprzejmej ekspedientce.
- Nick wyjął z kieszeni notes i pióro.
- Twierdzi pani tak na podstawie spotkań, jakie odbywałyście?
  - Tak, ja... - Andie zawahała się. - Martha przychodziła do mnie.
  - Od roku?
  - Tak.
  - Czy to prawda, że Edward Pierpont znieważał ją?
  - Przepraszam, ale nie mogę udzielać takich informacji.
  - Czy to prawda, że spotykała się z panią, bo sama nie mogła poradzić sobie z kłopotami małżeńskimi?
  - Nie mogę. Nick uniósł brwi.
  - Mówi pani o tajemnicy lekarskiej?
- Andie najeżyła się, słysząc sarkazm w jego głosie.
- Tak, owszem.

- To bardzo wygodne.
- Nie obchodzi mnie, co pan myśli.
- A mnie nie obchodzi, jak pani pracuje. Wstała i ruszyła w kierunku drzwi.
- Czy to wszystko?
- Nie. - Uśmiechnął się ponownie i znów wyglądało to bardziej na grymas. - Według pani pacjentki, jej mąż był odrażającym, gwałtownym skurwysynem. Wczorajszej nocy, jak twierdzi, zaatakował ją, groził jej śmiercią. A ona oczywiście musiała się bronić. - Nick Raphael mierzył Andie lodowatym wzrokiem. - Czy to możliwe?
- Zawiesił szyderczo głos.  
Miała już tego dosyć.
- Mam wrażenie, że sam pan wyrobił sobie zdanie na ten temat, więc po co pan pyta?  
Zignorował jej cynizm.
- Pani Pierpont twierdzi, że bała się o własne życie i musiała się bronić. Wzięła więc rewolwer męża i wpakowała mu sześć kul...
- Pięć - poprawił Bobby. - Raz nie trafiła.
- Pięć razy? - szepnęła Andie, siadając na powrót.
- Jest pan pewny?
- Strzeliła mu w genitalia, pani doktor. Proszę mi wierzyć, to nie pierwsza żona, która wybrała ten szczególny cel, i z całą pewnością nie ostatnia. Typowa zbrodnia z namiętności.
- Nie zgadłabym.
- Czy pan Pierpont znęcał się nad żoną seksualnie?
- To tajemnica.
- Strzeliła mu też w twarz. To także klasyka.
- Odstrzeliła pół twarzy - dopowiedział Bobby.
- Pewnie nie trafiła, w końcu trudno dobrze wycelować, jak się widzi tylko flaki i krew.  
Bawili się z nią, próbowali ją zmusić, żeby powiedziała

coś, czego zabraniała jej etyka lekarska. Andie podniosła się.

- Proszę mi wybaczyć, muszę już iść.

- Jeszcze tylko parę pytań. Kiedy była wasza ostatnia sesja?

- Przedwczoraj.

- Czy pani Pierpont powiedziała tego dnia coś, co wskazywałoby, że zamierza zabić męża?

- Nie.

- A wcześniej?

W głowie Andie dźwięczały słowa Marthy: „Chciałabym go zabić! Zabić, zabić, zabić!”.

Ale słowa to jedno, natomiast zamiana ich w czyn to całkiem inna sprawa. Martha Pierpont nie miała dość siły, żeby kogokolwiek zabić. Andie wierzyła w to głęboko.

Włożyła drżące ręce do kieszeni.

- Jak już wyjaśniłam, nie wolno mi rozmawiać o terapii Marthy Pierpont.

A teraz, jeśli panowie pozwolą...

- Jest pani pewna, że nie ma nam pani nic do powiedzenia?

- Nie mam nic więcej do powiedzenia. Przykro mi.

- Przykro mi... Prościej byłoby powiedzieć: mam was gdzieś.

- Nick... - warknął Bobby.

Zlekceważył ostrzeżenie partnera i podszedł do Andie.

- Czy dobrze się pani czuje, ukrywając się za tą tak zwaną etyką? Jak to jest, kiedy pomaga się zbrodniarzom odzyskać wolność? Jak się czuje człowiek, który świadomie przyczynia się do tego, że przestępstwo popłaca?

Popatrzyła mu w oczy.

- Nazywa pan tę kobietę zbrodniarką?
- Zamordowała swojego męża. Pięcioma strzałami. A więc tak, jest zbrodniarką.

Policzki Andie załała gwałtowna czerwień.

- I pana zdaniem moja pacjentka zabiła go z zimną krwią?
- Powiedzmy, że wcale by mnie to nie zdziwiło. Miała już na ustach dziką ripostę, ale powstrzymała

się. Nick chciał ją zdenerwować. Liczył na to, że wymknie jej się coś, co będzie mógł wykorzystać przeciw oskarżonej.

- Zmienił się pan, inspektorze, już pan nie jest Harcerzykiem. Upodobił się pan do swoich kolegów, tych zimnych, chamskich drani. - Przeszła do drzwi i otworzyła je. - Żegnam panów.

Bobby wstał i obaj ruszyli do wyjścia. Nick podał jej swoją wizytówkę.

- Jeśli przypomni się pani coś... co nie jest objęte tajemnicą, proszę zadzwonić, będziemy pani wdzięczni.

## **ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY**

Długą chwilę po wyjściu policjantów Andie wpatrywała się w trzymaną w dłoni wizytówkę. Przeciągnęła kciukiem po lekko wypukłym druku, mając przed oczami swoje pierwsze spotkanie z Nickiem Raphaelem. Wtedy tak bardzo różnił się od swoich kolegów po fachu, którzy całkiem nieźle bawili się jej kosztem.

Nie mogła uwierzyć, że ten pozbawiony emocji twardziel, z którym właśnie rozmawiała, jest tym samym człowiekiem, który pomógł jej przed laty, który własnym ciałem zasłaniał przed nią martwą panią X. Tym samym, który bronił jej przed prasą i w kilka miesięcy po zabójstwie wpadł zapytać o jej samopoczucie.

Co się z nim stało? Skąd wzięły się u niego cynizm i złość?

Posmutniała. Nigdy nie zapomniała jego dobroci i ciepła, które były dla niej jak jasne światelko w ponurych, mrocznych czasach.

Podeszła do drzwi i wyjrzała na ulicę. Zmieniła się nawet twarz Nicka Raphaela, pomyślała, stwardniała, wydłużyła się. Czas i doświadczenia wyrzeźbiły ją, pozbawiając młodzieńczej świeżości.

A czy Nick porównywał ją z tamtą dziewczynką

sprzed lat? - zastanowiła się Andie. Czy podobała mu się wtedy, tak jak on jej się podobał?

Zresztą to bez znaczenia, przeszłość się nie liczy. Teraz musi zająć się Marthą Pierpont, tylko to jest ważne.

Andie chwyciła torebkę i teczkę z kuchennego blatu. Postanowiła zadzwonić do Missy z samochodu i kazać jej przenieść na inny termin poranne spotkanie. Potem zajrzy na policję, żeby dowiedzieć się, jak może się zobaczyć ze swoją pacjentką.

Po godzinie Andie siedziała na wprost Marthy przy metalowym stole w więziennym pokoju wizyt. Miała ściśnięte gardło. Widziały się dwa dni wcześniej, a zdawało się, że Martha postarzała się o dziesięć lat. Wyglądała, jakby przeszła przez piekło i przeżyła tylko po to, żeby dać temu świadectwo.

Położyła ręce na zimnych jak lód dłoniach Marthy.

- Jak się pani czuje?

- On nie żyje. Edward nie żyje, wie pani już?

- Tak, Martho - powiedziała łagodnie Andie. - Słyszałam. Co się stało?

Ręce Marthy zaczęły drżeć.

- Zastrzeliłam go. Nie wiem, ile razy strzelałam, ale więcej niż raz.

„Zastrzeliłam go”. Andie zadrżała. Dopóki nie usłyszała tego od samej Marthy, nie wierzyła, że to prawda.

- Tak mówi policja.

- Rozmawiała pani z nimi?

- Przyszli do mnie dziś rano. - Andie uścisnęła dłoń Marthy, żeby dodać jej otuchy. - Proszę się nie martwić. Nie zdradziłam im tego, o czym rozmawialiśmy.

- Nie chciałam tego zrobić. Chciałam tylko, żeby mnie zostawił w spokoju.

- Proszę mi wszystko opowiedzieć.

Martha pokiwała głową i położyła dłonie na kolanach.

- Zaatakował mnie, zanim dotarliśmy do domu, nigdy nie był jeszcze taki rozwścieczony. Powiedział, że mnie ukarze, że nie ujdzie mi to na sucho.

- Co, Martho? Co miał na myśli? Potrząsnęła głową.

- Nie wiem, naprawdę nie wiem, co zrobiłam.

- W porządku - uspokajała Andie. - Proszę mówić dalej.

- Jak tylko zajechaliśmy pod dom, wyskoczyłam i pobiegłam do środka. Chciałam zamknąć się w sypialni, ale on biegł tuż za mną.

W oczach Marthy widniał jeszcze tamten strach, mówienie przychodziło jej z trudem. Andie odczuła na własnej skórze grozę tej sceny.

- Złapał mnie w holu i przewrócił. Błagałam, żeby mnie zostawił, ale zacisnął tylko ręce na mojej szyi i zaczął mnie dusić. - Uniosła dłonie na wysokość gardła, Andie zauważyła sine ślady. - Pamiętam, że kiedy na niego spojrzałam, uświadomiłam sobie, że to koniec, że tym razem zrobi to, zabije mnie. Miał czerwoną twarz, oczy wychodziły mu na wierzch. I wrzeszczał. - Bezradnie poruszyła ręką. - Kopałam i gryzłam, aż uwolniłam się i zerwałam się na nogi. Pobiegłam do sypialni. Wyjęłam rewolwer. Ed zbliżał się. Krzyknęłam, żeby się nie ruszał, bo strzelę. - Spotkała się wzrokiem z Andie. - A on się roześmiał. Powiedział, że się nie odważę, że jestem głupia i to on mnie wykończy. Zbliżał się. I nie przestawał się śmiać. Coś w środku... Nie mogłam tego znieść...

Nacisnęłam spust. I jeszcze raz. Jeszcze raz. Aż do końca.

Andie zamarła. Jeszcze poprzedniego dnia przysięgłaby, że Martha nie jest zdolna do podobnego czynu.

- Co było potem? - spytała.

- Dokładnie nie pamiętam. Patti zaczęła krzyczeć,

a potem pojawili się ci ludzie... z policji. - Spuściła głowę. - Przywieźli mnie tu.

Martha rozglądała się, jakby dopiero teraz ujrzała ściany, strażnika i metalowe drzwi.

- Moje dziecko zostało samo. Kto się nią zajmie, jak pójdę do więzienia?

- Niech pani teraz o tym nie myśli. Ma pani dobrego adwokata, najlepszego w okolicy, jak mi wiadomo. A z tego, co pani mówi, wynika, że strzeliła pani do Eda w obronie własnej. Sąd uznaje, że małżeńskie molestowanie usprawiedliwia samoobronę.

- A jeśli mi nie uwierzą? - szepnęła Martha. - Wszyscy lubili Edwarda, nie uwierzą mi. Pójdę do więzienia, a Patti zostanie sama. - Rozplakała się. Andie obeszła stół i przytuliła Marthę, świadoma, że strażnik nie spuszcza ich z oka.

- Będę zeznawać. Patti też. Ma pani siniaki, to też jest dowód. Uda się pani, Martho, wszystko będzie dobrze.

- Zobaczy się pani z Patti? - Spojrzała na Andie prosząco. - Tak się o nią martwię.

- Oczywiście, że się nią zajmę - powiedziała serdecznie.

Andie dowiedziała się, że dziewczyna przebywa u matki Marthy, Rose Turpin, wdowy, która mieszkała w starej części miasta, niedaleko centrum. Gdy tam zadzwoniła, pani Turpin z ogromną wdzięcznością zgodziła się na jej wizytę.

Udało jej się dotrzeć do Patti dopiero późnym popołudniem. Zajechała pod domek pani Turpin kompletnie wyczerpana. Musiała przyjąć umówionych pacjentów. W tym czasie Raven telefonowała trzy razy, a Julie dwa, by podzielić się sensacyjną wiadomością o śmierci burmistrza Edwarda Pierponta.



Znalazła minutę, by do nich oddzwonić. Bardzo się przejęły, że Andie jest w to zaangażowana, i chciały dowiedzieć się jak najwięcej. Andie była wściekła na Raven, która zlekceważyła całą sprawę, wyśmiała jej troskę o Marthę i poczucie odpowiedzialności.

Tak, Andie czuła się odpowiedzialna. Powinna była zapobiec nieszczęściu. Nie zrobiła nic i teraz, po fakcie, mogła jedynie próbować pomóc Marcie i jej bliskim.

Wyłączyła silnik i przyjrzała się domowi. W otwartych drzwiach stała kobieta, zapewne Rose Turpin. Matka Marthy. Andie podniosła rękę w powitalnym geście, wysiadła i ruszyła wąskim chodnikiem.

- Dziękuję, że pani przyszła - odezwała się kobieta, załamując ręce. - Bardzo niepokoję się o Patti.

- Mam nadzieję, że uda mi się pomóc. W każdym razie spróbuję.

- Zapraszam. - Pani Turpin zaprowadziła ją do frontowego pokoju.

Nie włączono jeszcze światła, a zasłony były zasunięte. Promienie słońca zaglądały przez wąskie szpary między ciężkimi storami.

Patti siedziała skulona na obszernym krześle, z kolanami podciągniętymi pod brodę, z twarzą wtuloną w kolana objęte ramionami. Niedobrze, dziewczyna wróciła do pozycji płodu, pomyślała Andie.

Pani Turpin zapaliła stołową lampę.

- Patti - odezwała się miękko. - Masz gościa. Przyszła pani Bennett.

Pziewczynka nie drgnęła. Andie powoli do niej podeszła.

- Cześć, Patti. Jestem znajomą twojej mamy. Prosiła, żebym wpadła zapytać, co u ciebie.

Patti podniosła na moment wzrok.

- Jesteś jej terapeutką.

- Zgadza się, jej psychoterapeutką. Ale uważam ją za swoją dobrą znajomą. - Andie zajęła miejsce na sofie naprzeciw Patti. - Jak się czujesz?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Widziałam **Się** dziś rano z twoją mamą. Patti znów zerknęła na nią.

- Martwi się o ciebie. Objęła ciaśniej kolana.

- Nic mi nie jest - szepnęła i drżącymi wargami wciągnęła głęboko powietrze. - A ona... dobrze się czuje?

- Jakoś sobie radzi.

Patti zamilkła. Andie czekała, w ciszy przyglądając się dziewczynie. Widziała ją kilka razy, poza tym Martha pokazywała jej zdjęcia córki. Jednak teraz dopiero zobaczyła, jak bardzo są do siebie podobne. Patti miała te same, ładne, delikatne rysy, tę samą drobną budowę i łagodny głos.

Andie pokiwała głową, zdziwiona, że Ed Pierpont nigdy nie zwrócił swojej złości przeciw córce.

Ale to pewnie była tylko kwestia czasu, pomyślała ponuro. Tacy ludzie jak Pierpont rzadko ograniczają swój gniew do jednego członka rodziny. A może to już się stało?

Zaskoczona własną myślą, Andie szybko zaczęła analizować przypuszczalną wersję wydarzeń. Zdenerwowała się. A może Edward wściekł się na córkę, a Martha, wiedząc dobrze, co Patti grozi, stanęła w jej obronie? To tłumaczyłoby jej nagły przyływ odwagi, nagłe wyzwolenie się z wieloletniego strachu. Każda matka, gdy jej dziecko znajdzie się w niebezpieczeństwie, zdolna jest do najbardziej desperackich i szalonych działań.

Andie położyła złączone dłonie na kolanach. Wyciągała

wnioski jedynie na podstawie przeczuć i podejrzeń, ale jeśli okazałyby się uzasadnione, Patti bardzo potrzebowałaby przyjaciela. Zakasłała.

- Czy mogłybyśmy porozmawiać o tym, co się wydarzyło?

- Wszystko powiedziałam policji.

- Nie o to mi chodzi. Chcę ci pomóc.

- Nikt nie mo... - Oczy Patti przesłoniły łzy, zagryzła wargi. - Nie chcę o tym mówić.

- Rozumiem.

- Nic pani nie rozumie.

- No to chcę zrozumieć. Uwierz mi. Może kiedy mi wytłumaczysz...

- Powiedziałam już, że nie będę o tym rozmawiać! - Patti zerwała się na równe nogi, rozdygotana, z zaciśniętymi pięściami. Otworzyła usta, jakby chciała coś dodać, ale tylko odwróciła się i wybiegła z pokoju. Kilka chwil później Andie usłyszała trzaśnięcie drzwi gdzieś w głębi domu. Spojrzała na babkę Patti, w progu nerwowo prze-stępującą z nogi na nogę. Na jej twarzy malowała się ogromna rozpacz.

- Trzeba jej dać czas - rzekła cicho Andie. - Przeżyła potworny szok. Kobieta pokiwała głową.

- Napije się pani mrożonej herbaty?

- Dziękuję, chętnie. - Andie podniosła się, a gdy Rose Turpin podreptała do kuchni, udała się za nią.

- Proszę usiąść - zaprosiła starsza pani, wskazując na wysoki stółek, i wyciągnęła dzbanek z herbatą oraz dwie smukłe szklanki. Napełniła je lodem i spojrzała na Andie.

- Cytrynę? A może słodzik?

- Poproszę o cytrynę.

Kobieta wzięła cytrynę z miski z owocami, która stała na blacie, i pokroiła ją fachowo na cząstki. Nalała do szklanek herbatę i ubrała je gałązkami mięty. Wykonywała te wszystkie czynności odruchowo, jak ktoś, kto robił to już tysiące razy.

- Proszę - powiedziała, stawiając naczynie przed Andie.

Andie łyknęła, pochwaliła i czekała, wiedząc, że matka Marthy nie zaprosiła jej do kuchni wyłącznie na herbatę.

- Jutro ma się zdecydować, czy zwolnią moją córkę za kaucją. Adwokat Marthy twierdzi, biorąc pod uwagę okoliczności, że sąd zgodzi się na jakąś rozsądną sumę.

- Martha wróci do domu? Czy może zamieszkać tutaj?

- Oczywiście. Tak będzie lepiej dla Patti. - Rose spojrzała na swoje dłonie. - Nie wiem, jak postępować z Patti, pani doktor. Nie odzywa się do mnie. Prawie nic nie je ani nie pije, odkąd tu jest.

- Ona potrzebuje czasu. Nie minęła jeszcze doba, odkąd cały jej świat przewrócił się do góry nogami.

Rose uniosła do ust drżącą rękę, żeby się uspokoić.

- A co ze szkołą? Do wakacji jeszcze miesiąc, nie chciałabym, żeby to straciła, ale... - Zawiesiła głos, wiedząc równie dobrze jak Andie, że Patti wróci do miejscowej szkoły najwcześniej po wakacjach. Jeśli w ogóle.

- Proszę porozmawiać z jej nauczycielami, niech pozwolą jej uczyć się w domu. Można zatrudnić korepetytora.

- Dobrze.

- Patti ma pewnie jakieś koleżanki, z którymi mogłaby porozmawiać.

Rose potrząsnęła głową.

- Nie takie, które by to wszystko zrozumiały. Moja wnuczka jest raczej samotnikiem.

Andie świetnie to rozumiała, pewnie lepiej niż inni. Kiedy straciła najlepsze przyjaciółki, także trzymała się na uboczu. Także musiała znosić obrzydliwe plotki i nie miała się do kogo zwrócić.

- A jak pani się czuje, pani Turpin?

- Ja?

- Tak. Pani też przeżyła wstrząs, jak sędzę.

- Nie wierzę w winę Marthy. Moja mała Marti nigdy by tego nie zrobiła Edowi. - Popatrzyła na Andie wyzywająco, jakby spodziewała się sprzeciwu z jej strony.

Andie przytaknęła jej.

- Mnie też trudno w to uwierzyć. Ale fakty mówią za siebie.

Starsza kobieta wybuchnęła:

- Wiem, mówią, że trzymała broni... że strzeliła do niego pięć razy.

- Bo bała się o swoje życie, proszę o tym nie zapominać, pani Turpin. To nie było morderstwo, tylko samoobrona.

Kobieta kiwnęła głową. W jej oczach pokazały się łzy.

- Nie zapomnę. Dziękuję pani.

- Mogę jeszcze o coś spytać?

- Proszę.

- Wiedziała pani, że Edward znęcał się nad pani córką?

Kobieta odwróciła wzrok.

- Tak, wiedziałam.

- Nie namawiała jej pani, żeby go opuściła? Rose Turpin potrząsnęła głową.

- Nie, ja... - Rozłożyła ręce. - Zapewniał jej wygodne życie, był wpływowym człowiekiem, zrobił karierę.

Uważałam, że jeśli Martha postara się bardziej... wtedy on... zmieni się.

Andie policzyła do trzech, zanim wykrztusiła odpowiedź. Nie przyszła tu osądzać, tylko pomóc.

- Ed źle traktował pani córkę, bo taki miał charakter  
- zaczęła spokojnie. - Ona nie była temu winna. Ed Pierpont był złym człowiekiem, a pani córka niczym sobie nie zasłużyła na takie traktowanie.

Zapadła krępująca cisza. Andie stwierdziła, że czas na nią. Wstała.

- Dziękuję za pyszną herbatę.

- Bardzo proszę. Wpadnie pani jeszcze kiedyś?

- Oczywiście. - Andie uśmiechnęła się. - Zajrzę jutro do Patti. A gdyby w tym czasie wyraziła chęć porozmawiania z kimś, proszę, tu jest mój numer.

- Podała swoją wizytówkę. - Proszę dzwonić o każdej porze, w dzień czy w nocy.

- Dziękuję. - Pani Turpin odprowadzała ją do drzwi.

- Czy pani zdaniem Ed Pierpont był dobrym ojcem?

- spytała Andie.

- Tak myślę.

- Czy nigdy nie atakował Patti? Martha nic nie wspominała na ten temat?

- Chyba nie - odparła kobieta po chwili wahania.

- To znaczy... jestem pewna, że nic takiego nie miało miejsca. Martha by na to nie pozwoliła.

- Co ma pani na myśli?

- To co powiedziałam. Martha by na to nie pozwoliła. Nieraz mi mówiła, że gdyby Ed chciał zrobić Patti coś złego, nie dopuściłaby do tego, niezależnie od ceny.

Andie jeszcze raz podziękowała i wyszła, zastanawiając się, czy właśnie taką ceną mogło być życie Edwarda Pierponta.

## **ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY**

- To okropne, Andie, po prostu okropne! - Julie jak burza wpadła do biura Andie, klapnęła na kanapę i spojrzała w sufit. - Biedna kobieta.

Słyszałam, że jej mąż dobrze sobie na to zasłużył. - Zerknęła na Andie. - Raven też tak uważa.

Julie zawsze wspierała się opinią Raven, pod tym względem nie zmieniła się od dziecka.

- Tak mdwi.

- Wszyscy tylko o tym rozmawiają. Widziałaś? Codziennie piszą o tobie w gazecie.

- Lepiej mi nie przypominaj, bo taka sława nie przyciąga klientów. Poza tym cała ta sprawa za bardzo przypomina... Nieważne.

- Co? - Julie położyła się na boku. - Za bardzo przypomina ci przeszłość? Julie powiedziała to tak beztrąsko. Ale jej tu nie było, pomyślała Andie, nie musiała znosić znaczących spojrzeń i szeptów, gdziekolwiek się ruszyła. Julie nie miała pojęcia, jak trwała jest pamięć w Thistledown, w stanie Missouri.

- Tak, przeszłość.

- Myślę, że to świetnie. - Julie znowu wypatrywała czegoś nad głową. - Czy to na tej kanapce pacjenci

zdradzają ci swoje sekrety? - Przytuliła się do skórzanego obicia. - Mogłabym na tym spędzić życie.

- Niektórzy pacjenci też tak uważają. - Rozbawiona Andie uśmiechnęła się.

Cieszyła się z powrotu Julie, znowu były wszystkie razem i zachowywały się jak nastolatki, a nie odpowiedzialne, dorosłe kobiety. Zwłaszcza Julie. Z nich trzech właśnie ona najwięcej ocalała z dawnych lat. Dawno temu zamieniła okulary na szkła kontaktowe, ale pod każdym innym względem pozostała rozchichotaną dziewczyną, tyle że teraz już trzydziestoletnią. W opiętych błękitnych dżinsach i równie obcisłym podkoszulku, z rozwichrzonymi jasnymi włosami, wyglądała jednak bardzo młodzieńczo.

Lecz Andie znała jej problemy i cierpienie, które Julie maskowała zewnętrzną obojętnością.

- Jak leci? - spytała.

- Świetnie. Fantastycznie. - Julie podłożyła ręce pod głowę. - Raven jest cudowna, lepsza niż własna matka.

Hołubi ją. Troszczy się o nią jak kura o jajka. To dobre na chwilę, pomyślała Andie, ale na dłuższą metę nie rozwiąże problemów Julie.

- Wiesz, że mam już mieszkanie? Raven mi pomogła, zaciągnęłam u niej dług.

- Naprawdę?

- No. - Julie usiadła, spuściła nogi na podłogę i poprawiła włosy. - Mam dziś rozmowę w sprawie pracy, w klubie country. Facet, który rozmawiał ze mną przez telefon, powiedział, że z moim doświadczeniem bez kłopotu dostanę tę robotę.

- Będiesz kelnerką?

- Nie, barmanką. Powiedział, że dają tam wysokie napiwki. - Zaśmiała się i znowu poprawiła fryzurę.



- Przynajmniej ci młodszy, fajniejszy. Chyba się jeszcze nadaję, co?  
Andie nie była zachwycona.

- Barmanka? Och Julie, sama nie wiem.

- Wiem, co myślisz. Ale ja naprawdę skończyłam z facetami. Jestem już inną kobietą.

- Julie, kochanie, nie można tak łatwo zerwać z uza... Andie nie skończyła. Kilka lat wcześniej zdała sobie sprawę, że Julie jest uzależniona od seksu. Postawiła tę diagnozę podczas jednej z wizyt Julie w przerwie między jej kolejnymi małżeństwami. Mężczyźni i seks byli dla niej tym samym, czym dla innych pigułka lub alkohol. Używała ich, kiedy chciała o czymś zapomnieć, uciec od czegoś albo coś usprawiedliwić, przez co wplątywała się w rdznie paskudne układy. Nieraz budziła się w łóżkach facetów, których imion nawet nie znała. Korzystały z tego różne brudne typki, czemu zresztą trudno się dziwić, skoro trafiała im się taka gratka w postaci ślicznej i jak diabli napalonej kobiety.

Jak wielu ludzi uzależnionych, Julie nie przyznawała się do tego, że została przez swój problem ubezwłasnowolniona. Udawała, że nie dzieje się nic złego, bo kontroluje sytuację. Co było nieprawdą, bo nie panowała nad swoim życiem, myślami i ciałem.

Andie bardzo się tym martwiła, próbowała rozmawiać z przyjaciółką, ale Julie tylko wszystkiemu zaprzeczała i oskarżała Andie o zazdrość. Bo Andie nigdy nie wyszła za mąż. Bo mężczyźni nie uganiali się za nią tak jak za Julie. Bo Andie nie jest tak jak ona seksowna, otwarta i zabawna. Słowa przyjaciółki dotkliwie ugodziły Andie i na kilka miesięcy ich stosunki ochłodziły się. Andie stwierdziła, że nie można mieszać przyjaźni i terapii, a jeśli Julie kiedyś sama zwróci się do niej o pomoc, poleci jej

dobrego specjalistę, a nawet zapłaci za jej sesje. Do tego czasu postanowiła wspierać ją w inny sposób, dyskretnie starając się utrudniać jej niebezpieczne związki i pierwsza nie wychodzić z przykrym tematem.

- Cieszę się, Julie - powiedziała z wymuszonym uśmiechem. - Chcę, żebyś była szczęśliwa.

- Wiem, sądzisz, że mi się nie uda, ale mylisz się. Skończyłam z podrywami, z tym całym szlajaniem. - Nabrała głęboko powietrza, rozgorączkowana ponad miarę. - Zmieniłam swoje życie, teraz jestem z tobą i Raven. I nikogo więcej nie potrzebuję.

Nie doczekawszy komentarza, Julie dziarsko się roześmiała.

- Tylko trochę poczekaj, a udowodnię wam, że to nie są puste słowa.

Masz przed sobą zupełnie nową Julie Cooper.

## **ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY**

Jak zwykle w dni powszednie, o tej porze bar był pusty. Inaczej było podczas weekendów. W wolne od pracy dni kobiety przychodziły tu przed południem i w czasie lunchu, z kolei mężczyźni późnym popołudniem. Natomiast zakochane pary i pijaczyny zjawiały się wieczorem. Julie najbardziej lubiła ten moment, kiedy po ukończeniu partii golfa napływali do baru mężczyźni. Byli hałaśliwi, żartowali i zostawiali duże napiwki.

Zresztą nie tylko o to chodziło. Julie lubiła facetów, zresztą z wzajemnością. Zawsze tak było. Raven i Andie zupełnie tego nie rozumiały, nie wiedziały, ile to dla niej znaczy. Mężczyźni byli dla Julie źródłem życiodajnej energii, w ich towarzystwie rozpaliała się, jaśniała, czuła się kimś wyjątkowym. Tak więc późne popołudniowe godziny dawały jej ogromną szansę na nowe podboje. A raczej dawałyby, gdyby była nimi zainteresowana.

Ale już nie była.

Zmęczona własnymi myślami, Julie zaczęła gapić się w telewizor. Leciał jakiś talk show. Przełączyła kanał, znowu talk show. Trafiła jeszcze na kreskówkę i kiepską operę mydlaną. Przekleła pod nosem i wyłączyła telewizor.

Nic nie mogło oderwać jej myśli od seksu. A raczej od jego braku. Nie była z mężczyzną od pięciu tygodni. Pięć tygodni bez ożywiającej gorączki zapomnienia. Zaczynała wariować. Nie mogła jeść ani spać. Wyobrażała sobie, że robi to z każdym wchodzącym do baru facetem, nawet grubym czy łysym. Zaczynała tracić nad sobą kontrolę.

Ale jej nie straciła. Na szczęście kończyło się na wyobraźni. Należało tylko w dalszym ciągu konsekwentnie odmawiać i nie zapominać o obietnicy, jaką złożyła Raven i Andie.

Raven w nią wierzy, a ona zawsze ma rację, pomyślała. Jeżeli będzie jej bezwzględnie ufać, wszystko dobrze się ułoży.

- Otwarte?

Julie podniosła powieki. Wolnym krokiem wszedł do baru wysoki, ciemnowłosy mężczyzna w tenisowym stroju. Julie uśmiechnęła się. Poczwała dreszcz emocji.

- Jasne. Na co ma pan ochotę?

Mężczyzna - na oko miał czterdzieści parę lat - odpowiedział uśmiechem, ześlizgując się wzrokiem ku jej piersiom.

- To dość wieloznaczne pytanie - zauważył. Zaśmiała się i odrzuciła włosy, świadoma, że wkracza na niebezpieczny teren, ale nie potrafiła się zatrzymać.

- Czego pan sobie życzy do picia?

- Może być piwo - mruknął, patrząc znów na jej twarz.

Po chwili postawiła przed nim pieniący się napój.

- Proszę - powiedziała, patrząc mu prosto w oczy.

- Coś jeszcze?

- Może. - Uśmiechnął się obiecująco. Julie była oczarowana. - Pracuje tu pani od niedawna.

Już podniecona, przechyliła się przez bar.

- Od kilku dni, ale zdążyłam się zdomowić. Wszyscy są tu bardzo mili.

- Tak, potrafimy być sympatyczni, jak nam się pozwoli. - Spojrzał na plakietkę z jej imieniem. - Skąd jesteś, Julie?

- Ostatnio z Kalifornii. Ale pochodzę stąd, z naszego Thistledown.

- Wróciłaś do mamy?

- Nie. - Przesunęła się, z przyjemnością czując, jak bardzo obcisłe są jej dzinsy. - Nie wyszło mi w Kalifornii, a tu mam przyjaciółki.

W tym momencie do baru weszła grupa mężczyzn, pokrzykując na widok jej rozmówcy.

- David! - wydierał się jeden z nich. - Ty draniu! Powinienem domyślić się, że siedzisz tu w pełnym ekwipunku, zamiast walczyć z prawdziwymi facetami.

- O kim mówisz? - odkrzyknął ze śmiechem. Grupa krewkich gości zajęła stolik w kącie. Julie

znała już niektórych z nich, należeli do stałych bywalców i mocno popijali. Byli już po kilku kieliszkach.

- Julie - odezwał się jeden z nich - piwo dla wszystkich, dziecinko.

- Już podaję. - Spojrzała przepaszająco na Dawida. - Obowiązki wzywają.

Nachylił się ku niej z iskierkami rozbawienia w oczach.

- Dzikie bestie, co? Zwilżyła wargi.

- To nie zawsze jest złe. Zależy od czasu i miejsca.

Znów zatrzymał wzrok na jej piersiach, potem prześliznął się wzrokiem ku jej opiętym dzinsom. Julie ogarnęła niemal bolesna gorączka.

- Ale to może być niebezpieczne, Julie. Lubisz tak ryzykować?

- Co jest, dziecino? - wołano od stolika. - Umieramy z pragnienia. David, zabieraj stamtąd swój tyłek i chodź do nas, przeszkadzasz Julie w pracy. Przesłał jej krótki uśmiech i ruszył do stolika.

Patrzyła za nim, ale zaraz zajęła się zamówieniem, przeklinając się w duchu. Do diabła, po co zaczynała tę rozmowę? Przecież złożyła temu facetowi jednoznaczny propozycję.

Zaniosła tacę z piwem, delikatnie poflirtowała z gośćmi, cały czas skupiona na milczeniu Davida, jego badawczym spojrzeniu i tym nieokreślonym czymś, co między nimi zaiskrzyło.

Nagle gwar przy stoliku ucichł, jakby mężczyźni dostrzegli dziwny przepływ energii między barmanką i Davidem. Julie zaczerwieniła się, szybko wymamrotała, że musi przygotować się na przyjęcie wieczornego tłumy, i odeszła.

Kroczyła powoli, świadoma, że odprowadzają ją męskie spojrzenia. Spojrzenie Davida. Było jej potwornie wstyd. Obiecała Raven, że skończy z dawnym życiem, przyrzekła Andie, że najpierw siedem razy pomyśli, zanim znów zwiąże się z mężczyzną.

Pięć tygodni temu stała się inną, lepszą Julie Cooper. Nie wolno jej teraz poddać się, tym bardziej że najgorsze miała już za sobą.

Złapała szmatkę i wzięła się do polerowania lady baru. Żadnych facetów, powtórzyła sobie stanowczo. Żadnego seksu. Nigdy więcej.

Od stolika doleciał ją wybuch śmiechu. Wyłowiła uchem głos Davida, wyczuwała go już. Wnikał głęboko w jej ciało, podniecał, wiele obiecywał.

Oparła się o bar, a kiedy się poruszyła, szyjka butelki

ocierała się o jej krocze. Wyobraziła sobie, że to ręka Davida, jego palec, jego nos, że wchodzi w nią językiem.

I od razu przypomniała sobie o przyjaciółkach. Raven mówiła, że jej się uda, liczyła na nią, dała jej szansę. Musi tylko we właściwym momencie odmówić, nie może się teraz załamać.

A jednak wciąż zerknęła na Dawida. Było w nim coś niezwykłego, choć nie potrafiła tego zdefiniować. Takie miała przeczucie, tak podpowiadał jej instynkt. Mieli coś wspólnego, jakby byli sobie przeznaczeni. Czuła, że ten mężczyzna odmieni jej życie. Tak, już to przerabiała, tak samo wydawało jej się przy pierwszym mężu, przy drugim i trzecim. Każde, choćby zupełnie ulotne i przypadkowe spotkanie z mężczyzną rodziło w niej podobne nadzieje.

Odwróciła się plecami do sali, udając, że dokręca butelki. Przypomniała sobie swoje nieudane małżeństwa i obrzuciła się w myśli wyzwiskami, jakie wielokrotnie słyszała od innych, poczynając od własnego ojca. Te słowa trafiały w czuły punkt. Mówiły prawdę. Dlatego ich nienawidziła. A skoro to prawda, czy warto z nią walczyć? Z prawdą i tak się nie wygra. Zerknęła w kierunku stołu w kącie. David wyczuł na sobie jej wzrok. Chciała odwrócić się, lecz zamiast tego przesłała mu ten swój uśmiech, przyzwalający, nie zostawiający żadnych wątpliwości.

- Muszę iść do piwnicy - oznajmiła głośno. Jej głos brzmiał fałszywie nawet w jej uszach. - Czy ktoś ma jakieś życzenia? Zaraz wracam.

Nie padły dodatkowe zamówienia. Julie wyszła, licząc nerwowo kroki. Nogi miała jak z waty, a chwilami z ołowiu. Dotarła do piwnicy i weszła do środka, zostawiając uchylone drzwi.

David przyszedł w ślad za nią, jak się spodziewała. Przeczucie losu, przeznaczenia, od którego nie da się uciec, uderzyło ją jak piorun. Mężczyzna starannie zamknął drzwi.

- To co, mała Julie - odezwał się cicho. - Zdradź mi, lubisz to robić na ostro?

Podeszła do niego. Kropelki potu, które zebrały się nad jej górną wargą, spłynęły między jej piersiami. Sięgnęła do paska u jego spodenek, odpięła guzik, potem zamek błyskawiczny. Uklękła i popatrzyła mu w oczy.

- A jak myślisz?

W chwilę potem, trzymając penisa w ustach, przeżyła najprawdziwszy orgazm. I w tej właśnie chwili przypomniała sobie, jak to jest emanować życiem, energią, radością.

Przypomniała sobie również, jak to jest nie żyć. Bo Julie Cooper już nie żyła, była stracona dla życia.



## **ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY**

Andie siedziała naprzeciw mężczyzny, który tłumaczył Jej powód swojej wizyty. Od czasu do czasu coś notowała, jak to miała w zwyczaju.

Nazywał się David Sadler, dotarł do niej dzięki notatkom prasowym poświęconym sprawie Pierpontów. Andie nie sądziła, by pacjentka oskarżona o zabicie męża mogła dodatkowo wpłynąć na opinię o jej psychoterapeutycznych umiejętnościach, lecz David Sadler najwyraźniej był odmiennego zdania.

Zwrócił się do niej o pomoc w poskromieniu nadmiernego apetytu seksualnego.

- Nie mogę przejść obojętnie obok kobiety - mówił. - Wystarczy, że spojrzę jej w oczy, usłyszę jej śmiech, zerknę na jej biust i od razu mam to w głowie. Oczywiście samo myślenie o seksie mi nie wystarcza, wszystko musi spełnić się do koiica. Nieważne, czy kocham tę kobietę albo czy akurat jestem żonaty z inną. Nic się liczy.

Wbił wzrok w podłogę, potem znowu popatrzył na Andie.

- To... to rozwala wszystkie moje prawdziwe związki z kobietami, a także niszczy stosunki z rodziną.

- Dlaczego przyszedł pan do mnie, Davidzie?

- Już mówiłem, czytałem w gazecie...

- Nie o to pytam. - Uśmiechnęła się uprzejmie.

- Dlaczego zdecydował się pan szukać pomocy?

Zapatrzył się w dal.

- Niedawno zmarł mój ojciec. Pokłóciliśmy się o mój stosunek do kobiet.

- Wziął głęboki oddech.

- Ponad dziesięć lat temu wyjechałem z Thistledown, żeby poprowadzić w St. Louis oddział naszej firmy. Przez ten czas utrzymywałem z ojcem tylko sporadyczny i dotyczący jedynie spraw zawodowych kontakt. A teraz już go nie ma.

- Współczuję.

- Dziękuję. - Uśmiech wdzięczności przemknął przez jego twarz. - Pewnie oblała się pani o uszy nazwa naszej firmy, Sadler Construction.

- Oczywiście. - Andie przechyliła głowę. Od lat sześćdziesiątych to przedsiębiorstwo trzymało w rękach wszystkie budowy w mieście. - Pański ojciec cieszył się sympatią i szacunkiem. Ofiarował wiele czasu i pieniędzy na różne dobroczynne cele. Był w Thistledown ważną postacią.

- Tak, to cały on. - David splótł palce. - Teraz, kiedy go nie ma... widzę coś, czego wcześniej nie dostrzegałem. Żałuję tych lat, kiedy oddaliliśmy się od siebie. Żałuję... wszystkiego. - Mężczyzna miał w oczach smutek. - Może mi pani pomóc?

- Spróbuję. Zrobił pan już pierwszy, najtrudniejszy krok. Przyznał się pan, że ma pan problem. To bardzo dużo, Davidzie, to bardzo ważne. Chcę, żeby pan o tym pamiętał przez następne tygodnie i miesiące.

- A więc zgadza się pani?

- Tak, oczywiście.

Poczuł ulgę. Andie od pierwszej chwili uznała go za atrakcyjnego mężczyznę, zwróciła uwagę na jego

posturę i ciemne, falujące włosy z pierwszymi śladami siwizny na skroniach. Ale jego uśmiech niegrzecznego chłopca kompletnie ją zawojował.

Nie ulegało wątpliwości, że ma powodzenie u kobiet, co nie pomaga mu wyrwać się z choroby.

Wstała i wyciągnęła rękę.

- Missy zapisze pana. Miło mi było pana poznać. Uścisnął jej dłoń.

- Jeszcze jedno, pani doktor. Muszę mieć pewność, że wszystko, co powiem, zostanie między nami. Rozumie pani, jestem osobą publiczną i nie mogę ryzykować... że moje problemy wyjdą na zewnątrz.

- Proszę się nie niepokoić. Obowiązuje mnie tajemnica lekarska. Nikomu nie udostępniam nawet listy moich pacjentów. - Odprowadziła go do drzwi. - Missy - odezwała się do recepcjonistki - proszę znaleźć dla pana miejsce jeszcze w tym tygodniu.

Młoda kobieta kiwnęła głową i sięgnęła po notes, a dekolt jej bluzki odkrył niechcący piersi podtrzymywane przez koronkowy biustonosz.

Andie zerknęła na Davida. Tak, nie umknęło to jego uwagi.

Zrobiło jej się gorąco. Postanowiła porozmawiać z Missy. Zresztą, biorąc pod uwagę przypadłość nowego pacjenta, sama będzie musiała uważać na swój ubiór.

- Dzwoniła Raven - poinformowała Missy. - Mówiła, że ma coś ważnego.

- Dziękuję, oddzwonię do niej później. - Andie uśmiechnęła się do Davida. - A zatem do zobaczenia.

Kiedy wróciła do gabinetu, niezwłocznie sięgnęła po słuchawkę i wykręciła numer przyjaciółki.

- Cześć, co się dzieje?

- Czytałaś już dzisiejszą pocztę?

- Nie, miałam pacjenta.

- Zrób to teraz, zaczekam.

Z tonu Raven wywnioskowała, że sprawa jest poważna. Odłożyła na bok słuchawkę, poprosiła Missy o przyniesienie poczty i powiedziała do słuchawki:

- Czego mam szukać?
- Samo wpadnie ci w oko. Andie uniosła brwi.
- Tajemnica? No dobra.

W tym momencie do gabinetu weszła Missy, niosąc stertę listów i druków.

- Już mam - powiedziała Andie, przeglądając listy.
- Pośrednictwo inwestycyjne. Poczta od mamy.
- Odwróciła ją i przebiegła wzrokiem. - Dobrze się bawi, była w Disneylandzie, nowe dziecko Pete'a jest cudowne. Oferta klubu video. Kolejna oferta maklerska. Czy oni nigdy nie śpią?

Zatrzymała ją zwykła biała koperta z napisem: „Prywatne”. Była pewna, że to jakieś świństwa. Otworzyła. W środku znajdował się pozółkły ze starości wycinek z gazety. Przełknęła z trudem ślinę. Dobrze wiedziała, o czym był ten artykuł, noszący tytuł: „Trzy nastolatki wmieszane w seks i morderstwo”.

- Znalazłaś? - spytała Raven. - Też dostałaś wycinek sprzed piętnastu lat?
- Tak.

Patrzyła na zdjęcia. Ona, jej przyjaciółki i żywa jeszcze Lea Robertson.

- Jak myślisz, kto to wysłał?

Andie przyjrzała się kopercie. Nie było adresu zwrotnego, list został nadany w Thistledown.

- Nie wiem.
- Przestraszyłam się. - Raven westchnęła. - Nie podoba mi się to.
- Czy Julie...
- Ona też. Mocno to nią potrząsnęło. Znasz ją.

Tak, znała Julie, a taki list był ostatnią rzeczą, której teraz potrzebowała. Dotyczyło to zresztą całej trójki.

- Myślę, że wywołała to sprawa Pierpontów, Rave. Moje nazwisko po raz drugi jest kojarzone z sensacyjnym morderstwem. Podobnie nazwisko inspektora Raphaela. To miasto ma dobrą pamięć.

- Pewnie masz rację.

Mimo wszystko to dziwne, przyznała Andie. I niepokojące. Dlaczego ktoś miałby atakować je wszystkie tylko z powodu sprawy Pierponta? Gdyby chodziło tylko o nią, sprawa dałaby się zrozumieć, ale Raven i Julie?

Nagle coś wpadło jej do głowy.

- Rave, dostałaś oryginał czy ksero?

- Oryginał.

- Wycinek zatytułowany: „Trzy nastolatki wmieszane w seks i morderstwo”?

- Tak, podobnie Julie.

Ktoś przez piętnaście lat przechowywał trzy oryginalne wycinki, by wykorzystać je właśnie teraz.

Raven, jakby czytając w myślach przyjaciółki, po chwili milczenia powiedziała:

- Andie, ty jesteś psychiatrą. Sądysz, że mamy tu jakiegoś szaleńca?

## **ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY**

Raven ubierała się tego ranka wyjątkowo starannie, bowiem czekała ją najważniejsza w jej karierze zawodowej rozmowa. David Sadler z Sadler Construction ni stąd, ni zowąd prosił ją o spotkanie. Jego spółka kupiła grunt na ekskluzywnym chronionym terenie, znajdującym się dwadzieścia minut od Thistledown. Mieszkania były przeznaczone dla zamożnych biznesmenów z St. Louis, którzy pragnęli wynieść się z rodzinami z wielkiej aglomeracji, a jednocześnie na tyle niedaleko, by bez problemu mogli dojeżdżać do pracy. Sadler Construction poszukiwała firmy zajmującej się wystrojem wnętrz, która przygotowałaby projekt urządzenia takiego domu. David zwrócił się wcześniej do pewnej znanej firmy z St. Louis, ale nie dogadał się z jej właścicielem. Wtedy ktoś zarekomendował mu Rave Reviews. Sprawa była pilna.

Raven była ogromnie przejęta propozycją. Dzięki temu zamówieniu miała szansę przekształcić jednoosobową firmę w projektancki zespół, oczywiście z nią jako szefem. Praca dla Sadler Construction otworzyłaby jej drogę do innych dużych projektów. Koniec z rozdrabnianiem się. Koniec z bogatymi paniusiami, wyklócającymi się o honorarium, koniec z beznadziejnymi

przestrzeniami, w których niewiele da się zrobić, koniec z dopieszczaniem bezguścia.

Raven rzuciła ostatnie spojrzenie w lustro, zerkając na swoje nogi, które w krótkiej spódnicy i jasnych połyskujących pończochach wydawały się dłuższe. Zadowolona, poprawiła włosy i skierowała się do drzwi. David Sadler był w końcu mężczyzną i, jak słyszała, kobieciarzem. Bardzo jej zależało na tej pracy, jeśli więc seksowny wygląd może jej pomóc, nie ma nic przeciw temu.

Oczywiście nie polegała wyłącznie na damskich wdziękach, lecz również ich nie lekceważyła, uważając, że są jak deser po głównym daniu, czyli miłym dopełnieniem całości.

Wsiadła do samochodu. Była dobrze przygotowana. Firma Sadler Construction istniała sześćdziesiąt lat i miała dobrą reputację. Zbudowała niemal wszystkie handlowe budynki i osiedla domków jednorodzinnych w Thistledown, w tym Happy Hollow, dzielnicę, w której sama się wychowała. Posiadała świetnie radzące sobie oddziały w St. Louis i Memphis. Do śmierci Jacksona Sadlera, która nastąpiła trzy miesiące temu, oddziałem w St. Louis kierował jego jedyny syn, David.

Raven trochę rozpytywała o rodzinę Sadlerów i nasłuchiwała się różnych plotek. David zdobył sławę podrywacza i często wpadał w tarapaty z powodu kobiet. Dowiedziała się także, że ojciec i syn nie byli w najlepszych stosunkach, a St. Louis tak naprawdę było karnym zesłaniem dla syna.

Raven skrzyła w Second Street, przypominając sobie telefoniczną rozmowę z Davidem. Oznajmił, że wrócił do domu i ma zamiar wprowadzić swoją firmę w następny wiek. Potrzebuje projektanta wnętrz, powiedział, który wykona ten skok razem z nim, i ma

przeczenie, że Rave Reviews doskonale się do tego nadaje.

Raven uśmiechnęła się. Zamierzała tego ranka stanowczo potwierdzić te przecucia.

Wjechała na parking przy budynku swojej firmy, odrestaurowanej wiktoriańskiej willi. Jej asystentka, Laura, była już na miejscu. Raven kazała jej zamówić na spotkanie z Sadlerem tacę europejskich przekąsek, zaparzyć kawę, którą przywiozła z Hawajów, i zmienić kwiaty. Laura nigdy jej nie zawiodła.

Wysiadła z samochodu i ruszyła do budynku.

- Laura! - zawołała. - Już jestem.

Asystentka przybiegła z zaczerwienionymi policzkami i przerażonym wzrokiem. Otworzyła niemo usta. W jaskrawym różowo-pomarańczowym stroju wyglądała jak pstrokaty ptak, szukający w popłochu kryjówki.

Raven roześmiała się.

- Laura, co się z tobą dzieje?

- Obawiam się, że to ja jestem powodem zamieszania. Rave Johnson, jak sądzę?

Raven natychmiast uświadomiła sobie, co się stało jej asystentce. David Sadler przyjechał sporo przed umówioną godziną. Powoli odwróciła się ku niemu, starając się poskromić rozdrażnienie. Spotkali się wzrokiem i nogi się pod nią ugięły.

Przed nią, z uprzejmym uśmiechem i wyciągniętą na powitanie ręką, stał pan X.



## **ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI**

Kilka godzin później Raven siedziała w swojej sypialni. Nie zapalała światła. Wtuliła się w kąt, z plecami opartymi o ścianę, a jej jedwabna spódnica za trzysta dolarów gniotła się, podwinięta wokół ud. Raven znowu to wszystko zobaczyła.

Znów miała piętnaście lat i była w opuszczonym domu. Zamknięta w szafie, wyglądała przez szparę szerokości około dwóch centymetrów. Czekala z walącym sercem, pełna strachu i ogromnie podniecona. Przysunęła się bliżej do wąskiej szczeliny, żeby zobaczyć mężczyznę, którego z przyjaciółkami nazwały panem X Dygotała, modliła się, czekanie nie miało końca.

Wreszcie usłyszała jego głos. Głos Davida. Niski, aksamitny i silny. Jej serce skoczyło, przycisnęła się do drzwi szafy.

Mężczyzna wszedł do pokoju. Była z nim kobieta, pani X. Oznajmił spokojnym, nie znoszącym sprzeciwu tonem, czego od niej oczekuje. Sznur, zawiązany na końcu w pętlę, już na nią czekał, a pod nim stał wysoki taboret, ostatni przystanek w życiu kobiety.

Pani X była naga, miała zawiązane oczy i skrępowane ręce. Raven widziała, że kobieta drży i rozpaczliwie błaga o litość.

David powtórzył swoje życzenie, tym razem ostrym, poirytowanym tonem. Pani X weszła na stołek, szlochając i prosząc, żeby darował jej życie. Mimo łez i błagalnych słów, zachowywała się jak bezradna owieczka i bez oporu wykonywała polecenia mężczyzny.

Ze słowami miłości na ustach David założył pętlę na szyję pani X i zacisnął ją mocno. Tak mocno, że najmniejszy ruch mógł udusić kobietę. Potem pieścił ją rękami i ustami, a ona jęczała w uniesieniu i bólu, miotana to panicznym lękiem, to kolejnymi orgazmami. Wreszcie całkiem osłabła, ledwie trzymała się na nogach.

Raven zakryła oczy, pragnąc pozbyć się z pamięci tej sceny. Znała jej zakończenie: ostatni, chrapliwy oddech wijącego się ciała.

Nie chciała tam wracać.

Ale nie miała wyboru, bo przeszłość ją odnalazła.

Raven opuściła ręce. W prawej dłoni trzymała złote kółko, symbol wiecznej miłości. Obrączka ślubna. Obrączka pani X.

Przed laty, kiedy ostatni raz była w tamtym domu, obrączka leżała na toalecie. Błysnęła w świetle, jakby przyzywając do siebie Raven.

Dziewczyna mimowied-nie chwyciła ją i wsadziła do kieszeni spodenek.

W nagrodę, powiedziała sobie. Na pamiątkę.

Teraz ta obrączka mogła stać się czymś więcej. Mogła wpływać na ludzkie losy, niczym przedmiot obdarzony magiczną mocą.

David Sadler to pan X, mężczyzna, którego policja poszukuje od piętnastu lat. Mężczyzna, który przez cały ten czas nie dawał Raven spokoju we dnie i w nocy. Każdego dnia wypatrywała go, spodziewała się, że ujrzy pana X na zatłoczonej ulicy albo w pełnej gości restauracji.

Tymczasem to on ją odnalazł. Raven oparła głowę o ścianę. Pan X, jedyny mężczyzna, z którym czuła się prawdziwie związana. Od niego nauczyła się, co to znaczy mieć nad kimś prawdziwą władzę, decydować o czyimś życiu, nigdy nie tracić kontroli. .

Pan X nieświadomie odmienił jej życie, po załamaniu, jakiemu uległa, od nowa ją poskładał.

Tego ranka uśmiechał się do niej tym samym uśmiechem, który zapamiętała sprzed lat. Wiedziała, dlaczego to robi. Nie przybył tu z powodu jej firmy ani z niczyjego polecenia, choć ona z zapalem rzuciła się na ofiarowaną przez niego pracę.

Jedynym powodem jego wizyty była przeszłość. Może chciał sobie w ten sposób przypomnieć swój związek z Leą Robertson?

Raven uśmiechnęła się. Znała tego mężczyznę, wiedziała, co go podnieca, znała jego sposób myślenia. Ten zboczony drań znów szuka perwersyjnych przeżyć, pomyślała. Praca z Raven, świadomość, że zaglądając przez okno widziała go z tamtą kobietą, wszystko to najpewniej ogromnie go podnieca, jest źródłem chorych emocji.

Pan X kocha władzę, lubi rozdawać karty. Nawet do jej biura przyjechał wcześniej, żeby ją zaskoczyć.

Lecz teraz to ona trzyma atutowe karty. Jego życie znalazło się w jej rękach. Ależ by się zdziwił, gdyby ktoś mu o tym powiedział.

Podobnie jak większość mieszkańców Thistledown, David chociażby z prasy wiedział, że Raven jest jedną z trzech dziewcząt zamieszanych w śmierć pani X, ale nie miał pojęcia, że widziała jego twarz. Ze obserwowała go nie z zewnątrz, lecz była w środku domu.

Nie mogła powstrzymać dzikiego, szalonego śmiechu. Los po raz drugi postawił ją w podobnej sytuacji. Jej

ojciec także czuł się bezpiecznie, myśląc, że nikt nie widział go w chwili, gdy zabijał żonę.

Tymczasem Raven tylko czekała, by wreszcie w odpowiednim momencie wyjawić przerażający sekret.

Zresztą czuła się z tym fantastycznie. Dzięki Davidowi Sadlerowi, czyli panu X, ponownie przeżyje podobne chwile. To ona wybierze moment zdrady. Wystarczy słowo szepnięte właściwej osobie, podrzucona notatka, anonimowy telefon. Albo obrączka pani X, nagle znaleziona w najgorszym dla pana X czasie i miejscu.

Tak, Raven przejęła pałeczkę od swojego mistrza. David Sadler musi uważać, albo będzie tak bardzo martwy, jak pani X.

## **ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI**

David Sadler przychodził do gabinetu doktor Bennett od kilku tygodni. Andie stwierdziła, że jest zakompleksiony, ma nienasycony apetyt seksualny i wyraża się o kobietach jak o smakowitych kąskach, które najpierw należy skonsumować, a potem o nich zapomnieć. Zdarzało mu się uprawiać seks z różnymi partnerkami trzy albo cztery razy dziennie. Twierdził, że był to najgorszy okres w jego życiu.

W czasie ostatniej sesji wspominał o innym aspekcie swoich relacji z kobietami. Mianowicie czuł ogromną potrzebę kontrolowania ich zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Przyznał się do doświadczeń seksualnych, które wiązały się z psychiczną i fizyczną dominacją, poddaniem i krępowaniem.

Andie z niepokojem podejrzewała, że David prowadzi jakąś grę. Że ich spotkania, a przede wszystkim jej reakcje na jego opowieści, sprawiają mu erotyczną przyjemność.

Chwilami wychwytywała jego skupiony na niej wzrok, gdy odbierała telefon lub rozmawiała z recepcjonistką. Czuła się wtedy, jakby była naga.

Podczas sesji David chodził po pokoju, emanując energią i napięciem, albo siedział nieruchomo tak

skoncentrowany, że Andie zastanawiała się, czy to ten sam człowiek, którego widziała przed chwilą.

Miał też niepokojący zwyczaj patrzenia jej w oczy, uważnie i przez długi czas. Kiedy wbijał w nią wzrok, Andie musiała walczyć ze sobą, by się nie odwrócić. Jego władcze, agresywne i męskie spojrzenie było dla niej wyzwaniem, sprawiało, że czuła się zupełnie bezbronna.

Żaden pacjent nie wywoływał u niej dotąd podobnych odczuć. Już to samo było niepokojące. Wymyśliła sobie, że analizując swoje reakcje, łatwiej zrozumie tego mężczyznę, dzięki czemu będzie mogła mu pomóc. Był seksualnym drapieżnikiem. Jego zachowanie podczas terapii, ożywione ruchy i długie, intymne spojrzenia, uznała za sposób odreagowywania nagromadzonych emocji.

Tym razem krążył po pokoju.

Przy każdym kroku zginał palce i co chwilę się zatrzymywał, by przekrzywić głowę albo wzruszyć ramionami.

- Coś się stało, Davidzie? - spytała cicho. - Jest pan dziś bardzo zdenerwowany.

Przystanął i odwrócił się do niej.

- Raczej przejęty, bowiem zdarzyło się coś wspaniałego.

- Proszę mi o tym opowiedzieć.

- Spotkałem kogoś. Kogoś specjalnego.

- Kobietę?

- Tak. - Znowu zaczął krążyć. - Zupełnie wyjątkową. Andie zrobiła notatkę i odłożyła pióro.

- Proszę mówić.

- Kiedy widzę kobietę, od razu to czuję. - Spojrzał na nią, przystając. - Wie pani, o czym mówię?

- Nie, Davidzie - odparła Andie. - Nie wiem. Proszę mi powiedzieć.

Na moment zatrzymał wzrok na jej piersiach, potem uniósł jeden z kącików ust.

- Na pewno pani to zniesie?

- Proszę się tym nie martwić. Gdybym była taka delikatna, nie mogłabym pana leczyć. Oboje o tym wiemy. Proszę dalej.

- Dobrze. - Nie spuszczał z niej wzroku. - A więc myślę o pieprzeniu. Andie zapisała w notesie kolejną uwagę i podniosła oczy.

- Czy dotyczy to bez wyjątku wszystkich kobiet, jakie pan spotyka?

- Prawie. - Uśmiechnął się i zlustrował jej figurę, a ona zrozumiała, że jest dla niego tylko kolejną ewentualną zdobyczą. - Ale niektóre kobiety są wyjątkowe.

Andie uniosła brwi.

- W jakim sensie? Proszę mi to wyjaśnić. Podszedł do kanapy i usiadł, długą chwilą patrząc na nią w milczeniu. Zastanowiła się, czy fakt, że każe jej czekać, też go podnieca, jednak nie spytała o to.

- Niektóre kobiety... Nie tyle wiem, co wyczuwam, że mają w sobie to coś... co mnie tak podnieca.

- Potrafi pan to zdefiniować? Są wyzywające? Wyróżniają się urodą? A może inteligencją?

- Nie, nie o to chodzi. Po prostu są na mnie otwarte.

- Otwarte? Ale nie seksualnie? Potrząsnął głową.

- Mają w sobie coś z dziecka... nie są samowystarczalne. Są... bezbronne. Jego półuśmiech i ton głosu przyprawiły Andie o dreszcze.

- To się panu podoba?

- Tak.

Wstał, podszedł do biblioteczki i przejechał palcem po grzbietach książek. Tym gestem przebrał miarkę.

- Dlaczego? Co się panu w tym podoba? Nie zmienił pozycji.

- Wiem, że mogę je posiadać...

Andie ucieszyła się, że nie widział jej twarzy. Zapisala jego odpowiedź i podkreśliła ją grubą kreską.

- Nie jestem pewna, co pan rozumie pod słowem „posiadać”.

- Doskonale pani wie. - Odwrócił się. - Niektóre kobiety są egoistkami.

Nie potrafią dawać. Nie podziela się niczym, tylko swoją cipką.

- A to mało?

- Jak pani myśli?

- Nieważne, co ja myślę. Rozmawiamy o panu.

- Myślę, że to nie wszystko.

- A więc, kiedy kocha się pan z taką kobietą...

- Pieprzę - poprawił ją. - Z taką kobietą nie można się kochać.

- Taką, która nie ma tego czegoś?

- Tak.

- Czy w ogóle potrafi pan się kochać? Z jakąkolwiek kobietą?

- W odróżnieniu od pieprzenia?

- Tak.

- Czasami. Z taką specjalną, wyjątkową.

- Bezbronną - szepnęła wyschniętymi wargami, czując, jak szybko bije jej serce. - Z taką, którą może pan posiadać.

- Tak. - Usiadł. - Zaczyna mnie pani rozumieć. To dobrze.

Wcale nie czuła się z tym dobrze.

- Dalej jednak nie rozumiem, co to znaczy, że się kogoś posiada?



- Taka kobieta daje wszystko, co ma, ciało i duszę. Swoje życie.  
Ciarki przebiegły jej po plecach. David uśmiechnął się złowieszczo.

- Zdenerwowałem panią.

- Ależ skąd - skłamała, patrząc na zegarek. - Zaraz kończymy.

- A co mogłoby panią zdenerwować, pani doktor? - Splótł ręce. - W jaki sposób można pozbawić panią tego niezachwianego spokoju?

Uniosła brwi.

- A chce pan tego?

- Lęk jest afrodyzjakiem, tak samo jak bezbronność. Powinna pani spróbować.

Zignorowała go.

- A władza? - spytała. - Też jest afrodyzjakiem.

- Tak.

- Jej wolałabym spróbować.

- To nie działa w ten sposób.

- Nie? A w jaki?

Nie odpowiedział, podniósł się i minął ją od tyłu, zbliżając się do okna.

Zmusił w ten sposób Andie, by przyjęła niewygodną pozycję i zmrużyła oczy w ostrym świetle.

- Mówiłem pani, że lubię związywać kobietę, lubię, kiedy jest bezbronna, gdy się z nią kocham. Uważa pani, że to chore? Perwersyjne?

- Nie przyklejam etykietek moim pacjentom. Chyba że w sensie klinicznym.

- W sensie klinicznym - powtórzył. - Oczywiście. Na przykład: dysfunkcjonalny.

- Na przykład. - Nerwowo notowała. - Porozmawiajmy o pańskiej rodzinie, Davidzie. Jaka była pańska matka?

Spojrzał na nią i zaśmiał się, po czym ogarnął wzrokiem widok za oknem.

- Nie mogła pani wymyślić nic oryginalniejszego? To takie oczywiste.

- To nie jest gra. Nie staram się pana zaskoczyć ani przechytryć. -

Przekrzywiła głowę, bacznie mu się przyglądając. - Dlaczego nie chce pan rozmawiać o swojej matce?

- Tego nie powiedziałem, choć faktycznie nie mam na to ochoty. Nie chcę też mówić o ojcu.

- Dlaczego?

- Chcę rozmawiać wyłącznie o seksie. To o wiele ciekawszy temat.

- I nie widzi pan między nimi związku? - spytała. - Żadnego?

- Nie spałem z matką, jeśli o to pani pyta. I nie miałem na to ochoty, niezależnie od tego, co plecie jakiś Freud, Jung czy inny blagier. Nie mam kompleksu Edypa.

- Zwrócił się pan do mnie, bo ma pan problemy z popędem seksualnym, czyli, jak rozumiem, uznaje pan swoje zachowanie za odbiegające od normy. Próbuję jedynie pomóc panu poznać źródła tego problemu. A rodzina i dzieciństwo są niezwykle istotnym punktem odniesienia.

- Nie dla mnie.

Zauważyła, że trafiła w czuły punkt. Czekwała, ciekawa jego następnego kroku.

- Kobiety, które przy mnie przeżywają orgazm, muszą wiedzieć, że to moja zasługa. Że to prezent ode mnie, którego mogą więcej nie otrzymać. Powinny być mi wdzięczne. - Uniósł kąciki ust. - I są.

- I to daje panu... - Mówiła z trudem, jakby coś jej przeszkadzało. - To sprawia panu przyjemność?

- Oczywiście. To wspaniałe wiedzieć, że można dawać i odbierać. Że mogę sprawić im rozkosz albo ból.

- Ból?

- Gdy muszą czekać. Gdy im odmawiam. - Zmienił temat. - Nie chce pani wiedzieć, kim jest ta nowa, wyjątkowa kobieta?

- To nie moja sprawa.

- Jest pani pewna?

- Tak.

- Absolutnie? - drażnił się z nią. - Daję pani ostatnią szansę. Na pewno zgodzi się pani ze mną, że to zupełnie specjalna kobieta.

Nagle Andie ujrzała obraz z przeszłości: naga pani X, z zawiązanymi oczami czekająca na ciemnowłosego mężczyznę, któremu zawierzyła, któremu ofiarowała wszystko, co posiadała.

Wszystko.

Andie poderwała się, zrzucając na podłogę notes i pióro.

- Na dzisiaj kończymy.

Ręce jej drżały, więc wcisnęła je do kieszeni i spojrzała na Davida z nieszczerym, służbowym uśmiechem.

Mężczyzna pochylił się i podniósł jej zgubę, a kiedy się prostował, miała wrażenie, że czuje jego oddech na nogach. Cofnęła się o krok.

- Źle się pani czuje?

- Nie, w porządku. - Przycisnęła podany jej przez Davida notes do piersi, pragnąc, żeby ten człowiek jak najprędzej opuścił gabinet. - Widzimy się w następny piątek.

- Kto wie - mruknął dwuznacznie. - Może wcześniej?

## **ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY**

Obrońcą Marthy Pierpont miał być miejscowy adwokat, Robert Fulton. Urodzony i wychowany w Thistledown, znany był na całym Środkowym Zachodzie jako specjalista od trudnych spraw dotyczących morderstw. Mimo że chodzili z Andie do tej samej szkoły, pamiętała go jak przez mgłę, bo był od niej kilka lat starszy.

Martha upierała się, że nie ma nic do ukrycia, i poprosiła Andie o współpracę z Fultonem. Nie zważając na złe przeczucia, Andie zgodziła się z nim porozmawiać. Spotkali się w jej gabinecie.

- Napije się pan wina? - zaproponowała. Zauważyła, że poczuł się trochę dziwnie, gdy posadziła go na kozetce przeznaczonej dla pacjentów. - Niektórzy moi klienci wolą krzesło.

Odpowiedział uśmiechem.

- A moi robią, co mogą, żeby go uniknąć. To znaczy krzesła.

Zaśmiała się. Był sympatyczny i miał dobre maniery. Zaakceptowała go w całości, również jego swobodny, lecz przy tym elegancki strój oraz okrągłe szkła w drucianych oprawkach. Na pewno był inteligentny i kompetentny, a przy tym delikatny i trochę nieśmiały, na pewno nie zadufany w sobie. Przypomniała sobie, jak

Raven kiedyś ze śmiechem powiedziała, że Andie gustuje w facetach, ktdrzy tak bardzo są jej wdzięczni za randkę, iż nigdy nie złamią jej serca. Odsunęła tę nieprofesjonalną myśl, zirytowana, że przyjaciółka tak ją przejrzała.

- Ma pan poczucie humoru.

- Dziękuję. Psychoterapeuci zawsze mi to powtarzają.

Zaśmiała się ponownie i podeszła do barku.

- To było naprawdę zabawne. - Nalała cabernet do dwóch kieliszków, jeden podała Fultonowi i usiadła. - A więc proszę mi powiedzieć, jak to wygląda?

Mężczyzna pociągnął łyk wina, pochwalił je i odstawił kieliszek.

- Wie pani, że staramy się o uniewinnienie? Andie przytaknęła.

- Mam zamiar udowodnić, że moja klientka działała w obronie własnej. Kamieniem węgielnym naszej linii obrony będzie fakt, że do wydarzeń tamtego wieczoru doprowadziło notorycznie agresywne zachowanie Edwarda Pierponta. Musimy udowodnić, że jego żona żyła w ciągłym strachu, a zatem pani zeznanie jest niezbędne, co więcej, ma zasadnicze znaczenie. Wie pani, jak wyglądało życie Marthy, pełne wybuchów wściekłości i brutalnych, agresywnych ataków męża. Tylko pani i Patti to wiecie.

- Jeżeli tego oczekuje ode mnie Martha, a pan uważa, że to jej pomoże, zrobię wszystko, co konieczne.

- Ale nie jest pani do tego przekonana?

- Nie chodzi mi o to, że będę musiała zeznawać. Cała ta sprawa nie daje mi spokoju. - Andie postawiła kieliszek na stoliku. - Powiem panu o Marcie. To kobieta bardzo delikatna i bardzo bojaźliwa. Podręcznikowy przykład ofiary w małżeńskim związku. Posiada

wszystkie charakterystyczne cechy takiej osobowości. Uparcie zaprzecza faktom, unika prawdy o tym, co dzieje się w jej małżeństwie. Ma niskie poczucie własnej wartości i silne poczucie winy, jakby to ona ponosiła odpowiedzialność za agresję męża. Oczywiście w głębi ducha myśli i czuje zupełnie inaczej, ale ją to przeraża, więc prawdziwe emocje tłumi w sobie i stara się je kontrolować. Kiedy jednak jakimś cudem wymykają się jej i dają o sobie znać, natychmiast za to przeprosza.

- Ten opis nie bardzo pasuje do kobiety, która zabija męża z zimną krwią pięcioma strzałami.

- No właśnie.

- Może coś w niej pękło? - podpowiedział. - Nie wytrzymała jednego ciosu albo jednego obraźliwego słowa więcej?

- To prawda, Martha wreszcie pękła. Tylko zastanawiam się, co było tego przyczyną? - Andie zmarszczyła czoło. - To, co powiedziała mi o tamtym wieczorze, nie różniło się od setek poprzednich opowieści. - Spotkała się wzrokiem z Fultonem. - Na ogół agresywni ludzie, choć bardzo ranią swoich najbliższych, jednak nie zabijają. Wprawdzie gazety, poszukując sensacji, nagłaśniają pojedyncze przypadki zabójstw, fakty jednak są inne. Według ostatnich statystyk w samych Stanach jest około sześciu milionów osób, które znęcają się nad swoimi małżonkami czy partnerami, ale nie zabijają ich. Oczywiście pragną nad nimi dominować, ukarać za coś. Ale nie zabijają.

- Znam statystyki - mruknął adwokat. - Prokurator też je zna. Ale to się nie liczy, bo my mamy udowodnić, że w tamtej chwili Martha naprawdę bała się śmierci z ręki męża. Że była absolutnie przekonana o jego zbrodniczych zamiarach.

- Zastanawiam się, czy ona czegoś przed nami nie ukrywa.

Fulton słuchał jej uważnie.

- Na przykład czego?

- Nie wiem. - Andie pokręciła głową. - Słyszę, że dzwonią, ale nie wiem, w którym kościele. Może po prostu wciąż nie mogę się z tym pogodzić, nie potrafię dać sobie z tym rady, nie rozumiem tego. A może chodzi o coś innego. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Zastanawiam się, czy Patti nie jest jakoś w to wmieszana.

Robert złapał ją za słowo.

- Przypuszcza pani, że Edward zaatakował córkę?

- Może. Martha bezgranicznie ją kocha i wierzę, że w jej obronie byłaby zdolna do wszystkiego. To mogłaby być ta decydująca trauma, przysłowiowy ostatni gwóźdź.

- Bardzo by nam pomogło - zauważył poruszony adwokat. - Matka, która staje w obronie dziecka. Dla sędziów to mocny argument. Ale nie mamy dowodu, Patti musiałaby zeznawać.

- Niech się pan z góry nie cieszy - ostrzegła Andie, opowiadając mu o wybuchu Marthy, kiedy to zdradziła się z przemożnego pragnienia, by zabić męża, a potem natychmiast za to przeproszała. - Najdziwniejsze, że kiedy spotkałyśmy się ponownie, Martha nie pamiętała nawet swoich słów, zapalczywie wszystkiemu zaprzeczała, była wstrząśnięta, jakby totalnie to w sobie zablokowała.

- Uwierzyła jej pani?

- Tak. - Andie zamyśliła się na moment. - Odniosłam wrażenie, że doszła do krawędzi, której przekroczenie grozi jej katastrofą.

- Co zgadza się z pani teorią. Rozmawiałyście wtedy o Patti?

- Tak, sporo.

Robert zamilkł na krótką chwilę.

- Musimy być bardzo ostrożni. Gdyby prokurator dowiedział się o tym wybuchu... - Potrząsnął głową.

- Z miejsca zrobiłby z tego morderstwo z premedytacją, a sędziowie by to kupili. Tak, to całkiem nowa piłka, a żeby trzymać ją z daleka, nie wolno dopuścić, by wezwano panią na świadka. Tymczasem bez pani właściwie nic nie mamy. Żadnych wezwań policji, żadnych raportów szpitalnych. Ciągłe szukam.

Zadzwoił telefon.

- Przepraszam. - Andie podeszła do aparatu. - To może być pacjent. - Podniosła słuchawkę. - Gabinet Andie Bennett, słucham.

Odpowiedziała jej cisza. Andie poczuła strach.

- Halo? - odezwała się. - Kto mówi?

- Czy rozmawiam z doktor Andie Bennet, która ogłasza się w gazecie? Nie rozpoznała szorstkiego, trochę niewyraźnego głosu.

- Tak, słucham? - rzekła chłodno, bardzo spięta.

- W czym mogę pomóc?

- Lubisz się przyglądać, prawda, mała cipko? - Mężczyzna odchrząknął. - Doskonale o wszystkim wiesz, ale kłamiesz.

Oślupiała Andie spojrzała na Roberta Fultona.

- O co chodzi? - Adwokat wstał i zbliżył się do niej.

- Co się dzieje?

- Wścibska dziwko - ciągnął nieznajomy, wypluwając słowa. - Zajmę się tobą. Poczekaj, już ja ci dogodzę, ty kur...

- Kto mówi? - wykrztusiła z trudem. - Dlaczego...

- Może też chciałabyś mieć pętlę na szyi, jak... Andie rzuciła słuchawkę i podniosła do ust drżącą

rękę. Jak Lea Robertson. To chciał powiedzieć ten głos.



Zadzwoił do niej pan X.

Dobry Boże. Pewnie te ciche telefony, o których starała się zapomnieć, także były od niego.

- Andie? - Robert dotknął jej ramienia. Podskoczyła. - Nic pani nie jest? Kto dzwonił?

Potrząsnęła tylko głową i ciężko usiadła na krześle. Schowała twarz w dłoniach, żeby odzyskać spokój, po czym podniosła wzrok na gościa.

- Kto to był? - ponowił pytanie, siadając naprzeciw niej. - Wygląda pani, jakby zobaczyła pani ducha.

- Usłyszałam go - szepnęła. - Dzwonił już do mnie wiele razy, ale przedtem się nie odzywał.

- To skąd...

- Skąd jestem pewna, że to ta sama osoba? Tak samo oddycha i często chrząka. Jakby miał problem z zatokami. Może nawet nie robi tego świadomie.

- Co powiedział?

- Że mnie złapie. Powiedział, że może chce mieć pętlę na szyi.

Robert uniósł brwi.

- Nie podoba mi się to.

- Jest coraz gorzej. Pokażę panu coś. - Podeszła do biurka, otworzyła szufladę i wyciągnęła wycinek prasowy sprzed piętnastu lat, który dostała pocztą.

Robert przyjrzał się najpierw pożółkłemu kawałkowi gazety, potem Andie.

- Pamiętam tę sprawę, chociaż nie byłem wtedy wiele od pani starszy. - Oddał jej gazetę. - Jaki to ma związek?

- Ktoś mi to przysłał trzy tygodnie temu. Anonimowo. Takie same wycinki otrzymały moje przyjaciółki Rave Johnson i Julie Cooper, które też były wmieszane w sprawę Lei Robertson.

- W małych miasteczkach pamięć trwa długo.

- Tak też myślałam. Do dzisiaj. Ten głos w słuchawce powiedział, że lubię się przyglądać. Zapytał, czy jestem tą panią Bennett z gazety. - Objęła się, nagle zziębnięta. - A na koniec wspomniał o pętli.
- Domyśla się pani, kto to był?
- Pan X.
- Proszę nie wyciągać pochopnych wniosków. To mógł być jakiś idiota, którego bawią głupie żarty. Na przykład któryś z fanów Eda Pierponta. W dzisiejszym „The Herald” napisano, że będzie pani świadkiem obrony, i to mogło się komuś nie spodobać. Mnie też zdarzało się odbierać telefony z pogrózkami.
- Naprawdę? - spytała z nadzieją. Wolą być do czynienia z wściekłym głupkiem niż z sadystycznym mordercą.
- O tak. Jakiś facet odgrażał się, że wyrwie mi wątrobę. - Uśmiechnął się i poklepał się po brzuchu\* - No i nadal ją mam, całą i zdrową.
- Znow zaczyna pan żartować.
- Andie, niech pani pomyśli, w jakim celu po piętnastu latach ten pan X miałby niepokoić panią i pani przyjaciółki? Nie widzę w tym sensu. - Robert pokręcił głową. - Sprawa tamtego morderstwa nie została zamknięta i jestem pewien, że pan X o tym wie. Miałby sam robić wokół siebie zamieszanie, które mogłoby się dla niego źle skończyć?
- Dziękuję. - Andie położyła rękę na piersi. - Ma pan rację, przestaję już myśleć logicznie.
- No właśnie, bo się pani przestraszyła. - Wsunął pióro i notes do teczki. - Czy wspominała pani policji o tych telefonach albo liście?
- Policji? - powtórzyła. - Nie, ja... - Potrząsnęła głową. - Nie uważałam tego za konieczne.
- Proszę przemyśleć tę sprawę. Może chodzi

o głupstwo, ale lepiej oficjalnie to zgłosić. To kwestia bezpieczeństwa, bo w razie potrzeby będą musieli panią chronić.

- Pomyśle o tym.

- Dobrze. - Wziął teczkę i podniósł się. Andie również wstała i odprowadziła go do wyjścia. - Będę panią na bieżąco informował.

- Dziękuję, może pan na mnie liczyć.

- Cieszę się. - Przekraczał już próg, ale zawahał się i spojrzał na nią raz jeszcze. - Zje pani ze mną kolację?

- Kolację? - powtórzyła.

- Tak, dziś wieczorem.

Już miała się zgodzić, lecz nagle odruchowo powiedziała:

- Przepraszam, jestem bardzo zmęczona, Robercie. Może innym razem?

- Jasne, innym razem. - Zatrzymał się za drzwiami. - Proszę do mnie zadzwonić po rozmowie z Marthą. Jeśli pani podejrzenia związane z Patti są słuszne, bardzo nam to pomoże. Niełatwo będzie wygrać tę sprawę. Liczy się wszystko, co może pomóc.

## **ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY**

Raven szła obok Davida Sadlera, z trudem kryjąc podniecenie. Projekt osiedla Gatehouse był po prostu fantastyczny, marzyła, żeby wziąć udział w czymś takim. Z jednej strony naturalną granicę tworzył strumień, z drugiej park miejski. Średnio budynki miały mieć po trzy tysiące dziewięćset metrów kwadratowych, zaś najmniejszy z nich trzy tysiące dwieście. W tej chwili budowano trzy różne wzorcowe domy, a dwa z nich konstrukcyjnie były już niemal gotowe.

- Tu planujemy basen i klub. - David wskazał na lewo. - A tam - przesunął rękę odrobinę w prawo - korty tenisowe. Chodźmy, pokażę pani domy. Kiedy skończyli zwiedzanie ostatniego budynku, w głowie Raven kotłowała się masa pomysłów. Marzyła o tym, by jak najprędzej znaleźć się w swojej pracowni i przenieść je na papier, grzebiąc w katalogach z różnymi próbkami.

Domy wprost zapierały dech. Wysokie, pełne powietrza przestrzenie, więcej okien niż ścian, sklepione sufity z wyeksponowanymi belkami i świetlikami. Ogromne, przechodzące jedno w drugie pomieszczenia, oddzielone kolumnami i ścianami działowymi.

Teraz powinien się za to wziąć zdolny architekt wnętrz. Czyli Raven.

- I jak się to pani podoba? - spyta! David, kiedy dotarli do kuchni ostatniego z domów.

- Jestem więcej niż pod wrażeniem. - Ogarnęła wzrokiem pomieszczenie.

- Mam ochotę natychmiast zacząć pracę.

Na jego twarzy pojawił się lekki uśmiech.

- Tego właśnie oczekiwałem. - Otworzył drzwi spiżarni. Była tak duża, że zmieściłaby chyba zapasy dla całej armii. - Jeśli pani tego jeszcze nie zauważyła, dodam, że w tym domu jest mnóstwo rozmaitych schowków. Nigdy nie wiadomo, do czego mogą się przydać.

Słabo, panie X, musi się pan bardziej postarać. Uniosła brew, ciesząc się przewagą, jaką ma nad mężczyzną.

- Może dla dzieci? - podsunęła szyderczo. Zdziwił się, ale udało mu się uśmiechnąć.

- Nie lubi pani dzieci?

- Nie mam nic przeciwko nim. - Podeszła do okien wychodzących na tyły posesji. Przy tym budynku przewidziany był basen, właśnie przygotowywano dla niego miejsce. - Podjął pan już jakieś decyzje dotyczące wnętrza?

- Nie. Żadnych.

- Żadnych? - powtórzyła zdumiona. - Sądziłam, że przynajmniej podłogi, oświetlenie i...

- Nic. - Odwrócił się do niej z uśmiechem i przeciągnął palcem po rękawie jej szarej satynowej bluzki. Surowy fason stanowił przeciwwagę dla lekkiego materiału. - Musi pani zająć się wszystkim.

Ciekawa była swojej reakcji na jego dotyk. Nie okazał się ani miły, ani wstrętny, po prostu nijaki. Jak

mogła kiedyś tego mężczyznę uważać za niemal równego Bogu?

- Wszystkim? Co dokładnie ma pan na myśli?

- Oprawa okien, meble, dekoracje. Wszystko. Potencjalny kupiec, wchodząc tu, musi mieć skończony obraz, co do najdrobniejszego szczegółu. Proszę pamiętać, że nie mamy dużo czasu. - Pokazał ręką dokoła. - Jak pani widzi, ten dom jest prawie gotowy, a ja chcę rozpocząć sprzedaż jak najszybciej. To teraz pani dziecko, proszę się nim troskliwie zająć, oczywiście po mojej akceptacji pomysłu i budżetu. I niech się pani nie martwi, łatwo mnie zadowolili.

Pomyślała o szczególnym guście Davida Sadlera.

- Wątpię. Zaśmiał się.

- Może od razu wpadło pani coś do głowy? Chętnie posłucham.

- Proszę bardzo - rzekła Raven, szczęśliwa, że wreszcie może ubrać w słowa swoje pomysły. - To nie może być zbyt formalistyczne, nie z tymi oknami. Chciałabym jeszcze mocniej zaakcentować związek z naturą. Drewniane podłogi, wszędzie prócz kuchni, łazienki i pralni, gdzie dałabym kafelki w kolorze ziemi.

- Klienci lubią wykładziny - powiedział. - Są ciepłe i zmysłowe.

- W porządku. Możemy wyłożyć wykładziną sypialnie i salon. Grubą, miękką wykładziną w neutralnym kolorze. Jeśli chodzi o ściany... -

Urwała, myśląc intensywnie, po czym dokończyła: - W tym roku bardzo modny jest kolor khaki, a w połączeniu z bielą i odrobiną lawendy otrzymamy znakomity efekt. No i we wszystkich pomieszczeniach konieczne będą drewniane żaluzje. - Zmrużyła oczy w namyśle. - Wydaje mi się, że mosiężne lampy będą zbyt poważne, za zimne.

Wolałabym patynowane żelazo. - Spojrzała na Davida i zobaczyła, że z rozbawieniem się jej przygląda. - Powiedziałam coś śmiesznego?

- Nie, tylko tak się pani rozochociła. - Przechylił głowę, mierząc ją wzrokiem. - Podoba mi się ten ogień w pani oczach.

- Kocham swoją pracę. A ten dom, jak pan wie najlepiej, jest fantastyczny, daje ogromne możliwości. - Zerknęła na okienka nad ich głowami. - Wie pan, kiedy jest tu słońce? Chciałabym zostawić te okna odkryte, pod warunkiem, że popołudniami nie będzie przypiekać.

- Jest pani piękna, Raven. Chłodna piękność, to najlepsze określenie. Zaśmiała się, nie czuła się obrażona.

- Czy to miał być komplement?

- Oczywiście. Podobają mi się wszystkie kobiety. Wiedziała, że David nie zamierza z nią flirtować,

tylko się nią bawił, próbował zaniepokoić. Zdusiła śmiech. Ten facet działał tak bardzo rutynowo. Jak mogła uznawać go za mistrza gry? Jak mogła tak się w niego zapatrzeć?

- Domyślam się. - Znaleźli się w nie wykończonym segmencie kuchennym. Leżały tam rolki architektonicznych planów.

David stanął tuż za jej plecami. Poczwała na skórze jego oddech.

- Jak można stopić twój lód?

- To niemożliwe. - Odwróciła się i zajrzała mu w oczy. - Proszę zapytać któregośkolwiek faceta w tym mieście, każdy powie, że Raven Johnson jest bez serca.

- Nie jestem każdym facetem.

Roześmiała się, zdobył u niej punkty za odwagę i upór, choć nie za styl.

- Nie, nie jest pan.
  - Za bardzo się kontrolujesz - mruknął. - Boisz się iść na całość.
  - Nie tyle boję się, co mnie to nie interesuje. - Wzruszyła ramionami. - Przykro mi, ale lubię być na górze.
- Przechylił do tyłu głowę i wybuchnął śmiechem.
- Oswoiłbym cię. Nie boję się silnych kobiet. Tak długo, jak długo taka silna kobieta pozwala się wiązać jak świąteczna geś.
  - Nie wątpię, ale armia powinna mieć jednego szefa. Zazwyczaj to ja nim jestem, a jeśli się nie mylę, w myślach już przejął pan dowództwo.
- Oparł się o blat z założonymi rękami.
- Porównuje pani miłość do wojny? Ciekawe.
  - Dawno zrozumiałam, że miłość jest wojną. Zaśmiał się, sondując ją wzrokiem.
  - Ciekawe byłoby pójść z panią do łóżka. Co pani na to?
  - No cóż, drogi Davidzie, to najbardziej romantyczna propozycja, jaką w moim życiu otrzymałam, ale raczej nie skorzystam. A tak z ciekawości, co by się stało, gdyby zaciągnął mnie pan do łóżka?
  - To zależałoby wyłącznie od pani. Może spełniłyby się marzenia.
- A może koszmar. Rozwinęła jeden z planów.
- Co to jest? - spytała, oglądając rysunek. - To nie dom.
  - To basen. Ładny, prawda? Przytaknęła, a on kontynuował:
  - Ma tu być zupełnie inaczej, niż widziałem to na innych budowach. - Rozwinął plan z elewacją klubu sportowego. - Staralem się zintegrować budynek basenu i klubu z architekturą domów mieszkalnych. Dlatego będą do nich podobne, tylko mniejsze.



- A wewnątrz?
- Typowe, przede wszystkim funkcjonalne.
- A zatem iluzja.
- Uhm. - Dotknął palcem szramy na jej policzku.
- Jak się pani tego dorobiła?
- W bójkę na noże. - Zaśmiała się, widząc jego minę.
- W wypadku samochodowym, kiedy miałam sześć lat.
- Chirurg plastyczny poradziłby sobie z tym.
- Ale po co? To mi pomaga pamiętać. Zmarszczył brwi.
- O wypadku?
- Nie, o matce.
- Dziwna pamiątka.
- Nie dla mnie. Matka popełniła wiele błędów i w końcu zapłaciła za nie życiem. Ta szrama przypomina mi o jej błędach.
- Żeby ich unikać? - Skinął głową. - Chyba będzie nam się dobrze razem pracowało, Raven.
- Jest pan pewny? Bo od razu uprzedzam, nie zdobędzie mnie pan.
- Nie byłbym taki pewny. Zawsze zdobywam kobiety, to moje główne zajęcie. Mój dar.
- Doprawdy?
- Uhm. - Nachylił się ku niej, czuła ostry zapach jego wody po goleniu i miętową świeżość wody do ust. Patrzył jej w oczy bez cienia uśmiechu. - Jestem pożeraczem kobiecych serc. Lepiej o tym nie zapominaj.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

Julie leżała na plecach naga, ręce miała przywiązane sznurem do żelaznego zagłówka.

David wyciągnął się obok niej w ubraniu. Drażnił piórkiem jej skórę: szyję, piersi, brzuch, aż zanurzył je między jej udami.

Jęknęła i uniosła biodra. Sznur zacisnął się. David wyciągnął piórko. Julie błagała o pieszczotę, lecz David tylko się zaśmiał.

- Proś - wycedził, chowając za siebie piórko. - Błagaj mnie.

- Proszę - szepnęła, zarumieniona ze wstydu.

- O co prosisz?

- O piórko. Jeszcze.

- To za mało. - Przysunął piórko do jej ust, powąchała je. Nachylił się.

- Powiedz, gdzie chcesz, żebym cię dotknął, Julie. Jak mam ci zrobić przyjemność?

- Dotykaj moich piersi.

Kiedy spełniał jej prośbę, wzdychała i wciskała głowę w poduszkę, jakby jej skórę muskał błogi szept.

- Teraz brzuch i uda.

David sięgnął jednak niżej, do płataniny jasnych

kręconych włosów u zbiegu jej ud, i na moment schował w nich piórko.

- Jeszcze - wydusiła, rozkładając nogi, bez słów pokazując, czego oczekuje. - Niżej.

- Niedobra dziewczynka. - Zabrał rękę. - Wiesz, że masz wyrażać się dokładnie. Powiedz, co mam zrobić z piórkiem?

- Dotknij mnie... tam. Między nogami. Pochylił nad nią.

- Dokładniej, kochanie. Gdzie?

Otworzyła usta, ale słowa ją zawiodły. Nigdy nie musiała skrupulatnie określać, czego pragnie. Mówiła, że chce się zabawić, kochać, pieprzyć. Ale nie tak, nigdy.

David usiadł.

- Dlaczego kobiety nie potrafią nazywać po imieniu części swojego ciała? Nie rozumiem. Pochwa. Cipka. Pipka. Te wszystkie słowa znaczą to samo. Powiedz to, Julie. Wybierz sobie któreś z tych określeń. Powiedz mi, czego pragniesz.

- Chcę... - Była równocześnie podniecona i zawstydzona. Podniecona jak nigdy dotąd. Prześcieradło pod jej udami było zupełnie mokre. Całe jej ciało drżało.

- Proszę, dotknij mojej... pochwy.

- Nie. - Odłożył piórko na nocny stolik. - Teraz mi się nie chce.

- Ty draniu! Obiecałeś! - rzuciła rozwścieczona i pełna poniżającego wstydu.

- Tylko ci się tak wydawało. - Wyraźnie z niej kpił.

- Poza tym zawsze robię to, na co mam ochotę, a ty jesteś w tej chwili ubezwłasnowolniona.

Uniosła się, próbując uwolnić się od sznura, z oczami pełnymi łez.

Ogarnęła ją rozpacz.

- Nienawidzę cię! Rozwiąż mnie, ty skurwysynu!

Udawał, że jej nie słyszy. Zdwoiła wysiłki, chociaż sznur wrzynał się jej w nadgarstki. Kręciła się i kopała, przeklinając i błagając na zmianę, prosząc i grożąc. Cały ten czas David wpatrywał się w nią z lekkim, pełnym satysfakcji uśmiechem.

Jego zadowolenie i arogancja doprowadzały ją do pasji. Pomyślała, że zabije go, kiedy się uwolni, weźmie sznur i będzie go torturować. Ten obraz dodawał jej siły, walczyła, aż jej mięśnie i płuca zaprotestowały. Cała mokra od potu, opadła bezradnie.

- Jeśli skończyłaś - odezwał się po chwili - mam dla ciebie nową niespodziankę.

Wysunął szufladę i wyciągnął z niej złożony kawałek materiału. Rozłożył go ostrożnie i niemal czule. Julie zobaczyła podłużny kawałek cienkiej tkaniny w czarnym kolorze.

Czarny jedwabny szalik.

Jej serce na sekundę stanęło, przestała oddychać. Zmartwiała z przerażenia, spoglądała na tkaninę. Wróciła pamięć o pani X.

- Teraz zawiążę ci oczy.

- Nie - potrząsnęła głową. - Nie, proszę... tylko nie oczy. Wszystko... tylko nie to. Boję się ciemności.

Pochylił się nad nią, biorąc do ust jej sutek i ssąc jak wygłodniałe niemowlę. Jej ciało poddało się.

- Kochanie. - Uniósł głowę. - Nie powinnaś była mi mówić, że się tego boisz, bo teraz muszę to zrobić.

- Nie! - Odsunęła się możliwie najdalej, kopiąc nogą pościel.

- Dostyc tego. - Uderzył mocno jej udo, aż zapłakała z bólu. - Nie chcę cię karać, ale będę to robił. Rozumiesz?

Skinęła głową, łzy zalewały jej twarz.

- Chcę, żebyś to zrobiła, dla mnie - mówił zniecierpliwionym tonem. - Będziesz już grzeczna?

- Tak - odparła spłoszona.

- No widzisz. Zamknij oczy.

Posłuchała go, wbrew swojemu instynktowi, który gwałtownie się temu przeciwstawił. Poczowała dotyk jedwabiu na powiekach.

- Podnieś głowę, kochanie.

Szybko i sprawnie związał końce szalika. Potem namiętnie pocałował Julie, jakby chciał ją w całości połknąć.

- Wyglądasz przepięknie - powiedział, odsuwając się. - Dziękuję ci, kochanie. - Z adoracją głaskał jej ciało. - Dziękuję.

Mijały sekundy, a wraz z nimi odpłynął gdzieś strach Julie. Totalna ciemność okazała się potężnym afrodyzjakiem. Zagarnęła ją jak przepastne morskie głębiny. Rzeczywistość oddaliła się, świat ograniczył się do ust i rąk Davida oraz aksamitnej czerni.

Raz za razem doprowadzał ją na krawędź orgazmu i zatrzymywał się, a kiedy błagała, żeby pozwolił jej skończyć, odmawiał.

Wziął jej twarz w swoje dłonie, pocałował, a ona poczuła swój smak.

- Znam cię, Julie Cooper - zamruczał. - Wiem, kim jesteś.

Ale kim był on? Panem X?

Odsunął się i wstał. Materac przechylił się. Julie czekała, aż David odezwie się, poruszy, zdradzi swoją obecność. Nie zrobił tego, a ją przeszył lęk.

- David? - szepnęła. - Gdzie jesteś? Odezwij się. Cisza. Julie kręciła głową struchlała.

- David... proszę.

Wówczas usłyszała trzask zapalniczki, chwilę potem poczuła dym.

- David?
- Ale ty mnie nie znasz, dziecino. Wcale mnie nie znasz.
- Nie mów tak. - Przebiegł ją dreszcz. - Nie podoba mi się to.
- Boisz się?
- Tak. - Wcisnęła się w materac.
- Ufasz mi, Julie?
- Chodź do mnie - szepnęła. - Nie chcę być sama w tej ciemności.
- Ufasz mi? - spytał znowu.
- Tak, ale...
- Żadnych ale. Albo mi ufasz, albo nie. Albo jesteś ze mną, albo nie. -  
Wrócił do łóżka i przysiadł na jego brzegu.

Dym drażnił nozdrza Julie. Kiedy David nieco się przesunął, poczuła, \*że gdyby nabrała powietrza, rozżarzony papieros spaliłby jej sutek. Cofnęła się, miała ochotę się skurczyć.

- Nie możesz mieć wszystkiego, Julie. Papieros spalał się tuż przy niej.

Powieki piekły Julie

od łez. Bała się, ogarnął ją lęk przed ciemnością, wzmagany poczuciem bezsilności. Bała się samotności, bała się stracić Davida.

Nie potrafiłaby bez niego żyć.

Jeszcze bardziej zbliżył ku niej dłoń z papierosem. Przygryzła wargę, chciała mu ufać, wierzyć, że David jej nie skrzywdzi. Wykrzyczała mu to prosto w twarz.

- Grzeczna dziewczynka. - Wstał i gdzieś odszedł. Była z nim, choć go nie widziała, słyszała, jak

przesuwa jakiś przedmiot na toalecie. Pewnie to popielniczka, pomyślała.

- Przenieś się myślami w przeszłość, Julie, piętnaście lat wstecz. Co wtedy widziałaś?

- Nie wiem, o czym mówisz - wyszeptała.

- Wiesz. - Okrążył łóżko. - Mówię o Lei Robertson. Przez ułamek sekundy rzeczywiście nie skojarzyła, ale zaraz potem dosłownie zlodowaciała.

David zaśmiał się, jakby czytał w jej myślach.

- Mówiłem, że cię znam.

Zacisnęła powieki. Nie, to niemożliwe. On nie może być tamtym człowiekiem.

- Czytałem wszystkie prasowe relacje, oglądałem telewizyjne wiadomości. Teraz chcę poznać twoją wersję. Co widziałaś, podglądając przez okno? - Pociągał palcami wzdłuż jej warg, jakby zapraszał ją do mówienia. - Byłaś podniecona? Wyobrażałaś sobie siebie na jej miejscu? Masturbowałaś się później w tajemnicy przed rodziną i przyjaciółkami, wiedząc, że cię nie rozumieją? Nienawidziłaś się za to - ciągnął. - Prawda, kochanie? Myślałaś, że jesteś zła i nienormalna. Godna potępienia grzesznica. - Czule spijał wilgoć z jej warg. - Julie, ale ja cię rozumiem, tylko ja mogę cię uszczęśliwić. I zrobię to, pod warunkiem, że będziesz mnie słuchała.

Jej łzy zmoczyły jedwabny szalik. Tak, David ją znał. Lecz jakim cudem tak wyraźnie widział jej duszę?

- W tej chwili mógłbym zrobić z tobą, co zechcę. Wszystko, co sprawiłoby mi przyjemność. Jesteś tak samo bezbronna jak Lea Robertson. Przeraza cię to?

Nie rób mi nic złego, proszę, nie krzywdź mnie! Nie wypowiedziała tych słów, lecz i tak je usłyszał.

- Zaufaj mi - szepnął. - Powiedz mi, co widziałaś. Co widziałyście z przyjaciółkami, trzy niewinne, nie zepsute panienki? - Zbliżył się i zniżył głos. - To był dla was szok, prawda? - Władczo i z miłością dotknął jej wzniesienia łonowego, a potem niżej różowego miejsca, siedliska szaleńczych uniesień. Na jej jęk zareagował śmiechem. - Powiedz mi, kochanie.

Zacząła wyciągać z pamięci obrazy, które nawiedzały ją przez wszystkie te lata. Oczami wyobraźni widziała panią X, samą, nagą i bezbronną. Widziała pana X, który każe jej klęknąć przy krześle i bierze ją od tyłu. Widziała jego penisa w ustach kobiety i sznur muskający jej ciało. Ubierała te wspomnienia w słowa i przekazywała Davidowi rwącym głosem. Kiedy zniknął ostatni obraz, zamilkła, wycieńczona, jakby przebiegła tysiąc kilometrów bez odpoczynku.

- Wiesz, co lubię, Julie? Możesz to sobie wyobrazić? Odwróciła głowę w stronę, skąd dochodził jego głos.

- Kim jesteś? - spytała.

Milczał. Następnym znanym jej dźwiękiem było kliknięcie klamry u paska do spodni i zgrzyt zamka błyskawicznego. David położył się na niej.

- Kimś, kto doskonale cię zna. Rozsunęła nogi.

- Kimś, kto cię kocha.

Miała związane dłonie, więc objęła go nogami, wbijając pięty w jego plecy.

- Wyprzedzaj moje pragnienia, Julie.

Chciała tego, ale do głowy przychodziła jej tylko kołysząca się na sznurze kobieta. Tą kobietą była ona.



## **ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY**

- Dzień dobry, Davidzie. - Andie uśmiechnęła się do pacjenta. - Jak minął weekend?

Mężczyzna poderwał się i zaczął wędrówkę po gabinecie.

- A pani?

- Dziękuję. - Zauważyła, że jest spięty. - Czy jest jakiś powód, dla którego nie chce pan rozmawiać o ostatnim weekendzie? A może wydarzyło się coś, co powinniśmy przedyskutować?

- A czy jest jakiś powód, dla którego pani nie chce mówić o swoim?

- Nie jesteśmy tu po to, żeby zajmować się moją osobą.

- Oczywiście. - Rzucił się z powrotem na kanapę i wbił wzrok w sufit. -

Czytałem o pani w gazecie.

- Naprawdę?

- Tak. Ma pani zamiar wyciągnąć tę kobietę, która zabiła swojego męża?

- Przecież pan wie, że nie jestem adwokatem.

- Wygląda na to, że mąż ją dręczył. Niektórzy faceci nie potrafią obchodzić się z kobietami.

Uniosła brwi, zaintrygowana, zważywszy na jego własne relacje z płcią przeciwną.

- A pan potrafi?

Spojrzał jej w oczy.

- Oczywiście. Kocham kobiety, dlatego tu jestem.

- Ach tak? Myślałam, że jest pan tu z powodu swojej potrzeby zdobywania i dominowania.

Puścił jej słowa mimo uszu.

- Więc co? - spytał. - Uważa pani, że Pierpont dostał, na co zasłużył?

- A pan?

- Chcę znać pani opinię.

- Nie wolno mi rozmawiać o tej sprawie.

- Chyba ma pani własne zdanie.

Podczas niektórych sesji David zachowywał się właśnie tak, niegrzecznie i agresywnie. Nie on pierwszy reagował tak na terapię, i nie ostatni. Sesje zmuszają do intensywnego, a nawet brutalnego wtargnięcia do własnej psychiki, odzierają z ochronnych masek i burzą obronne mury. Wielu pacjentów próbuje się przed tym bronić.

- Według mnie - zaczęła cicho - takie sprawy rzadko są czarno-białe.

Roześmiał się z niesmakiem.

- Jakie to proste, co? I tanie.

- Czemu pan tak mówi?

- Bo to prawda. Nigdy nie staje pani na pierwszej linii, pani doktor? -

Zrobił pauzę. - Pani tylko się przygląda.

„Przygląda”. Sposób, w jaki wymówił to słowo, oraz wyraz jego twarzy sprawiły, że poczuła się, jakby ktoś oblał ją lodowatą wodą.

- Nie wiem, o czym pan mówi - wykrztusiła po chwili.

- Ależ dobrze pani wie. - Wykrzywił twarz w uśmiechu. - Przyglądać się, trzymać się na dystans. Nie brać udziału w życiu, tylko je obserwować.

- Tak pana zdaniem postępuję? Uważa pan, że to jest cel naszych spotkań?

Jego śmiech zabrzmiał niemal dziewczęco.

- Wie pani co? Myślę, że panią te sesje po prostu rajcują. Moja terapeutka jest podglądaczem.

Zaniepokoiła się, lecz nie okazała tego po sobie.

- Muszę przyznać, że dość dziwacznie określa pan swojego lekarza. Czy jest coś, o czym chce pan porozmawiać?

- Jak pani wie, pochodzę z tego miasta, mieszkałem tu przed laty, znam panią i pani przyjaciółki. I wiem wszystko o tamtych wakacjach

- Jakich wakacjach?

- Kiedy zamordowano żonę komisarza policji. Jak zapewne pani już się domyśliła, bardzo mnie to obchodziło.

Serce Andie nerwowo przyspieszyło.

- Co pan o tym wie?

- Właśnie mówię. Mieszkałem tu wtedy, czytałem gazety, słuchałem wiadomości. Dostałyście niezłą lekcję.

- Czy to wszystko? - spytała, patrząc mu prosto w oczy. - Zna pan to tylko z gazet?

- Dlaczego zawsze odpowiada pani pytaniem na pytanie?

- Na tym polega moja praca.

Oparł łokcie na kolanach i nachylił się ku niej.

- Jak wygląda pani życie osobiste?

- W tym gabinecie możemy rozmawiać tylko o pańskim.

- Znowu się przyglądamy. Nic dziwnego, że została pani terapeutką.

Zesztywniała, policzki paliły ją jak ogień.

- Chyba dlatego pan do mnie przyszedł, prawda? Tak przynajmniej przypuszczam.

Zorientował się, że jej dokuczył, i uśmiechnął się z satysfakcją. Andie była na siebie zła. Puściły jej nerwy, a przecież to ona powinna sterować rozmową. Zresztą, wielu już pacjentów próbowało naciągnąć ją na osobiste wyznania. Pozwala im to poczuć się swobodniej, stwarza bardziej przyjazną atmosferę.

Musiała jednak przyznać, że przy żadnym z nich nie czuła się tak paskudnie. Jakby była uwięzionym w szklanym naczyniu robakiem. Andie odłożyła notes, oparła się swobodnie o krzesło i przywołała na twarz uśmiech. ,

- W porządku, Davidzie, co chciałby pan o mnie wiedzieć?

- Ma pani narzeczonego?

No tak, to było oczywiste pytanie.

- Nie, w tej chwili nie.

- Dlaczego?

- Nie interesuje mnie to.

- Wcale?

- Nie na tyle, żeby się teraz angażować.

Udał, że zapisuje ostatnie słowo. Było to irytujące.

- Lubi pani seks? - spytał.

- To zbyt osobiste. Zlekceważył jej protest.

- A może pani tylko leży i nie angażuje się? Wiele ją kosztowało, żeby nie okazać konsternacji.

Tak dawno już nie była z mężczyzną, że nie potrafiła powiedzieć, czy znajduje w tym przyjemność. Ledwo pamiętała, czy potrafiła naprawdę się... zaangażować. Miała nadzieję, że tak, ale coś jej podpowiadało, że jest inaczej.

- Związek z drugim człowiekiem nie opiera się wyłącznie na seksie.

- Tak, opiera się też na zaufaniu - stwierdził. - Na dzieleniu się, bezinteresownym dawaniu wszystkiego. Dałaby pani wszystko, gdyby się pani zakochała? Czy raczej wolałaby pani... patrzeć?

Znowu to słowo: „Patrzeć”. Postanowiła zmienić temat.

- Widział się pan podczas weekendu z tą pańską wyjątkową kobietą?

- Nie chcę o tym mówić.

- Czemu?

- Bo nie. - Skoczył na równe nogi i przemierzał pokój wielkimi krokami. -

Czy nie możesz odpuścić choćby jednej z nich? Nienawidzę tego!

Andie przyglądała mu się, uznając, że chyba wie, o co mu chodzi.

- To nie była jedyna kobieta, z którą się pan spotkał w czasie weekendu?

Czy o to chodzi?

Zamarł. Czas stanął. Wreszcie David odwrócił się powoli. Spojrzał jej w oczy, tkwiło w nich zapierające dech cierpienie.

- Nie chcę jej skrzywdzić. Naprawdę nie chcę jej skrzywdzić... tak jak skrzywdziłem tamte.

Pani X. Skrępowane ręce, związane oczy. Powieszona. Martwa.

Andie zrobiło się słabo, ze strachu kręciło jej się w głowie. On myśli o krzywdzie emocjonalnej, mówiła sobie.

David zatrzymał się na wprost niej, padł na kolana i ujął jej dłonie.

- Proszę mi pomóc - błagał. - Musi mi pani pomóc. Nie chcę skrzywdzić tej dziewczyny. Kocham ją.

## **ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY**

Zajeżdżając pod dom, Andie miała w głowie kompletny chaos. Nie mogła przestać myśleć o sesji z Davidem, co i rusz oglądała się nerwowo przez ramię i wydawało jej się, że ktoś podkrada się za jej plecami.

„Tylko się przyglądasz, prawda?”

„Myślę, że cię to podnieca”.

Jej obsceniczny anonimowy rozmówca używał prawie tych samych słów. Czyżby to był David? Czy możliwy jest taki zbieg okoliczności, żeby dwie osoby, w tym samym czasie, wypowiadały się niemal identycznie? Uznała, że to mało prawdopodobne.

Wyłączyła silnik, wyjęła kluczyk ze stacyjki, ale nie wysiadała.

Spoglądała w stronę swojego domu, wciąż mając przed oczami zboląłą twarz Davida.

„Naprawdę nie chcę jej skrzywdzić... tak jak skrzywdziłem tamte”.

Andie przytknęła pięści do skroni. David Sadler wykorzystywał kobiety seksualnie, jego potrzeby wybiegały ponad przyjętą normę, ale nie był przecież mordercą.

A jeśli był?

„Nie chcę jej skrzywdzić”.

„Proszę mi pomóc. Musi mi pani pomóc”.

Andie wzdrygnęła się i zerknęła na telefon komórkowy. Nie chciała spędzać tego wieczoru samotnie, więc pomyślała o kolacji z Raven. Wystukała jej numer, oskarżając się, że jest mięczakiem. Niestety, przyjaciółki nie było w biurze ani w domu.

Andie nie zostawiła wiadomości, tylko zaczęła wybierać numer Julie, ale zaraz pomyślała, że o tej porze w piątek Julie najpewniej pracuje w barze. A zatem sądzona jej jest samotność. Nie zważając na ściszenie w żołądku, wzięła teczkę i taśmy z nagraniami pacjentów, które miała zwyczaj przepisywać w domu, otworzyła drzwi i wysiadła.

Postanowiła jakoś odreagować dzisiejsze przeżycia. Zrzuci ubranie, przebierze się w piżamę i zje coś smacznego, zupełnie lekceważąc kalorie. Już sama myśl o tym wystarczyła, by poczuła się lepiej. Jak to się dzieje, że słodczyce natychmiast poprawiają kobietom nastrój?

Zauważyła po drodze, pierwszy raz od wielu dni, begonie i nagietki, z lubością wdychała zapach świeżo skoszonej trawy i podziwiała miękkie cienie zmierzchu. Cały dzień walczyła ze sobą, żeby zachować spokój, a oto proszę, gdy tylko uświadomiła sobie swoje lęki, pozbyła się ich.

Powinna częściej stosować się do własnych rad, tak hojnie udzielanych innym.

Weszła na ganek. Włożyła klucz do zamka i sięgnęła po pocztę.

Przejrzała ją, zatrzymując się dłużej nad katalogiem z jej ulubionej hurtowni odzieżowej, po czym wsadziła listy pod pachę i przekręciła klucz.

Nie zdążyła jeszcze otworzyć drzwi, gdy jej uszu doszła muzyka.

Erotyczna natrętna melodia otoczyła ją, przynosząc ze sobą wspomnienia dźwięków i zapachów innej letniej nocy. Czasu szalonej, trudnej młodości.

Niewinnej ciekawości, zamienionej w pełne osłupienie, a potem  
przejmujący strach. Muzyka pana i pani X.  
Drżącymi dłońmi Andie pchnęła drzwi. Weszła do domu, umierając ze  
strachu. Po kątach zbierały się cienie, kryjące mroczne możliwości.  
Ktoś był w jej domu. Ktoś, kto pamięta pana i panią X.  
Ktoś, kto nie chce, żeby ona o nich zapomniała.  
Teczka wyśliznęła jej się z rąk, poczta rozsypała się.  
Andie podeszła do wieży stereo, wyłączyła ją i wyjęła z niej płytę  
kompaktową. W pokoju zapadła nagle, nabrzmiała cisza. Coś skrzypnęło  
w innej części domu, jakby klepki podłogi, a potem usłyszała cichy  
oddech.  
Andie szybko spojrzała w stronę korytarza, który prowadził do sypialni.  
Dźwięk powtórzył się, tym razem brzmiał jak ostrożnie postawiony krok.  
Ktoś był w jej domu.  
Cofnęła się do wyjścia, spoglądając w ciemność korytarza.  
Cień poruszył się.  
Z krzykiem odwróciła się i wybiegła.



## **ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY**

Był piątkowy wieczór. Idąc długim korytarzem do drzwi mieszkania Julie, Raven mruczała pod nosem. Pomyślała, że powinna była najpierw zadzwonić do przyjaciółki. Przejeżdżała akurat obok jej domu i wiedząc, że Julie ma wolne, postanowiła gdzieś z nią wyskoczyć.

Jak za dawnych czasów. Zabiorą też Andie i ruszą w miasto, niczym trzej muszkietierowie.

Nie zdążyła zapukać, kiedy drzwi szeroko się rozwarły.

- Rave! - zawołała zdumiona Julie. - Co tu robisz?

- Przyszło mi do głowy, że mogłybyśmy skoczyć gdzieś na kolację i drinka.

Julie wyciągnęła szyję.

- Gdzie Andie?

- Nie wiem. Nie odbiera telefonu w domu ani w pracy. Nagrałam jej wiadomość. Podjedziemy i zabierzemy ją po drodze.

Julie przestępowała z nogi na nogę.

- Nie masz dzisiaj randki? Raven uśmiechnęła się.

- Odwołałam. Ten facet to debil. Poza tym z wami będzie lepsza zabawa. Jak za dawnych czasów. Pamiętasz? Piątkowy wieczór, czyli czas łowów.

- Zapomniałaś, że z tym skończyłam? - Julie nie mogła ustać spokojnie. - Żadnych facetów.

- A czy ja mówię... - Raven spuściła wzrok. Julie była ubrana jak na ostrą randkę, w krótką dżinsową spódnicę, obcisły biały podkoszulek i wyzywające pantofle. Miała pomalowane usta i przewieszoną przez ramię torebkę.

Tak, wyraźnie gdzieś się wybierała. I na pewno nie na paniński wieczór. Raven zrobiło się gorąco.

- Gdzie idziesz, Julie?

- Nigdzie.

- Nigdzie - powtórzyła Raven, czując pulsowanie w skroniach. - To po co się tak wystroiłaś?

Policzki Julie poczerwieniały.

- Idę do... pracy.

- Przecież dziś masz wolne.

- No tak, ale... tak. - Zwilżyła nerwowo wargi.

- Powiedziałam Joemu, że wpadnę, na wypadek gdybym była potrzebna.

- Po co? - warknęła Raven. - Dał ci drugi etat? Julie pobladła, w jej oczach malowało się poczucie

winy. Raven była wściekła, tak wściekła, że z tej furii prawie pękała jej głowa. Tyle zrobiła dla przyjaciółki, a ona tak jej się odpłaca? Oszukuje ją? Kłamie?

- No, Julie - zaczęła. - To z kim się teraz pieprzysz? Z Joem? Czy jeszcze z kim innym?

- Nie mów do mnie w ten sposób! - krzyknęła Julie.

- Podobno jesteś moją przyjaciółką!

- I dlatego tak dobrze cię znam. Julie załamała ręce.

- Mylisz się. Joe spodziewa się dzisiaj dużego ruchu, bo odbywa się turniej golfowy. Bał się, że nie da sobie rady, więc obiecałam mu, że zajrzę i zostanę, jeśli będę potrzebna.

Raven podeszła do Julie.

- Obiecałaś nam, mnie i Andie. Koniec z facetami. Dałaś słowo.

- Wiem. - Julie cofnęła się. - Wiem też, ile wam zawdzięczam. Nie puszczam się, to nie tak.

Raven zmrużyła oczy, przyglądając się bacznie Julie. Nie wierzyła przyjaciółce, a równocześnie gorąco pragnęła jej ufać.

- Nie wciskasz mi kitu?

- Jasne, że nie. - Julie zarumieniła się. - Kocham cię, Rave. Rany, nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

Raven uśmiechnęła się i założyła za ucho przyjaciółki kosmyk jej jasnych jedwabistych włosów.

- Masz dzisiaj piękne włosy, robiłaś coś z nimi?

- Rozjaśniłam - powiedziała zadowolona Julie. - Naprawdę ci się podobają?

- Po co miałabym kłamać? Ja nie kłamię. - Raven opuściła rękę. - Pewnie musisz już pędzić?

Julie spojrzała na zegarek.

- Raczej tak.

- Odprowadzę cię.

Gdy Julie zamknęła drzwi, Raven wzięła ją pod ramię.

- Jak ci się podoba ta praca?

- Może być. Nieźle zarabiam, ludzie są sympatyczni.

- Ale nie za bardzo sympatyczni?

- Nie. - Julie pokręciła głową. - Nie za bardzo. Wyszły na zewnątrz. Na ciemnym niebie nie było

jeszcze śladu księżyca ani gwiazd. Raven głęboko westchnęła.

- Szkoda, że jesteś zajęta, byłoby jak dawniej.

- Wiem, ja też żałuję. - Julie kręciła nerwowo kluczykami do samochodu.

- Andie na pewno jest w domu i chętnie z tobą pójdzie.

- W niedzielę rano spotykamy się na kawie?
- Oczywiście. Byle nie za wcześnie, bo w sobotę zamykam bar. - Julie wsiadła do wozu i włączyła silnik. — Baw się dobrze.
- Zadzwoń.
- Świetnie. To pa. - Uśmiechnęła się do Raven, pomachała i ruszyła. Kłopot w tym, że pojechała nie w tę stronę, gdzie znajdował się klub.

## ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY

Departament Policji w Thistledown nie zmienił się wiele od tamtego dnia sprzed piętnastu laty, gdy odwiedziła go Andie. Ściany wciąż były brudnobeżowe, linoleum porysowane, a meble równie zniszczone, jak wtedy.

Te same były również zapachy i dźwięki: gorzki aromat bez końca podgrzewanej kawy, dzwonki telefonów, szuranie stóp i co pewien czas wykrzykiwane przekleństwa.

Andie nie miała najmniejszej ochoty pojawiać się tam powtórnie.

A jednak tak się stało.

Wyprostowała się i podeszła do biurka sierżanta, który także wyglądał jak replika swojego poprzednika sprzed lat.

- Przepraszam. Mężczyzna podniósł wzrok.

- W czym mogę pomóc?

- Chciałabym się widzieć z inspektorem Raphaelem - powiedziała głosem piętnastoletniej dziewczyny, przerażona, że tak właśnie się czuje. -

Zastałam go?

- Tak. - Mężczyzna patrzył na nią przez półprzy-mknięte oczy. - Pani godność?

- Andie Bennett. Doktor Andie Bennett.

- Proszę usiąść, powiem mu, że pani przyszła.

Andie usiadła, kurczowo przyciskając torebkę. Próbowała się uspokoić, zagłuszyć tamtą muzykę, pozbyć się lęku, który trzymał ją w kleszczach. Wszystko układało się w jedną całość: głuche i anonimowe telefony, wycinek ze starej gazety, muzyka. To było oczywiste. Została wybrana z powodu swojej przeszłości albo dlatego, że była związana ze sprawą Pier-ponta. Ludzie, którzy wysyłają listy z pogrózkami, rzadko są gwałcicielami lub mordercami. Nie stać ich na bezpośredni kontakt z ofiarą, są na to zbyt tchórzliwi, dlatego swoją złość i frustrację wyładowują anonimowo.

Tak jest zazwyczaj. Ale zdarzają się wyjątki.

Ktoś był w jej domu.

A to już zakrawa na wyjątek.

- Bang! Bang! Nie żyjesz!

Gdy Andie podskoczyła, rozległ się głośny dziecięcy śmiech. Odwróciła głowę w stronę, skąd dochodził. Zza niewielkiej fontanny łypała na nią piwnym okiem mała dziewczynka z burzą ciemnych loków. Miała przypiętą metalową odznakę i założony przez ramię pas z dwoma lśniącoymi sześciostrzałowcami. Bawiła się w policjantów i złodziei. Andie uśmiechnęła się i przyłożyła rękę do serca, jakby została postrzelona. Dziewczynka znów się roześmiała.

- Panno Maro! - huknął sierżant. - Nie naprzykrza się pani nikomu?

- Pewnie, że nie - odparła urażona dziewczynka i kątem oka łypnęła na Andie, a potem ruszyła w stronę biurka, chowając rewolwer do kabury. - Musiałam tylko zająć się tymi draniami, żeby się nie pałętali po ulicy. Andie zasłoniła usta, żeby nie wybuchnąć śmiechem,

co z pewnością poważnie obraziłoby dziecko. Poza tym sama wiedziała, że z przestępcami nie ma żartów.

Obserwowała, jak dziewczynka zachodzi sierżanta od tyłu i zagląda mu przez ramię. Funkcjonariusz nie zwracał na nią uwagi, musiała być tu więc częstym gościem, pomyślała Andie, zapewne dzieckiem któregoś z policjantów.

Kiedy zaczęła zastanawiać się, kto jest ojcem małej, sprawa sama się wyjaśniła.

- Tatus! - zawołała dziewczynka na widok Nicka Raphaela i rzuciła mu się w objęcia.

- Mara! - Nick uściskał ją i ucałował. - Jak się ma mój mały zastępca?

- Ściga przestępców - odparła z dumą i wskazała palcem na Andie. - Złapałam ją.

Nick odwrócił się ze śmiechem. Andie poczuła ogromne wzruszenie. W tym momencie Nick nie był policjantem, tylko zakochanym do szaleństwa w swojej córce ojcem.

Malująca się w jego oczach miłość i czułe żarty nie pasowały do twardego, który kilka tygodni wcześniej zastukał do jej drzwi. Do gliniarza, który kategorycznie oświadczył, że jej zawód to oszustwo, a jej pacjentka jest bezwzględna morderczynią.

Na widok Andie z twarzy Nicka znikł uśmiech. W jednej chwili przeistoczył się w nieugiętego policjanta.

Pocałował córkę i postawił ją na ziemi.

- Jeszcze przez kilka minut, kochanie, nie schodź z posterunku.

Dziewczynka zapewniła ojca, że go nie zawiedzie. Nick zbliżył się do Andie.

- Witam, pani doktor. Czym mogę służyć?

- Ja... - Wiedziała, że Nick jej nie lubi i najpewniej

oskarży ją o wybujałą wyobraźnię, po czym wysze do domu. - Jak by to powiedzieć...

- Chodzi o sprawę Pierponta?

- Być może. A może o... - Czuję się jak idiotka. - Sama nie wiem. Może ma to związek z Leą Robertson.

Przez dłuższą chwilę Nick patrzył na nią w milczeniu, jakby rozważał nie tylko każde jej słowo, ale również każde mrugnięcie powieki, postawę, sposób, w jaki trzymała głowę. Jakby zastanawiał się, czy Andie mówi prawdę. Potem skinął głową.

- Proszę za mną.

Poprosił sierżanta, który nazywał się Murphy, żeby miał oko na Marę, i poprowadził Andie do swojego pokoju. Wskazał jej krzesło, sam zasiadł na drugim, zupełnie zrelaksowany. Jego spokój graniczył z nudą.

Doprowadzał ją tym do pasji.

- Może pani zacząć od początku - powiedział.

- Dobrze. - Złożyła dłonie. - Zdarzają mi się... dziwne rzeczy. Dziś wieczorem...

- Na przykład co?

- Na przykład obsceniczne telefony.

- W pani zawodzie to chyba nie aż tak dziwne? Zesztywniała.

- Nie prowadzę agencji towarzyskiej i takich telefonów do tej pory nie miałam.

- Po prostu pytałem - mruknął.

Mimo że jej nie lubił, wyraźnie uważał ją za kobietę atrakcyjną, więc jego pytanie mogło zawierać pewien dwuznaczny podtekst. Jednak Andie postanowiła się w to nie wgłębiać.

- Dlaczego sądzi pani, że to może mieć związek ze sprawą Robertson?

- Zaczęło się od wycinka z gazety sprzed piętnastu lat, w którym pisano o tamtym morderstwie. Ktoś mi to



przysłał. Anonimowo. Raven i Julie otrzymały identyczne przesyłki. To moje przyjaciółki, te, które...

- Pamiętam.

- Potem były telefony. A dzisiaj... kiedy wróciłam do domu, stwierdziłam, że ktoś tam był i... - Przypomnił jej się odgłos kroków, czyjś oddech i cień w ciemności przedpokoju. Chwyliła mocno za oparcie krzesła. - Ktoś był w moim domu i dlatego tu jestem, Nick ściągnął brwi.

- Co ma pani na myśli, mówiąc, że ktoś był w pani domu? Ktoś się włamał?

- Tak. Włączył muzykę, melodię pana i pani X. Nick gwałtownie się wyprostował.

- Jest pani pewna, że to ta sama melodia?

- Absolutnie.

Nick wyjął kieszonkowy notes.

- Wróćmy do telefonów. Dzwoni do pani kobieta czy mężczyzna?

- Mężczyzna.

- I co mówi?

- Pierwsze telefony były głuche. Słyszałam tylko po drugiej stronie oddech, od którego cierpła mi skóra. Ostatnio odezwał się, mówiąc, że ja tylko się przyglądam, że widziałam, ale nie powiedziałam prawdy.

- Co, pani zdaniem, miał na myśli?

- Nie wiem. W każdym razie na zakończenie powiedział, że... że może chciałabym, by założył mi pętlę na szyję. Tak samo jak... jak Lei Roberston.

Nick Raphael przez chwilę milczał.

- Jak dawno to było?

- Parę tygodni temu.

- I dopiero teraz pani z tym przychodzi? Zaczerwieniła się, słysząc naganę w jego głosie.

- Myślałam, że ponosi mnie wyobraźnia. Moje na-

zwisko wiele razy pojawiało się w gazecie, a nie brakuje ludzi, którzy uwielbiają głupie żarty. Nie przypuszczałam... nie sądziłam, że naprawdę coś mi grozi.

- Ale zmieniła pani zdanie?

- Tak! Ktoś był w moim domu. Ktoś obcy dotykał moich rzeczy, Bóg wie czego. Włączył muzykę pani i pana X. Chyba dobrze, że przyszłam, prawda? A może pańskim zdaniem histeryzuję?

- Niech się pani tak nie irytuje. Staram się tylko jak najwięcej dowiedzieć.

- Przepraszam. Bardzo się zdenerwowałam.

- Czy Raven i Julie miały podobne telefony?

- Nie. Wygląda na to, że zostałam wybrana. Zapisał coś w notesie.

- Czy coś pani zginęło? - spytał. - Coś było ruszane?

- Oprócz mojego spokoju? - odpowiedziała pytaniem. - Nie wiem.

Weszłam do domu, ale kiedy zdawało mi się, że słyszę czyjeś kroki, uciekłam.

- Ktoś tam wciąż był?

- Byłam pewna, że słyszę... - Uniosła rękę do skroni.

- Tak mi się zdawało.

- Dobrze pani zrobiła. Teraz z pewnością ten ktoś zdążył już dawno się ulotnić, ale na wszelki wypadek wyślę z panią policjanta. - Zerknął na swoje zapiski.

- Domyśla się pani, kim może być ten tajemniczy gość?

- Nie. Chociaż... mam teraz nowego... - Zawahała się. - Nieważne.

- Co pani ma? - zapytał.

- Nowego pacjenta - wyjaśniła po chwili. - Bardzo dużo mówi o seksie i dominacji nad partnerkami. Jego wypowiedzi niezwykle mocno kojarzą mi się z panem i panią X. Mam dziwne uczucie... czasami mi się zdaje, że on się mną bawi, prowadzi jakąś grę. Myślę, że to go podnieca.

- Świetnie. Dobry początek. Jego nazwisko?
  - Proszę?
  - Jak się nazywa ten pacjent? Od niego zacznę śledztwo, zaraz mu zadam parę pytań.
  - Nie mogę tego powiedzieć! To...
  - Informacja zastrzeżona - dokończył sarkastycznie, zamykając notes. - To co mam zrobić?
  - Nie wiem. - Była zrozpaczona. - Ale nie wolno mi zdradzić nazwiska pacjenta. To nieetyczne.
  - Woli pani umrzeć?
- Jej policzki zrobiły się purpurowe, skoczyła na równe nogi.
- Dziękuję, że poświęcił mi pan czas. Proszę mnie nie odprowadzać, znam drogę.
  - Pani doktor... Andie, zaczekaj! - Szybko wstał. - Zawołam policjanta, który pójdzie z tobą do domu. Spisze raport.
  - Dziękuję - powiedziała chłodno. - Jestem zobowiązana.
  - Informuj mnie o wszystkim. Daj mi znać, jeśli znowu ktoś przyśle ci anonim albo zadzwoni, lub też zjawią się nieproszeni goście.
  - Proszę się nie martwić.
  - Jeszcze jedna sprawa. - Wychodząc, odwrócił się do niej. - Na przyszłość, pani doktor, jeżeli ktoś zapowiada, że założy ci pętlę na szyję, nie czekaj z wezwaniem policji, aż zacznie to robić.

## ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIERWSZY

Nick czuł się nieswojo, przekazując Andie drugiemu policjantowi, choć miał świadomość, że sam nie działałby więcej. Pocieszał się, że oddał Andie w dobre ręce. Była absolutnie bezpieczna. A on miał ten weekend spędzić z Marą.

Gdyby przynajmniej Andie nie wyglądała to na kompletnie zagubioną, to na wyzywająco odważną. Gdyby nie wiedział, jak ogromnie jest przerażona i jak bardzo rozdarta między strachem i etyką zawodową. Potrząsnął głową i stwierdził, że ponosi go wyobraźnia. Doktor Bennett nie była już piętnastoletnią dziewczynką, ale dorosłą, wykształconą kobietą. Da sobie radę.

Zatrzymał się i obejrzał za siebie. Andie nie ruszyła się z miejsca przy biurku, gdzie ją zostawił. Obejmowała się ramionami, a wyraz jej twarzy wstrząsnął nim. Do diabła. Dlaczego akurat teraz?

- Tatusiu! - zawołała Mara, wiercąc się w kącie.

- Skończyłeś? Chcę już iść.

Chwycił ją i przytulił mocno.

- Co się dzieje, nie ma więcej przestępców? Dziewczynka wydeła wargi.

- Wszystkich złapałam. - Pociągnęła go za rękę.

- Jestem głodna.

- Dobrze, kochanie, jeszcze jeden drobiazg. - Zerknął przez ramie. - Muszę tylko...

Andie Bennett zniknęła. Wyszła, prawdopodobnie z Wilkensem. Nick ucieszył się, że wreszcie bez wyrzutów sumienia może opuścić biuro. Uśmiechnął się do córki.

- Gotowa?

Nie minęło kilka minut, kiedy znaleźli się w samochodzie. Mara siedziała przypięta pasem na siedzeniu obok kierowcy i trajkotała o wszystkim i o niczym.

Zerkał na nią, uświadamiając sobie, jak bardzo mu jej brak. Jak tęskni za jej codzienną obecnością, wspólnymi zajęciami, które kiedyś przyjmował za rzecz zupełnie oczywistą.

- Kto to jest ta pani, tatusiu?

- Jaka pani? - spytał, skręcając z Main.

- Ta, z którą rozmawiałeś.

- Mówiłaś, zdaje się, że to przestępca. Mara spojrzała na niego zniecierpliwiona.

- Przecież tylko udawałam. Gdyby była przestępcą, miałaby kajdanki.

Nick zaśmiał się. Córka nigdy nie przestawała go zaskakiwać.

- Skąd ty jesteś taka mądra? Uniosła ramiona.

- Bo ja wiem. Kto to był?

- Stara znajoma - odparł Nick, rozbawiony tym określeniem. W jakimś sensie mówiło ono prawdę, chociaż połączyło ich tylko kilka koszmarnych godzin. Ciekawe, jak przedstawiłaby go Andie? Na pewno nie jako przyjaciela, już prędzej jako natręta.

- Przyszła zobaczyć się ze mną w ważnych sprawach zawodowych.

- Jakich?

- A to już nie twoja sprawa. - Zatrzymał się na czerwonym świetle, wyciągnął rękę i postukał palcem wskazującym w czubek nosa Mary. - Co chcesz zjeść?

- Hot dogi. Skrzywił się.

- Proszę o inną odpowiedź.

- Pizzę?

Zapaliło się zielone światło, Nick ruszył.

- U wujka Tony'ego? - zapytał, mając na myśli włoską restaurację swojego brata.

Mara zamyśliła się na chwilę.

- Dobrze. Tatusiu? Zerknął na nią kątem oka.

- Tak?

- Ta pani, no twoja znajoma - dziewczynka wierciła się na siedzeniu - jest ładna.

Nick zdusił śmiech. Mara z pewnością nie powiedziała tego bez kozery. A kiedy ona czegoś chce, obojętnie, czy chodzi o nową zabawkę, czy odpowiedź na pytanie, jest uparta jak osioł. W żaden sposób nie można jej wtedy pohamować, odwrócić uwagi, a przynajmniej nie na długo. Zresztą przypominała w tym swojego ojca. Jenny wymyślała im obojgu od osłów, za to Nick uznawał to za dobrą cechę charakteru, która bardzo pomogła mu w wielu życiowych sytuacjach.

- Tak - powiedział, zwalniając przed zakrętem. - Też tak mi się wydaje.

- Chociaż nie tak ładna jak mama.

Nie skomentował. W tej chwili jedyne słowa, jakimi potrafiłby opisać swoją byłą żonę, absolutnie nie nadawały się dla uszu dziecka. Prawdę mówiąc, nie potrafił nawet myśleć o Jenny bez zgrzytania zębów.

- Lubisz ją?

- Jest miła. - Spojrzał na Marę. - A tobie się spodobała?

Wzruszyła ramionami.

- Nie lubię Bernarda, z nim nie jest tak zabawnie jak z tobą.

Bernard Jameson, złodziej, który ukradł mu żonę, gnój, który rozbił mu rodzinę. Nick zacisnął palce na kierownicy, z trudem powściągając wściekłość.

Ten drań miał teraz częstszy kontakt z jego córką niż on sam, jej ojciec.

- On nie jest twoim tatą - warknął. - Nie ma powodu, żebyś się z nim dobrze czuła. - Natychmiast pożałował ostrych słów. Uśmiechnął się, starając się zbagatelizować poprzednie zdanie. - Twój tata jest po prostu wyjątkowo zabawny.

Mara w obronnym odruchu opuściła ramiona i w milczeniu zaczęła patrzeć przez okno.

Nickowi wpadła do głowy przerażająca myśl. Długo zastanawiał się, w jakie ubrać ją słowa.

- Bernard nie jest... nie jest chyba zły dla ciebie, co? Nie robi ci nic złego?

Mara odwróciła się do ojca i spuściła wzrok. Pokręciła przecząco głową.

- Na pewno? Bo jeśli jest dla ciebie niedobry, tatuś zaraz się tym zajmie, obiecuję ci, kochanie.

Skinęła głową, bawiąc się zapięciem pasa.

- To nie to... - Spojrzała na niego, broda jej drżała, a oczy zaszyły łzami. -

Kiedy wrócimy z mamą do domu? Nie podoba mi się to nowe mieszkanie, chcę być z mamą i z tobą.

Z tego, co wiedział Nick, wynikało, że Jenny i jej narzeczony psychiatra zamieszkali razem. Doprowadzało go to do furii, ale był bezradny.

Adwokat powiedział mu, że starania o pełną opiekę nad córką doprowadziły

by tylko do pogłębienia konfliktu z Jenny, a najbardziej w tej batalii ucierpiałaby Mara. Zresztą rozpętanie wojny groziło mu przegraną, natomiast obecna sytuacja gwarantowała mu częściową opiekę nad dzieckiem, na co Jenny wyraziła zgodę.

- Moja córeczka - powiedział Nick, zatrzymując samochód i wciągając ją na kolana. - Ja też chciałbym, żebyśmy byli razem, niczego bardziej nie pragnę. Ale twoja mama...

Uciał, bo miał na końcu języka niezbyt przychylne dla Jenny słowa. Chciał powiedzieć Marze prawdę, całą winą za zaistniałą sytuację obarczając żonę. Słowa same pchały mu się na usta.

Ale Mara kochała matkę, a Nick nie chciał ranić jej uczuć.

Westchnął więc tylko i przytulił dziewczynkę.

- Mamusia i tatuś mają drobne kłopoty. Mamusi nie jest ze mną dobrze. Mara kiwała głową.

- No, ciągle miała kwaśną minę, nigdy się nie uśmiechała.

Teraz się uśmiecha. Stwierdzenie Mary kompletnie go zatkało. Bernard potrafi sprawić, że jego żona się uśmiechała, a on tego nie umiał.

- To prawda - zaczął znów. - A kiedy tak się dzieje, rodzice muszą zamieszkać osobno.

- Na zawsze?

W jej głosie tkwiła nadzieja, której Nick nie chciał zabierać córce. Lecz wtedy musiałby skłamać. Już nigdy nie zejda się z Jenny, a przynajmniej do czasu, aż żona odzyska rozum.

- Najczęściej tak zostaje na zawsze. Rozumiesz?

- Chyba - odparła cicho.

Wiedział, że Mara nie rozumie. Miała dopiero sześć



lat, a w tym wieku świat i ludzie są czarno-biali, lubi się ich albo nie, są mili albo niemili. Podstawił palec wskazujący pod brodę Mary i przekreślił ku sobie jej twarz.

- Coś ci powiem. Tak się stało, że mieszkamy z mamą osobno, ale kochamy cię tak samo jak zawsze. Jesteś dla nas najważniejsza na świecie i zawsze będziesz najważniejsza.

Uściskała go radośnie.

- Kocham cię, tatusiu.

- Ja też cię kocham. Chodźmy wreszcie na tę pizzę. Mara zeszła z jego kolan, a kiedy zapięła pas, Nick

ruszył. Wówczas uświadomił sobie, że znajdują się niecałe dwie przecznice od domu Andie. Policjant powinien był już do tej pory zakończyć inspekcję, mógł też coś znaleźć.

Czyżby mężczyzna nękający doktor Bennett był jednak panem X?

- Dzieciaku - zwrócił się do Mary Nick. - Pozwolisz, że się jeszcze na moment zatrzymamy? - Widząc, że dziewczynka marszczy brwi, dorzucił: - Co prawda będziesz musiała wziąć ze sobą pas z bronią, bo to policyjna sprawa.

Po chwili zbliżali się do domu Andie. Wszystkie okna jaśniały światłem. Andie stała na ganku z Wilkensem, którego samochód stał zaparkowany na podjeździe. Najwyraźniej inspekcja została zakończona.

- Cześć! - zawołała Mara, biegnąc z wyciągniętą bronią. - Policja!

- Inspektor? - Wilkens był wyraźnie zdziwiony. - Czy coś się stało?

- Przejeżdżaliśmy tędy i wpadłem zobaczyć, co pan znalazł.

- Nic - rzekł policjant. - Jeśli ktoś tu był...

- Nie „jeśli” - ze złością poprawiła go Andie. - Ktoś włamał się do mojego domu.

- Niech się pani tak nie irytuje. - Nick spojrzał jej w oczy. - Gdybym uznał pani słowa za wymysł, nie przysłałbym tu Wilkensa. No i sam bym się nie zjawił. Porucznik Wilkens nie najlepiej się wyraził, prawda, kolego?

- Tak jest - odparł Wilkens automatycznie. - Proszę mi wybaczyć.

- Szukał pan odcisków palców?

- Tak, znalazłem tylko to. - Wilkens uniósł przezroczysty plastikowy woreczek, w którym znajdowała się płyta kompaktowa.

Nick rzucił na nią okiem, myślami przenosząc się w przeszłość, do Lei Robertson i jej nieznanego zabójcy, którym najprawdopodobniej był ów pan X.

Czyżby i to było jego dziełem?

- Którędy wszedł? - spytał.

- Jest wiele możliwości - rzekł Wilkens. - Większość okien była otwarta, podobnie tylne drzwi wyjściowe.

Mężczyźni spojrzeli na Andie, która zaczerwieniła się.

«- To jest Thistledown, na Boga! - Uniosła rękę, żeby powstrzymać krytykę Nicka. - Wiem, wiem, zachowałam się nieostrożnie, ale wszystko jest już pozamykane i tak zostanie. Zapewniam.

- Dobrze. - Nick skinął głową. - Zauważyła pani, czy coś zniknęło z domu? Coś zostało zniszczone?

- Nie zauważyłam - odparła, obejmując się, jakby zmarzła.

- Jeśli to wszystko, inspektorze - odezwał się Wilkens - muszę lecieć, mam kolejne wezwanie.

Nick puścił go i odwrócił się do Andie.

- Jak się czujesz?

- Tak dobrze, jak można się czuć w takich okolicznościach. - Rozglądała się niespokojnym wzrokiem.

- Wiem, że nikogo tam już nie ma, ale jakoś... nie mam ochoty tam wchodzić. Nie wiem, czy boję się, że ten ktoś wróci, czy ciarki mnie przechodzą na myśl, że jeszcze niedawno tam był.

- To całkiem naturalne. Jeśli to ci pomoże, powiem, że moim zdaniem ten osobnik już tu nie wróci. Kimkolwiek jest, nie chce stanąć z tobą twarzą w twarz. Pewnie śmiertelnie go wystraszyłaś, gdy wróciłaś do domu, zanim zdążył wyjść. Tacy ludzie zwykle tylko straszą.

- Ale po co?

- Nie wiem. Nie mam nawet dość informacji, żeby spekulować.

- Jeżeli w grę nie wchodzi sprawa Lei Robertson, to skąd ta muzyka? Nick poszukał wzrokiem Mary, która ukryła się za krzakiem, udając, że śledzi przestępców.

- Ten ktoś, kimkolwiek jest - zaczął znów Nick

- może wykorzystywać przeszłość, żeby zaleźć ci za skórę.

- Wielkie dzięki - mruknęła. - Od razu mi lepiej.

- Możesz mi dać nazwisko tego nowego pacjenta, tego, który...

- Nie mogę - ucięła. - Chociaż wcale nie jest mi z tym dobrze.

Mara przebiegła obok nich, udając dźwięk silnika. Zatrzymała się i spojrzała na Andie.

- Może pani niedobrze z głodu. - Pogłaskała się po brzuchu. - Mnie już burczy.

Andie roześmiała się.

- Masz rację. Mnie też burczy w brzuchu.

- To niech pani idzie z nami na pizzę do wujka Tony'ego.

- Wujek Tony to mój brat - wyjaśnił Nick. - Jest właścicielem pizzerii „Bella”.

- Nieraz ją mijałam, ale nigdy tam nie byłam.

- Najlepsza włoska knajpa w Thistledown. Mara złożyła dłonie.

- Tatusiu, czy pani może z nami iść?

- Dziękuję, Maro - odparła Andie, potrząsając głową. - Byłoby na pewno bardzo miło, ale...

- Zapraszamy - odezwał się Nick. - Naprawdę. Sprawisz nam wielką przyjemność.

Nie wierzył własnym uszom. To miał być wieczór sam na sam z Marą, ich pierwszy wspólny wieczór tego tygodnia. Ostatnią osobą, jaką chciałby mieć jeszcze u boku, była Andie Bennett.

Sądząc z wyrazu jej twarzy, była równie jak on zdumiona zaproszeniem. Otworzyła usta, żeby odmówić, lecz ku swojemu zdumieniu powiedziała:

- Tak.

- A więc tak? - powtórzył, bo jej zgoda wydała mu się niewiarygodna. - Pójdiesz z nami?

- Oczywiście. Czemu nie? - Spojrzała na Marę i uśmiechnęła się. - Dziękuję ci za zaproszenie.

Rozbawiony Nick patrzył to na córkę, to na Andie. Wychodziło na to, że zje kolację z Andie Bennett, czy tego chce, czy też nie.

- No to w porządku - rzekł, kierując się w stronę samochodu. - Idziemy?

## **ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DRUGI**

Andie uparła się, że pojedzie swoim wozem, i dopięła swego. Przez całą drogę, jadąc za Nickiem i Marą, wyrzucała sobie, że przyjęła zaproszenie. Co też przyszło jej do głowy, żeby wybierać się na kolację z inspektorem Raphaelem i jego córką? Po pierwsze nie lubiła go, po drugie nie należało zapominać o jego żonie.

Ciekawa była, co powiedziałyby na to Raven. Nieźle by się uśmieła, wiedząc, że Andie poszła do restauracji z człowiekiem, którego przez ostatnie tygodnie nie nazywała inaczej niż wrogiem. Z mężczyzną, którego określała w rozmowie jako zimnego aroganta i natręta. Jeszcze bardziej ubawiłby ją fakt, że Nick jest żonaty. Raven, co prawda, nie robiło to żadnej różnicy, za to Andie z tego powodu bez przerwy prowadziła jej kazania.

Andie przypomniała sobie minę Nicka, gdy przyjęła zaproszenie, i uśmiechnęła się. Sytuacja była naprawdę komiczna. Trudno nawet powiedzieć, które z nich było bardziej skonsternowane.

Przed nimi pojawiła się restauracja „Bella”. Andie spoważniała. Dobrze wiedziała, dlaczego zgodziła się na wspólną kolację. Bała się zostać sama w domu. Sumienna inspekcja Wilkensa, jego zapewnienia, że w jej domu

nie nia żadnych intruzów, nie pomogły. Perspektywa samotnego wieczoru przerażała ją.

Co prawda, nie byłaby całkiem sama. Towarzyszyłyby jej duchy pani i pana X oraz pamięć o nie rozwiązanej dotąd tajemnicy morderstwa Lei Robertson.

Był to wystarczający powód, żeby wyjść z prawie obcym i nie lubianym mężczyzną, który na dodatek ma żonę i dziecko oraz zapewne masę własnych problemów. Andie miała tylko nadzieję, że kiedy wróci do domu, nie będzie już myśleć o przeszłości i o tajemniczym gościu, tylko rozważać będzie fenomen metamorfozy Nicka Raphaela, który z wrażliwego młodego mężczyzny przemienił się w apodyktycznego i nieczułego gliniarza.

Po dwudziestu minutach Andie zmieniła zdanie. Mara była cudownym dzieckiem, na swój wiek dojrzałym, mądrym i zabawnym. W ciągu tygodnia Andie nie śmiała się tyle, ile teraz w ciągu paru minut.

Nick prywatnie także okazał się zupełnie innym człowiekiem. Nie da się ukryć, że ją oczarował.

A może, pomyślała, przyglądając się ze śmiechem, jak ojciec z córką siłują się na ręce, oczarowała ją ta para. Miłość Nicka do córki biła z jego oczu i dźwięczała w każdym jego słowie, widać ją było w każdym geście i grymasie.

Obraz tych dwojga przypomniawszy jej własne dzieciństwo i stosunki z ojcem, dopóki nie zamieszkał z Leezą.

Podeszła do nich kelnerka, ładna, młoda dziewczyna, nie więcej niż szesnastoletnia.

- Cześć, wujku - powiedziała, żując gumę. - Cześć, Mara. - Położyła na stoliku pudełko kredek oraz zeszyt do kolorowania i bez cienia skrępowania przyjrzała się Andie. - Dobry wieczór.

Nick przedstawił je sobie.

- Andie, to moja bratanica, Sam. Sam, to doktor Andie Bennett.  
- Miło mi cię poznać - powiedziała Andie z ciepłym uśmiechem.  
Dziewczyna lustrowała ją jeszcze chwilę, jakby wahała się, czy  
zaaprobować tę kolację we troje. Wreszcie skinęła głową.  
- Mnie też miło. - Wręczyła im menu. - Chcesz piwo, wujku?  
Nick zerknął na Andie.  
- Napijesz się czerwonego wina?  
- Z przyjemnością.  
Nick spojrział na bratanicę.  
- Przynieś nam wasze czerwone wino. Dziewczyna uniosła brwi i  
nachyliła się do Mary.  
- A co dla Shirley Tempie?  
Mara była skupiona nad rysunkiem.  
- Z wiśniami.  
- I niech ten mój szanowny brat się tu pojawi. Ma u mnie dług! - zawołał  
Nick za oddalającą się Sam.  
Kiedy dziewczyna zniknęła w kuchni, Andie zwróciła się do Nicka:  
- Głupio się czuję. Twoja rodzina myśli pewnie... chociaż to nic nie  
znaczy, ale...  
- Jesteśmy z żoną w separacji.  
- O! - zdumiała się, choć po zachowaniu Nicka powinna się była tego  
domyślić. - Przepraszam - mruknęła speszona.  
- Nie ma powodu. Stare dzieje.  
Nie tak stare, pomyślała, dostrzegając, jak Nick zacisnął wargi.  
- Mamusia i Bernard są w Nowym Jorku - włączyła się Mara. - Przywiozą  
mi prezent z największego na świecie sklepu z zabawkami.

Bernard? To musi być nowy facet pani Raphael, co świadczy o tym, że separacja trwa na tyle długo, by żona Nicka zaczęła spotykać się z kimś innym. A co z nim?

Andie rzuciła w jego stronę ukradkowe spojrzenie. Wyglądał, jakby miał wybuchnąć, a zatem, stwierdziła, jest sam.

Z kuchni wyłonił się brat Nicka i powitał ich wylewnie. Był starszy i potężniejszy, co nie znaczy, że mniej przystojny. Szeroko gestykulował, a jego głos rozlegał się w całej restauracji.

- Kim jest ta miła osoba, braciszku? - Wyraźnie zaintrygowany spojrzał na Andie.

- Znajoma - odparł Nick. - Doktor Andie Bennett, mój brat Tony.

- Miło mi.

- Serdecznie witamy. - Tony uśmiechnął się z dwuznacznym błyskiem w oku, którego Nick nie skomentował, jeśli w ogóle go zauważył. - Znajomi mojego brata są moimi znajomymi.

Tony promieniał. Obrócił się i zawołał tubalnie:

- Bella, chodź, poznasz znajomą Nicka!

- Bella to jego żona - szepnął Nick do ucha Andie.

- Spodoba ci się, jest fantastyczna.

I rzeczywiście taka była. Przyjacielska, pełna życia, miała cięty język i, jak zgadywała Andie, podobny temperament. Dobrze sobie radziła z porywczymi braćmi.

Sam przyniosła wino i kieliszki, po czym z niesmakiem spojrzała na rodziców.

- Mam dużo zamówień. Nie możemy przenieść zjazdu rodzinnego na inny termin?

- Dzieciaki - odezwał się Tony, kręcąc głową.

- Pojęcia nie mają, co jest najważniejsze w życiu.



Sam, stojąc dwa stoliki dalej, oczywiście to usłyszała.

- Napiwki! - zawołała. - To jest najważniejsze.

- Ona ma rację. - Bella drażniła się z mężem. - Kuchnia czeka.

Podyskutowacie sobie o baseballu przy innej okazji. - Uśmiechnęła się do Andie. - Cieszę się, że cię poznałam. Wpadaj do nas jak najczęściej.

Andie przyrzekła, że wpadnie, a Bella wyciągnęła rękę do Mary.

- Słodki groszku, chodź, przygotujemy razem pizzę. Nałożysz sobie, co tylko będziesz chciała.

Nick patrzył za nimi.

- Muszę cię ostrzec, będzie pizza z wiśniami. I to niejedna.

Andie roześmiała się.

- Masz wspaniałą rodzinę.

- Tak uważasz? Moim zdaniem lepiej pasuje określenie: szaloną.

Zaśmiała się ponownie i wypila łyk wina, które okazało się bardzo dobre, dojrzałe, z owocowym posmakiem.

- Nie ma mowy o szaleństwie, uwierz mi, jestem w końcu psychiatrą.

Uniósł kącki ust.

- Poza Tonym mam jeszcze dwóch braci i dwie siostry. Kiedy spotykamy się wszyscy razem, jesteśmy hałaśliwi i nieznośni. Mama ma pełne ręce roboty. A ty? Nie pamiętam, czy masz rodzeństwo.

- Mam dwóch kochanych braciszków, bliźniaków. Cztery lata młodszych.

- Jesteście ze sobą blisko?

Zastanowiła się przez moment. Tak, byli blisko, ale nie tak jak Nick ze swoim bratem.

- Bliźniacy zawsze robili wszystko razem, są najlepszymi przyjaciółmi. Zresztą to chłopcy, a ja...

- Nie.

Uśmiechnęła się.

- No właśnie. Poza tym ja zawsze miałam Raven i Julie, które są dla mnie jak siostry.

Z kuchni dobiegł ich wysoki pisk.

- Mara jest świetnym dzieciakiem - stwierdziła z uśmiechem. - Musisz być z niej bardzo dumny.

- Pewnie - odparł spontanicznie, a równocześnie jakimś tęsknym tonem. - Dzień jej narodzin był najszcześniejszym dniem mojego życia. - Zaśmiał się, lekko zmieszany tym wyznaniem. - Oho, taki twardy glina, a mięknie.

- Uważam, że to słodkie.

- Słodkie? - Oparł brodę na zaciśniętej pięści. - O tym zawsze marzyłem. Postaram się być słodki, kiedy następnym razem rzucę jakimś cholernym draniem o ziemię.

Andie nagle uznała, że Nick jest wyjątkowo interesującym facetem.

- Nie przejmuj się, naprawdę nie musisz wyciągać swojej broni, żeby pokazać, jaki z ciebie twardziel.

- Wyciągać swojej broni? - Uśmiechnął się dziwnie. Andie zaczerwieniła się, uświadamiając sobie dwuznaczność swoich słów.

- Mam na myśli twój rewol... - Ucięła i wybuchnęła śmiechem. -

Przepraszam.

- Proszę. - Nick uśmiechał się. - W każdej chwili możemy pogadać o mojej broni. Zawsze do usług.

Potrząsnęła głową, zdumiona, że zaczęli rozmowę na ten temat. Jednak nie chciała tego ciągnąć.

- Nick, masz wspaniały kontakt z Marą. Nie straciłeś córki, mimo że nie mieszkacie już razem.

- Bardzo się cieszę. Zabiegam o to. Kolejny pisk doleciał z kuchni.

- Pewnie za nią tęsknisz. - Zmieszana Andie uniosła dłoń. - Wybacz, to nie moja sprawa.

- Nie szkodzi. - Spoważniał. - Ale masz rację, jest ciężko. Powiem więcej, bardzo boli. Ale to nie zależy ode mnie.

- Nie powinnam była się wtrącać. - Andie zrobiła delikatny ruch ręką. - To nie mój interes, przepraszam.

Nick upił wina, starając się przy tym bezskutecznie zachować obojętność.

- To ja nie powinienem był tak klepać, ale co tu kryć, jestem trochę wkurzony na moją żonę. Doszła do wniosku, że nie warto ratować naszej rodziny, a ja byłem innego zdania.

- Jak dawno to się... stało?

- Parę miesięcy temu.

Świeża rana. Zbyt świeża, żeby Andie mogła siedzieć tu sobie wygodnie, zadowolona, i myśleć o Nicku tak, jak myślała. To prosta droga, żeby wpaść w nie lada kłopoty.

Można nawet złamać sobie serce.

- A ty, Andie? Co robiłaś przez te piętnaście lat?

- Nic wielkiego. Szkoła, studia, potem zaczęłam praktykę.

- Objiałaś się, co?

Rozbawiona, uniosła jedno ramię. Rozbawiona i oczarowana.

- Tak jakby.

- Żadnych mężów ani dzieci?

- Nie. Małżeństwo zostawiłam Julie, już trzy razy przysięgała wierność do grobowej deski.

- Rany!

- No właśnie.

Nick bawił się kieliszkiem. Wino o barwie głębokiej

czerwieni kołysało się i falowało, chwytając światło, które chwilami zamieniało czerwień w purpurę.

- A co z twoją drugą przyjaciółką, Raven? Macie dalej bliski kontakt?

- Jesteśmy najlepszymi przyjaciółkami. - Andie założyła kosmyk włosów za ucho. - Zabrzmiało to bardzo po dziewczęcemu, prawda? Ale tak długo już się znamy, że w zasadzie jesteśmy jak rodzina. Wszystko robimy wspólnie.

Ich spojrzenia spotkały się, w kącikach oczu Nicka pojawiły się zmarszczki rozbawienia.

- Interesujące.

Zaczerwieniła się, rozumiejąc, co Nick ma na myśli.

- Wszystko w granicach rozsądku.

- Raven całkiem dobrze sobie radzi, słyszałem coś o jej interesach. Czym się zajmuje? To zdaje się coś...

- Projektuje i urzęduje wewnątrz. Jest w tym naprawdę dobra.

- Przyda się taki kontakt, gdy znów będę chciał coś machnąć farbą i wybrać poduszki do rzucania.

Andie wybuchnęła śmiechem.

- Raven naprawdę ma klasę. Ostatnio dostała zlecenie na nowej budowie, w Gatehouse.

Nick przekrzywił głowę i zadumał się.

- Czy to nie dziwne? Biorąc pod uwagę koszmar, jaki przeżyła?

- Tak i nie. Umysł ludzki jest zupełnie niewiarygodny. Niektórzy przechodzą przez prawdziwe piekło i wychodzą z tego obronną ręką.

Udaje im się prowadzić całkiem normalne, szczęśliwe, satysfakcjonujące życie. Inni doświadczają o wiele mniej traumatycznych przeżyć, które jednak niszczą ich psychikę.

Nick słuchał jej zaabsorbowany.

- Ale skąd wiadomo, kto sobie poradził, a kto...

- Przegrał? - dokończyła. - To proste, wystarczy popatrzeć na ich życie. Czy są produktywni? Szczęśliwi? Czy żyją w normalnym społeczeństwie? Czy mają stabilne i zdrowe związki z innymi ludźmi? - Andie napiła się wina. - Rozmawialiśmy o tym z Raven. Ona twierdzi, że trzyma się dzięki naszej przyjaźni, ze mną i z Julie. Uważa, że wspieramy ją emocjonalnie.

- Wierzysz w to? Andie zmarszczyła brwi.

- Czemu miałabym nie wierzyć?

- Nie to chciałem powiedzieć. Czy jako psycholog uznajesz jej ocenę za prawdziwą?

Andie wodziła palcem wzdłuż krawędzi stołu nakrytego obrusem w czerwono-białą kratę.

- To częste zjawisko. Każdy człowiek szuka punktu zaczepienia, jakiegoś centrum, oparcia dla swojego życia. Dla niektórych taką funkcję pełni Bóg, dla innych rodzina, jeszcze dla innych praca lub jakiś cel, idea. U ludzi, którzy mają za sobą traumatyczne przeżycia, ta potrzeba jest dużo większa i dużo mocniej się do niej przywiązują.

Nick milczał chwilę, zastanawiając się nad jej słowami.

- Ciekaw jestem, co się dzieje, kiedy zostajemy pozbawieni takiego emocjonalnego wsparcia.

- Nie wiem, czy dobrze cię rozumiem.

- Jeśli ktoś istnieje wyłącznie dzięki takiej opoście, co się stanie, gdy zostanie jej pozbawiony?

- To też sprawa indywidualna. Czasami nic się nie dzieje, bo taki ktoś rzuca kotwicę gdzie indziej, albo też zaczyna polegać wyłącznie na sobie.

- Albo mu odbija.

- Odbija? - powtórzyła zdziwiona.

- Tak. No wiesz, na przykład podkłada ogień

na boisku pełnym dzieciaków albo zaczyna zabijać siekierą.

- Żartujesz sobie ze mnie?

- Ja? - Postukał się palcem w piersi. - Wcale. Nick przypominał teraz Andie chłopca złapanego

w szatni z ręką pod spódnicą koleżanki. Aż biło z niego poczucie winy.

Nachylił się ku niej, zaciekawiony.

- Jak myślisz? Czy coś takiego może doprowadzić człowieka do obłądu?

- Przypuszczam, że sama trauma jest wielkim przeżyciem. To może być kolejna zdrada czy rozczarowanie, których wiele doświadczyliśmy, lecz tego ostatniego już nie potrafimy znieść. Ale to się rzadko zdarza. W większości ludzie są tacy, jakimi nam się wydają.

- Wystarczy się na tym oprzeć, żeby poznać człowieka?

- Zasadniczo tak.

- Nie uważasz, że w ten sposób możesz łatwo dać się oszukać? Przecież taki socjopata może nałożyć maskę, pod którą ukrywa swoje prawdziwe oblicze. I nikt go nie przejrzy.

- Nikt? - Pokręciła głową. - Może nie każdy, ale najbliżsi, rodzice, rodzeństwo, żona, domyślają się, że coś nie gra, tylko nie dopuszczają tego do świadomości. Przyznają, że ich bliski zaczął zachowywać się inaczej niż kiedyś, ale zaprzeczają, że kryje się w tym niebezpieczeństwo.

- Na przykład seryjny morderca, który w dzieciństwie dręczył zwierzęta.

- Tak. Rodzina uzna, że to trochę dziwne, ale stwierdzi, że to przejściowe.

Wątpię jednak, żeby udało się oszukać kogoś, kto zajmuje się ludzką psychiką

zawodowo. W każdym razie na pewno nie tego, kto dokładnie obserwuje swojego pacjenta.

- I tu się różnimy, pani doktor. Sprytny zbrodniarz owinie sobie każdego psychiatrę wokół palca. Nie da ci żadnej szansy. Codziennie mam na to dowody.

Pokręciła głową, bardziej rozbawiona niż zirytowana.

- Codziennie?

- Tak. - Nick opróżnił swój kieliszek. - Zaczyna taki opowiadać, jak to mamusia karmiła go butelką albo zmuszała do siadania na nocniku, kiedy on nie był jeszcze na to gotowy. Zazwyczaj mówicie, że tacy ludzie mieli w dzieciństwie nieczułych ojców i okrutne matki, zapominając, że to zbrodniarze, którzy powinni ponieść karę.

- Przede wszystkim wcale tak bardzo się nie różnimy, inspektorze. - Z delikatnym uśmiechem uniosła kieliszek do ust. - Mylisz się.

Roześmiał się i oparł się wygodnie, zakładając ręce na piersi.

- Pewnie uważasz też, że kryminalista może się zmienić, że możesz uratować takiego gościa.

- Tak, myślę, że może się zmienić. Choć nie podoba mi się to słowo, bo zawiera w sobie ocenę.

- Ocenę? - zaśmiał się znowu, tym razem całkiem serio. Zniżył głos. - Nie mówiłabyś tak, gdybyś dzień po dniu, tak jak ja, widziała to całe gównno. Niektórzy ludzie są naprawdę źli, Andie. Nie mają sumienia, krzywdzą z zimną krwią. Zabijają nie prowokowani. To kompletnie amoralni egoiści, jakby nie należeli do naszego świata. Ale jeśli uważasz, że nie mam prawa oceniać niech tak będzie.

Rozdzieliła ich cisza. Nick spoglądał na Andie z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Poczuli się jak pode-

jrzana w pokoju przesłuchań, zmuszona, żeby patrzeć Nickowi w oczy, które teraz agresywnie prześwietlały ją na wylot.

Zastanowiła się, co Nick zobaczył w jej oczach. Czy dostrzegł, jak bardzo jest nim zafascynowana? Zaczęła wiercić się na krześle, poczuła się trochę nieswojo.

- A co z panem X? - spytał niespodzianie Nick.

- Potrafiłabyś go zmienić? Sprawić, żeby stał się taki jak my? Żeby zaczął myśleć naszymi kategoriami?

Andie natychmiast pomyślała o Davidzie Sadlerze.

- Nie wiem. — Wzruszyła ramionami. — Skąd mogę wiedzieć? Zawsze dużo myślałam o tamtej parze, zwłaszcza o kobiecie. Na przykład czy żyłaby do dzisiaj, gdyby wtedy poddała się psychoterapii.

- Potwornie mnie wkurza, że ta sprawa nie została rozwiązana. Przecież morderca wciąż jest na wolności.

- Nick obejrzał się i ponownie wbił w nią wzrok. - Chcę go złapać.

Któregoś dnia tak się stanie, znajdę go. Bo on nad sobą nie panuje i znowu to zrobi. A wtedy będzie mój.

W tym momencie Mara wypadła z kuchni, niosąc małą pizzę, a Sam, która szła obok, trzymała talerz z pizzą większych rozmiarów.

- Moja jest z wiśniami! - wołała dziewczynka, skacząc wokół Nicka i Andie. - I z ananasem!

Od tej chwili skończyły się dorosłe rozmowy i zapanował kompletny chaos. Andie ze zdumieniem patrzyła na Marę, która wcinała wielkie kawałki owocowej pizzy. Dziewczynka upierała się, żeby ojciec i Andie spróbowali jej przysmaku, i Andie musiała w duchu przyznać, że owocowa pizza jest po prostu paskudna.

W którymś momencie buzia Mary była cała w sosie pomidorowym i Andie, siedząc bliżej, zmoczyła swoją chusteczkę w szklance wody i wytarła sos z nosa i brody



dziecka. Zauważyła, że para siedząca przy sąsiednim stoliku przygląda się im, a kobieta odezwała się do niej:

- Ma pani śliczną córeczkę. Ile ma lat?

- Sześć - odparł Nick, odwracając się. Mężczyzna przy sąsiednim stoliku objął ramieniem swoją partnerkę.

- Właśnie czekamy na nasze pierwsze dziecko.

- Gratuluję państwu - szepnęła Andie z zaciśniętym gardłem.

Myśleli, że są rodziną, że ona jest matką Mary i żoną Nicka.

Kula w jej gardle rosła i twardniała, ledwie pozwalając oddychać. Jak to jest być matką i żoną? - zastanowiła się Andie. Jak to jest mieć własną rodzinę?

Poczuła bolesne ukłucie, które niezmiernie ją zdumiało. A więc tęskniła za dzieckiem, miłością, przywiązaniem. Dotąd zupełnie tego nie pragnęła.

Dobry Boże, co się z nią dzieje?

- Nic nie jesz - zauważył Nick. - Nie jesteś głodna? Spojrzała na swój talerz i zobaczyła, że nie zjadła

jeszcze ani kawałka pizzy. Podniecona własnymi myślami, spojrzała na Nicka.

- Umieram z głodu - powiedziała, tłumiąc śmiech.

## ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY TRZECI

Andie i Nick tak długo rozmawiali, że w restauracji nie został nikt prócz Tony'ego, Belli i personelu kuchennego. Rozmawiali o jego małżeństwie, o tym, dlaczego Andie została psychiatrą i z jakimi niezwykłymi sytuacjami się zetknęła, a także o jego pracy i jej przyjaźni z Raven oraz kłopotach Julie.

Mara zasnęła skulona na kolanach Nicka, który kołysał ją delikatnie i głaskał, nie przerywając dialogu.

Kiedy uświadomili sobie, że Tony i Bella nie mogą przez nich iść do domu, pożegnali się i wyszli. Noc była zimna, aksamitne czarne niebo rozświetlone było mrowiem gwiazd.

Ponieważ Nick trzymał w ramionach Marę, więc Andie otworzyła jego samochód, pomogła mu ułożyć dziewczynkę i przypięła ją pasem. Lekko przebudzona Mara coś mruknęła, po czym przytuliła się do oparcia fotela i spała dalej.

- Ta pannica robi się już za ciężka. - Nick rozcierał dłonie.

- Zawsze potrafi zasnąć w każdym miejscu?

- Tak. W restauracji, w kinie, w sklepie. Kiedyś usnęła w kregielni, pośród toczących się z hukiem kul. Kiedy jest zmęczona, zasypia wszędzie. - Spojrzał

w niebo, potem znów na Andie. - Odprowadzę cię do samochodu.

Uśmiechnęła się.

- Stoi tutaj.

- Zrób mi tę przyjemność. Jestem staroświecki. Zaśmiała się i skinęła głową.

- W porządku.

Obeszli razem jej samochód.

- Dziękuję ci, było bardzo miło.

- Ja też dziękuję. - Spojrzała mu w oczy, miała ochotę, żeby ją pocałował. Ogromnie tego pragnęła.

Opanowała się jednak, bo przecież ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała, był glina-twardziel z dzieckiem, do tego nawet nie rozwiedziony. Andie ma uporządkowane życie, ciekawą pracę, a dzięki Raven i Julie nie czuje się samotna...

Nick wsadził ręce do kieszeni dżinsów.

- Dasz sobie radę?

- Tak - rzekła, choć powrót do domu nie wzbudzał w niej entuzjazmu.

- Gdyby coś się działo, cokolwiek, zaraz do mnie zadzwoń.

- Dobrze.

- Masz moją wizytówkę?

- Tak.

Patrzył teraz na jej usta. Nazwała się w myśli idiotką, w jej głowie dzwoniło na alarm, mimo to uniosła ku niemu twarz.

Nick nachylił się. Zbliżyła się jeszcze odrobinę i zamknęła oczy. Przez moment trwała w oczekiwaniu.

I tyle. Nick sięgnął za nią ręką i otworzył jej drzwi samochodu.

Zażenowana, zdusiła jęk rozczarowania.

- Jeszcze raz dziękuję - rzuciła szybko, odwracając się do niego plecami. - Do zobaczenia, Nick.

- Do zobaczenia, Andie.

Odjeżdżając, obiecała sobie, że się nie obejrzy, już i tak narobiła sobie dość wstydu. Boże, prawie się na niego rzuciła! Zupełnie jak jakaś ulicznica albo zwariowana nastolatka. Gdzie podziało się jej słynne opanowanie? Gdyby nawet miała to wypisane na czole, nie dałaby mu jaśniej do zrozumienia, o co jej chodzi.

Absolutnie, za skarby świata, nie spojrzy we wsteczne lustro.

Zamiast tego zachowała się jeszcze gorzej, obejrzała się przez ramię.

Lecz Nicka już nie było.

## **ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY CZWARTY**

Andie wjechała na podjazd. W głowie miała zamęt. Wyłączyła silnik i oparła głowę, zamykając oczy.

Dawno już nie myślała o żadnym mężczyźnie w taki sposób, jak dzisiaj o Nicku. Wiele czasu minęło od jej ostatniego pocałunku, od ostatniej randki. Skąd się to wzięło teraz? - zastanawiała się. Dlaczego Nick? Mężczyzna zajęty i zupełnie nieodpowiedni?

Nie chciał jej pocałować.

Była z tego powodu równocześnie wściekła i zadowolona. Pocałunek mógł prowadzić dalej, do kolejnego wspólnego wieczoru, ale mogło się też na nim zakończyć. Czego bardziej pragnęła?

Uniosła powieki i patrzyła na swój dom. Oświetlone okna przypominały jej o wcześniejszych wydarzeniach, o tym, dlaczego w ogóle znalazła się w restauracji z Nickiem Raphaelem.

Wysiadła z samochodu i ruszyła do domu, marząc, by znaleźć się w zupełnie innym miejscu. Co do jednego się nie myliła. Chwile spędzone z Nickiem pozwoliły jej nie myśleć o przeszłości i własnych lękach.

Ale tylko na pewien czas.

Weszła na ganek, nerwowo bawiąc się kluczami. Pomyślała, żeby zadzwonić do Raven z komórki, powie-

dzieć jej o wszystkim i spytać, czy może u niej przenocować. Mogła też zadzwonić do Julie. Wróciłyby do siebie rano, kiedy jest widno. Czowała się jak tchórz. Przecież to jej dom. Nie wolno jej dać się zastraszyć przez jakiegoś degenerata. W jej domu nikogo nie ma. Policjant sprawdził skrupulatnie każdy kąt, a potem, przed wyjściem, sama zamknęła wszystkie okna i drzwi.

Otworzyła drzwi, wzięła głęboki oddech i weszła do środka.

Zostawiła zapalone wszystkie światła i teraz podziękowała sobie za to w myśli.

Za jej plecami rozległ się syk otwieranej puszkę z musującym napojem. Andie sparaliżował strach.

- Gdzie byłaś, do diabła? Raven, to tylko Raven.

- Chryste, Raven... śmiertelnie mnie przestraszyłaś. Andie podeszła do sofę i padła na nią, a nogi tak

jej się trzęsły, że nie wiedziała, jak udało jej się tam dojść.

- Jezu, chyba nie powinnaś pić tyle kawy - zakpiła Raven.

Andie histerycznie się roześmiała.

- Nie zauważyłam twojego samochodu... Nie spodziewałam się... -

Uniosła ręce. - Popatrz na mnie, trzęsę się jak osika.

Wymieniły się kiedyś z Raven kluczami, żeby w razie potrzeby jedna mogła dostać się do mieszkania drugiej.

- Co się dzieje?

- Prócz tego, że się o ciebie zamartwiam? - Raven podeszła do sofę i spojrzała na Andie z wyrzutem, ściskając w dłoni puszkę dietetycznej coli.

- Nie wiedziałam, gdzie jesteś. Dzwoniłam godzinami. Gdzie byłaś?

Andie opowiedziała jej o muzyce, nieproszonym gościu i o wizycie na policji.

Wstrząśnięta Raven odłożyła napój na stolik.

- Boże, czemu do mnie nie zadzwoniłaś? Natychmiast bym przyjechała.

- Próbowałam. Odezwała się tylko automatyczna sekretarka. Nie chciałam cię denerwować, więc się nie nagrałam.

- No i dopiero mnie zdenerwowałaś. Wyobrażałam sobie najgorsze. Jezu, Andie. Byłam całkiem niedaleko.

- Raven uważnie przyjrzała się przyjaciółce. - Dobrze się czujesz?

- Tak, poza tym, że przeżyłam szok. O co tu chodzi, Raven? Najpierw telefony, teraz to. Co się dzieje?

- I dlaczego trafiło akurat na ciebie? - Raven potrząsnęła głową. - Co mówi policja?

- Nick zmartwił się, ale niczego się nie domyśla. Przysłał tu mundurowego, który przeszukał dokładnie dom i nikogo nie znalazł.

- Nick Raphael? Ten durny maczo?

- Nie jest taki zły. - Andie stanęła w jego obronie.

- Jest dobrym policjantem.

- Od kiedy? - Raven skrzywiła się. - Przypomnij sobie, pozwolił uciec mordercy pani X.

- Wiesz równie dobrze jak ja, że nie on odpowiadał za tę sprawę.

- No, odsunęli go, bo wszystko schrzanił.

- Nie! Odsunęli go z powodów politycznych. Prasa rzuciła się na tę historię jak gończe psy, a departament potrzebował kozła ofiarnego.

Raven zmrużyła oczy.

- Dlaczego go bronisz?

- Wcale nie, ja... - Andie przerwała.

Na jej ustach błąkał się uśmiech. Nachyliła się ku

Raven, żeby zdradzić jej, co robiła i co czuje do Nicka Raphaela.

- Nie uwierzysz, Rave. Byliśmy razem na kolacji. To znaczy ja z Nickiem.

- Słucham? - Raven uniosła brwi z niedowierzaniem. - Poszłaś na kolację z facetem, który uważa psychiatrów za szumowiny?

- Tak, dziwne, co? - Andie chwyciła dłoń przyjaciółki. - Świetnie się bawiłam. Rave, on jest fantastyczny. - Była naprawdę w euforii. -

Gadaliśmy jak najęci, o wszystkim. Mara jest taka wspaniała, przysięgam, nie widziałam miłszego i mądrzejszego dziecka. - Puściła rękę Raven i wstała, bo roznosiły ją emocje. Zbliżyła się do okna. -

Poznałam jego brata i bratową, bardzo mili ludzie. Wiesz, co mam na myśli? Tacy, jakich chciałabyś mieć w rodzinie. - Śmiała się radośnie. - Dyskutowaliśmy z Nickiem o mojej pracy, o tym, jak różnią się nasze opinie na temat psychologii i prawa. Wcale nam nie przeszkadzało, że myślimy inaczej, przeciwnie.

Raven nie odzywała się ani słowem. Korzystając z tego, Andie pospiesznie opowiadała dalej, o parze siedzącej przy sąsiednim stoliku i o swojej tęsknocie za macierzyństwem i rodziną. O tym, jak bardzo pragnęła, żeby Nick pocałował ją na pożegnanie.

- Masz rodzinę - rzuciła niespodzianie Raven, zrywając się. Jej twarz była pochmurna, prawie zła.

- Co?

- Masz rodzinę. Ty, ja i Julie tworzymy rodzinę.

- Wiem. - Andie zamachała rękami. - Ale nie o takiej rodzinie mówiłam.

- Rozumiem. Chodzi ci o to, żeby stać się szczęśliwą kurą domową. Sługą swojego pana.

- To nie musi tak wyglądać. - Andie poczuła się urażona.



Raven zaśmiała się kpiąco.

- Ależ ty jesteś naiwna.

- Czemu tak mówisz?

Raven zaczęła miotać się po pokoju, jakby nagle zaczęło brakować jej miejsca, a potem, rozwścieczona, obróciła się do Andie.

- I co, pieprzyłaś się z nim? Andie odskoczyła.

- Czasami naprawdę mnie wkurzasz, wiesz?

- Zrobiłaś to? Dobry był?

- Nie mówię o seksie, Raven.

- Nie? A o czym? O miłości? - Drażniła się z Andie. - O przysięgach? Że cię nie opuszczę aż do śmierci?

- Chrzań się, Rave - rzuciła Andie, głęboko zraniona złościwością przyjaciółki. - Chyba już czas na ciebie.

- A co z tym jego dzieciakiem? - ciągnęła Raven bezlitośnie. - Myślisz, że powita cię z otwartymi ramionami? Przypomnij sobie, jak przyjął wiadomość o Leezie.

- To nie to samo! - krzyknęła Andie, dusząc się od łez. - Nie rozbijam rodziny, Nick jest w separa...

- Opamiętaj się. Dla dziecka zawsze będziesz tą drugą - śmiała się Raven.

- Nie spodziewałam się, że zapragniesz związać się z uzbrojonym, niebezpiecznym facetem. A ten na dodatek ma wypisane na twarzy, że jest kobieciarzem.

- Nie znasz go!

- A ty znasz?

- Dobrze ci mówić. Bez przerwy się z kimś umawiasz. Nie obchodzi cię, czy facet jest żonaty, czy żyje w separacji ani czy ma tuzin dzieci!

- Tak jest, Andie, mam to gdzieś. Ale ja się bawię. Chodzę z nimi do łóżka. A ty... - Strzeliła palcami przed jej nosem. - Jedna kolacja i już jesteś cała gotowa do małżeństwa.

- Nie powiedziałam, że chcę za niego wyjść! Tylko tyle, że dobrze się bawiłam. Co w tym złego?

- Nic. Tylko... - Raven wzięła przyjaciółkę za rękę. - Przepraszam. Po prostu dobrze cię znam. Bardzo cię kocham. Nie chcę, żeby cię ktoś skrzywdził.

- Nic mi nie będzie.

- Założę się, że tak samo mówiła twoja mama. A w końcu czuła się zraniona, i to tak mocno, że długo dochodziła do siebie.

Oczy Andie napęłniły się łzami. Tak, Leeza zabrała im ojca. Andie nie była wówczas małym dzieckiem, wiedziała, że ojciec dokonał wyboru. Wiedziała też, że gdyby nie padło na Leezę, byłaby inna kobieta, ale i tak za wszystko ją winiła.

- Ten facet ma żonę, Andie. Przez całe życie powtarzałaś, że nigdy nie zwiążesz się z żonatym mężczyzną ani tym bardziej z dzieciatym. Bo doskonale wiesz, jak dziecko, to przeżywa. Nie chcę, żebyś cierpiała -powtórzyła, przytulając dłonie Andie do swoich policzków. - Jesteś na to za dobra. Zbyt wiele dla mnie znaczysz, nie pozwolę na to.

Andie wyzwoliła dłonie z uścisku Raven i usiadła z powrotem na sofie. Nick był przeciwieństwem wszystkiego, co przyrzekała sobie, myśląc o mężczyznach i małżeństwie. Jej przyjaciółka miała rację. Zachowała się jak idiotka.

No cóż, dobrze się bawiła, Nick zauroczył ją, a ona po raz pierwszy od dawna miała ochotę na seks.

- Masz rację - szepnęła. - Nie wiem, co we mnie wstąpiło.

- Przestraszyłaś się - stwierdziła Raven. - Przy nim poczułaś się bezpieczna.

Andie spojrzała na swoje ręce.

- Pewnie tak.

- Muszę pogadać z tobą o Julie.
  - O co chodzi? T pólprzytomnie spytała Andie.
  - Mam wrażenie, że Julie wróciła do swoich starych sztuczek. Kiedy w grę wchodzi faceci, ta dziewczyna zapomina o lojalności. Nie ma dla siebie krzty szacunku. Tak bardzo się od nas różni.
- Poza moim dzisiejszym wyskokiem, pomyślała Andie. Jak mogła być taka głupia? Nick Raphael w ogóle nie wchodził w grę. Złamałby jej serce, gdyby tylko dała mu szansę. Oparła głowę, czując w środku pustkę.
- Andie? Słuchasz mnie? Myślę, że Julie ma kogoś.
  - To choroba - mruknęła. Była tak zmęczona, że nie miała siły już dłużej rozmawiać. - Uzależnienie. Ona nie może tego rzucić tylko dlatego, że nam się tak podoba. Potrzebuje pomocy.
  - Porozmawiaj z nią, w końcu tym się zajmujesz.
  - Ona nie chce zmierzyć się z prawdą. Nie jest jeszcze gotowa.
  - To co, pozwolisz jej znowu z kimś uciec? Nie obchodzi cię choć na tyle, żeby z nią porozmawiać?
- Andie ugryzła się w język i nie powiedziała, że chce zostać sama. Czuła się winna. Raven od zawsze była jej przyjaciółką, a jeśli tego wieczoru sprawiła jej przykrość, to pewnie Andie należał się taki kopniak. Czuła jednak inaczej. Zupełnie inaczej.
- Westchnęła.
- Pogadam z nią.
- Raven uśmiechnęła się promiennie, podeszła do Andie i objęła ją serdecznie, jakby nic się przed chwilą nie stało.
- Widzisz? - powiedziała radośnie. - Wszystko będzie dobrze.

## ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIĄTY

Andie, zgodnie z obietnicą złożoną Raven, następnego dnia wybrała się do Julie. Zastała ją przy porannej kawie. Była zaspana i wyglądała kiepsko, o czym Andie jej powiedziała.

- Dzięki. Ty też. - Julie uśmiechnęła się. - Wchodź. Przepraszam za ten bałagan, ale buntuję się przeciw boskiej sterylności.

Andie weszła do środka i ruszyła za przyjaciółką do kuchni. Julie wcale nie żartowała, jej niewielkie mieszkanko wyglądało żałośnie. Ubrania, czasopisma i puste puszki po coli leżały porozrzucone dokoła. W zlewie sterczała góra brudnych naczyń, a kuchennego blatu nie widać było spod niezliczonej liczby kartonów. Niegdyś Julie uchodziła za pedantkę, była dumna z tego, że wspaniale potrafiła zadbać o dom.

- Na pewno nic ci nie jest? - spytała Andie, przyglądając się uważnie przyjaciółce. - Wyglądasz naprawdę niedobrze.

- Wczoraj trochę przesadziłam z alkoholem. - Przeciągnęła palcami przez wzburzone włosy. - Chcesz kawy? Właśnie zrobiłam.

- Chętnie.

Gdy Andie sięgnęła po filiżankę, którą podawała jej

Julia, na jej nadgarstku zobaczyła świeży, czerwony ślad. Jeszcze nie rana, raczej... Piętno po sznurze.

Andie z przerażenia zaniemówiła. Wiedziała, że musi narzucić sobie spokój, nie wolno jej wpadać w panikę ani przybierać potępiających tonów.

- Co ci się stało w rękę?

Julie spuściła wzrok. Patrzyła na swój nadgarstek rozszerzonymi oczami, jakby dopiero teraz zauważyła czerwoną pręgę.

- Nie wiem. - Wzruszyła ramionami. - To nic.

- Przeciwnie. Pokaż mi to. Julie założyła ręce na piersi.

- To nic, naprawdę.

Andie wpatrywała się w nią z rosnącym lękiem.

- Julie, co ty wyprawiasz? Mój Boże, w co się znów wpakowałaś?

- W nic. Odczep się. - Odwróciła się i dołała sobie kawy. - Małe zadrapanie, a ty od razu robisz wielkie halo.

Julie kłamała, i to bardzo niezdarnie.

- Pokaż mi rękę.

- Mówię ci, że nic się nie stało - warknęła. - Daj mi spokój, dobrze?

- Raven ma rację. Masz kogoś. Kto to jest, Julie?

- To dlatego przyszłaś? - powiedziała agresywnie, unikając odpowiedzi na pytanie. - Powinnam się była domyślić, że Raven mi nie ufa. Wysłała cię na przespiegi, jak psa tropiciela.

Andie wstała, podeszła do Julie i wzięła w swoje dłonie jej ręce. Oba nadgarstki przyjaciółki wyglądały tak samo.

- To ślady po sznurze. - Spojrzała Julie w oczy. - Prawda? Nie kłam.

Wyrwała się jej.

- To moje życie, nic wam do tego.
- Chcemy ci pomóc, nie wtrącamy się bez powodu. Tyle już wycierpiałaś, Julie, a nie potrafisz się bronić i... - Andie musiała złapać oddech. - To niebezpieczne, naprawdę niebezpieczne. Przecież sama dobrze o tym wiesz. Pamiętasz, jak skończyła pani X? A może już zapomniałaś?
- Nie zapomniałam, ja... myślę o niej bez przerwy. Myślę o nich obojgu, wiesz?
- Wiem - odparła miękko Andie. - Ja też. Julie otarła oczy dłonią.
- To nie był przypadek, że właśnie my ich widziałyśmy. Jestem tego pewna.

Andie ściągnęła brwi.

- Jeśli nie przypadek, to co?
  - Padło na nas, bo... bo ktoś chciał nam pokazać naszą własną przyszłość.
  - Przestań, Julie, przerażasz mnie.
  - No to dlaczego? - Patrzyła na Andie zdesperowana. - Dlaczego nas to spotkało, gdy miałyśmy po piętnaście lat i najważniejsze życiowe wybory były dopiero przed nami?
  - Nie ma takiego związku, uwierz mi. Tak po prostu się stało i już. I nie ma to z nami nic wspólnego, chyba że sobie tak wmówimy.
  - Masz rację. - Julie zmusiła się do uśmiechu, którego sztuczność była oczywista. - Czasem ponosi mnie wyobraźnia.
  - Kim jest ten facet, Julie? W co się wplątałaś?
  - No dobra, jest ktoś. Ale nie ma w tym żadnego niebezpieczeństwa. To tylko zabawy. Uwierz mi, nie robię nic głupiego.
- Andie zawahała się. Naprawdę bardzo chciała uwierzyć Julie.

- Słowo? Bo te ślady nie wyglądają zabawnie.
- Słowo, panuję nad tym. - Julie zaśmiała się i objęła przyjaciółkę. - Obiecuj, że nic nie powiesz Raven.
- Wiesz, że to niemożliwe.
- Proszę, Andie. Kocham go, zakochałam się. On też mnie kocha. Andie słyszała te same słowa od Julie wiele razy, zbyt wiele, by dało się je zliczyć. Jej przyjaciółka rozpaczliwie szukała miłości, bo tylko w niej znajdowała potwierdzenie własnej osoby. Miłość wzmacniała poczucie wartości, była dla niej jak narkotyk.
- Nie zniosłabym, gdyby Raven się dowiedziała. Wściekłaby się na mnie. Byłaby rozczarowana, że ja... że znowu ją zawiodłam.
- Raven cię kocha, Julie, i martwi się o ciebie, podobnie jak ja.
- Nie. - Julie pokręciła głową. - Ona nie jest taka jak ty. Ona oczekuje, że stanę się lepsza, niż jestem.
- Andie współczuła Julie. W tym momencie poczuła wręcz obezwładniającą nienawiść do wielebnego Coopera. Ten człowiek powinien gnić w więzieniu za krzywdę, jaką wyrządził swojej córce. Niestety prawo zajmuje się tylko fizyczną przemocą, pomimo że rany zadane duszy są tak samo, jeśli nie bardziej, rujnujące.
- Jesteś dobra, Julie. Słyszysz mnie? Jesteś silna, mądra i dobra. Zaslugujesz na to, żeby cię kochać. - Powtórzyła jeszcze: - Zaslugujesz na miłość. I na dobroć.
- To bądź dla mnie dobra. Nie zdradzaj mojej tajemnicy, tylko przez jakiś czas. Zrozumiesz wszystko, gdy go poznasz.
- Andie szukała wyjaśnienia w oczach przyjaciółki.
- Kiedy?
- Wkrótce. Obiecuję. Zrobisz to dla mnie? Nie powiesz Raven?

Andie ciężko westchnęła. Nie podobało jej się, że musi okłamać jedną przyjaciółkę, żeby dotrzymać słowa drugiej.

Jednak Julie ma rację, pomyślała. Raven ma wobec Julie nadmierne, wręcz nierealne oczekiwania. Kiedy chodziło o przyjaźń, zawsze była taka.

- Dobrze - powiedziała Andie. - Nic jej nie powiem. Na razie.

- Kochana jesteś. - Julie przytuliła ją. - Dziękuję! Mam tylko was. Nie chcę, żeby Raven była na mnie zła.

- Masz nie tylko nas, Julie. Masz również siebie. A to wspaniała rzecz. - Andie poklepała ją po policzku. Nagle zrozumiała, że Julie nie ma już dla niej więcej czasu. - Nie chcę, by coś ci się stało. Przrzeknij, że będziesz ostrożna z tym facetem.

- Przrzekam. Zobaczysz, on na zawsze odmieni moje życie.



## **ROZDZIAŁ. PIĘĆDZIESIĄTY SZÓSTY**

Nick nie mógł przestać myśleć o Andie. Długo wspominał wspólnie spędzony wieczór, łatwość, z jaką się porozumieli, śmiech Andie oraz szacunek i ciepło, z jakim traktowała Marę, co rzadko zdarza się dorosłym w stosunkach z dziećmi.

Najbardziej zaś podobało mu się, jak Andie na niego patrzyła. Z apetytem. Od tamtej pory myślał tylko o tym, że dobrze byłoby wziąć ją w ramiona.

Dlaczego jej nie pocałował? Przecież chciał tego. Niczego dawno już tak gorąco nie pragnął, a Andie na pewno by mu nie odmówiła. Ale w tamtej chwili wydało mu się to niestosowne. Nie ten czas, nie ta kobieta.

To by się nie udało. Nie wyszłoby im razem. Poza tym wcale nie szukał nowego związku. I to był problem, bo Andie Bennett nie należała do kobiet, które wskakują byle komu do łóżka. Żonaty glina z dzieckiem, do tego raptus i prostak, traktujący życie w kategoriach tak-nie, nie nadawał się na partnera dla subtelnej intelektualistki i eksperta od ludzkich dusz.

Wiedział też, że Andie Bennet nie jest zainteresowana ekspresową wycieczką do raju, po której mówi się: „Miło było, cześć!”, lecz oczekuje dużo więcej.

Mimo tych smutnych myśli nagle uśmiechnął się pod

nosem i przykładając dłoń do brody, stwierdził, że musi się ogolić.

- Nick, głowa do góry, bracie. - Partner rzucił mu na biurko kilka raportów i usiadł na krześle.

- Co tam, Bobby?

- Ten sam szajs, co zawsze. A u ciebie?

- Praca, jak zawsze.

- Tak? To czemu od piętnastu minut gapisz się przed siebie? Ktoś mógłby nawet powiedzieć, że marzysz. - Bobby uśmiechnął się. - O czym marzysz, Nick? A może powinienem spytać: o kim?

- Odwal się - przyjaźnie mruknął Nick. Niepotrzebnie powiedział o kolacji z Andie, bo teraz Bobby co i rusz mu dokuczał.

Nick odsunął raporty i sięgnął po teczkę dotyczącą sprawy Pierponta. Zanim Andie zaabsorbowała jego myśli, próbował rozwikłać kilka zagadkowych faktów dotyczących Marthy i Edwarda Pierpontów.

- Wiesz już o tym? - spytał, nawiązując do czterech listów z pogrózkami, które Edward Pierpont otrzymał w ciągu miesiąca poprzedzającego jego śmierć. Sunął je przez biurko.

Bobby przyjrzał się im.

- Anonimy, tak? Żadnych poszlak?

- Zgadza się. - Nick ściągnął brwi. - Ostatni dostał dwa tygodnie przed śmiercią. Wtedy kupił rewolwer i trzymał go obok łóżka.

- Co myślisz?

Nick uniósł jedno ramię.

- Że to dziwne. Facet kupuje rewolwer, żeby się bronić przed nieznanym wrogiem, po czym od tej broni ginie.

- Zabija go własna żona.

- No właśnie.

Bobby rzucił listy na biurko.

- Premedytacja? - Potrząsnął głową. - Ta kobieta miała siniaki. Córka potwierdza jej zeznania. Pierpont wpadł w szal. Dziewczyna słyszała, jak groził, że zabije żonę. Nie mówię, że kupuję wersję z obroną własną, ale morderstwo z premedytacją? Bardzo naciągane.

- Tak, wiem. - Nick westchnął i spuścił wzrok na dokumenty. - Nie daje mi to spokoju.

Bobby zagwizdał cicho.

- Masz gościa.

Nick podniósł wzrok. Do pokoju weszła Andie Bennett.

Nick przyglądał się jej z przyjemnością. Przyłapał Bobby'ego na głupkowskim uśmiechu i warknął:

- Pieprzę cię.

- Wybacz, stary, już się umówiłem. - Bobby sięgnął do kieszonki i rzucił czymś w Nicka. Była to paczka odświeżających miętówek. - Na wypadek, gdyby ci się poszczęściło.

Nick upuścił cukierki na biurko i wstał.

- Cześć, Andie.

- Cześć, Nick. - Uśmiechnęła się i zwróciła się do Bobby'ego. - Dzień dobry, inspektorze O'Shea.

Uśmiechając się od ucha do ucha, Bobby podniósł się.

- Miło panią znowu widzieć, pani Bennett. Nick zignorował współlnika.

- Usiądź, proszę.

- Dziękuję. - Andie przysunęła sobie krzesło i usiadła. - Co u Mary?

- W porządku. Pytała o ciebie. Była na mnie zła, że nie zbudziłem jej, przez co nie mogła się z tobą pożegnać.

Z ust Bobby'ego wydobył się ni to śmiech, ni to kaszlnięcie. Nick zmierzył go groźnym wzrokiem.

- Nie ma tam jakichś przestępców, którymi powinieneś się zająć?
- Nic o tym nie wiem. - Bobby oparł się wygodnie i założył ręce pod głowę.

Nick chrząknął.

- Jestem przekonany, że masz coś ważnego do zrobienia.

Bobby spojrział na niego, udając niewiniątko.

- Rozumiem. Przestępstwo. Źli ludzie. Moja praca. - Podniósł się i ponownie przesłał Andie szeroki uśmiech. - Mam nadzieję, że wkrótce się spotkamy.

Nick odprowadził go wzrokiem i odwrócił się do Andie. Miała czerwone policzki.

- Musisz mu wybaczyć, ludzi się, że jest zabawny.
- Mogłabym mu pomóc. Iluzje są jedną z moich specjalności.

Nick zaśmiał się i oparł łokieć na biurku.

- Co u ciebie?
- W porządku. A u ciebie?
- Też dobrze.

Jaka ona jest cholernie ładna. Nick walczył ze sobą, żeby nie wpatrywać się w nią jak sroka w gnat. Wiedział, że jeśli nie zapanuje nad sobą, może mieć duży kłopot.

- Chciałem do ciebie zadzwonić, spytać, jak się czujesz, ale miałem kompletnie zwariowany tydzień.

Andie wzruszyła ramionami.

- Nie szkodzi. - Sięgnęła do torebki i wyjęła z niej białą kopertę. - Dostałam to dzisiaj. Pomyślałam, że cię zainteresuje.
- Czy to jest to, o czym myśle?
- Tak.

Otworzył kopertę i wyjął wycinek z gazety sprzed piętnastu lat.

Rozpoznał go. Były w nim wymienione nazwiska Andie i jej dwu przyjaciółek.

„Morderstwo wciąż nie rozwikłane, przesłuchania nastolatek w toku”. Na tekście ktoś nabazgrał jedno słowo: „Kłamca”. Nick uniósł brwi.

- Ciekawe.

- Jak myślisz, co to znaczy?

- Nadawca uważa, że ktoś przed piętnastu laty zataił prawdę. Masz pomysł, kto?

Pokręciła głową.

- To samo powtarzał, kiedy do mnie dzwonił. Mówił, że ja wszystko wiem. - Zadrżała. - Nie mam pojęcia, o co chodzi. Piętnaście lat temu powiedziałam policji wszystko, co wiedziałam. Tak samo Raven i Julie.

- Jesteś pewna?

- Tak. - Podniosła nieco głos. - Jestem pewna.

- Mogę to zatrzymać?

Skinęła głową, a Nick wsunął wycinek do koperty. Zaległa cisza. Andie ujrzała na biurku dokumenty sprawy Pierponta i anonimy, które leżały na wierzchu.

- Wiedziałaś o tych listach? - spytał Nick. Zawahała się, potem przytaknęła.

- Tak, Martha wspomniała o nich. Edward był... poruszony.

- Przestraszony, chciałaś powiedzieć.

- Tak.

- Wiesz, że wtedy kupił rewolwer?

Nick podejrzewał, że Andie waha się, czy odpowiadając mu, złamie tajemnicę lekarską. Widocznie uznała jednak, że nie, bo odparła:

- Tak. Wiedziałam.

- I co zrobiłaś?

- Nie miałam żadnego pomysłu. - Przesunęła się na krześle. - Możemy zmienić temat?

Nick uśmiechnął się.

- Dobrze, wygrałaś.

Odpowiedziała z pełnym ulgi uśmiechem.

- Jeszcze tylko jedno. - Nachylił się do przodu, starając się przybrać postawę z tamtego wspólnego wieczoru, by wskrzesić przyjacielską atmosferę. - Nie dziwi cię, że Pierpont zginął od własnej broni w tydzień po tym, jak ją kupił?

- To prawdziwa tragedia.

- Tak, ale jest w tym coś dziwnego. Dlaczego Martha Pierpont namawiała go do kupna broni, znając jego charakter? Wiedząc, że w domu jest dziecko?

- Co?

- Czy to nie dziwne - powtórzył - że Martha Pierpont namawiała swojego agresywnego męża, żeby trzymał naładowany rewolwer przy łóżku? Facet, który sprzedał im broń, twierdzi, że Pierpont wahał się, a Martha bardzo nalegała.

Andie zachowała zimną krew.

- Nic mi o tym nie wiadomo - oznajmiła, zabierając torebkę i wstając. - Natomiast wiem, że natychmiast powinnam przerwać tę rozmowę.

- A co nowego u twojego perwersyjnego pacjenta? Zamrugła gwałtownie powiekami, zaskoczona nagłą zmianą tematu.

- Nic, o czym mogłabym powiedzieć. Nick podniósł się z krzesła.

- Cholera, Andie, nie podoba mi się to. A jeżeli to on przysłał ci te wycinki? Jeśli to on włamał się do twojego domu?

- Nie mogę ci podać jego nazwiska. - Zacisnęła dłoń na rączce torebki. - Nie mogę.

- A jeśli to morderca?

To zdanie wielkim ciężarem zapadło między nimi. Andie pobladła.

- Nie - powiedziała bez przekonania. - Wiem, że to nie on.

- Skąd ta pewność? - Nick zbliżył się do niej. - Skąd wiesz, że to nie facet, który przysyła ci listy, dzwoni i włamuje się do twojego domu? Skąd wiesz, że to nie pan X?

Andie zaczęła się trząść, nie potrafiła nad tym zapanować.

- Wiedziałabym, gdyby to był on - odparła. - Pracuję z nim, Nick. Proces terapii jest... jest intymny. Ten mężczyzna nie mógłby ukryć przede mną prawdy.

Intymny. Nie lubił tego słowa, które sugerowało tak wiele, szczególnie gdy odnosiło się do Andie i tamtego faceta.

Stanął na wprost niej.

- Mylisz się. On może udawać. Może być mistrzem kamuflażu. Ciągle się z tym spotykam. Jeżeli to morderca, chronisz go i narażasz swoje życie.

Chcesz umrzeć, Andie?

- Nie. - Zwilżyła wargi. - Oczywiście, że nie. Ale złożyłam przysięgę.

Nick pochylił się ku niej, poczuł zapach jej perfum, jasny i kwiatowy, który zawrócił mu w głowie.

- Ta przysięga warta jest aż tak wiele, Andie? Powiedz mi, czy warto za nią umrzeć?

## ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SIÓDMY

Andie obserwowała, jak David Sadler wędruje po pokoju, dotykając jej rzeczy, przesuwając je, zawłaszczając. Oddychała głęboko, starając się zachować samokontrolę. Nick przestraszył ją, nie potrafiła zapomnieć jego słów.

„Jeżeli to morderca, chronisz go i narażasz swoje życie. Chcesz umrzeć, Andie?”.

Czy to możliwe, że to David zakradł się do niej poprzedniego wieczoru, i tak samo jak teraz dotykał jej rzeczy? Zaglądał do jej szaf i szuflad? Oglądał rodzinne fotografie i czytał jej dziennik?

A jeśli David jest mordercą?

Jeśli to on jest panem X?

Andie oddychała nierówno, jej tętno przyspieszyło. Biorąc pod uwagę wiek Davida, wszystko się zgadzało, podobnie jak jego budowa i kolor włosów. Pozostawało istotne pytanie: po co główny podejrzany miałby po latach prowokować trzy przyjaciółki, a przez to również policję, do ponownego zainteresowania się nie rozwikłanym morderstwem? To nie miało sensu.

Poza tym w Thistledown były setki mężczyzn podobnych do Davida. Ilu z nich, zastanowiła się Andie, eksperymentowało z seksem, ilu wyrażało swoją



dominację nad kobietą, związując jej ręce? Pięciu? Dziesięciu? A może trzydziestu? Edward Pierpont także odpowiadał przybliżonemu rysopisowi mordercy, tyle że on zdobywał władzę zastraszając, obrażając i bijąc.

Nick był gotowy na wszystko, żeby rozwiązać sprawę Lei Robertson, sam to powiedział podczas kolacji. Jej etyka zawodowa, jej praca nic dla niego nie znaczyły, a przynajmniej zupełnie się nie liczyły, gdy chodziło o schwytanie mordercy.

To nie on miałby problem, gdyby Andie zdradziła mu dane Davida. A gdyby się okazało, że Nick się myli? Wtedy David Sadler zostałby niesłusznie publicznie oskarżony, a ona miałaby kłopoty z komisją etyki oraz straciłaby zaufanie pacjentów.

„Ta przysięga warta jest aż tak wiele, Andie? Powiedz mi, czy warto za nią umrzeć?”

- Pani doktor?

Andie wzdrygnęła się. David stał tuż przed nią, wpatrując się w nią błyszczącymi, szeroko otwartymi oczami.

- Przepraszam. Co pan mówił?

- Wygląda pani, jakby chciała pani uciec.

- Słucham?

- Siedzi pani na brzegu krzesła. Andie spuściła wzrok.

- Rzeczywiście. - Usiadła wygodniej i uśmiechnęła się, choć miała wrażenie, że policzki popękają jej od tego wysiłku. - Proszę o wybaczenie, nie mogę się dzisiaj skupić. Niech pan kontynuuje.

- Mówiłem, że nic nie jest takie, jakie się wydaje.

- Co ma pan na myśli?

- Ludzi, ich motywacje. Każdy ma jakiś program, porządek. Trzeba go tylko odkryć.

- A może szuka pan dla siebie alibi? Może stara się pan obarczyć innych własną niezdolnością do uczciwych związków i w ten sposób usprawiedliwić siebie?

David zastanowił się przez moment i pokręcił głową.

- Nie, ale widzę, że pani tak uważa.

- Owszem. Moim zdaniem wszystko sprowadza się do zaufania.

Człowiek uczciwy spodziewa się od innych uczciwego traktowania. To esencja wszystkich związków. Podstawa pozwalająca nam poznać drugiego człowieka.

- Zgadzam się.

- Ale mówi pan, że nikt pana naprawdę nie zna. I nigdy nie poznał, tak?

David tylko się uśmiechnął, jakby bawił się z nią w kotka i myszkę.

- Jaki jest pański program? Skoro każdy go ma, to i pan.

- Ufa mi pani, pani, doktor?

- Chciałabym, naprawdę. Zaśmiał się.

- Jest pani mistrzynią tej zafajdanej dyplomacji. „Chciałabym, naprawdę”.- Przedrzeźniał ją.- Czyli nie ufa mi pani.

- A powinnam?

- Teraz ja pytam. A pani powinna się przekonać, jaki jestem naprawdę.

Poczuła się wyczerpana jego grą, zmęczona ostrzeżeniami Nicka i własnym lękiem.

I ni stąd, ni zowąd miała tego serdecznie dosyć. Spojrzała mu w oczy.

- Jeśli pan coś ukrywa, Davidzie, chcę wiedzieć, co to jest. Jest mi pan to winien.

- Jestem to pani winien? - Uniósł brwi. - Ależ pani jest naiwna.

Prawdziwa...

Wstała, trzęsąc się z furii. Czowała się manipulowana i bezsilna. Czowała się z tym fatalnie.

- Jeśli mamy dalej razem pracować, musi pan być ze mną szczery. Zmyśla pan? Urządza pan tu maskaradę?

Czas stanął, sekunda trwała wieczność, cisza rozrywała uszy. Wreszcie Nick podniósł wzrok na Andie. Wyglądał jak mały zagubiony chłopiec, a nie jak mężczyzna zdolny do morderstwa.

- Nic nie ukrywam, pani doktor. Potrzebuję pani pomocy. To wszystko.

## ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY ÓSMY

Julie znowu zaczęła swoje gierki.

Raven odłożyła słuchawkę. Rozsadzała ją złość, czuła się oszukana. Od tygodni można się było tego domyślić. Julie zachowywała się nienormalnie, jakby miała poczucie winy. Była roztargniona, głupio chichotała i nie patrzyła Raven w oczy. Nie mówiła, jak spędza czas. Nigdy nie było jej w domu, ale nie przyznawała się, dokąd jeździła ani z kim się spotykała.

Jedno nie ulegało wątpliwości: Julie nie spędzała tego czasu ani z nią, ani z Andie.

Czyżby uważała Raven za idiotkę?

Raven przewracała zawartość szuflady w poszukiwaniu papierosów. Zapaliła i zaciągnęła się. Po co ona w ogóle zawraca sobie głowę Julie, która jest lojalna jak suka w rui? Zapomniała już, że jej rodzina odtrąciła ją? Zapomniała, że Raven i Andie są jej najlepszymi, a tak naprawdę jedynymi przyjaciółkami, bo nikt inny nie da za nią złamanego grosza? Albo że przez ostatnie dziesięć lat co i rusz zwracała się do Raven po wsparcie duchowe i finansowe, szukając miejsca, gdzie mogłaby przeczekać po kolejnym kryzysie?

Raven nigdy niczego jej nie odmówiła. I za każdym razem wierzyła, że Julie wróci do domu i zmieni się.

Ona, Raven, żądała tylko lojalności, czegoś, co powinno przyjść samo, co jest naturalne. Podniosła do ust papierosa, zastanawiając się, dlaczego tak bardzo kocha Julie.

Odpowiedź nie była trudna. Julie była jej rodziną, a rodzinę opuszcza się jedynie wtedy, gdy nie ma innego wyjścia.

A jeśli Julie nie kłamie? Andie, która z nią rozmawiała, zapewnia, że z Julie wszystko w porządku. Raven ponownie zaciągnęła się i zdusiła papierosa w kryształowej popielniczce. Potrzebowała dowodu, który by ją uspokoił albo dał jej argument przeciwko Julie, a w razie potrzeby skłonił Andie, żeby jej pomogła.

Gdyby obie z Andie położyły na szali swoją przyjaźń, może Julie uprzytomniłaby sobie, co się w życiu naprawdę liczy.

Nigdy dotąd nie stawiały przed nią żadnego ultimatum. Może teraz nadeszła na to pora.

Raven spojrzała na zegarek. Julie wykręciła się pracą, żeby się z nią nie spotkać tego wieczoru. Łatwo sprawdzić, czy mówiła prawdę.

Podniosła słuchawkę i wykręciła numer klubu, prosząc po chwili o połączenie z barem. Gdy odezwał się barman, Raven spytała o Julie. Dowiedziała się, że jej tam nie ma i nie będzie, bo ma wolne.

Kłamliwa, nielojalna dziwka.

Raven rzuciła słuchawkę i wstała od biurka tak energicznie, że krzesło rąbnęło o podłogę. Postanowiła wyśledzić Julie i dowiedzieć się, z kim i w co się wpakowała. Potem sobie z nią porozmawia.

Zaalarmowana Laura wybiegła z sąsiedniego pokoju i skonsternowana spoglądała na przewrócone krzesło.

- Raven, nic się...

- Wychodzę - rzuciła Raven, chwytając teczkę. - Mam coś do załatwienia. Jak będziesz szła do domu, dobrze wszystko pozamykaj.

Raven podjechała pod mieszkanie Julie dopiero o zmierzchu, żeby jej bmw nie rzuciło się w oczy. Gdyby jednak przyjaciółka ją zobaczyła, zamierzała powiedzieć, że wpadła tylko na sekundkę, bo spieszy się na spotkanie w interesach.

Miała szczęście. Wjeżdżając na parking, od razu spostrzegła wóz Julie. Raven zaparkowała w miejscu, gdzie pozostając niewidoczna, mogła zarazem obserwować drzwi do domu przyjaciółki.

Czekała, a jej myśli wędrowały do czasów, kiedy we trzy stanowiły nierozłączną całość, jakby były jedną osobą.

Wspomnienia jątrzyły. Kiedy wszystko się między nimi zmieniło? Podczas lata roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego, lata pana X. Raven zamknęła oczy, starając się porównać przeszłość z dniem dzisiejszym. Andie już wówczas była roztargniona i mało komunikatywna. Julie żyła w swoim własnym świecie, a ona, Raven, nieszczęśliwa i zatroskana, walczyła o to, żeby nic ich nie rozdzieliło. To ona od samego początku dopominała się o totalną jedność.

Otworzyła oczy i zobaczyła jasnoczerwonego jaguara. Za kierownicą siedział David Sadler. Pan X.

Co on tu robi? - pomyślała, rozglądając się. To nie była elegancka okolica, David nie powinien mieć tu żadnych znajomych.

Julie. On przyjechał do Julie!

W głowie jej zahuczało, usta wyschły. Szybko

wyśmiała swoje podejrzenia. Skąd David miałby znać Julie? Gdzie mógł ją spotkać? To tylko zwykły zbieg okoliczności. A jednak nie.

Po krótkiej chwili David wyszedł z bramy w towarzystwie Julie, która śmiała się i gapiła się na niego, wyraźnie zadurzona. Raven kurczowo zacisnęła palce na kierownicy.

David Sadler jest owym tajemniczym mężczyzną Julie.

David Sadler pieprzy Julie.

David Sadler robi z Raven interesy.

Podniosła powieki. Ciekawe, co łączy go z Andie? Była pewna, że dotarł także do niej. To proste, został jej pacjentem.

Usiadła prosto. David Sadler związał się z każdą z nich.

Jak mogła wcześniej tego nie zauważyć? Jak mogła choćby nie podejrzewać, że spróbował dotrzeć do jej przyjaciółek, do pozostałych dwóch dziewcząt, które podglądały go, gdy był z panią X?

Uniosła pięści do czoła. Głupia! Głupia! Głupia! Oczywiście, że się z nimi skontaktował. To on przysłał im wycinki ze starej gazety, to on wydzwaniał do Andie i zostawił w jej domu płytę z tamtą muzyką.

Tylko dlaczego? Co zamierzał osiągnąć?

Raven opuściła ręce, poczuła, że zaczyna się pocić. Dobry Boże, co on może o nich wiedzieć? Co wie o niej, o jej roli w wydarzeniach sprzed piętnastu lat? Czy podejrzewa, że była w środku z nim i Leą Robertson? Że wszystko widziała? Wiele razy wydawało jej się, że pan X był świadomy jej obecności.

Starala się jakoś pozbierać myśli. Nie, nie mógł nic wiedzieć. Bawił się z nimi, tak jak z Leą. Ich strach

sprawiał mu przyjemność, cieszył się poczuciem, że ma nad nimi władzę. Z ukrycia pociągał za sznurki. Sukinsyn. Drań.

Jezu. Jeśli Julie ma romans z Davidem Sadlerem, pewnie zabawiają się tak samo jak pan i pani X!

Ręce jej się trzęsły, tym razem z wściekłości. Zapaliła silnik. Pan X znów wtargnął w ich życie i zaczął je rozdzielać. Tak jak przed piętnastu laty. To on spowodował dystans Andie, to przez niego Julie zaczęła się wymykać. Tak samo jak latem tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego roku.

Raven zamyśliła się głęboko. Wtedy udało się jej przywrócić porządek, choć kosztowało ją to wiele wysiłku. Teraz musi postąpić tak samo.

Tylko ona potrafi to zrobić, taki jest jej obowiązek.

Obowiązek?

Raven walczyła o przetrwanie. O swoją rodzinę, bez której nie potrafiłaby żyć. Andie i Julie należą do niej. Nikt nie będzie się wtrącał do jej własności.



## **ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY**

- Raven? - zdziwiła się Andie, otwierając frontowe drzwi. - Co tu robisz?
  - Nie sądziłam, że muszę się u ciebie zapowiadać. Uśmiech Andie zgasł.
  - Oczywiście, że nie. Myślałam tylko, że pracujesz.
  - Otworzyła szerzej drzwi i usunęła się, żeby zrobić przejście dla przyjaciółki. - Co słychać?
  - Pomyślałam, że mogłybyśmy razem wybrać się na kolację.
  - Kolację? - powtórzyła Andie, patrząc na siebie krytycznie. Kiedy wróciła do domu pół godziny wcześniej, przebrała się w szerokie spodnie i stary T-shirt.
  - Teraz? Dzisiaj?
  - A czemu nie? Chyba jeszcze nie jadłaś?
  - Nie, ale... - Ale miała zwariowany dzień, trudny, pełen kryzysów. Na dodatek następny wcale nie zapowiadał się lepiej, nie miała więc najmniejszej ochoty wychodzić z domu. - Właśnie sobie usiadłam z kanapką.
  - Chrzęż to. Chodźmy do „MacGuire'a”. Umrę, jak nie zjem któregoś z tamtejszych burgerów.
- Raven zachowywała się co najmniej dziwnie. Zazwyczaj tak opanowana, gestykulowała gorączkowo, tocząc wzrokiem dokoła. Nawet wyglądała dziwnie,

miała zaczerwienione policzki, a jej oczy błyszczały nienaturalnie.

- Czy coś się stało? - spytała Andie.

- Co miałyby się stać?

- Ty mi powiedz.

Raven roześmiała się, ruszyła do saloniku i klapnęła na kanapie.

Podłożyła ręce pod głowę i wbiła wzrok w sufit.

- Nie baw się ze mną w psychoanalitka. Idź się przebrać, jestem głodna.

Andie stęknęła.

- Robię to tylko z przyjaźni, ale ostrzegam cię, to ma być szybka kolacja.

Wcześniej rano mam spotkanie z Marthą i jej adwokatem.

Dwadzieścia minut później siedziały już u „MacGuire'a,” czekając na zamówione dania. Na stole stały drinki. Restauracja w stylu irlandzkiego pubu serwowała wiele solidnych dań, w tym najlepsze burgery w mieście. Nawet w roboczy dzień wieczorem panował tu tłok.

- O co chodzi, Raven? Przecież nie o jedzenie. Przyjaciółka popatrzyła jej w oczy.

- Tęskniłam za tobą, Andie.

- Tęskniłaś za mną? - Uśmiechnęła się. - Przecież nigdzie nie wyjeżdżałam.

- Nie? - Raven wyjęła paczkę papierosów. - Pozwolisz? - Gdy Andie przytaknęła, zapaliła papierosa i mocno się zaciągnęła. Spojrzała w oczy przyjaciółki. - Pomyśl tylko. Kiedy ostatni raz jadłyśmy razem kolację? Andie zastanowiła się i ze zdziwieniem stwierdziła, że było to ponad dwa tygodnie temu. Uśmiechnęła się smutno.

- Nie spodziewałam się, że będę taka zajęta.

- Podobnie jak Julie.

Na wspomnienie trzeciej przyjaciółki Andie odwróciła wzrok z poczuciem winy. Czuła się paskudnie, nie miała najmniejszej ochoty okłamywać Raven. Prawie zawsze, z małymi wyjątkami, były wobec siebie szczerze.

- Ona się z kimś spotyka.

Andie natychmiast wróciła wzrokiem do Raven.

- Skąd wiesz?

- Śledziłam ją. Dzisiaj wieczorem. Andie nie wierzyła własnym uszom.

- Żartujesz.

- Nie. - Raven zgmiotła papierosa i sięgnęła po następnego. - Wiedziałam, że Julie mnie okłamuje, no i zdobyłam dowód. - Wypuściła kłęb dymu. - Suka.

- Raven!

- Proszę. - Kelnerka podała zamówione dania. Raven rozłożyła serwetkę na kolanach.

- A jak mam ją nazwać? Patrzyła mi prosto w oczy i kłamała jak najęta.

- Nie chciała cię denerwować.

- Proszę cię. - Raven wbiła widelec we frytkę. - Przecież ciebie też oszukała. Nie złości cię to?

Andie czuła, że musi powiedzieć prawdę, która i tak wyjdzie na jaw.

- Mnie nie oszukała. Zwierzyła mi się, że jest z kimś związana. -

Nachyliła się ku osłupiałej Raven. - Wiem, przepraszam. Strasznie się czułam, że to przed tobą ukrywam, ale postaraj się zrozumieć. Julie błagała mnie o milczenie. Bała się, jak zareagujesz. Ona jest chora. To nałóg, nad którym nie panuje, to nie jej wina. - Westchnęła. - Ona cię bardzo kocha, wierz mi.

Raven patrzyła na nią, jej policzki płonęły.

- A ty, Andie? Też mnie kochasz? A może teraz kochasz tylko Nicka Raphaela?

Usta Andie wygięły się w podkówkę, siadła głębiej.

Co się dzieje, na Boga? Jej przyjaciółka zachowuje się jak zazdrosny kochanek.

- Mam rację, Andie? Wyrzuciłaś mnie na śmietnik? Czy dlatego już się nie widzimy?

- Nie! - Zmieszana Andie starała się robić dobrą minę do złej gry. - Po pierwsze nie widziałam się z Nickiem Raphaelem od tamtej kolacji i z całą pewnością nie jestem w nim zakochana. Po drugie jesteś moją najlepszą przyjaciółką. I nawet gdybym rzeczywiście zakochała się w Nicku, nie znaczyłoby to, że ciebie odrzucam. Jak sobie to wyobrażasz po wszystkim, co przeżyliśmy razem? Boże, chyba wcale mnie nie znasz! Do oczu Raven napłynęły łzy.

- A co byś myślała na moim miejscu? Czuję się odrzucona. Prawie się nie spotykamy, rzadko rozmawiamy przez telefon. - Gniotła i wygładzała serwetkę. - Tyle razy ci się nagrywałam. I co? Ile razy mi odpowiedziałaś?

Andie zmartwiła się, że tak mocno uraziła Raven, ale równocześnie była zażenowana jej złością i władczością.

- Przepraszam - rzekła raz jeszcze. - Jestem tak zajęta sprawą Pierponta i w ogóle tym... wszystkim. Po prostu nie myślałam.

- To prawda, nie myślałaś. - Raven poprosiła kelnerkę o kolejny kieliszek wina. - To mi zaczyna przypominać tamto lato.

Kiedy pan i pani X wkroczyli w ich życie.

- Proszę wybaczyć. Pani jest Andie Bennett, prawda? Doktor Bennett? Struchlała Andie odwróciła się do kobiety, która podeszła do ich stolika. Ostatnia osoba, która zadała jej takie pytanie, groziła, że założy jej pętlę na szyję.

- Tak, to ja. Czym mogę służyć?

- Nie zna mnie pani. Nazywam się Gwen White,

jestem jedną z nauczycielek Patti Pierpont, uczę angielskiego.

Uspokojona Andie uśmiechnęła się.

- Miło mi panią poznać.

- Chciałam tylko zapytać, jak się ma Patti. Jest miłą i zdolną dziewczynką, nie mogę znieść myśli, że przydarzył się jej podobny koszmar. Gdyby pani się z nią widziała, proszę jej przekazać, że o niej myślę, dobrze? Że wszyscy o niej myślimy.

- Dziękuję. To bardzo miło z pani strony, na pewno jej powiem.

Gwen White zerknęła na Raven, potem znów popatrzyła na Andie i zniżyła głos.

- Wiem, że w domu Pierpontów działo się coś złego, ale nie wiem co. Patti była bardzo smutna, zupełnie inna niż jej koleżanki. I było w niej tyle złości. Niektóre z jej esejów... To prawdziwa tragedia.

- Złości? - powtórzyła Andie. - Co ma pani na myśli? Kobieta zarumieniła się.

- Nie powinnam była tego mówić. Nie chciałam powiedzieć nic złego. To bardzo miła dziewczyna. - Kobieta odstąpiła o krok, ogromnie zakłopotana, czując, że powiedziała za dużo albo wyraziła się niewłaściwie. - Proszę do mnie zadzwonić, gdybym mogła w czymś pomóc. I proszę ją ode mnie pozdrowić.

Andie obiecała i odprowadziła kobietę wzrokiem, myśląc o tym, co od niej usłyszała. Patti była nieszczęśliwa. Była wzburzona. Zapewne dała temu wyraz w swoich wypracowaniach.

Wszystko się zgadzało. Andie zawsze mówiła Marcie, że jej córka dokładnie wie, co dzieje się w jej domu.

- Andie? - Raven nachyliła się ku niej. - Co jest? Dziwnie wyglądasz. Spojrzała na przyjaciółkę.

- Uderzyło mnie coś, co powiedziała ta kobieta. - Potrząsnęła głową. - A co nowego u ciebie? — Postanowiła zmienić temat.

Raven wyraźnie opuścił diabeł, który jeszcze przed chwilą w niej siedział. Znowu była sobą, ufną, sarkastyczną i zabawną Raven. Zaczęła opowiadać o swojej pracy na budowie Gatehouse.

- Z jednej strony David Sadler jest wymarzonym inwestorem. Ma styl i klasę. Rozumie, jak ważna jest jakość, nie kwestionuje moich wyborów. Pozwała mi robić swoje, uznaje mój profesjonalizm. Z drugiej strony... - zawiesiła głos i spojrzała przyjaciółce prosto w oczy - to prawdziwy sukinsyn.

- To znaczy? - spytała Andie. Wstępowała na niebezpieczną ścieżkę, dyskutując w ten sposób o swoim pacjencie. Powinna zawrócić tok myśli Raven, lecz zwyciężyła ciekawość.

- On ma coś do kobiet. Coś kuriozalnego. Wiesz, o czym mówię?

- Raczej nie.

- Chodzi o seks. Za każdym razem stara się zaciągnąć mnie do łóżka, ale nawet nie o to chodzi, bo z tym sobie radzę. To jakaś... śliska tajemnica. Obserwuje mnie albo... toczy jakąś grę.

Andie sięgnęła po szklanekę z wodą, ręka jej drżała.

- To brzmi... niepokojąco.

- Znasz go?

- Proszę? - spytała Andie, zaskoczona bezpośrednim pytaniem.

- Pytam, czy go znasz? Davida Sadlera?

Serce Andie zatrzymało się, by po chwili zacząć walić z całej siły. Wbiła wzrok w talerz, udając, że nagle zainteresowała ją sałatka.

- Na pewno widziałam go gdzieś w mieście.

- Ale czy spotkałaś się z nim twarzą w twarz?
  - Może - mruknęła wymijająco Andie. - Jego rodzina wiele tu znaczy, być może zasiadaliśmy kiedyś razem w jakimś Komitecie.
  - Nie pamiętasz dokładnie?
  - Czy zasiadaliśmy w jakimś Komitecie? - Andie grzebała w talerzu. - Nie, nie pamiętam.
  - I nie przypominasz sobie, czy spotkałaś go kiedykolwiek w Thistledown albo w okolicy?
- Andie uniosła do ust widelec, z sałatą. Raven ewidentnie chciała wydusić z niej informacje na temat Davida. Czyżby wiedziała, że jest jej pacjentem? A może tylko podejrzewała? Lecz co ją to obchodziło? Andie przeżuwała powoli, udając, że się namyśla.
- Nie jestem pewna, czy go gdzieś spotkałam. Raven zmrużyła oczy, jakby przypuszczała, że Andie kłamie.
  - Gdybyś go spotkała, na pewno byś pamiętała. Ma w sobie coś, czego się nie zapomina. I jest całkiem przystojny.
  - Aha - mruknęła Andie. - Kiedy skończysz urządzenie pierwszego domu?

## ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY

Andie spała wyjątkowo kiepsko, przewracała się na łóżku, rozmyślając o rozmowie z Raven. Nie poznawała przyjaciółki. Raven kopciła jak komin i ledwo nadgryzła hamburgera, zadeklarowawszy wcześniej, że umiera z głodu. Zamówiła za to drugi kieliszek wina. Przeskakiwała z tematu na temat. Nie pasowało to do niej, przecież z natury była bardzo opanowana. Andie nigdy, odkąd się znały, nie widziała jej takiej.

Poprawiła poduszkę, wracając myślami do Nicka i ciekawej dyskusji o ludziach, którzy mają za sobą traumatyczne przeżycia.

Co się dzieje, kiedy zostajemy pozbawieni emocjonalnego wsparcia? Czy coś takiego może doprowadzić człowieka do obłądu?

Czy Raven poczuła, że traci grunt pod nogami? - zastanowiła się Andie.

Czy dlatego okazywała zazdrość i złość? Czyżby obawiała się, że zostanie opuszczona? Tak, to miało sens.

A może chodzi o coś innego, coś, czego nie zdradziła?

Z nadejściem świtu Andie poddała się i wstała z łóżka. Zaparzyła kawę i usiadła na patio. Sączyła mocny napar, podziwiała światło wczesnego poranka i wdychała słodki zapach wstającego dnia.



Przechyliła głowę do tyłu i głęboko oddychała, myśląc o Nicku. Nie była z Raven całkiem szczerą. Widziała się z Nickiem raz jeszcze, kiedy wybrała się na policję.

Dlaczego nie powiedziała o tym przyjaciółce? - zastanowiła się, unosząc kubek do ust. W końcu była to zawodowa wizyta, nic osobistego.

Owszem, nic poza tym, jak reagowało jej ciało. Nic poza jej myślami, od których kręciło jej się w głowie.

Natomiast Nick nie zdradzał podobnych objawów. Był oficjalny, rzeczowy, nawet szorstki. Glina-twardziel przy pracy.

Co więc sprawiło, że nie wspomniała o tej wizycie przyjaciółce?

Bała się. Kiedy poprzednim razem zdradziła jej, jakie uczucia budzi w niej Nick, Raven wyśmiała ją. Wskazała powody, dla których Nick nie jest dla Andie odpowiednim mężczyzną, a były one istotne i dokładnie pokrywały się z tym, co ona sama sądziła.

Może dlatego nie miała ochoty znów wysłuchiwać tego samego.

Westchnęła. Była już za stara, by zakochiwać się jak nastolatka, a tak właśnie się czuła. Jako psychiatra, i to naprawdę dobry, wiedziała, co się z nią dzieje.

Analizowała swój przypadek. Obecne uczucie do Nicka splątane było z rolą, jaką ten mężczyzna odegrał w jej przeszłości. Piętnaście lat wcześniej Nick był jej rycerzem w lśniącej zbroi, choć trwało to tylko parę tygodni. Pocieszał ją i chronił. Pojawił się w jej życiu, kiedy zabrakło ojca, a Andie rozpaczliwie potrzebowała męskiego oparcia.

Całe szczęście, że inspektor Raphael nie próbował wykorzystać jej ówczesnego zadurzenia, bo zapewne nie umiałaby mu się oprzeć.

Faktem było, że w inny sposób ją wykorzystywał. Zabolało ją, kiedy podczas jej wizyty zaczął drażnić sprawę Marthy Pierpont, spodziewając się wyciągnąć z niej Bóg wie jakie rewelacje. Jego zimny profesjonalizm sprawił jej przykrość. Czuła się dotknięta i przyparta do muru.

Wstało słońce, ptaki chórem pozdrawiały poranek. Andie zerknęła na zegarek i zdumiona stwierdziła, że czas szykować się do wyjścia. Była umówiona z Martha, która na zwolnieniu warunkowym zamieszkała u swojej matki. W zasadzie zaprosił ją Robert Fulton. Chciał porozmawiać o linii obrony i przekonać swoją klientkę, żeby wyraziła zgodę na zeznania córki. Martha nie chciała do tego dopuścić.

Równie uparcie przeciwstawiała się podejrzeniom Andie dotyczącym Edwarda Pierponta i Patti. Kiedy tylko Andie próbowała podnieść ten temat, Martha zachowywała się jak nieznośne dziecko albo zapadała w milczenie. Może tego ranka będą mieć więcej szczęścia, pomyślała Andie z nadzieją.

Rzuciła ostatnie spojrzenie na wschodzący dzień i weszła do mieszkania. Godzinę później witała się z Martha i Rose. Robert jeszcze nie dotarł. Kobiety zaprosiły ją do środka. Andie wręczyła starszej pani pudełko z ciastem z „Little Switzerland Bake Shop”, najlepszej i najstarszej cukierni w Thistledown.

- Nie mogłam się oprzeć - oświadczyła. - Ich strudel z jabłkami jest przepyszny.

Rose Turpin uśmiechnęła się.

- Bardzo dziękuję. Wyłożę to na talerz.

Gdy Andie została sama z Martha, wzięła ją za rękę.

- Jak się pani czuje?

Martha ścisnęła jej palce, uśmiechając się jak zwykle

uprzejmie, ale sprawiała wrażenie, jakby była gdzieś daleko.

- Dobrze, dziękuję. A pani?

Ostatnio wszystkie ich spotkania wyglądały podobnie. Martha była układna, ale zdystansowana, nie pokazywała po sobie, co się dzieje z jej emocjami.

Andie namawiała ją, żeby wróciła do terapii, proponowała spotkania w domu Rose. Martha odmawiała, twierdząc, że ją na to nie stać. A gdy Andie zapewniała, że zrobi to dla niej za darmo, Martha natychmiast wynajdywała inną wymówkę, potem jeszcze inną.

Przez całe dorosłe życie Martha tłumiała i wypierała emocje oraz niewygodne prawdy, teraz też szukała w tym ratunku.

- Martho - odezwała się Andie - proszę, porozmawiajmy. Doskonale rozumiem, jakie to dla pani trudne. Przeżywa pani koszmar. Ale zaprzeczanie własnym uczuciom doprowadzi tylko do...

- Powiedziałam już, że czuję się dobrze.

- I nie da się pani przekonać do terapii?

- Nie ma już takiej potrzeby. Nie ma Eda.

- Przeciwnie, jest wiele powodów. - Andie zniżyła głos. - Nie jestem pani wrogiem. Jestem tu, żeby pani pomóc.

Martha patrzyła na nią bez wyrazu, potem szeroko się uśmiechnęła.

- Dziękuję, pani doktor. Naprawdę to doceniam. - Spojrzała na zegarek. -

Robert powinien zaraz tu być. Zrobię pani kawę.

Szybko, zbyt szybko ruszyła do kuchni. Andie pospieszyła za nią, spotykając się wzrokiem z Rose, która wyglądała na zmartwioną.

W tym momencie zadzwonił dzwonek.

- To Robert - rzekła Martha. - Otworzę.

Po jej wyjściu Rose powiedziała:

- Coś dziwnego dzieje się, pani doktor, między Martha i Patti.

- Dziwnego? Co pani przez to rozumie?

- Słyszałam, jak się kłóciły. Patti błagała matkę, żeby jej na coś pozwoliła.

Martha rzuciła ostro jakieś słowa i Patti wybiegła z pokoju, cała we łzach.

A przedtem krzyknęła, że go nienawidzi.

Zapewne ojca.

- Czy Patti mówiła pani coś na temat nocy, kiedy zginął jej ojciec? Coś innego niż ona i Martha zeznały policji?

- Nie, oczywiście, że nie. - Rose zmarszczyła brwi.

- Do czego pani zmierza?

Do kuchni weszła Patti, z zaróżowionymi policzkami i miną, jakby coś narozrabiała. Andie podejrzewała, że dziewczyna podsłuchiwała pod drzwiami.

- Cześć, babciu. - Spojrzała na Andie i szybko się odwróciła. - Co to? - spytała, widząc talerz z ciastem.

- Mogę wziąć kawałek?

- Oczywiście. - Rose otoczyła ją ramieniem i pocałowała w czubek głowy. - Pani doktor przyniosła.

- Przepraszam za spóźnienie. - Robert z Martha zjawili się w drzwiach kuchni.

Martha pobladła na widok córki.

- Patti, kochanie, weź ciasto i wracaj do swojego pokoju. Musimy porozmawiać.

- Chcę zostać.

- Nie dzisiaj, kochanie. Zabierz ciasto i...

- Nie. - Patti uniosła brodę. - Nie jestem już dzieckiem. Nie możesz mnie wyrzucać do pokoju.

- Owszem, mogę. Jestem twoją matką, a ta rozmowa nie jest przeznaczona dla twoich uszu.

- Prawdę mówiąc - wtrącił się Robert - Patti wcale

mi nie przeszkadza. W końcu ta sprawa dotyczy także i jej osoby.

- Widzisz! - krzyknęła dziewczyna. Martha zaczęła dygotać.

- Powiedziałam, idź do swojego pokoju. Patti wbiła wzrok w matkę.

- Dlaczego? I tak wiem, co o mnie powiesz. - Zwróciła się do adwokata. - Chcę zeznawać.

Oczy Marthy dziko błysnęły.

- Nie! Absolutnie nie!

- Dlaczego? - krzyczała Patti z udreńczoną miną. - Powinnam zeznawać, wiesz, że powinienam.

- Nie masz z tym nic wspólnego.

- Nic wspólnego? Tato nie żyje, ty jesteś oskarżona o morderstwo i twierdzisz, że ja nie mam...

- Dosyć, Patti.

- Nie. - Jej głos zabrzmiał nagle o wiele doroślej niż głos matki. - To wszystko się stało, mamó. Choćbyś nie wiem jak zaprzeczała. Stało się i się nie odstanie.

Martha starała się odzyskać panowanie nad sobą.

- Jestem twoją matką, wiem, co jest dla ciebie najlepsze. - Wytrzymała spojrzenie córki. - Nie chcę więcej o tym słyszeć.

Robert włączył się do rozmowy.

- Jeśli martwisz się, jak to będzie wyglądać, Martho, zapewniam, że prokurator nie będzie Patti męczył. Istnieje niepisane prawo, które mówi, że nieletnich traktuje się wyjątkowo łagodnie. Proszę mi wierzyć, wcale nie dlatego, że prokuratorzy mają takie dobre serca, tylko doskonale wiedzą, że jedno niewłaściwe słowo może zrazić do nich sędziów.

- Powiedziałam: nie. - Głos Marthy drżał.

- Mamó, obie wiemy, że powinienam to zrobić. - Patti

mówiła przez łzy. - Chcę ci pomóc. Dlaczego mi nie pozwalasz?  
Martha zbliżyła się do córki.

- Przed tobą całe życie, kochanie. Długie, szczęśliwe życie. A ja  
popęłniłam tyle błędów, pozwól, że zrobię to dla ciebie.

- Nie chcę, żebyś szła do więzienia. - szepnęła dziewczyna. - Nie zniosę  
tego. Kocham cię, mamo.

- Ja też cię kocham. - Martha objęła córkę. - Wszystko się ułoży.  
Naprawdę. Idź teraz do siebie. Chcę porozmawiać z panią doktor i panem  
Fultonem na osobności.

- Chodź, Patti - odezwała się jej babka, wyciągając rękę. - Pójdę z tobą,  
popracujemy trochę nad naszą kołdrą.

Dziewczyna wyszła, rzuciwszy na matkę ostatnie, błagalne spojrzenie.  
Andie i Robert porozumieli się wzrokiem.

- Martho, twoja córka chce zeznawać, a nam bardzo potrzebne są jej  
zeznania. Czemu chociaż nie przemyślisz...

- Nie. - Martha nalala sobie kawę. - Napijecie się państwo? - spytała.  
Robert podszedł do niej.

- Patti znała Eda o wiele lepiej niż inni. Była w domu tej nocy i...

- Poradzimy sobie bez niej. Mamy doktor Bennett, ona zezna na temat  
Edwarda. I ja. - Podała Andie filiżankę kawy. - Śmietanka? Cukier?  
Andie pokręciła głową. Robert nie poddawał się.

- Jesteś oskarżona o morderstwo. Jesteś w tej sprawie podejrzaną,  
sędziowie nie będą wierzyć twoim słowom. Uznają, że ratujesz własną  
skórę. Jeśli chodzi

o doktor Bennett, jest dobrym świadkiem, choć wielu ludzi nie ma zaufania do psychiatrów. No i jest jeszcze sprawa twojego wybuchu podczas sesji terapeutycznej. Jeśli Andie będzie zeznawać, prokurator dostanie do ręki świetny materiał.

Na wspomnienie swojego wybuchu Martha spojrzała podejrzliwie na Andie. Wciąż udawała, że nic się wtedy nie stało.

- Dzieciom - kontynuował Robert - z zasady się wierzy, są postrzegane jako niezdolne do kłamstwa. Dobrze, emocjonalne zeznanie Patti ogromnie pomoże nam otrzymać wyrok uniewinniający.

- Damy sobie radę bez tego. - Martha minęła go, podchodząc do talerza z ciastem, przyjrzała się i wybrała kawałek.

Robert popatrzył na Andie, jakby mówił: Co teraz? Tylko uniosła bezradnie ramiona.

- Prokurator i tak może ją wezwać - powiedział. - Rozumiesz?

Martha spojrzała na niego z przerażeniem w oczach.

- Nie pozwolę na to.

- Nie możesz.

Martha śmiertelnie zbladła.

- Oczywiście, że mogę, jestem jej matką, a ona jest niepełnoletnia.

- Ma piętnaście lat, nie pięć. Sędzia może wyrazić zgodę, jeśli prokurator będzie się tego domagał.

Martha poszukała za sobą krzesła, przysunęła je i ciężko usiadła.

- Nie dość się już nacierpiała? - powiedziała do siebie. Andie kucnęła przed Martha, tak, żeby musiała spojrzeć w jej oczy.

- Co przed nami ukrywasz, Martho? Co się naprawdę wydarzyło tamtej nocy?

- Już wszystko wam powiedziałam.
- Czy Ed uderzył Patti? Czy dlatego...
- Nie. - Pokręciła głową. - Nie.
- Czy jej... dotykał? Czy się jej narzucał?
- Nie! Patti była w swoim pokoju. Wyszła stamtąd dopiero wtedy, gdy usłyszała strzały. Mówiłam już!
- Martho - odezwała się cicho Andie, próbując z innej strony - przypadkiem spotkałam się z nauczycielką Patti, Gwen White. Powiedziała mi, że Patti pisała o swoim ojcu w wypracowaniach, o swojej złości i rozpacz. Te zeznania mogą jej pomóc. Ty widzisz w tym tylko zło, traumatyczne, przerażające doświadczenie. Tymczasem Patti może to pomóc wyzwolić się.

Martha pokręciła głową, lecz Andie ciągnęła uparcie:

- Posłuchaj mnie. To daje Patti szansę, żeby ci pomóc. Do tej pory musiała siedzieć cicho i patrzeć. Przez całe swoje dotychczasowe życie była bezradna i cierpiała z tego powodu.

Ręce Marthy były nieprzyjemnie zimne, Andie próbowała je rozgrzać.

- Rozumiesz? Teraz ona jest ofiarą. Każąc jej przyglądać się w milczeniu, nie dając jej szansy, żeby ci pomogła, utwierdzasz ją w roli ofiary.

Kobieta chciała odwrócić wzrok, lecz Andie na to nie pozwoliła.

- Całe życie musiała przyglądać się bez słowa. Pozwól jej sobie pomóc, pozwól jej zeznawać.

Twarz Marthy pomarszczyła się, jakby nagle przybyło jej dziesięć lat.

Przez jeden krótki moment Andie myślała, że Martha ulegnie. Widziała to w jej oczach, w jej zgarbionej postaci, jakby tej kobiecie nagle zabrakło siły albo woli, żeby siedzieć prosto. Potem jednak Martha zebrała się w sobie i uwolniła dłonie z rąk Andie.



- Nie - rzekła i powtórzyła głośniej, niemal krzyżąc: - Nie, nie pozwolę jej.

- Dlaczego? - Andie wstała. - Nie jestem twoim wrogiem - powtórzyła swoje wcześniejsze słowa. - Ani ja, ani Robert. Gdybyś choć powiedziała nam, czego się boisz, pomogliśmy ci.

- Muszę znać całą prawdę, Martho - rzekł Robert. - Jeżeli mam cię skutecznie bronić, nie może być między nami żadnych sekretów. Musisz być ze mną stuprocentowo szczerą. Jeśli przegramy...

Twarz Marthy stała się kredowobiała.

- To prawda - mówił Robert. - Możemy przegrać. Wierz mi, prokurator i tak coś wygrzebie, świadka czy dowód, a ja ugrzęznę, będę się plątał w wyjaśnieniach. Przysięgli to zaraz zobaczą i stracą do mnie zaufanie. A wtedy przegramy. - Podszedł do Marthy. - Muszę być dobrze przygotowany. Moim zadaniem jest bronić cię najlepiej, jak potrafię. Nawet jeśli oznajmisz mi, że zabiłaś go z zimną krwią.

- Nie! - zawołała kobieta. - Mówiłam, jak to się stało, Edward próbował mnie zabić! Zastrzeliłam go, bo musiałam. - Rozpłakała się. - Chciał mnie zabić.

Robert i Andie wymienili spojrzenia.

- Skoro wszystko mi powiedziałaś, czemu tak się boisz? Jeśli byłaś absolutnie szczerą, przed czym chronisz Patti?

Martha podniosła na niego oczy, tak pełne rozpacz, że Andie się przeraziła.

- Zadaj sobie jedno pytanie, Martho - dodał miękko Robert. - Czy chcesz spędzić resztę życia w więzieniu?

## **ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY PIERWSZY**

Następnego dnia Martha niespodzianie wpadła do biura Andie.

- Martha - ciepło przywitała ją Andie. Cały czas myślała o niej. Martwiła się o jej samopoczucie, obawiała się, że może zrobić jakieś głupstwo.

- Dzień dobry, pani doktor - powiedziała, owijając pasek od torebki wokół palca wskazującego. - Miałam nadzieję... myślałam, że... - Urwała.

- Bardzo proszę. Świetnie pani trafiła. - Andie chwyciła ją za rękę. -

Cieszę się, że panią widzę, proszę wejść. - Odwróciła się do recepcjonistki. - Missy, żadnych telefonów, proszę nam nie przeszkadzać. Recepcjonistka kiwnęła głową.

- Jasna sprawa.

Gdy usiadły, Martha położyła dłonie na kolanach i patrzyła w bok. Mijały minuty.

- O co chodzi, Martho? - spytała wreszcie Andie. - Co panią martwi?

- Bałam się, że nie będzie pani chciała mnie widzieć po tym, jak się zachowałam.

- Zawsze chętnie się z panią spotykam, Martho. Miała pani pełne prawo tak się zachować. Przeżywa pani bardzo trudny okres.

W gabinecie zaległa cisza. Andie postanowiła ponowić próbę z poprzedniego dnia.

- Chodzi o Patti, prawda? Martha podniosła zboląły wzrok.

- Tak, to...

Zabrzączał interkom, Martha Pierpont urwała. Andie zmarszczyła brwi. Jej recepcjonistka doskonale wiedziała, co znaczy: „Proszę nam nie przeszkadzać”.

- Proszę wybaczyć, to musi być coś pilnego. - Podniosła słuchawkę. - Missy? O co chodzi?

- Przepraszam, pani doktor. Jest tu Raven. Nalegała, żebym pani przerwała.

- Już idę. - Andie jeszcze raz przeprosiła Marthę i wybiegła.

Na skraju biurka Missy siedziała Raven, gadając jak najęta, choć recepcjonistka miała nieszczęśliwą minę.

- Raven, co się stało?

- Cześć. Umawialiśmy się na lunch, pamiętasz?

- Lunch - powtórzyła Andie. - Czy Missy nie powiedziała ci, że mam pacjenta?

- Tak, ale my mamy nasze plany.

Andie nawet nie ukrywała rozdrażnienia. Raven wstała.

- Muszę pogadać z tobą o Julie, to bardzo ważne.

- Mój pacjent też jest ważny. Przepraszam, ale musisz z tym poczekać.

W Raven zawrzało.

- Chcesz powiedzieć, że pacjent jest dla ciebie ważniejszy niż ja? Niż my? Andie zeszywniała ze złości. Zerknęła na Missy, której oczy zaokrągliły się ze zdumienia.

- Tak — oznajmiła. - To jest dla mnie ważniejsze niż lunch z tobą i kolejna rozmowa o problemach naszej wspólnej przyjaciółki. A teraz wybac.

Odwróciła się. Raven złapała ją za rękę.

- Znowu mnie odpychasz. Nie podoba mi się to.

- Przykro mi. Pracuję, a praca jest na pierwszym miejscu. - Wyzwoliła się z uścisku. - Zadzwoń do ciebie później.

Ruszyła do gabinetu, gdzie czekała na nią Martha.

- Przepraszam - rzekła, udając, że nie jest poruszona egoizmem i brakiem wrażliwości swojej najlepszej przyjaciółki. - Proszę kontynuować.

Martha popatrzyła na zamknięte drzwi gabinetu, a potem na Andie.

- Pokłóciła się pani przeze mnie. - Sięgnęła po torebkę i zaczęła wstawać.

- Powinam już iść.

- Proszę. - Andie przytrzymała ją. - Niech się pani tym nie przejmuję.

Przyszła pani coś wyjaśnić, więc bardzo proszę nie wychodzić, dopóki wszystkiego nie przedyskutujemy.

Martha zawahała się.

- Proszę mi opowiedzieć o Patti. - Andie w duchu przeklęła Raven. - Po to pani przyszła.

Przez mgnienie sekundy zdawało się, że Martha zacznie się wykręcać, że znowu zamknie się w sobie. Zaczęła jednak mówić, cicho, z przerwami.

- To się zaczęło kilka miesięcy temu, może sześć. Początkowo nic nie wiedziałam. Edward... on... - Martha zacięła się na tych słowach. - Patti mi nic nie mówiła. Chciała... chciała to przede mną ukryć. - Uniosła wzrok, patrząc na Andie oczami kobiety, która straciła wszystko, także nadzieję. - Tak jak ja zawsze starałam się przed nią wszystko ukrywać... udawać, że wszystko jest w porządku.

Andie pokiwała głową, dodając pacjentce otuchy, choć sama była przejęta.

- Proszę dalej.

Martha wzięła ligninową chusteczkę i natychmiast zaczęła skubać ją na kawałki.

- Edward... któregoś popołudnia przyszedł wcześniej do domu, bez zapowiedzi. Patti wróciła już ze szkoły. A ja gdzieś poszłam, nie pamiętam gdzie. Był zły, szukał zaczepki, no i zaczął wyzywać się na córce. - Martha nie radziła sobie z oddechem. - Patti założyła na uszy te swoje słuchawki i poszła do swojego pokoju. Ale on... poszedł za nią. Andie pozwoliła Marcie znaleźć właściwe słowa, nie pokazując, ile ją kosztuje ta opowieść.

- Błagała go... żeby ją zostawił. Ale on... on...

Jej głos zamarł, więc Andie delikatnie ją ponagliła:

- Go zrobił?

Martha kręciła głową, gardło miała zaciśnięte, twarz zalaną łzami.

- Wyzywał ją?

- Tak.

- Uderzył?

- Tak.

Andie wzięła głęboki oddech.

- Czy ją zgwałcił?

Martha patrzyła na nią pustym spojrzeniem, jakby nie usłyszała pytania.

Andie powtórzyła:

- Czy on ją zgwałcił?

- Tak - szepnęła Martha, chowając twarz w dłoniach. - Tak, zgwałcił moje dziecko. Moją najdroższą, najukochańszą córeczkę.

Emocje dławily Andie, nie potrafiła spojrzeć na to obiektywnie. To nie była jej wina, a jednak czuła się winna, jakby nie zrobiła nic, żeby temu zapobiec.

- Zaczął wpadać do domu popołudniami, kiedy wiedział, że mnie nie ma. Nie wiem, ile... ile razy to się stało. - Martha płakała.

Andie podeszła do niej i przytuliła ją, zrozpaczona, pragnąc niemożliwego, żarliwie pragnąc odwrócić bieg wydarzeń. Po chwili spytała Marthę, jak się o tym dowiedziała.

- Przyszłam do domu - wyszeptała. - Złapałam go.

- Kiedy to było?

- Przed miesiącem.

- I co pani zrobiła?

Martha siedziała sztywno, wyciągnęła się do góry i patrząc Andie prosto w oczy, oznajmiła:

- Powiedziałam mu, że zabiję go, jeśli jeszcze raz dotknie mojego dziecka. Mówiłam to całkiem poważnie, pani doktor.

- Och, Martho! - Andie ścisnęła jej dłonie. - Dlatego nie chcesz, żeby Patti zeznawała? Boisz się, że sędziowie...

- Nie. - Martha pokręciła głową. - Nie obchodzi mnie, co sobie o mnie pomyślą przysięgli. Ale muszę ją chronić. Do tej pory mi się to nie udawało. Ja... - Głos jej zadrżał. - Ma pani rację, Patti wiedziała, co dzieje się między mną i Edwardem. Zawsze wiedziała. Dostyc się nacierpiała, nie chcę, żeby przez to przechodziła.

- Proszę mnie posłuchać. Zeznania będą miały tylko dobry wpływ na Patti, głęboko w to wierzę. Ona musi coś zrobić. Niech pani pozwoli jej pomóc sobie, niech pani nie każe jej przyglądać się z daleka, jak dotąd.

- Ale jeśli będzie zeznawać, wszyscy dowiedzą się, co on jej zrobił. Będą szeptać, pokazywać ją palcami. Zostanie naznaczona. Gdziekolwiek się pokaże, nigdy nie będzie już tą samą osobą...

- Martho - przerwała Andie delikatnie, lecz stanowczo. - Ważne jest, że ona wie, a nie, czy dowiedzą się inni. Ona nie może tego cofnąć. Jeśli zacznie to wypierać, skończy się jeszcze gorzej.

- Ale... co z jej dalszym życiem? Gdy stanie przed sądem, wszystko się zmieni. Co stanie się z Patti?

- To nie tak, Martho. To Edward w straszny sposób odmienił jej życie, a teraz my musimy jej pomóc poradzić sobie z tym.

Nie pozostało nic więcej do powiedzenia.

Za zgodą Marthy, Andie zadzwoniła do Roberta i powtórzyła, czego się od niej dowiedziała. Wyznanie Marthy zmieni linię obrony, oświadczył.

Nie wiedział, jak dalece, dopóki nie usłyszy całej historii od matki i córki.

Umówili się we trójkę na następny dzień.

Opowieść Marthy, jej cierpienie, nie opuszczały Andie do końca dnia.

Myślała o tym podczas sesji z kolejnymi pacjentami. Czowała się winna i przegrana.

Przetrwała jakoś popołudnie i wieczór, przyjmując pacjenta za pacjentem, wyczerpana fizycznie i psychicznie. Pacjenci reagowali na jej zdenerwowanie większym strachem, złością albo konsternacją.

Około ósmej wyszedł ostatni pacjent i Andie pojechała do domu.

Pragnęła jedynie zmyć z siebie brudy całego dnia. Rzuciła stos poczty na stolik w holu, choć był tam też list od jej matki. Nie czuła nawet głodu.

Ruszyła przez hol, nie zapalając światła.

Kiedy dotarła do sypialni, przekreśliła kontakt. Światło zalało pokój. Gdy spojrzała na łóżko, o mało nie krzyknęła. Ktoś zostawił jej prezent, sadomasochistyczną, obsceniczną wizytówkę.

Nie byle kto, uświadomiła sobie z przerażeniem. To był pan X.

Na jej łóżku leżał rozłożony, związany na końcu w pętlę sznur i czarny jedwabny szalik.

## **ROZDZIAŁ. SZEŚĆDZIESIĄTY DRUGI**

Andie zadzwoniła do Nicka. Przyjechał niezwłocznie. Wyszła do niego przed dom, nigdy dotąd nie cieszyła się tak na czyjś widok.

- Dziękuję, że jesteś, Nick. Kiedy zobaczyłam... nie wiedziałam, co robić.

- Dobrze zrobiłaś. - Tulił jej dłonie. - Jak się czujesz?

- Dobrze. - Uśmiechnęła się histerycznie. - Nie, wykreśl to. Nie czuję się dobrze. Czemu on to robi, Nick? Dlaczego terroryzuje mnie w taki sposób?

- Nie wiem. Ale jestem przy tobie i wszystko wyjaśnię. - Ścisnął jej rękę i puścił je. - Zaczekaj tu, pójdę...

- Nie! Idę z tobą. - Bała się stracić go z oczu. Zawahał się, po czym skinął głową.

- Ale nie odchodź ode mnie. Zaśmiała się nerwowo.

- Nie martw się o to. Na krok cię nie odstąpię. Powoli zaczęli penetrować dom. Nick sprawdzał

każdą szafę i każdy kąt, zaglądał za i pod meble, sprawdzał wszystkie okna. Jedno z oknem w pralni było uchylone, wyglądało na to, że ktoś otwierał je od zewnątrz.



Andie popatrzyła na okno, potem na Nicka, marszcząc brwi.

- Jestem pewna, że je zamykałam.

Nick tylko pokiwał głową. Dokładnie obejrzał okno i parapet. Następnie przeniósł wzrok na podłogę pod oknem, jeszcze później na kosz pełen brudnej bielizny. Na wierzchu leżał stanik i koronkowe figi Andie.

Zawstydziała się i szybko wepchnęła je do kieszeni spodni.

- Mam zaległości z praniem - mruknęła. Na ustach Nicka pojawił się uśmiech.

- Nie przejmuj się. A tak w ogóle, bardzo ładne drobiazgi.

Kucnął i dokładnie przyglądał się ścianie i podłodze. Zmarszczył brwi, jakby miał na końcu języka pytanie i bał się je zadać.

- Czy te drzwi prowadzą na zewnątrz? - Wskazał na drzwi po przeciwnej stronie pomieszczenia.

- Tak. To przejście do garażu.

- Chciałbym zobaczyć, czy nie ma jakichś śladów. Nic nie znalazł. Krzaki pod oknem były nienaruszone, boczna ścieżka nietknięta.

- To wcale nie znaczy, że nie dostał się do środka tą drogą. Jakiś czas już nie padało, ziemia jest wyschnięta i twarda. Powinien jednak zostać jakiś ślad.

- Na przykład co? Nick potrząsnął głową.

- Gdzie jest twoja sypialnia?

Andie poprowadziła go w dół holu. Zatrzymali się na progu. Żyrandol świecił jaskrawo. Nick dotknął ramienia Andie.

- Zaczekaj tu.

Tym razem posłuchała go bez słowa. Przeszukał jej

garderobę i przylegającą do sypialni łazienkę, obejrzał okna, zajrzał pod łóżko.

- Świeżo odkurzone? - spytał, wracając do drzwi.

- Dziś rano była kobieta, która u mnie sprząta. Pokiwał głową.

- To mężczyzna niewysoki i szczupły. Kimkolwiek jest.

- Skąd wiesz?

Nick wskazał na wykładzinę.

- Widzisz te zagniecenia? To ślady stóp. - Przykucnął, a ona za nim. - Te są twoje. - Dotknął ręką wykładziny. - Widzisz, ta sama wielkość, ten sam but. A te należą do mnie. - Wyciągnął rękę. - Mam duże stopy.

- W takim razie te są... - Urwała.

- Tak, te zostawił twój tajemniczy przyjaciel. Andie patrzyła na ślady pełna strachu, jakby miała przed sobą terroryzującego ją osobniki. Tak, ten ktoś miał stopę większą niż ona, ale mniejszą niż Nick. I najprawdopodobniej nosił sportowe buty bez obcasów.

- Brawo - powiedziała.

Spojrzał na nią i lekko się uśmiechnął.

- Dzięki, ale tyle zauważyłby nawet początkujący stażysta.

Andie nie zgodziła się z tym, ale co ona w końcu wiedziała o policyjnej robocie?

- Teraz spojrzymy na twój prezent.

- Zostanę tu, jeśli pozwolisz. - Odwróciła wzrok. Nie mogła patrzeć na łóżko, na sznur i szalik. Od razu

wyobrażała sobie ów sznur na swojej szyi, a siebie wiszącą z zawiązanymi oczami, czuła śmiertelny ucisk pętli.

- Dobrze się czujesz? - spytał Nick. - Jesteś bardzo blada.

Andie zacisnęła zęby.

- W porządku. Nie przejmuj się, rób swoje i pozbadźmy się tego.

- To potrwa tylko parę minut.

Zgodnie z tym, co powiedział, po kilku minutach Nick oświadczył Andie, że teren jest czysty. Wszystko już zbadał i zabezpieczył dowody.

- Zabiorę to, oddam do laboratorium i zobaczymy, co znajdą. Nie oczekuj jednak wielkich sensacji.

Ruszyli do wyjścia, a im bliżej byli drzwi, tym bardziej Andie pragnęła, by Nick jej nie opuszczał.

- Nie miałbyś ochoty na kawę... albo na drinka? Mam też piwo - zaproponowała, przypominając sobie, że jego bratanica Sam częstowała go tym napojem.

- Tak? - Spojrzał na nią. - Czemu nie? Jestem już po służbie.

- Świetnie. Usiądź na kanapie, zaraz przyniosę. Po chwili Andie wróciła z piwem dla Nicka i z kieliszkiem wina dla siebie. Usiadła na drugim końcu kanapy.

Zerknęła na niego spod oka i szybko odwróciła wzrok. Widok Nicka na kanapie w jej domu sprawiał jej wielką przyjemność. Mężczyzna wypełniał pokój inną, nową energią. Zobaczyła swój pokój w całkiem nowym świetle. Ściany wyglądały teraz zbyt słodko, obita wzorzystym perkalem kanapa okazała się nieznośna, a od kwiatowych ozdób okiennych robiło się mdło.

Znowu zerknęła na Nicka, który tym razem przechwycił jej spojrzenie. Poczula się jak uczennica, cieleco gapiąca się na nauczyciela wychowania fizycznego.

- Co? - odezwał się Nick.

- Nic. Tak tylko... - Zmieszała się. - Nie jestem przyzwyczajona, by mężczyźni przesiadywali na mojej kanapie. - Zatkąła sobie usta, widząc zdziwioną minę Nicka. - Źle się wyraziłam.

- Czyli nie powinienem pytać, gdzie przyjmujesz swojego faceta.

Twarz Andie zrobiła się purpurowa.

- Nie, zdecydowanie nie.

- Podobasz mi się, kiedy jesteś speszona.

- O odcień jaśniejsza od gotowanego kraba.

- Co najmniej dwa. - Łyknął piwa i zaczął bawić się puszką. - Chcesz znać moje zdanie na temat tej sprawy? - Gdy przytaknęła, mówił dalej: - To nieduży mężczyzna, giętki i zręczny. - Uśmiechnął się, widząc jej niedowierzanie. - Słuchaj uważnie. Przedostał się przez okno w pralni, które nie jest duże, nie ruszając kosza z praniem ani nie przewracając doniczki. Nie zostawił żadnych śladów. Ani śladów zelówek na podłodze czy na ścianach, ani brudnych, widocznych odcisków palców na białych ramach okiennych. Ani wewnątrz, ani na zewnątrz. Nie szukałem odcisków palców z dwu powodów. Po pierwsze mógłbym ich nie znaleźć, bo facet miał czas, żeby je powycierać. Armatura w łazience tak lśni, że widziałem w niej swoje odbicie.

- A po drugie?

Na jego poważnej twarzy ponownie zjawił się delikatny uśmiezek.

- Bo nawet gdybyśmy znaleźli ślad, nic by nam to nie dało. Nie znaleźlibyśmy jego odpowiednika w naszym archiwum. Gwarantuję ci, że ten facet nie widnieje w policyjnych archiwach.

- A więc... jestem w niebezpieczeństwie? Popatrzył na nią z całym spokojem i wielką powagą.

- Nie wiem. Zaryzykowałbym twierdzenie, że nie jesteś zagrożona. Moim zdaniem ktoś znajduje perwersyjną przyjemność w straszaniu cię. Karmi się twoim lękiem, lubi patrzeć, jak pocisz się ze strachu. Ale nie lubię ryzykować.

Perwersyjna przyjemność. Andie głośno przełknęła. Pan X. Lea Robertson. David Sadler.

Szalał w niej strach. Próbowwała go poskromić. Nie wolno jej spekulować w taki sposób na temat pacjenta. Nie ma żadnego dowodu, że David jest niebezpiecznym psychopata. To prawda, ma ułomną, chorą psychikę, którą ona próbuje wyleczyć, i tyle. Zresztą nawet gdyby miała taki dowód, i tak byłaby bezradna. Mogłaby jedynie odmówić dalszych sesji.

- Może dzwoniłaś dziś wieczorem do Raven albo Julie?

- Nie. Nawet nie... sądzisz, że on mógł...

- Zostawić także dla nich niespodzianki? Owszem, chociaż wątpię.

- On mnie wybrał.

- Tak. - Nick chrząknął. - Chciałabyś, żebym zadzwonił do nich albo wpadł oficjalnie?

- Nie. Ja to zrobię.

- Nie ma na co czekać.

Andie skinęła głową, poderwała się i podeszła do telefonu. Zaczęła od Raven, następnie wykręciła numer Julie. Żadnej z nich nie było w domu, zostawiła im więc wiadomość na sekretarce, mówiąc w skrócie, o co chodzi. Poinformowała je również, że jest z nią inspektor Raphael i żeby się nie martwiły. Obie poprosiła o telefon w razie jakichkolwiek kłopotów.

Wróciła na kanapę i spojrzała na Nicka.

- Boję się.

- Wiem.

- Nie musisz... nie musisz jeszcze wychodzić, prawda? To znaczy, Mara nie jest...

- Jest u matki.

Spuściła wzrok, zdając sobie sprawę, że z całej siły

ściska w dłoni kieliszek. Nie wypła jeszcze nawet łyka. Odstawiła kieliszek ostrożnie na stolik.

- Co mam robić?

- Bądź ostrożna - rzekł cicho. - Sprawdzaj, czy masz zamknięte drzwi i okna. Mogłabyś zainstalować sobie system alarmowy. Albo postarać się o psa obronnego.

- Przechylił puszkę z piwem, opróżniając ją do ostatniej kropli, by dać Andie czas na przemyślenie jego słów. Rozejrzał się po pokoju. - Podoba mi się u ciebie.

- Dzięki.

- Może trochę za dziewczęco, jak na mój gust. Uśmiechnęła się, wdzięczna za to, że próbuje ją rozśmieszyć.

- Nie mam wyjścia, skoro jestem dziewczyną.

- Tak. - Postawił puszkę na stole. - Muszę lecieć.

- Zostań. Proszę. - Nick spojrzał na nią pytająco, a ona złożyła dłonie, nie wierząc we własne słowa:

- Chciałabym, żebyś został. Ze mną.

Zbliżył się i ujął ją za brodę.

- Piękna, mądra, słodka Andie. Zadowolona, zaczerwieniła się.

- Naprawdę tak myślisz?

- Zawsze tak myślałem.

Położyła rękę na jego dłoni, marząc o pocałunku. Uniosła ku niemu twarz.

- Gdybym poprosiła cię, żebyś mnie pocałował, nie przestałbyś uważać, że jestem mądra?

- Nie - odparł. - Pomyślałbym, że jestem wielkim szczęściarzem.

Pocałował ją.

Sama nie wiedziała, czego oczekuje po tym pocałunku, ale na pewno nie tego, nie takiej eksplozji podniecenia, nie takiego żaru. Wbiła palce w jego bawełniany sweter, nie potrafiąc się zdecydować, czy ma się

go trzymać, czy lepiej ucześcić się rzeczywistości. Wiedziała tylko, że zwykle połączenie dwojga ust nigdy dotąd nie odebrało jej tchu.

Nick oparł ją o miękkie duże poduszki, wplatając palce w jej włosy.

- Tak długo... - szeptał, szukając ustami jej ucha, wygięcia szyi, wrażliwej skóry nad rozpiętym kołnierzykiem bluzki.

- Za długo - wyszeptała.

Całował ją bez końca, aż zakreśliło jej się w głowie. Gdy osłabła, odsunął się.

- To ze strachu - spytał - czy przeze mnie? Patrzyła w jego ciemne oczy, nie znając odpowiedzi.

Nie do końca. Strach i pożądanie owładnęły nią w równym stopniu.

Nick westchnął i usiadł, czytając w jej oczach odpowiedź.

- Cholera. - Jeden z kącików jego ust uniósł się w krzywym uśmiešku, a Andie uświadomiła sobie, że kocha tego mężczyznę. Poprawił zmierzwiłone włosy. - Zawsze coś palnę.

- Nie szkodzi. - Wyciągnęła rękę. - Naprawdę.

- Przeciwnie. Dla mnie szkodzi.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć, więc milczała. Oparł głowę o jej czoło.

- Nie musisz iść ze mną do łóżka, żebym z tobą został.

- Wiem.

- Tak?

Przejechał kciukiem po jej dolnej wardze, ta pieśczoćta rozeszła się po całym jej ciele. Wyciągnęła do niego rękę, a on zaczął je całować, a potem ją odsunął.

- Zostanę, Andie, ale nie będę z tobą spał. Chciał-

bym wiedzieć, że pragniesz mnie, a nie policjanta, nie stróża, który odwróci twoją uwagę od strachu.

Miał rację, tak podpowiadał jej rozum. Powinna być mu wdzięczna za zimną krew i dobre wychowanie. Ale nie była. Do diabła z manierami, gdy w niej wszystko się gotuje! Czowała się rozczarowana i nie spełniona.

- Spodziewasz się pewnie, że ci podziękuję.
- Nie zrobisz tego?
- Nie, do diabła. Jestem wkurzona. Pocałował ją, zaśmiewając się.
- Miło mi to słyszeć. Czuję się dokładnie tak samo. Będę spał na kanapie.



## **ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY TRZECI**

Podczas jazdy Julie leżała na przednim siedzeniu samochodu Davida, z głową na jego kolanach. Obiecał jej tego wieczoru specjalną niespodziankę. Coś nowego i wspaniałego, coś ekscytującego.

Zerkała na niego. Kochała go bardziej niż kogokolwiek przedtem. Czowała się przy nim bezpieczna, adorowana, upragniona. Rozumiał ją i kochał bez zastrzeżeń, nie osądzał jej, nie oczekiwał, że się zmieni. A żądali tego od niej wszyscy, nawet Raven i Andie.

Od pewnego czasu David zaczął dbać o jej podstawowe potrzeby: o jedzenie, dom i ubranie. Odganiał jej lęki i zaspokajał pożądanie. Rano wybierał, w co ma się ubrać, wieczorem mył jej włosy, decydował, ile i co ma jeść.

Wszystko z miłości. Pragnął być dla niej wszystkim.

I nigdy jej nie dokuczał, nie ganił jej tęsknot. Spełniał każdą jej zachciankę. Wiele lat temu, stojąc przed lustrem w sypialni, przyrzekła sobie, że któregoś dnia będzie miała szafę pełną sukien, jak księżniczka. Ten dzień długo nie nadchodził, aż wreszcie się doczekała. Zwierzyła się Davidowi, a on zaraz zabrał ją na zakupy. Miała teraz szafę pełną sukien, w których wyglądała jak księżniczka.

W zamian David oczekiwał tylko zaufania.

- Gdzie jedziemy? - spytała, przesuając głowę i ocierając się o jego twardy członek. Nie znała jego planów, ale wyraźnie go podniecały.

- Na budowę w Gatehouse.

- Tam jest moja niespodzianka? Uśmiechnął się.

- Spodoba mi się?

- Cii. - Dotknął jej twarzy, delikatnie pieszcząc policzek. - Nie chcę teraz rozmawiać. Muszę się przygotować.

Julie posłusznie zamilkła. Światła Thistledown zostały już za nimi.

Wnętrze wozu oświetlała tylko tablica rozdzielcza. Zabarwiała skórę Davida na czerwono. Z punktu widzenia Julie jego brwi, ostry nos i kości policzkowe jeszcze się wyostrzyły, przez co przypominał drapieżnego ptaka.

Albo diabła.

Julie zamknęła oczy. David jest aniołem, a nie diabłem, pomyślała. Jej wybawcą, a nie wrogiem. Oddychała głęboko, odganiając demony.

Dostroila się do drogi pod kołami, do oddechu Davida, do zapachu jego wzmagającego się podniecenia.

David tymczasem zwolnił i skręcił, a po chwili zatrzymał się i wyłączył silnik.

- Jesteśmy na miejscu, kochanie. Usiądź.

Spełniła jego prośbę. Stali przed wspaniale prezentującym się budynkiem, który, wraz z dwoma podobnymi, wyrastał przed nimi na środku pustkowia. Trzy domy na sprzedaż, zrozumiała Julie. Te, przy których pracuje Raven.

- Piękny.

- Zaczekaj, aż zobaczysz wnętrze.

Wysiedli i ruszyli ścieżką. David otworzył drzwi,

wyłączył system alarmowy i nacisnął wyłącznik po prawej stronie. Rozbłysło światło. Julie wstrzymała oddech. Nigdy nie widziała wspanialszego miejsca, przypominało jej pałac. David zaśmiał się i wycisnął całusa na jej czole.

- Widzę, że ci się podoba.

- Bardzo.

- Twoja przyjaciółka, Raven, zrobiła świetną robotę. Prawdziwy cud. Nie spotkałem dotąd architekta wewnątrz, który pracuje tak szybko i tak inspiruje ludzi do ciężkiej pracy. Kilku robotników, malarzy i glazurników, odstawiło inne zajęcia, tak bardzo chcą z nią pracować.

- Cała Raven. Zawsze potrafiła pociągnąć za sobą ludzi. - Julie rozglądała się wokół. - Jest bardzo zdolna. Chciałabym...

- Nie - szepnął, ujmując jej twarz w dłonie. - To ty jesteś wyjątkowa, nie ona. Zapamiętaj to sobie. - Pocałował ją i wziął za rękę. - A teraz zamknij oczy, żebyśmy mogli zaprowadzić cię do twojej niespodzianki.

Zachichotała, ale pozwoliła się prowadzić po omacku. Z drewnianej podłogi przeszli na miękką wykładzinę. David przystanął i nacisnął kolejny wyłącznik.

- Gotowe - powiedział łagodnie. - Niespodzianka. Julie otworzyła oczy. I omal nie zemdląca.

Z jednej z wyeksponowanych belek na suficie zwisała związana na końcu w pętlę lina. Pod nią stał wysoki taboret, a obok niego mniejszy.

Cofnęła się z krzykiem, zderzając się z Davidem. Objął ją, a ona wtuliła się w niego. Czowała, jak szybko i mocno uderza jego serce. Jego oddech był krótki, urywany, gorączkowy.

Przycisnął usta do jej ucha.

- Chcę, żebyś oddała mi się całkowicie. Oddasz się w moje ręce, potrafisz zaufać mi bezgranicznie? - Odwrócił ją twarzą do siebie, całując, scałowując jej opór. - Oddaj mi się, Julie.

Zdjął jej bluzkę i biustonosz, pieszcząc każde z odsłaniających się kolejno miejsc, szepcząc słowa podziwu, otuchy i podziękowania.

Łzy spływały po policzkach Julie. Bała się, bardzo się bała. Była wobec niego bezbronna i choć coś w niej krzyczało: „Uciekaj, ratuj swoje życie!”, pozwoliła sobą manipulować niczym marionetka w rękach lalkarza.

Kiedy została naga, David związał jej ręce, a potem, z czułością, zawiązał jej oczy jedwabnym czarnym szalikiem.

- Jesteś taka piękna - szeptał podniecony. - To będzie wspaniałe.

Pomógł jej wejść na stół. Popłakując, wspięła się na palce, stojąc w lekkim rozkroku, a on założył jej pętlę na szyję, puszczając wolno zwisającą część sznura.

Pętla zacisnęła się. Julie desperacko łapała oddech, choć powtarzała sobie, żeby się poddać. Całe jej życie prowadziło do Davida i tej właśnie chwili. Los sprowadził ją pod jego okno przed laty, a teraz przeniósł ją tutaj.

On ją zabije.

Wpadła w panikę, której towarzyszyła niepojęta wprost akceptacja.

Uświadomiła sobie, że chce umrzeć. Zawsze chciała zakończyć swoje życie.

David stał przed nią, czuła na ciele jego oddech, na swoich kolanach, udach, w najbardziej intymnych miejscach. Wtedy zaczął się z nią kochać, pieścił ją ustami, rękami, sercem i duszą. Cierpiała, choć była zaspokojona, wstyd walczył w niej o lepsze z podnieceniem.

Z każdym jej ruchem sznur robił swoje i wkrótce Julie dusiła się, bliska omdlenia.

- Teraz wiesz, kim jestem - szepnął David. - Teraz już wiesz.  
Wiedziała, zawsze to wiedziała. David jest panem X. Ona jest panią X.  
Nagle pomyślała, że wcale nie chce umierać, i wyprężyła się pod  
pieszczotą jego warg. Chciała żyć.  
Jej orgazm był gwałtowny, kolana jej się ugięły. Sznur zacisnął się  
mocniej. W jej głowie eksplodowało światło. Potem zapadła ciemność.  
David trzymał ją w ramionach. Płakała jak dziecko, wdzięczna za życie.  
Kołysał ją i pieścił, ocierał jej łzy z policzków, pocieszał.  
- Widzisz, kochanie, to nie ja zabiłem Leę. Jak mógłbym to zrobić?  
Kochałem ją, tak jak kocham ciebie. Nie potrafiłbym cię skrzywdzić.  
Uniosła ku niemu twarz, zaspokojona i pełna nadziei na przyszłość.  
- Ktoś inny zabił moją Leę. I tylko wy, ty i twoje przyjaciółki, wiecie, kto  
to mógł być.

## **ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY CZWARTY**

Nick nie mógł spać, bowiem kanapa Andie nadawała się jedynie dla karłów, poza tym miała góry i doły. Zegar na półce nad kominkiem tykał tak głośno, jak rozbijający kamienie młot pneumatyczny. Poduszka była twarda, a koc drapał.

Na domiar złego Andie spała nie dalej jak dwa metry od niego, w dużym, wygodnym, podwójnym łóżku.

Nick stęknał, poprawił poduszkę i zakrył nią głowę. Leżał nieruchomo, wstrzymując oddech. Przysiagłby, że słyszy miękki, rytmiczny, zmysłowy oddech Andie. A kiedy wciągnął głęboko powietrze, czuł jej perfumy, zapach szamponu i mydła. Całe to przeklęte miejsce miało jej zapach, pomyślał, odrzucając poduszkę na bok.

Chrzanić poczucie honoru i odpowiedzialności, myślał. Chrzanić troskę o to, żeby Andie nie przeklinała rano sama siebie, a przede wszystkim chrzanić jego własne, śmieszne, wybujane ego.

No i co z tego, że zaprosiła go do łóżka ze strachu? Mógł teraz leżeć - wtulony w jej ciało. Mógł spać, zaspokojony, zamiast leżeć tu wkurzony na siebie, podniecony jak diabli, i tak cholernie nie zaspokojony.

Głupiec. Chwytał poduszkę, potrzepał ją znowu

i wcisnął pod głowę. Dupek. Kiedy się wreszcie nauczy, że w miłości mili i kulturalni faceci przegrywają?

Nagle uśmiechnął się do siebie, rozbawiony własnymi myślami. O rany, ależ piękna kobieta z tej Andie. I jak całuje! Od dawna nikt nie całował go tak namiętnie. Poczł się wtedy jak dzieciak, jak oszalały od ledwie odkrytej męskości małolat.

Obrócił głowę w stronę holu i zamkniętych drzwi sypialni Andie.

Ciekawe, co zrobiłaby, gdyby tam teraz wszedł? Gdyby powiedział, że jej pragnie, że nie może przez nią zasnąć? Wpuściłaby go czy dała mu po twarzy?

Chrzanić konsekwencje.

Wstał i ruszył do holu.

W tym samym momencie odezwał się jego pager.

Przeklinając, Nick cofnął się, porwał pager ze stolika do kawy i sprawdził numer. Cholera. Dowództwo. O tej porze nocy - a właściwie ranka, poprawił się, widząc, że dochodzi piąta - ten dźwięk mógł oznaczać wyłącznie złą wiadomość. Taką, która bez wątpienia odbierze mu możliwość zmysłowej uczyty z Andie.

Odszukał telefon i zadzwonił. Tragiczne zakończenie nalotu na dealerów narkotyków, dowiedział się, jeden trup i dwóch ciężko rannych. Szeł wzywał go natychmiast.

Nick wrócił do salonu, wziął rewolwer, pas, nałożył koszulę. Spojrzał ponownie na drzwi sypialni Andie, myśląc, żeby zostawić jej wiadomość na kartce i wymknąć się po cichu. W końcu postanowił jednak, że nie może jej tego zrobić, zwłaszcza biorąc pod uwagę, dlaczego się u niej znalazł.

Podszedł do jej drzwi, zastanawiając się, czy zapukać, czy wejść. Zrobił jedno i drugie. Delikatnie zapukał, po czym uchylił drzwi i wszedł do środka.

Łóżko Andie było jedną wielką kotłownicą. Prześcieradło i koc zaplątały się, owijając jej nogi, jakby i ona wierciła się, nie mogąc zasnąć.

- Andie - odezwał się cicho. - Muszę iść. Poruszyła się, a kiedy powtórzył jej imię, usiadła.

Prześcieradło spadło, odkrywając bladą różową koszulkę z delikatnego połyskującego materiału, przez którą widać było cudowne wzniesienia jej piersi.

Podniecenie zaatakowało zniemacka i na całego. Nick przeklął w duchu, że nie wybrał jednak kartki.

- Muszę lecieć - oznajmił. - Było zabójstwo.

- Nick? - Jej głos był słaby, zaspany. Odgarnęła włosy z oczu, a jej piersi poruszyły się pod koszulką, kiedy uniosła rękę. Szybko ją opuściła zawstydzona i naciągnęła pod brodę prześcieradło.

Spojrzał na jej twarz. Jej policzki zrobiły się jasno-czerwone. Wolałby nie patrzeć, ale pewne rzeczy nie podlegają kontroli. A poza tym, przecież i tak był przegrany jako Pan Grzeczny i Miły.

- Wzywają mnie. - Zakładał pas. - Nie będziesz się bała?

Spoglądała na niego szeroko otwartymi oczami.

- Nie, pewnie, że nie.

Powiedziała to tak dorośle, niezachwianie, choć wyglądała kompletnie odwrotnie: na wystraszone i zagubione dziecko.

- A ty?

- Co?

- Nic ci nie będzie? Uśmiechnął się.

- Nie, kule się mnie nie imają.

- Bardzo śmieszne. - Miała poważną minę. - Możesz się odwrócić? Chcę wstać.

Więc się odwrócił. Nałożyła szlafrok, który, jego



zdaniem, tylko podkreślał to wszystko, co niby miał ukrywać.

- Zrobię kawę.

- Wybacz, ale nie mam już czasu. - Szukał swojej kurtki, a Andie szła za nim. - Jak spałaś?

- Jak dziecko. A ty?

- Tak samo - skłamał, żałując, że zapytał, a jeszcze bardziej zirytowany, że jego bliska obecność nie zakłóciła jej snu.

- Jeśli chcesz, wpadnę później, sprawdzić, jak się masz.

- To niekonieczne. Dam sobie radę.

- Dobra. - Zorientował się, że gapi się na jej usta i ma ochotę ją pocałować. Skierował się do wyjścia. - Zamknij za mną.

- Dobrze.

Szedł dalej. Zatrzymała go.

- Dziękuję ci. Za... wszystko.

Chciał zapewnić ją, że nie ma za co, ale zamiast tego mruknął coś niezrozumiale, przyciągnął ją do siebie i całował długo i mocno. Poddała się, oddając równie namiętny pocałunek.

Wreszcie, z żalem, Nick opuścił dom Andie.

- Muszę iść - powtórzył na odchodnym. - Bądź ostrożna.

Idąc do swojego jeepa, nie oglądał się, wytrzymał jeszcze, zapalając silnik i opuszczając podjazd. Wtedy skapitulował. Andie była tam, gdzie ją zostawił, lekki wiatr poruszał jej koszulką i szlafrokiem, wstające słońce rzucało na nią pierwsze promienie. Wyglądała jak anioł.

Cholera, pomyślał Nick, nieźle wpadłem. Nie miał pojęcia, jak z tego się wyplączę.

## **ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY PIĄTY**

Julie zajęła przed dom Andie i spojrzała w jasne okna przyjaciółki. Przetawiała jaguara Davida nieco na bok, ale nie odjeżdżała, niezdecydowana, co robić dalej.

Andie by jej pomogła. Andie wiedziałyby, co robić.

Oparła głowę i zamknęła oczy. Natychmiast przypomniał jej się zaciskający się na jej szyi sznur i wstyd pomieszany z podnieceniem, opór i przyzwolenie.

Dotknęła szyi, wyczuwając palcami miejsce po sznurze. Siniak miał już kilka dni, ale na skórze wciąż widniał ślad, a kiedy prostowała głowę, mięśnie jej szyi protestowały, choć nie tak ostro, jak na początku.

Traciła rozum.

Od czasu randki z Davidem na budowie w Gatehouse zatarła jej się granica między wyobraźnią i rzeczywistością, między przyjemnością a instynktem samozachowawczym. Przeszłość i teraźniejszość zlały się w jedno, tworząc makabryczny, zniekształcony obraz.

Nocami śnił jej się David i Lea Robertson, w dzień zżerały ją wspomnienia owego lata, tego, co widziały przez okno pustego domu. David okazał się panem X. Ale to nie on zabił Leę. Nie byłby do tego zdolny, wierzyła w to całym sercem. Kochał Leę.

Ją też kocha.

Takich informacji nie mogła jednak przekazać Andie. Nie mogła jej powiedzieć - ani nikomu innemu - kim jest David. Andie poklepałaby ją protekcjonalnie po głowie, a następnie zadzwoniłaby na policję. Julie popatrzyła znów w oświetlone okna. Nie, Andie by jej nie zrozumiała. Upierałaby się, że to David jest za wszystko odpowiedzialny. A przecież to nieprawda. Udowodnił to Julie tamtej nocy. Skoro jednak to nie on zabił Leę, kto to zrobił? „I tylko wy, ty i twoje przyjaciółki, wiecie, kto to mógł być”.

Czyżby któraś z nich zobaczyła coś, o czym nie powiedziała dwóm pozostałym? - zastanowiła się Julie. Czy któraś z nich przez tyle lat coś ukrywała? A jeśli tak, co ją do tego skłoniło?

Julie wyciągnęła komórkę Davida i szybko, by nie stracić odwagi, wystukała numer Andie. Przyjaciółka odebrała po pierwszym dzwonku. - Andie, to ja, Julie. Muszę z tobą pogadać, to ważne. Julie zdumiała desperacja we własnym głosie. Czy tak właśnie się czuła? Zagubiona, nie panująca nad sytuacją, gotowa na wszystko?

- Gdzie jesteś? - spytała Andie, wyraźnie zaniepokojona.

- Przed twoim domem. Nie... nie chcę się widzieć z nikim innym. Andie, jesteś sama?

- Tak. - W słuchawce zatrzeszczało. Julie zobaczyła, jak porusza się żaluzja we frontowym oknie. Usłyszała krótkie westchnienie Andie.

- Skąd masz ten wóz?

- Należy do przyjaciela. Andie, ja nie mogę... nie spodziewasz się teraz nikogo?

Miała na myśli Raven.

Andie na pewno domyśli się tego. Zdziwi się.

- Nikogo się nie spodziewam. Julie... - Zawahała się. - Czy... czy wszystko w porządku?

Julie niespodzianie rozpłakała się.

- Nie wiem. Ja... - Jej głos załamał się, przeszedł w szloch. - Idę, dobrze?

Andie przytaknęła i po chwili Julie znalazła się w jej ramionach.

Posadziła przyjaciółkę na kanapie, obłożyła miękkimi poduchami.

- Masz na coś ochotę? - spytała. - Drinka? Kawę albo...

- Nie, nic. - Julie zamruła mokrymi powiekami.

- Dziękuję.

Andie usadowiła się na drugim końcu kanapy, podciągając pod siebie nogi.

- No to mów.

Julie nie potrafiła spojrzeć jej w oczy.

- Nie wiem, od czego zacząć.

- Od czego chcesz.

- Na przykład od tego, że się rozpadam? - Zaśmiała się histerycznie. - Że chyba zwariowałam?

- Nie zwariowałaś - powiedziała łagodnie Andie.

- Nawet jeśli tak ci się zdaje.

- Znasz to uczucie? - Podniosła wzrok na Andie.

- Jest jak umieranie. I wiesz co? Wcale mnie to tak bardzo nie martwi. Co to znaczy?

Andie zbladła, a Julie mówiła dalej:

- Nie mogę przestać myśleć o pani i panu X. Czuję się tak dziwnie, jakbym ożywiła przeszłość, jakbym ożywiła ich romans.

- Zostaw go - poprosiła Andie. - Nie spotykaj się z nim więcej.

- Nie mogę. - Julie pokręciła głową, łzy spływały jej po policzkach. - Chciałabym, ale... on mnie trzyma,

Andie. Ma nade mną władzę. Boję się tego. Ja... ja nie potrafię bez niego żyć.

- Potrafisz, kochanie. Pomogę ci. Raven też ci pomoże.

To nie miało być tak, uświadomiła sobie Julie. Miała zamiar porozmawiać o przeszłości, żeby pomóc Davi-dowi.

- Julie, powiedz mi szczerze. To on, prawda? On ci to zrobił?

- Nie. - Potrząsnęła głową i szybko schowała ręce. -Nie.

- Posłuchaj siebie - powiedziała Andie przejęta.

- Przejrzyj się w lustrze. Naprawdę się rozpadasz. Zabijasz się. On cię zabija.

- On by mnie nie skrzywdził! - krzyknęła Julie.

- On mnie kocha. I ja go kocham.

- To co się dzieje? - Andie wzięła ją za rękę.

- Możesz zamieszkać ze mną. Zostaw tę pracę, zacznij się leczyć. Pomogę ci. On się nie dowie, gdzie jesteś.

- Nie rozumiesz? Ja już od dawna powoli umieram, to nie jego wina.

- Julie, proszę, wysłuchaj mnie. Zanim poznałaś tego mężczyznę, próbowałaś się zmienić. Próbowałaś wziąć życie w swoje ręce. Zaczęłaś nad tym panować...

- Jezu, Andie! Nie rozumiesz, że nigdy nad niczym nie panowałam? Całe moje życie ja... — Zamilkła, bo słowa, które chciała powiedzieć, były zbyt gorzkie.

- Zresztą nie dlatego tu przyszłam. Muszę się czegoś dowiedzieć, co dotyczy tamtego lata. To bardzo ważne.

Andie pokiwała głową.

- W porządku.

- Pamiętasz, że Raven była raz sama w domu z panem i panią X? Myśmy uciekły, a ona nie zdążyła.

- Gdy Andie przytaknęła, Julie kontynuowała: - Czy

myślisz... czy ona mogła wtedy coś zobaczyć... i ukryć to przed nami?  
Andie wpatrywała się badawczo w twarz przyjaciółki.

- Co sugerujesz?

- Czy Raven... - Julie wzięła głęboki oddech, zyskując czas. - Pamiętasz, jak bardzo opętała ją ta historia? Myślisz, że mogła... że wróciła tam podglądać ich sama? Czy możliwe, żeby nam o tym nie powiedziała? A może zobaczyła coś... czego nie powinna była widzieć?

- Coś, czego nie powinna była widzieć? - powtórzyła Andie. - Wszystkie widziałyśmy coś... - Andie urwała, po czym szeroko otworzyła oczy. - Na przykład co, Julie?

- Bo ja wiem? - Julie odwróciła wzrok. - Na przykład, kto zabił panią X.

- Chcesz powiedzieć... przypuszczasz, że Raven nas okłamała? Że skłamała policji? Że była świadkiem morderstwa?

Julie zwilżyła wyschnięte wargi.

- Tylko zgaduję.

Przez dłuższą chwilę Andie milczała, potem zmarszczyła brwi.

- Dlaczego miałyby kłamać? - Kręciła głową. - Znasz ją prawie całe życie, a teraz ni stąd, ni zowąd podważasz jej uczciwość? Po wszystkim, co dla ciebie zrobiła?

Rozczarowanie na twarzy przyjaciółki mocno ubodło Julie.

- Zawsze wolałaś ją ode mnie, prawda? Zawsze stawiałaś po jej stronie.

- Nieprawda.

- Prawda! - Julie zerwała się na nogi. - Zawsze byłam tylko biedną, głupią, pomyloną Julie. Współczułaś mi.

- Zawsze cię kochałam. I uważam, że ty... - Nagle coś sobie uświadomiła.  
- To on ci poddał tę myśl? Ten mężczyzna, z którym się spotykasz?  
- Ależ skąd. - Nawet dla Julie brzmiało to fałszywie, a mimo to butnie powtórzyła te słowa.  
- To on. - Andie także wstała. - To niebezpieczny człowiek. Chce, żebyś nie miała nikogo prócz niego.  
Julie krztusiła się od łez. Zawsze czuła się osamotniona i zdawało jej się, że nie ma się do kogo zwrócić. Andie wyciągnęła do niej rękę.  
- Jeśli się zgodzisz, załatwię ci terapię. To zabierze trochę czasu, ale poczujesz się znacznie lepiej. Nie chcesz tego? Nie chcesz być szczęśliwa?  
Julie potrząsnęła głową, łzy lały jej się z oczu szerokimi strugami.  
- Jak poznać prawdę, Andie? Skąd człowiek wie, co jest prawdą? Czy ludzie... czy wszystko nie jest tylko złudą?  
- Julie, rzeczywistością jest to, co widzisz. Rzeczywistością jest nasza przyjaźń. Ona jest prawdziwa, dobra. A nie to, w co pakuje cię ten mężczyzna. Nie jego perwersja.  
- Nic nie wiesz. - Julie odsunęła się. - Nic nie rozumiesz.  
- On jest niebezpieczny — powtórzyła Andie. - Robi ci krzywdę.  
- David mnie kocha. - Julie odstąpiła jeszcze o krok. - Nie powinnam była tu przychodzić. Mogłam się spodziewać, że za wszelką cenę będziesz próbowała mnie z nim poróżnić.  
- David? - powtórzyła Andie, a jej twarz wykrzywiła się w przerażeniu. - Powiedziałas, że on ma na imię David? - Nagle wszystko zrozumiała. Julie sięgnęła po kluczyki do samochodu.

- Muszę już iść. Andie zatrzymała ją.

- Julie, musisz mi podać jego nazwisko. David i jak dalej?

Andie pójdzie na policję, wsypie go.

- Nie! - Julie wyrwała się i zaczęła biec.

Dobiegła do drzwi, przez moment walczyła z zamkiem, wreszcie je otworzyła. Wypadła w noc. Andie była parę kroków za nią. Julie dotarła do samochodu i zatrzęsła drzwi przed nosem Andie, która szarpała za klamkę, stukała w okno.

- Zaczekaj! - wołała. - Julie, proszę!

Julie dopiero za trzecim razem trafiła kluczykiem do stacyjki, przekreśliła go i silnik obudził się do życia. Nacisnęła gaz i z piskiem opon wyjechała na drogę, a wołanie Andie dźwięczało jej w uszach.



## ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY SZÓSTY

Andie patrzyła na odjeżdżającą Julie. Dobry Boże! Czy to możliwe, że David Sadler jest kochankiem Julie? Czyżby Julie była tą wyjątkową kobietą, o której opowiadał jej w czasie sesji?

„Nie chcę jej skrzywdzić, pani doktor. Proszę mi pomóc. Nie chcę jej skrzywdzić”.

Przypomniała sobie, co David mówił o swoich seksualnych upodobaniach, jak opisywał kobiety i swoją potrzebę podporządkowania ich sobie.

Przypomniała sobie ślad od sznura na nadgarstku Julie. Zauważyła też wówczas, że jej przyjaciółka krzywi się od czasu do czasu i instynktownie zasłania szyję. Czyżby i tam miała siniaki i otarcia?

Powieszona pani X, jej piękna twarz zniekształcona przez upiorny grymas śmierci.

Andie struchlała. Cofnęła się do domu. Jeżeli David Sadler jest kochankiem Julie, pomyślała, znaczy to, że nawiązał kontakt z nimi trzema, z nią, Julie i Raven.

Nie wolno wykluczyć przypadku, pocieszała się. Tak, to może być zwykły zbieg okoliczności, David po prostu...

Co?

Thistledown jest małym miastem, ale nie taką znów

dziurą. Dlaczego więc jeden i ten sam mężczyzna miałby akurat nawiązywać kontakt z trzema przyjaciółkami, które były zamieszane w najślawniejszą zbrodnię w hrabstwie?

Gdyby dotyczyło to tylko dwóch z nich, przypadek wchodziłby w grę. Ale trzy? Niemożliwe.

Przypomniała sobie, jak Raven wypytywała ją o Davida, jakby próbowała wyciągnąć z niej jakąś informację. Pewnie zastanawiała się, czy dotarł także do Andie.

Czemu on to robi? Dlaczego ich szukał?

Nagle znieruchomiała.

David Sadler to pan X.

Z okrzykiem przerażenia Andie wbiegła do domu, zatrzaskując drzwi. Niezwłocznie sięgnęła po torebkę, a kiedy znalazła w niej wizytówkę Nicka, podeszła do telefonu.

Nick będzie wiedział, co robić. Znajdzie Davida Sadlera i zamknie go, a ona i jej przyjaciółki będą bezpieczne.

Wystukała numer, ale zaczęła się wahać. A jeśli się myli?

Emocje zabijają racjonalne myślenie. W końcu związek Davida z nimi trzema może być jednak przypadkowy, a w każdym razie zupełnie niewinny. Co prawda niebezpieczna jest jego znajomość z Julie, ale nie ma w niej nic niezgodnego z prawem. Czyż nie to przed laty mówili jej policjanci?

Odłożyła słuchawkę. Idąc na policję, złamałaby tajemnicę lekarską.

Mogłaby wystawić niewinnego człowieka na krępujące, a nawet krzywdzące śledztwo. Człowieka, któremu coś obiecała. Z drugiej jednak strony, jeżeli nic zgłosi niczego policji, może się okazać, że chroni przestępcę, albo, co gorsze, daje mu szansę na kolejne morderstwo.

„Nie chcę jej skrzywdzić, pani doktor. Proszę mi pomóc”.  
Andie przypomniała sobie dzień, kiedy David opowiedział jej o  
wyjątkowej kobiecie. Zdała sobie teraz sprawę, że złośliwie się z nią  
bawił, dopytując, czy Andie chce poznać jej imię.

David Sadler cały czas się z nią bawił.

Nie, to stwierdzenie nie jest do końca prawdziwe. Chwilami David grał z  
nią w tę podłą grę, a chwilami szczerze błagał o pomoc. Potrzebował tej  
pomocy, w tym mu wierzyła.

Nie widziała dobrego rozwiązania. Jej dom wydał jej się nagle ogromny,  
za duży dla niej, za cichy. Pytania rozsadzały jej głowę, a decyzje nie  
mogły czekać. Nie chciała być sama, ale nie miała też ochoty na  
przypadkowe towarzystwo.

Zatęskniła za Nickiem. Jemu mogłaby się zwierzyć, on znalazłby  
odpowiedź, a jeśli nie, to przynajmniej poczułaby się różnie.

Nie zwlekając, żeby nie zmienić zdania, podeszła do książki  
telefonicznej, z nadzieją że domowy numer Nicka nie jest zastrzeżony.

Znalazła go: „N. Raphaël, ulica Marigold na osiedlu Meadows”.

Nieco już spokojniejsza, wzięła torebkę i wyszła z domu.

## ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY SIÓDMY

Piętnaście minut później Andie stała na schodach domku, rozdarta między wiarą, że Nick jest w środku, i nadzieją, że go tam nie ma. Miała właśnie zapukać, gdy doszła do wniosku, że lepiej będzie jednak odejść. Zanim się odwróciła, drzwi uchyliły się.

- Andie?

Chciała coś powiedzieć, ale tylko gapiła się na Nicka.

Przyjrzał się jej bez słowa, po czym otworzył szerzej drzwi. Weszła, wpadając prosto w jego ramiona. Nawet sobie nie wyobrażała, że znajdzie tak wielką dawkę otuchy w jego objęciach. Gdyby jeszcze znał odpowiedź na jej pytania!

Ujął jej twarz w dłonie i przyciągnął do siebie.

- Co się stało?

Pokręciła głową z nadmiaru emocji.

- Ja... nie mogę. Ja...

- Andie, jeśli...

- Tatusiu! Kto... - Mara wyjrzała zza rogu, zatrzymując się na widok znajomej taty.

Andie dobrze pamiętała, jak to jest, gdy trzeba dzielić się ojcem z obcą kobietą.

- Cześć, Mara. - Uśmiechnęła się do dziewczynki i spojrzała na Nicka. -

Przepraszam - szepnęła,

machając ręką. - Nie wiedziałam... Powinnam była domyślić się, że spędzasz weekend z Marą.

- Nic nie szkodzi. - Nick mrugnął do córki. - Prawda, kocie?

Dziewczynka nie odpowiedziała od razu, potem skinęła głową.

- Chyba nie. Ale musisz robić to, co my.

Nick miał zamiar ją zbesztać, ale Andie powstrzymała go gestem.

- To oczywiste.

- Zrobiliśmy popcorn i gramy w bitwę. - Mara zmrużyła oczy. - Grałaś w to kiedyś?

- Bitwa? - powtórzyła Andie. - Cóż to takiego?

- Gra w karty - wyjaśnił Nick. - Za moich czasów zwała się wojną. Andie nie mogła skojarzyć, o co chodzi. Mara wzięła ją za rękę i pociągnęła do salonu.

- To bardzo łatwe - powiedziała. - Nauczę cię. Usiadła na podłodze i wskazała miejsce naprzeciwko.

- Tatuś usiądzie koło mnie.

- Napijesz się wina? - spytał Nick.

- Dzięki.

- Bernard nigdy nie gra w to, w co chcemy grać z mamusią. - Mara zmarszczyła nos. - Zawsze musimy robić to, co on chce.

- To chyba niesprawiedliwe - zauważyła Andie.

- No właśnie. - Mara westchnęła i oparła brodę na pięściach. - Wolałam, jak mamusia i tatuś byli razem.

- Wiem, o czym mówisz - powiedziała Andie. - Moi rodzice też mieszkali osobno.

- Naprawdę?

- Uhm. Było mi bardzo smutno. Mara poklepała ją po ręce.

- Mnie też jest smutno.

- Ale wiesz co? - Andie uśmiechnęła się. - Któregoś dnia obudziłam się i nie byłam już więcej smutna.

- Twoja mamusia i tatuś znowu zamieszkali razem?

- Nie. - Andie pokręciła głową. - Zrozumiałam, że nawet kiedy mieszkają w różnych domach, kochają mnie tak samo jak przedtem. Bardzo mi to pomogło.

Mara zamyśliła się.

- Jesteś dzisiaj smutna - zauważyła.

- Jestem - przyznała Andie.

- Dlaczego?

Nie wiedziała, co odpowiedzieć, żeby być szczerą z dziewczynką, lecz jej nie wystraszyć.

- Moja przyjaciółka ma... kłopoty.

- Mój tatuś pomaga ludziom, którzy mają kłopoty. - Twarz małej promieniała dumą i miłością. - Dlatego do nas przyszłaś?

Andie podniosła wzrok. Nick stał w drzwiach, przyglądając się im.

Dlaczego przyszła? Opuszczając swój dom, miała jasną odpowiedź.

Spodziewała się, że Nick pomoże jej znaleźć wyjście z sytuacji, z którą sobie nie radziła.

Okłamywała się. Prawda była taka, że odkąd przekroczyła próg domu Nicka, kompletnie o tym zapomniała. Znalazła się tu, bo nie mogła przestać o nim myśleć, bo go lubiła i chciała stać się częścią jego małej rodziny. Pragnęła być razem z nim, i to pragnienie nie opuszczało jej od nocy, którą Nick spędził na jej niewygodnej kanapie.

- Tak - mruknęła. - Właśnie dlatego.

Nick przeszedł przez pokój, nie zrywając z nią wzrokowego kontaktu.

Pochylił się i podał jej kieliszek wina, szepcząc:

- Nie możesz przestać pracować? Ich palce dotknęły się przelotnie.

Za zgodą córki Nick od nowa potasował i rozdał karty, żeby Andie mogła wziąć udział w grze. Mara była szybka, знаła wartość kart i prędko zrobiła z ojcem i jego znajomą porządek. Po kilku partyjkach wojny, która zamieniła się w zaciętą rzeź, zaczęli grać w piotrusia.

Zrobiło się późno. Nick ogłosił koniec zabawy i choć Mara głośno i energicznie protestowała, nie miała wiele do powiedzenia.

- Przykro mi, żabo. - Nick podniósł się. - Czas spać.

- Tatusiu! - Zdesperowana, przeciągnęła to słowo do granic możliwości. - Jeszcze tylko parę chwilek, nie jestem zmęczona.

- To nieważne, przykro mi, jest dziesiąta. Jeśli zaraz nie położysz się do łóżka, będziesz jutro bez humoru, a twoja mama zmyje mi głowę.

- No dobrze. - Wstała niechętnie i szybko dodała: - Ale masz mi opowiedzieć cztery bajki.

- Dwie - sprzeciwił się z uśmiechem.

Rzuciła mu długie, poważne spojrzenie i uniosła trzy palce.

- Tyle i ani jedną mniej.

Nick roześmiał się, patrząc w oczy Andie.

- Zaraz wrócę.

Zanim wyszli, Mara podbiegła do Andie, uściskała ją i pocałowała w policzek.

- Dobranoc.

- Dobranoc - wykrztusiła wzruszona Andie. Dobry Boże, pomyślała, co ja wyprawiam? Przestraszona, zamknęła oczy.

Zakochała się w mężczyźnie, który nie jest ani wolny, ani gotowy na nowy związek. W ojcu, którego córka nie przestaje marzyć o tym, żeby jej rodzice pogodzili się i znowu zamieszkali razem.

Dlaczego więc czuła się przy nim taka szczęśliwa?

Głupia. Idiotka. Sama prowokuje nieszczęście.

Mogłaby skrobnąć parę słów wyjaśnienia i zniknąć, zanim Nick wyjdzie z pokoju Mary.

Dlaczego więc tego nie robi? Bo najzwyczajniej nie ma na to ochoty.

Owszem, bała się, ale też po raz pierwszy w życiu pożądanie okazało się silniejsze od instynktu samozachowawczego. Była zaszokowana własnym odkryciem, że Nick Raphael naprawdę wart jest ryzyka.

Wstała i podeszła do biblioteczki. Nogi się pod nią uginały. Patrzyła na grzbiety książek, zupełnie nie widząc tytułów. Czy tak właśnie Julie reaguje na mężczyzn? - zastanowiła się. Gorączką, nadwrażliwością, roztargnieniem i utratą samokontroli?

Jeśli tak, Andie rozumiała teraz, dlaczego jej przyjaciółka wplątywała się w kolejne nieodpowiednie związki, dlaczego raz za razem wpadała w sidła katastrofalnych w skutkach romansów.

Ona sama, chłodna Andie Bennett, stała na skraju tej samej przepaści.

- Misja zakończona. Mara wreszcie zasnęła. Andie podskoczyła i odwróciła się.

- Nick, to ty.

Wsunął ręce do kieszeni i przyglądał się jej, przechyliwszy głowę.

- Spodziewałaś się kogoś innego?

- Oczywiście, że nie. Ja... przestraszyłeś mnie, wszedłeś tak cicho.

- Jestem gliną. Musiałem się tego nauczyć. - Zrobił krok do przodu. - Nie byłem wcale pewny, czy jeszcze cię zastanę.

- Masz niezłą intuicję. - Uśmiechnęła się nerwowo. - To też zawodowe?

- Uhm. - Stał naprzeciw niej i dotknął palcem



wskazującym jej brody. - Co się stało, Andie? Gdy przyszłaś, wyglądałaś, jakby ścigał cię sam diabeł.

- Już mi lepiej.

- Nie o to pytałem.

- Wiem.

- Andie...

Położyła palce na jego ustach. Widziała w jego oczach zatroskanie i głęboki namysł. Jak to glina na tropie. W tym momencie nie życzyła sobie tego. Chciała, żeby był tylko mężczyzną, a nie policjantem.

- Nie mogę - zaczęła. - Jeszcze nie. - Odszukała wzrokiem jego spojrzenie. - Daj mi trochę czasu, dobrze?

Nick ujął jej dłoń i przycisnął do ust, a potem do serca.

- Przyznałaś, że o mało nie uciekłaś, kiedy usypiałem Marę. Dlaczego?

Wczepiła się w jego sweter, tęskniąc za bliskością.

- Dlatego - rzekła półgłosem - że wiem, czym to grozi, jeśli pozostanę.

- A niby czym? Popatrzyła na niego śmiało.

- Poszlibyśmy do łóżka.

Zdumiała go jej otwartość. Przyciągnął ją i pocałował.

Odpowiedziała pocałunkiem, nie mogli się od siebie oderwać. Nick wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni, zamykając drzwi na klucz.

Rozproszył jej obawy pieśczętą swoich rąk, czułymi słowami, żarliwym tonem. Nie wiedziała dotąd, i nie wierzyła, że seks może być czymś tak magicznym i niezwykłym. Nie wyobrażała sobie, że mężczyzna może być taki delikatny, że tak chętnie daje i z taką wdzięcznością bierze. Nick poddał się jej upodobaniom i potrzebom, w zamian oczekując od niej tego samego.

Na początku nie mogła pozbyć się lęku. Bała się o cokolwiek poprosić. Obawiała się, że stanie się od niego zależna.

- Powiedz, czego pragniesz - szepnął, wyczuwając jej rozterki. - Dam ci to, Andie, przyrzekam.

Zaufała mu, otworzyła się przed nim na wszelkie możliwe sposoby.

Odkryła mu swoje marzenia i oczekiwania.

A kiedy nie zostało jej już nic do ukrycia, Nick zatonął w niej. Połączyli dłonie, złączyli ciała. Przejmował jej oddech i wypełniał nim płuca. W pewnej chwili Andie miała wrażenie, że - pozbawiona powietrza - za moment umrze, ale Nick oddał jej życie.

Nick Raphael tchnął w nią życie.

Krzyknęła z rozkoszy, uwolniona. Stłumiony dźwięk wydobył się z ust Nicka, świadectwo jego wyzwolenia.

Leżeli potem na boku, zwrócenii ku sobie. Głaskał ją, czując przyjemność z samego patrzenia na Andie.

- Powinnam już iść - odezwała się, bojąc się tej chwili, tego, jak będzie się czuła za godzinę czy nawet za minutę. I już znienawidziła swoje zmartwienia i nadzieje, niespokojne godziny czekania i rozważań, które nieuchronnie miały ją dopaść.

Wplótł palce w jej włosy.

- Nie idź, jeszcze nie teraz.

- Mara...

- Mara będzie spała jeszcze przez wiele godzin. Śpi jak suseł.

- Na pewno?

- Słowo. Uśmiechnęła się.

- Wcale nie mam ochoty wychodzić. Spojrzał na jej twarz, na jej ciało.

- Jesteś doskonała, wiesz?

Uśmiech czystej, kobiecej przyjemności rozjaśnił jej twarz. Gdyby była kotem, przeciągnęłaby się i otarła o Nicka.

- Naprawdę, nie żartuję. Nie mówię tak dlatego, że kochaliśmy się przed chwilą. - Kąciki jego ust uniosły się. - Ani dlatego, że znowu mam na to chęć.

Uniosła brwi.

- To prawda?

- Co?

- Jedno i drugie.

- Nie. - Wciągnął ją na siebie. - Ale mam na to ochotę.

Zbliżyła do niego usta.

- Ja też.

## **ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY ÓSMY**

Raven siedziała w samochodzie, patrząc na najskromniejszy dom na tej przecznicy. Patrzyła i czekała. W jej głowie panował kompletny chaos. Światło księżyca, przefiltrowane przez szybę, zimnym błękitem zalało rozgrzane wnętrze wozu.

Między piersiami i łopatkami Raven spływały kropelki potu.

Spazmatycznie ścisnęła kierownicę wilgotnymi dłońmi. W zamkniętym samochodzie brakowało powietrza.

Raven obawiała się, że lada moment się udusi.

Mimo to nie otworzyła okna. Nie chciała, by ktokolwiek usłyszał choćby jej oddech. Ktokolwiek, a przede wszystkim Andie.

Poznałaby ją po oddechu nawet z odległości stu metrów, wyczułaby jej obecność zaraz po wyjściu z domu, podobnie jak mysz wyczuwa bliskość kota albo dziecko - matki.

Świat Raven rozpadał się w gruzy.

Z trudem łapiąc powietrze, otarła pot z czoła. Andie odwróciła się od niej, u innych szukała pociechy i wsparcia, podobnie jak zawsze robiła to Julie. Ale Julie jest słaba, ma zaburzoną osobowość. Od początku taka była, wskutek czego Raven nauczyła się

nie oczekiwać po niej wiele i traktowała ją jak niegrzeczne dziecko. Za to Andie zawsze była jak skała, skupiona i stabilna, bezwarunkowo lojalna, godna zaufania. Z małym wyjątkiem lata tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego roku.

Oraz chwili obecnej.

Nick Raphael.

Andie znowu zwróciła się ku niemu, tak jak wtedy. Z nim dzieliła swoje marzenia i sekrety. Nie potrzebowała już swojej najlepszej przyjaciółki, nie chciała jej.

Z uchylonych warg Raven wydobył się żalony dźwięk, który ją samą zdziwił, bo sądziła, że przepelnia ją wyłącznie ogromna nienawiść.

Tego wieczoru Raven śledziła Andie. Od wielu dni ją obserwowała.

Wiedziała, że Julie złożyła jej wizytę oraz że prawdopodobnie pokłóciły się. Wiedziała, że sznur i szalik wyгнаły Andie z domu.

Andie nie pobiegła jednak do Raven, do tej, która zawsze ją kochała i troszczyła się o nią. Pobiegła do Nicka Raphaela.

Raven spojrzała na dom, mrużąc oczy i nie mogąc się doczekać, kiedy Andie nareszcie stamtąd wyjdzie. Czekwała na nią z miłością i wiernością, każdym nerwem i każdą komórką swojego ciała.

I doczekała się. Andie pojawiła się na małym frontowym ganku, po to tylko, żeby znaleźć się znów w ramionach Nicka, z ustami przy jego ustach. Raven patrzyła na nich zżerana przez nienawiść i zazdrość, jej wyschnięte wargi miały smak goryczy.

Wreszcie roześmiana Andie wyzwoliła się z objęć. Raven nie widziała jej jeszcze tak szczęśliwej. Było jasne, że Andie zakochała się w Nicku. Tu nie chodziło jedynie o seks.

Andie jest zakochana.

Raven może stracić ją na zawsze.

Rozpaczliwie walczyła, żeby całkiem nie stracić nadziei. Nie pozwoli na to, by Andie ją opuściła. Znajdzie jakiś sposób, który zapewni jej zwycięstwo.

David Sadler. Nagle wpadło jej do głowy to nazwisko, a z nim pewien wniosek. To on jest wszystkiemu winny. Dopóki nie wtargnął w ich życie, były szczęśliwe, zarówno teraz, jak i piętnaście lat wcześniej. To on stanowi problem, wywołuje kłopoty, straszy Andie, ściąga Julie w otchłań.

Raven zapaliła silnik. Klimatyzator buchnął jej w twarz ciepłym i cuchnącym powietrzem. Wciągała je łapczywie. Odżyła. Postanowiła wszystko naprawić. Nadszedł czas, żeby pan X poniósł karę.

## **ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY**

Raven zdecydowała, że da Julie jeszcze jedną szansę, by ta mogła udowodnić, iż jest warta nieustającego oddania przyjaciółki. Julie musi przedłożyć ich przyjaźń nad swój romans z Davidem.

Raven, oceniając na chłodno sytuację, wiedziała, że są na to niewielkie szanse, lecz w jej sercu nadzieja płonęła żywym płomieniem. Musi przynajmniej spróbować, pomyślała, bo kocha swoją siostrę Julie.

Nadchodził kres Davida Sadlera. To ona, Raven, przyczyni się do tego, a Julie będzie albo z nią, albo przeciw niej. Będzie wobec niej lojalna albo przestanie dla niej istnieć. To było proste.

W ciągu ostatnich dwóch dni Raven wielokrotnie zatrzymywała się pod domem, w którym mieszkała Julie, lecz ani razu jej nie zastała.

Zadzwoiła więc do klubu, gdzie dowiedziała się, że Julie będzie dzisiaj po raz ostatni w pracy, ponieważ złożyła wypowiedzenie. Raven zmartwiła się tym, ale nie zdziwiła. Jeśli Julie nie wprowadziła się jeszcze do Davida Sadlera, pomyślała, na pewno wkrótce to zrobi. Zawsze zachowywała się tak samo: odsuwała na bok własne życie i przyjaźń, żeby być z mężczyzną.

Ostatnia szansa. Musi dać jej ostatnią szansę, by mogła wybrać przyjaźń. Raven spojrzała na zegarek. Idealnie, pomyślała. Powinna zajeżdżać do klubu zaraz za Julie. Chwyła torebkę i kluczyki, i pospieszyła do samochodu.

Kiedy wchodziła do baru, była za dwadzieścia pięć jedenasta. Julie stała tyłem do drzwi, licząc pieniądze.

- Nie obsługujemy przed jedenastą! - zawołała, nie odwracając się.

- Nie przyszedłam tu, żeby się napić.

Julie natychmiast odwróciła się. Policzki miała czerwone jak sześciolatek, który coś zbroił i został przyłapany.

- Rave!

- Cześć, Julie. - Raven przycupnęła na jednym z barowych stołków. - Szukałam cię. Musimy pogadać.

- Teraz?, - Julie chrząknęła. - Jestem w pracy.

- Nie zajmę ci dużo czasu. Chciałabym, żebyśmy pogadały o twoim romansie.

Julie spojrzała na nią, udając niewiniątko.

- Nie mam żadnego romansu, Rave.

- Nie kłam, wiem o wszystkim, nawet o tym, że prosiłaś Andie, żeby mi nic nie mówiła.

Julie nerwowo składała i rozkładała ręce.

- Powiedziała ci?

- A czego się spodziewałaś? - Raven udawała zgorzowaną. - Ona jest lepszą przyjaciółką niż ty. Zawsze taka była.

Julie była bliska płaczu.

- Przepraszam. Raven machnęła ręką.

- To twoje gadanie! Gdybym za każdym razem, kiedy mnie przepraszasz, dostawała centa, dorobiłabym się już niezłego majątku.



Julie zwiesiła głowę. Zapadła cisza. Po kilku chwilach odezwała się Raven:

- Masz mi coś do powiedzenia? Jakies pytania? Julie podniosła wzrok.  
- Pytania?

- Owszem. Nie dziwi cię, dlaczego tu jestem?

- Wiem dlaczego. - Julie westchnęła i odwróciła wzrok. - Nie mogę uwierzyć, że Andie ci powiedziała... Miałam nadzieję, że tym razem ona wybierze...

Julie urwała. Raven zmrużyła oczy. Najwyraźniej Andie coś jednak przed nią ukryła, pomyślała.

- Oczywiście, że mi powiedziała - rzekła Raven. - Powinnaś brać z niej przykład.

- Przykro mi. - Twarz Julie pobladła. - Nie miałam złych zamiarów. Ja tylko... myślałam o tamtym lecie, chciałam ją o coś zapytać.

- Zapytaj mnie.

Julie splotła palce, robiła to zawsze, kiedy była niepewna albo zdenerwowana.

- Zastanawiałam się... czy widziałaś wtedy coś, o czym nam nie powiedziałaś, a co bałaś się powiedzieć policji.

- Byłyśmy tam razem, Julie. Jak mogłabym widzieć co innego niż wy?

- Wiem, ale... może poszłaś tam kiedyś sama, wpadłaś po drodze, przypadkiem, i zapomniałaś nam powiedzieć. Czy coś takiego.

Mała niewierna suka. Tak odpłaca jej za wszystko, co Raven dla niej zrobiła? Podejrzewa ją? Wątpi w jej uczciwość?

Zatrzęsła się ze złości. Dostała kolejny policzek od kogoś, kogo nazywała swoją siostrą.

- Dlaczego zadajesz mi takie pytanie? Julie odsunęła się.

- Tak sobie.

- Tak sobie zaczęłaś myśleć o panu i pani X? Tak sobie zastanawiasz się nad tym, co zdarzyło się piętnaście lat temu?

- Tak - mruknęła Julie, odwracając wzrok. - Właśnie tak.

- Jesteś obrzydliwą kłamczuchą, Julie!

- Nie kłamię! Uwierz mi, nie okłamałabym cię! Raven chwyciła ją za rękę, aż Julie zaskomlała z bólu.

- Myślisz, że cię nie przejrzałam? - odezwała się przerażającym szeptem.

- Że nie wiem, kto kryje się za twoimi pytaniami? Oczywiście twój facet! David Sadler. Jesteś żalosna, Julie, doprawdy żalosna.

- Puść mnie! - krzyknęła, wyszarpując rękę. - To boli.

Raven ścisnęła jeszcze mocniej.

- Jesteś ślepa? On cię wykorzystuje! Zamierza nas wszystkie zaciągnąć do łóżka. Nie myślisz chyba, że jesteś jego pierwszą i jedyką, co?

- To nieprawda, nieprawda!

- Prawda. - Raven zaśmiała się. - Już próbował. Ale Andie i ja nie jesteśmy takie łatwe jak ty, nie włączymy do łóżka każdemu napotkanemu typkowi.

Julie szlochała, wciąż próbując uwolnić rękę.

- Nie, nie. To nieprawda. David mnie kocha. Raven zerknęła na drzwi i odwróciła się do Julie, zniżając głos.

- On cię wykorzystuje. W jakim celu wypytuje o tamtą historię? Żeby się podniecić? A może już robicie to samo, co pan i pani X? Może David Sadler jest panem X?

- Nie! - Julie pociągnęła z całej siły, uwalniając się.

- Odczep się od niego. Nic ci nie zrobił.

- Nie wiem, może powinnam zawiadomić policję

- powiedziała gładko Raven i wstała. - Dam głowę, że bardzo by ich zainteresowały seksualne wybryki twoje-

go faceta. Zwłaszcza że związał się z trzema kobietami, które były zamieszane w sprawę Lei Robertson. Julie załamała się.

- Proszę cię - błagała. - Nie idź na policję. Mój David nie zabił pani X, on ją kochał. Tak jak mnie teraz kocha.

- A ja cię nie kocham, tak?

- To nie to samo - szepnęła Julie. - Ty nie jesteś...

- Mężczyzną? - dokończyła urażona Raven. - A zatem bardziej wierzysz temu choremu draniowi, który dopiero co pojawił się w twoim życiu, niż mnie? Może jeszcze powiesz, że ja to zrobiłam?

- Tego nie powiedziałam. - Julie potrząsnęła głową i odsunęła się. - Nigdy nie sugerowałam, że ty...

- Jesteś potwornie głupia. - Raven położyła dłonie na barze. - I zawsze taka byłaś, kiedy chodziło o facetów. Nigdy nie wiedziałaś, że w życiu najważniejsze są przyjaźń i rodzina, czyli to, co dajemy ci z Andie. To nam powinnaś przysięgać wierność.

- Zwariowałaś - szepnęła Julie. - Masz obsesję na punkcie lojalności, przejęłaś to od swojego szalonego ojca. Jesteś tak samo niebezpieczna jak on.

Raven zamarła, słowa Julie były wyjątkowo mocnym policzkiem. Ruszyła do wyjścia. Przy drzwiach obróciła się jeszcze i spojrzała na swoją byłą przyjaciółkę. Julie stała z pochyloną głową i skulonymi ramionami. Raven czuła wzbierające pod powiekami łzy, ale nie pozwoliła im wypłynąć. Zagłuszyła też wewnętrzny głos, który pragnął wybaczyć Julie, przygarnąć ją znowu, o każdej porze, bez względu na wszystko.

Nie mogła tego zrobić. I nie zrobi.

Julie Cooper przestała być jej rodziną.

- Radzę ci, bądź ostrożna - powiedziała łagodnie. - Bo jeśli nie, możesz skończyć jak pani X.

## **ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY**

Raven zaplanowała wszystko bardzo skrupulatnie. Skoro ma upokorzyć Davida Sadlera, musi zadbać o to, by sama nie została w to wplątana. Nie może zatem pójść na policję i oznajmić, że była przed laty w tamtym domu świadkiem zdarzeń, które zataiła. Takim zachowaniem skazałaby się na dodatkowe pytania, spekulacje i podejrzenia, a tego sobie wcale nie życzyła.

Davida należało przyłapać na gorącym uczynku.

Dlatego Raven śledziła Julie i Davida, czekając na moment, w którym będzie mogła uderzyć. Zresztą wystarczająco dobrze знаła tego faceta, by wiedzieć, kiedy to nastąpi. David był równie przewidywalny jak dobrze chodzący zegarek.

Raven natychmiast odkryła, że David i Julie rzeczywiście grali w tę samą niebezpieczną seksualną grę, co pan i pani X. Sadler tak aranżował wydarzenia, żeby były dokładnym odbiciem przeszłości. A Raven tylko to cieszyło.

Pojechała za nimi na budowę osiedla w Gatehouse, do domu, nad którego wnętrzem pracowała z takim poświęceniem. Fakt, że David wybrał właśnie to miejsce, że tam akurat zabrał kobietę, którą i ona niegdyś

bardzo kochała, wydał jej się perwersyjny i obsceniczny. Był największą obrazą.

Ciekawiło ją, czy i on tak o tym myśli, czy przyprawia go to o erotyczne dreszcze. Zastanawiała się też, czy podejrzewał, że również teraz, jak przed laty, jest obserwowany.

David zaprowadził Julie do salonu z wyeksponowanymi belkami na suficie. Z jednej z belek zwisał zakończony pętlą sznur. Raven przykucnęła pod oknem. Noc była cicha i gorąca. Upał i wilgoć owinięły się wokół niej jak gruby koc.

Tak jak się spodziewała, David przewiązał oczy Julie i związał jej ręce. Potem pomógł jej wejść na wysoki taboret i założył pętlę na szyję. Przeszłość i terażniejszość zupełnie wymieszały się w głowie Raven, straciła orientację, nie wiedziała, gdzie kończy się jedno i zaczyna drugie. Jej umysł galopował do tyłu i do przodu, od dnia obecnego do czasu, kiedy miała dwanaście, a potem piętnaście lat. Słyszała ostatnią kłótnię rodziców, widziała szpadel spadający z góry na głowę matki i rozpryskującą się krew. Słyszała gardłowy śmiech Lei Robertson i widziała jej ciało, wykręcające się i drgające w ostatnich chwilach życia.

Widziała też Julie, swoją słodką przyjaciółkę, dzień ich spotkania przed kościołem, kiedy słońce rozświetlało jej jasne włosy, a potem radosny i pełen nadziei dzień jej ślubu oraz to, co stało się z Julie później, po rozwodzie, kiedy szukała u Raven oparcia i pociechy.

Widziała też Julie taką, jaka była teraz, niewierną i podłą.

Biedna Julie, myślała ze łzami w oczach. Biedna, słaba i zagubiona.

Szkoda, że brak jej siły. Gdyby przynajmniej miała więcej rozumu albo większe serce.

Raven nie przestała jej kochać, pomimo tego, że Julie nieraz ją skrzywdziła, a ona sama często odgrażała się, że więcej jej nie pomoże. Tak, Raven jest podobna do ojca, do końca życia będzie nosić żałobę po stracie Julie.

Doskonale wiedziała, co David mówi do Julie, choć nie słyszała ani jednego słowa. Wiedziała, że powtarza te same słowa, które mówił do Lei Robertson, i które na zawsze wyryły się w jej pamięci. Los Julie był w jego rękach, mógł z nią zrobić, na co miał ochotę, nawet ją zabić, gdyby okazała się niepokorna.

Wszystko mogło rozwiązać jedno lekkie kopnięcie w taboret.

Raven patrzyła, jak David kocha się z Julie, jak dłońmi i ustami doprowadza ją do wielokrotnego orgazmu. Potem odsunął się. Raven wcale to nie zdziwiło, to należało do gry, którą obserwowała przed laty. Rozumiała, o co chodzi Davidowi. Utwierdzał swoją dominację nad ofiarą. Przypominał jej, że jest jego własnością. Odsunął się, żeby jej to udowodnić. Zostawił ją samą w ciemności, żeby czekała i martwiła się o niego.

Raven zaczęła, aż David wsiadł do samochodu i odjechał. Obeszła dom, zbliżając się do wejścia od frontu. Nie wiedziała, ile ma czasu, musiała działać szybko. Otworzyła drzwi i weszła do środka. Od razu usłyszała cichy płacz Julie, jej pełne strachu kwilenie. Znając kod, bez trudu wyłączyła system alarmowy i przez moment cieszyła się zapachem świeżej farby oraz ledwie co obrobionego drewna.

Zatrzasnęła za sobą drzwi. Julie zamikła.

- David? - zawołała. - To ty?

Raven uśmiechnęła się. Skończył się czas Davida. Teraz ona przejęła władzę.

Zanurzyła rękę w kieszeni i wyciągnęła stamtąd parę gumowych rękawiczek, takich, jakie noszą chirurdzy. Nałożyła je, a następnie ruszyła do salonu, czując, jak ogarnia ją niezwykle podniecenie.

Pierwsze spojrzenie na przyjaciółkę przyprawiło ją o mdłości. Na języku poczuła gorycz żółci.

- Cześć, Julie - odezwała się.

Zaskoczona Julie nie odpowiedziała od razu. Trwały obie w ciszy, która rozrywała uszy.

- Rave - wyszeptała wreszcie. — To ty?

- A ktoś by inny?

Julie otworzyła usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Raven mogła sobie tylko wyobrazać, jaki mętlik ogarnął umysł przyjaciółki, jaki przeżywała szok i wstyd, ile pytań cisnęło się jej na usta.

Zaśmiała się cicho, żeby zmniejszyć trochę napięcie.

- Śledziłam was. Byłam pewna, że David ma zamiar zrobić to samo, co piętnaście lat temu.

Obeszła Julie dokoła, z przyjemnością stwierdzając, że przyjaciółka cała się trzęsie.

- Powinnaś się teraz zobaczyć, Julie. Powiązana jak świąteczna gęś przed pieczeniem. Obrzydliwe. Gdzie twoja duma?

- Pomóż mi zejść - szepnęła cienkim, złamanym przez łzy głosem. - Proszę cię.

Raven zignorowała jej prośbę.

- Wybrałam cię przed laty, żebyś była moją drugą siostrą, obok Andie. Zrobiłam tak dlatego, bo bardzo nas potrzebowałeś. Spodziewałam się, że będziesz nam za to wdzięczna. Jak mogłam tak się pomylić? - Raven cmoknęła i potrząsnęła głową. - Nigdy tego nie czułaś. Byłaś naszą przyjaciółką tylko dlatego, że ja ci kazałam.

Płacz Julie narastał z każdą chwilą. Wstrząsał nią, niemal wytrącał z równowagi. Błagała bez końca, żeby ją uwolnić.

- Teraz mnie potrzebujesz, prawda? - Raven zmrużyła oczy. - Wiesz, że go nienawidzę, chcę nie zawsze tak było. Kiedyś go podziwiałam. Może nawet wyobrażałam sobie, że go kocham. - Wzruszyła ramionami.

- On mnie nauczył, czym jest władza, jak się ją zdobywa. Otworzył przede mną zupełnie nowy świat. - Wspomnienie wywołało przyspieszone bicie serca. - Pokazał mi rzeczy, których istnienia ledwie się domyślałam. I nagle zrozumiałam... wszystko. Kim jestem. Co jest ważne w życiu. Czym była wierność dla mojego ojca i do czego trzeba się posunąć, żeby ochronić tych, których się kocha. - Dłonie Raven zaczęły się pocić w gumowych rękawiczkach. - To dlatego wśliznęłam się wówczas do tamtego domu, żeby patrzeć i uczyć się.

- Zachichotała, słysząc spontaniczny jęk Julie, a jej dziewczęcy chichot odbił się echem w przestronnym pokoju. - Masz rację. Wróciłam do tamtego domu i obserwowałam ich. Schowałam się w szafie. Wszystko widziałam i słyszałam. Stąd wiem, co David robi z tobą i do czego zmierza.

- Ty... ty ją zabiłaś - wykrztusiła Julie. - Mam rację?

- Związał cię jak ofiarną owieczkę, a ty myślisz, że to ja zabiłam Leę Robertson. Dlatego tu jestem, Julie. Dlatego...

Wpadła w złość i nie dokończyła. Była wściekła. Na Davida Sadlera za to, że doprowadził je do takiego stanu. Na Julie, że pozwoliła, by tak się stało.

- Powinien był trzymać się od nas z daleka, ale postąpił inaczej.

Wydawało mu się, że fajnie będzie zabawić się z moją rodziną, tak jak piętnaście lat temu.



Podeszła bliżej do Julie, czuła zapach jej strachu, zapach seksu i potu.

- Postanowiłam pozbyć się go raz na zawsze. Niestety, w moim planie tobie przypadła ważna rola, bez ciebie mi się nie uda. - Uniosła wzrok ku byłej przyjaciółce. Chciała zerwać z jej oczu szalik, po raz ostatni zobaczyć jej piękną twarz. - Z panią X poszło łatwo. - Wyciągnęła rękę, ale nie dotknęła Julie. - No cóż, życzyłam jej śmierci. Ale ty... przykro mi, Julie, naprawdę. Wolałabym, aby było inaczej, żebyś była mi bardziej wierna.

- Pozwól mi odejść, Rave - prosiła Julie. - Proszę, nie rób tego. Kocham cię, jesteś moją najlepszą przyjaciółką. Rave, pro...

- Za późno, Julie. Już za późno. Kopnęła taboret.

## **ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY PIERWSZY**

Raven oszalałym wzrokiem rozglądała się wokół. Wprost traciła zmysły. Dokładnie zaplanowała ten moment, żaden błąd nie wchodził w rachubę, dlaczego więc straciła panowanie nad sobą, jej głowę rozsadzał jeden wielki chaos, niczego nie pamiętała?

Pociła się. Piekące krople potu zalewały jej oczy. Wycierała je, widząc z przerażeniem, że cała dygocze. Tym razem było dużo trudniej niż z Leą Robertson. Tamta kobieta była jej obojętna, jej śmierć wzbudzała tylko zaciekawienie.

Ale Julie...

Miała ochotę cofnąć czas i krzyknąć. Nie mogła na nią spojrzeć. Skupiła myśli na powodach, które doprowadziły ją do tego czynu, na planie i konieczności.

Jej wzrok padł na taboret. Wyjęła z kieszeni spodni czystą chusteczkę i dokładnie wytarła ślad zelówki, który został na pomalowanym na biało drewnie.

Popatrzyła na podłogę. Uważała, żeby nie wejść na miękką, dywanową wykładzinę, by nie zostawić na niej śladów swoich stóp obok wiszącego ciała. Upewniła się jeszcze raz, że ma na dłoniach gumowe rękawiczki. Przypominała sobie, co robiła, krok po kroku. Zanim włożyła rękawiczki, dotykała klamki i wyłącznika

alarmu, więc musiała zostawić tam odciski palców. Ale nie było w tym nic dziwnego, służbowo bywała w tym domu codziennie. Także inne jej ślady nie powinny wzbudzić podejrzeń, były oczywiste i zrozumiałe. Tak, wszystko będzie wskazywało na jedną osobę, czyli właściciela domu, który zostawił odciski palców i inne dowody na taborecie, sznurze, na ciele Julie, którego odciski stóp widniały na miękkim dywanie wokół ciała.

Na wszelki wypadek Raven przeszła do kuchni, potem do holu i z powrotem do Julie, żeby znaki jej obecności świadczyły o codziennym pobycie w tym budynku. Sprawdzając, która godzina, i z trudem zbierając myśli, stwierdziła, że czas na ostatni dowód rzeczowy, który połączy tę zbrodnię z morderstwem Lei Robertson, i za obie odpowiedzialnym uczyni Davida Sadlera.

Była to obrączka pani X. Pamiątka Raven. Jej zdobycz, polisa ubezpieczeniowa, którą zabrała z miejsca zbrodni. Wyjęła ją z kieszeni i ostrożnie włożyła na jeden z martwych palców Julie, a następnie pozwoliła jej upaść na podłogę. Obrączka odbiła się o taboret, zakręciła i wylądowała na dywanie.

Wówczas Raven odważyła się spojrzeć na Julie. Płacząc, wyszeptwała pożegnalne słowa i wyszła. Nie zapomniała ponownie włączyć systemu alarmowego i zamknąć na klucz frontowych drzwi.

## **ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY DRUGI**

Telefon zadzwonił minutę po trzeciej nad ranem. Rozmówca nie przedstawił się, poinformował tylko, że coś dziwnego dzieje się na parceli budowlanej Gatehouse. W jednym z nie wykończonych domów zapalone były światła.

Niech będzie, że morderstwo to coś dziwnego.

Nick stał obok Bobby'ego, słuchając koronera. Poczucie grozy walczyło w nim o lepsze z podnieceniem. Nick był podniecony, bo tym razem mieli tego sukinsyna w garści. Czuł to. Mieli do czynienia z tym samym człowiekiem, który wymknął im się z rąk przed piętnastu laty. To był on, a nie żaden naśladowca.

- Możesz ją zidentyfikować? - spytał koroner, ściągając szczypcami jedwabny szalik i lekko okręcając ciało w jego stronę.

- O cholera - mruknął Nick, cofając się o krok, jakby uderzony czymś ciężkim. Nie mógł wydobyć z siebie słowa, ale wiedział, że wszyscy mu się przyglądają, czekając na jego odpowiedź.

- Taa - zdołał wydusić. - Wiem, kto to jest. Nazywa się Julie Cooper.

- Julie Cooper - powtórzył za nim Bobby, marszcząc krzaczaste brwi. - Skąd ja znam to nazwisko?

Nick odwrócił wzrok od niegdyś pięknej, a teraz sinoczerwonej twarzy.

- Była jedną z nastolatek związanych ze sprawą Robertson.

I jedną z najlepszych przyjaciółek Andie. Jak on jej to powie? Bobby gwizdnął pod nosem.

- O kurde.

- Serio.

- Chłopaki, chcecie coś zobaczyć?

Nick i Bobby natychmiast się odwrócili. Policjantka przyglądała się czemuś na dywanie.

- Co tam masz, Mallory? Kobieta podniosła wzrok.

- Wygląda na ślubną obrączkę.

Przykucnęli i zobaczyli damską obrączkę, średniej wielkości, z czystego złota. Nick podniósł ją za pomocą szczypców i podstawił pod światło.

- Czy Julie Cooper była mężatką?

- Kilka razy, z tego, co wiem. Ale nie teraz. - Nick zmrużył oczy. - Coś tu jest wygrawerowane. „Z miłością 2-14-80”.

- 1980? - Bobby podrapał się w głowę. - To nie może być jej obrączka, była wtedy dzieckiem.

- Może jej matki? - podpowiedziała policjantka. - Albo kogoś z rodziny?

- Nie - stwierdził Nik z rosnącym napięciem. Opanował się jednak, żeby niczego nie przegapić, nie pomylić się. - To nie jest obrączka Julie Cooper ani jej matki. - Spojrzał na koronera. - Pamiętasz, doktorze?

Koroner popatrzył na niego znacząco.

- Pytasz mnie, czy Robertson miała na palcu swoją obrączkę? Mam to zapisane w raporcie.

- My też. - Nick zerknął na swojego partnera. - Założę się, że są zgodne.  
Bobby skinął głową.

- Sprawdzę to.

- Schowaj to, Mallory.

Kobieta wzięła od niego szczypcę z obrączką. Nick spojrział na drzwi, myśląc znowu o Andie. Jak on jej to powie?

- Miała jakichś krewnych? - spytał Bobby.

- Zajmę się tym - rzekł Nick. - Muszę zobaczyć się z Andie. Muszę jej powiedzieć, zanim... media coś wywąchają. Muszę... - Położył dłoń na czole, przeklinając to, co go czekało, wiedział jednak, że nikt nie może go w tym zastąpić. Zresztą nikomu by na to nie pozwolił. - Muszę ją przepytąć, może coś wie. Może wie, z kim spotykała się Julie.

- Dobrze pilnuj swojego tyłka - rzucił Bobby. - Doktor Bennett też może być w niebezpieczeństwie, biorąc pod uwagę jej przeszłość.

Jeśli Andie zna mordercę, jest w niebezpieczeństwie. To jasne. To samo dotyczy Raven.

Nie tracąc czasu na odpowiedź, Nick wybiegł.

## **ROZDZIAŁ. SIEDEMDZIESIĄTY TRZECI**

Telefon wyrwał Andie z głębokiego snu. Dzwonił Nick.

- To bardzo ważne, Andie - mówił, przerywając jej senne, ciepłe słowa powitania. - Wszystko u ciebie w porządku?

Usiadła na łóżku, nagle zupełnie przytomna i bardzo przestraszona.

- Tak - powiedziała, wyciągając rękę, żeby zapalić nocną lampkę. - Tak mi się wydaje.

- Dobrze. Jestem w samochodzie, jadę do ciebie. Będę za dwie minuty.

Nie otwieraj nikomu innemu. Zrozumiałaś?

- Nick, co...

- Zrozumiałaś? - powtórzył ostro. Potwierdziła. Nick rozłączył się. Andie trzymała

słuchawkę przy uchu, czując, jak wali jej serce. Rozejrzała się po pokoju, szczęśliwa, że zapaliła światło.

Coś się stało. Coś strasznego!

Wyskoczyła z łóżka i pomknęła do łazienki. Chwyliła szlafrok, umyła zęby i pospieszyła do drzwi, czekając na Nicka.

Zjawił się w chwilę potem, hamując z piskiem opon.

Szybko wysiadł i biegiem ruszył do wejścia. Otworzyła drzwi i niemal krzyknęła, widząc jego twarz.

- Co się dzieje? - spytała.

Zamiast odpowiedzieć, porwał ją w ramiona i całował, trzymając ją tak mocno, jakby myślał, że tuli ją w objęciach po raz ostatni. Jeszcze bardziej się przeraziła. Co tu się dzieje?!

- Dzięki Bogu - rzekł wreszcie. - Dzięki Bogu, że jesteś cała i zdrowa. Tak się bałem...

Odsunęła się z wyrazem paniki na twarzy.

- Powiedz mi - wydusiła rwącym się głosem - o co chodzi?

- W środku - rzekł. - Nie tutaj.

- Nick...

- Proszę, Andie, rób, co mówię.

Weszli do domu. Nick dokładnie zamknął drzwi.

- Chodzi o Julie - zaczął. - Ona... Andie, Julie nie żyje. Została zamordowana.

Patrzyła na niego, pewna, że się przesłyszała, choć przecież wiedziała, że tak nie jest. Krew odpłynęła z jej twarzy. Zupełnie oniemiała, potrząsała głową.

- Dwie godziny temu ktoś zadzwonił - mówił Nick. - Anonimowo.

Powiedział, że coś dziwnego dzieje się na budowie w Gatehouse.

Znaleźliśmy tam Julie. Andie, ona...

- Nie! - krzyknęła Andie. - Tonieprawda! - Toczyła dokoła rozbieganym wzrokiem, bezradna, wiedząc, że powinna coś zrobić.

- Przykro mi - powiedział Nick, tuląc ją. - Bardzo mi przykro.

Kręciła głową, mokra od łez. Ścisnęła kurczowo jego koszulę, przywarła do niego.

- Posłuchaj, to nie wszystko.

Powiedział jej, jak zginęła Julie, szybko i prawie bez



emocji, jakby mógł w ten sposób zmniejszyć cios zadawany słowami.

Pani X została powieszona. Jej sina twarz wyglądała groteskowo.

Andie zaciskała powieki. Zrobiło jej się słabo.

Julie... Dobry Boże, tylko nie Julie!

- Andie, kochanie. Musisz mnie wysłuchać, to ważne. Potrzebuję twojej pomocy. Julie jej potrzebuje. Czy ona się z kimś spotykała? Znasz kogoś, kto mógł to zrobić?

- David - rzekła Andie, patrząc mu w oczy. - Zrobił to David.

## **ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY CZWARTY**

Kiedy Raven oficjalnie dowiedziała się o śmierci Julie, natychmiast zawtórowała Andie w rozpacz i bólu. Ona także zeznała na policji, że Julie miała romans z Davidem Sadlerem, powiedziała też o swoich podejrzeniach. Porażona potworną śmiercią przyjaciółki, czy też raczej siostry, wprost zionęła nienawiścią do mężczyzny, który ważył się na tak straszliwy czyn. Nie mogła sobie darować, że nie zrobiła czegoś, by przerwać ten chory romans. Podobnie Andie obwiniła się o to, co spotkało Julie. Nie umiała jej pomóc, nie zdołała wyrwać z rąk psychopaty.

Policja nie musiała jednak opierać się wyłącznie na zeznaniach Andie i Raven, ponieważ wiele dowodów jednoznacznie przemawiało za winą Davida Sadlera. Był właścicielem domu, w którym dokonano zbrodni, 1 miał do niego pełny, nieograniczony dostęp. Znaleziona obrączka należała rzeczywiście do Lei Robertson. Odciski palców Davida znaleziono na taborecie, na szaliku, którym Julie miała związane dłonie, jak i na tym, który zasłaniał jej oczy. Ślady stóp na wykładzinie odpowiadały dokładnie zelówkom Davida. Włosy i inne materiały dowodowe wysłano do laboratorium w St. Louis w celu szczegółowej analizy.

I znów ciche, spokojne Thistledown pojawiło się na pierwszych stronach gazet, a trzy przyjaciółki, czyli Andie Bennett, Julie Cooper i Raven Johnson znalazły się w świetle jupiterów.

Tylko że obecnie Julie już nie żyła.

Była jeszcze jedna istotna różnica: tym razem morderca miał ponieść karę.

W ciągu czterdziestu ośmiu godzin Davida Sadlera aresztowano za zabójstwo Julie Cooper i Lei Robertson.

Oczywiście, jak wszyscy zbrodniarze, David oświadczył głośno i zapalczywie, że jest niewinny.

Nikt go jednak nie słuchał. Zupełnie nikt.

## **ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY PIĄTY**

Dwa tygodnie po morderstwie, po sekcji zwłok, oddano ciało Julie do pochówku. Raven koniecznie chciała zająć się tym sama i w końcu Andie pozwoliła jej na to. Ledwo starczało jej siły, żeby zwlec się rano z łóżka i dociągnąć do końca dnia.

Była zdrętwiała z bólu, zamęczało ją poczucie winy i huczące jej w głowie pytanie: „Co by było, gdyby?”. Gdyby była lepszą przyjaciółką i bardziej starała się pomóc Julie. Gdyby była lepszym psychologiem.

Gdyby była mniej ufna i naiwna.

Wtedy przejrzałyby Davida Sadlera i wiedziałyby, że to pan X. Że to morderca.

Wtedy Julie by żyła.

Ale nie, okazała się naiwna jak Czerwony Kapturek, wołała wierzyć Davidowi. Chciała, aby to, co Sadler o sobie mówi, było prawdą, żeby był tylko chorym człowiekiem, który pragnie się zmienić. A ona bardzo chciała mu pomóc, zostać jakimś superterapeutą.

Czy Julie straciła życie przez moją naiwność, czy przez moje wybujałe ego? - zastanawiała się teraz.

Mowa pastora roznosiła się po cmentarzu, a Andie, choć słuchała, nie pojmowała ani słowa. Tęskniła za Julie. Czuliła się odpowiedzialna za jej śmierć.

Brnęła przez codzienną rutynę, popychana zewnętrzną koniecznością: potrzebami pacjentów, rodziny, która zadzwoniła, kiedy tylko dowiedziała się o tragedii, pytaniami dziennikarzy, którzy przez pierwszy tydzień nie odstępowali jej na krok.

Uciekała do domu, odmówiła spotkania nawet z Raven, która czuła się tym bardzo urażona. Lecz Andie chciała przeżyć ten ból w samotności. Nick rozumiał to i nie nalegał. Pragnął jedynie, by wiedziała, że w razie potrzeby może na niego liczyć. Ogromnie za nim tęskniła, jednak na razie nie była w stanie się z nim spotykać. Z nim ani z nikim innym.

Obok niej na cmentarzu stała Raven. Płakała. Naprzeciw dwie młode kobiety, które pracowały razem z Julie, gwałtownie szlochały. Nie pojawił się natomiast nikt z rodziny zmarłej. Kiedy Raven do nich zadzwoniła, wielebny Cooper powiedział, że Julie umarła dla nich dawno temu. Jej matka przysłała jednak kwiaty. Bukiet stokrotek. Julie uwielbiała stokrotki, przedkładała je nad róże czy orchidee. Jej matka pamiętała o tym. Andie znalazła pociechę w tym skromnym geście miłości i pamięci. Julie była jednak kochana, choćby w ukryciu, potajemnie.

Ceremonia przy grobie zakończyła się. Andie odwróciła się i zobaczyła Nicka. Stał na krańcu cmentarza, za skromną grupką żałobników.

Podeszła do niego i ogarnęło ją nagłe ciepło. Po raz pierwszy od dwóch tygodni.

- Dziękuję, że przyszedłeś.
- Dobrze się czujesz? Odwróciła wzrok, bliska płaczu.
- Nie.

Przytulił dłoń do jej policzka. Poruszyła głowę, ukojona pieścizotą.

- To nie twoja wina - rzekł półgłosem Nick. Skąd on znał ją tak dobrze?

- Sadler był moim pacjentem, Nick. Powinnam była to przewidzieć.

Powinnam była powiedzieć o nim policji, kiedy dowiedziałam się, że to z nim spotyka się Julie. Kiedy zdałam sobie sprawę, że nawiązał kontakt z całą naszą trójką. Kiedy... - Słowa przychodziły jej z trudem. - Kiedy wiedziałam już, co on z nią robi. Miałam tyle szans, żeby ją uratować.

- Byłaś związana przysięgą. Nie wolno ci było na niego donieść. Na to potrzebny jest oczywisty dowód popełnienia przestępstwa.

- Teraz mamy dowód - rzekła gorzko. - Wiele dowodów. Tylko że Julie już nie ma.

- On chce się z tobą zobaczyć.

Andie zamarła, domyślając się, o kogo chodzi, ale nie dopuszczając tego do świadomości.

- Co mówiłeś?

- David Sadler prosi cię o spotkanie. Poczula obezwładniający wstręt.

- Nie. - Pokręciła głową. - Nie mogę, nie zrobię tego.

- On chce porozmawiać, Andie. I nie chce rozmawiać z nikim innym.

- Dlaczego ze mną? - Patrzyła badawczo na Nicka. - Chyba wie, co do niego teraz czuję.

- Chce, żeby ktoś go wysłuchał i zrozumiał. Byłaś jego terapeutką, więc jesteś najlepszym kandydatem. Tak naprawdę, jedynym.

- Już nie jestem jego terapeutką. Powiedz mu, żeby znalazł sobie kogoś innego.

- Andie, on utrzymuje, że jest niewinny. Ze nie popełnił żadnej z tych zbrodni.

Spojrzała na niego ze złością.

- Jak śmie tak mówić? Jak? Wszystkie dowody wskazują na niego!
- Jest jeszcze coś. Sadler zaklina się, że to nie on podrzucił na twoje łóżko szalik i sznur.

Te słowa mocno ją ubodły.

- A ty mu wierzysz?
- Przyznaje się do wysłania wycinków prasowych i telefonów, do włamania się do twojego domu i włączenia muzyki. Ale nie do sznura i szalika. - Nick zadumał się. - Dziwne to wszystko. Chciałem, żebyś o tym wiedziała.

Andie milczała, musiała przetrwać słowa Nicka. Potem spojrzała mu w oczy.

- Kto mi podrzucił te rzeczy, jeśli nie on?
- Nie wiem. Może uda ci się dowiedzieć. Może sama znajdziesz odpowiedź.

Zawahała się. Jak ona wytrzyma spotkanie z Davi-dem? Wzdrygnęła się.

- No... nie wiem.

Nick znów delikatnie dotknął jej twarzy.

- Przestań być ofiarą, Andie. Przestań się nad sobą uzalać. Zrób coś, żeby pomóc rozwiązać tę sprawę.

To były ostre słowa. Ostre, ale prawdziwe.

- Dobrze - powiedziała cicho. - Spotkam się z nim, ale nie jako jego lekarz. Porozmawiam z nim, jeżeli się zgodzi, że nie będzie mnie obowiązywać żadna tajemnica.

## ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY SZÓSTY

David siedział przy stoliku na wprost Andie w jasno-pomarańczowym więziennym kombinezonie. Dłonie, które położył przed sobą na stole, miał skute kajdankami.

Na jego szyi widniała ciemna, purpurowa szrama. Andie nie zapytała, skąd ją ma, bo i po co. Nie obchodziło jej to.

Wszystko zostało dokładnie przygotowane. David nie życzył sobie, by jeszcze ktokolwiek był podczas tej rozmowy, nawet jego adwokat. Za stalowymi drzwiami czekali na niego strażnik i Nick, widoczni za małym okienkiem. Dawało to Andie poczucie bezpieczeństwa i wzmagало jej odwagę.

Odrzucając swoje wcześniejsze postanowienie, spojrzała Davidowi prosto w oczy. Były w nich nadzieja i gorliwość, które bardziej pasowały do małego zagubionego chłopca, niż podwójnego mordercy.

Ale zaraz przypomniała sobie, że to trik wypracowany przez lata. Sadler był mistrzem manipulacji, a przy tym mordercą, który zabijał z zimną krwią.

- Dziękuję, że pani przyszła.

- Nie musi mi pan dziękować - rzekła sztywno. - Nie jestem już pańskim terapeutą. Nic z tego, co pan



powie, nie podlega tajemnicy lekarskiej. W stosunku do pana już mnie to nie obowiązuje. Rozumie pan?

David przytaknął i lekko się poruszył, a jego kajdanki zastukały o stolik.

- Ciekawa odmiana losu - powiedziała Andie. - Teraz to pańskie ręce są związane.

Sadler zbladł.

- Przykro mi - szepnął. - Wiem, że jest pani na mnie zła, ale...

Przerwała mu z furją:

- Nic pan o mnie nie wie, ani o tym, jak się teraz czuję! Jest pan brudem, śmieciem, przywiodło mnie tu wyłącznie oczekiwanie, że dowiem się czegoś, co pana pograży. Że pomogę im pana zgnębić. Rozumie pan?

- Tak - odparł drżącym głosem. - Rozumiem.

- To dlaczego chce pan ze mną rozmawiać?

- Bo jestem niewinny, pani doktor. Bo chcę opowiedzieć pani moją historię i chcę, żeby pani mi uwierzyła.

- Ale dlaczego? - Zacisnęła pięści. - Co to zmieni, jeśli nawet panu uwierzę?

- Wstawi się pani za mną. Wiem, że pani to zrobi. Miała dość, siebie i jego. Nic dziwnego, że David tak myślał, przecież manipulował nią przez całe tygodnie, a ona pozwoliła na to. Popęłniła tyle niewybaczalnych błędów.

- Nie wierzę panu - oświadczyła. - Zabił pan jedną z moich najlepszych przyjaciółek. Okłamywał mnie pan, straszył...

- Nie chciałem pani skrzywdzić, musi mi pani uwierzyć. Chciałem jedynie...

- Niech pan nie mówi „jedynie"! Jak pan śmie! Zerwała się na równe nogi, odwróciła do niego plecami. Co ja tu robię? - pomyślała. Dlaczego narażam się na to wszystko?

Nie miała zamiaru tego ciągnąć.

- Wychodzę, dosyć już usłyszałam.

- Nie! Pani doktor!

Słyszała, że więzień podnosi się ciężko, i przestraszona obróciła się ku niemu. Zobaczyła, że jego nogi również są skute kajdankami, więc David nie mógł jej zaatakować. Mogła też w każdej chwili uciec.

Nie potrafiła jednak tak łatwo umknąć od swoich myśli, od samooskarżania się.

- Proszę - powtórzył. - Niech mi pani pozwoli zacząć od początku, a gwarantuję, że mi pani uwierzy. A jeśli nie, będzie pani mogła dowolnie wykorzystać moje słowa.

Zastanowiła się i skinęła głową. Oboje wrócili na swoje miejsca. David zaczął mówić:

- Tak, to prawda, że miałem romans z Leą Robertson i uprawialiśmy perwersyjny seks. - Odkasznął. - Poznaliśmy się na jakiejś dobroczynnej imprezie, poświęconej miejskiej bibliotece. - Na jego ustach pojawił się cień uśmiechu. - Spotkaliśmy się wzrokiem i natychmiast wiedzieliśmy, że jesteśmy pokrewnymi duszami. Ona potrzebowała mnie, ja potrzebowałem tego, co ona mogła mi dać.

Lea była wyjątkowa. Należała do tego specjalnego gatunku kobiet, które David opisywał w czasie sesji. Taka sama była Julie.

- Zaczęliśmy się spotykać - ciągnął Sadler. - To było niebezpieczne. Lea była żoną powszechnie znanego i wpływowego człowieka, ja też w naszym mieście byłem znany. Istniało niewiele miejsc, w których mogliśmy się widywać. Jej dom nie wchodził w rachubę. Ani mój.

Znaleźliśmy więc inne rozwiązanie. Lea wynajęła jeden z pustych domów na budowie Sadler

Construction. Wybraliśmy ten, ktory stal najbardziej na uboczu, na niemal pustej ulicy, otoczony przez nie zamieszkane budynki. Z dala od naszych dziennych ścieżek. Lea dokonała wszystkich formalności bez mojego udziału. - Zrobił pauzę, jakby dobierał słowa. - Czuliśmy się tam wolni, więc zdobyliśmy się na większą śmiałość. Spełnialiśmy najskrytsze marzenia, eksperymentowaliśmy z krępowaniem, zawiązywaniem oczu, władzą i poddaństwem. Chcieliśmy coraz więcej i więcej.

- Nabrał głęboko powietrza. - Lea była chętną i otwartą partnerką. Zgadzała się na wszystko. Podglądałyście nas, a zatem wie pani, że nigdy jej do niczego nie zmuszałem.

Podobnie jak Julie. Oczy Andie napelniły się łzami. Och, Julie, dlaczego nie pozwoliłaś sobie pomóc?

- Ostatniego dnia poszliśmy dalej niż dotąd. Związałem ją, założyłem jej pętlę, doprowadziłem na krawędź orgazmu, ale do niego nie dopuściłem. Lubiała to: czekanie, odmowę. Zostawiłem ją w takim stanie. Samą i żywą.

- Nachylił się do Andie. - Rozumie pani? To właśnie nas podniecało. Zostawiałem ją samą i kompletnie bezbronną. Mogłem z nią zrobić wszystko, wiedziała o tym. I ta wiedza, związany z nią lęk, też ją podniecały. Były największym afrodyzjakiem.

Andie była przerażona i pełna wstrętu. Odsunęła krzesło od stolika.

- Wiem, że to dla pani obrzydliwe - powiedział.

- Wiem też, że w tych sprawach nie potrafi mnie pani zrozumieć. Chodzi jednak o to, że zostawiłem Leę żywą. Przysięgam, kiedy wychodziłem, ona żyła.

Andie milczała.

- Gdy wróciłem dwie godziny później, dom był otoczony przez policję. Nie miałem pojęcia, co się stało. Wiedząc jednak, kim jest jej mąż, nie mogłem tak sobie podejść i zapytać. Dopiero po kilku godzinach dowie-

działem się wszystkiego z dziennika... dowiedziałem się, że Lea nie żyje.

- Wspaniała opowieść - rzekła Andie z sarkazmem. - Naprawdę świetny wytwór wyobraźni. Dlaczego więc uciekł pan, skoro był - pan niewinny? Dlaczego nie zgłosił się pan na policję, jeśli nie miał pan nic do ukrycia?
- Niech pani tylko pomyśli. Nie zabiłem jej, ale jednak spałem z żoną komisarza policji. Nawet gdyby nie mieli przeciwko mnie ani jednego dowodu, miałem jak w banku, że zostanę skazany.
- Wybrał pan więc ucieczkę. - Andie strzeliła palcami. - Tak po prostu. Uciekł pan jak szczur.
- Mój ojciec wiedział o moim romansie z Leą. Wysłał mnie do St. Louis, żebym pokierował filią naszej firmy.

W czasie sesji mówił o przepaści, jaka dzieli go od ojca.  
A jednak rodzina kryła go.  
Ale ona nie miała takiego zamiaru.  
David spojrział jej w oczy.

- Nie zabiłem Lei - powiedział cicho. - Nie zabiłem też Julie. Obie kochałem.
- Nie zabił pan Lei - fuknęła - ale zaraz po powrocie do Thistledown nie tylko odszukał pan mnie i moje przyjaciółki, ale wśliznął się w nasze życie. - Z trudem panowała nad emocjami. - Potem zaczął nas pan terroryzować anonimowymi listami i telefonami, muzyką... sznurem i... - Nie mogła dokończyć.
- Ja tego nie zrobiłem! Powiedziałem już policji.
- Dlaczego miałabym panu wierzyć? Czemu ma panu wierzyć policja? Jest pan kłamcą.
- Nie jestem, nie w tym przypadku. Sznur i szalik zostawił u pani prawdziwy morderca.

Zlekceważyła jego słowa. No pewnie. Prawdziwy morderca.

- Dobrze. Proszę mi powiedzieć w takim razie, jaki był cel pańskiej kampanii strachu?

- Po śmierci Lei, kiedy wasze zdjęcia pojawiły się w gazetach, byłem przekonany, że wszystkie, albo też jedna z was, ukryła coś przed policją. Coś, o czym bałyście się powiedzieć. Myślałem nawet, że mordercą był jakiś glina lub ktoś, kogo znaliście z telewizji lub gazet.

- Na przykład komisarz?

- Tak, na przykład komisarz. Wydawało się to proste. Wyobraziłem sobie, że jeśli was trochę nastraszę, pomyślicie, że prześladowa was zabójca Lei, i wyjawicie policji swoją tajemnicę. Skupiłem się na pani, bo szybko zorientowałem się, że pani najprędzej to zrobi. Tak jak tamtego lata.

- Prawda! - powtórzyła z furją Andie. - Powiedziałyśmy policji prawdę. To pan skłamał, tylko pan miał do tego powód!

- Nie! - Wyciągnął przed siebie skute kajdankami ręce. - To jedna z was skłamała. Przyznałyście się tylko do dwukrotnego pobytu w tamtym domu, ale któraś z was była tam co najmniej jeszcze jeden raz. Dwa dni przed... przed śmiercią Lei... Znalazłem spinkę do włosów w kształcie łuku, taką, jakie noszą nastolatki. Była w sypialni, leżała przy drzwiach szafy.

- Dostyc.

- Zachowałem ją przez wszystkie te lata w nadziei, że pomoże mi odnaleźć mordercę Lei. Mogę ją pani pokazać.

Raven nosiła takie spinki, jej ojciec to lubił.

- Nie! - krzyknęła Andie. - To pan zabił Leę i Julie, i tym razem zapłaci pan za swoje czyny.

- Jest pani ślepa? Leę i Julie zamordowała osoba, która podrzuciła pani szalik i sznur. Przyznałem się do innych rzeczy, ale tego nie zrobiłem. - Jego głos załamał się, David beczał jak dziecko. - Straciłem kontrolę nad tą grą. Obiecałem sobie, że tak się nie stanie, że zdołam zapanować nad tym, co się dzieje. Nie chciałem, żeby to zabrnęło tak daleko. Proszę mi pomóc. Nie zabiłem Julie, ja ją kochałem.

Potrząsnęła głową.

- Pan nie ma pojęcia, czym jest miłość. David wstał i wyciągnął ręce.

- Niech pani sobie zada pytanie, dlaczego Julie zginęła. Ktoś chciał mnie w to wrobić. Ta sama osoba, która ją zabiła, wciąż jest na wolności. I może to powtórzyć.

- Nie. - Andie odwróciła się do drzwi. - Pan to zrobił i pan za to zapłaci. - Gdy zapukała w drzwi, ujrzała zatroskaną twarz Nicka. Strażnik przekreślił klucz.

- Ludzie kłamią! - wołał za nią David. - Musi mi pani uwierzyć! Ukrywają swoje prawdziwe ja, żeby chronić siebie albo tych, których kochają. Mają swoje tajemnice, których nigdy by się pani nie domyśliła. Pani doktor, proszę, musi pani mnie wysłuchać.

- Nie. - Obejrzała się przez ramię. - Nie - powtórzyła. - Nie muszę tego słuchać. I nie będę.

## **ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY SIÓDMY**

Mimo tego, co powiedziała Davidowi, Andie nie mogła przestać myśleć o jego słowach. Pewność, z jaką je wypowiadał, dręczyła ją nieustannie, choć wiedziała, że David jest zręcznym manipulatorem i socjopatą, który dba wyłącznie o własny interes.

Jeżeli jedna z nich była w tamtym domu na kilka dni przed morderstwem Lei, znaczyło to równocześnie, że jedna z nich przez tyle lat kłamała.

Ona tam nie była. Na pewno nie Julie.

Zostawała Raven.

„Znalazłem spinkę do włosów w kształcie łuku, taką, jakie noszą nastolatki”.

Ojciec Raven kupował jej ciągle mnóstwo ładnych, drogich spinek.

Raven żartowała z tego z przyjaciółkami, mówiła, że w ten sposób ojciec wyraża swe skryte pragnienie, by córka pozostała na zawsze małą, zależną od niego dziewczynką.

Tylko dlaczego Raven miałyby kłamać? No i co z szalikiem i sznurem?

Jeżeli nie David je podrzucił, to kto?

Andie wstała zza biurka i podeszła do okna w swoim gabinecie. Patrzyła na dogasający dzień. Zbliżała się jesień, w krajobraz wkradały się przepyszne barwy.

Andie zakończyła ostatnią tego dnia sesję i puściła Missy do domu. Pragnęła zostać sama ze swoimi myślami.

Raven nie okłamałaby jej, tego była pewna. Za to David Sadler był kłamcą, co zostało dowiedzione. Nigdy mu nie ufała, a jednak pozwoliła mu sobą manipulować.

Ale teraz koniec z tym.

Odwróciła się od okna i przeszła do biurka. Leżały na nim karty pacjentów, korespondencja z kilku organizacji i długa notatka od Roberta Fultona, przedstawiająca z detalami stan sprawy Marthy.

Robert zdecydował, że Patti stanie przed sądem, bo pozytywny aspekt jej zeznań znacznie przewyższał ewentualne negatywy. Uznał również, że lęk Marthy o córkę bardzo pomoże obronie.

Andie spojrzała na notatkę Roberta i ściągnęła brwi. Rzeczy i ludzie nie zawsze są takimi, jakimi nam się wydają.

To zdanie nękało ją już od paru tygodni. Najpierw usłyszała je z ust Davida, potem Julie. Co takiego powiedział David poprzedniego dnia? Że ludzie zrobią wszystko, by ochronić siebie albo tych, których kochają, że mają swoje tajemnice, których trudno się domyślić?

W jej głowie kłębiły się fragmenty tamtej rozmowy, przypominały jej się pozornie nic nie znaczące drobiazgi. Martha na dobroczynnej imprezie, w swojej seksownej czerwonej sukni, zatrzymująca się na pogawędkę z prezesem izby handlowej, sędzią okręgowym i szefem policji. Ona jedna i sami mężczyźni. Dotykała machinalnie to ramienia, to ręki któregoś z nich, śmiejąc się i flirtując.

W czerwonej seksownej sukience.

Czyż Martha nie powtarzała jej wielokrotnie, że



Edward prosił ją, żeby nosiła ciemne albo neutralne kolory? Czyż nie wspominała, że jej niewłaściwy strój doprowadzał go do pasji? Czy nie mówiła o irracjonalnej, szalonej zazdrości męża?

Dlaczego zatem włożyła tę sukienkę? Czemu flirtowała? Co nią powodowało, skoro wiedziała, jak łatwo wyprowadzić Edwarda z równowagi?

„Wiem, co go wścieka, pani doktor”.

Andie zachowała w pamięci obraz Edwarda, który nie spuszczał wzroku ze swojej żony, patrzył, jak Martha przechodziła od jednej grupki gości do drugiej, pozornie niewinnie, ale nie dla mężczyzny opętanego zazdrością.

Po co Martha miałaby z premedytacją wzbudzać w mężu wściekłość? Żeby go zabić w obronie własnej.

Andie potrząsnęła głową. To absurdalne.

Nagle przypomniała sobie, co kiedyś powiedział Nick, a na co wtedy nie zwróciła uwagi. Nie mógł pojąć, dlaczego Martha, znając gwałtowny charakter męża, zachęcała go do kupna broni.

Nick uważał również za dziwne, że Edward Pierpont zginął od własnej broni zaledwie w tydzień po tym, jak ją kupił.

Tak, to dziwne. Nawet bardzo dziwne. Martha mówiła jej, że błagała Edwarda, by nie kupował rewolweru. Proponowała mu, aby zatrudnił ochroniarza.

Kto mówi prawdę? Andie pragnęła wierzyć, że jej pacjentka... lecz równie mocno chciała wierzyć Davidowi, gdy jeszcze był jej pacjentem. W jakim celu jednak miałby kłamać sprzedawca ze sklepu z bronią? Nie miał w tym żadnego interesu.

Natomiast Martha wręcz przeciwnie.

Andie pomyślała o listach z pogrózkami, które otrzymywał Edward.

Pierwszy z nich przyszedł mniej więcej

w czasie, kiedy Martha dowiedziała się, że jej mąż molestuje Patti.  
Przypadek? Być może.

Ale równie dobrze to Martha mogła je wysłać. A jeśli nawet nie, to wykorzystała strach męża, by namówić go do nabycia broni.

Nagle coś jej się przypomniało. Martha spakowała porcelanę swojej babki, bo zamierzała schować ją na strychu. Serwis nie podobał się Edwardowi, który uznał go za zbyt wzorzysty i staroświecki. Na którejś z sesji Martha pojawiła się z czarnymi plamami na rękach, tłumacząc, że to ślady po farbie drukarskiej.

Andie zastanowiła się, czy gdyby poszła na strych Marthy i rozpakowała pudła z porcelaną, znalazłaby w starych gazetach powycinane dziury? Tytuły z brakującymi literami, z których powstały anonimy. Gdyby nie one, Edward nie kupiłby rewolweru, a gdyby go nie kupił, żyłby do dzisiaj...

To niedorzeczne, pomyślała znowu. Musi jednak dowiedzieć się tego. Musi zobaczyć się z Marthą i zadać jej te pytania - o sprzedawcę, sukienkę i wiele innych rzeczy. Musi to wiedzieć.

Złapała w biegu torebkę i pospiesznie wyszła.

Kiedy zajechała przed dom Rose Turpin, na huśtawce zamocowanej na ganku zobaczyła Patti. Pomachała do niej i ruszyła ścieżką, wzdłuż której rosły kwiaty.

Dziewczyna powitała ją przyjaźnie.

- Cześć. Co słychać?

- Nic takiego. - Andie przysiadła obok. - Przejeżdżałam w pobliżu i pomyślałam, że wpadnę.

- Pięknie, prawda? Piękny wieczór. - Patti głęboko wdychała powietrze. - Tak cicho.

- Tak, ładnie.

Po kolei odpychały się stopami od podłogi, utrzymując huśtawkę w ciągłym ruchu.

- Nie wiedziałam, że cisza może być taka. Taka... pusta. - Patti spojrzała na nią. — Wie pani, o czym mówię?
- Niezupełnie. - Andie uśmiechnęła się. Naprawdę polubiła tę dziewczynę.
- W domu cisza jest głośna. Pełna. - Szukała właściwego słowa, żeby opisać swoje wrażenia. - Pełna różnych rzeczy. Złości, lęku. - Popatrzyła na swoje dłonie. - Nieszczęścia.
- Jej nieszczęścia. Nieszczęścia jej matki.
- Przepraszam.
- Patti spojrzała w bok, w jej oczach były łzy.
- Kiedyś bardzo kochałam ojca, zanim przekonałam się, jaki... zanim zobaczyłam, jaki jest naprawdę. - Odchrząknęła. - To był straszny człowiek, pani doktor. Podły. On lubił... lubił zadawać innym ból. Zwłaszcza mamie. - Patti wykręcała palce, nie wiedziała, czy mówić dalej. - Nie rozumiałam, dlaczego mama pozwala się tak traktować. Modliłam się, żeby mu oddała. Albo żebyśmy uciekły z tego domu. - Uśmiechnęła się pod nosem. - Wyobrażałam sobie różne miejsca, do których wyjedziemy, i jak będziemy się tam świetnie bawić. Pewnie pani myśli, że to głupie.
- Przeciwnie - powiedziała łagodnie Andie. - Bardzo mi się to podoba.
- Przez długi czas byłam zła na mamę, że to znosi, że nie walczy o siebie. A potem on... ja... - Z jej oczu polały się łzy. - Potem ja robiłam tak samo. Ojciec przerzucił się na mnie, przezywał mnie... przezywał mnie okropnymi słowami, tak jak mamę, a ja udawałam, że nic się nie dzieje. Myślałam, że jak... że jak będę tak udawać, to on przestanie.
- Ale nie przestał.
- Nie - szepnęła, pochylając głowę. Łzy ciekły jej po

nosie i skapywały na zaciśnięte dłonie. - To tak strasznie boli, pani doktor. Może pani coś zrobić.... żeby przestało? Pomoże mi pani zapomnieć? Andie położyła dłoń na ręce dziewczyny.

- Nie pomogę ci zapomnieć, ale ja, albo inny lekarz psychiatra, możemy pomóc ci dalej żyć. Możemy pomóc ci przenieść ten ból w takie miejsce, gdzie nie będzie tak bardzo dokuczliwy.

Patti skinęła głową i podniosła wzrok.

- Nie chcę być taka jak mama. Nie chcę udawać. Nie chcę żyć, ukrywając prawdę przed światem i przed sobą. Udawanie, że jest w porządku, wcale nie znaczy, że tak jest.

Patti była dużo dojrzalsza od przeciętnej piętnastolatki. Tragiczne przeżycia sprawiają, że człowiek szybciej dorośnie. Andie wiedziała to z własnego doświadczenia.

- To idiotyczne, ale tamtej nocy byłam dumna z mamy. Dzień po dniu, pomalutku, zaczęła mu się przeciwstawiać. Potem nałożyła tę czerwoną sukienkę. Wyglądała przepięknie.

Andie czuła pulsowanie w skroniach.

- Byłam tam, rzeczywiście wyglądała wspaniale. Twarz Patti rozświetlił przelotny uśmiech.

- Czułam, że wreszcie coś się stanie.

- Co się miało stać?

- Że odejdziemy z mamą. Że nareszcie go zostawi.

- Wspomniała ci coś na ten temat?

- Powiedziała, że tak zrobimy, nie pierwszy zresztą raz, ale tamtego wieczoru poinformowała o tym również jego. Naprawdę zamierzała to zrobić. Wykrzyczała mu to prosto w twarz.

„Zabiłby mnie, gdybym próbowała odejść. Próbowałam już raz i niewiele brakowało”.

Andie była bardzo przejęta, powtarzała sobie, że to nic nie znaczy. Nic. Patti zadrżała, jakby zmroziły ją wspomnienia.

- Ojciec wpadł w szał. Nigdy jeszcze tak nie wrzeszczał. Krzyczał, że ją zabije. Tak się... bałam. Nie wiedziałam, co robić. Wreszcie, gdy usłyszałam strzały, postanowiłam zadzwonić na policję.

Andie widziała, że Patti przeżywa na nowo wydarzenia tamtej nocy.

- Odgłos strzałów rozniósł się po całym domu. - Przycisnęła pięść do piersi. - Czułam go w sobie... w swoim ciele i duszy. Byłam pewna, że on ją zabił. Zbiegłam do holu, wołając mamę. Wpadłam do sypialni. Drzwi były otwarte. I zobaczyłam go, leżał na podłodze. Wszędzie było pełno krwi i... i mama była... ona trzymała rewolwer. Żyła. Ona żyła. - Patti zasłoniła usta, jakby chciała w ten sposób zatrzymać jakieś słowo, po czym opuściła rękę i spojrzała na Andie. - Ucieszyłam się, pani doktor. Ucieszyłam się, że on nie żyje.

Zapadła cisza. Huśtawka zatrzymała się. Gdzieś na drzewie, nad ich głowami, ptak rozpoczął swoją wieczorną piosenkę.

- Pani doktor?

Andie podniosła wzrok. W drzwiach stała Martha. Uśmiechała się. Andie odpowiedziała jej tym samym, choć przyszło jej to z trudem.

- Wpadłam tylko przejazdem przywitać się. Zobaczyłam Patti i rozmawiałyśmy sobie.

- To miło. - Martha podeszła do huśtawki, pocałowała córkę w czubek głowy i pogłaskała ją gestem wskazującym na głęboką, pełną troski miłość. Taką, która przetrwa każdą burzę, która każe posunąć się niewyobrażalnie daleko, byle tylko uchronić ukochaną osobę przed cierpieniem.

- Napije się pani herbaty? - spytała Martha. - A może woli pani co innego?

- Nie, dziękuję. - Andie zebrała się na odwagę.

- Patti wspomniała o czerwonej sukni, w której wystąpiła pani na imprezie dobroczynnej. Nie miałam dotąd sposobności powiedzieć, że wyglądała pani wspaniale.

Patti patrzyła na matkę, promieniejąc. Kobieta zaczerwieniła się.

- Dziękuję. Kupiłam ją specjalnie na tę okazję. Bo wiedziałas, jak zareaguje twój mąż? - pomyślała

Andie. I zaraz, się skarciła: Daj spokój, przestań!

- Doprawdy?

- Uhm. Wydaje mi się, że to było wieki temu.

- Martha oparła się o balustradę ganku. - Wie pani, że po śmierci Edwarda zupełnie ustały prace nad schroniskiem dla kobiet?

Patti podniosła się.

- Idę po czekoladowe ciastko babci. Przynieść jeszcze dla kogoś?

Żadna z kobiet nie wyraziła ochoty. Martha poprosiła córkę, żeby zapytała Rose, czy nie ma ochoty do nich dołączyć.

- Słyszałam już o schronisku - powiedziała Andie po wyjściu Patti.

- Nie wiadomo, czy w ogóle ten pomysł odżyje, biorąc pod uwagę, co się stało. - Martha westchnęła.

- Przykro mi z tego powodu.

Przykro jej, jakby czuła się za to osobiście odpowiedzialna.

Andie chciała zapytać o sklep z bronią, o chińską porcelanę, czerwoną suknię i flirty. Chciała zadać dużo pytań, by wyjaśnić wszystkie swoje wątpliwości i podejrzenia. Lecz nie zrobiła tego.

Bo jeśli nawet okazałoby się, że miała rację, to co z tego? Edward Pierpont był złym, okrutnym człowiekiem. Zasłużył sobie na śmierć. Andie sama nie wierzyła, że pomyślała w ten sposób. Jeżeli jej hipoteza jest uzasadniona, Martha dokładnie zaplanowała zabójstwo męża. I nie ma znaczenia, jakim był człowiekiem, nie wolno brać prawa w swoje ręce...

A jeśli nie ma się dokąd zwrócić o pomoc? Jeśli trzeba ratować swoje życie? Chronić własne dziecko?

Andie przypominała sobie wszystko, o czym mówiła jej Martha w czasie sesji, pomyślała o Patti, o jej rozpacz i lęku, a wreszcie o wielkiej uldze. O Edwardzie, o tym, jaki był i jak potwornie skrzywdził te kobiety. Edward zasłużył na śmierć. Lepiej, że nie ma go wśród żywych. Wstrząśnięta własnymi wnioskami, Andie wstała. Nie miała już najmniejszej ochoty dowiadywać się, co działo się w głowie Marthy. Na pewno nie w tej chwili. Teraz pragnęła jedynie spokojnie zastanowić się, co dalej.

- Muszę lecieć - rzekła ku zdziwieniu Marthy. - Mam coś... właśnie mi się przypomniało. Jestem umówiona. Proszę pożegnać ode mnie Patti. Nie oglądając się, szybkim krokiem ruszyła w stronę samochodu.

## ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY ÓSMY

Wcale tego nie planując, Andie znalazła się przed domem Nicka.

Ponieważ go nie zastała, usiadła na schodkach i czekała. W głowie wirowały jej urywki rozmów z Martha i Nickiem, z Patti i Robertem, oraz jej własne podejrzenia. Czuła się zagubiona.

Czy to mogła być prawda? Czy Martha była zdolna do tego, by z premedytacją doprowadzić do sytuacji, w której będzie musiała zabić w obronie własnej?

To nie tylko mogła być prawda. To była prawda. Andie czuła to, choć nie miała ostatecznego dowodu.

Uniosła twarz ku szybko ciemniejącemu niebu, po czym zerknęła przez ramię na drzwi. To już weszło jej w krew, zjawiała się w tym miejscu za każdym razem, kiedy była wystraszona albo bezradna. Gdy nie potrafiła znaleźć odpowiedzi.

Nick miał na nią dobry wpływ. Przy nim świat wydawał się dobrze urządzony, przy nim wracała jej odwaga.

Kiedy stała się podglądaczką?

Kiedy pozwoliła, żeby zapanował nad nią lęk? Lęk przed cierpieniem, przed utratą reputacji, zmianą *status quoi*

Przesunęła się, było jej niewygodnie. Co się stało



z tamtą dzielną dziewczyną, myślała, która postawiła wszystko na szali, żeby tylko uratować obcą kobietę?

Kiedy zaczęła ukrywać się przed życiem?

Zamknęła oczy i ujrzała nastolatkę, którą była piętnaście lat wcześniej, młodą, silną i niezłomną. Myślała o Julie i o Raven. Ona straciła wtedy ojca i idealną, niemal książkową rodzinę. Poznała ciemną stronę życia, o której nic nie wiedzą takie młode dziewczyny. Po raz pierwszy przekonała się, że każde działanie ma swoje konsekwencje i prowadzi do złego lub dobrego, oraz że czasu nie da się cofnąć.

Tamtego lata zaczęła się zmieniać, pojawiły się w niej niepewność, strach, niechęć do ryzyka. Więc zaczęła trzymać się tego, co było bezpieczne, przewidywalne i łatwe.

Raven postępowała podobnie. Chowwała się przed życiem.

Wykorzystywały się nawzajem, były od siebie uzależnione niemal w każdej sprawie, bo to dawało im poczucie bezpieczeństwa. Było proste i nie wymagało ryzyka.

Musi z tym skończyć, pomyślała Andie. Dotyczy to ich obu.

Po drugiej stronie ulicy zadźwięczał dziecięcy śmiech. Dwójka maluchów biegła przez podwórko, uciekając przed rodzicami. Kobieta spojrzała w kierunku Andie, zamachała do niej, po czym zdała sobie sprawę, że się pomyliła, że to ktoś obcy, a nie żona Nicka.

Andie zrobiło się przykro. Chciała być znajomą tej kobiety, chciała należeć do tego miejsca, tych schodków, tego domu. I do Nicka.

Bała się tego, co czuła do niego, bo nie wiedziała, czy on odwzajemnia jej miłość. A może też się zakochał, ale tylko na krótko, i po jakimś czasie opuści ją, jak ojciec

zostawił jej matkę? Tak, ale życie bez Nicka wzbudzało w niej jeszcze większy lęk. Bo oznaczało samotność.

Nadszedł czas, żeby zaryzykować. Żeby postawić siebie, swoje serce i swoją wiarę na szali.

I co dalej? Wyznać Nickowi miłość? Wyrzucić to z siebie, niczym szalona nastolatka?

Tak, właśnie tak.

Przestraszyła się. Słowa padają tak łatwo, dużo trudniej wprowadzić je w czyn.

Zaryzykuj, Andie. Powiedz mu, co do niego czujesz.

Zerknęła znów na drzwi, coraz bardziej zdeterminowana. Zajmij jasne stanowisko, nie tylko jeśli chodzi o Nicka, lecz również we wszystkich innych sprawach: Marthy, Raven, wreszcie po prostu życia.

Nadeszła pora, by działać zgodnie z własnym, najgłębszym przekonaniem. Niezależnie od skutków.

Pod dom zajechał samochód. Nick wysiadł i szedł w jej stronę. Patrzyła na niego z czułością. Wszystko jej się podobało w tym mężczyźnie: sposób, w jaki się poruszał, zmarszczki wokół oczu, gdy się uśmiechał, brzmienie głosu, no i to, że dobrze się przy nim czuła.

Nick zatrzymał się przed nią z poważną miną.

- Cześć. Podniosła wzrok.

- Cześć.

- Co się dzieje?

- Tęskniłam za tobą. Uśmiechnął się i pomógł jej wstać.

- Zabawne, bo ja też się za tobą stęskniłem.

- Naprawdę?

- Zostawiłem ci wiadomość na sekretarce.

- Nie mogę się doczekać, kiedy ją odsłucham.

- Możesz sprawdzić z mojego telefonu.

- Mara jest u Jenny?

- Uhm.

- To mamy dom dla siebie? Jesteśmy sami?

- Zupełnie sami. - Ujął jej twarz w dłonie. Pogłaskała go po policzku. Nick zbliżył do niej usta.

Zatonęłaby w nim, gdyby jej tylko pozwolił. Czowała, że jest o krok od kolejnej ucieczki. Zaryzykuj, Andie. Zaryzykuj.

- Poczekaj - powiedziała półgłosem, kładąc mu dłonie na piersi. - Poczekaj.

Odsunął się, zdziwiony. Uśmiechnęła się nerwowo. Instynkt podpowiadał jej, by niezwłocznie brać nogi za pas i szukać kryjówki. Ona natomiast śmiało spojrzała Nickowi w oczy.

- Możemy porozmawiać? Chciałabym... Chcę ci coś powiedzieć. Zanim stracę odwagę.

- To brzmi bardzo serio.

- Bo jest serio. - Zaśmiała się i usiadła, zwracając ku niemu twarz. - Nie wiesz pewnie, że jestem strasznym tchórzem, prawda?

Rozbawiony przysiadł obok niej na stopniu.

- To jedno ze słów, jakimi bym cię opisał. Zdolna, wspaniała, niezależna, cudowna i tchórzliwa.

Uśmiechnęła się.

- To prawda. Do dziś sama nie zdawałam sobie sprawy, jak wielkim jestem tchórzem.

Nick dał jej czas, żeby zebrała myśli, niczego nie przyspieszał, tylko w milczeniu cierpliwie czekał. Za to też go kochała.

- Muszę się do tego przyznać. Po prostu... muszę. Chcę jednak, żebyś wiedział, że ja nie... że to, co powiem, do niczego cię nie zobowiązuje. Spojrzał na nią uważnie.

- Dobrze, Andie. Słucham.

Wtedy wyrzuciła z siebie te słowa, choć zarazem

pragnęła je zatrzymać, cofnąć i ukryć, by powróciło poczucie bezpieczeństwa, na którym tak jej zawsze zależało.

- Kocham cię, Nick.

Milczał. Minuta przeciągała się w nieskończoność, pod powieki Andie napłynęły szczypiące łzy. Czuła się jak skończona, emocjonalnie niedorozwinięta idiotka. Chciała natychmiast zniknąć.

- Musiałam być z tobą szczerą. Dzisiaj uświadomiłam sobie różne rzeczy, a jedną z nich jest fakt, że uciekam przed życiem. Boję się, że zostanę zraniona. Boję się, że... coś stracę, nawet jeśli boję się równocześnie o to walczyć. - Złapała oddech. - Nie szkodzi, że nie czujesz do mnie tego samego. Nie musisz nic mówić. Nie mów nic, proszę. Tak będzie lepiej, i...

- Ciii... - Położył palec na jej ustach. - Nie przepraszaaj, że dałaś mi prezent, Andie. Cieszę się, że mnie kochasz. Cieszę się, że tu jesteś. Już dobrze?

Poczuła zarazem wielką ulgę, jak i rozczarowanie. Ulżyło jej, że wyznała mu swoje uczucia, że po raz pierwszy zdołała wyjrzeć z emocjonalnej jaskini, a świat się nie zawalił. Rozczarowała się, bo Nick nie wyznał jej swojej miłości. No cóż, nie kochał jej. Ale jakoś to zniosła. Nie było to tak straszne, jak się spodziewała.

- Jesteś silny, zawsze wiesz, jaką drogę wybrać, nie boisz się, że zabłądzisz. Nigdy się nie pomyliłeś? Nie popełniłeś żadnego błędu? Jesteś tak bardzo doskonały, jak mi się wydaje?

Patrzył na nią i spoważniał.

- Błędy? O, tak. Spójrz na moje małżeństwo. Już bardziej nie mógłbym go zepsuć.

Westchnął, wstał i przeszedł na drugi koniec niewielkiego ganku. Patrzył na ulicę, na zapalające się i gasnące w oknach światła.

- Jenny miała rację - mruknął pod nosem. - Nasze małżeństwo nie rozpadło się wyłącznie z jej winy, chociaż tak sobie wmawiałem. - Uniósł twarz ku niebu, po czym wrócił wzrokiem na ulicę. - Zawsze wiedziałem, co jest ważne. Rodzina, moje małżeństwo. Tak przynajmniej mówiłem. - Roześmiał się gorzko. - No i pozwoliłem, żeby to wszystko wymknęło mi się z rąk.

- Spojrzał na Andie, znajdując w jej oczach żal, który zapierał dech. - Wszystko zepsułem. Na pierwszym miejscu postawiłem pracę. To się zaczęło przed zabójstwem pani X, a potem popłynęło jak lawina. Zająłem się udowadnianiem sobie, że jestem supergliną. Najlepszym, najsprytniejszym, pracowałem nad sprawami, które w ogóle do mnie nie należały, siedziałem w robocie po nocach, po godzinach. W tę i z powrotem przerabiałem sprawę Robertson, przekonany, że znajdę brakujący element i rozwiążę ją. Zapomniałem, co się naprawdę liczy, a kiedy zdałem sobie z tego sprawę, było już za późno. Jenny odeszła, związała się z innym. Zabrała Marę. Moja rodzina przestała istnieć. — Strzelał nerwowo palcami. - Ot tak, po prostu. Nie da się przywrócić tego, co się straciło, Andie. To bardzo boli.

Milczała. Zastanawiała się, czy jej ojciec czuł się podobnie, kiedy stracił rodzinę. To prawda, dokonał wyboru i zostawił ich, czyż jednak - oglądając się wstecz

- nie żałował? Chyba tak, później nieraz napomykał o tym.

Wstała i podeszła do Nicka, przytuliła policzek do jego pleców.

- Przykro mi, Nick.

- To już skończone.

- Naprawdę?

Zesztywniał nieco, a ona przyciągnęła go mocniej do siebie.

- Porozmawiaj z nią, spróbuj raz jeszcze - powiedziała, choć nienawidziła tych słów.

Pokręcił przecząco głową.

- To już skończone. Zresztą od dawna już się nie kochaliśmy. - Odwrócił się. - A poza tym, teraz mam ciebie na oku.

Tak bardzo chciała uwierzyć, że owo „bycie na oku Nicka” ma jakieś istotne znaczenie.

- I co z tego? Mówiłeś o swojej rodzinie, o tym, jak za nią tęsknisz.

- To się nie zmieni.

- Wiem. - Wyśliznęła się z jego objęć. - Wiem też, co czuje dzieciak, który najbardziej na świecie pragnie, by jego rodzice byli razem. Wiem, co znaczy czuć urazę do kobiety, która zabiera ci ojca. Tego czas nie leczy, u mnie to się nie zmieniło, choć ojciec żyje już z Leezą piętnaście lat, a matka ma własne życie. Wciąż jakaś część mnie nienawidzi tej kobiety za to, że rozbiła moją rodzinę.

- Ty mnie nikomu nie kradniesz, Andie. Sytuacja jest zupełnie inna.

- To też wiem. Ale chcę, abyś był ze mną szczery i żebyś sobie uczciwie odpowiedział, co jest dla ciebie możliwe. A jeśli Jenny zechce do ciebie wrócić? Jeżeli zdecyduje się odbudować waszą rodzinę?

Nick zawahał się, nie odpowiedział od razu, a sekundy oczekiwania na jego słowa nie miały dla Andie końca.

- Nie sądzę, żeby istniał choćby cień szansy na to, że ona zechce do mnie wrócić. Lecz muszę być z tobą szczery. Gdyby jednak do tego doszło, naprawdę nie wiem, jak bym postąpił. Ze względu na Marę.

Dawno już nic tak Andie nie zabolęło. Chciała zachować się jak przystało dojrzałej kobiecie i nie chować się przed tym, czego tak bardzo się bała.

- Przykro mi. Wiem, że nie to miałaś nadzieję usłyszeć.

- Przeciwnie, właśnie tego się spodziewałam. Doceniam twoją szczerłość.

- Ciągle jestem Harcerzykiem, prawda? - Smutny uśmiech zawitał na jego wargi. - Jenny zawsze mi zarzucała, że patrząc na świat, nie widzę tych wszystkich odcieni szarości. Mówiła, że jestem ograniczony, ślepy. Dobrze albo źle. Czarne albo białe. Niepoprawny Harcerzyk. A teraz ni stąd, ni zowąd rozglądam się i dostrzegam te rozmaite odcienie.

- Co masz na myśli? Nie odpowiedział od razu.

- Weźmy sprawę twojej pacjentki, Marthy Pierpont.

Andie ze wszystkich sił starała się nie okazać konsternacji. Czyżby Nick poznał ją już tak dobrze, że czytał w jej myślach?

- Przejrzałem raz jeszcze wszystkie notatki dotyczące tej sprawy, rozmawiałem z prokuratorem, dowiedziałem się o Patti. Cały czas zastanawiam się, jak ona mogła żyć z tym draniem tyle lat pod jednym dachem? Kiedy pomyślę, co Pierpont zrobił swojej córce, cieszę się, że zginął. Dobrze, że Martha go zabiła, a nie odwrotnie. W końcu mogło się tak stać. A jednak oficjalnie nie wolno mi tak myśleć. Jeżeli, jako glina, dysponuję dowodem, że Martha zamordowała męża z premedytacją, jestem zobowiązany postąpić zgodnie z tym, co dyktuje mi prawo. Czarne i białe.

- A jako człowiek? - spytała Andie, kochając go w tej chwili jeszcze bardziej za jego uczciwość i głębokie człowieczeństwo.

- Jako człowiek? - Spojrzał na ciemne niebo i księżyc w nowiu. - Odpowiedź nie jest taka czarno-biała, prawda? Świat bez Edwarda Pierponta jest lepszym

światem. Czasami tacy dranie zasługują na śmierć. A czasami niewinni, dobrzy ludzie zostają uwięzieni w sytuacjach bez wyjścia, poza ich kontrolą. W sytuacjach, na jakie nie zasługują.

Popatrzył na nią. W jego oczach Andie widziała własne odbicie, swoje myśli, swoje podejrzenia w stosunku do Marthy.

Jeżeli nawet nie doszedł jeszcze do tych samych co ona wniosków, jeśli nie miał jeszcze pewności, niewątpliwie zastanawiał się nad tym. Ale na tym etapie zamierzał poprzestać.

Andie przemierzyła ganek, zatrzymując się przed Nickiem. Uniosła ku niemu twarz.

- Tylko ty i ja, Nick. Sięgnął do kieszeni po klucze.

- Cały dom tylko dla nas.

Zabrała mu klucze i otworzyła drzwi. Wciągnęła go do środka, do jego sypialni. Rozebrała go, a później on pozbawił ją ubrania. Potem kochali się, skapani w ciszy wczesnego wieczoru, w cudownym zadziwieniu, że są razem.

A kiedy wykrzyczała jego imię i jeszcze raz wyznała mu miłość, przestała się bać.

Słowa płynące prosto z serca były jak cudowne lekarstwo. Były najwłaściwszą, najbardziej uzasadnioną rzeczą na świecie.



## ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

Światło poranka przekradło się przez szpary w żaluzjach i spoczęło na łóżku. Andie coś mruknęła przez sen i przewróciła się na bok, czując obecność Nicka.

Otworzyła oczy, chwytając w nie promienie słońca, słysząc za oknem śpiew ptaka. Sobota przyszła i odeszła. Dwa razy wychodzili z domu. Po jedzenie do restauracji brata Nicka i do wypożyczalni kaset po filmy: dla niego kino akcji z wątkiem miłosnym, dla niej romans z zagadką kryminalną. Poza tym nie wychodzili z łóżka.

Aż nadszedł niedzielny ranek. Uśmiech Andie nieco przygasł, nie mogła dłużej odkładać spotkania z Raven, którą spodziewała się zastać o tej porze w domu. Gazeta, kawa i rogaliki w niedzielne poranki należały do stałego rytuału przyjaciółki.

Zaryzykuj, Andie. Idź za głosem serca.

Lekko uszczypnęła Nicka i cmoknęła go w plecy. Poruszył się, czuła, że się uśmiecha.

- Dzień dobry, śpiochu - szepnęła.

Przekręcił się na plecy, nie otwierając oczu. Miała rację, na jego twarzy widniał uśmiech.

- Dzień dobry.

Położyła mu głowę na piersi.

- Dobrze spałeś?

- Uhm. Śniłaś mi się.

- Miło to słyszeć. - Pocałowała go i odsunęła się.

- Muszę wybrać się gdzieś dziś rano.

Otworzył oczy, kompletnie trzeźwy. Zdumiała się, jak mógł dobudzić się tak szybko, i przypomniała sobie, że ma do czynienia z gliną, który musi być stale gotowy na wezwanie.

- Coś pilnego?

Pogładziła ręką jego przykryte kocem ciało.

- Jęcza - warknął ze śmiechem.

- Nienasycona jęcza.

- Zostań. - Przesunął się na prawo, przygniatając ją sobą. - Obiecuję, że będę grzeczny.

Pocałowała go znowu, ale nie zmieniła zdania.

- Muszę to zrobić dzisiaj, póki mam dość odwagi. Zaczekasz na mnie?

- Tylko pod warunkiem, że przyniesiesz pączki.

- Uśmiechnął się. - Z „Krispy Kreme”, na Czwartej Ulicy.

Andie odwzajemniła uśmiech.

- Pączki? Obrzydliwy przysmak gliniarzy.

- Jestem gliniarzem. - Przygarnął ją mocniej. - Dokąd się wybierasz?

- Do Raven. - Usiadła. - Muszę jej powiedzieć o nas i różnych rzeczach, które sobie wczoraj uświadomiłam.

- Podciągnęła kolana pod brodę. - Tak długo byliśmy dla siebie całym światem, a teraz ja... teraz to się zmieni. Już się zmieniło. Nie chcę jej zranić, ale zdecydowanie za długo byliśmy od siebie uzależnione. To nie może trwać wiecznie, bo staje się... chore. Każda z nas powinna pójść swoją drogą, nasza przyjaźń musi przybrać inne oblicze. Byliśmy dla siebie ucieczką przed innymi związkami, chroniliśmy się wzajemnie, aż zamknęliśmy się w dziwnej skorupie. Pora ją rozbić.

- Popatrzyła na Nicka zakłopotana. - Ten moment zbliżał się już od pewnego czasu. Spodziewam się, że Raven też to już zrozumiała. Nick nie skomentował jej słów, a kiedy się odezwał, jego łagodny głos przyprowadził ją o dreszcz niepokoju.

- Bądź ostrożna - szepnął. - Raven jest bardzo... bardzo chroni wasz związek. Może to źle przyjąć.

Andie zajrzała mu w oczy. Roześmiała się.

- Na Boga, Nick, to brzmi złowieszczo. Co ona może mi zrobić, zabije mnie?

## **ROZDZIAŁ OSIEMDZIESIĄTY**

- Andie! - Raven powitała ją z radością. - Tak się cieszę.

Andie uśmiechnęła się nerwowo, niepewna, co powiedzieć. Bardzo obawiała się reakcji przyjaciółki. Co innego świętować samemu, co innego cieszyć się czyjąś radością.

- Nie przeszkadzam? - spytała.

- Nie bądź głupia. - Raven wzięła ją za rękę i wciągnęła do środka. -

Niedzielne poranki są przecież dla najlepszych przyjaciół i dobrej kawy.

- Niedzielne przyjemności? Raven wybuchnęła śmiechem.

- Robię właśnie grzanki, mam też na śniadanie francuskie rogaliki.

- Fantastycznie. - Andie z ochotą ruszyła za Raven do kuchni.

Była to kuchnia, jakiej pozazdrościłby niejeden szef renomowanego lokalu, a magazyn poświęcony wystrojowi wewnątrz z radością pokazałby na okładce.

Na tacy leżały elegancko poukładane rogaliki i truskawki, a kawa właśnie się zaparzyła. Raven sięgnęła po filiżanki. Wszystko było tam idealne jak na obrazku.

- Może usiadzimy na ganku? Jest tak ładnie.

Andie chętnie się zgodziła i po kilku minutach Raven nakryła stół na zadaszonym ganku, kładąc lniane serwetki i talerzyki deserowe z chińskiej porcelany. Na środku stołu postawiła kryształowy wazon, do którego włożyła zerwany w ogrodzie kwiat.

Idealne jak na obrazku, pomyślała ponownie Andie.

Usiadły. Raven uśmiechnęła się.

- Pamiętasz, dawniej często tak siadywałyśmy. - Nie czekając na odpowiedź, ciągnęła uszczęśliwiona: - Niedzielne poranki. Pachnąca kawa i świeże pieczywo. Gazeta. Potem spacer w parku. - Nalała Andie kawę i dodała śmietankę. Świetnie знаła upodobania przyjaciółki. - Co się z nami stało? Jak mogliśmy zapomnieć, co jest dla nas ważne?

Andie drgnęła, błysk w oczach Raven zaniepokoił ją.

- Jesteśmy zajęte pracą, dorosłyśmy. Przynajmniej trochę.

Raven zaśmiała się wysokim, dziewczęcym śmiechem.

- To głupia wymówka, Andie. - Podała tacę z rogalikami. - Żadna praca nie tłumaczy braku czasu dla rodziny. Dobrze o tym wiesz.

Andie położyła rogalik na talerzu. Zupełnie straciła apetyt, natomiast Raven rozerwała swój rogalik na pół. Andie po raz pierwszy zwróciła uwagę na dłonie przyjaciółki. Były duże i silne.

Raven posmarowała pieczywo dżemem i ugryzła kęs, zaś Andie położyła rękę na kolanach, zaciskając palce na serwetce. Poczwała niezrozumiałą odrazę.

- Czekałam na ciebie. Wiedziałam, że któregoś dnia przyjdiesz do mnie, Andie. Kiedy zobaczyłam cię dzisiaj pod drzwiami, serce mi zamarło.

Mój plan, moja cierpliwość opłacały się. Byłam pewna, że wszystko wróci do normy. - Łzy wzruszenia lśniły w jej oczach. - Zawsze byłeś dla mnie kimś wyjątkowym.

„Kimś wyjątkowym". To słowa Davida. Andie poczuła, jakby ktoś oblał ją zimną wodą. Słowa przyjaciółki, jej intonacja, były jakby nie z tego świata.

- Kochałam Julie - kontynuowała Raven. - Zresztą wiesz o tym. Lecz ona nie znaczyła dla mnie tyle, co ty. Nie wiem... - Westchnęła i uniosła do ust filiżankę. - Może to ona mi na to nie pozwalała? Trzymała nas na dystans. Byłam jej ogromnie oddana, a ona i tak wciąż... bładziła.

Andie była zakłopotana rozmową o Julie i natrętnym podkreśleniem przyjaźni. Wiedziała, jak można przeżywać żalobę, rozumiała, że rozmowa pozwala zmniejszyć ból. Tylko że ona nie była jeszcze gotowa, źle się z tym czuła i powiedziała o tym Raven.

- Masz rację. Przepraszam. Jak mogłam być tak nieczuła?

Andie musiała wreszcie wyrzucić z siebie, po co przyszła. Im szybciej to zrobi, pomyślała, tym lepiej.

- Raven - odezwała się półgłosem. - Muszę ci coś powiedzieć.

- No to mów - powiedziała, wyciągając rękę po kolejny rogalik. - Zawsze jestem gotowa cię wysłuchać.

Andie wstała. Nie spodziewała się, że będzie to takie trudne. Obawiała się, że Raven przyjmie to gorzej, niż sobie wyobrażała.

Pomyślała o Nicku, o jego ostrzeżeniu, i odwróciła się do przyjaciółki.

- Ostatnio dużo myślałam i zdałam sobie sprawę z wielu istotnych rzeczy, dotyczących mnie, nas, tego, co robimy.

Uśmiech Raven przygasł.

- Nas? - powtórzyła.

- Proszę cię, wysłuchaj mnie, spróbuj zrozumieć. Ta rozmowa jest mi bardzo potrzebna.

- Co ty chcesz zrobić, Andie? - spytała rozdrażniona Raven. - Chcesz mnie odsunąć?

- Ależ nie. Prawie całe życie byłaś dla mnie najważniejsza, jak mogłabym...

- Ale już nie jestem, tak?

- Tego nie powiedziałam. - Sytuacja zaczęła jej się wymykać z rąk, a przecież dopiero zaczęła. - Raven, proszę. Zdałam sobie sprawę, że gdzieś po drodze przestałam próbować. Wybierałam zawsze łatwiejszą drogę, byle tylko nic mnie to nie kosztowało.

Mówiła dalej o tym, że rozpacz Patti Pierpont i śmierć Julie otworzyły jej oczy, o Nicku i o tym, że przywrócił ją do życia, wydobył z niej tęsknoty, które przed laty pogrzebała.

Raven uniosła dłoń do gardła. Andie zauważyła, że jej ręce drżały.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Że za bardzo się od siebie uzależniłyśmy. Uciekałyśmy w przyjaźń, udawałyśmy, że nikogo więcej nie potrzebujemy. Ukrywałyśmy się przed życiem. Nie chcę dłużej tego robić.

Raven zacisnęła dłonie w pięści.

- A więc chodzi o niego. Może jesteś bardziej podobna do Julie, niż mi się wydawało.

Andie wolno policzyła do dziesięciu.

- Nie chodzi o Nicka, chociaż bardzo mi pomógł. Chodzi o mnie i o ciebie.

- Gówno! - rzuciła Raven i zerwała się od stolika z takim impetem, że przewróciła wazon, który potłukł się na kawałki. - Jesteś w nim zakochana!

- Tak, jestem w nim zakochana - odparła Andie pewnym głosem. - I chcę z nim być, niezależnie od wszystkiego.

Z ust Raven wydobył się wysoki, przerażający

dźwięk. Przestraszona Andie podbiegła do niej. Uklękła przed nią, ujęła jej zimne dłonie.

- Przestań, Rave. Nie przestałam cię kochać. Wciąż jesteś moją najlepszą przyjaciółką i zawsze nią będziesz. Ale nie możesz być całym moim światem. Nikt nie może być dla nikogo całym światem.

Wyrwała się z jej rąk.

- Wynoś się.

Do oczu Andie nabiegły łzy.

- Raven, proszę cię.

- Wynocha! - powtórzyła trzęsącym się głosem. - Zdradziłaś mnie. Od tej chwili dla mnie nie żyjesz. Nigdy ci nie wybaczę. Nigdy.



## **ROZDZIAŁ OSIEMDZIESIĄTY PIERWSZY**

W pokoju panował potworny harmider. Nick próbował skupić się na raporcie z sekcji Julie Cooper, który leżał przed nim na biurku. Było tam napisane, o której i z jakiego powodu nastąpiła śmierć, z czego składał się ostatni posiłek Julie i kiedy go jadła. Poza raną na szyi Julie była okazem zdrowia, przed śmiercią denatka nie odbywała stosunku seksualnego. Dużo więcej było w raporcie luk niż informacji.

Nick ściągnął brwi. Coś tu się nie zgadzało.

Pchnął raport na bok, kierując uwagę na wyniki z laboratorium, które właśnie nadeszły z St. Louis. Włosy i ślina znalezione na ciele Julie Cooper zostały poddane badaniu genetycznemu, które wskazało, że należą one tylko do dwóch osób: Julie i Davida Sadlera.

Ślady stóp, odciski palców i badania genetyczne wskazywały, że oba morderstwa popełnił ten sam sprawca, czyli David Sadler. Jakie to proste.

- Co się tak martwisz? - Bobby położył na biurku Nicka pojemniki z jedzeniem. - Ryż z serem i szynką, musztarda. Frytki bez soli.

Nick podniósł wzrok.

- Dzięki.

- Nie ma za co. - Bobby usadowił swoje obszerne ciało naprzeciw partnera. - Co tam masz?

- Zabójstwo Cooper. - Nick wyjął z pudełka kanapkę i odwinął ją z papieru. - Po co taki sprytny gość jak David Sadler miałby zabijać Julie Cooper w jednym z budowanych przez siebie domów, a potem praktycznie na widoku zostawiać ciało?

- Nie wiem. - Bobby przechylił się. - Myślę, że dostał pietra. Pewnie nie miał zamiaru jej zabijać, ale gdy się zabawiali, taboret się przewrócił. - Bobby strzelił palcami. - I tyle. Julie Cooper przeszła do historii.

- I dlatego uciekł? Zostawiając ślady, które łączą go nie tylko z zabójstwem Julie, ale także ze zbrodnią popełnioną na Lei Robertson? - Nick ugryzł spory kęs kanapki.

- Wiedział, że siedzi po uszy w gównie. Nie myślał. Potrzebował jakiegoś planu, albo nawet miał go, ale musiał sobie jeszcze raz poukładać. Uciekł i nie zdążył wrócić, bo zjawiliśmy się pierwsi. Gość ma przechla-pane. Nick popił kanapkę zimną kawą.

- A ten anonimowy telefon? Coś mi się tu nie podoba. Jak ktoś mógł przypadkiem mijać tamtą budowę? I to w nocy? Tam nic nie ma, Bobby. Jak ktoś mógł zobaczyć światła? I co z dwiema godzinami, które dzielą określoną przez koronera śmierć i telefon do nas?

Bobby uniósł krzaczaste brwi.

- Ty mi powiedz.

- Nie wiem - odparł sfrustrowany Nick. - A co ze spinką?

- Z tą, którą Sadler ponoć znalazł w tamtym domu? Żadna z dziewczyn jej nie poznaje. Nie ma co. Ten drań to zrobił i szuka teraz deski ratunkowej. Nick spojrzał mu w oczy.

- Jak na mój gust, to wszystko za łatwe. Jak spod igły. Gotowiec dla gliniarzy.

- A ja to lubię, partnerze. Zbierasz drania z ulicy i do pierdła z nim, nawet się nie spocisz. - Bobby podniósł się. - Traktujesz to zbyt osobiście, może dlatego tak ci się mąci w głowie. Utrudniasz sobie życie.

Nick zmarszczył brwi. Nie chciał myśleć o tej sprawie w ten sposób, ale Bobby mógł mieć rację. Każdy glina wie, że podejrzanego najlepiej jest szukać w pobliżu ofiary, a on wdawał się w jakieś mętne spekulacje, które najpewniej prowadziły donikąd.

- Być może.

- Przepraszam, Nick?

Podniósł wzrok. Jenny stała jakieś pół metra za Bobbym, a na jej twarzy malowało się wahanie. Nick wstrzymał oddech, natychmiast pomyślał o Marze.

- Czy coś... Z Marą wszystko w porządku?

- W porządku, ja... - Jenny przeniosła spojrzenie z Bobby'ego na Nicka. - Sierżant powiedział, że mogę wejść. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

- Nie - rzekł Nick, wstając. Zamknął teczkę z dokumentami sprawy Cooper. - Co mogę dla ciebie zrobić?

Jenny złożyła dłonie, zerkając ponownie na Bobby'ego.

- Możemy pójść gdzieś na bok? Chciałabym porozmawiać z tobą na osobności.

- Jasne. - Nick czuł, jak krew pulsuje mu w skroniach. Oby tylko nie chodziło o uszczuplenie jego kontaktów z Marą, przestraszył się.

- Bobby, jest ktoś w pokoju przesłuchań?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Gdybyś mnie potrzebował, zajrzyj tam. Zaprowadził Jenny do małej salki i zamknął za sobą drzwi.

- Jeśli chcesz mnie prosić, żebym zmienił plany związane z urodzinami Mary, to z góry odmawiam.

- Nie o to chodzi. Ja... - Urwała bezradnie. Ku jego zdumieniu jej oczy napełniły się łzami. - Chodzi... o nas.

- O nas? - powtórzył oszołomiony. - Co to znaczy „o nas”?

- Ja... ja zrobiłam błąd, Nick. Wielki błąd. - Podeszła i przytuliła do niego policzek. - Chcę do ciebie wrócić. Chcę, żebyśmy znowu byli rodziną. Żebyśmy znowu byli rodziną.

Czekał na to, miał nadzieję, że znowu będą razem. Modlił się o to.

Ale to było kiedyś, przed wiekami. Bo teraz myślał wyłącznie o Andie.

Lecz nie chodzi tylko o niego i o jego życie. Jest jeszcze Mara ze swoimi pragnieniami i potrzebami.

- Tak mi przykro - szeptała Jenny. - Bardzo cię za wszystko, co zrobiłam, przepraszam. Musiałam całkiem zgłupieć.

- A teraz już myślisz trzeźwo? - zapytał sceptycznie. Przechyliła głowę i spojrzała mu w oczy.

- Tak. Chcę wrócić do domu. Proszę cię, przyjmij mnie z powrotem,

Nick. - Objęła go w pasie, przywierając do niego. - Przebacz mi.

Myślał o Andie, o jej miłości bez żądań i zastrzeżeń, bez wahań.

Przypominał sobie swoje życie z Jenny, jej ciągłe utyskiwania i awantury, wreszcie jej zdradę.

- Dlaczego chcesz do mnie wrócić? - Uwolnił się z jej objęć. - Sądziłem, że już mnie nie kochasz, że nie byłaś ze mną szczęśliwa.

- Wiem, że tak mówiłam, ale...

- Ale nic się nie zmieniło, Jenny. Jestem tym samym facetem, a ty tą samą kobietą. Nasze wspólne życie wyglądałoby tak samo, jak przedtem.

- Nie musi być tak samo. Przecież możesz się zmienić, ja też.

Patrzył na nią bez słowa długą chwilę, na kobietę, którą niegdyś kochał, matkę jego dziecka, z którą dzielił kawał swojego życia. A kiedy tak patrzył, zdał sobie sprawę, że ma dla niej jedynie współczucie. Co więcej, gdy tak jej się przypatrywał, cały czas myślał o innej kobiecie. O tej, która zdobyła jego serce.

Andie. Słodka, cudowna, idealna Andie.

-v Przykro mi, Jen, ale jest już za późno. Mam kogoś, jestem zakochany.

- Nie! - krzyknęła i rozejrzała się za krzesłem, a po sekundzie opadła na nie bezwolnie. Patrzyła na Nicka przez łzy. - Nie...

Nick podszedł do niej i przykucnął.

- Miałaś rację, mówiąc mi na odchodnym, że już się nie Kochamy. Od dawna się nie kochaliśmy, właściwie nawet się nie lubiliśmy. - Dotknął delikatnie jej policzka. - Nie byłabyś ze mną szczęśliwa.

- Byłabym, ja...

- Nie, Jen - przeciwstawił się delikatnie - nie byłabyś. Każde z nas zasługuje na coś więcej niż małżeństwo bez miłości, a Mara nie zasługuje na taką rodzinę.

Jenny wstrzymała oddech.

- Zdaje się, że zrobiłam z siebie straszną idiotkę. Ale nie przypuszczałam, że ty... że ty...

- Że cię odtrącę? - Zaśmiał się gorzko. - Jeszcze tydzień czy dwa wcześniej nie zrobiłbym tego. Nawet w tej chwili nie do końca wierzę, że to powiedziałem. - Wyciągnął rękę, żeby pomóc jej wstać.

- Chyba powinnam już iść.

- Jenny? - Popatrzył jej w oczy. - Co z Bernardem? Czy to skończone?

Wzruszyła ramionami.

- Nieustannie się kłóciliśmy. On nie chce... nie chce się wiązać dzieckiem. Chce bywać w świecie, podróżować, a z Marą jest to niemożliwe.

- No to co? Pojedź z nim, Jenny. Zajmę się naszą córką. Wiesz, jak bardzo ją kocham. Może podzielilibyśmy się opieką nad dzieckiem po połowie? Wtedy uzyskasz więcej swobody i będziesz mogła ułożyć sobie życie z Bernardem. A ja tak wszystko zorganizuję, by Mara miała to, czego potrzebuje.

- Przecież pracujesz....

- Zrezygnuję z paru godzin. Zresztą mam tu na tyle mocną pozycję, że mogę postawić pewne warunki, a koledzy nie tylko mnie rozumieją, ale i pomogą.

- Dobrze.

Nie zostało nic więcej do powiedzenia. Nick odprowadził ją do wyjścia i wrócił do biurka.

- I co? - mruknął Bobby, szczerząc zęby.

- Chciała do mnie wrócić.

Bobby'emu odebrało mowę, co nie zdarzało się często. Gwizdnął przeciągle pod nosem.

- A ty...

- Nie zgodziłem się. Bardzo chciałbym mieć Marę cały czas przy sobie, ale to małżeństwo już się skończyło. - Usiadł za biurkiem. - Poza tym ona tak naprawdę wcale nie chce wrócić, tylko ma jakiś konflikt z Bernardem i przybiegła szukać ratunku. Nic wielkiego.

Bobby uniósł brwi, zdumiony.

- Nic wielkiego?

- Tak, nie przesłyszałeś się.

- I dobrze się z tym czujesz?

- Bardzo dobrze.

- Czy twoja decyzja ma coś wspólnego z pewną uroczą panią doktor?

- Owszem - rzekł Nick, po raz drugi zdumiewając swojego partnera. - Bo to ona jest głównym powodem.

Bobby zmrużył oczy.

- Ukrywałeś to przede mną. Nick uśmiechnął się.

- No.

- To pożera, partnerze. Zjada dużo czasu.

- Nie - powiedział Nick, spoglądając na leżące na biurku raporty. -

Historia Davida Sadlera mnie pożera. Co ty na to, żebyśmy go jeszcze popytali? Może ma coś do dodania.

- Jego adwokatowi to się nie spodoba.

- Jego adwokat może mnie pocałować. - Nick uśmiechnął się. - Daj mi go do telefonu, mam ochotę wybrać się na łowy.

## **ROZDZIAŁ OSIEMDZIESIĄTY DRUGI**

W kilka godzin później Nick jechał przez miasto w stronę domu. Otworzył okno, ciesząc się chłodnym wieczornym powietrzem. Myślał o Davidzie Sadlerze i rozmowie, którą tego popołudnia z nim przeprowadził. Facet upierał się, że jest niewinny. Wciąż mówił o morderstwie Lei Robertson i związku, jaki miały z tą sprawą Andie, Julie i Raven. Obstawał przy tym, że jedna z nich była w tamtym domu i podglądała jego i Leę w dniu zbrodni, a co za tym idzie, widziała prawdziwego mordercę.

Nick zadumał się. Sadler twierdził, że to nie on podrzucił Andie sznur i szalik. Wszystko to wydawało się niezbyt logicznie. Po co ktoś przyznawałby się do włamania do cudzego domu, a równocześnie zaprzeczał, że coś tam podrzucił? Dlaczego David tak maniakalnie wraca do przeszłości i przypisuje jednej z dziewczyn coś, do czego żadna z nich się nie przyznała?

Sprawa Sadlera zaczynała Nickowi działać na nerwy. Nic się tu nie zgadzało. Innymi słowy - coś tu śmierdziało.

Wszystkie tropy wracały do Andie, Julie i Raven. Julie nie żyła. Zostały dwie kobiety.

Nick uśmiechnął się smutno. Może nadszedł czas,



żeby złożyć wizytę trzeciej członkini tego triumwiratu? Minał akurat Rave Reviews, firmę Raven Johnson. Mimo późnej pory w oknach paliło się światło, a na parkingu przed budynkiem stał samochód.

Nick zawrócił. Ktoś był w biurze, ktoś, kto jest właścicielem wartego czterdzieści tysięcy dolarów bmw. Nick zaparkował, stwierdzając, że taki samochód nie może należeć do sekretarki.

W oknie wisiał szyld z napisem „Zamknięte”. Nick zadzwonił, potem zapukał w okno raz i drugi.

W chwilę później z zaplecza wyłoniła się zaaferowana Raven. Miała czerwone, jakby od płaczu, oczy.

Nick błysnął jej swoją odznaką, przekonany, że panna Johnson doskonale go rozpoznaje.

Uchyliła drzwi.

- Tak?

- Cześć. - Uśmiechnął się. - Mogłaby mi pani poświęcić trochę czasu?

- O co chodzi?

- O Davida Sadlera.

Zawahała się, ale wpuściła go do środka. Rozejrzał się. Wnętrze obfitowało w masę drogich drobiazgów. Gliniarze bywali w takich miejscach tylko służbowo.

- W czym mogę pomóc, inspektorze? - Uśmiechała się, ale Nick czuł jej wrogość i złość.

Oczywiście z powodu Andie. Wyobraził sobie tamten dom, frontowe drzwi, system bezpieczeństwa z zielonym mrugającym światelkiem.

- Ile razy spotykała się pani z Sadlerem w tygodniu poprzedzającym morderstwo? Jak duży jest pani udział w budowie w Gatehouse? Czy orientuje się pani, ile osób, oprócz pani i Sadlera, ma nieograniczony dostęp do tamtych budynków?

Raven splotła ręce na piersi.

- Już odpowiadałam na te pytania, inspektorze.

- Tak, wiem. Ale są pewne niejasności.

- Na przykład jakie?

Nick przywołał znów w pamięci wejście do tamtego domu.

- No cóż - zaczął - wydaje mi się, że zainstalowany tam system alarmowy ma dwa kody: główny i dodatkowy. Główny zna Sadler, wszyscy pozostali, którzy mieli dostęp do systemu - zrobił pauzę dla większego efektu - posługiwali się drugim kodem.

Przez moment, nie dłuższy niż uderzenie serca, Raven milczała.

Wyraźnie pobladła. Ten miniaturowy wycinek czasu niósł ze sobą całe tony treści.

- Nic mi o tym nie wiadomo - rzekła. - Przykro mi, że pan się fatygował. - Spojrzała na zegarek. - Jeśli ma pan jeszcze jakieś pytania, proszę się skontaktować z moim adwokatem.

- Z pani adwokatem? - Nick przekrzywił głowę. - Czy od czasu ostatniego przesłuchania pojawił się jakiś powód, dla którego potrzebna pani jest obecność adwokata, by odpowiedzieć na kilka prostych pytań?

- Oczywiście, że nie. Ale nigdy za dużo ostrożności.

- Pokazała mu sztuczny uśmiech i wskazała na drzwi.

- Jeśli to wszystko, chciałabym zostać sama, jestem zmęczona. Gdyby pan zapomniał, pozwolę sobie dodać, że jestem w żałobie po śmierci przyjaciółki.

- Oczywiście - rzekł półgłosem. - Przepraszam za najście. - Ruszył do drzwi, ale jeszcze raz spojrział na nią, zatrzymawszy się w progu. -

Jeszcze jedno - dorzucił.

- Z tego, co twierdzą pracownicy firmy zakładającej alarmy, w nocy, gdy popełniono morderstwo, system alarmowy był dwukrotnie wyłączany i włączany. Raz kodem Davida, drugi raz tym dodatkowym.

Mówiąc to, Nick badawczo wpatrywał się w Raven.

Leciutko drgnęła jej powieka, jej oddech minimalnie przyspieszył.  
Wydawało się, że jego słowa nie zrobiły na niej najmniejszego wrażenia.  
Raven Johnson ma zimną krew, pomyślał Nick.

- Nic pani o tym nie wiadomo, prawda?
- A niby skąd, inspektorze? Mnie tam nie było.
- Oczywiście. - Uśmiechnął się. - Jeszcze raz przepraszam za najście.

Dobranoc.

## **ROZDZIAŁ OSIEMDZIESIĄTY TRZECI**

Raven Johnson zrobiła dokładnie to, czego spodziewał się Nick.

Odczekała około pięciu minut po jego wyjściu, w ciągu których zdążył oddalić się o kilka przecznic i zawrócić, i pojechała prosto na budowę w Gatehouse. Nick domyślał się, że tam właśnie przechowywano instrukcje działania systemu alarmowego, a Raven musiała sprawdzić, czy Nick powiedział jej prawdę.

Pogwizdując, jechał za nią w bezpiecznej odległości. Sam nie wiedział, czy mówił prawdę, lecz poszedł za głosem intuicji. Za to wiedział teraz, że Raven Johnson nie tylko nosiła żałobę po Julie Cooper, ale miała również coś wspólnego z jej śmiercią.

Skreślił na teren budowy. Raven powinna już była tam być od kilku minut, więc miała dość czasu, żeby wejść do domu, w którym znajdowała się dokumentacja, i zacząć ją przeglądać.

Dom stał na prawo. Światła samochodu prześliznęły się po drodze, a żółta policyjna taśma jaskrawo wybijała się na tle ciemnej nocy. Nikt jej nie zdjął do tej pory. Nick wyłączył światła i bardzo powoli podjechał do wozu Raven. Zaparkował tuż obok.

Wyciągnąwszy broń ruszył, po drodze zaglądając do

bmw. Drzwi od strony kierowcy były nie domknięte, a na siedzeniu leżała torebka. Raven musiała bardzo się spieszyć.

Nick przeciwnie, działał spokojnie. Zakradł się pod frontowe drzwi, co chwila przystając i nadstawiając uszu.

Pchnął drzwi i wszedł do środka. Spojrzał na tablicę z systemem alarmowym - był włączony, ale nie zaktywizowany.

W domu, poza kuchnią, panowała ciemność. Nick słyszał czyjeś kroki, odgłos wysuwanej szuflady, szelest papieru. Uśmiechnął się do siebie.

Bingo, maleńka. Mam cię.

Z wyciągniętą bronią szedł w ddł holu, a kiedy dotarł do kuchni, stwierdził, że ucieszył się przedwcześnie. Kuchnia była pusta. Na podłodze leżały rozrzucone papiery, a tylne drzwi były na oścież otwarte.

- Cholera - mruknął, zapomniawszy o koniecznej w takich sytuacjach ostrożności. Był na siebie wściekły. Chciał wystraszyć Raven, zmusić ją do działania, a potem przycisnąć pytaniami, zanim zdąży mu uciec, przez co straciłby przewagę. Ale i tak zwiła mu sprzed nosa. Cholera.

Za jego plecami zaskrzypiały drzwi. Nick błyskawicznie się odwrócił.

Przed nim stała Raven, z twarzą wykrzywioną nienawiścią. W ręku trzymała hydrauliczną rurę. Przejmujący ból przeciął mu głowę, po czym oślepiło go białe światło.

Świat Nicka stał się czarny.

## **ROZDZIAŁ OSIEMDZIESIĄTY CZWARTY**

Nick powoli odzyskiwał przytomność. Czuł w głowie ogień. Próba poruszenia się wypadła fatalnie. Z wolna podniósł powieki i zamrugał. Wówczas przekonał się, dlaczego ręce i nogi całkowicie odmawiają współpracy: srebrna taśma izolacyjna krępowała mu dłonie i stopy. Powoli zaczął sobie wszystko przypominać. Raven. Drzwi spiżarni. Metalowa rurka.

Jak mógł być tak nieuważny? Tak głupi? Nie wezwał pomocy. Nikt nie wie, gdzie go szukać. Takie błędy może zrobić tylko praktykant, który szybko zamienia się w martwego praktykanta.

Kręciło mu się w głowie, miał nudności. Zamknął oczy i zaczął głęboko oddychać. Wpadł w bagno, ale teraz nie może poddawać się słabości, jeśli ma zamiar wyjść z tego cało.

Do kuchni wkroczyła Raven. Niosła szpadel i zwój grubej folii. Nick o mały włos nie stracił znowu przytomności. Szybko wziął kolejny głęboki oddech. Żeby tylko nie zwymiotować.

- Cześć, śpiochu - powiedziała Raven, wykrzywiając usta w imitacji uśmiechu. - Widzę, że postanowiłeś do nas wrócić.

- Ledwo - zakrakał. Wargi i gardło miał kompletnie wyschnięte. Roześmiała się.
- Uczciwy glina. Wyobrażasz sobie coś takiego? - Oparła szpadel o blat kuchenny i rozwinęła folię na podłodze, kolejnym uśmiechem kwitując jego spojrzenie. - Ciekawski z ciebie facet, jak widzę. To dobrze, przynajmniej dla ciebie. To znaczy, że nie straciłeś władz umysłowych.
- Prawdziwy szczęściarz ze mnie. - Zakasłał i poczuł smak krwi. Domyślił się, że upadając na podłogę, musiał ugryźć się w język. Bolało jak diabli. - To jak, załatwisz mnie od razu, czy też wymyśliłaś jakieś specjalne fajerwerki?
- Być może. - Uniosła jedno ramię. - Zauważyłeś spory dół na podwórku?
- Przykro mi, byłem trochę zaaferowany. Spojrzała na niego z dziwnym grymasem na twarzy.
- Zabawny jesteś. Nic dziwnego, że Andie wydaje się, że cię lubi. Odwróciła się. Nick dostrzegł na półce jej torebkę. A zatem wychodziła do samochodu. Ile czasu minęło?
- Raven wyciągnęła telefon komórkowy i położyła go obok torebki, potem wygrzebała z niej papierosa i zapalniczkę. Zapaliła i zaciągnęła się.
- Ta dziura - odezwała się, wydmuchawszy smużkę dymu - to basen. A raczej dopiero nim się stanie. Jutro będą go wykańczać.
- I?
- I przemienisz się w trwałą część owego basenu. Zdał sobie sprawę, co Raven ma na myśli, i przeklął w duchu.
- Tak jak twoja matka została trwałą częścią patio?

- Dokładnie tak. - Zaciągnęła się ponownie. - Mój ojciec nie był taki głupi.

- Nie? Przecież go złapano.

- Tylko dlatego, że mnie nie doceniał.

- Ufał ci, tak jak Julie ci ufała.

Raven zaczerwieniła się i zmrużyła złowieszczo oczy.

- Julie okazała się zdrajczynią, nielojalną wobec mnie i naszej rodziny.

Dostała to, na co zasłużyła.

- Tak jak ja dostanę to, na co zasłużyłem? Pociągnęła i uśmiechnęła się.

- Tak.

- Co zrobisz z folią? - spytał z nadzieją, że zagadując ją, wymyśli jakiś sposób, żeby się z tego wykaraskać. - Zawiniesz mnie, żebym nie śmierdział?

- Nie obawiaj się, nie będziesz śmierdział, bo zaleją cię cementem. -

Wrzuciła papierosa do jednorazowego kubka po kawie.

Nick walczył z kolejną falą zawrotów głowy.

- Naprawdę sądzisz, że uda ci się wykopać wystarczająco dużą dziurę, wrzucić mnie do niej i zatrzeć ślady, zanim wczesnym rankiem zjawią się robotnicy? Na twoim miejscu nie miałbym takich złudzeń, tylko z'miejsca dałbym nogę. Możesz pojechać do St. Louis, a stamtąd samolotem do Rio, zanim mnie znajdą.

- Nieźle ci idzie, inspektorze. Ale nie mam najmniejszej ochoty opuszczać Thistledown. Tu jest mój dom. A tak nawiasem, nie będę kopać dołu tylko dla ciebie. - Zerknęła na zegarek. - Czas zaprosić twoją ukochaną przyjaciółkę.

Andie. Dobry Boże, tylko nie Andie! Nie potrafił ukryć trwogi.

- Tak, pannę Andie Bennert, tę nielojalną dziwkę. Jestem pewna, że przybiegnie, kiedy powiem jej, że masz kłopoty.



- Nie rób tego - odezwał się zdesperowany. Był gotów błagać, byleby tylko uratować Andie. - Proszę. Ona nic nie zrobiła.

- Błąd. - Raven spojrzała mu w oczy, a na jej policzkach zajaskrawiły się czerwone plamy. - Naprawdę myślałeś, że pozwolę ci ją ukraść? Że pozwolę jej odejść ode mnie?

Ona jest szalona. Ma obsesję na punkcie Andie i lojalności, pomyślał zdesperowany.

- Nie przyjechałem tu sam - powiedział, walcząc z krępującą go taśmą, starając się nie pokazywać po sobie obehwładniającej go paniki. - Mój partner pojawi się tu lada chwila, za kilka minut to miejsce będzie pękało od glin.

Raven roześmiała się.

- Gówno prawda, inspektorze, taka sama prawda, jak ta o dwóch kodach. Ale nawet ci się udało. - Wzięła do ręki rurkę. - Gdyby ktoś miał się zjawić, już by tu był. Jesteś zupełnie sam.

Stanęła nad nim.

- Dobranoc, inspektorze. Muszę zadzwonić. Zamachnęła się i uderzyła.

## **ROZDZIAŁ OSIEMDZIESIĄTY PIĄTY**

Andie zaparkowała obok jeepa Nicka. Wysiadała z mocno bijącym sercem. Głos Raven brzmiał przez telefon wyjątkowo dziwnie. Wysoki, przestraszony, a do tego w jej telefonie komórkowym trzeszczało.

- Stało się coś strasznego - powiedziała. - To dotyczy Nicka. Musisz tu natychmiast przyjechać, on cię potrzebuje...

Połączenie zostało przerwane. Spanikowana, nie zwlekając ani sekundy, Andie wybiegła z domu. Jechała tak prędko, jakby gonił ją sam diabeł. Teraz dopiero zastanowiła się, czy postąpiła rozsądnie. Może powinna była poprosić, żeby ktoś jej towarzyszył? Może nie poradzi sobie sama, cokolwiek się stało.

Może David Sadler ma rację. Jeżeli to nie on zabił Julie, morderca wciąż jest na wolności.

Zbeształa się za takie myśli i ruszyła szybkim krokiem do budynku. To David zabił Julie oraz Leę. I nareszcie znalazł się we właściwym miejscu, czyli za kratkami.

Nacisnęła klamkę. Wewnątrz panowała niesamowita cisza, ciemność rozpraszało jedynie światło dochodzące z drugiego końca holu.

Pomyślała o tym, co stało się z Julie w tym domu, i zrobiło jej się słabo.

- Raven? - zawołała. - Nick? - Postąpiła o krok.  
- Rave! - zawołała znów. - To ja. Gdzie jesteś?  
- W kuchni. - Przyjaciółka pojawiła się w oświetlonych drzwiach i przywoływała ją gestem. - Szybko. Nick jest ranny!  
Zaalarmowana Andie pobiegła. Wpadła do kuchni i krzyknęła. Nick leżał na podłodze, ręce i nogi miał skrepowane srebrną taśmą, włosy splamione krwią.  
- Nick... Mój Boże! - Ukłękła przy nim.  
Gdy otworzył oczy, zobaczyła w nich strach. Nie patrzył jednak na Andie, ale gdzieś za nią.  
Andie obróciła się błyskawicznie. Raven stała nad nią z metalową rurką w dłoni.  
Chwilę potem Andie nic już nie widziała.  
Andie obudził odgłos kopania. Całe ciało miała obolałe, a w ustach czuła piasek, jakby jadła ziemię. Jej nozdrza wypełniała ciężka woń wilgotnej ziemi.  
Otworzyła oczy. Leżała w jakimś ciemnym dole, pod policzkiem mając coś... śliskiego. Plastik, zorientowała się. Równocześnie przekonała się, że ma związane ręce i nogi.  
Tak jak Nick. Jęknęła przerażona. Gdzie jest Nick? Kopanie ustało.  
- Cześć, Andie.  
Spojrzała w górę. Metr od niej stała Raven, ściskając w ręku szpadel.  
- Raven? - wyszeptwała Andie z niedowierzaniem.  
- Co... co ty robisz?  
Przyjaciółka uśmiechnęła się. Jej uśmiech wyglądał groteskowo.  
- Troszczę się o moją rodzinę.  
- Troszczysz się... Nie rozumiem.

- Nie? Zdradziłaś mnie, Andie. Zupełnie jak Julie i moja matka. Na to wspomnienie Raven zaczęła znów kopać. Andie patrzyła na nią, przerażona, nie pojmując do końca, o co chodzi. Kim jest ta kobieta? Czyba nie Raven Johnson, jej najlepszą przyjaciółką? Nie tą, którą zna od ósmego roku życia.

Nagle Raven odezwała się, a jej słowa kompletnie zaskoczyły Andie.

- Nie chciałam zabić Julie, ale musiałam to zrobić. Była niewierną suką. - Spojrzała na Andie. - Wybacz, że tak mówię, ale nie da się jej inaczej określić. Wolą takiego śmiecia jak ten Sadler. Zdradziła nas.

Andie z przerażenia zabrakło tchu. To ona zamordowała Julie?

- Zaczęła mnie nawet wypytywać, wyobrażasz sobie? - Raven pokręciła głową. - Pytała o pana i panią X, o moje wizyty w tamtym domu. Jak się chowałam w szafie i podglądałam ich. - Zrobiła pauzę. - Wiesz co, ona domyśliła się, że to ja zabiłam panią X.

Andie przygryzła wargi, żeby nie zacząć krzyczeć. Żeby nie poddać się temu horrorowi i nie rozpaść. Czy to możliwe, że tyle lat przyjaźniła się z tą psychopatką? Nie dostrzegła potwora przyczajonego za maską?

Nie chciała go widzieć. A przecież zauważała jej obsesję, ekstremalną dysfunkcyjność, pomieszanie wartości. Jednak wszystko to ignorowała, bo tak było prościej, bo tak łatwiej się żyło, bo wreszcie kochała tę dziewczynę.

Nick stęknął i poruszył się, zbolały, ale żywy. Andie zacisnęła powieki, powtarzając w myśli słowa dziękczynnej modlitwy. Nie widziała go i tak bardzo bała się, bała się, że Raven...

Nie mogła nawet dokończyć tej myśli. Postanowiła przekonać oszalałą przyjaciółkę, żeby zwróciła jej wolność.

Raven przerwała pracę, dysząc z wysiłku. Otarła pot z czoła.

- Potrzebowałam Julie, żeby pozbyć się Davida. Musiała umrzeć. Ale... - jej głos ochrypl z emocji - nie zrobiłabym tego, gdyby była mi wierna.

Dałam jej wybór, a ona wybrała jego. Złamała mi serce.

Wybór, uprzytomniła sobie Andie. Ona też ma wybór. Jeśli tego nie wykorzysta, zginą oboje z Nickiem.

- Raven, bardzo się mylisz - zaczęła. - Ja wybieram ciebie, a nie jego. On nic dla mnie nie znaczy.

Raven zaśmiała się gorzko.

- A przedtem mówiłaś co innego. Że za bardzo uzależniłyśmy się od siebie. Powiedziałaś: „Kocham go i chcę z nim być, niezależnie od konsekwencji”. No to bardzo proszę, masz swoje konsekwencje.

- To nieprawda! - zaprotestowała Andie. — Nie wybrałam go! Sprawdź swoją sekretarkę. Wczoraj wieczorem dzwoniłam do ciebie kilkanaście razy, żeby cię przeprosić i błagać o wybaczenie. Tamtego dnia całkiem straciłam rozum, Rave. Zaślepił mnie żal. Byłam zagubiona, a on próbował nas rozdzielić, wmanewrować mnie w ten związek. I prawie mu się udało.

Zakończyła szlochem i spojrzała na Raven błagalnie.

- Kocham cię. Jesteśmy rodziną. A rodzina musi trzymać się razem.

Raven potrząsnęła głową, choć widać było, że z trudem powstrzymuje wzruszenie.

- Czemu miałabym ci teraz wierzyć? Wciąż mnie okłamywałaś. To ja położyłam na twoim łóżku szalik i sznur, Andie, żeby cię ukarać. Byłam na ciebie zła, że mnie odtrącasz. To był też dla ciebie sprawdzian, ale nie zaliczyłaś go. Pobiegłaś do niego, a nie do mnie.

Modliłam się, żeby to nie była prawda. Żebyś przejrzała na oczy. Tak samo modliłam się o Julie. - Jej głos załamał się. - Bardzo mnie skrzywdziłaś.

Andie rozplakała się. To była ostatnia szansa, dla niej i dla Nicka.  
- Przejrzałam na oczy. Sprawdź swoją sekretarkę, usłyszysz moje błaganie i przyjmiesz mnie z powrotem. Przekonasz się. Błędziłam, Rave. Przepraszam cię.

Raven spojrzała na zegarek i zmartwiona pokręciła głową.

- Mogłabym odsłuchać... ale moja komórka... nie mam na to czasu.

Andie w wahaniu przyjaciółki dostrzegła szansę.

- Możemy to zrobić razem. Razem się nim zajmiemy. Wszystko robimy przecież razem. Jak zgodna drużyna, jak rodzina.

Raven patrzyła na nią pustym spojrzeniem. Andie przeraziła się, że przegrała.

Lecz Raven nagle uklękła przy niej i zaczęła uwalniać jej ręce. Andie bardzo się bała, żeby Raven nie domyśliła się podstępu.

- Musimy się pospieszyć - rzekła Raven. Uniosła twarz ku czarnemu, bezgwiezdnemu niebu. - Musimy się z tym uporać, posprzątać kuchnię i pozbyć się samochodu Raphaela. - Chwyliła Andie za ręce. - Ty drzysz.

- Ze szczęścia, że znowu jesteśmy razem.

- Ja też jestem szczęśliwa. - Uniosła jej dłonie do ust. - Zdejmij sobie taśmę z nóg i pomóż mi. Dół jest już prawie gotowy.

Andie kiwnęła głową, w szaleńczym tempie uwalniając się od taśmy. Od dłuższej chwili nie słyszała Nicka, bała się najgorszego. Zerknęła w jego stronę. Patrzył na nią.

Próbowała przekazać mu coś wzrokiem, bojąc się komunikować z nim w inny sposób. Chciała, żeby wiedział, że nie mówiła przed chwilą prawdy.

- Andie? Co tak długo?

- Już idę! - odparła, oddzierając ostatni kawałek taśmy i wstając pospiesznie. Zachwiała się.

- Nic ci nie jest?

- Nic - powiedziała z trudem. - Trochę mi się w głowie zakreśliło.

- Masz siłę kopać? Andie przytaknęła.

- Dobra, skończ to. Ja go tu przyciągnę, chyba nie odzyskał przytomności. Andie podeszła do niej, nie mając pojęcia, co dalej. Raven była od niej wyższa i silniejsza.

Wzięła szpadel i rozejrzała się wokół z pozorną nonszalancją.

- Gdzie jest broń Nicka?

Raven zmierzyła ją ostro. Andie zwilżyła wargi.

- Nie możemy go pogrzebać... żywego. To zbyt okrutne.

- A co cię to obchodzi?

Andie prychnęła lekceważąco, a potem rzuciła:

- Nic, ale po co ma się niepotrzebnie męczyć? Na twarzy Raven pojawił się uśmiech.

- Zawsze byłaś dobrą, martwiłaś się o wszystkich. Opiekowałaś się nami. Niech ci będzie, jeśli lepiej się z tym poczujesz.

- Dziękuję.

- Nie myśl, że dam ci broń. Wybacz, ale dopóki nie usłyszę tych nagrań na sekretarce, nie mogę ci do końca ufać.

- Oczywiście, rozumiem. - Andie zacisnęła dłoń na szpadlu. - Nie marnujmy więc czasu.

Raven zmierzyła ją wzrokiem, skinęła i ruszyła po Nicka.

Ostatnia szansa. Musi to zrobić.

Andie uniosła szpadel i zamachnęła się.

Ostrze uderzyło w tył głowy z obrzydliwym trzaskiem. Jak na zwolnionym filmie, oszołomiona Raven obróciła się. Krew zalewała jej twarz, zabarwiając jasne włosy. Wyciągnęła rękę.

- Andie! - krzyknął Nick. - Uważaj, ona ma broń! Dopiero wtedy Andie to zobaczyła: zimny, stalowy,

lśniący w blasku księżyca pistolet. Cofnęła się, wypuszczając szpadel.

- Kłamałaś! - wydusiła Raven, celując w nią. - Dziwka i oszustka! Jak mogłaś?... Ja zawsze... ja tak bardzo kochałam... - Upadła.

Andie zakryła usta. Przez moment patrzyła na kobietę, którą nazywała swoją przyjaciółką, po czym z płaczem podbiegła do Nicka. Przykłęka.

- Dzięki Bogu... dzięki Bogu... - Mocowała się z krępującą mu nogi taśmą.

- Myślałem już, że nigdy nie będę mógł ci powiedzieć... - zaczął, próbując usiąść.

- Och, Nick... - Dotykała go, jego twarzy i ramion, jakby sprawdzała, czy nie jest tylko wytworem jej wyobraźni. - Tak się bałam... Myślałam, że ty... że...

- Cii... Kocham cię, Andie. Kocham cię...

Pełne bólu i szału wycie rozdarło powietrze. Raven podniosła się, stała z wyciągniętą bronią.

- Nie pozwolę ci odejść! - wrzasnęła przeraźliwie. - Nie pozwolę!

Andie rzuciła się na nią, wytrącając jej pistolet. Przewróciły się na ziemię, walcząc zajadle, a jednocześnie poszukując broni. Wreszcie, gdy Raven złapała ją za nogi, Andie wywinęła się i z całej siły kopnęła byłą



przyjaciółkę. Z płaczem zerwała się i gorączkowo zaczęła szukać broni.  
- Andie! Uważaj!

Raven ścisnęła szpadel. Andie rzuciła się na ziemię, zakrywając głowę rękami. Nocne powietrze rozerwała eksplozja. Potem następna. Raven cofnęła się, nie puszczając narzędzia. Stała na krawędzi dołu, grobu, który wykopała dla Nicka i Andie, i wpadła do środka.

Andie odwróciła się. Nick, na kolanach, w skrępowanych wciąż dłoniach kurczowo trzymał broń. Andie uwolniła mu ręce i wtuliła się w niego.

- Już dobrze, kochanie. To już koniec. - Trzymał ją mocno. - To koniec. Pokiwała głową, jeszcze bardziej do niego przywierając, niezmiernie wdzięczna, że żyje... i jest kochana.

Nick chciał coś powiedzieć, ale mu nie pozwoliła. Nie chciała teraz rozmawiać, a już na pewno nie o tym, co się przed chwilą wydarzyło.

- Nie teraz, Nick - szepnęła. - Przytul mnie mocniej. - Podniosła ku niemu twarz. - Dobrze?

- Zawsze, Andie, zawsze będę cię tak tulił.

## **EPILOG**

### ***Thstledown, Missouri Pół roku później***

W sali sądowej zeznania składała Andie. Czuła na sobie wzrok wszystkich zebranych. Od ponad dwóch godzin szczegółowo odpowiadała na pytania Roberta Fultona, starając się najlepiej jak umiała zaprezentować obraz Marthy. Drobiazgowo przedstawiła, na czym polega przemoc w małżeństwie, ogólnie i na przykładzie związku Marthy i Edwarda Pierpontów. Z równą pieczołowitością mówiła o wszystkim, co było jej wiadomo na temat bolesnych wydarzeń w ich domu.

Cały czas do Andie docierały szepty z ławy przysięgłych i z galerii, gdzie siedziała publiczność. Podawane przez nią informacje były nie tylko nieprzyjemne, ale wręcz makabryczne.

Andie nie odwracała wzroku od Roberta.

- Psychika człowieka jest w stanie znieść ograniczoną ilość traumatycznych przeżyć - mówiła. - Potem pęka.

- Potem pęka - powtórzył i, okrążywszy ją, stanął twarzą do przysięgłych.

- Jak nadwreżony mięsień albo za mocno naciągnięta gumka?

A co później? Człowiek wpada w obłąd?

Andie pomyślała o Raven. Często o niej myślała, z mieszaniną żalu i przerażenia.

- Tak - odpowiedziała jasno. - Można tak powiedzieć.

- W porządku. - Robert kiwnął głową. - Mając w pamięci to porównanie, mogłaby pani przybliżyć sędziom, co to oznacza w praktyce?

- Chwilową albo stałą zmianę w sposobie myślenia. Człowiek traci poczucie rzeczywistości i umiejętność chłodnej, obiektywnej oceny sytuacji. - „Jesteśmy rodziną, Andie, a rodzina trzyma się razem”, prawie usłyszała głos zmarłej przyjaciółki. - Górę biorą emocje, na przykład ślepy strach. Człowiek jest niezdolny do racjonalnego myślenia i działania.

- A zatem wierzy pani... - Poprawił się, jakby spodziewał się sprzeciwu. - A zatem jako lekarz, na podstawie swoich badań i doświadczeń, uważa pani, że Martha Pierpont... pękła?

- Tak - rzekła, patrząc na przysięgłych. - Jako lekarz twierdzę, że Martha Pierpont doszła do punktu, w którym jej psychika nie mogła dłużej znosić ciągłego stresu. Stanowczo uważam, że takim punktem kulminacyjnym i zarazem zwrotnym była noc, podczas której popełniono morderstwo.

- Jako lekarz, po wielu sesjach terapeutycznych z Marthą Pierpont, które trwały przez rok, twierdzi pani także, iż Martha Pierpont zastrzeliła swojego męża w obronie własnej?

- Absolutnie tak. Jako jej psychiatra mogę powiedzieć, że Martha bała się o swoje życie. Jak wynika z naszych sesji, była przekonana, że jej mąż może ją zabić i pewnego dnia zrobi to. Nie mam żadnych wątpliwości, że naciskając spust, Martha była pewna, że jeśli tego nie zrobi, sama straci życie.

- To pani opinia jako lekarza psychiatry?

- Tak.

Po sali przebiegł szmer. Robert uśmiechnął się.

- Nie mam więcej pytań, doktor Bennett.

Sędzia ogłosił odłożenie rozprawy do następnego dnia. Poinstruował przysięgłych, że nie wolno im dyskutować o sprawie między sobą ani z nikim innym, i pozwolił im odejść.

Po kilku minutach w sali zostali już tylko Andie i Robert.

- Świetnie się spisałaś - rzekł Robert. - Myślę, że wszystko idzie po naszej myśli.

Andie wzięła torebkę i płaszcz.

- Cieszę się. Martha zasługuje na odrobinę szczęścia. Robert wrzucił notatki do teczki.

- Masz jakieś plany na dzisiejszy wieczór? Uśmiechnęła się.

- Lenistwo w domu, z kanapką i talerzem ciepłej zupy. Może jeszcze masaż pleców.

Roześmiał się.

- Odpocznij. Rano zabierze się za ciebie oskarżenie.

- Dzięki za ostrzeżenie, będę uważać.

Gdy się pożegnali, Robert wyszedł do dziennikarzy, natomiast Andie wymknęła się bocznym korytarzem.

Nick czekał na nią na schodach sądu razem z Marą, śmiejąc się z czegoś, co dziewczynka właśnie mu powiedziała. Andie patrzyła na nich, ciesząc się widokiem, który odpędzał złe myśli.

Mara i Nick dostrzegli ją jednocześnie. Dziewczynka coś krzyknęła, wymachując rączką. Andie podeszła do małej i objęła ją.

- Tęskniłam za tobą. Co robiłaś?

Mara zaczęła opowieść o tym, jak spędziła dzień z ojcem, jak zmusił ją do zjedzenia całego luachu, bo

inaczej nie dostałaby lodowego deseru. Ubawiona Andie spojrzała na Nicka.

- Ty draniu - rzekła półgłosem. - Cały lunch?

- Za to pozwoliłem jej wziąć podwójną porcję sosu.

Jak poszło?

- Dobrze. Robert jest zadowolony.

- Cieszę się. - Nick musnął wargami jej usta i popatrzył na nią zatroskany.

- Ale jak ty się czujesz?

Przez ułamek sekundy przypomniała jej się znowu Raven. Potem położyła palce na jego wargach i powiedziała z uśmiechem:

- Jestem szczęśliwa, Nick. Jestem naprawdę szczęśliwa.

Pocałował ją.

- Ja też.

Wzięli Marę za ręce i ruszyli do domu.